



Voldi
KOSHI
Ric
Gizbarus
Marcel
Tormentor
Dziab Dziab
saku
Canthir
Valentino

kompilacja z 20 lipca 2014

zebrał: sou

Spis treści

Voldi – informacje o autorze	4	15 000 rubli	64
O jeden blok za daleko	5	Gizbarus – informacje o autorze	74
Ponure oblicze Peruna	17	Samotność w zonie	75
KOSHI – informacje o autorze	26	Marcel – informacje o autorze	101
Kodeks Hammurabiego	27	Powrót	102
Grób Agamemnona	58	Tormentor – informacje o autorze	112
Ric – informacje o autorze	63	Piętno	113

Dziab_Dziab – informacje o autorze	160
Biała zona	161
saku – informacje o autorze	184
W cieniu	185
Canthir – informacje o autorze	190

Śpiąc w popiołach	191
Valentino – informacje o autorze	208
Degradacja	209
Kolejne opowiadanie	228



Voldi

Ulubiona broń: TRs 301

O jeden blok za daleko

Witam! Mam przyjemność przedstawić wam kolejne moje „dziecko”, które powstało w wyniku zbiegu okoliczności... A właściwie, dzięki nudzie w trakcie powrotu ze szkoły i pewnej przypadkowej osobie. Tak przynajmniej powstał tytuł. Fabułę i bohaterów wymyśliłem po kilku kolejnych minutach. Uważam to za shorta, choć podejrzewam, że będzie miał ok. 5, 6 stron A4. Rozgrywa się w przeciągu dwóch dni.

CZEŚĆ I

- Bazyl, udało się! To tu, dotarliśmy! – Wykrzyknął Andriej, wyczołgując się z tunelu ukrytego w starej toalecie publicznej.
- Już? Chryste, jak dobrze. Jestem taki zmęczony. – Odparł towarzysz, padając na popękaną posadzkę.
- Podnieś się. Zaczyna się robić ciemno, trzeba znaleźć jakieś bezpieczne schronienie.

Andriej zgasił swoją latarkę, po czym pchnął lekko zbutwiałe, drewniane drzwi. Te jednak nie ustąpiły. Zawiasy zapiekły się przez prawie trzydzieści lat tak bardzo, że trzeba było użyć naprawdę dużej siły, by je poruszyć. Spróbował ponownie. Silniej. Metal skrzypnął, drzwi uchyliły się, a pomieszczenie zalało ciepłe, czerwone światło. Słońce chyliło się już ku zachodowi.

- Pamiętaj, zachowujemy się tak cicho, jak tylko można. Nie mam ochoty oddawać krwi jakiejś pierdolonej pijawce ani zostać nadzianym na pal przez Monolit! – szepnął Andriej.
- A myślisz, że ja mam?! Po tym, co dziś przeszedłem chcę

tylko w spokoju zasnąć.

- To rozumiem. Idziemy!
- Czeka! – Bazyl szarpnął kompana za ramię. – Przecież mamy mapę, może sprawdzimy chociaż, gdzie jesteśmy?
- Niegłupie. Dawaj tę mapę, Koczownik. – odpowiedział Andriej, cały czas szepcząc.

Bazyl sięgnął do kieszeni w spodniach i wyciągnął złożony w kostkę kawałek papieru. Drugi mężczyzna wyrwał mu ją z ręki po czym pospiesznie rozwinął. Przykucnął i włączył swoją czołówkę. Mocny strumień światła padł na papier, przy okazji oświetlając toaletę. Andriej spojrzał na nagłówek: „*Karta Prip’yat, 1985 rik. Wykorystowujcie tilki armija UNR*”, co oznaczało: „Mapa Prypeci, rok 1985. Wyłącznie do użytku Armii Czynnej Ukrainskiej Republiki Ludowej”. Schematyczna mapa pokazywała wszystkie budynki: bloki mieszkalne, szpitale, szkoły, naniesiono na nią lokalizację urzędu miasta, basenu, a nawet sklepu ogrodniczego. Zawarto w niej również informacje tajne dla ludności cywilnej takie jak schrony, podziemne magazyny, tunele, w tym ten prowadzący

do fabryki Jupiter, czy drogi ewakuacyjne. Teraz jednak te dane nie były potrzebne. Andriej znalazł punkt, w którym się znajdowali. Określony został „Wyjściem awaryjnym z tunelu Prypeć-1”.

- Sto, może sto trzydzieści metrów za nami mamy szkołę średnią. Tam przenocujemy. Chowaj mapę. Przyda się jeszcze.
- Dobra, gotowy do drogi? Idź pierwszy, Włóczęgo.

Andriej zgasił latarkę. Wyprostował się i podszedł do drzwi. Wychylił z nich samą głowę, tylko nasłuchując. W oczy rzuciła mu się znajoma sylwetka diabelskiego młyna, teraz okraszona rudymi promieniami słońca. Pływała ona spokojnie w błyszczących na zielonkawy kolor liściach, tak jakby nigdy się tu nic nie wydarzyło, jakby nie było to miejsce jednego z największych dramatów XX wieku. Cisza panująca w Prypeci aż dzwoniła w uszach.

Andriej otrząsnął się z tej zadumy i skinął ręką, dając znak Bazylowi, by ten ruszył za nim. Wyszli z toalety. Obeszli ją wzdłuż ściany po czym, powoli przedzierając się przez krzaki, skierowali się do betonowego gmachu przed nimi. Cały park był zarośnięty rozmaitymi krzewami, trawami, a gdzieniegdzie ponad zielony

mur przebijały się jakby wieże, wzniesione z młodych brzoź i dębów.

Mężczyźni byli obcy z przedzieraniem się przez chaszczę. Nie bez powodu jednego nazwano Włóczęgą, a drugiego Koczownikiem. Andriej znany był z tego, że potrafił przedostać się do niemal każdego miejsca, nie poruszał się chyba tylko wtedy, kiedy spał. Bazyl podobnie. Jak wskazuje jego przydomek – nigdzie nie zostawał w tym samym miejscu dłużej niż dwa, góra trzy, dni.

Przedarcie się przez małą dżunglę nie trwało długo. W ciągu trzech minut znaleźli się przy ścianie budynku, do którego zmierzali. Pozostało im jedynie odnalezienie wejścia do gmachu i wyszukanie jakiegoś cichego miejsca, w którym mogli przenocować.

Okrażyli budynek, do środka dostali się drzwiami prowadzącymi na salę gimnastyczną. Były zablokowane, toteż Bazyl posłużył się solidnym kopnięciem, by ustąpiły. Narobił przy tym nieco hałasu, więc mężczyźni wbiegli do hali, po czym postarali się zatrzeć za sobą ślady. Zwrócili uwagę na korytarz łączący salę z resztą szkoły. Ostrożnie, unikając sprzętu sportowego rozrzuconego bez-

ładnie pod nogami, ruszyli w jego stronę.

– Tam powinna być jakaś szatnia, albo chociaż kanciapa dla nauczycieli. – rzucił Bazyl.

Weszli po spróchniałych stopniach na jakiś tandetny parkiet. W korytarzu panował półmrok, na prawym jego końcu widać było promienie słońca, przebijające się przez zakurzone okna i stare framugi. Tam był główny hol szkoły. Z lewej strony mieściły się szatnie. Stalkerzy ruszyli w ich stronę, nie zapalając jednak laterek w obawie przed zwróceniem na siebie uwagi.

Jedne z drzwi były uchylone. Weszli do pomieszczenia. Na obu ścianach zamocowane były rzędy wieszaków. Na niektórych z nich do dzisiaj wisiały przegnite koszulki, spodenki czy lniane torby na strój gimnastyczny. Na jednym z wieszaków Andriej zauważył nawet skórzaną torebkę, pewnie jednej z uczennic. Wokół walało się też kilka masek gazowych. Zapewne ogłoszenie o ewakuacji dotarło do pracowników szkoły w trakcie lekcji. Ciekawe, co teraz dzieje się z tymi ludźmi. Żyją? Jeśli, tak, to gdzie i w jakich warunkach? Andriej nie mógł znać odpowiedzi na to pytanie. Pewnie

nikt, poza samymi przesiedlonymi, nie zna na nie odpowiedzi.

Położyli się pod ścianą, przy drzwiach, by słyszeć każdy ewentualny szmer. Nie od dziś wiadomo, jak bardzo trzeba uważać, nocując w nieznanym miejscu. Tym bardziej, jeśli takie miejsca wybiera się w zamkniętej strefie, tak blisko elektrowni.

– No, całkiem przytulnie. Hotel Mir to to nie jest, ale spać się da. – Zagaił Bazyl.

– Masz rację, spać się da. – Odparł półprzytomnie Andriej.

– Mogę cię o coś spytać?

– Pewnie, pytaj śmiało.

– Dlaczego właściwie tu jesteśmy? – Spytał Koczownik, było jednak słychać, że niełatwo przeszło mu to przez gardło.

– No tak. Najwyższy czas, byś się wreszcie dowiedział... – Zaczął Andriej. – Ja... Ja tu kiedyś mieszkalem, przed katastrofą.

– Co?! Znamy się od studiów, czemu wcześniej mi o ty...

– Nie tak głośno. Chcę dożyć jutra. – Przerwał Bazylowi. – Nie mówiłem o tym wcześniej, bo znając ciebie, zbyt szybko byś się

napalił. A ja potrzebowałem cierpliwości i czasu.

- Mamy teraz po trzydzieści dwa lata... – Zastanowił się. – Ile miałeś, kiedy to się stało?
- Sześć, może siedem, nie pamiętam. Jednak ja... – Andriej przerywał. Mówienie nie przychodziło mu zbyt łatwo. Było widać ból w jego oczach. – Przenieśli nas do Doniecka. Tam kazali zapomnieć o wszystkim co się wydarzyło, zacząć nowe życie. Dopiero dziesięć lat później, grzebiąc w starych albumach zrozumiałem, czego byłem świadkiem. Zamarzyłem odwiedzić rodzinny dom. Dom, w którym się urodziłem. Miejsce, z którego pochodzę. Rozumiesz? W tym roku minęło dwadzieścia pięć lat... Do tego, na studiach w Kijowie, trafiłeś się ty, pamiętasz? Zafascynowany Czarnobyłem i Zoną.
- Znasz adres? – Nieśmiało odezwał się Bazyl.
- Tak. Przyjaźni Narodów 13/73. Naprzeciwno szpitala. – Odpowiedział Andriej obojętnie, patrząc w przestrzeń przed sobą. – Chodźmy spać.
- Chodźmy, jutro ciężki dzień. Śpij spokojnie.

CZĘŚĆ II

Obudzili się o świcie. Poranek nie był tak ładny, jak zmierzch poprzedniego dnia. Budził raczej nastrój niepokoju i w pewnym sensie grozy. Andriej wstał, przejechał ręką po twarzy po czym zabrał się za zwijanie śpiwora. Bazyl jeszcze dosypiał. W pewnej chwili Włóczęga zauważył małe okienko w ścianie stojącej naprzeciw niego. Nie dostrzegł go poprzedniego dnia. Podeszedł i oglądał przez nie mgłę, która rozlewała się wokół szkoły jak mleko, otulając wszystko dookoła gęstym, szarym puchem.

- Niedobrze... – powiedział sam do siebie. – Widoczności... góra na pięć metrów.

Po chwili ciszy, mruczając pod nosem, dodał:

- Cholera.

Obrócił się i wrócił do ściany przy drzwiach. Usiadł przy towarzyszu, a następnie lekko trącił go łokciem. Bazyl natychmiast się obudził. Andriej dał mu trochę czasu na oprzytomnienie, poczekał, aż spakuje wszystko, z wyjątkiem jedzenia. Sam sięgnął

do plecaka i wyciągnął bochenek chleba oraz butelkę wódki. Koczownik zaś przygotował wodę, konserwę i jakiś owoc.

Nim zaczęli jeść, odmówili krótką modlitwę, dziękując Bogu za dotarcie do Prypeci, za znalezienie schronienia i przeżycie nocy, a także prosząc Go o pomoc w drodze do celu podróży i o szczęśliwy powrót.

– Amen.

– Amen.

– No dobrze, panie kolego. Polejcie, za przeżyty noc. – Zawołał cicho Bazyl.

– Już się robi.

Andriej sięgnął po flaszkę, uderzył trzy razy w dno butelki, potem obrócił ją właściwie i trzy razy „spoliczkował” szyjkę. To był taki ich żartobliwy zwyczaj „wyganiań diabła”. Następnie odkręcił zakrętkę i nalał po równo do kieliszków, wykonanych z rozciętych puszek. Mężczyźni podnieśli naczynia, a po chwili wlewali sobie ognisty płyn do gardeł.

Śniadanie jedli takie jak co dzień. Dwie kanapki z konserwą, popijane wodą, a na koniec jakiś owoc, na pół. Ponoć dawało im to siły na większość dnia.

Po kilkunastu minutach milczenia w czasie spożywania posiłków stalkerzy zaczęli szykować się do wyruszenia w dalszą drogę. Spakowali butelkę wódki, pozostałą wodę i chleb. Wszystko szczelnie owinęli i wrzucili do plecaków, które następnie solidnie zamknęli. Pomogli je sobie założyć na plecy. W sumie, z całym osprzętem taszczyli do piętnastu, dwudziestu kilo. A dodając kombinezon, broń i amunicję wychodzi całkiem spory ładunek.

Wyszli z szatni. Nie skierowali się jednak na salę gimnastyczną. Postanowili, że opuszczą szkołę głównym holem. Ruszyli przed siebie, posuwając się przez korytarz bardzo powoli, ostrożnie stawiając każdy krok. Rozglądali się bardzo uważnie, z kolbą karabinu opartą o ramię zaglądając do każdego zaciemnionego miejsca. Kto wie, czy budynek nie był miejscem spotkań Monolitu, lub skupiskiem anomalii? Śmierć czyhała wszędzie, dosłownie wszędzie.

Dotarli do wyjścia, które niemal niczym nie różniło się od korytarza. Ten sam tandetny parkiet, te same obdrapane ściany, ten sam sufit z kasetonami pomalowanymi na brązowo, te same ławki porozrzucane po całym korytarzu. Inny był tylko przewrócony stolik leżący pod ścianą, budka woźnego i nieco szersza niż zwykle odnoga, prowadząca do wyjścia. Inne było też ciało, w stanie zaawansowanego rozkładu, leżące gdzieś pod ścianą. Obok leżał jakiś połyskujący metal, może broń denata. Mężczyźni nie zwrócili na niego większej uwagi, skręcili w prawo chcąc opuścić budynek. Wyszli przez duże, przeszkłone drzwi. Były otwarte. Przykucnęli przy murku, rozglądając się za jakimkolwiek zagrożeniem, jednak mgła otulająca martwe miasto była taka, jak przypuszczał Andriej – widoczności na pięć metrów.

Nie byli pewni co do godziny, o której się obudzili. Może to była piąta rano, może szósta, a może nawet i ósma. Przez tą mgłę nie można było niczego wywnioskować. Była tak gęsta, że nie przepuszczała nawet słońca.

– Nie ma wyjścia. Ruszamy. – Powiedział Andriej.

– Pamiętasz drogę?

– Tak. Już teraz tak.

Przez chaszcze zaczęli przedzierać się w kierunku szpitala. Z tej strony było ich jakby mniej, ale mgła i tak skutecznie utrudniała poruszanie się. Po kilkunastu sekundach dotarli do budynku domu kultury „Energetyk”. Idąc wzdłuż ściany znaleźli się przed gmachem, na betonowym placu, pełnym porzuconych, napromieniowanych samochodów. Stały Łady, Ziły, Kamazy i inne dzieła radzieckiej myśli technicznej.

– Teraz uważaj. – Szepnął Andriej towarzyszowi. – Na „trzy” biegniemy w tym kierunku. – Wskazał ręką południowy wschód. – Przeskakujemy plac, musisz uważać na anomalie. Pewnie jest ich tu sporo. Dobiegamy do ulicy i wpadamy w osiedle. O ile mnie pamięć nie myli, tam jest jakiś sklep. Będzie można się w nim skryć, jeśli nikogo nie będzie w środku. Jasne?

– Jak słońce.

– Słońca to dziś akurat nie uświadczysz. Gotowy? Raz... dwa...

trzy!

Mężczyźni puścili się pędem po przekątnej placu. Mijali samochody, kolejne młode drzewka, przebijające się przez asfalt. Bazylowi wydało się w pewnej chwili, jakby błysnął mu przed oczami jakiś artefakt, jednak nie miał czasu, by się przyjrzeć. Przebiegali właśnie przez ulicę, kiedy powietrze przeszył huk wystrzału. Obaj w jednej chwili, jakby na rozkaz, przyspieszyli. Przeskoczyli przez pas zieleni, potem przez chodnik i wpadli do klatki dziesięciopiętrowego bloku mieszkalnego. Jednego z wielu w Prypeci.

- Cholera, słyszałeś to? – zapytał Bazyl zdyszany.
- Trudno było nie słyszeć.
- Myślisz, że nas odkryli?
- Kto?
- No... Monolit.
- A, no tak. – Zamyślił się Andriej. – Nie, myślę, że nie. Podejrzewam, że strzelali do mutantów. Z której strony było słychać strzał?
- Jakoś w prawo od nas.

- Czyli z zachodu. Jesteśmy bezpieczni. Odsapnij. Już blisko. Moje mieszkanie jest po drugiej stronie osiedla.
- Jesteś pewien?
- A udowodnić ci to na mapie?
- Okej, okej...
- Z tym blokiem też mam miłe wspomnienia. Tu mieszkał Dima, mój najlepszy kolega. Był trochę starszy, ale bardzo się lubiliśmy.
- To ciekawe.
- Ciekawe... – Powtórzył Andriej, po czym obaj mężczyźni zamilkli.

CZEŚĆ III

Parę chwil później znów byli gotowi przedzierać się w stronę szpitala. Zanim jednak wyszli z bloku upewnili się, czy jest to bezpieczne. Tym razem Bazyl pełnił rolę zwiadowcy. Wychylił się przez metalowe, zardzewiałe drzwi i słuchał. Słuchał milczenia za-

mnętego od dwudziestu pięciu lat w tych drewnianych oknach, przerdzewiały samochodach, popękanych ulicach. Cisza była wręcz ogłuszająca. Nigdy dotąd nie spotkał się z podobnym uczuciem. W mieście duchów panował spokój, od którego aż dzwoniło w uszach. Żadnych dźwięków, ani odgłosów. Nie szeleścił żaden liść, nie trzeszczała żadna gałąź poruszana wiatrem, nie było słychać ptaków czy owadów. Nie było słychać nic. Po prostu ogłuszająca, martwa cisza.

– Bezpiecznie, chodźmy. Prowadź. – Szepnął po chwili

Andriejowi.

Wyszli z klatki na chodnik, przez który przebiegali kilka sekund wcześniej i skręcili w prawo. Poruszali się wzdłuż ściany dziesięciopiętrowca przez jakąś minutę, ostrożnie stawiając każdy krok. Miasto wydawało się martwe, tak jak większość miejsc w Zonie, ale naprawdę życie w nim wręcz tętniło. Dziesiątki, jak nie setki, Monolitian, religijnych popaprańców wyznających jakąś kosmiczną skałę ukrytą w bloku czwartego reaktora, gotowych zabić każdego, kto nie mówi ich językiem, nie ma tych samych wartości

ani, krótko mówiąc, wypranego mózgu; niezliczona ilość mutantów, dzieci Zony; wojsko, pojawiające się tu raz na jakiś czas, i wiele innych rzeczy, o których istnieniu mogli nawet nie wiedzieć.

Mężczyźni doszli do końca budynku. Ponownie skręcili w prawo, tym razem w alejkę przecinającą osiedle. Do celu pozostało im jakieś dwieście metrów. Ten etap wydawał się najłatwiejszy. Dzień, w świetle którego można było zawczasu dostrzec niebezpieczeństwa, gęsta mgła otulająca okolice, zapewniająca w pewnym sensie niewidzialność, cisza, w której da się usłyszeć każdy szmer. Prypeć tego dnia była jakby utopią, sprawiała wrażenie niezwykle pustej i łaskawej dla podróżników. Mimo to, mężczyźni ani na chwilę nie tracili koncentracji.

– Zobacz. Moja podstawówka... – Andriej wskazał palcem budynek stojący z lewej strony. – Za nią jest alejka, która prowadzi prosto do bloku.

Osiedle nie było tak zarośnięte drzewami jak okolice parku, czy domu kultury, choć dzieliło je raptem pół kilometra. Owszem, wokół pełno było młodych brzoź obrastających budynki, jednak

aleje przecinające ten teren wciąż były alejami wyłożonymi twar-
dą, betonową płytą, a nie niebezpieczną dżunglą.

Po jakichś trzech minutach niemal dotarli do celu. Z blokowi-
ska wyszli wprost na chodnik przy ulicy Przyjaźni Narodów. Z
prawej strony mieli blok numer 13.

– Pierwsza klatka. Wchodzimy. – Drżącym już głosem szepnął
Andriej do kolegi.

Drzwi były nieco ponad poziomem chodnika, musieli pokonać kil-
ka stopni, by tam dotrzeć.

W końcu znaleźli się w środku. Włóczęga podszedł do wiszą-
cej na ścianie tablicy ze spisem mieszkańców, zdjął rękawiczkę i
przejechał po niej ręką. Tak, jak robią to dzieci zaglądające do
sklepu z cukierkami przez szybę. Zatrzymał się przy numerze 73.

– Gorbunow Irina... – Szepnął. – Babcia...

Po chwili milczenia dodał:

– Chodźmy na górę.

Odszedł od tablicy, włączył swoją latarkę czołową i ruszył powoli
schodami. Miał do pokonania cztery piętra. Całą drogę bił się z

myślami, chciał się nawet wycofać, uciekać stamtąd jak najprę-
dzej, jednak nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Po prostu szedł. Mi-
jał mieszkania kolejnych sąsiadów: państwa Inumienko, starszego
małżeństwa, które zawsze wszczynало awantury o to, że telewizor
za głośno, że dzieci za głośno, że samochód źle postawiony i o
wiele innych mniejszych lub większych, głupot. Minął dom pa-
ni Prokopienko, której mąż, pan Iwan, był strażakiem, jednym z
pierwszych, którzy dotarli do elektrowni po wybuchu.

Wreszcie dotarł na czwarte piętro, do mieszkania numer 73.
Jego mieszkania. Wahał się jakiś czas, czy wejść do środka, czy
stać na klatce i wpatrywać się w drzwi. Po chwili jednak pchnął
je. Okazało się, że były zdjęte z zawiasów. Pchnięte po prostu
przewróciły się na szafę stojącą prawie naprzeciw nich. Andriej
przekroczył próg. Zrzucił na ziemię plecak, odłożył broń, odpiął
od paska nóż, który niedbale rzucił gdzieś w kąt i smętnie powlókł
stopami do salonu.

Dobrze pamiętał ten czarny regał z bordowymi zdobieniami,
który kiedyś omal się na niego nie przewrócił. Wciąż stał na nim

telewizor. Ten sam, przez który tak często płakał, kiedy nie mógł oglądać bajek. Pamiętał rozkładany stół, na którym do tej pory, mimo upływu dwudziestu pięciu lat, stał szklany flakon na kwiaty i popielniczka. W kącie, przy wyjściu na balkon, leżała przewrócona donica, w której kiedyś stał jakiś duży kwiat. Na podłodze walało się mnóstwo książek, ubrań i zabawek.

Andriej zawrócił i smętnie, przesuwając rękę po ścianie, skierował się do sypialni. Bazyl, stojący cały czas w progu mieszkania, zauważył w jego oczach łzy. Opuścił wzrok.

– Wejdz, przyjacielu... – Szepnął Andriej.

Koczownik posłusznie przestąpił próg. Stał przy wybitym oknie wychodzącym na ulicę Przyjaźni Narodów i wpatrywał się w gmach szpitala, znajdującego się po jej przeciwnej stronie. Mgła opadała, coraz więcej słońca przebijało się przez chmury, których ilość też jakby się zmniejszała.

Andriej wrócił do salonu i siadł pod ścianą wśród sterty zakurzonych papierów i ubrań. Skulił się, ukrył twarz w dłoniach i po prostu się rozpłakał. Bazyl wciąż milczał. Byli przyjaciółmi, jed-

nak ten podjął decyzję, by nie wspierać kolegi w obecnej sytuacji. Andriej Włóczęga musiał poradzić sobie z nią samodzielnie.

Mijały kolejne, ciągnące się w nieskończoność, minuty. Prypec budziła się do życia. Mgła zniknęła, chmury się rozwiały, świeciło piękne, wiosenne słońce, miło ogrzewające twarz. W dole dało się słyszeć szczekanie psów, czasem nawet można było zauważyć jakieś stado biegnące w stronę zagajnika znajdującego się kilkaset metrów dalej. Tylko mieszkanie numer 73 zamarło. Andriej wprawdzie już się opanował, jednak wciąż siedział w milczeniu, tępo wpatrując się w ścianę naprzeciw. Bazyl zaś stał nieruchomo przy oknie. Trwało to dla niego wieczność, ale nie widział innej możliwości zachowania się w tej chwili. Do tej pory żaden jeszcze nic nie powiedział.

Było to bardzo nietypowe. Bazylowi trudno wytrzymać kilka minut bez odzywania się. Jednak od wkroczenia do Prypeci jakby coś się zmieniło. Spochmurniał nieco, przybladł, oczy straciły część blasku i zapału, jakim emanowały zawsze w czasie studiów. Zachowywał się zupełnie inaczej, niż zwykle. Może robił to dla

przyjaciela, a może powód jego zmiany był kompletnie inny? Chyba nawet on sam tego nie wiedział...

Andriej powoli otrząsał się z szoku. Zaczął wodzić wzrokiem po ścianach, szukać znajomych okładek na podłodze. Nadal jednak żaden z nich nie odważył się odezwać, choć czasu minęło bardzo dużo.

- Monolit. – Szepnął Bazyl po kolejnych kilku minutach dzwoniącej w uszach ciszy.
- Co?! Gdzie?! – Andriej wprawdzie wciąż siedział, ale już wyprostowany i gotowy do działania.
- Monolit. – Koczownik obrócił się w stronę towarzysza i sięgnął do kieszeni.
- Gdzie Monolit, co się dzieje? – W jego głosie było słychać wyraźne podenerwowanie.
- Monolit. – Bazyl wyjął z kieszeni pistolet i przeładował go.
- Stary, co z tobą?! Co się, do kurwy nędzy, dzieje?!
- Monolit. – Szepnął Bazyl i wycelował broń w kierunku Andrieja.

STRZAŁ

Ponure oblicze Peruna

Witam, witam. Mam dla Was kolejny krótki tekst mojego autorstwa. Tym razem nie sieka, nie "jeden dzień w Zonie", a mały eksperyment. Puszczam tu oko do Farathriela, który tak uczula wszystkich młodych adeptów sztuki pisarskiej, by nie pisać dla samego pisanie.

Tekst inspirowany utworem W koronach wiecznych dębów black metalowego zespołu Temnozor. Zresztą, mój eksperyment nie tylko w kwestii tematyki, ale i formy - kolejne zwrotki umieszczone są między akapitami. A, tłumaczenie jest własne, więc rusofili i purystów językowych w kwestii liryki proszę o łagodne traktowanie :)

No i jeszcze jedna część eksperymentu, na którą chciałbym zwrócić uwagę: symbolika. Jest tego... dużo. W życiu bym nie pomyślał, że w tak krótkim tekście zmieszczę tyle symboli ;) Właściwie, nie pomyślałbym, że kiedykolwiek będę pisał w taki sposób. Ale... zobaczmy, czy coś z tego wyszło.

Proszę o komentarze, opinie i wrażenia, jakie towarzyszyły Wam podczas czytania. Miłego!

*W koronach wiecznych dębów
Wiatr cicho łka
Pośród groźnych obłoków
Ponure oblicze Peruna*

Kirył wyszedł ze Skadowska tuż przed świtem. Dzień zapowiadał się z tych dżdżystych – niebo już poprzedniego wieczora zasnuło się ciemnymi, gęstymi chmurami, z których nieustannie siąpił deszcz. Trawy kołysały się na wietrze, a krople wody z nieustającym szumem pokrywały każdy skrawek powierzchni. Czasem zza kłębów na nieboskłonie przesączał się słaby blask księżyca. Cel był jeden: Żelazny Las. Konkretnie: wartościowa rzecz, którą miał ze sobą pewien poległy tam stalker. Wartościowa dla Sowy, jednego z miejscowych handlarzy, rzecz jasna.

O Żelaznym Lesie krążyło wiele legend. Niektórzy mówili o tym, że w rzekomych podziemiach kompleksu mieszka sam diabeł. Inni opowiadali o hordach zombie żałośnie krążących wokół. Ktoś zawodził na temat lewitujących w powietrzu beczek i wszelkiego innego zgromadzonego śmiecia. Z daleka miejsce wydawało się jak

każde inne w Zonie. Ponury, opuszczony kompleks, stacja transformatorowa – prawdopodobnie stąd wzięła się nazwa. Skupione na niewielkiej przestrzeni metalowe, wysokie na trzydzieści metrów słupy wysokiego napięcia faktycznie wyglądały jak niewielki zagajnik. Przeciągnięte między nimi lub zerwane i zrzucone na ziemię linie przesyłowe kojarzyły się z żałosnymi gałęziami martwych drzew. Raczej mało kto miał odwagę, by się tam zapuszczać. O miejscu głośno zrobiło się dopiero, gdy między słupami zawisł jeden z wojskowych śmigłowców. Legendy o Żelaznym Lesie namnożyły się za sprawą ciekawskich stalkerów żądnych łupów ze zniszczonej maszyny. Wielu z nich zaginęło, próbując odkryć tajemnice katastrofy, tudzież samego miejsca.

*Gwiazdy padają z nieba
Miesiąc słabo łśni
Rusicze w pogardzie krzyża
Jest dla nich miejsce na świecie?*

Ale robota przecież sama się nie robi. Pieniądze nie spadną magicznie spośród chmur. Droga na miejsce, choć dosyć długa, oka-

zała się zadziwiająco lekka. Kirył wybrał porę, w której stalkerzy jeszcze śpią, a żerujące nocą mutanty wracają nasycone do kryjówek. Na miejscu był po niespełna godzinie.

Już z pewnej odległości dostrzegł padający na ściany budynków administracji blask bijący od kilku elektrycznych anomalii zgromadzonych pod urządzeniami przesyłowymi. Jasnoniebieska łuna napawała pewnego rodzaju strachem, ale w obecnej sytuacji była wręcz sojusznikiem – gdyby na terenie kompleksu czaiło się coś niedobrego, Kiryłowi pewnie udałooby się dostrzec rzucane przez zło cienie. Zatem nie przejął się nimi zanedto – wejść na plac stacji było kilka. Może anomalie sprawiłyby mały kłopot, gdyby trzeba było się nagle ewakuować, ale plan zakładał spokojne podejście, znalezienie towaru i powrót na Skadowsk. Stalkerzy mieli niepisaną umowę – każde nietypowe zjawisko miało być zgłaszane od razu, po powrocie do bazy. Kilku z nich było w okolicy Żelaznego Lasu poprzedniego dnia i niczego odbiegającego od normy nie zaobserwowali. Ot – opuszczone miejsce, jakich wiele w Zonie. Przygnębiające, ale nie zawierające w sobie wielkiego zagrożenia.

Pozornie.

*Przez ręce chciwego żyda
W Ruś plugastwo wniesione
Kłamliwą mową Chrysta
Umysły otumanione*

Na teren kompleksu dotarł nieco okrężną drogą – między lasem kryjącym tajemniczy Sosnodąb a starą stacją benzynową. Z jednej strony miał watahę psów, z drugiej niewielkie stadko mięsaków. Obie „bandy” na szczęście pogrążone były we śnie. Stalker zszedł z mokrego, spękanego asfaltu do niewielkiej dolinki porośniętej drzewami i obrzuconej – niby ogromny plac zabaw – wielkimi głazami, pamiętającymi pewnie ostatnie zlodowacenie. W półmroku omal nie stratował czyjejs mogiły. Dosłownie w ostatniej chwili ominął drewniany krzyż. Stary. Omszały i popękany. Pewnie jeszcze sprzed katastrofy. Na świeżych grobach zwykle wieszało się maski przeciwgazowe nieszczęśników i jakieś ich atrybuty. Tu ich brakowało. Zresztą, po dwa tysiące szóstym raczej nikt nie miał siły, czasu i materiałów, by zbijać solidny krucyfiks, najpewniej z

podkładów kolejowych. Posiadał nie tylko trzy belki poprzeczne mające – według prawosławnej tradycji – symbolizować kolejno filakterium zawierające królewski tytuł Chrystusa, belkę, do której przybito jego ręce i umieszczoną pod kątem podpórkę dla nóg, ale i zakończenia ramion ornamentami w kształcie liści koniczyny – ukazanie jedności Chrystusa i Trójcy Świętej. Zdecydowanie ten krzyż pochodził jeszcze sprzed Wielkiej Emisji. Kirył zatrzymał się przy nim, obejrzał dokładnie z każdej strony, pociągnął lasem, splunął pod symbol i obróciwszy się na pięcie skierował w kierunku Żelaznego Lasu. Po chwili znalazł się na wzniesieniu, na którym wiła się jedna z wielu dojazdówek, jakimi przeorany był cały Zaton.

Przeskakując nad kałużami wkroczył na niewielką zatoczkę – parking dla pracowników ośrodka. Między przeżartym przez rdzę zdewastowanym ziłem a prowizoryczną barierą z kawałka blachy opartej o drewniany stelaż dostrzegł niewielki krąg z kamieni. Pozostałości po ognisku. Na oko sądząc – co najmniej sprzed tygodnia. Możliwe, że było to dzieło najemników, którzy mieli nie-

opodał swoją placówkę.

*Oblicza bogów prawdziwych
W rzekach utopili
Dumnych czarowników i magów
Zdrajcy zniszczyli*

Doskoczył bezszelestnie do betonowego muru okalającego teren stacji. W tym miejscu brakowało jednego segmentu, więc mógł bez przeszkód wejść na plac ze słupami. Wyjrzał zza ogrodzenia i zlustrował okolicę. Poza deszczem padającym z szumem na konstrukcje otaczała go martwa cisza.

Wkroczył do Lasu. Stąpał ostrożnie, przytłoczony gąszczem metalowych konstrukcji. Po drugiej stronie placu, zawieszony na pociętych wspornikach jakieś siedem metrów nad ziemią, majaczył wojskowy Mi-24. Księżyc po raz kolejny wyłonił się zza chmur zalewając okolicę mdłym światłem. Pod maszyną Kirył dostrzegł rozrzucone bezładnie tłumoki. Najpewniej ciała nieszczęśliwych, którzy posadzili tam śmigłowiec. Jeśli od czegoś miał zacząć poszukiwania tego wartościowego przedmiotu, to tylko od resztek

pilotów. Ostrożnie zbliżył się do nich, omijając wszystkie wydające odgłosy śmieci. Na betonowej wylewce walało się mnóstwo skrzyń, puszek, kawałków mebli, metalowych tek i innych typowo przemysłowych odpadków. Czasem między nogami błyskały błękitne iskierki – na wilgotnej powierzchni elektry miały większy niż zazwyczaj zasięg, ale mimo wszystko w miejscu, w którym się znajdował raczej nie groziło mu porażenie prądem o natężeniu rzędu kilkuset tysięcy amperów.

Gdzież ołtarz Perunowy

By uczcić wiernych śmierć?

Rozkosz spijania krwi

W horominach zaśniezonych

Zbliżył się do leżących na betonie ciał. Dzieci Zony zdążyły się już nimi zająć – z kombinezonów zostały strzępy, a flaki trupów walały się wszędzie dookoła. Potwierdza się, że w przyrodzie nic nie ginie, a nawet jeśli zginie to po to, by ktoś inny mógł żyć. Zniesmaczony tym widokiem Kirył odszedł w kierunku płotu odgradzającego teren kompleksu. Wydawało mu się, jakby u wejścia

do budki – z której być może prowadzono jakieś eksperymenty – leżało kolejne ciało.

Przeszedł pod wiszącym śmigłowcem, który dokładnie w tej chwili zaskamlał cicho, poruszony zapewne jesiennym wiatrem. Kilkunastotonowa maszyna utrzymująca się zaledwie na cienkich śmigłach wirnika nie mogła wisieć stabilnie. Pewnie mocniejsza wichura i Mi-24 spadłby z hukiem na ziemię. Kilka chwil później Kirył wzdrygnął się, po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Poczł, jak pod grubymi rękawami kombinezonu tworzy się gęsia skórka. Sięgnął lewą ręką po latarkę zaczepioną przy pasie. Rozejrzał się, czy nadal jest na terenie kompleksu kompletnie sam. Pusto.

Im wilk i czarny kruk

Śpiewają kotysanki

Żałobne światło księżycy

Pieści blade twarze

Skierował urządzenie w kierunku budki. Czarne okna zionęły przeźrliwą pustką, tuż pod framugą, w której kiedyś zapewne były

drzwi spoczywało ciało. Już chciał puścić w tamto miejsce snop światła, choćby na chwilę. W momencie, kiedy jego kciuk spoczął na przełączniku, w oddali przeraźliwie zaskrzeczał kruk. Raz, a potem drugi. Kirył zerknął w górę, na jeden ze słupów wysokiego napięcia. Na tle jasnoszarych, mglistych chmur dostrzegł ciemny kształt ptaszyska, które wpatrywało się w niego mądrym, pełnym zrozumienia i żalu wzrokiem. Po chwili kontaktu wzrokowego zwierzę uniosło głowę i jeszcze raz kracząc, odleciało.

Przeczuwając zagrożenie Kirył machinalnie zaczepił latarkę o pas i pewniej chwycił – nomen omen – postarmiejnego AKS-74U. Kierując lufę w kierunku jam po oknach zrobił krok w przód. Tuż za jego plecami coś zahuczało straszliwie. Wyrobiony instynkt podpowiedział ucieczkę. Ruszył pędem w kierunku zionącej pustką framugi i po kilku susach wpadł do pomieszczenia. Chwilę potem o zewnętrzną ścianę trzasnął wielki arkusz grubej blachy. ku*wa – powiedział sam do siebie. Teraz i tak wszyscy w promieniu kilkuset metrów wiedzieli, że w Żelaznym Lesie coś się dzieje.

*W powietrzu czuć smutku gorycz
Unoszą się nad polem bitwy
Na skrzydłach czarnej rozpacz
Siostry Żela i Karna*

W przypiływie złości wyszarpał latarkę. Zaczep ułamał się i spadł z cichym łoskotem na podłogę. Dłoń zapiekła – rozciął skórę o złamany plastik. Z wściekłością pchnął przełącznik, a z końca urządzenia wystrzelił ostry snop. Budynek sprawiał upiorne, klaustrofobiczne wrażenie. Z małego przedsionka prowadziły dwie odnogi – jedna do pomieszczenia, w którym stało biurko i regał na dokumenty, druga do schodów prowadzących w dół. Wszedł do pierwszego. Omiótł je światłem latarki, ale jedyne co tam znalazł, to kilka pustych puszek po konserwach. Skierował się do klatki schodowej.

Stary, pofałdowany parkiet zaskrzypiał z boleścią. Zaraz potem z podziemi coś zawył. Czyżby legendy o diable czającym się pod kompleksem nie były tylko wyssaną z palca gadaniną? Zawrócił. Cokolwiek czaiło się na dole, raczej nie było nastawione

na towarzyskie spotkanie. Kirył chciał wyrzeć przez pustą framugę okna, ale gdy tylko do niego podszedł, poczuł na plecach ostre mrowienie. Sekundę potem do pomieszczenia wleciało kilka drewnianych ochłapów.

*Słychać płacz Diabli-Łabędzi
Nad całą Rosyjską Ziemią
Rwą się kartki psalterzy
Flety z żalością brzmia*

Kirył zawrócił do przedsionka. Wielka, metalowa płyta skutecznie zablokowała wyjście. Na szczęście uderzenie wepchnęło trupa spoczywającego pod framugą do pomieszczenia. Skierował na niego światło latarki. Ciało wyglądało na świeże. Kirył odstawił karabin i przykucnął. Zaczął szperać po kieszeniach, próbował wymacać cokolwiek ukrytego, co nieszczęśnik mógł mieć przy sobie.

W końcu wyczuł niewielkie pudełko, w wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki. Szarpnął za materiał i dosięgnął palcami zimny, metalowy przedmiot. Wyciągnął go. Był to niewielki pojemnik, zamykany małym kluczykiem. Kirył zaczął szperać po wszyst-

kich kieszeniach, niestety nie znalazł niczego, czym mógłby odblokować zamek. Mimo to zabrał znalezisko ze sobą. Umieścił je w zamykanej na suwak kieszeni na udzie.

*Ale przyjdzie w końcu ten czas
Gdy krzyże zgoreją
Gdy w cerkwiach swoim kapłanom
Nikt miłosierdzia nie da*

Teraz pozostało już tylko wyrwanie się z tej nory, powrót na Skadowsk i rozliczenie się z Sową. Wstał i obejrzał dokładnie arkusz blachy. Ważył na oko z sześćdziesiąt kilogramów, do ściany przylegał prawie równolegle. Wystarczyło trochę siły i na pewno przeszkodę dałoby się usunąć z drogi. Wyjście z budynku było z innej strony, niż okna. Tamtędy wołał się nie wydostawać – przed oczami znów mignęły mu drewniane szczapy. Zamknął je na moment i potrząsnął głową.

Wyłączył latarkę i schował ją do głębokiej kieszeni z lewej strony kombinezonu. Stał przy zaporze i zaparł się barkiem. Przyłożył do zimnej powierzchni dłonie i pchnął całym ciałem,

ze wszystkich sił. Arkusz zajęczał i delikatnie drgnął, a ze ściany posypało się trochę tynku. Po kilku chwilach przepychanki w końcu ustąpił i z przeraźliwym łoskotem runął na ziemię. Kirył odetchnął głęboko, złapał karabin i wyszedł na zewnątrz. Już świtało. Zerknął w górę – niebo jaśniało i przechodziło z ciemnogrzanego w szarość. Dostrzegł, że budynek jest otoczony betonowym murem i tylko w jednym miejscu można z niego wyjść na główny plac kompleksu. Działy się tu zdecydowanie dziwne rzeczy. Chciał już wrócić na Skadowsk, do ciepła, gwaru i spokoju. Z podziemi znowu dało się słyszeć przeraźliwe wycie. I znów przed oczami pojawiły się latające resztki desek.

*A wówczas zapieją jeszcze raz
Pochwałę bogom Rusi
Opluję tym żywe ślepia
Rozpiętego na drzewie żyda*

Zdecydowanym krokiem ruszył do wyjścia. Wtulił się w krawędź ogrodzenia i wyjrzał ostrożnie na plac. Teraz Żelazny Las wyglądał jeszcze bardziej upiornie, ale w tej upiorności był jakiś tajem-

niczy majestat. Wiszący Mi-24 kołysał się z pojękiwaniem, pod nim spoczywały resztki pilotów, wszędzie wokół mnóstwo śmieci. Gdzieś w oddali pobrzękiwały elektry, jakby czerpały z czegoś energii. Tylko z czego?

Rozejrzał się jeszcze raz i opracował drogę ucieczki. Wycie z podziemi zdawało się narastać i przemawiać w jakimś nieznanym, bełkotliwym języku. Kirył odetchnął głęboko, chwycił pewnie karabin, przymknął oczy, wypuścił całe powietrze i puścił się pędem pomiędzy żelaznymi słupami energetycznymi.

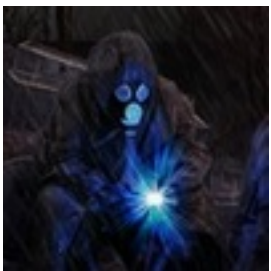
Zza jednego z wielkich transformatorów wysunęła się błękitna kula przypominająca piorun kulisty. Przyspieszył. Do zewnętrz- nego ogrodzenia, zatoczki i bezpiecznej dolinki dzieliło go raptem czterdzieści, może pięćdziesiąt metrów. Martwa cisza zmieniła się w przeraźliwe buczenie, odgłosy z głębi budynku zwielokrotniły się i nawarstwiły. Śmieci rozrzucone na placu zadrżały i powoli uniosły się ku niebu. Zaczął strzelać na oślep do zbliżającego się pioruna. Potknął się o skrzynię i omal nie upadł. Zwolnił na chwilę, ale za to złapał równowagę. Był już tuż-tuż wyłomu w

murze.

Dostrzegł zbliżający się przedmiot. Nie zdążył go uniknąć. Ogromny, stary, drewniany krzyż spadł na niego jak grom i przygwoździł do ziemi. Wielki, wystający z drewna gwóźdź wbił się prosto w środek czoła, zagłębiając się głęboko w czaszce. Stalker upadł i bezwładnie sunął po betonie jeszcze dobry metr. Karabin z łoskotem spadł trochę dalej.

Wycie z podziemi ucichło. Brzęczenie ucichło. Uniesione w górę przedmioty z hukiem opadły na wilgotny beton. Gdy wszystko ucichło, dało się słyszeć kruką, skrzeczącego gdzieś cicho i żałośnie.

Ponure oblicze Peruna znów skryło się pośród żelaznych drzew.



KOSHI

Frakcja: Bandyci

Ulubiona broń: Sniper

Rifle SVDm2

Kodeks Hammurabiego

CZEŚĆ I

Krople deszczu bębniły miarowo po pokrytym blachą dachu tworząc monotonną melodię, która w duecie ze skrzypiącą, stalową, konstrukcją budynku tworzyła upiorną pieśń podsycaną raz po raz skowytami wiatru buszującego w wybitych oknach. Diabelska piosenka, która nieodmiennie towarzyszyła nadciągającej emisji, nie była w stanie zagłuszyć piękna utworu sączącego się z jednego z pomieszczeń na piętrze. Melodia spływała po schodach w dół rozplywając się pomiędzy siedzącymi przy ogniskach ludźmi.

Bandycka brać, mordercy, złodzieje i kryminaliści, którzy uciekli do Zony przed prawem, by szukać lepszego jutra. Nikt z siedzących w starej, opuszczonej hali, nie przejmował się nadchodzącym dniem. Ważne było tu i teraz.

Był jednak człowiek, który czuwał nad wszystkim, a każdy nadciągający dzień spędzał mu sen z oczu. Stanowił serce i mózg organizacji skupiającej zebranych tu ludzi, planował akcję, rządził, dzielił łupy i rozdawał karty.

Człowiek ten siedział w jednym z pomieszczeń na piętrze. W dyskretnym mroku, przecinanym tylko migoczącą na stole świecą, delektował się grą na fortepianie popijając przemyczonego do Strefy Cristobala. Ubrany w czarny, skórzany płaszcz z wyhaftowanym na plecach chińskim, czerwonym, smokiem słuchał dźwięków sączących się z ocalałego Bechsteina, którego parę lat temu przywieziono z jednego z domów w Prypeci.

Wystrój pomieszczenia stanowiła dodatkowo brązowa, skórzana sofa, należąca kiedyś do jakiegoś prominenta lub dyrektora, tego samego, z którego domu Bandyci wywieźli fortepian kilkadziesiąt dni po ewakuacji Prypeci. Dziś sofa lata świetności miała już za sobą. Stała pod ścianą na betonowych pustakach zastępujących coś, co kiedyś było misternie rzeźbionymi, drewnianymi nogami. W pokoju stały też dwa krzesła, metalowa szafa na akta, leżący w kącie materac oraz ogromny, stalowy sejf, który górował swym cielskiem nad resztą mebli. Na jednej ze ścian wisiał na kołku Vintorez, na drugiej, naprzeciwko broni, ogromna mapa okolic Czarnobyli, w którą powbijano dziesiątki kolorowych pinezek i szpilek

z chorągiewkami.

Wiek fortepianu opadło wprawione w ruch delikatną kobiecą dłonią. Galina skończyła grać i obróciła się w stronę siedzącego na sofie mężczyzny. Dima był jej mentorem, przyjacielem, kochankiem oraz jedną z najpotężniejszych osób w Zonie – szefem Bandytów. Zaopiekował się nią, kiedy uciekła z domu przed ojcem pijakiem i trafiła do Zony z oddalonej o setki kilometrów Moskwy. Uratował jej też życie, kiedy w Kordonie trzech Stalkerów próbowało ją zgwałcić. Dwóch, Dima zatłukł na miejscu w ataku furii. Nie zdążyli nawet wyciągnąć broni. Trzeciego, z przestrzelonymi kolanami i dziurą w brzuchu, zostawił, aby mógł się wykrwawić. To, co się tam wydarzyło, Galina pamięta do dziś. Wydarzenia tamtego dnia znów wróciły pobudzone melancholijną muzyką.

- Wracaj skąd przybyłaś – powiedział Dima podając jej plecak, kiedy było już po wszystkim. – To nie miejsce dla ciebie. Nie mam pojęcia co tu robisz, ale nie wróżę ci tutaj świetlanej przyszłości.
- Nie mogę... – odpowiedziała dziewczyna łkając. – Nie do tej

świni! Znów się będzie do mnie dobierać... A jeśli nawet się zdecyduję wrócić... to co będę robić? Żebrać nie zamierzam, a dawać dupy na ulicę nie pójdę. Mam swoją godność! Zostaję tutaj i szlus!

To, co usłyszał, zszokowało go. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Zresztą nie liczy na żadną odpowiedź. No może tylko na coś w stylu: „Dziękuję za uratowanie mi życia” lub coś podobnego. Myślał, że wyjdzie od tak z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku, a dziewczyna weźmie plecak i wróci do domu czy tam gdziekolwiek, skąd przybyła. Obojętnie gdzie, byle zniknęła i przestała być problemem. Mylił się. Skonsternowany zatrzymał się w drzwiach.

- A co tu niby masz zamiar robić!? Umiesz strzelać? Zabiłaś kogoś, ukradłaś coś? Nie masz pojęcia czym jest Zona i jakie zasady w niej panują. Zginiesz prędzej czy później, jest to jasne jak słońce. A skoro jest to jasne to nie wiem po co marnuję swój czas tłumacząc ci to. Weź swoje łachy i idź stąd. Tak będzie dla ciebie najlepiej!

- Poczekaj! – rzuciła do odwracającego się mężczyzny Galina. – Nauczysz mnie strzelać i tych wszystkich rzeczy, no wiesz... co są potrzebne, żeby przetrwać tutaj... mam trzy tysiące rubli – powiedziała wyjmując z plecaka garść pomiętych banknotów. Może to starczy na początek?
- Chyba cię pogięło! – odpowiedział Dima. – Nie będę cię niczego uczył. A te trzy kafe, które trzymasz w ręku, już wykorzystałaś. Jakbyś zapomniała, właśnie uratowałem twój tyłek.
- Masz! – rzuciła w jego stronę pieniądze zdenerwowana Galina. Weź je sobie! Zarobiłeś, są twoje! Nie chcesz mnie uczyć to nie. Wracam do tej bazy, co byłam tam wcześniej. Może tam mi pomogą...
- Taaa, pewnie. Tak się akurat składa, że Strefa pełna jest różnej maści szumowin i kryminalistów. Przyciąga ich jak magnes. Ci też są nie lepsi. Wskazał na martwych mężczyzn.
- Stalkerzy, *job twoju mać*. – Splunął w kierunku dwóch ciał leżących na środku budynku. – Niektórzy z nich nie są gorsi od naszych – dodał po chwili.
- Nie trafiłaś zbyt dobrze dziecinko, to nie miejsce dla dam. – Zaśmiał się Dima. – Taki cukiereczek w Zonie jak ty, to jak gwiazdka z nieba dla żyjących tu skurwysynów. – Nie ci, to inni spróbują się do ciebie dobrać. Myślisz, że Stalkerzy są tacy prawi? Właśnie miałaś przykład, jacy są szlachetni. No już, bierz plecak i wypierdalaj stąd! – warknął Dima do zdumionej dziewczyny. – Nie będę cię niańczył. Nie mam czasu!
- Nigdzie nie pójde! – rzuciła hardo dziewczyna. – Nie skończę jak szmata i nie pozwolę, żeby jego łapska znów mnie obmacywały! Idę z tobą.
- Taka jesteś cwana! – powiedział zdenerwowany Dima. – To go zastrzel! – Wskazał jęczącego w kącie budynku mężczyznę. – Przecież to dla ciebie przyszcz! To będzie twój pierwszy test – dodał po chwili podając jej starego Makarowa należącego do jednego z zabitych.
- Zdasz, idziesz ze mną. Nie zdasz, zabierasz się stąd i więcej cię

na oczy nie widzę. Idę na szluga, masz pięć minut – rzucił bandyta i wyszedł z budynku.

Minęło pięć minut odkąd Dima skończył rozmawiać z nieznajomą. Bandyta dopalił Marlboro po czym rzucił go w krzaki i już miał ruszać w kierunku wysypiska, kiedy z budynku wyszła Galina. Roztrzęsioną ręką podała mu pistolet, lecz nic nie powiedziała. Nie słyszał wystrzału, ilości naboju w komorze się zgadzała, więc nie było mowy o pomyłce. Nie zabiła go. Dokładnie tak, jak myślał. Była za miękka, by odebrać komuś życie.

- Oblaś. – powiedział, kiedy odbierał z jej rąk broń. – Mówiłem ci, to nie jest miejsce dla ciebie. Rozstajemy się zgodnie z umową. Żegnaj.
- On... on nie żyje... – wymamrotała coś dziewczyna łapiąc go za ramię, kiedy odchodził.
- O co ci chodzi do cholery? – spytał zdenerwowany Dima odwracając się. – Mów o co biega, bo nie mam czasu!
- Nie żyje... – wymamrotała dziewczyna. – Zabiłam go.
- A niby kurwa jak? – spytał zdziwiony mężczyzna. – Nie

słyszałem ani jednego wystrzału.

Nie usłyszał odpowiedzi. Kobieta stała przed budynkiem trzęsąc się w szoku. Spytał ją jeszcze o coś, ale już nic nie odpowiedziała. Wszedł więc do budynku, by sprawdzić, co się stało z rannym mężczyzną. Leżał na wznak na stercie drewna z podciętym gardłem. Charczał jeszcze coś w agonii, próbując coś powiedzieć, ale krew zalała mu już widocznie struny głosowe przez co gulgał jak indor, niż mówił. Dima kompletnie go zignorował, nie wart był nawet, by patrzeć jak umiera. Mężczyzna omiótł pomieszczenie wzrokiem natrafiając na leżący w kącie zakrwawiony nóż. Było to narzędzie, którym dziewczyna skróciła nędzne życie leżącego obok nikczemnika.

- Miała pistolet, a poderżnęła mu gardło nożem... Po co? – zapytał sam siebie zdumiony bandyta po czym opuścił pomieszczenie.

Wychodząc z budynku dostrzegł śmierć lubieżnie obejmującą konającego, która przytuliła się do niego głaszcząc go czule kościstą ręką po włosach.

- Zgadza się, nie żyje – powiedział do Galiny, która dalej stała przed budynkiem patrząc nieobecny wzrokiem w jakiś niewidoczny punkt na horyzoncie. Tylko zastanawia mnie, czemu nie strzeliłaś temu pacanowi w łeb, jak Bóg przykazał, tylko poderżnęłaś mu gardło?
 - Szkoda było amunicji na takiego śmiecia... – odpowiedziała beznamiętnie dziewczyna.
 - Ach tak... – skwitował Dima. – Jakaś ty rezolutna... Może coś jeszcze jednak z ciebie będzie. Dobra, dość gadania – dodał po chwili. – Bierz graty i spadamy stąd.
- Wracamy do obozu. Makarowa weź sobie, to i tak stary lump. Dziewczyna tylko skinęła głową na znak zgody, ale nic nie powiedziała. Wciąż była oszołomiona tym, co się przed chwilą stało. Kiedy Dima ruszył w stronę bazy, podniosła plecak i podążyła za nim niczym cień. Minęły dwie godziny, odkąd opuścili miejsce, gdzie się poznali. Dziewczyna wykonywała wszystkie polecenia bandyty, jakby była w transie, ale nic nie mówiła. Za odpowiedź służyło jej kiwnięcie głowy w pionie lub poziomie w zależności,

czy chodziło jej o TAK lub NIE. Dimie pasował taki układ. Zero zbędnych pytań, tłumaczenia. Sam nie wiedział, po co prowadził ją do obozu bandytów. Była tam narażona na zdecydowanie większe niebezpieczeństwo, niż w osadzie, gdzie zatrzymywali się nowo przybyli do Zony. Ale słowo się rzekło, test zdała. Poza tym zaimponowała mu. Co innego zabić w walce, a co innego zabić bezbronnego podcinając mu gardło.

– Ma dziewczyna jaja – pomyślał.

Pożyjemy, zobaczymy, co z tego wyniknie. Dywagacje mężczyzny przerwało pytanie.

– Striełok... Znasz go?

Dima obrócił się i spojrzał na dziewczynę. Ledwo stała na nogach trzymając w ręce plecak, którego spód nieomal przetaił się od ciągnięcia go po asfalcie i ziemi.

– Alleluja! – krzyknął Dima. – Ty mówisz... Super! Striełok...

Taaa, znałem go. Każdy w Zonie zna jego historię. I co z tego?

– Słyszałam, że tu gdzieś jest coś, co spełnia marzenia...

– Nieee, kurwa nie!!! Kolejna, która uwierzyła w te bzdury! Kto

ci naopowiadał takich bajek???

- W metrze był taki jeden... co mówił...
- Eeee... Daj spokój... – powiedział Dima i machnął zrezygnowany ręką. Powiem w skrócie, bo nie chcę mi się dużo gadać. Było tak:

Była awaria w elektrowni, i wszystkich ewakuowali, a tereny dookoła jej zostały skażone. Ale katastrofa i cała ta radiacja coś popieprzyły i zaczęły się tutaj dziać dziwne rzeczy. Ja tu przybyłem gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych, jak promieniowanie zmalało na tyle, że można było zwiedzać okolicę Czarnobyla. To były czasy, kiedy nie było podziału na Bandytów i Stalkerów. W Zonie wylądowali ci, którzy chcieli poszukać swojego szczęścia, uciec przed kimś, czymś, rozpocząć nowe życie, zniknąć. Było nas niewielu, ale dość szybko odkryliśmy, że to, co sprawiło, że miejsce to stało się takie porąbane, spowodowało, że można było nieźle zarobić. Artefakty i ich szukanie w anomaliach to była żyła złota. Niektórzy się naprawdę nieźle obłowili i wyjechali stąd bogaci, inni zostali, a jeszcze inni... no cóż... zginęli szukając szczęścia.

Wieści o czarnobylskim Klondike szybko rozniosły się. Do Zony zaczęli zjeżdżać różni ludzie skuszeni wizją szybkich pieniędzy. Większość z nich to byli kryminaliści, bandyci, mordercy i inne szumowiny, którym nie chciało się robić, a chcieli się wzbogacić kosztem innych. Mordowali, grabili, kradli artefakty. W skutek tego powstały dwa obozy, które zaczęły ze sobą walczyć o wpływy, tereny i kontrolę nad tym zapomnianym przez Boga miejscem. Wtedy Striełok zdecydował się pójść ze znajomymi w głąb Zony, tam, gdzie nikt nie odważył się wcześniej wybrać w samą paszczę diabła, do elektrowni... Po wizycie twierdził, że znalazł tam maszynę, która spełnia życzenia, ale sądząc po stanie w jakim wrócił, myślę, że radiacja i promieniowanie psioniczne zdewastowało mu tak mózg i cały organizm, że dostał urojeń i omamów. Spełniacz życzeń to była jego obsesja. Ciągłe o nim gadał, kombinował jak tam wrócić, aż wreszcie poszedł. Sam... I przepadł jak kamień w wodę. Słuch po nim zaginął. Wniosek jest prosty – nie ma tam żadnej maszyny spełniającej życzenia, tylko ogromna radiacja i jakieś inna siła zwana psioniką, o której praktycznie nic

nie wiemy. Nikt się w okolicy elektrowni nie zapuszcza, bo kończy momentalnie jak warzywo, czyli żywy trup. I Striełok pewnie też tak skończył, albo zabiło go promieniowanie. Oto cała historia. Historia faceta, któremu po prostu usmażyło mózg i sfiksował. Chcesz coś jeszcze wiedzieć kochana?

- Czyli nie ma żadnej maszyny, co spełnia życzenia??? – spytała zdumiona Galina
- Nie. Nie ma, nie było i nie będzie. Marzenia może sobie spełnić, jak znajdziesz trochę artefaktów i je sprzedasz z zyskiem, albo popracujesz dla którejś z frakcji, ale raczej wątpię, czy odłożysz na tyle, żeby ustawić się do końca życia. Tylko nielicznym się udaje. Teraz nie tak łatwo się wzbogacić co kiedyś... Do tego to pieprzone wojsko, które wszystko chce kontrolować...
- To po co ja tu przyjechałam? Nie będę szukać jakiś arte – czegoś tam... i nie będę dla nikogo pracować, bo co niby miałabym robić? Dziwką nie zostanę!
- Nie taki rodzaj pracy miałem na myśli – zaśmiał się

Dima. – Co nie znaczy, że nie zrobiłabyś na tym kariery. Ile ty w ogóle masz lat dziewczyno?

- Siedemnaście. – odpowiedziała Galina.
- No tak... To nie dziwię się, że łyknęłaś taki bałach. Do rodzinki pewnie nie wrócisz, spełniacza nie ma... to co ty chcesz tu robić? Pomijam, że dwie godziny temu poderżnęłaś kolesiowi gardło i byłaś świadkiem dwóch morderstw. Normalka. Dzień jak co dzień.
- No właśnie nie mam pojęcia. Do Moskwy nie pojadę. Mam co prawda ciotkę mieszkającą niedaleko stolicy, mogłabym u niej zamieszkać, ale prędeż, czy później mój ojczulek zbok – milicjant mnie wytropi i raczej będę go musiała zabić, niż wrócę do domu. Na ulicę nie pójdę, a w sumie to nic też konkretnego nie umiem. Co tu robić???
- No to masz przechlapane. A gotować chociaż umiesz?
- Tak, całkiem nieźle. – Uśmiechnęła się dziewczyna.
- Dobra, powiem chłopakom, że znalazłem nowego kucharza. Ostatniego zeżarła chimera, a Baleron tak marnie gotuje, że

ostatnio pół załogi dostało sraki po jego genialnym obiedzie. Jak się sprawdzisz, to zostaniesz, a jak nie to trzeba będzie wysłać kogoś do Moskwy, żeby zlikwidował tą świnię twojego tatuśka, a ty wrócisz później do matki jako skruszona córka i wszyscy będą szczęśliwi. Amen! podsumował Dima. – Dobra idziemy do obozu, to już niedaleko.

CZĘŚĆ II

Chmury dryfowały po niebie przypominając strzępy jakiejś gigantycznej waty cukrowej, którą ktoś porozrywał i niedbale rozrzucił po firmamencie. Leniwie sunęły po nieboskłonie niczym parowóz, który próbuje pokonać ostatnie wzniesienie resztką sił. Wiatr nieśmiało szumiał pośród konarów nagich drzew przewalając po ziemi stosy mieniących się jesienią liści. Kiedyś stanowiące okrycie rozłożystych dębów, rozcapierzonych grabów, czy smukłych topól, dziś tańczyły razem w powietrzu niewidzialny taniec, aby osiąść wreszcie na zachlapanych błotem drogach, porzuconych, rdzewie-

jących samochodach czy brudnych reliktach komuny, jakimi były różnego rodzaju żelbetowe prefabrykaty, które nigdzie nie miał już być wbudowane. Jedną z takich dróg maszerowało dwoje ludzi. Kobieta i mężczyzna. Zmierzali w stronę obozu Bandytów, co nie umknęło też uwadze wartowników pilnujących obozu. Szybko rozpoznano, że jedną z osób jest bandyta – Dima Tatarenko. Drugiej osoby nie zidentyfikowano. Stwierdzono tylko, iż jest to kobieta i to w dodatku dość młoda. Wieść o tym rozprzestrzeniła się po obozie niczym błyskawica. Kiedy Dima wraz z towarzyszką dochodzili do obozu, huczało tam już jak w ulu. Otwarto bramę, za którą ustawił się komitet powitalny złożony z kilkudziesięciu Bandytów. Dima, widząc jak huczne przyjęcie chcą mu zgotować koledzy, odwrócił się do Galiny i rzekł:

- Nie odpowiadasz na żadne pytania i zaczepki, nie zatrzymujesz się i nie gapisz się na nikogo! Podążasz za mną krok w krok i nie oddalasz się dalej, niż na pięć metrów. Czy to jasne? – spytał retorycznie.
- Tak. – odpowiedziała cicho dziewczyna.

– To dobrze. Zaoszczędzi to nam kłopotów. Idziemy.

Wraz z malejący dystansem, który dzielił ich od obozu, hałas dochodzący z bazy wzmagał się. Mijali właśnie miejsce zwane Golgotą, kiedy z jednego z wbitych w ziemię drewnianych krzyży doleciał ich cichy szept:

– Dimaaa, pomóż, błagam cię...

Tatarenko przystanął i spojrzał w kierunku, z którego doleciał głos. Na jednym z krzyży wisiał jeden z Bandytów zwany przez kolegów Kłamcą. Pozostałe dwa krzyże, które stały obok, były puste. Kłamca jeszcze raz się wysilił i zachrypiał:

– Pomóżzz... Zastrzel mnie...

– Doigrałeś się Iwan, doigrałeś. – skwitował Dima ignorując jego rżenie.

– Wiedziałem, że prędzej czy później cię złapią. Może i bym ci pomógł, ale powiedz przyjacielu, gdzie jest mój pistolet, który zginał mi dwa tygodnie temu? Nie widziałeś go czasem?

– Dima, to nie byłem ja. Przysięgam... Nie miałem z tym nic...

Zrezygnowany Dima machnął ręką, po czym powiedział:

– Wiesz, jest takie stwierdzenie, które idealnie pasuje do twojej osoby. Brzmi tak: Kłamca zawsze będzie kłamcą. Nawet, jakby cię żywcem obdzierali ze skóry, nie przyznałbyś się...

– Ja naprawdę go nie ukradłem... – tłumaczył się mężczyzna.

– Ehhh... Chodź Galina, idziemy. Szkoda marnować czas na rozmowę z nim. Choćby miał umierać jeszcze trzy dni to i tak nie powie, co się stało z moim gnatem. Zajebał go jak nic. Dlatego dostał ksywę Kłamca. Bo wiecznie kłamał, kłamie i kłamać będzie dopóki nie umrze. Módl się, może szybko przyjdzie Emisja i skróci twój nędzny los. – powiedział Bandyta w stronę konającego, po czym ruszył wraz z dziewczyną w stronę obozu.

Kłamca jęczał coś jeszcze, gdy oddalali się, ale Dima nie słuchał, co mężczyzna miał do powiedzenia. Był to stek wyzwisk, błagań i grózb, które nie robiły na Bandycie żadnego wrażenia. Werdykt Piłata był niepodważalny. Kłamca został skazany na śmierć, bo okradał swych towarzyszy i nic nie mogło tego zmienić.

– Niech się cieszy, że szef nie kazał go nabić na pal – pomyślał

Dima wkraczając do obozu. Obóz przywitał ich szarością. Metalowe konstrukcje chłostane wiatrem i kwaśnymi deszczami rdzewiały czekając z utęsknieniem na konserwację, która nigdy nie miała nastąpić. Żelbetowe konstrukcje obnażały swoje stalowe żyły i arterie w wymuszonym przez mróz ekshibicjonizmie. Każdej zimy proces zamrażania i rozmrażania coraz bardziej dewastował betonowe molochy powodując odpadanie z nich kolejnych fragmentów betonu. Pokryte mchem, który rozprzestrzeniał się po nich niczym liszaj, umierały powoli niszczone siłami natury. Dima wraz z dziewczyną minęli właśnie dawny budynek portierni, którego ściany pokrywały niegdyś piękne płytki elewacyjne – jedne z najlepszych, jakie swojego czasu można było dostać na Ukrainie. Dziś płytki leżały potłuczone wokół budynku porozrzucane niczym liście opadające z drzew jesienną porą. Przez puste otwory w budynku przewalał się wiatr. Bandyta, i uczepiona rękaw jego płaszcza dziewczyna, minęli na wpół zdewastowany budynek i skierowali swoje kroki w stronę dwóch budowli połączonych ze sobą wiatą. Tłum podążył za nimi

drąc się i wyjąc. Raz po raz z stłoczonej za nimi ciżby dolatywało:

- Dima, ale żeś se towar znalazł!!! Daj wypróbować! – darł się jeden z Bandytów.
- Maleńka, przyjdź do mnie wieczorem! Pokażę ci mojego rumaka! – krzyczał inny.
- Idioci – pomyślał Tatarenko wchodząc pod wiatę. Spojrzał na Galinę. Dziewczyna była blada, a w jej oczach czaił się strach.
- Mam trochę fantów po tych zabitych Stalkerach. – powiedział Dima, aby rozładować napięcie i odwrócić uwagę dziewczyny od wrzeszczącej hołoty. – Trzeba by to opchnąć, bo raczej mi się to nie przyda. Są tu dwa bary, w których można sprzedać taki szmelc. – Wskazał ręką w kierunku drzwi do budynków, które stały naprzeciwko siebie po obu stronach wiaty. Knapa na lewo zwie się "Pod zamulonym sterem". Ogólnie mówiąc jest to mordownia, gdzie serwuje się podły alkohol. Łądują tam zazwyczaj ci, którzy nie mają kasy, albo których wyrzucono z drugiego baru. Prowadzi ją gostek zwany Kapitanem. Taki tam złodziejasek i oszust, służył kiedyś

w marynarce, ale go wywalili dyscyplinarnie za kradzieże.

Drugi bar jest nieco bardziej ekskluzywny. Zwie się "Pod wulgarną małpą" i prowadzi go facio zwany Małpą. Małpa nie sprzedaje trefnego alkoholu, ma normalną klientelę, można też u niego coś zjeść. Jest tam taki mały grill. No i podest.

Czasami ktoś tam występuje nawet na nim. Ma natomiast ceny dwa razy wyższe... no i robi się agresywny, jak stwierdzi, że ktoś jest już za bardzo pijany. Najpierw prosi o kulturalnie wyjście. Jeśli klient nie posłucha rady staje się mniej miły.

Otwiera jego głowę drzwi, czasem zdarzy się, że i okno, jeśli do wyjścia ma za daleko...

- Kapitan to rozumiem, to jakiś stopień wojskowy. Pewnie był kapitanem... – przerwała mu Galina. – Ale czemu ten drugi nazywa się Małpa?
- Małpa jest obrośnięty na całym ciele. Ma włosy dosłownie wszędzie. Na plecach, na kłacie, na rękach. Kłęby włosów. Wygląda jak jakiś zwierz. Mieszkańców poznasz później. – Uciał dyskusję Dima. – Teraz trzeba opchnąć graty,

a potem idziemy do Piłata omówić twoją sprawę.

– W porządku. Ty tu rządzisz. – odparła dziewczyna.

– Nie inaczej. – skwitował Bandyta. – Idziemy do Małpy.

Musisz coś zjeść, marnie wyglądasz.

Knaipa była pusta. Jedynie za kontuarem na końcu sali siedział właściciel wsparty na łokciu o blat lady. Z obojętną miną przyglądał się, jak Dima lawirował pomiędzy poprzewracanymi krzesłami, oponami i wielkimi bębnami po kablach telefonicznych, które zastępowały stoliki. Za Dimą podążała dziewczyna. Małpa zlustrował dziewczynę. Długie, blond włosy, twarz anioła, usta koloru jarzębiny. Pod obcisłą bluzką kryło się coś, co mogło śmiało konkurować z najwyższymi szczytami w Himalajach. Kiedy dziewczyna wyszła z za jednego z bębnów odsłaniając swe długie, zgrabne, nogi chronione jedynie krótką spódniczką, Małpa aż jęknął z wrażenia.

- No Dima... Słyszałem, że sprowadziłeś dziewczynę do obozu, ale nie podejrzewałem, że jest tak olśniewająco piękna... Skąd ją wytrzasnąłeś???

- To długa historia. Nie mam czasu ci wszystkiego tłumaczyć. Muszę zaraz pogadać z Piłatem. Mam tu też parę rzeczy, których chciał bym się pozbyć. Rzucisz okiem?
- Naprawdę nic mi nie powiesz na jej temat?
- Nie. Potem ci wszystko wyjaśnię. Teraz nie mam czasu. Zaraz się tu wszyscy zlecą.
- Daj, co tam masz. – powiedział zrezygnowany barman. Bandyta wyłożył na stół rzeczy zabitych w Kordonie mężczyźn. Były wśród nich dwa dozymetry, kompas, wielofunkcyjny scyzoryk, pistolet Fort-12 oraz kilkanaście sztuk naboju kalibru 9 mm. Małpa obejrzał fanty i pokręcił głową.
- Kurwa, ale szajs... Nie było nic lepszego? To wygląda jakbyś ograbił jakiś frajerów. Sam złom...
- Istotnie tak było. Jakby to było coś wartościowszego to wiesz, że udałbym się z tym do Miazgi. On dobrze płaci za wartościowe rzeczy.
- A co, ja nie płacę dobrze? – odezwał się obrażony Małpa.
- Tak. Dajesz naprawdę wysokie ceny. – zadrwił Dima

wskazując za plecami Małpy stoły pełne przeróżnych dupereli.

- Dam ci za to czterysta rubli. Pasuje?
- Może być. Ale dorzuć to tego jeszcze setkę wódki i szaszłyka. Mała jest chyba głodna.
- Setkę i szaszłyk... Niech pomyślę... Daj jeszcze jakiegoś fanta, żebym nie był stratny.
- Dobra. Masz książkę. – powiedział Dima wyciągając z kieszeni płaszcz niewielkie zawiniątko.
- A na chuj mi książka Dima? Widziałeś, żebym coś, kiedyś czytał?
- To jakiś pieprzony poradnik o przetrwaniu. Znalazłem go w plecaku jednego z tych idiotów. Myślę, że wart jest szaszłyka. Miałem poczytać, co za bzdury tam wypisują...
- W porządku. Daj to dziadostwo. Jesteśmy kwita. Może będzie na to kupiec.

Bandyta popchnął książkę po ladzie w stronę Małpy. Ten odwrócił się w stronę stojącego w kącie grilla, po czym podał Galinie dymiący kijek z nabitymi nań mięsami. Dziewczyna wzięła go

z rąk barmana, przystawiła do nosa i powąchała. Zapach okazał się jej nieznany.

- Co to za mięso?
- Dziczyzna. – odpowiedział barman lakonicznie.
- Dziwnie pachnie...
- Nie marudź, jedz. – odezwał się Dima, chociaż wiedział, że może jedną czwartą zawartości dania stanowił dzik. – Mam jeszcze z Małpą coś do obgadania, ale to już moje prywatne sprawy. Zajmij się mięsem i nie obracaj się. Cały obóz gapi się na twój hmmm... Kapujesz?
- Myślę, że tak. – stwierdziła dziewczyna. – Jeść i nie obracać się. Proste.
- Dokładnie. A teraz pozwól, że omówię pewne kwestie z barmanem. – powiedział Tatarenko i obrócił się w stronę Małpy.

Galina nie słyszała dalszej części rozmowy. Mężczyźni rozmawiali szeptem. Zajęła się jedzeniem skrupulatnie obgryzając mięso z patyka. Kiedy patyk był już prawie ogołocony ze swojej zawar-

tości, Dima kończył właśnie rozmowę z Małpą. Chwilę później Dima odezwał się, kiedy poustalał już wszystko z obrośniętym mężczyzną.

- Małpa dał mi klucze na zaplecze. Wymkniemy się tylnym wejściem. Chyba rozumiesz, że wyjście frontowymi drzwiami nie skończy się dobrze? Nie będę się bił o twoją cnotę z całym obozem...
- Ummm... – powiedziała dziewczyna połykając ostatni kęs szaszłyka.
- To posłuchaj uważnie, co robimy. Za parę sekund przejdę za ladę i ty zrobisz to samo. Tam, w głębi pomieszczenia, są drzwi. Pobiegniemy tam, a potem przez zaplecze wydostaniemy się na zewnątrz. A potem walimy prosto do Piłata. Wszystko jasne?
- Tak.
- W taki razie wiejemy! – krzyknął Dima omijając kontuar. Chwilę później Bandyta i dziewczyna byli już przy drzwiach prowadzących na zaplecze. Podniecony nagłą ucieczką tłum ruszył za

nimi próbując dostać się za bar. Tratując krzesła i stoliki natarli w stronę lady, za którą stał Małpa.

- Wypierdalać z mojego baru!!! – ryknął barman. – Nie będziecie mi tu demolować knajpy!
- No co ty Małpa... – krzyknął ktoś.
- My tylko chcieliśmy... – odezwał się ktoś inny.
- Chuj mnie obchodzi co chcieliście. – powiedział barman wyciągając spod stołu obrzyna. – To mój bar i obowiązują tu moje zasady. Jedna z nich mówi, że w barze ma być cicho i kulturalnie. A ja tu nie widzę kultury do kurwy nędzy tylko drącą ryja hołotę, która myśli w tym momencie fiutami, a nie głową! Coś się nie podoba??? – spytał barman zaczepnym głosem słysząc pomruki niezadowolenia z głębi sali.
- Dobra, dobra wychodzimy. – rzucił ktoś z tłumu.
- Spadajmy zanim Małpie znów odbije szajba. – zawtórował mu drugi.
- To jazda stąd! – ryknął na odchodne barman. – Przyjdźcie, jak już wam sperma przestanie bić do głowy. Wypad!

Tłum wycofał się na zewnątrz lokalu. Z wkurzonym Małpą nie było żartów. Potrafił być nieobliczalny, jeśli się zdenerwował. Po Dimie i Galinie nie pozostał ślad. Bandyci obeszlili budynek, w którym znajdował się bar, ale nie natknęli się na parę. Sprawcy zamieszania zniknęli.

CZEŚĆ III

Podczas, gdy Galina rozmyślała o swoim pierwszym dniu w Strefie, zza jednej z nóg Bechsteina wygramolił się niewielki pająk. Szybko ruszył poprzez bezkres popekanej, betonowej posadzki, w stronę dwóch wyrastających z podłoża gigantycznych filarów, które obrał za cel swojej podróży. Chwilę później wspiał się po jednym z słupów, którym okazała się jedna z nóg Dimy, i wylądował na jakimś miękkim, nieznanym liściu. Świetne miejsce pomyślał rozpoczynając tkąć sieć pomiędzy dwoma połami płaszcza. Pająk systematycznie i mozolnie konstruował przyszłą pułapkę niepomny istnienia Bandyty. Nic dziwnego, organizował pierwszą

w życiu zasadzkę w swym krótkim, zaledwie kilku minutowym, życiu. Kiedy dzieło było już praktycznie ukończone, na oparciu zniszczonej sofy ukazał się drugi, znacznie większy pająk. Przyglądał się chwile, jak jego młodszy kolega pracuje, po czym podszedł bliżej i powiedział.

– Daremna twoja praca przyjacielu.

Niezbyt szczęśliwe miejsce wybrałeś na zastawienie sieci...

– Dlaczego? – odparł zaskoczony tymi słowami budowniczy.

– Olbrzym zaraz się poruszy i porozrywa sieć. – oznajmił większy pająk.

– Olbrzym? A któż to taki???

– Ahhh... Widzę, że jesteś bardzo młody i nie poznałeś jeszcze ludzi. Kim są ludzie... Dobre pytanie. Długo by tłumaczyć...

Powiedzmy, że są to ogromne istoty, które uwielbiają na nas polować.

Tyle ci powinno wystarczyć na początek, reszty dowiesz się sam.

– Jak to polują???

Żywią się nami? – spytał zdumiony mały

pająk.

– Hahhha. – zaśmiał się drugi z pajaków. – Nic z tych rzeczy.

Wystarczy im, że walną nas gazetą lub strącą ze stołu

pstryknięciem palców. Nie stanowimy dla nich żadnego

zagrożenia i nie jesteśmy im do niczego potrzebni. Popatrz

w górę, a przekonasz się.

Mniejszy pająk spojrzał we wskazanym kierunku za radą kolegi.

Ujrzał oblicze jakiejś ogromnej istoty. Olbrzym spoczywał na sofie w bezruchu z na pół przymkniętymi powiekami.

– Chodź, pokażę ci, gdzie można rozstawić sieć. Znam dobre

miejsce całkiem niedaleko. – zaindagował większy

osobnik. – Można tam złapać niezłą muchę czy ćmę. Taką jak

ta. – Wskazał fruwającego dookoła świecy owada. Ćma igrała

z losem co rusz to podfruwając, to odlatując od wabiącego ją

źródła światła. Ciekawość wzięła jednak górę, ćma zbliżyła się

zbyt blisko ognia. Sekundę później skrzydła owada stały się

wspomnieniem. Owad runął w dół niczym Dedal lądując w

miniaturowym morzu, wypełniającym brzegi kieliszka,

z którego Bandyta sączył wino.

- Tak szkoda. – podsumował większy pajak. – Chodźmy nim olbrzym się zbudzi! ponaglał kolegę.

Mniejszy pajak posłuchał. Ruszył za swoim nauczycielem. Chwilę później Dima sięgnął po kieliszek. Nitki pajęczyny pękły niczym bańka mydlana. Po sieci nie pozostał ślad.

- Kurwa mać! – powiedział Bandyta wylewając reszkę Cristobala do stojącego pod stołem wiadra. – Pieprzone robactwo, wszędzie go pełno. Chyba musimy znowu pobielić ściany wapnem... Jak sądzisz? – zwrócił się Dima do siedzącej przy fortepianie Galiny.
- Mam nadzieję, że uda im się. – odpowiedziała wyrwana z zamyślenia kobieta.
- Komu? Malarzom? – spytał Dima zaskoczony odpowiedzią. – Co za problem pobiałkować ściany. Nawet największe cymbały spośród naszych nie są w stanie tego spierdolić.
- Ach... – westchnęła kobieta. – Zamyśliłam się. Muzyka

mistrza zawsze wprawia mnie w melancholijny nastrój.

Myślałam o pierwszy dniu w Zonie. O co pytałeś?

- Już o nic. Trzeba odświeżyć pokój, bo szwenda się tu masa robactwa. Wyłażą dosłownie z każdej dziury i szczeliny. Jeden taki chuj próbował nawet utkać pajęczynę pomiędzy połami mojego płaszcza, ale gdzieś się ulotnił. – Zaśmiał się Bandyta. Bardzo ładna melodia, tylko strasznie smutna. Wagner?
- Oj Dima. Słabą masz pamięć. Wagnera puszczałam ci przed szturmem na bazę Powinności. Z adaptera. Do dziś liżą rany po tym ataku. Świetnie go poprowadziłeś.
- Taaa, stare dzieje. – rzucił krótko Tatarenko. – Ale wracając do rozmowy, o kim wspominałaś wcześniej?
- Wysłaliśmy do Czarnego Bagna oddział badawczy. Pamiętasz?
- Jakoś słabo kojarzę. – stwierdził Dima. – Tyle się ostatnio działo, że gdzieś mi to umknęło z pamięci.
- Miał wrócić cztery dni temu. Nie martwiłabym się tak bardzo, gdyby to był dzień, dwa... Coś się musiało wydarzyć. Nikt do

tej pory nie wrócił...

- Jak dawno temu wyruszyli?
 - Jakies dwa tygodnie temu. Puściłam za nimi Ducha, żeby trzymał rękę na pulsie.
 - Są jakieś wieści od niego?
 - Kompletna cisza... Nie odezwał się. – powiedziała cicho Galina.
 - Trzeba tam kogoś wysłać. Za dużo zainwestowaliśmy w tą operację. Dwa kombinezony ochronne to kupa szmalu nie licząc broni i osprzętu. Jutro pošlemy tam tropicieli.
 - Dobrze. Zorganizuje wyprawę, a ty tymczasem odpręż się. Doleję ci wina. – powiedziała Galina rozlewając resztę zawartości butelki do dwóch stojących na stole kieliszków.
- Kobieta usiadła obok Dimy na miękkiej sofie i przytuliła się do Bandyty przykładając głowę do jego płaszcza. Płaszcz, który pachniał wonią śmierci, dymem papierosowym, taną wódką i prochem.
- Wróć. – Dima pogładził Galinę po włosach. – Musi się im

udać. Dostali najlepszy sprzęt.

- Tak sądzisz? – spytała dziewczyna obejmując Bandytę.
- Jestem tego pewien. – odparł Tatarenko. – Okolice Czarnego Bagna są prawie wymarłe. Wątpię, by kogoś tam spotkali. Mutanty też się tam nie kręcą. Zbyt łatwo wpadają w te cholerne doły pełne czarnej mazi i nie mogą potem z nich wyleźć. To je odstrasza. Nic, tylko szukać artefaktów i modlić się, byśmy znaleźli to, co szukamy. A jeśli już to znajdziemy, to opuścimy wreszcie to przekłete miejsce! – Oczy Dimy zaśniły w mroku niczym dwa diamenty.

Intymny nastrój panujący w pokoju zmąciło pukanie do drzwi. Chwilę później, za pozwoleniem Dimy, do pomieszczenia wszedł Bandyta zwany Bestią – jeden z członków straży przybocznej Tatarenki strzegący drzwi do jego prywatnej kwatery.

- Wróciła wyprawa z Czarnych Bagien. – rzucił lakonicznie.
- Jaki stan? – spytał Tatarenko.
- Przeżył tylko Sztylet. Reszta nie żyje, napadły na nich pijawki koło starego młyna w drodze powrotnej. Wykończyły

wszystkich. Kombinezony i broń też przepadły, bo Sztylet nie miał jak ich zabrać. Ledwo co uciekł. Kłapa na całego.

Dima zasepił się. Wyprawa poniosła klęskę. Stracił ludzi i sprzęt, co zwiastowało kłopoty. Wielu czekało, aby powinęła mu się noga i popełnił błąd. Zdenerwowany wstał z kanapy i ruszył do drzwi. Kieliszki z winem stały obok siebie nie tknięte. Aura romantyzmu zniknęła, zastąpiła je szara rzeczywistość. Bandyta wyszedł z pomieszczenia i szedł po popękanych schodach do hali fabrycznej. Na środku stał Sztylet. Wyglądał, jakby zaraz miał wyzionąć ducha. Jego wygląd utwierdził Dimę, że Bestia miał rację. Wszystko poszło nie tak, jak trzeba. Tatarenko podszedł bliżej. Tłum rozstał się wpuszczając go do środka okręgu, który utworzył się dookoła przbyłego bandyty.

- Melduj. – powiedział Bandyta do słaniającego się na nogach mężczyzny.
- Dotarliśmy do bagna bez problemów. W anomaliach nic nie znaleźliśmy, ale kombinezony sprawiły się bardzo dobrze. W końcu uznaliśmy, że pora wracać, bo nic nie znajdziemy. Nie

mieliśmy farta. – wysapał Sztylet. – Wszystko szło dobrze dopóki nie dotarliśmy do starego młyna...

- Słyszałem. Pijawki was zaatakowały. Podobno zabiły resztę... Ile ich było?
- Nie pamiętam, dwie, albo trzy. Wszystko się tak nagle potoczyło...
- I nie byliście się w stanie przed nimi obronić? Przecież było was tam dwunastu. Nie mów mi, że rozwały was jakieś durne dwie pijawy. Nie wysłałem was tam z obrzynami, mieliście najlepszy sprzęt.
- Zaskoczyły nas. Maczugę i Waleta zabiły od razu, nie zdążyli nawet wyjąć broni. Wywiązała się strzelanina, ale były cholernie szybkie. Zabiły Śledzia, a Wasyla omal nie rozciąły na pół. Wykrwawił się biedaczek chwilę później. Potem z młyna wypadły jeszcze dwie maskary zwabione walką i zapachem krwi.
- A Talib? Miał przecież RPK. Powinien rozsmarować to cholerstwo po ziemi!!! – powiedział wściekły Dima.

- Zdążył zastrzelić jedną, ale druga nieomal urwała mu głowę. Nie mieliśmy żadnych szans szefie... Wyrznęły wszystkich w pień. Tam musiało być ich gniazdo, w tym starym młynie...
- Dziwne... – powiedział zrezygnowany Dima. – Nigdy nie było tam mutantów. Rozumiem, że sprzęt został tam na miejscu.
- Tak. Nic nie zabrałem, bo nie miałem jak. Ledwo stamtąd spierdoliłem. Jeśli go ktoś nie zabrał, to pewnie tam leży.
- Powiedz mi Sztylet, jak to się stało, że wszyscy nie żyją, a tobie się udało zwać? Bardzo mnie to zastanawia.
- W trakcie walki jedna z pijawek rzuciła się na mnie. Drasnęła mnie, wpadłem w krzaki. Karabin mi gdzieś upadł, nie mogłem go znaleźć. Myślałem, że zaraz mnie wykończy, ale rzuciła się na kogoś innego. Chwilę potem pijawki zabiły wszystkich chłopaków. Nie mieli szans. W tym młynie było ich chyba całe stado. Zacząłem się czołgać w stronę Kordonu. Pijawki nie zwracały na mnie uwagi. Może mnie nie widziały, nie wyczuły, nie wiem. Zaczęły konsumować zwłoki. Odczołgałem się na bezpieczną odległość i uciekłem stamtąd.

Ledwo tu dotarłem, bo pistolet też mi musiał gdzieś wypaść, jak czołgałem się przez te zarośla. No cóż. Nie mam podstaw, by ci nie wierzyć. Nigdy mnie nie zawiodłeś. Szkoda sprzętu, ale mówi się trudno. Nie opłaca się tam wracać, już za duże straty ponieśliśmy. Może wytrujemy to dziadostwo, jak załatwię Sarin od Wojska, ale nie jest to naszym priorytetem. Są ważniejsze sprawy, niż użeranie się z pijawkami. – podsumował Tatarenko.

- Szefie, a co z zapłatą? – spytał zmęczony Sztylet.
- Achh... Zapłata... Anomalie sprawdziliście, czyli kontrakt wykonaliście. Nie twoja wina, że straciliśmy sprzęt. Stało się, jak się stało... Dostaniesz forszę za wszystkich chłopaków, bo taka była umowa. Sześćdziesiąt patoli. Całkiem sporo... Jesteś bogaty Sztylet, uśmiechnij się. – powiedział Dima. – Możesz kupić sobie niezłego gnata lub pancierz, pobalować u Małpy lub Kapitana z miesiąc, może nawet wybrać się gdzieś na dziewczynki... Przyjdź do mnie po forszę, jak się już ogarniesz. – zakończył Dima.

- Brawo!!! Co za piękna historia! – powiedział Duch klaszcząc w dłonie. Tłum rozstąpił się i do wnętrza zgromadzonego wobec Dimy, Galiny i Sztyleta, okręgu wszedł jeden z Bandytów niosąc w ręce jutowy worek.
 - Byłbyś Sztylet niezłym bajkopisarzem. Nie myślałeś o wydaniu książki? – dodał po chwili.
 - O czym ty Duch gadasz??? – spytał zdziwiony Sztylet.
 - O czym ja gadam? Może byś opowiedział kolegą, co wydarzyło się koło młyna?
- Tylko tą prawdziwą historię, a nie bajeczkę, którą przed chwilą zaserwowałeś wszystkim.
- Jak to? – Sztylet zbladł. – Było tak, jak mówię. Maczuga zabiła pijawka, Waleta zresztą też...
 - Dość! – przerwał mu Duch wyciągając coś z worka.
- Powiedziawszy to uniósł przedmiot do góry. Była to ludzka głowa kogoś, kogo Bandyty zwali Waletem.
- Ludzka głowa, pchii. – wydał wargi Sztylet. I po co ją tu przyniosłeś? O czym to ma świadczyć? Że Walet nie żyje?

Skoro tak, to mam rację!

- Tak, Walet nie żyje. Tylko ciekawe, dlaczego zamiast śladów macek, Walet ma dziurę w głowie po strzale z pistoletu. Nie wiem, od kiedy pijawki umieją strzelać...

W sali zapadła niezręczna cisza. Sztylet wbił wzrok w podłogę. Został zdemaskowany.

CZĘŚĆ IV

Podczas, gdy Sztylet tępo wpatrywał się w podłogę, do Dimy podszedł Duch i przekazał mu na ucho jakieś informację. Po chwili rozpląnął się w tłumie wraz z niezręcznym pakunkiem, jakim była głowa Waleta. Nie był już potrzebny, wykonał swoje zadanie, a to, co miało nastąpić w ciągu kolejnych minut, pozostało w gestii jego szefa. Dima również nie miał zamiaru tracić reszty dnia na dywagacjach nad losem zdrajcy, ale po skonfrontowaniu tego, co powiedział mu Duch, a tym, co przed chwilą usłyszał od Sztyleta, stwierdził, że coś śmierdzi w całej tej sprawie. Postanowił się tego

dowiedzieć, zanim wyda winowajcę w ręce plutonu egzekucyjnego.

– Coś mi kurwa nie pasuje w całej tej historii... Powiedziałeś, że kombinezony były w porządku, ale Duch nie odnalazł ich.

Możesz powiedzieć, co się z nimi stało? Zajebałeś je?

– A jakie to ma znaczenie? I tak za parę minut będę martwy. Kombinezony zostały na Bagnach. Chcecie, to sobie je odszukajcie. Przy okazji znajdziecie martwego Kościeja i Magika. Pewnie Duch ci przekazał, że nie mógł odnaleźć ich ciała.

– Zgadza się. I mam wrażenie, że masz z tym dużo wspólnego. Gadaj bo zmienię zdanie i każę cię sprowadzić do lochów pod halą. Chyba nie chcesz tego?

– Prowadź! – powiedział hardo Sztylet. – Chuj mi zależy. I tak jestem martwy!

– Ehhh... – pokręcił głową zrezygnowany Tatarenko. – W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Poza tym idzie emisja i nie mam ochoty bawić się dzisiaj w kata. Mam lepszy pomysł. Powiesz, czemu zabiłeś Waleta, albo każę zaprowadzić cię pod

wioskę Stalkerów i przywiązać do pierwszego lepszego drzewa. Na pewno szybko znajdziesz tam nowych kolegów. Zwłaszcza wśród tych, których skroileś, lub którym zabiłeś przyjaciół. Myślę, że moje zabawy z obcęgami i rozżarzonymi węglami będą niczym wobec tego, co cię tam czeka – powiedział Dima drwiącym głosem. – To jak? Idziemy na mały spacer do Kordonu?

- Dima powiedz mi, co byś zrobił, gdyby ktoś chciał cię wydymać? – zapytał Sztylet.
- Zrobiłbym mu z dupy jesień średniowiecza. Nie jestem dziwką, żeby ktoś mnie mógł bezkarnie dymać. Proste.
- Otóż to! Walet był sukinsynem, który nie tylko chciał wydymać ciebie, ale także mnie, członków wyprawy oraz wszystkich tu zgromadzonych. Dlatego dostał w czapę. Tak, strzeliłem mu prosto w łeb! Ale czemu to zrobiłem, nikt nie zapytał...
- W takim razie oświeć nas. Jesteśmy ciekawi, jakież to ciekawe wydarzenia na Bagnach ominęły nas.

- Dajcie wódki! Muszę się napić...
- Galina, idź na górę i przynieś dwie faszki – powiedział Dima do stojącej obok kobiety.
- Niech stracę. To niewielka cena za poznanie prawdy. I niech ktoś skombinuje mu krzesło. Czuję, że trochę potrwa, zanim się wszystkiego dowiemy.

Chwilę później Sztylet siedział na środku sali z butelką alkoholu w ręce. Nerwowo palił szluga zaciągając się nim łapczywie. Nic dziwnego, ostatni raz w swoim życiu czuł w płucach gryzący dym papierosowy. Papieros topniał z każdym pociągnięciem, niczym świeca wystawiona na mękę płomienia. Gdzieś w górze ktoś cicho szeptał. Może to Charon, który zapraszał go do swojej łodzi, a może to tylko ptaki gnieźdzące się na dachu starej hali oznajmiały sobie, że nadchodzi skąpany w purpurze władca zony? Czy miało to jakieś znaczenie? Wątpił... Za parę, może paręnaście minut, jeśli przeciągnie historię, ujrzy swoje przeznaczenie. Kotły z wrzącą smołą i olejem, maszyny do łamania kołem i zastępy czerwonych pomiotów lubieżnie torturujące nieszczęśników w ka-

kofonii wrzasków i jęków. Piekło miało się stać jego drugim domem i wiedział o tym. Nie na darmo ochrzczono go w stalkerskim świątku Sztylet. Czas umierać – pomyślał opróżniając w dwóch łykach kolorowe szkło Kozaka. Alkohol rozluźnił zmęczone wyprawą mięśnie, sprawił, że czas stanął w miejscu. Porcja płynu z drugiej butelki spowodowała, że język rozwiązał się i bandyta zaczął opowieść:

Podróż na Bagna zajęła nam trzy dni. Dni, które minęły bezproblemowo, bo nie napotkaliśmy żadnych trudności po drodze. W radosnej atmosferze Magik i Kościej rozpoczęli przeszukiwanie Czarnego Bagna z nadzieją na znalezienie poszukiwanego artefaktu, ale efekt był mizerny. Cieszyło nas, że kombinezony sprawowały się świetnie. Bez problemu można było w nich wchodzić w Spalacze, Elektro i inne anomalie. Chroniły też dobrze przed promieniowaniem, wskutek czego udało się nam eksplorować większą część bagien. Niestety, bezskutecznie. Nic nie znaleźliśmy. Na koniec drugiego dnia doszło do kłótni między Waletem, Maczugą, Magikiem i Kościejem. Grozili sobie nawet bronią i nieomal się

pobili. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, o co poszło. Następnego dnia Magik i Kościej poszli ponownie przeczesywać anomalie. Ale nie wrócili na czas. Coś było nie tak... Wreszcie, po prawie dwóch godzinach, zjawili się. Słaniali się na nogach, co chwilę któryś wymiotował pianą. Zdjęliśmy im hełm i podaliśmy cały zapas leków, jakie mieliśmy. Większość z nich to były jakieś witaminy i środki przeciwbólowe, które miał jeden z chłopaków. Leków antyradiacyjnych mieliśmy tylko trzy porcje. Czyli tyle, co nic... Zaaplikowaliśmy im, co było, ale po to tylko chyba, żeby zabić sumienie, bo medykamenty, które posiadaliśmy, nie mogły im pomóc. Nie było dla nich ratunku, otrzymali zbyt dużą dawkę radiacji... Kościej zmarł po jakiś pięciu minutach po podaniu leków. Walet wraz z Maczugą stwierdzili, że kombinezony musiały być trefne i poszli zakopać gdzieś Kościeja, żeby, jak to powiedzieli, nie świecił nam pod nosem. Ja zostałem z Magikiem, bo reszta postawiła na nim krzyżyk i poszła pić. Stan Magika był fatalny. Bełkotał coś o jakimś kamieniu i bramach czasu. Uznałem to za majaczenia konającego, więc nic się nie odzywałem. W międzyczasie wrócił

Walet z kompanem, ale byli jacyś wkurwieni. Zaraz przyszli do mnie i pytali, czy Magik mówił coś ważnego i czy czasem czegoś nie dał mi. Powiedziałem, że...

- Sztylet, streszczaj się! – powiedział rozdrażniony Dima. – Nie mamy całego dnia na twoje opowiadki. Emisja idzie do kurwy nędzy! Tak że do rzeczy! Pij tą flaszkę i kończ spowiedź.
- Powiedziałem, że nic mi nie dał i nie mówił nic sensownego... – podjął opowiadanie bandyta. – Mogę kontynuować?
- Tak, tylko mniej pierdolenia Sztylet, a więcej faktów.
- Dobra. Dalej było tak:

Magik wytrzymał jeszcze godzinę, potem wykitował. Przed śmiercią dał mi jakąś mapę z dziwnymi znakami, ale Bóg wie, co wskazywała. Wspominał też o filtrach, ale ciężko go było zrozumieć. Chwilę potem zjawił się Walet z Maczugą i znów truli mi dupę, czy Magik przed śmiercią mi coś dał lub czy coś mówił. Oczywiście skłamałem. Wkurwieni poszli zakopać go gdzieś na bagnach. Nie było ich z dwie godziny. Wrócili jeszcze bardziej

rozdrażnieni i przestali z kimkolwiek rozmawiać. Siedzieli z daleka od wszystkich i debatowali. Koło dwunastej w nocy coś mnie tknęło. Dodałem dwa plus dwa i nagle dostałem olśnienia. Wymknąłem się z obozowiska i poszedłem poszukać ciał Magika i Kościeja. Znalazłem ich z jakieś pięćset metrów od obozu... Nie zakopanych... Kombinezony mieli pocięte na wióry. Wtedy, w mojej głowie, jak wielki neon, rozbłysnął napis: *FILTRY*. Sprawdziłem je. Bardzo zmyślnie ktoś je uszkodził. Na tyle mało, aby Magik i Kościej mogli wrócić z bagien, ale na tyle też skutecznie, żeby nie przeżyli tej wyprawy. A kto mógł to zrobić? Patrząc na pocięte kombinezony odpowiedź była tylko jedna: uczynni grabarze.

- Sugerujesz, że Walet z koleżką popsuli celowo filtry?
- Nie sugeruję. Ja to wiem! Kombinezony działały przez dwa dni dobrze, a potem się popsuly? Idiotyzm...
- No dobra, a gdzie mapa?
- Do mapy dojdziemy – powiedział Sztylet pociągając łyka Kozaka. – Dajcie mi skończyć.
- Kończ w takim razie, bo mało czasu zostało.

No więc, wróciłem do obozu przed świtem. Wiedziałem, że mamy w szeregach zdrajców, ale co mogłem zrobić. Otwarta konfrontacja skończyła by się masakrą. Postanowiłem udawać, że o niczym nie wiem i niczego się nie domyślam. Ale Walet i Maczuga zorientowali się, że coś wiem. Opuściliśmy obozowisko rano i udaliśmy się do przepompowni, którą wyznaczyliśmy na następne miejsce odpoczynku. Całą drogę Walet i Maczuga obserwowali mnie. Pod wieczór wiedziałem, że konfrontacja jest nieunikniona. Ale noc minęła spokojnie, choć nie przespałem ani minuty. Kolejnym miejscem odpoczynku miał być Stary Młyn. Wtedy byłem już pewny, że wszystko rozegra się w nocy podczas postoju. Następnego dnia mieliśmy wejść do Kordonu. Jeśli do czegoś miało dojść, to tylko na Bagnach. I tak się stało, jak myślałem. Upilnowali mnie. Zasnąłem na dwadzieścia minut... Obudził mnie metaliczny posmak broni w ustach i szyderczy uśmiech Waleta, który wykrzywił gębę niczym klaun cyrkowy.

- No, to jesteśmy w domu – przerwał Dima. – Walet chciał ci zająć mapę, a ty go odpaliłeś. Przy okazji Maczugę też

usztyniłeś. Potem wpadły pijawki, zatłukły resztę, a ty spierdoliłeś z mapą. Wróciłeś do obozu i sprzedałeś nam historyjkę o stadzie pijawek, które was zaatakowało, żeby zgarnąć szmal i przy okazji coś, co skitrał Magik. Sprytnie. Gdzie mapa? Duch jej nie znalazł.

- A skąd mam wiedzieć? Uciekłem stamtąd, jak pojawiła się pijawka. Była tylko jedna, ale zdążyła na tyle skomplikować sytuację, że wyciągnąłem schowany na plecach pistolet i wpakowałem Waletowi kulkę między oczy. Resztą zajęła się maszkara. Zabiła Maczugę, a potem pozostałych chłopaków. Walet zabrał im broń, jak spali. Zostały im tylko noże. Nie mieli szans...
- Czyli zostawiłeś bezbronnych kolegów w gównie, a sam zwiąłeś. Pięknie!
- Kolegów??? Powiedzieli, że mają gdzieś moje porachunki z Waletem i Maczugą i, że nie będą nadstawiać dupy dla jakiegoś papierka. Nie uwierzyli też, że zepsute kombinezony, to była ich sprawka. Byliśmy już prawie w Kordonie, każdy

myślał o forsie, jaka na niego czekała, a nie o komplikowaniu sobie życia.

- Eh, kurwa... Powinniście się na Bagnach pozabijać i miałbym z wami święty spokój – podsumował Tatarenko. – Co jeden z was, to lepszy.

Po krótkiej chwili Dima podwinął rękaw swojego płaszcza i wyciągnął rękę. Na jej wewnętrznej stronie widniał wytatuowany napis:

AVE CAESAR MORITURI TE SALUTANT

- Czytaj! – powiedział stanowczym głosem szef Bandytów.
- Witaj Cezarze, idący na śmierć pozdrawiają cię.
- Wiesz, co to znaczy?
- Nie rób sobie jaj Dima. Mam taki sam napis. Jak każdy tutaj.
- Wiesz, czemu tatuujemy go każdemu, kto do nas dołącza? Bo stanowi to esencję naszego kodeksu. A mówi on o tym, że nie zdradza i nie oszukuje się kolegów. Dlatego każdy, ale to każdy z nas, ma ten jebany napis! Zostawiłeś ich na pewną śmierć i chciałeś nas wyrolować! Rozumiem też, że mapy nie

masz, i nie wiesz, gdzie jest.

- Możesz mnie torturować. I tak ci nie powiem, gdzie jest mapa, bo nie mam pojęcia, co się z nią stało. Jeśli Duch jej nie znalazł, to widocznie ktoś w międzyczasie musiał obrabować trupa Waleta.
- Może tak, a może nie. Nie będę wnikał. Mapa nie jest mi potrzebna do szczęścia. Kombinezony zostały zniszczone, broń zniknęła, a poszukiwanych artefaktów nie znaleźliście. Porażka na całej linii... Warto było? – dodał po chwili Dima.
- Nie wiem... – powiedział Sztylet dopijając Kozaka.
- Nie miałem wyboru. Zostałem wpłątany w intrygę, w której nie chciałem brać udziału. Walet chciał mnie zabić, dlatego zginął. A chłopaki... Cóż, powiedziałem im o całej sytuacji, ale olali mnie. Może im Walet coś obiecał, nie wiem. A może nie chcieli kłopotów, ciężko stwierdzić. Sami są sobie winni. Walet też ich wystawił, zabierając im broń, ale skąd mieli wiedzieć, że tak się sytuacja skomplikuje.
- Nie mogłeś powiedzieć od razu, co się wydarzyło na Bagnach?

Miałbyś chociaż rozprawę.

- I co by mi to dało? – spytał drwiąco Sztylet. – W najlepszym wypadku ugrałbym konfiskatę mienia i deportację z Zony, ale podejrzewam, że nie zdążyłbym z niej wyjechać. Walet i Maczuga mieli dużo kolegów... Pewnie zginąłbym, zanim dojechałbym do Kordonu.
- Być może, ale ocaliłbyś życie. Okłamując nas wybrałeś śmierć.
- W taki razie kończmy ten cyrk. Zwołaj pluton egzekucyjny i miejmy to już za sobą – powiedział Sztylet wstając z krzesła. – Jako skazany na śmierć mam prawo do jednego życzenia zgodnie z kodeksem Bandytów. Czyż nie, Dima?
- Owszem. Pod warunkiem, że będzie to coś rozsądnego...
- W takim razie proszę o komisyjne otworenie po śmierci mojej skrytki i sprzedanie całej jej zawartości po aktualnych cenach handlowych. Zebrane w ten sposób pieniądze przekażcie na konto mojego syna, Igora. Leży na oddziale onkologii szpitala Św. Łukasza w Mińsku – dokończył ze łzami w oczach Sztylet.

Dima podrapał się po głowie. Takiego zakończenia nie spodziewał się. O różne rzeczy proszono przed śmiercią, ale to życzenie zaskoczyło go. Zasadniczo nie miał nic przeciwko temu. Rzeczy nie były kradzione. Sztylet sam na nie zarobił swoją ciężką pracą. Postanowił jeszcze o coś spytać.

- Nie mówiłeś, że masz syna... Podejrzewam, że przez to skomplikowałeś tak sobie życie. Zgadza się?
- Tak. Nie miałem wyboru. Trzeba było szybko działać. Cały plan zrodził się właściwie w momencie, kiedy zaatakowała nas pijawka. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Widocznie na nie właściwą. Skąd miałem wiedzieć, że w talii, którą grasz, jest joker, który zwie się Duch?
- Nie wiedziałeś. Zresztą ja też nie. Galina go wysłała. Wyroku nie cofnę, oszukałeś nas. Natomiast cały twój sprzęt zostanie sprzedany zgodnie z twoim życzeniem. Co prawda niechętnie, ale zgodnie z kodeksem Bandytów, skazuję cię na śmierć przez rozstrzelanie za oszustwo i nie udzielenie pomocy kolegom. Straże! Przygotować miejsce stracenia!

Sztylet usiadł na krześle. Pusta butelka po alkoholu wypadła mu z ręki roztrzaskując się o szarość podłogi. Emocje opadły, zgromadzony dookoła widowiska tłum rozszedł się w harmidrze komentarzy i spekulacji. Zamroczony wódką zamyślił się. Przed oczami ujrzał wychudzoną twarz Igora walczącego każdego dnia o życie. Jak w mantrze, powtarzał cały czas:

- Igorku, starałem się jak mogłem, ale wszystko spieprzyłem.

Wybacz mi...

Lecz syn nie reagował. Z każdą chwilą stawał się coraz mniej widoczny niczym znikający duch. Po kilku chwilach rozpułynał się całkowicie w powietrzu, a przed oczami Sztyleta pozostało tylko puste łóżko.

- Nie!!! – krzyknął zrozpaczony mężczyzna. – Nie odchodź!!! – błagał Bandyta.
- Ogarnij się Sztylet – powiedział Bestia łapiąc go obiema rękami za głowę. – Czas na ciebie. Może jednak dziś nie umrzesz... Chociaż wątpię, czy nowa kara będzie mniej bolesna... Galina ubłagała Dime, żeby odwołał pluton

egzekucyjny. Wstawaj, idziemy do starych zbiorników wyrównawczych. Tam dowiesz się wszystkiego.

Pięć minut później Sztylet stał na krawędzi głębokiego na sześć metrów żelbetowego basenu. Dookoła zbiornika piętrzył się zgromadzony tłum, który nie bardzo wiedział, czego oczekiwać po zaistniałej sytuacji. Chwilę później nadszedł Dima w towarzystwie Galiny. Ruchem ręki uciszył zebranych i rzekł:

- Za namową mojej kobiety postanowiłem dać ci szansę – powiedział do stojącego nad przepaścią Sztyleta. Galina poradziła mi, abym zastosował dawno zapomniane prawo, a mianowicie Kodeks Hammurabiego. Sądzę, że lepsze to, niż śmierć przez rozstrzelanie. Wiesz, o co w nim chodzi?
- Mniej więcej... Oko za oko, ząb za ząb. Coś w tym stylu...
- Dokładnie. W rurze doprowadzającej wodę do zbiorników mieszka pijawka. Wpadła do basenów parę dni temu podczas nocnej wizyty. Zabić jej nie ma jak, bo nie chce cholera wyjść na zewnątrz. Uciekła do kanałów i żywi się tam szczurami. I będzie sobie tak wegetować, aż znajdzie sposób, żeby stamtąd

zwiąć. A wtedy... Wtedy będziemy mieli przesrane.

- Rozumiem, że mam tam zejść i ją zabić? Chyba ocipielicie!
- Dokładnie. Masz nóż przy sobie, czyli to samo, co mieli chłopaki, kiedy zaatakowała ich pijawka. Myślę, że to sprawiedliwe. Oko za oko, ząb za ząb...
- Skurwiel z ciebie Dima – wymamrotał z posępną miną Sztylet. – A jeśli się nie zgodzę? – dodał po chwili.
- Chyba nie masz wyboru. – Przewrócił oczami szef Bandytów i wskazał majaczącą się w oddali ścianę, pod którą dokonywano egzekucji.
- Żeby cię zmotywować dam ci te sześćdziesiąt tysięcy rubli jeśli zabijesz pijawkę. Sam zawieziesz forszę do Mińska. O ile uda ci się przeżyć. Jeśli nie, zawiezie ją ktoś inny.

Sztylet nie odezwał się nic. Sprawa była przesądzoną. Obrócił się w stronę basenu i zaczął schodzić w dół po zardzewiałej drabinie. Tymczasem na górze wrzało. Bandyta zwany Dolarem zbierał zakład, kto zwycięży. Za pijawkę płacił dwa do jednego. Za Sztyleta dwanaście. Na tyle wycenił szansę przeżycia swojego kompana.

Chwilę później skazaniec znalazł się na dnie zbiornika. Ku ogólnemu zdziwieniu nie ruszył jednak w stronę kanału wlotowego, gdzie mieszkał mutant, lecz stał oparty plecami o drabinkę i czekał. Minuty mijały, a tłum darł się z niezadowolenia. Pijawka również nie wykazywała chęci opuszczenia swojego nowego legowiska.

- Co to kurwa szachy, czy co!? Niech że ruszy dupsko i idzie ją zabić! Zaraz będzie Emisja, a ten ciul stoi pod drabiną i czeka na Bóg wie co – zaklął zdenerwowany Dima.
- Zrobiłbym tak samo – odparł stojący obok Duch.
- Nie rozumiem...
- Widzisz Dima, tam w kanale, Sztylet nie ma żadnych szans. Dlatego czeka, aż potwór wyjdzie na zewnątrz. I doczeka się, bo pijawka musi zaatakować. Zbyt długo żywiła się szczurami, żeby przeżyć kolejne dni. Jeśli za długo będzie zwlekać, to zamiast obiadu dostanie popcorn. Emisja idzie...
- Sprytnie – przytaknął Dima. – Zatem czekamy.

I istotnie, po chwili, z głębi kanału doprowadzającego wodę do zbiorników, doleciał przerażający ryk. Parę sekund później oczom

zgrupowanych nad basenem ukazał się pijawka. Powoli zbliżała się w stronę drabiny. Sztylet również zauważył ją i przygotował się na atak. Dima obserwował wszystko z góry. Dokładnie widział, jak mutant znika, by uderzyć znienacka. Parę sekund później Sztylet obficie krwawił. Odparł atak, ale łapa pijawki rozorała mu paskudnie ramię. Nim ochłonął, nastąpił drugi, który zdewastował mu dłoń. Sztylet spojrzał bezradnie na drabinkę. Z takimi ranami nie miał żadnych szans na powrót na górę. Pozostało walczyć.

- Tylko jak? – pytał sam siebie oglądając poranione kończyny. – Ledwo trzymam ten pieprzony nóż. Następny atak mnie zabije... Myśl! – powtarzał sobie. – Musi być jakiś sposób, żeby ją zabić.

Podczas, gdy pijawka szykowała się do ostatniego ataku, Sztylet ruszył w stronę wielkiego zaworu wystającego ze ściany dzielącej basen. Pokrętko to opuszczało i podnosiło grodz, która rozdzielała rezerwuar na pół. Kiedy znalazł się przy zaworze, zacisnął zęby i szarpnął kołem. Ani drgnęło. Słyszał jak bestia przediera się przez sterty mebli i elektro śmieci, lecz nic nie mógł zro-

bić. Cholerny zawór zardzewiał do reszty. Zdesperowany odrzucił nóż i wziął z posadzki kawałek metalowej rury. Używając jej jako dźwigni opuszczał stopniowo grodz, lecz tempo, z jakim to robił, przypominało ruchy ślimaka. Tłum zamarł. Obserwował w milczeniu wysiłki byłego towarzysza, lecz nikt nie wiedział, po co Sztylet opuszcza stalową płytę. Zasuwa była jakieś pół metra nad ziemią, kiedy pijawka przedarła się przez ostatnie zwały złomu. Sztylet obrócił się. Dziesięć metrów dzieliło go od zipiącej kreatury. Naparł z całej siły na rurę. Zawór jęknął i zrobił pół obrotu, które kosztowały go życie. Grodz z łoskotem opadła na dół zagłuszając częściowo jęki syreny oznajmiającej Emisję. Parę chwil później zwierzę szybko wyssało krew z rannego bandyty i ruszyło w stronę swojego lokum w kanale, by schronić się przed nadciągającą zagładą. Lecz drogę odwrotu blokowało masywne cielsko stalowej płyty, które tak mozolnie opuszczał jej niedawny posiłek. Została uwieczniona.

Na krawędzi zbiornika stał Dima. Samotnie obserwował jak monstrum pozbawiało życia jednego z jego najlepszych ludzi. Jed-

nak nie kłamał – pomyślał szef Bandytów. Ostatni raz spojrzał na wymięte implozją ciało Sztyleta, po czym przeniósł wzrok na pijawkę. Bezradnie tłukła łapami o pokrytą strupami rdzy stal. Mutant wyczuł, że ktoś go obserwuje. Wściekły spojrzał w górę. – Szach i mat! – rzucił Tatarenko do uwięzionego zwierzęcia, po czym pobiegł przez pokryty błotem dziedziniec w stronę najbliższych zabudowań.

Ścigany okrutnym rykiem konającej pijawki schronił się w mordowni zwanej Zamulonym Sterem. Pół minuty później nastąpiła Emisja...

KONIEC

Grób Agamemnona

Oto i jest. Owoc wczorajszego nocnego słuchania jazzu i twórczości Leszka Kaźmierczaka zwanego w muzycznych kręgach pod pseudonimem Eldo.

Trzecia wieczorem. Piszę samotnie w ciszy rozdartej blaskiem świecy. W pokoju pachnie cynamonem i czarnym, jak noc atramentem, który nie chce sklejać się w żaden sensowny tekst. Słodki zapach łechta mile zmysł powonienia i sprawia, że czuje się głodny na myśl o plackach, które kilka godzin temu jadłem. Po kolacji pozostał tylko ślad w formie porośłych tłuszczem talerzy i butelki czerwonego wina – sprawcy plam na ostatnich kartkach pergaminu, jakie posiadam. Papier i stół pokryty kroplami taniego bożole wygląda niczym sceneria do kiepskiego filmu grozy, ale nie dbam o to. Posprzątam później.

Najważniejsze, by przyszła Erato. Tylko na nią czekam. Tylko jej dziś pragnę. Niestety, Erato zawiodła mnie. Zamiast niej pojawił się na parapecie spasiony kot barwy węgla, który miauczeniem zaczął domagać się, a bym go wpuścił do środka. Parszywe bydlę – pomyślałem. Będzie mi koncerty pod oknem urządził. Spróbowałem zignorować nocnego gościa, lecz zwierze było metodyczne. Niczym zacięta płyta gramofonu powtarzało: miauu! kręcąc się po parapecie. Zirytowany otwarłem okno i spojrzałem

w ciemność. Chłostane wiatrem wierzby pochylały się na boki i garbiły pod strugami wody ciekącej z nieba. Chodź przyjacielu – powiedziałem, wpuszczając kota do pokoju. Zwierzęcia nie trzeba było zapraszać, szybko wślizgnęło się do pomieszczenia. Zamknąłem delikatnie butwiejące okiennice bojąc się, by nie rozsypały się w pył, po czym wróciłem do pisania zostawiając gościa własnemu losowi. Minuty mijały, a wena nie przychodziła. W pół do czwartej byłem przekonany, że mój list miłosny nie zostanie ukończony dzisiejszej nocy. Nic, będę się musiał wstrzymać jeszcze trochę ze swoimi amatorami – pomyślałem, zwijając w rulon płachty pergaminu. Schowałem papier, tusz i gęsie pióro do szuflady, zgasilem świecę, po czym ruszyłem po omacku w stronę sprężynowego łóżka. Chwilę później leżałem skonany na wygniecionym materacu. Obok mnie spał futrzany osobnik, o którym kompletnie zapomniałem. Ciekawe, jak cię zwą koleżko? – zamyśliłem się i pogłaskałem kota. Ku mojemu zdziwieniu, pod palcami, wyczułem coś twardego. Obroża? Dziwne, nie zauważyłem jej wcześniej... Wyciągnąłem z kieszeni spodni PDA i skierowałem emitowany

przez urządzenie snop światła w stronę zwierzęcia. Istotnie, kot miał obrożę. Ba, była do niej nawet dołączona przywieszka. Poświeciłem bliżej. Na metalowej blaszce widniał napis. Zbliżyłem urządzenie na tyle blisko, by móc odczytać inskrypcję, i przeliterowałem:

M – E – F – I – S – T – O – T – E – L – E – S

W gardle zaschło mi z wrażenia, a żołądek zaczęła wypełniać wielka gula, która rosła z zatrważającą szybkością. Poczułem się tak, jakby ktoś uderzył mnie w głowę gigantycznych rozmiarów młotem. Wróciły wspomnienia sprzed dwóch lat. Przed oczami, jak w kalejdoskopie, przesuwały się kolejne obrazy z przeszłości: ogromne granity, rozbite PDA, wykrzywione szatańskim grymasem twarze i światła Hangaru w oddali – tak bliskie, a zarazem tak dalekie.

Tej nocy Zona oddychała ciężko i niespokojnie. Śniły się jej koszmary, w których królowały demony, a my postanowiliśmy ją obudzić wkraczając w jej najbardziej intymne tereny. Zapłaciliśmy za to najwyższą cenę... Czerwony Las nas styranizował i

zdeptał. Wycieńczeni, ścigani przez nocne służi zła, uciekaliśmy na oślep, aż natrafiliśmy na zwałowisko kamieni, które miało być naszym schronieniem. Dla Witka okazało się grobem, nie przeżył tej nocy... Zmarł wewnątrz niewielkiej komnaty, która utworzyła się pod spiętrzonymi głazami. To pod nie wczołgaliśmy się próbując ocalić życie. W objęciach skał postanowiliśmy doczekać dnia. Szybko okazało się jednak, że Witek odniósł poważniejsze rany, niż nam się na początku wydawało. Obandażowałem zranione miejsca, podałem leki, lecz nic nie mogło zatrzymać infekcji. Nie mieliśmy odtrutki na wprowadzony do organizmu wirus. Nikt jej nie miał. Wątpię, czy nawet istniała. Poczułem się bezsilny. Postanowiliśmy wezwać pomoc przez PDA. Bezskutecznie. Moje urządzenie gdzieś zniknęło. Aparat kolegi, choć funkcjonował, był bezużyteczny. Potrzaskany, ledwo reagował na bodźce i co chwilę zawieszał się lub gubił obraz. Witek zamachnął się i rzucił nim ze złością o ścianę. Siedzieliśmy tak po ciemku w milczeniu, zrezygnowani, zmarznięci i pokonani. Za kilka godzin miał się rozegrać dramat, o którym nawet nie chcieliśmy myśleć.

*„Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtóruje myśli posępnej i ciemnej;
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona,
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. – Jak mi smutno!”*

Powiedział Tokarczuk, przerywając posępną ciszę. Uśmiechnąłem się i spojrzałem w stronę niewielkiego otworu pomiędzy kamieniami, przez który wpadał do wnętrza jaskini blask księżyca.

- Niezwykle trafne określenie sytuacji – skomentowałem dobrze mi znany fragment. – Szkoda, że cytujesz go w tak fatalnym dla nas położeniu.
- Poezja nie wybiera czasu, ani miejsca. Po prostu jest, towarzyszy nam każdego dnia. Pamiętasz, jak się poznaliśmy? Jakimi słowami mnie przywitałeś?
- Pamiętam – odpowiedziałem, przypominając sobie wiosenny wieczór 1988 roku. W tle Wawel, przed nami rozplywające się w tafli Wisły, niczym

impresjonistyczne malunki, światła lamp biegnących wzdłuż Konopnickiej. I my: ja, Witek, Marzena i Basia. Dwie pary zakochanych, które obrały sobie za miejsce romantycznej randki tą samą ławkę w parku pod siedzibą królów. Po krótkim zapoznaniu piliśmy wspólnie bułgarską Sofię i dyskutowaliśmy nad sensem życia wpatrując się w migoczącą złotem wodę. Marzena i Basia dawno nas zostawiły, ale przyjaźń z Witkiem przetrwała. Razem zdawaliśmy na Uniwersytet Jagielloński, razem zarywaliśmy noce i szliśmy na wykłady pijani jazzem, który łapczywie chłoniliśmy w Jamie Michalika. Wspólnie czytaliśmy Grę w klasy Cortazara, wspólnie omawialiśmy nieskończoną ilość razy Fausta. Wspólnie wyjechaliśmy też do Czarnobyla po zakończeniu studiów. I to był chyba największy błąd. Gdyby nasze drogi rozeszły się, może Witek by żył do tej pory. Może...

By zapobiec transformacji mój przyjaciel strzelił sobie w głowę o trzeciej nad ranem. Pamiętam tą scenę do dziś. Zmarł z uśmiechem na ustach wypowiadając przed śmiercią swe ulubione słowa: *”Trwaj chwilo, jesteś piękna”*. Takiego właśnie zapamiętałem

Witka. Uśmiechniętego chłopaka, który nigdy się nie poddawał i zawsze czerpał z życia garściami.

Retrospekcja skończyła się niczym taśma filmowa zerwana nagłym pociągnięciem ze szpuli. Zaspanym wzrokiem omiotłem pokój. Czarnego jak węgiel kota nigdzie nie było. Przede mną stała Anuszką, moja miłość, i budziła mnie.

- Wstawaj Bogdan. Walerian cię wzywa. Ma dla ciebie jakieś nowe zadanie.
- Pakuj się, wyjeżdżamy stąd! Śnił mi się Witek – powiedziałem roztrzęsiony.
- Ale gdzie chcesz jechać? – zapytała zdumiona kobieta.
- Nie ważne. Byle dalej od tego przekłętą miejsca. Tu czeka na nas tylko śmierć...

Pół godziny później mijaliśmy ostatnie posterunki w Kordonie skryci pod plandeką wojskowego samochodu. Obejmując czule Anuszkę byłem pewien, że sen, który mi się przyśnił, był znakiem od Witka. Parę dni potem dowiedziałem się, że wioska, w której mieszkalem, została zrównana z ziemią. Odwiedzili ją Królowie

Nocy...



Ric

Frakcja: Czyste Niebo

Ulubiona broń: Noiseless

Viper

15 000 rubli

informacja o utworze, mapa i tym podobne

Woron potknął się i upadł. Po tysiącokroć spalony pył, uniósł się dookoła jego ciała ze spragnionej ziemi, tworząc czarne kłęby. Momentalnie eksplodowała fala gorąca, rozpalając atmosferę i plując ogniem na wszystkie strony. Ciemny, ciasny zaułek między starym murem a zrujnowaną ścianą budynku gospodarczego rozbłysnął nieoczekiwaną czerwienią, której to sam widok powodował ból w oczach. Natychmiast zahuczało od masy płomieni wyrzucanej w chłodne, nocne powietrze. A spośród tego wszystkiego przeraźliwy krzyk i syk palonego kombinezonu.

Zaobserwowana przez nas regularność z jaką anomalia nasilała i łagodziła swą aktywność musiała być błędna. Tyle czasu zmarnowaliśmy na czekanie, aż owe zjawisko wytraci swą moc. Byłem już po drugiej stronie, ale Woron wpadł w sam środek tego piekła, w którym sam Szatan nie powstydziłby się zamieszkać. Czułem to ciepło. Poszarpany, stary Ekolog stanowił tylko namiastkę ochrony, jaką pierwotnie zapewniał. Przez rozszczelnione otwory wdawał się straszliwy żar, który palił skórę i powoli rozlewał się po całym wnętrzu. Gotowałem się. Pot z twarzy i wy-

dychanego powietrza w okamgnieniu zamienił się w parę, która pokryła całą szybkę. Piekącymi oczyma widziałem wielkie słupy ognia materializujące się metr nad ziemią, a strzelające wysoko w górę niczym sztuczne ognie, a tuż pod nimi majaczące zarysy Worona, który czołgał się w moją stronę.

Niewiele myśląc, rzuciłem się prosto pod żywioł. Dałem nura między płomieniami, byle tylko dosięgnąć Worona.

Potworny ból.

Czułem jak moja skóra, marszczy się i rozrywa się atakowana wrzącym powietrzem. Mój plecak stanął w płomieniach, podobnie jak inne łatwopalne elementy jakie miałem na sobie. Czułem swąd spalenizny – mojego własnego ciała, które topi się i krzyczy. A potem twardy upadek na ziemię tuż pod szalejącą pożogą. Tu było epicentrum – największy żar niczym we wnętrzu ogniska. Czułem się jak kiełbasa, którą ktoś włożył w ów żar, który wyciska z niej soki, sprawia, że pęka i marszczy się.

Tak, to idealne porównanie.

Kątem oka dostrzegłem rękę Worona. Dalej nie wytrzymałem

i zamknąłem oczy. Zdałem się na refleks. Brakowało mi prawej rękawicy, to też z całej siły wyciągnąłem lewą rękę i dosięgłem dłoni towarzysza. Uścisnął mnie mocno. Widać, że nie zamierzał się poddać – to dodało mi sił. Szarpnąłem najmocniej jak umiałem, potem znowu. Szybko wyciągnąłem go spod szalejącej anomalii i rzuciłem pod mur. Póki jeszcze miałem siły, zdjąłem płonący plecak i cisnąłem go daleko od siebie.

Powietrze dookoła nas było gorące, ale w porównaniu z żarem, z którego uciekliśmy, było niczym powiew bryzy. Upadłem tuż koło Worona. Cały czas krzyczał. Żał mi było chłopaka. Znałem go ledwo dwa miesiące, ale w Zonie to wystarczy, by nabrać zaufania. Nigdy nie przypuszczałem, że skończy się to w ten sposób. Uwięzieni w martwej strefie między gołymi ścianami, a rozszalałą anomalią, której nijak nie dało się już wyłączyć. Gdzieś nad nami unosiły się grawitacyjne. Widać było jak wzbudzony pył faluje nienaturalnie pod ich wpływem. Natomiast na drugim końcu ciasnego przesmyku ukrywał się nasz cel, schowany gdzieś między rozrzuconą w bezładzie stertą cegieł.

– Ojciec! Ojciec! – wołał mnie. Tak mnie tu zwali, choć księdzem nie byłem, ani też dzieci nie miałem.

– Dasz radę? – krzyknąłem.

Nie odpowiadał. Nie jęczał już, tylko leżał spokojnie, zupełnie bezwładny. Jego kombinezon był równie podniszczony co mój, a żar wywarł w nim dodatkowe zniszczenia. Czuć było jaki jest nagrзany, a roztopione wewnątrz rozlewa się po ciele Worona, klejąc się do skóry. – Nie poddawaj się. Jesteśmy już blisko.

Obróciłem go na plecy. Z szokiem stwierdziłem, iż czarna od ognia szybka hełmu była pęknięta.

– Jasna cholera, nie umieraj mi tu tylko!

Chwyciłem za zaczepy jego hełmu. Nie było syknięcia, ani niczego – zupełnie się rozhermetyzował. Zdjąłem go powoli, uważając na głowę towarzysza. Widok przyprawił mnie o mdłości. Twarz była cała we krwi, wydzierającej się spod czarnej, popękanej skóry. Trząsł się, z trudem otwierał usta. Czułem okropny swąd palonych włosów, które zupełnie zniknęły z jego głowy. Woron, cały czas mocno zaciskał oczy, lecz po chwili próśb otworzył je.

Były czerwone, ale reagowały na bodźce, a więc jeszcze mnie widział. Coś jednak było nie tak. Znikł gdzieś blask w jego oczach, patrzył na mnie żałośnie, a każde mrugnięcie sprawiało mu ból.

Gdybym tylko mógł mu teraz jakoś pomóc. Wszystko co miałem spłonęło razem z plecakiem. Wszelkie leki, maści...

- Nie uda się nam... – wybełkotał, dławiąc się i plując krwią.
- Nie pierdol, kurwa. Jesteśmy już tak blisko. Sam przecież tak srałeś się tym artefaktem. Jebane ruble. Jebany kryształ!
- Spodobały ci się tak bajki o jego mocy, to teraz masz!
- Spierdoliłem. Wybacz.
- Ech.... Ale, kurwa – spojrzałem na buchające za nami płomienie. – Jesteśmy w dupie. I jak się teraz stąd wydostaniemy?
- Nie w... Nie wiem.

Spoglądałem na płomienie. Woron też zwrócił w tamtą stronę głowę. A może sama mu opadła? Niekończąca się fontanna ognia wznosiła się wysoko, rozświetlając okolicę niczym latarnia.

- Nie zgaśnie – wymamrotał.

– Że co?

– Nie zgaśnie. Spłoniemy tu.

– Co ty gadasz? – Chciałem go pokrzepić, ale chyba rozumiałem, co miał na myśli. Aktywował anomalie, wyjątkowo siłą w dodatku. Spalacz będzie płonął godzinami, tak jak wtedy, gdy ostatnim razem aktywowaliśmy go dla testów. Spełniły się więc nasze najgorsze obawy. Zostaliśmy tu uwięzieni.

– To koniec, stary. Po... po nas. kurwa.

– Nie łam się, wyciągnę nas stąd jakoś. Tylko mi tu, kurwa, nie umieraj.

Złapałem go i usadziłem w pozycji siedzącej, by nie krztusił się własną krwią. Podniósł, trzęsącą się rękę i wytarł sobie usta. „Może jednak nie jest z nim tak źle”, pomyślałem z nadzieją. Mimo to sam zaczynałem wątpić w powodzenie naszego zadania. Ruszyłbym dalej sam, ale przecież nie zostawię go tutaj. Ja nie z tych. Nie bez powodu noszę ten pseudonim. Żaden kryształ nie jest wart więcej niż prawdziwy stalker. Weszliśmy tu we dwóch

i we dwóch stąd wyjdziemy. Zawsze jest jakaś nadzieja. Zawsze jest jakieś wyjście. Tylko gdzie?

Wstałem. Spalone ciało, sprawiało mi straszy ból, a przecież byłem w anomalii zaledwie przez kilka sekund. Mogłem sobie tylko wyobrażać jakie katusze przeżywa teraz Woron. Zacząłem rozglądać się za czymkolwiek, co mogłoby pomóc przyjacielowi.

– Robi się go... gorąco.

Miał rację. Anomalia bez przerwy nagrzewała powietrze. Gotowałem się niemalże jak wtedy, gdy skoczyłem do jej wnętrza. Szybko odciągnąłem przyjaciela kilka metrów dalej. Bałem się jednak iść głębiej. To był jakiś rodzaj symbiontu, Bóg jeden wie jakie anomalie czają się dalej w głębi zaułka.

– Ojciec, ja nie chcę umierać – jęczał Woron, dysząc ciężko.

– Spokojnie, nie umrzesz.

Naturalnie, starałem się go pocieszyć. Ale jak? Mam kłamać? Co tu wiele mówić, sytuacja była przejebana. Jeśli nie uciekniemy stąd w ciągu kilku minut, ugotujemy się żywcem. Zrobiłem kilka kroków dalej, zbliżając się do stery cegieł. Poczulem ciepło. Przed

nami była kolejna anomalia ogniowa, czająca się gdzieś tam ukryciu. Stanąłem jak wryty w obawie, by i jej nie aktywować. Sięgnąłem po Echo, ale najwyraźniej aparatura została uszkodzona. Najwyraźniej jak już się ma pierdolić, to wszystko na raz. Wróciłem do Worona. Było z nim coraz marniej. Długo nie pociągnie bez opieki, to pewne. A ja nie wiem jak mogę go uratować.

– Nie dam rady... – zakasłał. – Ojciec. Mój kombinezon to wióry. To pył i... i wióry. Ty... Twój chyba jest ok?

– To już żadna ochrona. Na wiele się nie przyda.

– Ojciec... Ojciec...

Przerażało mnie to. Czułem, że sam zaczynam panikować. O co mu chodziło? „Ojciec, ojciec”. Twarz mu drżała, z całych sił mrużył oczy. Czułem się niepewnie. Czego ode mnie oczekiwał? Przecież nie teleportuje go stąd. Niech się w końcu zamknie!

– Nie pozwolisz mi umrzeć? Nie zostawisz mnie tu?

Strasznie ciężko przychodziło mu dobieranie słów. Wyczuwałem w tym strach, niepewność. Nigdy wcześniej nie czułem tego w jego głosie. Zawsze był żwawy, pewny siebie. To było straszne.

Jak gdyby to nie był on, a ktoś inny. Ktoś... obcy.

- Nie zostawię. Czemu w ogóle męczysz mnie o to?
- Ty masz sprawny kombinezon. Nie chcę tu umrzeć. Nie... chcę.

Czemu on to ciągle powtarzał? Kim on był, ten poparzony człowiek? Czy ja go znałem? Czy to nadal był ten sam Woron?

- Kurwa, no! – Nie wytrzymałem. – Czy ja się stąd gdzieś ruszam? Na litość Boską, zamknij się wreszcie i pozwól mi myśleć.

Uspokoił się trochę. Obrócił głowę w bok. I dobrze! Sięgnąłem po swego Mossberga 590. Nie miałem zamiaru słuchać tego dalej. A jęcz sobie do woli! Jęcz, płacz. Tylko pozwól mi działać albo za chwilę z nas obu zostaną tylko prochy!

Strzeliłem w mur przede mną. Śrut rozbił się o twardą cegłę, wyrzucając w powietrze masę odłamków i pyłu. Strzeliłem ponownie. I jeszcze raz.

Znienacka wielki płomień buchnął mi prosto w twarz. Upadłem na plecy i zobaczyłem jak zza muru wystrzeliwuje w górę

kolejny słup ognia, wyzierając swe ogniste języki przez dziurę, jaką zrobiłem w murze. Broń upadła mi gdzieś pod murem. Szybko odczołgałem się do tyłu, z obawy iż w każdej chwili ściana może się rozpaść.

Usłyszałem za sobą dźwięk repetowanej broni. Odwróciłem się gwałtownie. To Woron celował ze swego Walthera prosto w moją głowę. W drugiej ręce trzymał w gotowości nóż. Oblediał mnie zimny pot. Zastygłem w bezruchu. To Woron? To naprawdę on?

- Co ty, kurwa, wyprawiasz?! Nie celuj we mnie, kretyne!
- Oddaj mi kombinezon – mówił przez zaciśnięte zęby. Policzki mu się trzęsły, ręka drżała, ale lata wyszkolenia bojowego, sprawiły, że mimo to trzymał broń pewnie.
- Oszalałeś?!
- Oddaj mi kombinezon. Tylko je... eden stąd wyjdzie. Rozumiesz... Ja albo ty. Wybacz, stary.
- Woron...
- Wybacz... Piorun przeszył mnie od głowy w dół. Woron zmrużył oczy i nacisnął za spust.

– Klik!

– Klik!

– Klik!

To był jak trans, z którego nagle się ocknąłem. Pistolet wypadł mu z ręki i uderzył o suchą ziemię.

– Woron...

– Nie! – krzyknął, po czym chwycił za nóż i wbił go sobie w pierś.

Trwało to ułamek sekundy. Nim zdążyłem zareagować, jego ciało wzdrygnęło się, zatrzęsło nim, po czym znieruchomiał. Powoli osunął się na bok.

Usiadłem. Zapanowała dla mnie cisza. To nic, że huk rozdzierających powietrze fontann ognia nieustannie uderzał w moje uszy. Czułem się jak gdyby ktoś mi strzelił koło głowy. Myśli krzątały się gdzieś bez ładu, a ja nie wiedziałem co począć. „Woron, czemu to zrobiłeś?”, powtarzałem sobie. „Wiedziałeś, że tylko jedna osoba jest stanie się stąd wydostać. Po prostu wiedziałeś to. Ale

czemu tak?”.

Trwałem tak jeszcze przez chwilę, nie zważając na szalejące dookoła piekło. Straszne myśli przychodziły mi do głowy, a ja nie chciałem ich słuchać. A jednak. Czy to prawda? Czy on właśnie ocalił mi życie? „Tylko jeden stąd wyjdzie”. To jego słowa. Tak, to jednak był on. Cały on. Wiedział czego chce. Tylko Woron zdolny był dostrzec to, co ja próbowałem zatuszować. Czemu chciałem zaprzeczyć. Nadzieja. Czy tchórzostwem jest trwanie w nadziei w obliczu zagłady? A może głupotą? Czy byłbym w stanie zachować się jak on? Poświęcić, życie swoje albo jego. Ileż odmian ma chęć przetrwania. Ileż ścieżek można w niej obrać. Jakże wybrać właściwą? Zachowałem się jak tchórz. Chciałem ocalić nas obu, on chciał tylko jednego z nas. Mimo to czułem, że postąpił właściwie.

Teraz, właśnie teraz wiedziałem, że mam jeszcze szansę.

Wstałem. Spojrzałem wprost w ciemność, w której czaiła się ostateczna nagroda. To po co tu przybyliśmy. Rzecz, z którą wielu stalkerów oddało już życie, a teraz jeszcze Woron. Przedmiot wielkiej mocy, którego pochodzenia nikt nie jest w stanie jak dotąd

wyjaśnić. Musiał tam być. Inaczej nie miałoby to sensu.

Wzięłem głęboki wdech. Teraz albo nigdy.

Wbiegłem na cegły. Było ciepło. Coraz cieplej. Nie zważałem na to. Szybko wdrapałem się na szczyt. Blask ognia za plecami był wystarczająco jasny. Spojrzałem w dół.

Był tam. Ciężko było go dostrzec, ale udało mi się. Przezroczysty kryształowy twór, migocący blaskiem szalejącego dookoła ognia. Był gigantyczny, może wielkości mojej głowy. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego wielkiego. Leżał swobodnie, niewinnie niczym porzucona zabawka. A jednak czułem jego moc, wiedziałem, że oto mam przed sobą przedmiot nie z tej ziemi.

Panował piekielny żar. Poparzona skóra protestowała, zmuszała mnie do ucieczki przed czającą się tu anomalią. Złapałem za jedną z cegieł i rzuciłem nią w dół, w stronę artefaktu. Nagle, wielki słup ognia wystrzelił w niebo. Potworny gorąc owiał moje ciało. Zasłoniłem ramieniem oczy, cofnąłem się o krok. Ta fontanna ognia była wyższa niż wszystkie inne. Strzelając w górę po jakichś pięciu metrach, wyginała się w przedziwne kształty pod

wpływem znajdującej się tam anomalii grawitacyjnej. Rozlewała się na wszystkie strony, tworząc w powietrzu spirale i serpenty-ny żywego ognia. A na dole, wśród szalejących płomieni tańczył muskany płomieniami Kryształ.

Musiałem to zrobić teraz. Nie było już wyjścia. Skuliłem się i zrobiłem krok w przód po kruchych ceglach. Przez porysowaną szybkę hełmu widziałem go wśród płomieni.

Kolejny krok w dół

I kolejny.

Nagle, jedna z cegłówek obsunęła mi się spod moich stóp. Sparaliżował mnie strach. Upadłem na plecy i poczułem, że staczam się prosto do szalejących płomieni. Chciałem się czegoś złapać, ale wzbijałem tylko pył i strącałem kolejne cegły. Ogień był coraz bliżej. Huk płomieni ogłuszał mnie, że nie słyszałem nawet własnego krzyku.

I znowu przerażający żar.

Spadłem na sam dół. Uderzyłem brzuchem o twardą ziemię, z lewą ręką pod sobą.. Przede mną rodziło się piekło. Nie mogłem

patrzeć. Paliłem się, gotowałem. Czułem jak kombinezon kurczy się na mnie, a materiał zaczyna się wypalać. Rozgrzane powietrze wniknęło do środka, owiało mi ciało, parząc i wysuszając je. Byłem pewien, że umrę.

I wtedy mrugnął mi przed oczyma delikatny blask Kryształu. Odruchowo wyciągnąłem gołą dłoń w stronę ognia i poczułem to.

Był chłodny. Trzymałem rękę na Kryształu w samym sercu ognia, a mimo to czułem chłód. To uczucie rozlało się po moim ciele. Znikł gdzieś ból oparzeń, przestałem odczuwać żar. Języki ognia prześlizgiwały mi się między palcami, muskając je swym ciepłym dotykiem. Włosy na dłoni momentalnie uległy spaleniu, ale skóra pozostawała nietknięta.

Powoli wyciągnąłem artefakt ze środka. W jego wnętrzu widziałem szalejące głęboko płomienie. A więc, to było to? Ta moc, o której mówił Woron? Ciężko opisać jak się wtedy czułem. To uczucie było zbyt nierealne. Nie jestem bogiem, a mimo to żywioł nie czynił mi krzywdy. Niesamowite wrażenie niczym sen. Tyle, że materialne i prawdziwe.

Oniemiały z wrażenia wstałem i szybko wygramoliłem się na górę. Powoli zacząłem iść w stronę ściany ognia, która uprzednio o mały włos nie zabiła mojego towarzysza. Teraz ten leżał martwy koło mnie, gdy go mijałem. Ale ja patrzyłem się w kryształ.

Nie mogłem w to uwierzyć. Tyle zachodu po ten kawałek kryształu? Czy to naprawdę było tego warte? Życie moje i Worona postawione nad przepaścią. Nie miałem dużo czasu. Wiedziałem, że z każdą chwilą artefakt wydziela kolejne dawki zabójczego promieniowania. Mimo to nie śpieszyłem się.

Powoli wszedłem w zamykający wyjście z zaułka wir ognia, który był teraz dla mnie niczym powiew ciepłego wiatru. Choć na tę chwilę posiadałem moc, o jakiej wcześniej mogłem marzyć, wiedziałem że uczucie to jest daremne, chwilowe. Ale nie to było najgorsze. Wiedziałem, że na zewnątrz nikt na mnie nie czeka, tylko mroźna pustka Zony. Lasy pełne mutantów, bandyci i anomalie. Gdzieś dalej na wschód Bar, a w nim nagroda.

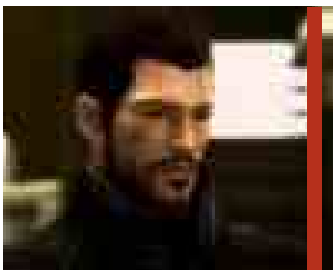
Piętnaście tysięcy rubli.

Właśnie tyle dostanę za dostarczenie tego artefaktu do barma-

na. Taka była cena życia Worona. Tyle zapłacą mi za ów boską moc, jaką im dostarczę. Starczy to ledwo na leczenie oparzeń i nowy kombinezon. I tyle, nic więcej. Nie ma sprawiedliwości w Zonie.

Proszę, nie pytajcie mnie, czy było warto. Nigdy nie pytajcie, żadnego stalkera czy było warto, bo nie ma ceny rublach czy innej walucie, która zrekompensuje straty jakie każdego dnia ponosimy. Dzień za dniem. I tak w kółko.

Takie to już życie w Zonie.



Gizbarus

Frakcja: Samotnicy

Ulubiona broń: Sniper

Rifle SVDm2

Samotność w zonie

To moje najnowsze opowiadanie, na które przyszła mi wena znów wtedy, kiedy nie powinna (czyt. na wyjeździe), w związku z czym w ciągu godziny z zapartym tchem napisałem trzy strony A4... Mam nadzieję, że przypadnie wam do gustu - to powieść specyficzna, bo do tej pory nie zawarłem w niej żadnych dialogów (to najpewniej zmieni się w przyszłości) i akcja rozgrywa się w czasie rzeczywistym (to akurat nie ulegnie zmianie :wink:). Bohater jest... No właśnie - niby zwyczajnym, acz doświadczonym stalkerem, nie znanym nam z imienia ani wyglądu - to pozwala każdemu z czytelników pobudzić wyobraźnię i uczynić go takim, jakim sami sobie go wyobrazimy :wink: W każdym razie, jak mówiłem - wstępy nigdy mi nie wychodzą, więc przechodzę do prezentowania moich wypocin i zachęcam o konstruktywnych komentarzy, a także sugestii, jak chcielibyście, żeby dalej rozwinęła się historia :wink:

7.30

Z dokładnością jak w szwajcarskim zegarku codziennie budzę się o tej godzinie. Nie wiem, czy to odgłosy życia Zony zmieniają ton w taki sposób, że mój organizm to wyczuwa i woła na pobudkę, czy po prostu zegar biologiczny ustalił sobie takie, a nie inne działanie. Zresztą, to nieistotne.

Na dworze delikatna, poranna mgła, najpewniej zniknie w ciągu maksymalnie dwóch godzin – zapowiada się piękny dzień, na ile dzień może być piękny w takim miejscu. Nie czuję żadnych zapachów, co oznacza że moja specjalna maść idealnie spełniła swoje zadanie, a także nic podejrzanego nie kręci się w pobliżu. Dźwięki? Delikatny szum pobliskich drzew i kapanie ostatnich kropeł wody po deszczowej nocy.

Po tych wstępnych ocenach otoczenia dochodzę do wniosku, że mogę bezpiecznie wyjść ze spiwora. Cały cykl czynności łącznie z zapakowaniem się do drogi zajmuje mi nie więcej jak trzy minuty. To jednak może być za wolno, na przyszłość muszę nad

tym popracować.

Szybko przeglądam stan ekwipunku – „pionówka” jak zawsze idealna, beretta będzie niedługo wymagała naprawy gwintu tłumika, ale póki co da radę, nóż wciąż ostry jak brzytwa, a skórzany płaszcz i kamizelka zdjęta z najemnika, mimo paru nowych naszywek, jeszcze przez jakiś czas będą spełniać swoje zadanie.

Postanawiam ruszyć się z mojej kryjówki – wyglądam przez zabrudzone upływem czasu i działaniem natury okno, szukając śladów podejrzanego aktywności.

Spokój i cisza, można wychodzić.

Opuszczam drabinę ze strychu, schodzę w dół wywołując trzeszczenie próchniejącego drewna przy każdym kroku i staję na drewnianej podłodze, wzniecając drobinki kurzu. Otwieram skobelek na spróchniałych drzwiach – totalnie bezcelowe zabezpieczenie – i wychodzę na zewnątrz. W moje nozdrza z całą swą mocą uderza zapach Zony – specyficzny, słodko-słony smród stęchlizny i rozkładających się ciał wymieszany z aromatem napromieniowanych traw i pączkujących drzew. Wychodzę pomiędzy

otaczających moją kryjówkę chaszczy i trzciny, czujnie rozglądając się dokoła.

Cisza.

Wypracowanym przez lata życia w Zonie szóstym zmysłem wyczuwam, że coś musi być nie w porządku – w tym piekle praktycznie nigdy nie jest aż tak cicho, chyba że...

Jak na znak mojej myśli, niebo zaczyna przybierać krwistoczerwoną barwę i zachodzić gęstymi chmurami, a do głowy wpycha się przeciągłe buczenie. Emisja! Wygląda na to, że jedna z mocniejszych – mój mały domek na pewno nie da mi teraz niezbędnego schronienia. Staję jak wryty na moment, w głowie obliczając odległości do paru innych kryjówek.

Jaskinia pod nasypem kolejowym! Spinam mięśnie do biegu i sprintem puszczam się przed siebie, nie zważając na nogi wpadające w błoto czy wysokie trawy smagające mnie po twarzy. Biegnę skupiony tylko na dotarciu do schronienia, zanim będzie za późno. Nogi zaczynają ciążyć mi coraz bardziej, oddech zaczynam słyszeć jakbym trzymał głowę w wielkim słoiku - dociera do mnie coraz

wyraźniej świadomość, że mogę nie dobiec na czas. Wokoło mnie powietrze gęstnieje, kolor nieba zmienia odcień na coraz ciemniejszy, słyszę coraz bliżej wyładowania uderzające w ziemię... Jeszcze tylko parędziesiąt metrów... Przebiegam pod zwalonymi częściowo przęsłami mostu, czując w ustach coraz intensywniejszy smak krwi i w końcu rzucam się do jaskini i wbiegam w głąb niej.

Jestem wyczerpany, ale nie czuję już tego tępego buczenia w głowie, jak gdyby mój czerep miał eksplodować. Przed oczami zaczynają biegać mi mroczki: po części od wysiłku, po części od długiego wystawienia na działanie emisji, w związku z czym daję radę tylko ułożyć się na podłożu, by nie poobijać się przy upadku i trać przytomność...

8.42

Kiedys kupiłem u Sidorowicza zegarek na rękę z funkcją alarmu. W zasadzie budzik był i jest mi całkowicie zbędny, jednak zawsze przydaje się możliwość sprawdzenia aktualnej godziny. Choćby

teraz: dowiedziałem się ile czasu byłem nieprzytomny.

Po otwarciu oczu i zobaczeniu godziny sprawdzam stan swojego wyposażenia jak i organizmu. Oprócz błocka na całym płaszczu i lekkiego bólu głowy wszystko wydaje się być w porządku. Wychodzę ostrożnie przed jaskinię i nasłuchuję dłuższą chwilę, by wyczuć nieproszonych gości. Nic podejrzanego, dobrze. Postanawiam wspiąć się na przęsła częściowo zawalonego mostu, aby stamtąd rozejrzeć się wokoło za innymi stalkerami – rannymi, lub może raczej martwymi – albo pobliską zmutowaną zwierzyną. W oddali zauważam bawiące się stadko mięsaczy – to dość smutne, a zarazem zabawne i ironiczne, że istoty gotowe wygryźć ci trzewia są też w stanie bezinteresownie bawić się, kulając swoje obłecielska po ziemi. Chociaż... Nachodzi mnie nagle myśl, że przecież my, ludzie, jesteśmy dokładnie tacy sami – potrafimy rano mordować bez mrugnięcia okiem, a wieczorem bawić się w najlepsze. Kontynuuję rozglądanie się i kilkadziesiąt metrów od jaskini widzę nieruchomy kształt, częściowo zanurzony w błocku. Postanawiam to sprawdzić – zejście z mostu zajmuje mi parę chwil, ponowne

odnalezienie ciała, tym razem z perspektywy naziemnej, zabiera mi kolejnych parę minut. W końcu stoję przy zwłokach.

Stalker. Patrząc na kolory, wolnościowiec. Biedny dureń, nie zdążył dobiec na czas.

Trup leży twarzą do dołu, więc najpierw obszukuję jego plecak. Dwie konserwy, pół czerstwego już chleba, jedna stłuczona flaszka, zapasowe filtry do maski przeciwgazowej i duża paczka zapalek, pełna do połowy. Do tego pudełko tabletek na nadciśnienie, zestaw medyczny pierwszej pomocy i parę paczek bandażu. Jest coś jeszcze... Pocztówka? Nie, zdjęcie. Młody mężczyzna z kobietą w podobnym wieku, oboje uśmiechnięci. Siostra, żona? Z tyłu jest coś napisane... „Choć tak daleko, to jednak blisko. Lena”. Cokolwiek to znaczy. Chowam fotografię do kieszeni płaszcza, może się przydać. Przy okazji zabieram całą zawartość plecaka nieszczęśnika i obracam go na plecy. Na pasie ma dwa magazynki 9x18 mm – jeden sześć naboji, drugi osiem. Ładownice na kamizelce kryją trzy magazynki łukowe do SWD, z czego dwa puste i jeden z czterema pociskami. Karabinu nie ma nigdzie w pobliżu, być

może zgubił go podczas ucieczki, jednak na biodrze truposza jest Makarov z pełnym magazynkiem. Zabieram go razem z amunicją – w ostateczności opchnę je jakiemuś kotu. Jednak kiedy chcę się podnieść i oddalić, przez ślady błota na ciele zauważam ranę, która zwraca moją uwagę...

Podcięte gardło?

Wolnościowiec jest jeszcze lekko ciepły, więc musiał zostać zaatakowany na chwilę przed emisją... Ale kto ryzykowałby atakowanie kogoś nożem na moment przed uderzeniem? Coś zaczyna mocno mi tu nie pasować – tak samo jak brak karabinu w pobliżu zwłok. Zamykam oczy, próbując skupić swój słuch i węch w poszukiwaniu czegoś lub kogoś podejrzanego w pobliżu. Nadal nic. Otwieram oczy i patrzę dokoła, szukając śladów w błocie, poza tymi pozostawionymi przez denata przed śmiercią.

Pusto.

Emisja potrafi całkowicie przemeblować Zonę... Zastanawiam się chwilę, kto nie bałby się zaatakować innego stalkera na sekundy przed jej uderzeniem – w pobliżu nie było żadnej innej

kryjówki, poza jaskinią, w której kryłem się sam, więc ktoś w ten sposób naraziłby się tylko na bolesną i bezsensowną śmierć.

Dźwięk!

Blisko mnie, co najwyżej pięć metrów za moimi plecami słyszę delikatny odgłos, wydawany zazwyczaj przez kogoś, kto usilnie stara się poruszać jak najciszej. W zasadzie usłyszałem go tylko dzięki wyczulonym przez lata życia w Zonie zmysłom... Nie daję po sobie poznać, że wiem o obecności napastnika. Napastnika... Osoba z wrogimi zamiarami strzelałaby od razu, nie bawiąc się w żadne podchody, natomiast ktoś nastawiony przyjacielsko od razu dałby znać słowem lub gestem o swojej obecności. Nie jestem pewny tej sytuacji, dlatego czekam na jej rozwój.

Klik!

Słyszę dźwięk odciąganej zamka broni – czyżby Colt 1911? – i czuję lufę przyłożoną do mojej głowy. Cóż za beznadziejnie filmowy gest... Chwilę potem słyszę słowa wypowiedane zza maski, także lekko zniekształcone w swoim brzmieniu:

- Stalkerze, masz coś, co nale...

Napastnik nie zdąży dokończyć zdania, bo błyskawicznie się odwracam, lewą ręką odtrącam broń, a prawą zaciskam w pięść i wbijam w żebra celu. Kiedy wróg składa się po ciosie, poprawiam kopnięciem w kolano i uderzeniem płazem dłoni w kark. Adrenalina opada, podobnie jak mój niedoszły oprawca – teraz mogę mu się przyjrzeć.

Monolit...??

Patrzę na zwijającego się z bólu, półprzytomnego członka Monolitu... Dlaczego nie zabił mnie od razu? Może to zdobyczny kombinezon... Choć w zasadzie wygląda jak spod igły – poza paroma przybrudzeniami. Wyciągam z plecaka flaszkę, odkręcam ją i ściągając mu z twarzy maskę zaczynam wylewać na jego twarz, żeby odwrócić jego uwagę od bólu i skupić na mnie.

Jego... JEJ twarz!

Po opadnięciu kaptura i zdjęciu gumowej maski przeciwigazowej widzę przed sobą młodą kobietę z jasnymi włosami, próbującą gorączkowo pozbyć się alkoholu, który dostał się do jej ust i oczu. Kucam przed nią, chwytam ją pod brodę i patrząc w oczy mówię

do niej chrapliwym głosem odwykłym od prowadzenia dialogów:

- Gadaj.

Dziewczyna w końcu daje radę zogniskować na mnie swój wzrok – patrzy na mnie ze strachem w oczach. Żaden z doświadczonych bojowników nie czuje strachu, ani żadnych innych uczuć, więc ona musi być dopiero wdrażana. Otwiera usta i bezgłośnie nimi porusza – domyślam się, że wypowiadała jakąś mantrę do Monolitu... Po chwili odpowiada łamiącym się głosem:

- Zdjęcie... Proszę... To pamiątka, specjalnie wróciłam po nie...

Domyślam się od razu o jakie zdjęcie jej chodzi i dlaczego to pamiątka – to właśnie ona była dziewczyną u boku młodzieńca na fotografii. Nie mam pojęcia jak się tu znalazła i skończyła w taki sposób i nie wiem, czy chciałbym wiedzieć. Domyślam się tylko, że zapewne kazali jej zabić przyjaciela jako przysięgę wierności, czy jakoś tak... Świry. A ona na pewno uciekła od patrolu, bo chciała nie zapomnieć tego, którego musiała zabić – pieprzony świat. Muszę tylko spytać o jeszcze jedną rzecz, która właśnie

wpadła mi do głowy.

- Ilu was jeszcze jest?

Dziewczyna jest na skraju załamania, może też dlatego, że właśnie patrzy kątem oka na swojego zabitego przyjaciela, czy kochanka... Po chwili odpowiada:

- Tylko ja i mój mentor... To miał być test, ale ja go nie zdałam, on musiał go...

Zanim wypowiada zdanie do końca, słyszę huk wystrzału z SWD i widzę, jak jej głowa odskakuje po trafieniu kulą 7.62 mm... Do głowy wpada mi szalona myśl „oto zaginiony karabin!” – zanim jej ciało dotyka ziemi, uskakuje w bok, w kępę największych traw i krzaków, żeby ukryć się przed wzrokiem strzelca. Ona upadła w prawo, dźwięk rozchodził się z tej strony... Most! Strzelec jest na moście! Zaczynam spoglądać spomiędzy chaszcz – niewielki dystans, może 30 metrów, bez problemu podziurawię suczego syna śrutem. Ściągam powoli z pleców ‘pionówkę’, wyskakuję z krzaków, robię obrót po ziemi, słyszę kolejny strzał, szczęśliwie chybiony, po czym wstaję i niemal od razu przykła-

dam kolbę do policzka – oddaję dwa strzały, jeden po drugim. Na tym dystansie śrut nie ma jeszcze dużego rozrzutu, więc siła uderzenia powinna przynajmniej mocno oszołomić cel. Patrząc, jak strzelec spada z przęsła na dół. Łamię karabin, wyrzucając puste loftki i nabijam go ponownie. Zakładam broń na plecy, wyciągam berettę i biegnę w stronę mostu. Mój cel leży pod nim – jego twarz jest poharatana śrutem, tak samo jak wierzchnia warstwa pancerza. Do tego szyja jest nienaturalnie wykrzywiona – widać skreślił kark przy upadku. Szybko przeglądam jego ekwipunek, zabieram karabin i wracam do ciała dziewczyny. Nie ma dla niej szans – kula przeszła przez szyję. Kiedy ja ostrzeliwałam się z jej mentorem, ona zadusiła się własną krwią, o ile nie umarła od razu. Sprawdzam, co może mieć przy sobie przydatnego – zabieram Colta z czterema zapasowymi, pełnymi magazynkami i jej PDA – może dowiem się czegoś ciekawego. Zamykam jej oczy, oddając ostatnią przysługę, po czym oddalam się nie oglądając się za siebie.

9.37

Idę przed siebie, myśląc kto mógłby złamać zabezpieczenia PDA dziewczyny – parę chwil wcześniej okazało się, że jest chronione hasłem. Nie mogę przestać myśleć o tej sprawie i nie mam pojęcia dlaczego – przecież nic ona dla mnie nie znaczyła, a jednak nie potrafię wyrzucić z głowy obrazu jej śmierci.

Rugam sam siebie – co mi odbija, żeby na starość robić się jakimś sentymentalistą? Do głowy powolutku i nieśmiało przesącza się myśl, że może w ten sposób podświadomie chcę odkupić grzechy przeszłości...?

NIE!

Przeszłość, to przeszłość – co się stało, już się nie odstanie. Może moje działania wynikają po prostu z faktu, że to była kobieta, czy raczej dziewczyna? Samica w każdym razie, a ich wiele tu nie widać... W zasadzie przez wszystkie te lata widziałem tu tylko jedną – udawała faceta, co nie było trudne z jej wyglądem i budową ciała. Jednak szybko źle skończyła... W końcu sama

odebrała sobie życie – i pomyśleć, że tu, gdzie każdy z nas powinien trzymać się razem i pomagać nawzajem, inni są gotowi do takiego okrucieństwa...

Ból?

No tak. Zaciskam ze złości pięści z całej siły... Rozluźniam je, zatrzymuję się na chwilę i unoszę dłonie do oczu – przelały tyle krwi, a teraz wespół z umysłem zbiera im się na heroiczne czyny i ratowanie martwych dziewic od nieistniejących smoków... Szkoda, że nie słuchają mnie samego. Z drugiej strony... Zawsze ciekawość zżerała mnie od środka w przypadku spraw niejasnych i tajemniczych.

Koniec fruwania z głową w chmurach!

Skupiam się na powrót na trasie jaką sobie obrałem. To w końcu Zona, nie spacer po parku. Sprawdzam mapę w moim PDA – do bazy tych czubków z Czystego Nieba jeszcze około kilometra. Ja-jogłowi kretyńni ze spluwami... Ten cały Liebiediew śmierdzi mi na kilometr jakimiś tanimi sekretami – ciekaw jestem, na ile on sam okłamuje swoich ludzi i na ile oni mają tego świadomość. Jednak

póki co, najbliższy gość, który zna się na grzebaniu w elektronice, jest u nich – mam trochę rubli, powinno wystarczyć na opłacenie usługi. Do tego zabrałem karabin tego wolnościowca, użyty przez monoliciarza – jest w dobrym stanie, więc może dostanę za niego dobrą sumkę. Albo wymienię za informację, czy przysługę...

Pik!

Staję w pół kroku. Rozglądam się wokoło w poszukiwaniu anomalii... W tej części bagien były same 'trampoliny', z tego co dobrze pamiętam... Dokładnie tak – pół metra na prawo ode mnie zauważam specyficzny bąbel z krążącymi wokoło kawałkami liści i ściółki, trochę dalej drugi i trzeci. Dla pewności wyciągam detektor, ale niestety jest jak myślałem – niczego nie zrodziły. Omijam ostrożnie anomalie i ruszam w dalszą podróż, tym razem zachowując wzmożoną czujność.

Kontynuuję marsz – po dzisiejszej emisji Zona jest zadziwiająco pokojowa i spokojna... Nie zawsze tak się zdarza. Jednak nagle jak na komendę jakiś dźwięk dociera do moich uszu.

Krzyk..?

Kryję się za pobliskim, skarłowaciałym drzewem i nasłuchuję. Tak, krzyk – ktoś woła o litość. Czyżby znów bandyci czy inne ścierwa? Głos zaczyna się zbliżać, czyżby ktoś się urwał i ucieka? Patrę ponad wysokimi trawami i tatarakami, po chwili zauważam przyczynę zamieszania. Jakiś kot biegnie panicznie przed siebie, co drugi krok potykając się i wpadając w błoto, a za nim truchta... Dzik? Sam, jeden dzik? Z zażenowaniem uderzam się dłonią w czoło, po czym ściągam z pleców 'pionówkę' i biorę zwierzaka na cel. Panikarz przebiega kilka metrów przede mną, nawet mnie nie zauważając. Nie wiem, czy to zasługa moich zdolności wtapiania się w otoczenie, czy po prostu jest tak przerażony, że nie zwraca uwagi na nic innego, poza uciekaniem. Chwilę po nim w zasięgu strzału pojawia się sprawca tego rabanu. Naciskam spust, czuję uderzenie kolby w ramię, lufa minimalnie podbija do góry – dostał. Podchodzę bliżej, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyje – dzik leży na boku, coraz słabiej wierzgając po ziemi kopytami. W jego oczach widzę niemy wyrzut – smutne spojrzenie umierającego, rzucające we mnie oskarżeniem... Mutant, czy

nie – nie powinien cierpieć agonii. Wyciągam berettę i oddaję dwa strzały w jego łeb.

Po chwili pojawia się panikarz, zwabiony odgłosem strzałów. Podchodzi niepewnie, jak gdyby bał się, że jego też zastrzelę. Daję mu znak ręką, że może podejść. W międzyczasie zabieram się za skórowanie zwierzyny. Paskudna sprawa nieść takie niewygarbowane – nomen omen – świństwo w plecaku, ale do czasu dojścia do bazy nie powinno się zepsuć. Dodatkowo, wycinam parę kawałków schabu – moczone przez jakiś czas w wódce miękną i nie są aż tak radioaktywne...

-Ehem... Dzięki za pomoc, wiesz?

No tak, gość stoi tu dobre pięć minut, skoro zdążyłem już oporządzić dzika. Wstaję i odwracam się do niego. Odpowiadam chrapliwym głosem:

-Nie ma sprawy. Broń?

Pokazuję głową na pustą kaburę na udzie chłopaka – teraz dopiero miałem okazję mu się przyjrzeć... Młody szczawik, najwyżej 20 lat na karku. Nic dziwnego, że piszczął jak panienka...

Co tu tak ciągnie tych młodocianych głupców? W międzyczasie moje rozmyślanie przerywa jego odpowiedź:

-Eee... Zgubiłem... Jak uciekałem... Leży pewnie gdzieś w błocie i już go nie znajdę... A dałem za niego całe 500 rubli...

Robi mi się żal tego idioty, więc ściągam plecak, wyciągam z niego zabranego wcześniej Makarova i dwa magazynki i podaję dzieciakowi. Mówię mu:

-Bierz i spadaj. I nie daj się głupio zabić. Albo najlepiej...

-Co najlepiej?

-Najlepiej wynoś się z Zony i dziękuj, że uszedłeś z życiem.

11.25

-Stój! Ręce w górę!

No tak. Baza jest już blisko, w trzcinach i krzakach siedzą strażnicy... Ten jeden brzmi dość nerwowo – albo jest nowy, albo stało się coś, co wywołało taką nerwówkę. Może jedno i drugie. Unoszę powoli ręce w górę i odwracam się do tyłu. Istotnie, obok

pobliskiej kępy trzciny stoi młody stalker, ubrany w kombinezon pomalowany w kretyńskie niebiesko-białe kolory. Kamuflaż, cholera... Widzę, że wyciąga zza pasa opaskę na oczy, jednak uprzedzam go i mówię:

-Nie ma potrzeby, znam drogę. „Za trzecią sosną w prawo, przewodniku”, co?

Strażnik jest zdziwiony – nie zaskakuje mnie to – ale kiwa głową i pozwala mi iść dalej, samemu kryjąc się na powrót w trzcinach. „Za trzecią sosną w prawo, przewodniku”, to dość oklepane hasło, jednak łowcy i tropiciele odwiedzający bazę jajogłowych nadal je stosują. Powoli i nieśpiesznie kieruję się do bazy. Zaczynam już słyszeć gwar rozmów i inne hałasy wiążące się z większymi skupiskami ludzi. Wychodząc zza kolejnej gęstwiny krzaków i drzew w końcu zauważam cel mojej wędrówki. Grupka stalków w mundurach Czystego Nieba, paru neutralnych łowców czy przewodników. W okolicy głównego budynku kręci się jeszcze paru jajogłowych. Jak to jest, że każdy z nich ma prawie łysy łeb? Mimo woli przyglądam się drewnianemu, piętrowemu budynko-

wi, będącemu centrum dowodzenia – od ostatniego razu kiedy tu byłem, zaczął się sypać jeszcze bardziej. Dziury w ścianach, powyrywane okna, brak sporej części dachu, wszędzie pleśń... Wygląda coraz gorzej. Odnoszę wrażenie, że wcale o niego nie dbają, mimo że to przecież jakby ich dom. Załamuje mnie taka bezmyślność niektórych. No nic – wzruszam ramionami i ruszam przed siebie, stawiając kroki po ułożonych w ścieżki deskach. Prowizoryczne zabezpieczenie przed wdepnięciem w co głębsze kałuże błota... W końcu to bagna. Kieruję swoje kroki do barmana – jego siedziba także się nie zmieniła. Mała, obskurna budka z wypolerowanym jak lustro szynkiem, a na przeciw kilka wysokich stolików zbitych z butwiejących desek, czy starych palet. Przy niektórych stoją pojedyncze osoby, lub małe grupki, część jest pusta. Podchodzę do tak zwanego 'kierownika bałaganu' i staję przy ladzie. Ściągam plecak, kładę go na blat, rozpinam i wyciągam wilgotną, zwiniętą w kostkę skórę ściągniętą z dzika. Patrzę na barmana unosząc lekko prawą brew – niemy odpowiednik pytania „ile i czemu tak drogo?”. On z kolei nawet nie drgnie, udając że „nic tu przecież nie

ma”. Jednak zanim nasz niemy pojedynek – nie pierwszy zresztą w ciągu ostatnich lat – nabiera tempa, podchodzi do mnie jeden z klientów i pyta:

-Ile za taki dywan, bracie?

Przyglądam mu się chwilę i widzę prawdziwego weterana Zony – zarówno wiekiem jak i doświadczeniem. To ten typ człowieka, który może sobie pozwolić na noszenie zwyczajnego skórzanego płaszcza z maską przeciwigazową przy pasie i używanie normalnej dwururki – zawsze będzie tak samo skuteczny, choćby biegał na gatkach z leszczynowym badylkiem. Odpowiadam mężczyźnie:

-Pięćset.

Przez chwilę mierzy mnie wzrokiem, po czym podchodzi bliżej lady, bierze w ręce skórę, rozwija ją, oceniając jakość i stwierdza:

-Czterysta i zjesz z nami porządny obiad przy dobrej gorzałce. Lowa robi zawsze niezłe żarcie przy ogniu, nie to co niektórzy...

Zamierzona kpina zawisła w powietrzu jak siekiera w malutkim pomieszczeniu bez wentylacji, wypełnionym po brzegi nałogowymi palaczami... Barman jednak grymasi tylko chwilę jak nabur-

muszone dziecko, macha ręką dając nam gest w stylu „jak się wam nie podoba, to idźta se gdzie indziej” i powraca do opierania się łokciami o szynk. Wzruszam ramionami i wyciągam dłoń do mojego kontrahenta. Ten ściska ją, po czym wyciąga umówione czterysta rubli i wręcza mi banknoty. Wskazuje głową na ognisko niedaleko, przy którym siedzi już paru stalkerów i mówi:

-Za jakieś dziesięć minut Lowa skończy pichcić. Chodź, od razu z nami przycupniesz, to odkorkujemy flaszkę przed wyżerką – żeby oblać interes.

Kiwam głową na znak zgody i ruszam za mężczyzną. Po chwili siadamy na pniakach wokół ogniska, patrząc na siebie, ale nic nie mówiąc. Nieufność... Im dłużej jesteś w Zonie, tym bardziej wysysa ona z ciebie ludzkie odruchy... Jak gdyby chciała się na tobie zemścić, za twój pasożytniczy byt. Jak gdyby chciała cie odmienić w sposób inny, niż mutacja, pokazać swoją władzę... Siedzimy tak parę dłuższych chwil, popijając z odkorkowanej przez starca flaszki, wsłuchując się w trzaskające płomienie i wachając wdzierający się do nozdrzy smakowity zapach obiadu. W końcu mężczyzna na-

zwany wcześniej Lowa ściąga garnek znad paleniska, rozdaje nam blaszane miski i nalewa każdemu porcję. Uśmiecha się szeroko i z teatralnym ukłonem mówi:

– Smacznego, moja droga klientello!

Nie jest stąd, to pewne. Ma akcent jakby prędeziej przywiało go tu z zachodniej Europy. W każdym razie, każdy z nas zabiera się za jedzenie. O ile wygląd potrawy pozostawia wiele do życzenia – ot, brązowa breja z kawałkami mięsa – o tyle smak rekompensuje wszystkie braki. Nie mam pojęcia, skąd on wziął tu warzywa, ale parokrotnie przegryzam coś, co chyba jest papryką... Mięso też smakuje nieźle – nawet nie czuć specyficznego, lekko metalicznego posmaku napromieniowanego pożywienia. Hm, do tego jeszcze przyprawy... Ciekawe. Z przyjemnością zjadam danie do końca, wyjadając resztki z miseczki pajdą chleba. Po wszystkim wstaję, kiwam z uznaniem głową kucharzowi, żegnam się gestem z resztą i odchodzę. Teraz, z pełnym brzuchem na pewno lepiej będzie się gadało z jajogłowym od elektroniki. Wchodzę do głównego budynku, w duchu cicho licząc na to, że nie zawali mi się na

głowę. Technika znajduje tam, gdzie zwykle – i jak zawsze siedzi z nosem w jakichś elektronicznych cudach, o których wiem tylko tyle, że w Zonie często zawodzą. Podchodzę do niego i wymownie chrząkam, żeby zwrócić jego uwagę. Odwraca się w moją stronę, poprawia na nosie okulary i pyta:

–Tak? W czym mogę pomóc, stalkerze? Wiesz, mam dość napięty harmonogram...

Wyciągam PDA dziewczyny i podaję mu je. Mówię:

–Potrzebuję złamać zabezpieczenia. Ile i jak długo?

W tak zwanym 'normalnym świecie' każdy w takiej sytuacji patrzyłby na mnie krzywo. Na pewno ukradł. Na pewno zabił poprzedniego właściciela. Na pewno chce wykorzystać te dane, żeby kogoś pogrożyć albo szantażować. Na pewno kłamie. Pod tym względem Zona oferuje komfort – zapłacisz i wiesz, że nie przyjdą nawet do głowy takie myśli. Tutaj nie ma miejsca na rozterki moralne i wątpliwości. Zona odbarwia wszystko i zostawia tylko czerń i biel. Czy może raczej czerń i ciemny szary kolor... Profesorek po chwili dłubania przy urządzeniu odpowiada:

-Hmmm... Wezmę dwa tysiące, za mniej się nie da. Myślę, że to cudo zajmie mi z pół godzinki, może całą. Przyjdź za godzinę, dla pewności.

Kiwam głową na znak zrozumienia i wychodzę z budynku. Mam godzinę czasu na zmarnowanie.

13.33

Godzina. To tylko sześćdziesiąt minut. Minuta to tylko sześćdziesiąt sekund. Tylko. A jednak w ciągu tych zaledwie sześćdziesięciu – czy to minut czy sekund – może zdarzyć się wszystko. Możesz zmarnować swoje życie, możesz ocalić je komu innemu, możesz całkowicie przetracić ten czas. Jak ja...

Wyrzucam te myśli z głowy. Nie chcę teraz wracać do wspominków z przeszłości. Wcale nie chcę do nich wracać. Tak się dzieje, kiedy nie wiesz, co ze sobą zrobić przez godzinę. Zły na siebie podnoszę się z prowizorycznego siedziska na uboczu obozu i wracam do technika – powinien już skończyć łamać zabezpie-

czenia. Kiedy wchodzę, PDA leży na stoliku nieopodal wejścia, a specjalista znów dłubie coś przy sprzęcie i elektronice. Odwraca się w moją stronę i mówi:

-No, poszło dość dobrze, zajęło mi to ze trzy kwadranse. Jak mówiłem, dwa tysiące.

Zabieram urządzenie, odliczam banknoty i kładę je na tym samym stoliku, po czym wychodzę. Wypadałoby znaleźć dobre miejsce, żeby sięść i w spokoju zobaczyć co za „tajemnice” skrywa PDA dziewczyny. Naturalnie, nie chcę za swoimi plecami tabunu podglądaczy i łowców informacji, więc schodzę do 'pokoju dla VIPów' w kantine, uprzednio płacąc barmanowi stawkę w wysokości 50 rubli. Kiedyś pewnie była to mała piwniczka na drewno czy jakieś zapasy. Teraz, z racji wszechobecnej stęchlizny, nie warto zostawiać tam czegokolwiek. Zona upomni się o swoją dolę wilgocią i pleśnią... Pod ścianą stoi tylko jeden mały stół i trzy krzesła, po jednym z każdej strony. Siadam na jednym z nich i wyciągam urządzenie. Wciskam przycisk „on” i czekam, aż się uruchomi. Foldery... Zdjęcia, pamiętnik... Cóż, niespecjalnie

podoba mi się myśl, żeby czytać czyis pamiętniczek, ale z drugiej strony jego właścicielce raczej jest to teraz obojętne. Jednak póki co, dalej szukam innych ciekawych plików. „Przysięga Monolitu”? Co za pompatyczna nazwa... Z ciekawości zaglądam, żeby zobaczyć, jakie banały im wciskają.

„O, Monolicie, nasz Panie, Stajemy jako orszak na twe wezwanie! Dodaj nam sił i męstwa, A nigdy nie spotka nas klęska...”

Bla, bla, bla, co za banał... Nie chce mi się czytać dalej tego bełkotu – przelatuję tylko wzrokiem resztę tekstu i biorę się za inne pliki. Po chwili postanawiam wrócić do folderu ze zdjęciami. Oho, jest parę fot z... Chyba to brat – ten sam chłopak, który był na starej fotografii. Teraz wyraźnie widzę podobieństwo między tą dwójką – ten sam nos, usta, podobne oczy... Co mamy dalej? Krajobrazy, widoki... Dziewczyna najwidoczniej lubiła fotografować wszystko dookoła – niektóre ze zdjęć wyglądają rzeczywiście ładnie. Jednak mimo wszystko, tu nie ma już nic więcej ciekawego, zobaczmy pamiętnik. Pierwszy wpis... Tutaj. Hm.

„To będzie mój dziennik. Piszę go po to, żeby nie zapomnieć,

kim jestem, a także żeby w wypadku najgorszego ktoś mógł poznać moją historię. Nazywam się Lena Sasza Łukin i znalazłam się tu, żeby odnaleźć mojego brata, Władimira. Jeśli ktokolwiek czyta ten wpis – prawie na pewno nie żyję i nadal nie udało mi się go spotkać. Proszę, znalazco, odnajdź go i oddaj mu moje PDA:

Cóż, w sumie wyszło na to, że cała ta szopka psu na budę – rodzeństwo nie żyje, więc nie mam nawet komu przekazać urządzenia. No nic, może ten stary krętacz Sowa da parę rubli za jakieś dane tu zawarte. Chcę właśnie zabrać się za przeglądanie pozostałych wpisów, kiedy nagle słyszę krzyk na zewnątrz:

-Widmooooo!!

Chwilkę potem pada strzał. Umysł w ciągu ułamków sekund analizuje sytuację – 'widma' to elita Monolitu, snajperzy i łowcy. Skoro tu są, to prawie na pewno szukają mnie. Jestem w piwnicy, ale nie wiem jak długo będę tu bezpieczny. Strzał, skąd padł strzał... Niech tylko gnojek drugi raz naciśnie spust... Tak! Wystrzelił kolejny pocisk... Wschód, południe...? Południowy wschód! Ściągam z pleców zdobyczne SWD i wybiegam z piw-

niczki na powierzchnię, po czym rzucam się za pobliski murek dla osłony. Rozglądam się szybko po obozie – strażnik z dachu leży martwy na blaszanym pokryciu, na pewno to on krzyczał. Na środku obozu leży jeden z kotów w barwach Czystego Nieba – dostał w udo, próbuje się doczołgać do osłony. Niestety, po chwili pada kolejny, trzeci już strzał – młodzik dostaje znów, tym razem w głowę. Wszyscy próbują znaleźć jakąś osłonę... Wyskakuję zza murku i biegnę w stronę niedalekiej szopy, powinna zapewnić mi wystarczającą ochronę przed wzrokiem strzelca. Po drodze snajper oddaje kolejny strzał, który mija mnie dosłownie o włos, raniąc tylko lekko mój bark. Piecze jak cholera, ale nie zatrzymuję się. Dobiegam do budynku, opieram się o niego plecami i sprawdzam stan ramienia – kula przeszła przez miękkie, nic groźnego, jednak mimo wszystko paskudzę krwią na ziemię. Wyciągam szybko z jednej z kieszeni płaszcza bandaż i wciskam go pod ubranie, przykładając opatrunek do ramienia. Widmo strzela ponownie; widzę jak kolejny stalker pada wyłuskany zza osłony. W obozie tworzy się niezłe zamieszanie – niektórzy z łowców strzelają na

oślep w miejsce, gdzie powinien znajdować się monoliciarz, dając mi tym samym szansę na względnie bezpieczne oflankowanie przeciwnika. Niedaleko są wzgórza, na sto procent siedzi gdzieś tam... Napastnik strzela ponownie – tym razem chyba pudłując – pozwalając mi na odkrycie jego pozycji.

Zrywam się do biegu spod stodoły; pędzę przez krzaki z nadzieją, że nie zdąży mnie zauważyć. Gałęzie uderzają mnie po twarzy, bark nadal piecze i boli, ale nie zwracam na to uwagi – skupiam się na czym innym. Po paru chwilach szalonego pędu z karabinem w rękach dobiegam do przyczółku – kilka sporych głazów porośniętych jakimś mchem. Stąd mam dobry widok na wzgórze, z którego strzelał. Układam lufę w szczyrbie jednego z kamieni i szukam wzrokiem mojego celu, lub kolejnego rozbłysku z lufy...

Jest!

Pada kolejny strzał – piąty, szósty? Była chwila przerwy, widocznie przeładowywał. Przyglądam się przez lunetę i dopiero zauważam sylwetkę wroga – dobrze się ukrył... Biorę wdech, stara-

jąc się uspokoić bijące szaleńczo serce, celuję po czym naciskam spust. Za każdym razem odnoszę wrażenie, jakby świat wokoło zwalniał, jak gdyby z zapartym tchem patrzył na wystrzeloną kulę, aby zobaczyć, czy dosięgnie celu... Kolba uderza mnie lekko w bark, wywołując kolejną falę bólu w ranionym ramieniu, lufa odbija w górę, pocisk trafia strzelca. Zarzucam karabin na plecy, liczę do trzydziestu, po czym biorę do rąk 'pionówkę' i truchtem ruszam w stronę zwłok, kryjąc się pomiędzy krzakami. W ciągu minuty pokonuję te kilkaset metrów. Tak jak myślałem, trup. Kucam przy zwłokach i kładę strzelbę na kolanach. Kula przeszła przez oba płuca – wszystko wokoło jest zachłapane ciemną, tętniczną krwią. Paskudna śmierć. Przeszukuję trupa – nie ma nic wartego uwagi, nawet kasy. Amunicja... praktycznie wcale – tylko jeden łukowy magazynek do SWU z pięcioma nabojami. Sam karabin ma cztery naboje, obok leży pusta ładownica. Coś tu śmierdzi... Zaczynam nasłuchiwać odgłosów otoczenia – niby wszystko jest w porządku, ale jednak...

Klik...!

Parędziesiąt, może paręnaście metrów dalej słyszę dźwięk zwalnianego zamka kałasza. Myśli jak szalone zaczynają krążyć w głowie i układać się w jedną całość, w ciągu paru sekund rozumiem wszystko... Prawie. Po prostu monolitowcy chcieli mnie zabić w bazie, albo ewentualnie z niej wywabić – wiedzieli, że jak zawsze wyrwę się do przodu. Wystawili jednego ze swoich jako podpuchę i czekali na rozwój sytuacji... W tym wypadku po prostu aż podejdę do trupa. Ciekawe, ilu ich teraz tam jest? Dwóch, trzech? I czy nie wystarczyło po prostu poczekać, aż sam opuszczę bazę...? Najwidoczniej ruszyłem coś ważnego, skoro tak im się śpieszy... W duchu przeklinam Zonę wraz z przyległościami i całym ścierwem jakie wydała. Po chwili błyskawicznie wstaję, obracam się i dwukrotnie naciskam spust strzelby, celując instynktownie. Jeszcze zanim cichną echa 'pieśni' mojej broni, rozlega się pierwszy strzał...

14.27

Pamiętam, kiedy dostałem pierwszą kulkę – to było jakiś czas przed Zoną. Dowódca mówił do nas wtedy: "Macie walczyć do ostatniej kropli krwi! Choćbyście mogli tylko ruszyć palcem - to wsadźcie go w oko pierwszego wroga, który podejdzie!". Oczywiście, co za śliczna teoria... Miałem za zadanie ochraniać jakiegoś spasionego bogacza, już nawet nie pamiętam jak się nazywał. Kiedy z tłumu ludzi pod operą wynurzył się gość z pistoletem w ręce i złożył się do strzału, osłoniłem grubasa własnym ciałem. Obe-rwałem dwie kule w kamizelkę – skończyło się na połamanych żebrach – i jedną w okolice nerki, przeszła przez kevlar... Od razu odechciało mi się wszystkiego – czułem, jak wraz z krwią ucieka ze mnie cała wola walki i życia. Miałem w głębokiej dupie wszystko – nawet to, że bogacz zginął, trafiony kolejnymi kulami zamachowca, który na końcu sam popełnił samobójstwo. Koniec końców, z braku winnego, zrobiono kozła ofiarnego ze mnie. Na szczęście po dwóch tygodniach pobytu w szpitalu pozbierałem się

na tyle, by uciec stamtąd i wykorzystując kontakty w podziemiu, przenieść się do Zony - jedyne miejsce, gdzie nikogo się nie szuka. Po tym wszystkim przysiągłem sobie, że nigdy ponownie się nie poddam, nie pozwolę sobie na takie odrętwienie jak wtedy.

Do dziś.

Wiem tyle, że dostałem trzy kule, sądząc po terkocie broni, 5.45mm. Gdzieś pomiędzy sercem a płucami, w udo i nad prawą nerką. Raczej relatywnie niegroźne, inaczej już bym nie żył. Mimo wszystko jednak nie mam siły się ruszyć. Umysł znów zaczyna zwalniać, jest mu wszystko obojętne... Nie liczy się to, że leżę z twarzą w błocie, że właśnie powoli wycieka ze mnie życie i wsiąka w brudne, wilgotne podłoże. Jednak do głowy uparcie dobija się jedna myśl – kto strzelił zaraz po mnie? Przecież nie był to żaden z monoliciarzy... Poza tym – dlaczego ja nadal żyję? Słyszę jeszcze tylko, jak ktoś do mnie podchodzi i coś mówi – nie rozróżniam już słów; czuję, jak na umysł opada zasłona ciemności i tracę świadomość...

Światło?

Kiedyś nasłuchiwałem się opowieści, żeby ”nie iść w stronę światła”. Jednak jak to zwykle bywa, po paru sekundach dochodzenia do siebie okazuje się, że to po prostu lampa, którą jakiś idiota wycelował prosto w twoją twarz... Otwieram powoli jedno oko, starając się patrzeć jakoś w bok, żeby ta cholerna żarówka tak nie przeszkadzała. Próbuję się poruszyć i zalewa mnie fala bólu – czuję się niemal, jakbym oberwał ponownie trzema kulami. Po chwili wzrok przyzwyczaja się na tyle, że mogę jako-tako rozejrzeć się po pomieszczeniu. Jakaś sala operacyjna? Cóż, do połowy ścian widać żółknięte, małe kafelki, gdzieś tam popękane – tak samo prezentuje się podłoga. Zmysły powoli zaczynają działać jak powinny – w nozdrza uderza mnie specyficzny zapach środków do dezynfekcji. Podnoszę lekko głowę i stwierdzam, że leżę na łóżku, przykryty czymś, co kiedyś było wojskowym śpiworem, a teraz robi za kołdrę. Po chwili z pomieszczenia obok – być może korytarza - słyszę parę głosów, po czym drzwi się otwierają i wchodzi mężczyzna ubrany w biały kitel. Znaczący, na pewno biały w zamierzeniu – teraz jest ”przyozdobiony” plamami krwi i innymi

płynami. Widząc, że już się obudziłem, podchodzi z uśmiechem i mówi:

– No, braciak! Szczęście macie, że żyjecie! Wlodo was tu targał niezły kawał drogi!

Co za Wlodo, do diabła? Mrużę znów oczy, dając mu znać, żeby zrobił coś z tą nieszczęsną lampą... Widząc to, uderza się płaską dłonią w czoło i odsuwa stojak ze 100-watową żarówką nieco na bok. Teraz mogę przyjrzeć się facetowi: jest dość niski, w średnim wieku, lekko łysawy na czubku głowy i ma końską twarz, która, nie wiem dlaczego, przywołuje mi na myśl weterynarza. Próbuję zadać pytanie, ale kiedy chcę otworzyć usta, dociera do mnie, że chce mi się pić – mój język jest sztywny jak kołek. Doktor widząc mój grymas, podchodzi do stolika i podstawia mi do ust kubek z wodą. Biorę kilka łapczywych łyków, po czym daję znać, że na razie wystarczy. Ponownie próbuję zadać pytanie:

- Gdzie... jestem?

Mężczyzna lekko się uśmiecha, po czym odpowiada:

- Jak to gdzie? W lazarecie naszego ukochanego Baru!

No tak, Bar. Gdzie indziej może trafić ranny stalker. Oczywiście biorąc pod uwagę, że nikt go w międzyczasie nie dobije i nie okradnie. Zadaje kolejne pytanie:

- Kto... mnie przyniósł?

- Ano, jak wam mówiłem – Wlado. Fajny chłopak z niego, porządnym. Nie zostawi stalkera w potrzebie.

Jakoś nie chce mi się wierzyć, że przypadkowy stalker – nawet czysty jak łza – targałby mnie taki kawał na plecach do Baru. Poza tym – baza Czystego Nieba była paręset metrów dalej, nie mógł mnie zaciągnąć po prostu tam? No dobra, tego dowiem się najwyżej później. Teraz zadaję jeszcze jedno pytanie:

- Jak długo... leżę?

- Dobre trzy dni będzie. No, praktycznie ciągle nieprzytomni byliście. Sporo krwi żeście stracili, trzy kule to nie w kij dmuchał. Dobra, muszę iść zając się lekami, jak coś, to wołajcie.

Mężczyzna odwraca się, wychodzi i zamyka drzwi, a ja zaczynam myśleć o tym, czego się dowiedziałem – ot, jakiś stalker wyciągnął mnie rannego z bagien, niósł na plecach dobre cztery

kilometry przez pieprzoną Zonę, po czym zostawił mnie tu pod pełną opieką medyczną, nie przekazując żadnej informacji o zapłacie czy czymś podobnym... Przywykłem już dość dawno do myśli, że tutaj nawet kuli nie dostaje się za darmo – bo po tym zabiorą ci całą kasę jaką masz. Jednak nagle do głowy wpada mi jedna uporczywa myśl, od dłuższego czasu krążąca w mojej podświadomości.

Wlado? Władimir?

Czyżby...? W PDA dziewczyny było napisane, że tak miał na imię jej brat. Być może błędnie założyłem, że martwy wolnościo-wiec był jej zaginionym rodzeństwem... W sumie wysnułem ten wniosek patrząc na zdjęcie, jakie przy sobie miał... Ale skąd w takim razie u niego ta fotografia? No tak, niektórzy – tacy jak Sowa – są w stanie dać paręset rubli za "artefakt" tego typu. Znając "wolność", być może po prostu okradł poprzedniego właściciela...

Nie, nie...

W myślach uderzam się w czoło – chyba mam poważną gorączkę, skoro snuję już tak daleko idące teorie... Odsuwam od siebie

te myśli i próbuję zasnąć – szczęśliwie teraz bez lampy świecącej w oczy. Potem przyjdzie czas na myślenie i zadawanie pytań.

7 dni później, 12.38

Nienawidzę tego... To uczucie, kiedy jesteś pomiędzy bytem, a niebytem, otumaniony lekami, a twoja podświadomość wyciąga z twojego umysłu najgorsze koszmary i wykorzystuje je przeciwko tobie... Chcesz się obudzić, ale wiesz, że to niemożliwe – to nie jest zwykły sen. W ten sposób znów odczuwam wyrzuty dawno zagłuszonego sumienia, poczucie winy ponownie pulsuje mi w głowie, a dłonie znów sprawiają wrażenie zachlapanych cudzą krwią... Po co wymyślać piekło, skoro znajduje się ono w głowie każdego z nas? Każdego, kogo skalała Zona?

Cztery dni.

Tyle czasu trwała ta mordęga. Kolejne dni, jakie spędziłem w lazarecie – półprzytomny, majaczący w malignie, podłączony do eksperymentalnej aparatury leczniczej, wykorzystującej do dzia-

łania sprzężenia pomiędzy artefaktami.

Cztery dni.

Na szczęście już po wszystkim – od rana jestem już na nogach, nie czując wcale nie tak dawnych ran. Magia Zony – potrafi zabijać tak samo skutecznie, jak leczyć. Odebrałem już swój ekwipunek od kwatermistrza, sprawdziłem go i zauważyłem, że zniknęła tylko jedna rzecz – PDA dziewczyny. Mogłem się tego domyślić...

Teraz stoję w piwnicy, w barze „100 Radów” i popijam herbatę z prądem. To miejsce zawsze miało swój klimat sprzyjający rozmyślaniom... A przez ostatnie dni wydarzyło się tyle, że jest o czym myśleć. Jednak z zadumy nad ostatnimi zdarzeniami wyrywa mnie mężczyzna, który podchodzi do mojego stolika i bez słowa siada obok. Typowy łowca – ma na sobie lekki kombinezon „Świt” pomalowany w maskujące barwy, nóż myśliwski przy pasie i maskę przeciwgazową na plecaku. Odzywam się pierwszy, domyślając się, kim jest:

- Wlodo, tak?

Mężczyzna kiwa głową, po czym wyciąga PDA – właśnie TO –

i kładzie je na stole. Wskazuje na nie palcem, po czym mówi:

- Opowiedz mi... Jak zginęła?

Chciałbym móc odpowiedzieć coś epickiego i pompatycznego, coś w stylu „Lepiej opowiem ci jak żyła” albo „Drogo sprzedała swoje życie”... Chciałbym. Ale to Zona – tu nie ma wielkich czynów ani epickich opowieści. Tu jest tylko brudne przetrwanie tych, którzy uciekli do tego miejsca przed doganiającą ich przeszłością, przybyli w poszukiwaniu lepszego życia czy z jeszcze innych powodów, znanych tylko im samym. Spoglądam mężczyźnie w oczy, po czym odpowiadam:

- Szybko i bezboleśnie. Możesz być pewien, że nie cierpiała i że myślała o tobie do ostatniej chwili.

Widzę po jego spojrzeniu, że chciałby usłyszeć co innego – coś, co pozwoliłoby wyidealizować pamięć o siostrze, zapamiętać ją po śmierci jako niemal herosa z dawnych mitów... Niestety, nie potrafię opowiadać zmyślonych historii z przejęciem i przekonaniem, jak czynią to niektórzy stalkerzy. Starzy bazarze i bardowie, którzy zasiadają przy ogniskach i wieczorami prawią historie, które

wywołują łzy, wprawiają w euforię, czy poprawiają nastrój nawet najbardziej załamane go człowieka. Niestety, ja nie posiadam takiego talentu. Władimir kiwa głową na znak zrozumienia moich słów, po czym bierze z powrotem PDA, chowa je do plecaka i wstaje. Chce odejść bez słowa, lecz po chwili zatrzymuje się odwrócony plecami do mnie i rzuca przez ramię:

- Jesteś kwita, stalkerze. Ani ty nie jesteś mi nic winien, ani ja tobie.

Przytakuję gestem, mimo, że on nie może tego widzieć. Po chwili wychodzi i znika z mojego pola widzenia. Dopijam herbatę, płace barmanowi, po czym wychodzę na zewnątrz, po drodze odbierając broń od bramkarza. Teraz wypadałoby sprzedać sprzęt z plecaka i zaplanować następne kilka dni. Idę do budynku na północ, gdzie mieści się mała zbrojownia i skup złomu zarazem. Sprzedawca, czy jak go nazwać, siedzi jak zawsze za ladą z nogami na pobliskim stole i żuje tanie cygaro – nigdy nie widziałem, żeby je palił. Podchodzę bliżej, ściągam plecak, po czym wyciągam z niego zdobycznego 1911 i kładę na stół razem z czterema

zapasowymi magazynkami. Ten bierze broń do ręki, ogląda ją ze wszystkich stron, rozładowuje, sprawdza działanie mechanizmów, po czym mówi:

- Dam ci pięćset – dawno nie miałem żadnej czterdziestki piątki na stanie. Magazynki wezmę po pięćdziesiąt za sztukę.

Kiwam głową i wyciągam rękę po pieniądze. Zbrojmistrz odlicza banknoty, po czym podaje mi je. Po chwili namysłu ściągam z pleców SWD i pytam:

- Ile za to?

Proces badania i oględzin broni powtarza się, tym razem trwa jednak dłużej. W końcu mężczyzna stwierdza:

- Też zadbany, szybko pójdzie... Dam ci cztery tysiączki, no może cztery i dwieście.

Przytakuję, wyciągam pozostałe puste magazynki i podaję mu je, biorąc w zamian kasę. Znow wychodzę na 'świeże' powietrze. No tak, muszę jeszcze opłacić 'abonament' u barmana, całkowicie zapomniałem... Pamiętam, jak na początku bulwersowałem się o cotygodniowe opłaty za korzystanie z noclegowni na terenie Ba-

ru – dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, że ma to sens. W końcu nie każdy stalker sprzedawał artefakty i inny towar barmanowi czy jego handlarzom, w związku z czym nie byłoby z czego utrzymać tego miejsca. A nikt nie chciałby płacić za wszystko z własnej kieszeni... Wracam znów do piwnicy „100 Radów” i ponownie podchodzę do barmana. Wyciągam 300 rubli, kładę je na ladzie i mówię:

- Za tydzień noclegów.

Barman bierze kasę i chowa ją do kasetki pod stołem, po czym znika na chwilę, kucając i szukając czegoś zapamiętane. Po chwili wstaje ponownie i wyciąga w moją stronę poplamioną, wielokrotnie używaną i żółknącą kopertę i mówi:

- Ten stalker z którym gadałeś... Kazał ci to dać, wrócił chwilę po tym, jak wyszedłeś.

Wzruszam ramionami, biorę kopertę i siadam niedaleko. Obracam chwilę w rękach sztywny od starości i brudu kartonik, po czym otwieram go.

7 dni później, 16.42

Po otwarciu koperty moim oczom ukazuje się stara fotografia, przedstawiająca CEJ. Zdjęcie wygląda, jak gdyby miało je w rękach na przestrzeni lat wiele osób – jest poplamione, sztywne od brudu oraz starości i konkretnie wypłowiałe. Ciekawe kto i kiedy w ogóle je zrobił... Na odwrocie jest coś napisane: "Tu znajdziesz to, czego szukasz, stalkerze". Co do...? To brzmi jak stara mantra, powtarzana przez tych, którzy dotarli kiedyś do centrum Zony i byli w stanie wrócić o własnych siłach. Każdy jeden z nich zachowywał się jak niespełna rozumu, ale ze wszystkich ich opowieści można było wyciągnąć jedną wspólną rzecz – gdzieś tam znajduje się tajemniczy Spełniacz Życzeń. Artefakt, urządzenie, czy cokolwiek innego, pozwalające na spełnienie dowolnego marzenia śmiałka, który tam dotrze. Nigdy nie wierzyłem w takie bzdury, ale kiedy słyszy się to tyle razy, od tylu różnych osób... Może jednak jest w tym chociaż ziarno prawdy?

Jedno życzenie. Moje życzenie. Moje.

Spośród wszystkich błędów, jakie w życiu popełniłem... Do naprawienia jednego z nich rzeczywiście byłaby potrzebna taka pomoc. A ja byłbym w stanie oddać za to co tylko mogę... Też dlatego do tej pory comiesięcznie wysyłam przez Sida anonimowo pewną kwotę na adres w Moskwie. Marne zadośćuczynienie za dawne grzechy. Niestety, pieniądze nie zwracają życia. Nie leczą ran na sercu. Nie uspokajają myśli. Pieniądze pozwalają tylko zająć umysł, aby nie skupiał się na tym, co nas gryzie i męczy.

Pieniądze.

Zwykły papiererek, któremu sami nadaliśmy wartość, wmawiając innym, że tak będzie lepiej. Nie zwróciliśmy uwagi, że wraz z tym zaczęliśmy tracić nasze człowieczeństwo. Może i w normalnym świecie ktoś może zaprzeczać, że tak wcale nie jest, jednak w Zonie... W Zonie z czasem każdy staje się gorszy od mutantów. One przynajmniej nie kryją wrogich intencji. Cholerny, zdradziecki świat...

I na szczycie ja – pieprzony tchórz.

Gdybym nie próbował uciec tutaj, do tego piekła, może nadal

by żyła, a ja nie walczyłbym z wyrzutami sumienia? Może. Jednak wtedy byłbym martwy i miałbym wszystko głęboko gdzieś... Życie za życie – tylko nikt nie pomyślał, żeby spytać ją o zdanie, czy się na to zgadza. I co z tego, że to nie ja pociągnąłem za spust? Moje wybory bezpośrednio do tego doprowadziły...

Moja biedna Marina...

Rugam siebie w myślach – że też zebrało mi się na wspomnienie przeszłości, znowu. Rozglądam się podejrzliwie po głównym pomieszczeniu baru – wszyscy zajmują się swoimi sprawami: oblewaniem udanych wypadów, zapijaniem smutków po tych nieudanych, czy piciem ku pamięci poległych, dobrych stalkerów. No tak, przecież póki co nikt nie umie czytać w myślach... Choć w sumie słyszałem już legendy o artefakcie, który miałby niby na to pozwalać. No dobrze, ale nie popadajmy w paranoję. Ponownie zatapiam się w odmętach mojego umysłu, dając się ponieść nurtom wspomnień... Niestety, głównie złych. Zona jest takim paskudnym miejscem, które potrafi w człowieku stłamsić wszystko, co dobre, a uwydatnić to, co najgorsze.

Zona. Co w niej takiego jest, że ludzie ciągną tu jak muchy do otwartego słoika miodu wytarzanego w gównie w upalny dzień? Przecież jest tyle innych możliwości zarobienia sporej kasy... Bezpieczniejszych możliwości, dodam. Z drugiej strony – życie tutaj, w permanentnym uczuciu zagrożenia w końcu zaczyna uzależniać, jak narkotyk. Na początku pojawiaasz się, bo słyszałeś, że można tu nieźle zarobić. Potem próbujesz zdobyć ruble na powrót do domu, kiedy nie dajesz już rady. W końcu jednak przywykasz i żyjesz tu tak długo, aż nie zginiesz w anomalii, od szponów mutantów, czy zastrzelony przez wojskowych albo innych stalkerów. Poza tym – Zona to tajemnica. Iluż to z nas w dzieciństwie marzyło, żeby znaleźć się tam, gdzie nikt jeszcze nie postawił stopy, odkryć coś nieznanego, rozwiązać jakąś wielką zagadkę... Tutaj to marzenie w pewien sposób się spełnia – tylko niestety za darmo dostajemy również wszechobecną śmierć i walkę o przeżycie każdego dnia. A mimo wszystko tu jesteśmy... Dlaczego?

Bo Zona jest tajemnicza. Przyciąga.

Kryje jeszcze tyle sekretów, których nie wyjaśniliśmy, tyle fe-

nomenów, których nie daliśmy rady wytłumaczyć, tyle miejsc, jakich nie odkryliśmy... A także ta fotografia – wbrew wszystkiemu fascynująca swoją tajemniczością.

”Tu znajdziesz to, czego szukasz, stalkerze”

Spełniacz Życzeń... Logika podpowiada, że to bzdura, ale wyobraźnia wówczas nasuwa na myśl choćby artefakty czy anomalie – ich istnienie też może się wydawać bzdurą. Dopóki człowiek nie spotka ich osobiście...

”Logika może cię zaprowadzić od punktu A do punktu B, ale wyobraźnia może zaprowadzić cię gdziekolwiek”

Przypominają mi się stare słowa, które nie pamiętam już kto wypowiedział... Jednak w warunkach Zony niezbędny jest też instynkt, który pozwoli przetrwać tą drogę – nieważne czy współ z logiką czy z wyobraźnią – w jednym kawałku.

Instynkt.

To właśnie nim się kieruję przebywając w Zonie. Nie zdradzieckim sercem, czy toporną logiką. Instynktem. To on pozwalał mi przetrwać wszystkie lata niebezpieczeństw. A teraz mówi mi,

żebym wyruszył do centrum. A ja znów go posłucham.

Wstaję od stołu, wychodzę z piwnicy i kieruję swoje kroki w stronę budynku sypialnianego – muszę dobrze się wyspać przed jutrzejszym dniem, czeka mnie długa droga.



Marcel

Ulubiona broń: Akm
74/2U

Powrót

a tutaj kilka słów o opowiadaniu

Podmoskowie, 16:56, 21.02.2013

Poprawiłem płaszcz i spróbowałem usadowić się wygodniej na tylnej kanapie szarego audi. Prowadził Andriej, pewnie, z niewielką dozą nonszalancji, ignorując ograniczenia prędkości, ale nie porzucając zdrowego rozsądku. Auto, choć niebędące bynajmniej najnowszym modelem, było czyste i zadbane - najwyraźniej właściciel bardzo o nie dbał, chuchając i dmuchając na każdą, nawet najmniejszą, ryskę. Ponownie uniosłem się na siedzeniu, wyrównałem zwijającą się na plecach warstwę materiału, a potem spróbowałem znaleźć trochę więcej miejsca dla nóg. Dobrze byłoby się teraz przespać z godzinę, organizm potrzebował odskoczni od emocji, jakie przyniosła ostatnia doba, bolała mnie głowa, bolało stłuczone kolano, bolała i dusza. W ustach czułem metaliczny posmak. Za stary już na to jestem, pomyślałem. Za stary. Co mi przyszło...

Opuściłem głowę na pierś, przymknąłem oczy, spróbowałem odepchnąć od siebie ból, skupić tylko na bodźcach zewnętrz-

nych. Z przodu urywana rozmowa Andrieja i Saszy, uspokajający dźwięk równo pracującego silnika, w głośnikach ciche gitary, głos któregoś ze starych rockmanów - czyżby Fish? - z tyłu mój własny oddech, rytmiczne uderzenia serca. Ciepło, klimatyzacja ogrzała wnętrze samochodu w ciągu kwadransa. Spać, rozkazałem sobie. Spać, spać...

Moskwa - Metro Taganskaja, 18:12, 19.02.2013

Na ruchomych schodach przeszył mnie lodowaty podmuch wiatru. Boleśnie powoli wypełzałem na powierzchnię, ściśnięty w tłumie anonimowych współtowarzyszy podróży wagonami moskiewskiego metra. Dotarłem do szczytu schodów, opędziłem się od szczerbatego łachmaniarza i ruszyłem nieśpiesznie w kierunku domu. Na Tagance mieszkałem dopiero trzeci miesiąc, ale drogę miałem wpisaną już, jak to mówią, w autopilota. Najpierw kilkaset metrów wąskim chodniczkiem, między rzędami bloków mieszkal-

nych. Później pasy, przejście przez ulicę, kolejna ćwierć kilometra wzdłuż ogrodzenia mojego osiedla. Wreszcie, szósta po lewej klatka, kodowe zamki przy furtce i wewnętrznych drzwiach, kamery i uprzejmi, wąsaci ochroniarze. Wcześniej, oczywiście, wizyta w markecie, kupno czegoś do jedzenia - mogłem zjeść najgorsze gówna, byle dało się je szybko i łatwo rozgrzać w mikrofalówce. Ciekawa sprawa, będąc jeszcze w Zonie, zaklinałem się, że po powrocie będę jadał jak król. Tymczasem, moja dieta składała się w głównej mierze z pizzy, chińszczyzny i alkoholu.

Właśnie, przypomniałem sobie, muszę jeszcze kupić coś na rozgrzewkę. Do kolacji trzy... może cztery piwka, potem ćwiartka, na spokojny sen. Jak co wieczór.

Dwa pełne obroty klucza w zamku i drzwi do mieszkania stanęły otworem. Przekroczyłem próg, zamknąłem za sobą, brzęczącą szklą reklamówkę postawiłem na podłodze, a płaszcz rzuciłem niedbale do szafy. Nie zdejmując nawet butów, otworzyłem pierwszą butelkę i chciwie przyssałem się do szyjki. Po kilku łykach usiadłem ciężko na szafce w przedpokoju i zapatrzyłem się

w ścianę. ku*wa, jak mi to już wszystko zbrzydło... Niby miałem wszystko, o czym tylko mogłem marzyć: służbowe mieszkanie w dobrej dzielnicy, wysoką pensję, a na niezależnym od moich mocodawców koncie, okrąglą sumkę, za którą mógłbym uciec na drugi koniec świata i dostаточно się tam urządzić. A jednak wciąż czegoś brakowało, z każdym kolejnym dniem czułem coraz paskudniejszą pustkę i bezsens. Po raz pierwszy w życiu czułem się samotny.

Pusta butelka uderzyła miękko o wykładzinę, odtoczyła się pod ścianę. Wstałem z westchnieniem, wziąłem kolejną i poszedłem do kuchni. W lodówce znalazłem jakieś marne resztki wczorajszego obiadu, po odgrzaniu nie miały absolutnie żadnego smaku, ale mimo wszystko zaspokajały głód. Zjadłem szybko, przepijając kolejne kęsy piwem. Przeniosłem się do salonu, siadłem na parapecie. Szczególnie polubiłem to właśnie miejsce - szeroki, drewniany parapet, tuż przy oknie, z którego roztaczał się widok na Moskwę, szarą, brudną i zimną. Całe mieszkanie było urządzone z gustem, FSB nie żałowało pieniędzy na swoich konsultantów, ale pozostałe pomieszczenia swoim przepychem przypominały mi

tylko o tym, że lokum nie należy do mnie. Salon, przeciwnie, stał się moją enklawą, zaś ów parapet, jej centralnym punktem. To na nim spędzałem większość wieczorów, powoli nasączałem się piwem i rozmyślając, tylko po to, by później dobić się wódką i zasnąć ciężkim, niedającym wytchnienia snem bez snów.

Najgorszym, co może cię spotkać w życiu, jest obudzenie się ze świadomością, że twoje życie już dawno stanęło w miejscu, a ty nie potrafisz wyrwać się z tego marazmu. To właśnie powiedział mi mój ojciec, niedługo przed swoją śmiercią. Dopiero teraz, po wielu latach, zaczynałem rozumieć, co chciał mi przekazać. Z każdym kolejnym wieczorem sens jego słów stawał się dla mnie coraz boleśniej wyraźny, a z każdym kolejnym łykiem coraz bardziej chciało mi się wyć.

Od roku moim życiem rządziła pasywność. Dwa ostatnie miesiące w Zonie spędziłem siedząc bezpiecznie na zapleczu Baru, nadzorując transporty artefaktów za kordon. Któregoś dnia otworzyłem oczy z przekonaniem, że już nie dam rady wyjść w Strefę. Nie dam - i już. Nie wiem, co się stało, wysiadły mi nerwy,

czy też dostałem znak od matuszki Zony, nie wiem. Jako bliski współpracownik Barmana, mogłem liczyć na jego pomoc, facet był bardziej wpływowy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Zgodził się zorganizować transport przez granicę, jednak pod jednym warunkiem: zgodzę się na współpracę z “wiadomymi organami”. Miało to przynieść korzyści wszystkim, a mnie szczególnie. Być może wcześniej bym odmówił, teraz tylko wzruszyłem ramionami. Wszystko, byle uciec z tego przekłętego miejsca.

Lew towarzyszył mi od pierwszych minut spędzonych w Zonie. Razem zostaliśmy przeschmuglowani przez wojskowy kordon, w milczeniu przeciskaliśmy się przez dziurę w zasiekach, popędzani przez śmierzdzące potem i nikotyną przewodnika. Mężczyzna zniknął, gdy oddaliliśmy się o kilkaset metrów od granicy, zostawiając nas zdanych tylko na siebie. Popatrzyliśmy po sobie, to ja pierwszy wyciągnąłem do niego dłoń.

– Foma – powiedziałem tylko.

– Lew – odrzekł, ściskając moją prawicę.

Ruszyłem przodem, przedzierając się przez gęste krzaki, i wcale

nie czułem się zagrożony. No, może przez pierwsze kilka godzin - tak. Ale potem już nie. Przez następne, długie trzynaście miesięcy. Lew stał mi się niczym brat. Razem zaczynaliśmy, uczyliśmy się przeżycia w Strefie, razem głodowaliśmy, gdy zabrakło pieniędzy. Przeżyliśmy tę zabawną przygodę, gdy nieopodal Skadowska znaleźliśmy trupa w naukowym kombinezonie. Wreszcie, płacąc za to własną krwią i potem, wspólnie wypracowaliśmy sobie w Zonie pozycję, zdobyliśmy uznanie i szacunek, zaczęliśmy zarabiać prawdziwe pieniądze. A potem wszystko trafił szlag. Te dwa miesiące, które spędziłem w grubych murach baru 100 Radów bardzo nas od siebie oddaliły. Lew nadal chodził w Zonę, teraz już sam. Jako doświadczony łowca mógł sobie pozwolić na samodzielne wypady, świetnie wyposażony, opanowany i śmiertelnie niebezpieczny. Zawsze był lepszym stalkerem ode mnie, musiałem to przyznać. A jednak to właśnie ja przewodziłem naszej parze. Sam nie wiem, co o tym zdecydowało, może fakt, że wtedy, pierwszego dnia, to ja ruszyłem przodem. Lew milcząco zaaprobował moje przywództwo, choć nie wahał się oponować, gdy któryś z moich pomysłów

mu się nie spodobał.

O swoim wyjeździe poinformowałem go już po rozmowie z Barmanem. Skinął tylko głową - nigdy nie mówił dużo - i wyciągnął do mnie dłoń. Uścisnąłem ją, mocno, w milczeniu, bo i co miałem powiedzieć. Odwróciłem się i odszedłem, by następnego wieczora opuścić Strefę na pace wojskowej ciężarówki. Nie widziałem go już więcej.

Następne miesiące minęły mi w kolejnych, coraz to bardziej tajnych ośrodkach Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Z początku byłem traktowany niczym więzień, przesłuchiowano mnie, wielokrotnie zadając te same pytania o moje życie w Zonie. Później nadeszła kolej na szkolenia, najwyraźniej wierchuszka uznała, że doświadczenia stalkera Fomy Pietrowicza mogą być wartościowe dla interesów Federacji. W końcu wręczono mi klucze do mieszkania na Tagance i kopertę z pokaźną premią motywacyjną, zaznaczając mimochodem, że nie wolno mi opuszczać granic miasta Moskwa. Oficjalnie byłem właścicielem niewielkiej firmy, zajmującej się sprzedażą i montażem urządzeń monitorujących. Nieoficjalnie,

przez pięć dni w tygodniu ślecząłem w maleńkim gabinecie, w ponurym budynku, znajdującym się przy ulicy o nazwie znanej w całej Europie Wschodniej: Bolszaja Łubianka. Przekopywałem się przez sterty wojskowych raportów z Zony, uzupełniając je o swoje komentarze. Jako człowiek, który przeżył w tym piekle ponad rok, mogłem wniesć naprawdę wiele w schematy operujących w Strefie Wykluczenia rosyjskich sił specjalnych. Traktowano mnie z szacunkiem, a moje uwagi zawsze brano pod uwagę przy planowaniu kolejnych zadań. Mimo tego, że robiłem coś bez wątplenia pożytecznego, czułem tę cholerną pustkę. Tak, jak źle było mi w Zonie, tak i czułem się poza jej niewidzialnymi granicami.

Moje rozmyślenia przerwał dźwięk dzwoniącego telefonu. Nie wiele, bardzo niewiele osób miało mój numer, dlatego od razu stałem się czujny. Zeskoczyłem z parapetu, odstawiłem butelkę na szafkę i szybkim krokiem ruszyłem do przedpokoju; telefon musiał zostać w kieszeni płaszcza. Spojrzałem na wyświetlacz, nie znałem numeru. Odebrałem, rzucając do słuchawki szorstkie “Tak?”. Rozmówca miał lekko zachrypnięty, niski głos. Nie przed-

stawił się, od razu przeszedł do rzeczy.

– Od Barmana. Lew nie żyje. Rozstrzelany przez pluton egzekucyjny Powinności, ciało powieszone na drzewie przy południowym wejściu do Baru. Przesyłam zdjęcie. Przyczyna aresztowania i egzekucji nieznana, Barman przypuszcza że ma to związek z twoją współpracą z FSB. Możliwe że w grę wchodzi ingerencja SBU. Barman prosi o kontakt.

Klik. Przerwane połączenie. W chwilę później pojedynczy sygnał, odebrano wiadomość obrazkową, czy chcesz wyświetlić? Ciało Lwa, zawieszone na linie, okropnie skrwawione, klatka piersiowa w strzępach. Szyja okolona grubym sznurem, ciągnącym się gdzieś w górę, poza kadr. Głowa pod nienaturalnym kątem, twarz wykrzywiona w grymasie, oczy otwarte, usta też. Wybita ze stawu żuchwa, spłaszczony od ciosów nos. Krew.

Wolno, bardzo wolno odkładałem telefon na półkę. Czuję jak wali mi serce. Niezgrabnym, sztywnym krokiem kieruję się do kuchni. Otwieram zamrażarkę, wydaję butelkę wódki, zrywam korek, ciągnę kilka długich łyków.

Lew nie żyje.

Lodowata wódka mrozi zęby i pali przełyk, gorącą falą uderza w ściany żołądka, gorzka gula podchodzi do gardła.

Rozstrzelany.

W oczach mrocznieje, padam na ziemię, boleśnie tłukę kolanem o płytki posadzki. Zaraz odchylam głowę, leję w siebie kolejną porcję alkoholu.

Widzę jego mętne, martwe spojrzenie. Puste oczy patrzą na mnie z dna butelki, rozpaczliwie łykam palący płyn, chcąc uciec od czającego się w nich wyrzutu. Czekam na wódczane zapomnienie, czekam, aż odpłynę w alkoholowy mrok, czekam na niego, jak na zbawienie. Czekam...

Tanganka, 09:24, 20.02.2013

Obudziły mnie mdłości. Leżałem na podłodze w kuchni, w kałuży wody, wyciekającej z otwartych drzwiczek zamrażarki. Głowa pękała, gdy tylko spróbowałem się poruszyć, kolano zakłuło ostrym,

przenikliwym bólem. Zawlokłem się do łazienki, klęknąłem przy sedesie i zwymiotowałem. Gdy już przestały mną wstrząsać spazmy, wszedłem pod prysznic, tak jak stałem, w ubraniu. Strugi zimnej wody spłynęły po moim ciele, zacząłem drżeć, ale nie zakręciłem kurka. Stałem tak kilka minut, skupiając się na fizycznym dyskomforcie, odwlekając moment, w którym będę musiał zebrać się w sobie i wrócić myślami do wczorajszego wieczoru. W końcu wyszedłem z kabiny i z trudem zdjąłem przemoczone ubranie. Wycierając się szorstkim ręcznikiem zacząłem układać w głowie plan działania. Wiedziałem, że tylko w ten sposób mogę pokonać pragnienie odpłynięcia po raz kolejny w alkoholowy mrok.

Po pierwsze, co powiedział mi kontakt Barmana. SBU śledzące moją współpracę z FSB, tak, to możliwe. Pojawienie się Zony znacząco wzmocniło pozycję Ukrainy na arenie międzynarodowej, wzrok całego świata skierował się na to niebogate państewko we wschodniej Europie. Decydenci uznali, że oto nadeszła wspaniała okazja, by całkowicie uniezależnić się od potężnego sąsiada ze

wschodu. Więzy z Federacją Rosyjską gwałtownie zerwano, odrzucono propozycje pomocy w okiełznaniu nieznanego nauce zjawiska, skierowano się za to ku zachodowi, który chętnie pompował w podupadły kraj pieniądze, w zamian za możliwość badania cudów Strefy. Jednocześnie, Ukraina postawiła ultimatum: Zona leży na naszym terytorium, więc na jej terenie mogą przebywać tylko nasze wojska. W ten sposób zapewniła sobie pełną kontrolę nad dostępem do niej, co było posunięciem tyleż mądrym, co ryzykownym, biorąc pod uwagę śmiertelnie niebezpieczną naturę Strefy. Utrzymanie jej w ryzach własnymi siłami mogło okazać się zbyt trudnym zadaniem dla ukraińskich sił zbrojnych, jednak póki co odnosiły one niemałe sukcesy w walce z szalejącymi tam wynaturzeniami.

Oczywiście, do Zony przenikali wszelkiej maści najemnicy na usługach zainteresowanych nią państw, a także zorganizowane grupy, między innymi te, dowodzone przez Centrum Specjalnego Przeznaczenia FSB, słynne oddziały specnazu: Alfa i Wypieł. Bardzo możliwe, że próbowała je powstrzymać Służba Bezpie-

czeństwa Ukrainy, pytanie tylko, jakim sposobem na celowniku znaleźliśmy się ja i Lew. Czyżby ktoś przypuszczał, że mój przyjaciel także współpracuje z rosyjskimi siłami specjalnymi? Potrafiłem zrozumieć, dlaczego to on stał się pierwszym celem, wiedziałem, że znajduję się pod dyskretną, ale nieustanną ochroną FSB, z jednej strony dbającej o moje bezpieczeństwo, z drugiej - mającej mnie zatrzymać, gdybym jednak postanowił zniknąć z Moskwy. Zona była miejscem, w którym ludzie codziennie tracili życie, cóż prostszego, niż zabić jednego stalkera. Z drugiej strony, może Barman się mylił i tajne służby nie stały za śmiercią Lwa?

Nie wiem. Tutaj na pewno się tego nie dowiem, pomyślałem. Muszę wydostać się z miasta, wrócić do Zony. Poza chęcią odkrycia prawdy, kierowała mną żądza zemsty. Znajdę ludzi, którzy go zabili i własnoręcznie poślę do grobu. Inaczej nigdy nie odnajdę spokoju.

Tuż przed moim wyjazdem ze Strefy, Barman wyjaśnił mi, czemu chce, bym podjął współpracę ze Federalną Służbą Bezpieczeństwa. Okazało się, że jest ona jednym z głównych kupców

artefaktów, przez co pozostaje w ścisłej współpracy z siatką handlarzy działających w Zonie. Handlarze chcieli mieć wewnątrz organizacji swojego człowieka, który będzie miał oczy i uszy otwarte na wszystkie wartościowe informacje. Jako że przez kilka miesięcy pracy u Barmana zdobyłem jego zaufanie, jawiłem się jako doskonały kandydat na to stanowisko. Kusila także pokaźna suma, jaką mi zaoferowano za podjęcie się tego zadania. Zgodziłem się, ryzykując niebezpieczną zabawę w kotka i myszkę z ludźmi nieskończenie bardziej ode mnie doświadczonymi w takich rozgrywkach. Ustaliliśmy bezpieczny kanał, za pomocą którego miałem się z nim kontaktować, oczywiście tylko w razie absolutnej konieczności. Nadeszła pora, by sprawdzić, czy ludzie Barmana będą w stanie porwać mnie sprzed nosa agentów FSB.

Z szafki w salonie wyciągnąłem komórkę, tani, pozbawiony jakichkolwiek gadżetów model samsunga. W portfelu nosiłem kartę sim, jak dotąd ani razu nieużyta. Wyłamałem ją z ramki, włożyłem do telefonu, uruchomiłem urządzenie. Wstukałem wyuczony na pamięć numer, nacisnąłem zieloną słuchawkę. Odczekałem

trzy sygnały, przerwałem połączenie. Kartę połamałem, telefon zaś cisnąłem przez okno. Mieszkanie znajdowało się na dziesiątym piętrze, nie było szansy, by aparat wytrzymał spotkanie z ziemią.

Samo zalogowanie się telefonu do systemu operatora było sygnałem, uruchamiającym szereg akcji, w efekcie których mieli do mnie dotrzeć współpracownicy handlarzy. Cóż, niedługo się przekonam, co z tego wyjdzie, pomyślałem.

Ubrałem się, wybierając jak najwygodniejsze i najpraktyczniejsze odzienie. Przez chwilę wahałem się nad zabraniem ze sobą broni, leżący w szufladzie Heckler&Koch kusił swoją zabójczą skutecznością. W końcu odrzuciłem ten pomysł, więcej byłoby z nim zmartwień niż pożytku. Do kieszeni spodni wsunąłem zawczasu przygotowany zwitek pieniędzy, głównie hrywien i dolarów. W końcu, zadowolony z poczynionych przygotowań, usiadłem na parapecie i spojrzałem w dół, na buro-śnieżną Moskwę.

Dwie godziny później, jak gdyby nigdy nic, do moich drzwi zapukało dwóch postawnych mężczyzn, którzy przedstawili się jako

Andriej i Sasza, po czym zaprosili mnie do zaparkowanego pod klatką szarego audi.

Kijów, Ukraina, 07:12, 22.02.2013

– E, stalker, obudź się. Jesteśmy na miejscu.

To Andriej potrząsnął mnie lekko za ramię. Otworzyłem oczy, spojrzałem na zegarek. Spałem prawie dziesięć godzin, co ciekawe, nie obudzono mnie nawet przy przekraczaniu rosyjsko-ukraińskiej granicy. Wyglądało na to, że Barman był człowiekiem o wiele bardziej wpływowym, niż przypuszczałem.

– Jesteśmy - powtórzył kierowca. - Kijów. Wsiadka.

Wysiadłem z samochodu, poprawiłem płaszcz i zlustrowałem spojrzeniem okolicę, w której się znaleźliśmy. Osiedle niskich, szarych domków jednorodzinnych, zatrzymaliśmy się na podjeździe przed jednym z nich.

– W środku czekają ludzie, którzy przetransportują cię do Strefy - poinformował Sasza, opierający się o maskę samochodu.

– Nasza robota jest już skończona.

– Nic nie pozostaje, tylko życzyć ci powodzenia – dodał Andriej. Podziękowałem skinieniem głowy.

Mężczyźni wsiedli do wozu, Andriej uruchomił silnik i ruszył ostro, bluzgając spod kół mieszaniną błota i śniegu. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę domu. W głowie tłukła mi się tylko jedna myśl: wracam do Zony.

Wracam.

Wracam.



Tormentor

Ulubiona broń: Noiseless
Viper

Piętno

A co mi tam, pozwolę sobie na umieszczenie własnych wypocin. Proszę o wyrozumiałość bo to pierwsze opowiadanko z pod moich palców. Warsztat jest jaki jest :). Zawrotnej akcji i plastycznych opisów krajobrazu Zony na razie nie ma, ale mam nadzieję, że zachęcę do śledzenia dalszych rozdziałów, które wkrótce umieszczę.

Wieść

Wskazówki kieszonkowego chronometru ustawiły się prostopadle demonstrując tym samym kwadrans po dwunastej. Trwającą dotychczas ciszę zakłócił zgiełk i hałas zasuwanych krzeseł. Spiker przez megafon donośnie ogłosił przerwę w pracy. Giennadij schował podarowany niegdyś przez ojca zegarek do jednej z kieszeni uniformu i wstając zakomunikował woźnemu koniec pełnionej funkcji. Zanim ruszył do wyjścia złączył plik kartek i starannie umieścił go w szufladzie, po czym delikatnym ruchem ręki umieścił kluczyk w zamku, mechanizm matowo szczękniętym tym samym zabezpieczając wartościowe dokumenty przed wścibskim okiem osób trzecich. Giennadij zasunął fotel i skierował się do wyjścia.

- Jak panu czas mija? – odezwał się woźny kręcąc kluczami.
- Wyjątkowo szybko, dzisiaj akurat mało roboty i można trochę poleniuchować za biurkiem – odpowiedział Giennadij wyciągając z torby śniadanie.
- Widzi Pan, ja nawet nie mogę nóg wyłożyć na taboret, bo

zaraz przyleci kierownik i opieprzy. Ostatnio to mi krzyżówki zabrał dziadyga jeden, was to tam nie pilnują, bo robota inna, ale mnie od razu za uszy ciągną.

- A ja panu powiem, że papierkowa robota też za ciekawa nie jest w dodatku muszę zajmować się obserwacją i pomiarem próbek. Czasami zamienił bym się z kimś pracą, tak dla odmiany – uśmiechnął się Giennadij i pozdrawiając kolegę udał się do jadalni.

W ciągu paru minut salę wypełnił cały personel, panujący gwar nosił się po ścianach tworząc przenikliwe echo. Giennadij idąc korytarzem co rusz witał pozostałą personę, która z przejęciem pałaszowała wymyślne dania sporządzone przez siebie lub rodzinę. Pracownik postanowił przysiąc się do kolegów z kadry.

- Cześć Gieno, co tam Ci dziś żonka sprezentowała, moja się pofatygowała i jabłecznik upiekła – rzucił starszy przyjaciel, na, którego wszyscy wołali Wuser.
- Kanapki z szynką i ogórkiem, nic szczególnego – pochwalił się Giennadij rozwijając papier z pieczywa.

- No widzisz, trzeba się postarać w nocy, by rano dostać taki specjał – zaśmiał się Wuser odsłaniając zęby pełne ciasta. Wszyscy obok zrobili to samo, o mało się nie krztusząc. Brechtające gęby nagle umilkły, gdy obiekt żartów wyciągnął zza pazuchy buteleczkę. Wszyscy zrobili konspiracyjne miny i po chwili ponownie zarechotali strojąc przy tym komiczne miny. Wszyscy z aprobatą przyjęli pomysł strzelenia przysłowiowego kielicha i potajemnie wyciągnęli w stronę Giennadija kubeczki z termosów. Kieliszków nikt nie nosił z obawy przed kontrolą, samo noszenie napojów alkoholowych do pracy mogło przynieść za sobą poważne konsekwencje. Jednak koneksje z pracownikami wyższego szczebla dawały gwarancję na przymrużanie oka w przypadku sytuacji łamiących regulamin, a takowe układy posiadał Giennadij.
- Może kawałek ciasta? Śmiało częstować się – oznajmił Wuser, wpychając do ust kolejną porcję jabłeczника. Zgromadzeni przy stole przyjęli podarek w ciszy delektując się słodkim deserem.
- Słyszeliście o pewnej rekrutacji, którą mają tutaj wdrożyć.

Ponoć tajne ugrupowanie zbiera ludzi do bliżej nieokreślonych prac związanych z badaniem promieniowania w Czarnobylu.

Wiadomo mi, że inicjatorem tego przedsięwzięcia ma być niejaki Piotr Kaługin. Słyszeliście o takim? – zapytał Wuser robiąc przy tym kwaśną minę.

- Nie znam gościa, pewnie jakiś świr. Ciekaw jestem co oni chcą badać w tym wyludnionym mieście zawałonym kupą stali i innymi rupieciami – wtrącił inny kolega z personelu.
- Mi to wygląda na jakiś zakulisowy program. Przecież u nas w Prypeci prowadzimy diagnozy nad oddziaływaniem promieniowania na tutejszą florę i faunę, więc dla czego mieliby to samo robić w Czarnobylu. Może środowisko inne i badania ciekawsze. Jeśli mnie wybiorą to z chęcią zmienię otoczenie, może lepiej płacić będą – dodał i uśmiechnął się półgębkiem Patejuk
- A ty Giennadij co o tym sądzisz? – rzucił ponownie Wuser ignorując ostatnią wypowiedź.
- Ciekaw jestem co z tego wyniknie. Zastanawiam się, gdzie oni

prowadziliby te doświadczenia, bo chyba nie na wolnym powietrzu. Może w planach mają budowę kompleksu badawczego, tylko że postawienie takiego ośrodka to nie bagatela. Prace budowlane zajęłyby co najmniej dwa lata.

- Według mnie wszystko jest już przygotowane, skoro ewentualna rekrutacja ma się niebawem odbyć. W ogóle skąd wiesz o tej całej akcji? – spytał Patejuk.

Wuser otworzył lekko usta, lecz nic z nich nie wydobył. Wziął do ręki kubek z kawą i zakręcił, nim mieszając resztki czarnego naparu. Zwięzłe milczenie przerwała fonia dzwoniącej aparatury głosząc tym samym koniec przerwy.

- Kierownik wspominał, ale jak, by co gębą na kłódkę. Nie warto rozpowiadać, bo się rozejdzie po całym zakładzie i się zamęt zrobi. To do jutra! – zakomunikował Wuser i odszedł od stołu zabierając torbę.

Patejuk z resztą kadrowiczów postąpił tak samo.

Przy stole został tylko Giennadij, w tle cichły ostatnie rozmowy i odgłosy kroków. Salę ogarnęła osobliwa atmosfera. Strzeliste

białe ściany piętrzyły się przed wzrokiem osamotnionego pracownika, a silny blask jarzeńówek potęgował dziwną aurę. Pomieszczenie wyglądało teraz jak wielka poczekalnia, a osoba siedząca w centrum była jak ostatnia dusza na ziemi będąca na łasce kapryśnego stwórcy wahającego się przed wyborem – ukarać czy ocalić przed wiecznym potępieniem. Zamyślony Giennadij wyrwał się z letargu poruszony jakąś niewidzialną siłą. Zdając sobie sprawę, że przerwa dawno minęła pośpiesznie zerwał się na nogi i w zwało ruszył do wyjścia. W jego umyśle zagnieździła się nowina na temat rekrutacji i stała się bodźcem do dalszych przemyśleń o ewentualnej zmianie pracy. Zegar wskazywał godzinę dwunastą trzydzieści.

Gość

Za oknem panowała okropna szaruga, intensywny wiatr szarpał nagie gałęzie i w wirującym rytmie miotał żółtymi liśćmi. Niebo okryło się ciemną kłębiastą szatą nie pozwalając rzucić jakiegokol-

wiek promyku na jesienną ziemię. Marna pogoda i ponura sceneria z betonu odbierała wszystkim witalności i wprawiała w przygnębienie. Gęsty nastrój za ścianami ośrodka badawczego nie przeszkadzał jednak nikomu w codziennej pracy. Giennadij w swoim gabinecie analizował rośliny poddane radiacji, próbki różnej wielkości miały swoją unikalną sygnaturę i oddzielną charakterystykę w notatkach. Egzemplarze dostarczano z Czerwonego Lasu, gdzie flora przeszła największą mutację.

Doświadczony naukowiec wyciągnął zza ucha długopis i zaczął kreślić wymyślne symbole w ramach podręcznego notesu, żmudną pracę zakłóciło pukanie do drzwi.

– Witaj, zajmę Ci tylko chwilę. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Dzisiaj około piętnastej przyjdą ci od rekrutacji. Powiedziałem kierownictwu, żeby nowo przybyli goście rozpatrzyli twoją kandydaturę. Oczywiście żadnych oficjalnych wniosków o posady nie było, ale jak, by, co to się piszesz, no to trzymaj się – Wuser kiwnął głową i zamknął drzwi za sobą.

Giennadij nie zdążył nawet podziękować. Ucieszył się z faktu, że może zostać przeniesiony i poszerzyć swoje horyzonty, ale jednocześnie dziwił się czemu Wuser tak bardzo troszczy się o jego zawód. Nie marnując czasu wrócił do poprzedniego zajęcia. W jednym z protokołów napisał:

Próbka numer [3] *Populus Nigra* wyraźnie wykazuje wzmożone zdolności regeneracyjne. Ociosany pień po, zaledwie dwóch dniach wraca do pierwotnej postaci; słabo widoczne ślady okaleczenia rośliny. Komórki kambium zmieniły swoją wewnętrzną strukturę w wyniku przyjęcia wysokiej dawki promieniowania. Przyspieszona ekwipotencjalność oznacza brak zagrożenia przed czynnikami patogennymi. Liście *Populus Nigra* zawierają stosunkowo duże ilości niezidentyfikowanej do końca substancji, przypuszczalnie mogą to być neurotoksyny; planowane doświadczenie na szczurach. Zaobserwowano niską wodochłonność. Dalsze eksperymenty wykażą czy badana

Populus Nigra może zostać uznana jako nowy gatunek.

Przelany na arkusze papieru wynik doświadczeń został zapisany również w formie nagrania. Giennadij wszelki rezultat swojej pracy przechowywał w postaci cyfrowej, lubił mieć wszystko w jednym miejscu na małym mobilnym dysku. Młody naukowiec usiadł na obitym skórą fotelu robiąc sobie krótką przerwę od zajęć. Ziewnął przeciągle drapiąc się za uchem. Wyciągnął z kieszeni swój pocziwy zegarek i określił czas dzielący go od rzekomej wizyty ludzi od rekrutacji. Pozostały dwa kwadransy, bezczynne oczekiwanie sprawi, że czas na złość mijać będzie wolniej. Inercji w pracy Giennadij unikał jak ognia, więc postanowił zająć się czymkolwiek, padło na czyszczenie sprzętu laboratoryjnego.

Po, zaledwie kilku minutach wszystkie próbki o różnorodnej wielkości i wymyślnych kształtach błyszczały pod ostrym światłem lamp żarowych. Giennadij mył właśnie ręce, gdy do drzwi zapukała tajemnicza osoba.

– Witam. Nazywam się Stiepan Sewienkov. Pan nie musi się przedstawiać. Zapewne, domyślacie z jakiej racji się tu

zjawiłem. Pozwolicie, że opuścimy gabinet i udamy się do specjalnego pokoju, gdzie omówimy ważne sprawy – oznajmił i gestem grzecznościowym wskazał drzwi wyjściowe – Pańskie dokonania zrobiły na nas duże wrażenie i nie ukrywam, że biogram jest gwarantem nowej posady.

Giennadij nieco speszony milczał, ale uważnie słuchał hipnotyzującego głosu, na potwierdzenie słów kiwał tylko głową.

– Procedury wymuszają na mnie zadanie pytania, które zapewni dalsze postępowanie wobec badacza. Podjęcie nowej pracy będzie się wiązało z poufnością. Badania przeprowadzane w Strefie są ściśle tajne i tylko kilkanaście osób wie o ich działaniu, akredytując przedstawione warunki automatycznie wyraża pan zgodę na trzymanie w tajemnicy wyników pracy. Więc jak? Odmowa sprawi, że zostawię pana tu i teraz, dalsze informacje nie zostaną udzielone. – rzucił gość robiąc pełne powagi spojrzenie.

Odbiorca zamyślił się na chwilę. Atmosfera zgęstniała. Tajemnicza postać nieco teatralnie zdjęła okulary i odsapnęła aluzyjnie

wymuszając na badaczu podjęcie ostatecznej decyzji. Giennadij czuł na ciele dreszcz i nietypowe podniecenie przed czymś nowym, nieznanym. Sytuacja nie była do końca jasna, akceptacja warunków postawionych przez Sewienkova wiązała się z pewnymi ograniczeniami. Odmowa nie wchodziła w grę, Giennadij był za bardzo podekscytowany i ciekawy projektu, którego miał być świadkiem, a jednocześnie ciężko mu było wyjść z klinczu i po prostu odpowiedzieć z aprobatą i rozwiązać wszelkie wątpliwości. Wyraźnie czuł jak chłodne krople potu przemieszczają się po jego ciele, wzrok cierpliwego przybysza zdawał się oddziaływać coraz mocniej. Każda ulatniająca się sekunda sprawiała, że w oczach przyszłego pracodawcy naukowiec wyrastał na błazna i niezdecydowanego dzieciaka, który nie wie o jakim smaku lizaka chce dostać. Giennadij musiał podjąć finalną decyzję.

- Przyjmuję propozycję – wyrzucił w końcu młody badacz.
- Doskonale, lepiej zastanowić się kilka razy niż pochopnie coś postanowić. – odrzekł powściągliwie i ruszył dalej korytarzem. Słowa o lekko sarkastycznym akcencie nie uderzyły w Giennadija.

Wnikliwość narastała z każdym pojedynczym cyknięciem sekundnika kieszonkowego zegarku.

- Zapali pan? – wyrwał nagle gość.
- Nie palę – odparł standardowo Giennadij.

Stiepan za pomocą połyskującej zapalniczki benzynowej zajął papierosa i zaciągnął się ochotczo. Od razu dało się poznać, że Sewienkov jest silnie uzależniony, przysłowiowy dymek sprawiał mu wiele radości i nie dało się tego ukryć.

- Proszę tutaj. Niech pan usiądzie.

Drzwi za nimi trzasnęły i wszelki hałas dobiegający z korytarza umilkł. Silnie oświetlony gabinet został już wcześniej przyrządzony. Na środku sali znajdował się stolik rozdzielający dwa eleganckie fotele. Dwaj panowie zasiedli przy drewnianej ławie i przystąpili do kontynuowania kontraktu.

- Otrzyma pan teraz kilka formularzy, które wystarczy skwitować podpisem. Streszczę większość stronic, by zaoszczędzić nam czasu. Przypominam, że podjął pan ostateczną decyzję, bez odwołania. Wszelkie próby złamania

zaakceptowanych przez pana zasad poniosą za sobą poważne konsekwencje... Zresztą dorzeczy, darujemy sobie te formułki. Poza panem zostały wybrane także dwie inne osoby, nazwisk zdradzać nie będę, wszystko w swoim czasie. Machnie pan autograf w kilku miejscach i tym samym stanie się pan jednym z elementów naszej układanki. Projekt nosi nazwę „S-01” i jego celem jest stworzenie „unikalnego środka” chroniącego przed bardzo wysokimi dawkami promieniowania.

Eksperymenty są niebezpieczne i dlatego potrzebujemy wykwalifikowanych pracowników z doświadczeniem. Tam nie będzie pan obserwował roślinek. Projekt „S-01” to zupełnie inny kaliber. Więcej dowie się pan w najbliższym czasie.

- Od, kiedy zaczynam i co z moją aktualną posadą? – spytał Giennadij podpisując ostatni dokument
- Jutro o tej samej godzinie zostanie pan przetransportowany na nowe miejsce pracy. Spotkamy się i omówimy jeszcze kilka drobnych spraw. Owoce pańskiej pracy zostaną na miejscu. Jeszcze jakieś pytania? – Stiepan wstał dogasił papierosa i

oczekując odpowiedzi zaczął pakować pliki do aktówki.

- To chyba wszystko. I dziękuję – Giennadij także wstał wystawiając dłoń w geście pożegnania.
- To ja dziękuję – gość uściśnął rękę i otwierając na oścież drzwi wpuścił do gabinetu nieco korytarzowej wrzawy.

Młody naukowiec został sam, ponownie, z kolejną serią dręczących go pytań.

Wola

Telewizor w skromnie urządzonym pokoiku nadawał poranne wiadomości odganiając jednocześnie senną aurę. Na palniku kuchennym swój mały koncert zainaugurował czajnik wydobywając z dziobka sówite ilości pary. Wyrzucony pod wpływem ciśnienia gwizdek poturlał się w stronę drzwi wyjściowych, Giennadij uciśzył buchające naczynie i podniósł z podłogi metalowy element. Wrzący strumień wody wypełnił przezroczysty kubek tworząc brunatny napar. Młody naukowiec zabrał stygnącą herbatą do

pokoju, gdzie mógł posłuchać ostatnich wiadomości. Giennadij usadowił się wygodnie w fotelu i wyteżył słuch wklejając spojrzenie w ekran. W telewizji przedstawiano właśnie prognozę pogody:

„...w Obwodzie żytomierskim bez opadów, liczne przejaśnienia. Temperatura w granicach pięciu stopni. Natomiast na terenie całego obwodu kijowskiego silny wiatr i ulewa. W północnej części nawet dwa stopnie poniżej zera. Obwód czernihowski za sprawą niżu z nad...”

Odbiornik błyskawicznie zmienił swoje oblicze śnieżąc i wypływając z głośników jazgoczące dźwięki. Kapryśne ustrojstwo nie milkło i wtórowało przekleństwu rzucanym przez Giennadija. Zapowiadana pogoda najwyraźniej wyrządziła szkody i zerwała gdzieś kable telekomunikacyjne. Naukowiec poruszył kilka razy anteną, lecz w pokoju wciąż rozlegał się ten sam ton. Zirytowany zdławił w sobie złość i odszedł od telewizora, usiadł w fotelu i ciężko westchnął. Miał jeszcze parę minut, ale nie chciał pozostałego czasu przeznaczyć na zajmowanie się płatającym figle odbiorniku. Giennadij wskoczył w buty założył szykowny prochowiec i w

zwyczaju zerknął na zegarek.

Rwący wiatr stał się reżyserem srożej jesiennej scenerii, ulotna materia w rytmie rozhulanego wichru przemierzała kilometry, nieokiełznane siły natury w akompaniamencie upiornego świstu ciskały liśćmi kreując nieustannie obraz rozległej sfery. Półnagie drzewa urokliwie tańczyły trzymając się chwiejnego taktu, a cienkie gałęzie pod potężnymi podmuchami wyginały się na boki. Mroźny dżdżysty deszcz uderzał w ponurą ziemię przeistaczając się w błotniste kałuże, które topiły w swoim nurcie kruche gałęzie. Pierzaste kłęby zalały bezkres nieba jakby urzeczywistniając wizję szalonego malarza przelewającego na płótno swoje najczarniejsze koszmary. Do nieobliczalnej konfrontacji sił przyrody wdał się piorun rysując na sklepieniu świetliste odnogi. Surowe wycie wiatru okazało się malutkie przy potężnym grzmocie, stukanie kropli i szmer roślin na chwilę ucichł.

– Nie zapowiadali dzisiaj burzy i to z rana, przeczekam tę nawałnicę. – powiedział sam do siebie, wyjął z płaszcza telefon i z powrotem wszedł do klatki schodowej.

W słuchawce rozległo się słabo słyszalne pikanie informujące o braku połączenia. Giennadij powtórzył kilka razy tą samą czynność, lecz bezskutecznie. Niesprzyjające warunki najwidoczniej zakłócały wszelką pracę urządzeń falowych. Naukowiec nie mógł zwlekać z przyjazdem do pracy, kierownictwo musi zostać poinformowane o ewentualnym spóźnieniu. Restrykcyjne zasady komplikowały okoliczności w jakich znalazł się Giennadij. Pozostało mu tylko wsiąść do samochodu i jechać w kierunku Prypeci.

Silnik parokrotnie zaterkotał, po czym zaczął pracować wprawiając w wibracje karoserię pojazdu. Giennadij włączył wycieraczki wrzucił bieg i ruszył rozchlapując mętną wodę na boki. Poczciwy czterokołowiec pokonał parę metrów i znalazł się na twardej drodze. Nawierzchnia z minuty na minutę stawała się coraz bardziej śliska, a rześisty opad zdawał się nie mieć końca. Mechaniczne ramiona nie nadążały z wycieraniem szyby, przez co widok na jezdnię był znikomy. Impulsem do zatrzymania samochodu okazała się gałąź, która zadudniła w konstrukcję dachu. Naukowiec wykonał manewr i znalazł się na poboczu, serce au-

tomobilu wciąż funkcjonowało. Giennadij pograżył się w chaosie myśli. Zawisł nad kierownicą ze skrzyżowanymi rękoma główkując nad jakimkolwiek sensownym wyjściem z sytuacji. Nawyk skłonił go do wyjęcia z kieszeni osobistego talizmanu ze wskazówkami. Wlepił wzrok w zegarek uświadamiając sobie, że dzieli go jeszcze kilkanaście minut do regulaminowego rozpoczęcia pracy. Giennadij popadł w apatię nie zdając sobie z sprawy z ustępującego deszczu. Stukot kropli zmniejszył się do minimum wzmacniając pracę wycieraczek. Naukowiec uwolnił się z letargu i wyszedł na zewnątrz. Uniósł ręce do góry nie dowierzając tak nagłej zmianie pogody, uśmiechnął się sam do siebie, a gdy już miał z powrotem wsiadać do pojazdu wpadł w osłupienie dostrzegając w przydrożnym lesie tajemniczą postać, która wyglądała dosyć dziwacznie. Lekko zgarbiona istota pokręciła głowę na boki i w mgnieniu oka czmychnęła w najbliższe krzaki pozostawiając po sobie wspomnienie i dźwięk trzaskanych gałązek.

Giennadij był pewny, że to co zobaczył było faktem, a nie iluzją jego własnej świadomości, zaintrygowany podbiegł bliżej, ale

wszelaki ślad po enigmatycznej posturze zanikł. Hormony odpowiadające za podekscytowanie zmieszały się z osobliwym poczuciem lęku wprawiając naukowca w stan, który nie pozwalał mu iść dalej, a ni zawrócić. Chęć poznania zagadkowego stworzenia krępowała poczynania bohatera, instynkt podpowiadał, by nie działać pochopnie i nie zapuszczać się w nieznane. Obcy mógł działać według zwierzęcych kryteriów tylko z pozoru wykazując płochliwość, ale w desperacji posunąć się do każdego czynu sprzecznego z ludzką naturą. Ciekawość paliła coraz bardziej, naukowe zapędy przechylały szalę rozwiewając wątpliwości, które paraliżowały Giennadija. Bohater ponownie stanął przed decydującym wyborem. Pragnienie poznania okazało się silniejsze.

Widzenie

Las w ujęciu zmysłów emanował nieokreśloną energią, ledwie wyczuwalną, ale poruszającą sferę ludzkiej psychiki. Dumnie szumiące ramiona drzew nękanie przez powiew wiatru symultanicz-



nie ociekały rześkimi kroplami deszczu. Wolno spijana przez glebę woda tworzyła cieniutkie strużki na kolorowych liściach, chlapiąc tym samym małych mieszkańców ściółki. Powietrze przesycone wilgocią czyniło to miejsce bardzo zmysłowym, wzruszona leśna ziemia mieszała w sobie kolory połyskując w świetle rzucanym za przyzwoleniem gęstych gałęzi. Ceremonię natury kształtował harmonijny wokół ptasiego klanu. Duch lasu oswoił się z nowym

przybyszem, pozwolił mu na pobyt w królestwie dziewiczej biosfery. Obcy odziany w płaszcz wkroczył do świata, gdzie człowiek jest intruzem zdany na łaskę przyrody, miejsca, gdzie wołanie o pomoc jest zjawiskiem próżnym, a każdy kolejny krok to próba. Z perspektywy naukowca czarujący bezlik dziewiczej krainy, na mapie malutki nic nieznaczący punkcik.

Giennadij kroczył po miękkim gruncie świdrował wzrokiem strzeliste sosny oraz wsłuchiwał się melodyczną fonię niesioną przez oddech lasu. Licznik Geigera milczał pozwalając poruszać się w równym tempie, chód zakłócały tylko bujne krzewy o długich haczących gałązkach. Bór należał do Strefy jednak znajdował się znacznie dalej od centrum wydarzeń z pamiętnego 1986 roku. Wszakże sam fakt przynależności lasu do regionu wokół Czarnobyla wyraźnie zniechęcał ludzi do zapuszczania się na te tereny. Giennadij z każdym kolejnym krokiem oddalał się od pozostawionego samochodu, naturalne bariery w formie gęstej roślinności wyrastały proporcjonalnie do przebytej drogi. Walka z gąszczem była wycieńczająca, im dalej szedł tym krzaczaste zarośla coraz

mocniej utrudniały posuwanie się naprzód. Taki stan rzeczy wysuwał przypuszczenia na temat ostatnich wizyt człowieka w tym miejscu, naukowiec do tej pory nie dostrzegł niczego co mogło, by pochodzić od ludzi, żadnych śmieci czy wydeptanych ścieżek. Katastrofa, choć wyrządziła wiele szkód i cierpienia mieszkańcom Czarnobyla to dla lasu okazała się zbawienna.

Giennadij nadal toczył uciążliwe zmagania z krzewami odgradzając przejście poharatanymi dłońmi. Mozolne przedzieranie się przerwał sygnał telefonu. Naukowiec wzdrygnął i w okamgnieniu odebrał połączenie. Po przeciwnej stronie odezwał się znajomy głos:

- Giennadij, gdzie ty u licha jesteś! Powinieneś już dawno być w pracy, stało się coś? – cedził zdenerwowany Wuser.
- Słuchaj mnie uważnie...W drodze do Prypeci zauważyłem coś, co przypominało ludzką istotę! Cholera wie...
- Jaja se robisz, gdzie ty ku*wa jesteś?
- W jednym z lasów, kilka kilometrów od Korogodu, kieruj się w te strony, na poboczu stoi mój samochód, będę przy, nim

czekał.

- Zachciało ci się w detektywa bawić. Radzę ci ulotnij się stamtąd jak najszybciej, bo nie wiesz z czym masz do czynienia. Spróbuję cię usprawiedliwić w kierownictwie i zaraz ruszam!

Głos dobiegający ze słuchawki zamilkł. Giennadij zdał sobie sprawę, że impulsywne podjęcie śledztwa wymazało jakiekolwiek oznaki trzeźwego myślenia. Poczuł na sobie ciężar chwili, sytuacja w jakiej się znalazł była dość skomplikowana – on sam w centrum dziczy jako poszukiwacz niezidentyfikowanej formy życia. Krople potu ciekły mu po skroniach, cierpki smak strachu objawił się paraliżującym ciału na wskroś uczuciem gęsiej skórki. Efemeryczne poruszenie tchnęło w naukowca nowe siły uwalniając go ze stagnacji. Giennadij obrócił się na pięcie i zaczął zmierzać w kierunku wyjścia. Las w perspektywie czasu stracił swój dawny urok, niewidzialne napięcie nadgryzało świadomość bohatera trując jego psychikę nienamacalną energią grozy. Mózg poddając się nieprzyjemnej woli lęku płatał figle kreując coraz to bardziej po-

kręcone obrazy. Towarzyszący niepokój narastał, otaczający go obszar wznosił niemal celowy opór. Każdy ruch bohatera zdawał się być kontrolowany przez siły wyższe, a wszelkie próby przełamania nieuchwytnych barier ponosiły fiasko. Giennadij czuł jak ziemia pod, nim mięknie, a nogi twardnieją. Przytłumiony natłokiem nadprzyrodzonych zdarzeń naukowiec machinalnie sięgnął do kieszeni. Wskazówki kieszonkowego zegarka stanęły w miejscu. Bohater uparcie parł na przód potykając się o wystające z ziemi korzenie. Momentalnie w uszach rozległ się rozdzierający pisk, a w głowie powstała absolutna próżnia. Giennadij upadł na kolana. Spazmatycznie skierował wzrok przed siebie rozwierając usta i mamrocząc coś pod nosem. Dusza bohatera zdawała się odrywać od ciała, by pożegnać sferę materialną i rozpląnąć się gdzieś w świecie astralnym.

Śmierć zamiast spojrzeć ostatni raz w oczy pozwoliła zobaczyć to czego tak bardzo szukał. Za drzewami rysowała się sylwetka humanoida o dziwacznej posturze. Zagadkowa istota ospale kroczyła w kierunku będącego w transie Giennadija. Dystans dzielący

obie postacię pozwalał wyłącznie na kontakt wzrokowy. W pewnej chwili enigmatyczny mieszkaniak lasu znieruchomiał nieprzerwanie wpatrując się w naukowca. Ten zaś ostatnie resztki sił skupił na wymianie chaotycznych spojrzeń z potencjalnym przeciwnikiem. Kres życia zdawał się być nieunikniony, cena maniakalnego dążenia do poznania prawdy okazała się zgubna. Bohater poczuł w piersi ścisk, cząsteczkę żalu jak cierń raniącą duszę przegranego. Bezimienny twór uniósł rękę przed siebie wymierzając finalny wyrok. Pisk ponownie przeszył przestrzeń zwiastując nieubłagany koniec. Niespotykana dotąd atmosfera grozy pękła niczym bańka, zmyła się pozostawiając po sobie tylko wspomnienie. Umysłowa katorga dobiegła końca przejaśniając rzeczywisty obraz. Giennadij czuł przyrost wigoru. Nie odrywał jednak wzroku od wciąż będącej naprzeciw postaci. Obcy opuścił kończynę spojrzał ostatni raz i rozpułnął się w gęstwinie lasu.

Bohater wstał nie okazując żadnych oznak wycieńczenia, poczuł się, jak, gdyby nic się nie stało. Świadomość psychicznej konfrontacji wciąż tliła się w środku szukając racjonalnego wytłuma-

czenia. Giennadij nie zadawał już pytań, chciał uchwycić sens, poznać odpowiedź. Mechanizm kieszonkowego zegarka funkcjonował bez ustanku cyklicznie przesuwając wskazówki. Naukowiec wskrzesił pamięć i uzmysłowił sobie, że w jego stronę zmierza Wuser. Otrząsnął się ostatni raz i żwawo podążył ku drodze powrotnej. Samochód stał na poboczu połyskując w blasku słońca. Giennadij usiadł na masce i wyczekiwał przyjazdu znajomego. Z oddali dochodził dźwięk pracującego silnika, niebawem na asfaltowym płótnie pojawiły się kontury pędzącego pojazdu. Czterokołowa maszyna zatrzymała się tuż obok naukowca. Wuser wybuchowo wysiadł i przemówił gubiąc dech:

- Giennadij niech cię szlag trafi. W co ty pogrywasz, życie ci nie miłe, co widziałeś, opowiadaj!
- Skąd mam wiedzieć. Kosmitę? Istotę o dość dziwnej głowie i posturze. Nie miałem okazji zobaczyć go z bliska, ale... – naukowiec urwał.
- Co ale?
- Zdolności paranormalne...

- Pieprzysz głupoty. Może chcesz mi wmówić, że unosił się w powietrzu, a następnie wyciągnął królika z kapelusza. Nie żartuj! – znajomy zrobił pogardliwą minę i wlepił wzrok w zmieszanego Giennadija.
- Wuser to, co doświadczyłem nie można zilustrować w realny sposób, to było coś jak przejście na tamten drugi świat.
- Rozmawiałeś z Bogiem?
- Choć za mną niedowiarku, poszukamy razem tej tajemniczej istoty – rzucił z powagą i ruszył w stronę lasu.
- Prowadź – odrzekł lakonicznie, wsadził ręce do kieszeni i udał się za kolegą. Po pokonaniu kilku metrów Giennadij zachwiał się i spłynął na ziemię podpierając się w ostatniej chwili rękoma. Świat ponownie zawirował. Powieki stały się ciężkie, naukowiec z trudem obrócił głowę. Niewyraźny profil człowieka spoglądał w bezruchu na tracącego kontakt z rzeczywistością Giennadija. Konający zdołał wykrztusić ostatnie słowa.
- On...tuu jest...

– Ja tu jestem, wybacz stary...

Wuser rzucił na ziemię zużytą strzykawkę z nieznanym środkiem. Podniósł leżącego i zaprowadził do pojazdu. Chwilę potem na poboczu pozostał już tylko jeden samochód.

Droga

W małym pomieszczeniu obitym mlecznymi kafelkami unosił się wyraźny zapach laboratoryjnego sprzętu. Nieskazitelnie czysta podłoga oślepiająco połyskiwała za sprawą intensywnie świecących jarzeńówek. Szczelnie zamknięte drzwi torowały zgiełk dobiegający z korytarzy pozwalając tylko nielicznym dźwiękom, choć stłumionym dotrzeć do pokoju. Na środku salki znajdował się kredens z różnorodnymi instrumentami i środkami medycznymi, w rogu zaś usadowiono potężną szafę z rzeczami o nieznannej wartości. Na tarczy ściennego czasomierza wskazówki manifestowały godzinę trzynastą.

– Sądzi pan, że ten zabieg zakończy się pomyślnie, operacja nie

może ponieść za sobą żadnych konsekwencji. Prawda nie może wyjść na jaw – zakomunikował jeden z ludzi znajdujących się w pomieszczeniu.

- Absolutnie. Proszę mi zaufać. Znam się na tym – Wuser wstał naciągnął strzykawkę i dodał – podjęcie takich działań wymagało obejścia wielu przeszkód, tym samym wykorzystałem limit przywilejów w kierownictwie. Dobrze, że o niczym nie wiedzą.

Cieniutka igła bez oporu wbiła się pod skórę nieprzytomnego mężczyzny wprowadzając preparat do organizmu. W tym samym czasie z drugiego końca sali dobiegł tubalny głos kolejnego gościa:

- Jak długo mamy czekać i pytanie co dalej?
- Preparat zacznie funkcjonować w granicach pięciu minut. W tym czasie warto obmyślić alternatywną wersję zdarzeń i przedstawić ją Giennadijowi – oznajmił Wuser wrzucając do kosza zużyty iniektor.
- Ja z, nim porozmawiam – wymamrotał mężczyzna teatralnie poprawiając krawat – następnie przedstawimy po kolei etapy

jego nowej pracy.

- Kontaktowałem się z Kaługinem w dzisiejszej sprawie, nie ukrywał zaniepokojenia – stwierdził jeden przyglądając się nieprzytomnemu.
- Akurat Kaługin, to nasze najmniejsze zmartwienie. Za jakiś czas dowiemy się, na czym dokładnie stoimy. O wybudza się!
 - ożywił się facet w garniturze podchodząc do Giennadija.

Zgromadzeni zebrali się obok wracającego do rzeczywistości naukowca w zaciekawieniu obserwując jego mimowolne tiki i pomrukiwania. Półprzytomny niemrawie unosił powieki, łzawiąc z powodu mocnego światła. Naukowiec gwałtownie się poruszył, spuszczaając głowę, mamrotał pod nosem, ogarniając wzrokiem niewyraźny obraz.

Niedobudzony, ale kontaktujący mniej więcej spojrzał na trzech facetów w garniturze, jednego z nich, choć rozmazanego rozpoznał od razu. Giennadij złapał się za głowę i rzekł standardowo:

- W mordę, moja głowa. Co ja tu robię

- Witaj Gienna, widzę dochodzisz do siebie, lek zaczyna działać – rzucił Wuser na przywitanie.
- Jaki lek, co tu się dzieje, gdzie ja jestem? – pytał podenerwowany naukowiec domagając się odpowiedzi.
- Proszę być spokojnym. Wszystko jest pod kontrolą, postaram się panu wszystko wyjaśnić. Nazywam się Matwiej Gusiniew, a to mój towarzysz Nikołaj Wawiłow, mamy zamiar nakreślić kilka spraw odnośnie stażu. Ale najpierw wyklaruje sytuację, która pana niecierpliwi. Giennadij, podczas kierowania się w stronę Prypeci prawdopodobnie zemdlałeś, jako nieprzytomny zostałeś przetransportowany właśnie tutaj. Nie znamy na razie przyczyn tego niefortunnego zdarzenia, całe szczęście jest pan z nami cały i zdrowy. Wszystko dzięki Wuserowi, który udzielił pomocy. Ale do rzeczy, udamy się zaraz do pokoju, gdzie podpisze pan jeszcze kilka papierów i następnie skierujemy się w stronę Czarnobyła, gdzie mieści się nasza placówka. Proszę za mną. – Gusiniew podniósł teczkę, wręczył uszkodowanemu osobiste rzeczy i dłonią wskazał drzwi

wyściowe.

- Pozwólcie, że udam się do łazienki. To potrwa chwilę – powiedział Giennadij opuszczając trójkę mężczyzn.

Trzech facetów wyszło na zewnątrz i zaczęło rozmawiać, echo wypowiedzianych słów niesło się długim korytarzem rozpluwając się i pozostawiając po sobie tylko wątły pomruk. Giennadij oparł się o umywalkę przemywając twarz letnią wodą, nieco orzeźwiony zerknął w lustro dostrzegając dziwne znamie w oku. Naukowiec przyjrzał się bliżej, czarna plamka na twardówce, choć mała była dobrze widoczna. Giennadij nieco zaniepokojony wciąż przyglądał się w zwierciadle, usiłując wy tłumaczyć pochodzenie nieproszonego gościa. Do łazienki raptownie wtargnął Wuser poganiając naukowca, ten szybko się zerwał zakrywając dłonią oko udając, że je przemywa.

- Co ty makijaż robisz? Nie ma czasu, trzeba ruszać – stanowczo, choć bez irytacji pośpieszył kolegę.

Przed budynkiem stał już samochód, elegancka limuzyna z otwartymi drzwiami czekała, by zabrać pasażerów do Czarnobyła. Bro-

daty szofer w swetrze i jasnych džinsach dopalał właśnie papierosa, gdy czterech mężczyzn wsiadało do auta. Gusiniew ponaglił kierowcę i po chwili maszyna na kołach chwiejnie z impetem wyjechała z placówki kompleksu badawczego.

Pojazd sunął po szosie mijając co rusz porośnięte bluszczem domki i znaki informujące o skażeniu radioaktywnym. Upiorne budynki bez okien i drzwi wyrastały ponad widnokrąg, a w bujnych trawach topiły się zdezelowane przedmioty i przerdzewiałe wraki pojazdów. Miejsce zapomniane, wyobcowane, nasiąknięte pustką i chłodem. Grobowy krajobraz stworzony i zniszczony przez ludzi. Po długim milczeniu w samochodzie rozległ się tubalny głos Wawiłowa:

- Jeszcze jakieś z dziesięć minut, zaraz wjedziemy na most śmierci.
- Skąd taka nazwa, mogę się domyślać? – rzucił pytająco Giennadij
- Podczas katastrofy mieszkańcy zgromadzili się na moście, by obserwować skutki wybuchu reaktora. Rzekomo wszyscy ci,

którzy w tym dniu stali na wiadukcie zmarli po jakimś czasie. Teren był bombardowany przez większe ilości promieniowania, oczywiście nie wiadomo czy historia jest prawdziwa, ale nazwa jak widać przetrwała.

- Ciekawa anegdota – odpowiedział naukowiec i ponownie wlepił wzrok w szybę.
 - Spójrzcie w lewo, dzik przy drodze...Całkiem spore – oznajmił Wuser ożywiając nieco panującą atmosferę.
 - Normalka, codziennie takie widzę. Wyrośnięte, to takie...Ale można by wyżywić cały personel przynajmniej – odrzekł ponownie Wawiłow sztachając się fajką – o już dojeżdżamy.
- Z mostu doskonale widać było charakterystyczny komin reaktora, na wysokości wzniesienia górowały korony drzew oraz, ledwo widzialne szkielety budynków. Niebo formowały kłębiaste chmury o ponurej barwie, te niesione wiatrem przemieszczały się na tle statycznej konstrukcji – symbolu katastrofy energetyki jądrowej. Limuzyna zjechała z głównej szosy jednocześnie tracąc z pola widzenia prospekt martwego miasta. Samochód zbliżał się do po-

sterunku, przy, którym stało kilku uzbrojonych mężczyzn. Szofer zasygnalizował za pomocą świateł, że zbliża się jednostka urzędowa. Pięć mrugnięć wystarczyło, by paru rośli facetów gwałtownie uniosło szlaban. Pokonanie bariery przeszło bezproblemowo, jednak tym razem postój był konieczny. Przy następnym posterunku zaczęto legitymować pasażerów, mimo wysoko postawionych członków tajnego kompleksu. Pragmatyczne metody działania obejmowały każdego. Strażnicy zasalutowali na odczepnego i wrócili do swoich spraw, przed samochodem rysował się krótki odcinek drogi, który urywał się w pewnym miejscu. Po prawej stronie zaczynał się brukowany chodnik otoczony siatką i podejrzanyymi prętami wystającymi z ziemi.

- To tutaj. Wsiadamy – odparł Wawilow
- Spodziewałem się czegoś innego, poza chodnikiem i ogrodzeniem nie widzę tu niczego co mogło, by służyć za ośrodek badań – rzucił z lekką ironią Giennadij spoglądając na mężczyzn.
- Jeszcze nie dotarliśmy do celu, niech pan się nie martwi.

Proszę za mną. Gusiniew pozdrowił szofera i limuzyna odjechała.

- Nie muszę przypominać, że przedsięwzięcie, w którym bierze pan udział jest tajne. Tak, więc wyjaśnię jeszcze kilka kwestii – Gusiniew zrobił pauzę zerknął na naukowca i dodał – cały kompleks mieści się pod ziemią. Badania jakie prowadzimy są nad wyraz cenne i niebezpieczne, z tego powodu byliśmy zmuszeni kierować całą akcją z dala od osób postronnych, czy też wścibskiego wywiadu krajów zagranicznych. Zwierzchnikiem projektu jest Kaługin, myślę, że zdoła go pan jeszcze dzisiaj poznać.

Panowie skręcili w jedno z odgałęzień i znaleźli się na przeciw małego budynku o wojskowym charakterze. Betonowa konstrukcja wyrastała z ziemi pod kątem ostrym. Stalowe wrota zgrzytęły, a blade światło padło na schody prowadzące pod ziemię. Przed drzwiami stał funkcjonariusz z karabinem zawieszonym na plecach, ten przed oddelegowaniem otrzymał jakieś instrukcje od Gusiniewa, anonimowy pracownik obrzucił wzrokiem na gości i

zaprosił do środka. Giennadij przed wejściem spojrzał jeszcze raz na zegarek, niebawem potężna brama za jego plecami zadudniła wydobywając z siebie głucho szczęknięcie.

Pokój numer 12



Żelbetowa konstrukcja nad głowami czterech mężczyzn przytłaczała kształtem i wysokością. Niski sufit sprawiał, że miejsce budziło dyskomfort i poczucie stąpania pod powierzchnią, pomimo że panowie niezeszli jeszcze pod umowny poziom morza. Stalowe linie biegnące wzdłuż pomieszczenia skrywały pod powłoką prze-

wody elektryczne, które gdzieniegdzie rozwidlały się i wtapiały w masywne betonowe mury. Sklepienie skromnie urządzono nagimi żarówkami, od, których biło słabe pulsujące światło, co kilka metrów z krawędzi ścian wyłaniały się ziejące czernią otwory, służące za kanały wentylacyjny. Korytarz w pewnym miejscu się kończył, a Giennadij wraz z tajemniczą kliką był zmuszony poczekać, aż z małego pokoiku wygramoli się strażnik z pękiem kluczy. Pełniący wartę pracownik zająknął coś pod nosem, że tylko on wiedział co ma na myśli. Wąły łysiejący facet w okularach z lat siedemdziesiątych i dziwnym zaczesem na głowie sprawiał wrażenie człowieka egzystującego wyłącznie w tej betonowej jaskini, w której zatrzymał się czas. Giennadij spoglądał na otwierające go drzwi mężczyznę, choć bardziej interesował go zamknięty tuż obok pokój z symbolem H-3. Przez wizjer naukowiec ujrzał zniekształcony i nic nieznaczący obraz, aczkolwiek stale zmieniający się.

- Do jakich celów asygnowany został ten pokój?
- Nie możemy obecnie udzielić informacji na ten temat.

Wybaczy pan.

Po tych słowach portier zerknął na dociekliwego naukowca, lekko zatroskana mina zdradzała jakieś wewnętrzne zaniepokojenie, po chwili woźny spojrzeniem ogarniał już tylko kiść mosiężnych kluczy. Hermetyczne wrota zgrzytnęły donośnie, masywne skrzydło przesunęło się w bok wpuszczając do pomieszczenia dawkę rażącego światła. Mężczyźni bez wahania ruszyli, skinęli rękoma w podzięcie i w milczeniu podążyli w kierunku kolejnych drzwi, przy, których czekał wcześniej poinformowany nadzorca.

– Dzień dobry, poproszę klucz do holu nr 4.

Gusiniew surowo zakomunikował i podkreślił swoje żądania, strażnik lekko wzdrygnął i wykonał polecenie. Dla Giennadija wydawał się to ostatni etap zwiedzania tajnego kompleksu, jednak rysujący się przed jego oczyma widok kolejnych korytarzy i drzwi rozwiął osobiste dywagacje wywołując zarazem zażenowanie i ospałość.

– Proszę tutaj, lada moment będziemy na miejscu – Nikołaj zachęcająco wskazał ręką na przejście po ich prawej stronie, gdy wszyscy znaleźli się w małym przedsionku wezwano windę

za pośrednictwem kodu.

Parę kliknięć w panel sterowania sprawiło, że serce maszynerii wróciło do życia, zespół różnorodnych elementów zaczął współgrać ze sobą jak orkiestra podczas koncertu, wydając przy tym mechaniczną kakofonię, która narastała z każdą sekundą. Dźwięk podążał ku górze, stalowa nić za niewielką witryną wyglądała dość upiornie, jak wąż, który utknął w ciemnościach i wije się w otchłani. Na finiszu winda wydała charakterystyczny brzęk, blokada przestała spełniać swą funkcję i zgromadzeni mogli zjechać na niższe kondygnacje. Mężczyźni w ciągu niecałej minuty znaleźli się kilkadziesiąt metrów pod ziemią, gdy drzwi odsunęły się na bok Giennadij momentalnie się ożywił. Przestrzeń, choć nie różniła się rozmiarem od poprzednich miejsc, uderzała niezwykle dbałością i znamienną elegancją, przejrzysty wykafelkowany korytarz bił po oczach przyzwyczajonych do smętnego światła. Lokum tętniło życiem, echo kroków chodzących pracowników rozchodziło się ze znaczną częstotliwością, tu i ówdzie rozbrzmiewały dźwięki wydawane przez laboratoryjną aparaturę. Cały personel posia-

dał jednolity ubiór, biały kombinezon z maseczką, solidne buty kształtem przypominające gumki i podręczny notes. Naukowcy pochłonięci pracą nie zwracali uwagi na gości, przechodzili obok przybyszów nie odzywając się ani słowem. Nawet do wyżej ustawionych Gusiniewa i Wawiłowa.

– Zapraszam wszystkich do pokoju, odpocznijmy chwilę i przejdziemy do konkretów. Giennadij, za jakiś czas powinieneś otrzymać klucze oraz instrukcje, które pozwolą ci się oswoić z nowym otoczeniem, resztę ludzi poznasz jutro. Kawy? –

Wawiłow załączył elektryczny czajnik i przysiadł do stołu. Giennadij z aprobatą przyjął poczęstunek, gdy miał zadać kilka pytań dotyczących stanowiska, kątem oka dostrzegł pracownika niosącego w ręce coś na podobieństwo kajdanek. Lekko zdumiony naukowiec szukał wytłumaczenia, w jakim celu zostały przyniesione owe bransolety. Ostatecznie Giennadij wstrzymał się z reakcją i oponował swoją dociekliwość. Z naczynia zaczęła buchać para i w mgnieniu oka kubek przepełnił się wrzącym naparem. W pomieszczeniu zapanowała usypiająca aura, jednak dość przyjemna

w odbiorze, miękkie obicia krzeseł zapewniały komfort i ponieważ stały się powodem, dla którego zgromadzeni rozplynie się w objęciach drewnianych siedzeń przy okazji racząc się zapachem czarnego wywaru. Nie długo trwała ta cisza, do pokoju wtargnął nieznajomy mężczyzna ubrany w biały kombinezon. Zdjął maskę ochronną, z jego czoła zaczęły spływać krople potu, zgrzany facet dłonią przecesał grzywę do tyłu i uśmiechnął się do wszystkich.

– Nazywam się Matwiej Akwajip, a pan jak dobrze myślę, Giennadij – żywiołowy pracownik kompleksu wyciągnął z kieszeni jakieś drobiazgi, wśród nich był kluczyk z breloczkiem informującym do jakich drzwi pasuje. Na metalowej blaszce widniała naklejona liczba – 12. Naukowiec z racji respektowania manier wstał i przywitał się przytakując głową na wcześniejsze pytanie.

– Pozwoli pan, że się streszczę. Udamy się teraz do innego miejsca, tam wytłumaczę pokrótce co i jak. To w drogę. Do widzenia wszystkim – Matwiej energicznie uściskał dłonie pozostałym i wyszedł z pokoju.

Giennadij zrobił to samo. Wawilow, Gusiniew oraz Wuser także opuścili lokum, obierając zupełnie inną trasę.

– Otrzyma pan drugi klucz do „dwunastki”, obecnie w laboratorium tylko dwie osoby mają dostęp do tego pomieszczenia. Kombinezon czeka już w szatni, a niezbędne przyrządy przekażę już na miejscu. Od razu przejdę do meritum, w sali dwanaście, dwunastce, jeden dwa, szczerowni czy jak, kto woli prowadzimy eksperymenty na zwierzętach, łatwo domniemać na jakich. Od razu przestrzegam, że te małe ścierwa są dość agresywne i trzeba mieć co nie co animuszu przy obcowaniu z tymi stworzonkami. Niektóre okazy są wyrosnięte, ale jak je porządnie pacnąć to się uspakajają, badamy ich psychikę, tresujemy i inne takie, resztę szczegółów pozna pan z czasem. O! Tutaj jest przebieralnia – Matwiej uchylił drzwi od szatni i pożegnał się z Giennadijem na kilka minut.

Naukowiec spojrzał na żwawego pracownika wertującego po drodze kartki podręcznego notesu. Po chwili znikł mu z oczu, a ko-

rytarz oblała pustka, blade ściany, choć były światłem spowiły powietrze zdechłą aurą, wszystko ucichło. Laboratoryjny zgiełk przeistoczył się w próg słyszalności, podziemny kompleks wydawał się być martwy. Giennadij otworzył drzwi na oścież, rząd metalowych szafek rozpościarał się na pół sali, tu również nikogo nie było, tylko zdeformowana postać żyjąca w lustrzanym świetle na płaszczyźnie stalowego prostopadłościanu. Na ławie znajdował się poskładany kombinezon, obok masywne gumofilce wyglądające jakby przed chwilą opuściły taśmę produkcyjną. Naukowiec wskoczył w biały kostium, dopiął guziki w rękawach i machinalnie poprawił nogawki, obuty jak należy mógł pełnoprawnie stać się członkiem personelu. Do kieszeni wrzucił zegarek, jednak po chwili wyciągnął go z powrotem. Wskazówki nie przemieszczały się, sekundnik żałośnie dogorywał próbując przemieszczać się ku górze, na tarczy chronometru czas stanął w miejscu. Do szatni napłynął strumień światła i dźwięk kroków. Uśmiechnięty Matwiej stanął w progu i rzucił:

– Widzę, że jesteś już gotowy, w takim razie zapraszam.

Potrzeba czegoś jeszcze?

- Baterii. Mój zegarek przestał działać. – odparł Giennadij stukając palcem w szybkę wartościowej pamiętki.
- Znajdzie się, jednak teraz proszę za mną.

Pokój numer dwanaście mieścił się na końcu holu, obok niego znajdował się również gabinet o nieznanym przeznaczeniu. Zawieszona tabliczka informowała o jakimś niebezpieczeństwie, lecz naukowiec nie przyjrzał się dostatecznie, by zrozumieć jej graficzne obwieszczenie. Akwajip włożył klucz do zamka, zespół drobnych zapadek przyjął prawidłową kombinację, wrota otwarły się. W pomieszczeniu było ciemniej niż na korytarzu, źródłem światła okazały się zwykłe lampki stołowe rozmieszczone według przyjętego schematu. Na środku stały żelazne bryły wyposażone w liczne pokrętła, suwaki oraz liczniki. Na biurkach usytuowane były komputery starego typu, podłoga była tutaj brudna, a powietrzu unosił się swąd futra i fekaliiów.

- Proszę założyć maskę, chyba że odpowiada panu ten zapaszek
- Matwiej zaśmiał się pod nosem.

– Nie tak sobie to wyobrażałem. Myślałem, że...

– Że co? Że to będzie salon gier, ze szwedzkim stołem i półnagimi panienkami na parkiecie? – Akwajip znów buchnął śmiechem, jednak zrobił to na tyle uprzejmie, że sam Giennadij zachichotał.

– Gdy tu trafiłem też się zniesmaczyłem, ale przyzwyczaiłem się i wiesz co? Polubiłem tę robotę, tobie też się wkręci. Choć pokaże Ci moje pociechy – Matwiej wyciągnął z kieszeni ostry przedmiot i zniknął za aparaturą.

Szczury przebywały w odosobnionych klatkach, obserwacja zwierząt odbywała się przez specjalne wizjery wbudowane w stalowe drzwiczki. Dodatkowo każdy zasobnik wyekwipowany był w dwa otwory, przez, które podawano substancje.

– Tego nazwałem Lozo, jest tu najdłużej ze wszystkich, najbardziej posłuszny i najbardziej zmutowany. Powinien już dawno nie żyć, ale jak widać katastrofa okazała miłosierdzie tym ssakom. Lozo nie posiada oczu, w sumie to posiada, ale to tylko taki dodatek, zmysł wzroku całkowicie u niego zanikł

jak u reszty. Mimo, to jest wrażliwy na światło i przedmioty wytwarzające zmienne pole elektromagnetyczne. Niech sobie pan wyobrazi, że wypuszczamy je z klatki, pozbawiamy węchu oraz słuchu, my zaś stajemy w umownym bezruchu gdzieś na końcu ciemnego pomieszczenia, szczury bez problemu nas znajdują. Impulsy elektryczne wytwarzane przez skurcze naszych mięśni zdradziłyby nasze położenie, nie wiemy tylko jaki organ u tych zwierząt spełnia rolę elektroreceptora. Jak dotąd jedynymi ssakami posiadającymi tę zdolność były dziobaki oraz delfiny rodzaju sotalia. Proszę spojrzeć, obok Lozo leży przedmiot, który za moim pośrednictwem otrzyma ładunek elektryczny.

Matwiej wykonał serię nieskomplikowanych ruchów dłonią na tablicy urządzenia sterującego. Zielona dioda zasygnalizowała przepływ prądu, szczur w oka mgnieniu zerwał się i skierował w stronę tajemniczego przedmiotu. Lozo zaczął obwąchiwać obiekt, ale szybko się znudził i wrócił do leżenia.

– Teza o wytworzeniu zmysłu elektrolokacji u szczurów wydaje

się być jak najbardziej prawdziwa. Wystarczy sporządzić wnikliwy raport.

– I ja go mam stworzyć? – odezwał się Giennadij po dłuższej przerwie.

– Nie, nie. To moja działka. Pan będzie miał inne zadanie. Prowadzimy również eksperymenty nad świadomością tych ssaków, posiadamy specjalny emiter generujący promieniowanie o niskiej częstotliwości. Chcemy wpływać na zachowanie szczurów. Aktualnie wyniki pomiarów są skąpe, ale w przyszłości ma się to zmienić.

– Nie sądziłem, że zakres doświadczeń obejmują tak złożone technologicznie metody. Brzmi ciekawie.

– W zeszłym tygodniu doszło do pierwszej próby, w której dwa egzemplarze zostały potraktowane sporą dawką radiacji. Nie mamy jeszcze przyjętej nazwy dla tego rodzaju promieniowania, ale wiemy jak je uzyskiwać. To bardzo skomplikowana procedura. Proszę za mną.

Akwajip otworzył klatkę, opryskał szczura płynem najwidoczniej

powodującym zmniejszenie agresji. Złapał otępiałego futrzaka w rękawice i przeniósł do enigmatycznej maszyny, która Giennadijowi nie rzuciła się wcześniej w oczy. Agregat miał symetryczny układ, po obu stronach widniały silosy wypełnione żółtą cieszą. Na środku znajdował się piedestał otoczony do połowy miedzianą cewką, z górnej powierzchni okrągłego modułu wystawał boleć z kulistym zakończeniem. Maszyna zawyła, bęben obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni umożliwiając Matwiejowi ulokowanie bezwładnego szczura. Aparatura pracowała na jałowym biegu. Naukowiec podał zwierzęciu miksturę za pomocą zastrzyku i oddalił się od urządzenia. Obaj panowie stali przy sterowni osłoniętej ołowiową szybą. Chwilę potem antena stanowiąca wierzch maszyny wykrzesła z siebie iskry i okryła się elektryczną nicią. Cewka zaczęła się powoli obracać, nad szczurem rozbiły się łagodne światło. Proces radiacji bezbronnego stworzenia odbywał się bez szwanku, mikroskopijny świat nad ciałem gryzonia szalał jak burza, masa cząsteczek z szaleńczą prędkością odbijała się od siebie w nieskończoność, swoista entropia dobiegła kresu, gdy Matwiej wyłączył

mechanizm startowy.

– Pierwszy etap zakończony pomyślnie, musimy odczekać

kwadrans, aż nasz mały przyjaciel wróci do świata żywych. Naukowiec przysiadł do biurka i zaczął studiować zapiski na ekranie monitora. Giennadij tylko się przyglądał i czekał na swoją kolej. W międzyczasie zerknął na zegarek, wskazówka wyznaczająca sekundy jak, gdyby nigdy nic zmierzała ku górze zataczając wieczny okrąg.

Widmo

Napięta twarz naukowca mieniła się na niebiesko. Matwiej pochłaniał spojrzeniem wyświetlany na ekranie wykaz zakończonego badania, diagramy okraszone skomplikowaną symboliką owocowały u niego napięciem, urzeczywistniającym się w postaci mimowolnego pomrukiwania i mrużenia oczu. Giennadij wyłapywał sens poszczególnych linijek, ale nie mógł dokładnie stwierdzić istoty graficznych znaków.

– Niech pan spojrzysz tutaj, na ten wykres – Akwajip zaczął jeździć palcem po ekranie – komórki mózgu odpowiedzialne za świadomość są tak jakby wyłączone. Szczur żyje, ale nic nie może robić. Możemy teraz ingerować w jego umysł, oddziałując cząsteczkami pobudzającymi niepracujący obecnie organ. Każdy z okazów ma wszczepiony chip, który jest czymś w rodzaju łącznika odbierającego informacje wysyłane przez nas i dalej do mózgu. Niezwykłe. Eksperymenty nie zawsze się sprawdzały, ale kilka prób dały nam punkt odniesienia i

wiemy, na czym stoimy. Kontrola świadomości to ogromny krok na przód, ale za nim opatentujemy w stu procentach ten wieloaspektowy proces minie dużo czasu.

- W swoich badaniach zajmowałem się głównie oddziaływaniem promieniowania na roślinność. Nie sądziłem, że poznawanie strefy może się odbywać na inne sposoby – Giennadij skrzyżował ręce, pochylił się nad monitorem i odrzekł – A czy szczury są tu jedynym rekwizytem doświadczalnym?
- Nie. Ale zakres naszych możliwości rozwinął się do takiego stopnia, żeby brać pod uwagę inne gatunki zwierząt – Matwiej odszedł od komputera niknąc w mroku.
- Rozumiem. Giennadij przez moment stał sam w wydzielonym pomieszczeniu i świdrował wzrokiem znajdujące się wokół konsoly. Wówczas z końca pokoju dobiegł niekształtny głos naukowca.
- Trochę tu razem przepracujemy, co pan powie na wypad do pobliskiego bufetu po zakończeniu pracy? Serwują tam również alkohol, ale za specjalnym przyzwoleniem.

- Kilka głębszych nie zaszkodzi – odparł, wypatrując z ciemności sylwetkę Matwieja.
- Szybko pan podjął decyzję o zmianie stanowiska, nie podobало się w Prypeci?
- Dziwnie to zabrzmiało, ale trochę tęsknię za swoim gabinetem, ten sam widok przez pięć lat. Człowiek przyzwyczaja się do pewnych miejsc. Za namową Wusera zmieniłem funkcję, dość pochopnie... Z natury jestem ciekawski i lubię poszerzać horyzonty. Sądzę, że dobrze zrobiłem.
- Dobrze pan sądzi, Wuser pracuje tu od dłuższego czasu. Nie za często się z nim widuje, ale równy gość z niego. Nie wspominał wcześniej o tym laboratorium?
- Właśnie się zastanawiam, czemu milczał skubany i jakim cudem dzielił etaty, skoro widywałem go w Prypeci. Czyżby tajemnica zawodowa?
- Słusznie. Warunki są dość rygorystyczne, poza terenem kompleksu nie warto sobie robić problemów, ściany mają uszy, a może cała strefa to jeden wielki podsłuch? – Matwiej

uśmiechnął się i zdjął rękawice ochronne – Czas na przerwę. Obydwaj ruszyli w stronę wyjścia. Akwajip odkręcił bezpieczniki, a pokój ogarnęła lepka czerń topiąc w sobie wszechobecne dobra. Pomieszczenie obumarło wraz ze szczurami, które przestały wydawać piskliwy szmer, z chwilą gdy nastąpiła ciemność. Giennadij ponownie odwiedził szatnię. Z przeciwległego końca przebieraalni dobiegły go rozmowy pracowników, te w nie długim czasie uciły pozostawiając po sobie zgrzyt zamykanych drzwi. Naukowiec podszedł do umywalki, uwolnił strumień wody i przemył twarz letnią wodą. Przeglądając się w lustrze dostrzegł brak plamy na oku, którą wychwycił zaraz po ocknięciu się w Prypeci. Pomyślał przez chwilę, że skazę na lustrze mógł odebrać jako znamię, lecz po chwili odrzucił tę naiwną ewentualność. Mętlik w głowie rozwiązał delikatny chrzęst stalowej szafki. Dźwięk dobiegł, z drugiej strony wysokiego na dwa metry szeregu mebli. Giennadij machinalnie rzucił zapytanie:

- Jest tu, kto, halo?

Nikt nie odpowiedział. Wytężony słuch naukowca wylapywał rozmaite dźwięki dobiegające z innych pomieszczeń, grobowa cisza panująca w szatni drażniła ucho. Giennadij zerwał się i żwawo wystartował do miejsca skąd usłyszał trzask. Za ostatnią szafką w ułamku sekundy niknęły kontury zgarbionej postaci, nieprzypominającej ani trochę pracownika kompleksu. Naukowiec osłupiał wpatrując się w punkt, na którym jego wyobraźnia rysowała pamięciowy obraz enigmatycznej sylwetki. Giennadij ocknął się lada moment i przyspieszył kroku. Za stalowymi meblami nikogo nie było, fonii zamykanych drzwi również. Umysł naukowca ponownie stanął w klinczu z ciałem, jego kończyny ogarnęła paraliżująca siła, która z biegiem sekund stawała się coraz bardziej nieodparta. Powieki niczym kurtyny ospale opadły, scena wraz z rekwizytami zniknęła, a główny aktor przedstawienia zapadł w letarg usuwając się pod naporem własnego ciała jak marionetka, której lalkarz uciał sznurki.

Seria błysków z iskrzącej się jarzeniówki przy akompaniamencie przeciągłego zgrzytu dobiegającego gdzieś z oddali wybudziła

Giennadija ze snu. W szatni było ciemno i tylko krótkotrwałe skrzywienie nadpsutej lampy pozwalało na chaotyczną ocenę sytuacji. Pomieszczenie wypełnił zapach spalenizny i fetor zjełczałego mięsa. Stalowe szafki w żalonym migającym świetle wyglądały upiornie, przewietrzniki na metalowej powierzchni drzwiczek układały się na wzór szyderczego uśmiechu, który działał na wyobraźnię wciąż otępiełego naukowca. Ten próbując przywrócić w sobie cząstkę racjonalnego myślenia w skrajnych sytuacjach zauważył jak klamka wejściowych drzwi delikatnie się porusza. Strach zajął stan ducha, Giennadij cofnął się od źródła ewentualnego niebezpieczeństwa. Szarpanie ustało na moment, ale wróciło ze zdwojoną mocą. Nieznana siła bezskutecznie próbowała dostać się do środka, aż w końcu odpuściła i pozostawiła po sobie wspomnienie, które nęciło naukowca na tyle, by ten podjął się środków zapobiegawczych. W głównym holu rozległ się szczurzy pisk i trzask łamanych mebli, rychło korytarz wypełnił ludzki jazgot, który przemienił się w próżne wołanie o pomoc. Na sercu Giennadija grał niewidzialny dobosz, wystukując rytmiczne

bicie przeszywające ciało, lęk urzeczywistnił się w postaci gru-
dy, która utknęła gdzieś w gardle. Naukowiec z trudem przełknął
ślinę. Przypadek sprawił, że dostrzegł uchyloną szafkę, w której
znajdowały się rzeczy o bliżej nieokreślonych funkcjach. Kiepska
widoczność w połączeniu z grozą nie ułatwiała w szperaniu. Gien-
nadij po omacku wyciągnął ze schowka przyrząd, który okazał się
suwmiarką z solidnego materiału. Facet w kombinezonie stłumił
w sobie paniczny strach i powoli zmierzał ku drugim drzwiom.
Nie zdecydował się jednak ich otworzyć. Przysiadł zrezygnowa-
ny i zaszlochał opierając głowę na rękach. Wewnętrzna rozpacz
zakłóciło rozpadające się na fragmenty sklepienie podwieszanego
sufitu, w mgnieniu oka do szatni spadło ciało ubrane w biały ko-
stium. Fonia bijących o podłogę szczątek wyrwała Giennadija, że
ten w agonii złapał za przyrząd mierniczy. Gdy wymierzał cios
krzycząc, zdał sobie sprawę, że z posadzki podnosi się człowiek,
który w formie obrony skulił się i zaczął wrzeszczeć.

– Kurwa nie! Odłóż do cholery to ustrojstwo! – zakurzony facet
kłął i miotał się osłaniając twarz rękoma.

– Co tu się ku*wa dzieje?! Co to za maskarada?! – Giennadij
rzucił na przywitanie z nieznanym gościem.

Obydwaj mieli strach w oczach, sytuacja w jakiej się znaleźli spra-
wiła, że każdy z nich odczuł ulgę widząc przed sobą ludzką istotę.
Naukowiec pomógł wstać nieznajomemu.

– Co to za szopka ku*wa, wiesz coś o tym, powiedz, że to
rosyjska wersja Truman Show! To coś... – naukowiec przerwał
i uspokoił się na chwilę.

– Musimy się stąd wydostać jak najszybciej, prędzej odgryzę
sobie kciuka niż tu zostanę – odparł nerwowo poruszając
rękami – tylko ty zostałeś? Tam na górze jakieś diabelstwo
zmasakrowało cały personel, nie widziałem dokładnie co, ale
dałem dyla i nie wiedzieć jak znalazłem się tutaj. Nazywam
się Leonid, a ty?

– Giennadij. Tak zostałem sam.

Lepka atmosfera grozy i śmierci mieszała się z unoszącym pyłem.
Faceci zdani łaskę własnych możliwości bez słowa przyparli do
ściany i pograżyli się w jakiejś bezsensownej zadumie ogarniając

cały ten burdel. Nie wiedzieć czemu Giennadij zachichotał pod nosem.

- Co ci tak wesoło? – zapytał przybysz wytrzeszczając oczy.
- Siedzimy w zapiżdżonym bunkrze kilkadziesiąt metrów pod ziemią, zamiast jakiegokolwiek broni mamy tylko suwmiarkę, którą można co najwyżej zmierzyć ubytek w suficie. Za drzwiami tej pieprzonej szatni czai się jakieś gówno, a o nas nikt pewnie nie pamięta. Co za niefart – uciał naukowiec.
- Ja nie chcę umierać – panicznie odparł.
- Ja też...

Exodus

Korytarz prowadzący do pomieszczenia z windą okrył się ciemnym płaszczem, nieprzenikniony całun wypełnił każdy skrawek powierzchni. Podziemny świat ogarnęła totalna nicość. To co istniało w świetle, okazało się tylko szczątkowym faktem. Widzialne stało się niewidzialne i, choć nadal jest, już nie trwa. Pełnia mroku wprawdzie martwa, żyła własnym prawem. Najczarniejsza wśród czerni, pustka ważąca więcej niż jakikolwiek inny ciężar, powoli zagnieżdżała się w umysłach dwóch ocalałych. Szala zdrowej świadomości i opętańczej jaźni oscylowała w granicach równości, lecz z biegiem czasu przekłute ramię zmierzało ku dołowi. Stłumione dźwięki rozpuszczały się w przestrzeni. Metaliczny stukot dochodzący gdzieś z góry, niesiony przez zwalistą konstrukcję betonowego kompleksu łagodniał po chwili, następnie przeistaczając się w bezgłośny ton. Wadliwie działająca jarzeniówka żałośnie błysnęła, wydając kilkakrotnie fonię przepalanego przewodu. Niebawem przestała funkcjonować, pozostawiając po sobie żarzący się punk-

cik pod szklaną pokrywą.

Tak samo tliła się nadzieja, która w duszach obydwu naukowców znalazła jeszcze trochę miejsca. Podtrzymywana wspólną energią dążenia do celu, którym jest przetrwanie, jeszcze nie zgasła. Światło nadziei nie rozświetlało wszechobecnego mroku, ale pozwalało, im stłumić amok i chłodnie ocenić sytuację. Chwiejny fundament, na którym stali mógł w każdej chwili runąć grzebiąc ich w zgłiszczach własnej ambicji.

- Co robimy? – odezwał się Leonid. Echo jego słów zabrzmiało upiornie w czarnej gęstwinie.
- Nie mam pojęcia, jestem tu nowy. Znasz system korytarzy prowadzący na powierzchnię? – odparł Giennadij świdrując wzrokiem źródło głosu.
- Bez światła nie damy rady. Latarka, komórka. Cokolwiek, byle, by dało jakąś poświatę.
- Możemy pogrzebać w szafkach, po omacku, ale zawsze coś. – Giennadij wstał i orientacyjnie zaczął badać teren wokół. Naukowiec zbliżył się do stalowych mebli i opuszkami palców za-

czął badać zamki. Wszystkie drzwiczki były zamknięte na amen.

- Ku*wa, wszystko zamknięte, można było się domyśleć. Masz może klucze, do którejś z szafek.
- Korzystam z szatni na górnym piętrze. Korzystałem... – uciął Leonid.
- Suwmiarką raczej nie otworzę żadnej. Ale można spróbować.
- A, jeśli hałas sprowadzi to coś? Nie chcę skończyć w paszczy jakiegoś monstrum, cokolwiek, to jest nie chce tego widzieć.
- I tak nic nie widzisz – odparł pół żartem, ale nie doczekał się reakcji ze strony Leonida.

Naukowiec ocenił położenie jednego z zamków, działanie opierające się wyłącznie na przewidywaniu i ślepej kalkulacji miało prawo się nie udać. Giennadij bez zastanowienia wykonał zamach narzędziem. Trzask uderzenia rozległ się po pomieszczeniu. Jeszcze raz, drugi. Metalowa obudowa mechanizmu rozpadła się i poturlała gdzieś po podłodze. Serce zamka zostało odkryte, jednak majstrowanie przy, nim było niemożliwe.

- Szkoda, że nie noszę przy sobie brechy, byłaby jak znalazł –

oznajmił Leonid zrezygnowanym i kąśliwym tonem.

- Gdy uczęszczałem jeszcze do szkoły bawiłem się co nie co przy zamkach, ojciec był ślusarzem. Dajcie mi ociupinkę światła, a może dostanę się do szafki – zaapelował Giennadij, jakby w pobliżu stali obserwatorzy oceniający jego zmagania.
- Zegarek.
- Co zegarek?
- Mój zegarek. Ma podświetlany wyświetlacz. Wystarczy?

Późno przekazany fakt zde gustował Giennadija, jednak ten nie miał czasu na błahostki. Leonid wstał i ruszył w kierunku naukowca. Po chwili Łuna słabego światła przecięła mrok. Dla obydwu czasomierz stał się czymś nadzwyczajnym, ot tak zwykły przedmiot codziennego użytku urósł na miano legendarnego. Na widok niebieskiej poświaty zrobiło, im się lżej na sercu, wyświetlacz emanował energią dodającą otuchy. Obnażony mechanizm zamka, choć słabo widoczny, był zdatny do oględzin. Giennadij przyjrzał się zapadkom i zaczął przy nich grzebać. Siłując się z mechanizmem odparł do stojącego tuż obok Leonida:

- A co, jeśli szafka okaże się pusta bądź przedmioty w niej nie będą nam potrzebne?
- Nie pisz czarnych scenariuszy, trzeba być dobrej myśli – odpowiedział z powagą.
- Skoro tak uważasz.

Giennadij za pomocą cieniutkiego przyrządu wygrzebanego z kieszeni podważył odpowiednie elementy, metoda prób i błędów przyniosła efekt. Szafka została otwarta. Na jednej z półek leżała torba, która swoją lekkością dobitnie dała do zrozumienia, że jest pusta. Kieszonki po bokach również były opróżnione. Na dnie mebla znajdował się worek pełen pustych pudełeczek. Giennadij na wszelki wypadek obmacał dokładnie każdy skrawek szafki, trafiać chciał, by na jednej z półek napotkał zapalniczkę. Ścisnął w dłoni przedmiot myśląc o, nim jak o drogocennym skarbie. Naukowiec wprowadził w ruch ząbkowane krzesiwo, dopiero za drugim razem iskra spełniła ich oczekiwania. Mały płomień wzbudził zachwyt. Smukły żar hipnotycznie poruszający się na boki dla dwóch ludzi stał się czymś wyjątkowym. Sytuacja sprawiła, że poczuli się, jak

pierwsi ludzie, którym udało się okiełznać potężny żywioł.

- Gaz w zapalnicze jest na wykończeniu. Możemy wykorzystać puste kartoniki jako punktowe oświetlenie, będziemy je podpalać i rzucać przed siebie.
- Wątpię, by to miało jakiś głębszy sens, tekstura szybko się wypali i co wtedy? – ocenił Leonid.
- Zawsze coś – uciął lakonicznie naukowiec i ruszył w kierunku wyjścia.

Giennadij uchylił delikatnie drzwi i odpalił zapalniczkę. Lepki mrok rozstąpił się przed, nim, jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki. W nieregularnym świetle wszystko wokół wyglądało odmiennie, zdeformowane cienie poruszały się pod wpływem blasku i sprawiały wrażenie żywych, jakby widok ognia drażnił skryte gdzieś niedaleko istoty. Szkarłatna ciecz na posadzce świadczyła o dantejskich scenach i triumfie nieznanego zła. Mrozące krew w żyłach przypuszczenie, że śmierć może dopaść także jego doprowadziły Giennadija do ogromnego strachu. Każdy krok w przód stawał się coraz trudniejszy, płomień zapalniczki zaczął gwałtow-

niej się poruszać i zgaśł. Naukowiec zluźował kciuk. Zza jego pleców dobiegł pierzchliwy głos Leonida:

- Nie przejdziemy tędy. Korytarz prowadzi do windy, a ta na pewno nie działa i nie wiadomo czy generatory są sprawne. Pozostaje nam iść schodami, diabli wiedzą co nas czeka.
- W takim razie prowadź – Giennadij niechętnie przekazał zapalniczkę towarzyszowi, twierdząc w myślach, że tylko on sam jest godzien korzystać z jej uroków.

Leonid przesunął się, jak najbliżej ściany mozolnie zmierzając w kierunku głównego wyjścia. Zapalniczka powtórnie zaiskrzyła rozświetlając kolejne fragmenty ponurej scenerii. Obok drzwi gabinetu rozpościerał się szereg zdezelowanych mebli o lekkiej stalowej formie. Zawartość potłuczonych naczyń zmieszała się z krwią ciekącą spod ciała jednego z pracowników. Na kombinezonie nieszczęśnika widniały ślady szarpaniny, które wykluczały starcie człowieka z człowiekiem. Kilka metrów dalej mijali kolejne zwłoki, tym razem pozbawione głowy, towarzysze jednak nie mieli zamiaru jej wypatrywać, przytkali dłonią usta i ominęli trupa

w milczeniu. Niebawem dwójka ocalałych znalazła się w miejscu, gdzie dochodziło do rozwidlenia. Idący z przodu Leonid szarpnął za ramię towarzysza i szepnął zwięźle

– Tędy.

Giennadij posłuchał i po chwili rzucił pewną supozycję, która poruszyła odbiorcę.

– To coś, co zabiło tych ludzi też mogło udać się schodami, przecież winda nie działa. Nie wiemy nawet, czy to ścierwo gdzieś się tu czai.

– Wszystko mi jedno. I tak nie możemy tu zostać, to jedyna możliwość. Cały kompleks to jedna wielka sieć. Segment, w którym się znajdujemy to, jak pieprzyk na tyłku. Labirynt jednym słowem rozumiesz? Jak to gównu wyjdzie na powierzchnię... Jak my wyjdziemy – odparował Leonid wzdychając przeciągle.

Blask zapalniczki urzeczywistnił kontury schodów. Wyglądały jak żywcem wyjęte z telewizyjnych horrorów, z tą różnicą, że w pobliżu nie było ekipy filmowej, tylko aktorzy kreślący scenariusz

na własną rękę. Towarzysze stanęli przed pierwszym stopniem. Wyjście z piekła rysowało się w barwach czerni i czerwieni.

– Nie starczy nam gazu w zapalارce, ale to tylko szczegół – rzekł ironicznie Leonid stawiając stopę na schodek

– A diabeł tkwi w szczególe – odparł naukowiec wlepiając wzrok w plecy przodującego kompana.

Jedyny

Schody prowadzące na wyższą kondygnację przesiąknęły smrodem spalenizny, woń przepalonego plastiku rozjuszała zmysły dwóch towarzyszków. Na ścianach pół piętra w anemicznym blasku zapalniczki widoczne było ślady krwi, odcisknięte na kształt dłoni. Wniosek nasuwał się sam i obydwaj nie ukrywali swoich podejrzeń.

– Myślisz, że komuś udało się przetrwać te całe gówno? A co, jeśli jesteśmy sami.

– Ślady są świeże, prawdopodobnie ktoś się stąd wykaraskał i

udał się na górę, pytanie tylko czy nadal żyje.

– Wątpię – zadrżał głos Leonida – spójrz.

Wygięte ciało nieznanego pracownika leżało na kolejnym spoczniku. Zakrwawione dłonie pechowca ucięły wszelkie spekulacje na temat pochodzenia śladów na ścianie. Denat z przebitą klatką piersiową na wylot, spędził ostatnie minuty życia na dojmującym zapieraniu się przed ostatecznym upadkiem, plamiąc mury piekła szkarłatem w świadomości niechybnego końca.

– Biedak. Trochę się namęczył, nim dokonał żywota – oznajmił Giennadij wskazując palcem narzędzie tkwiące w ciele – obawiam się, że już nikogo nie spotkamy.

– Chodźmy stąd, nic tu po nas – Leonid wykonał niedbale znak krzyża i ominął zwłoki. Pokonywanie kolejnych stopni było coraz cięższe. Cisza, którą zakłócały wyłącznie nieregularne kroki ocalałych, była na tyle niepokojąca, że ewentualny dźwięk pochodzący gdzieś z oddali zadziałałby ze zdwojonym impetem na ich psychikę.

– O, ile się nie mylę, na kolejnym półpiętrze jest niewielka

kanciapa, można w niej poszperać. Niewykluczone, że znajdziemy parę przydatnych drobiazgów.

Giennadij przytaknął bez słowa.

Towarzysze przemieszczali się dość żwawo, jak na panujące warunki. Najwyraźniej słabo działająca zapalniczka zmusiła ich do wzmożonego tempa, by uniknąć w razie czego błędzenia w ciemnościach. Na ścianie widniał plakat nawołujący do rzetelnego przestrzegania zasad bezpieczeństwa pracy oraz zachowaniu ostrożności podczas rozmaitych niebezpieczeństw. Baner miał dość irytujący pogłos i stwarzał wrażenie jakby został umieszczony na złość czytelnikom, którzy przyglądali się mu w lichym blasku. W odpowiedzi na przekaz płynący z naściennego afiszu odezwał się Leonid:

– Szkoda, że nie napisali jak znaleźć światło w ciemnej dupie – Leonid chrząknął i splunął na plakat.

– Te drzwi miałeś na myśli – Giennadij zignorował obelgę i wskazał na wejście do pomieszczenia.

Obydwaj ruszyli w stronę kanciapy, ciekawość połączona z adrenaliną wywoływała u nich ekscytacje, otwarcie drzwi mogło okazać się zbawienne. Naukowiec delikatnie pociągnął za kłamkę uchylając wrota do tajemniczego lokum, gdzie miały się potwierdzić oczekiwania ocalałych, finał był bliski. W pokoiku unosił się przyjemny słodkawy zapach, który zmiękczał atmosferę grozy. Salka długa na około trzy metry, była wąska, ale z łatwością mieściła dwóch ludzi stojących w szeregu. Po każdej stronie mieściły się drewniane szafki starej daty i regały, na których sterczały plastikowe pudełka, buty pracownicze i przyrządy do konserwacji. Towarzysze bez słowa przeszli do penetrowania półek i skrzynek, zajęcie wzbudzało wiele emocji, ale z każdą chwilą bezproduktywne poszukiwania zniechęcały do dalszych działań. Szmer wywołany grzebaniem w pudłach nagle się urwał, pozostał tylko jeden dźwięk dobiegający gdzieś z bliska. Cichutkie szlochanie pochodzące z ostatniej szafki wyrwało z hipnotycznej kwerendy obu mężczyzn. Giennadij i Leonid zbliżyli się do źródła enigmatycznego łkania i bez namysłu zbadali zawartość drewnianej gabloty.

Nagły wrzask z siłą kilkudziesięciu decybeli zgarbił jegomościów, tak, że ci nie wiedzieli co zrobić. Naukowiec zdał sobie sprawę, że krzyk ma kobiecą barwę, otrząsnął się i wymierzył cios. Solidne, ale nie za mocne uderzenie w przepoń urwało drażliwą fonię, ryk przeistoczył się w żałosne stękanie. Giennadij szarpnął za ramię kobietę i wywłókł ją z prowizorycznego schowka. Leonid w kiepskim świetle rozpoznał pracownicę, która nadal płakała i wyrzucała z siebie niezrozumiałe słowa. Dwójka towarzyszy natychmiast zaczęła uspokajać reprezentantkę płci pięknej. Gdy sytuacja przybrała łagodniejszy wymiar, pracownik o dłuższym stażu odezwał się do rozkojarzonej kobiety.

- Tatiana spójrz na mnie. Hej! Wszystko w porządku?
- Jest w szoku, była tu sama od dłuższego czasu, każdy, by zwariował – ocenił sprawę Giennadij przypatrując się pracownicy o brunatnych włosach i kaukaskiej urodzie.

W ułamku sekundy płomyk zapalniczki znacznie zmaleł, aż w końcu rozplynał się w koszmarnych gęstwinach czerni. Paliwo wykorzystane do cna krążyło gdzieś w powietrzu w szczątkowej po-

staci, jako inna substancja, produkt nieodwracalnej reakcji spalania. Każdy koniec daje początek czemuś nowemu. Nastąpiła nowa rodzina nowej cząstki, która miała spełnić widmo zbliżającej się śmierci. Pierwiastek kresu, kielkujący w umysłach i gaszący ostatnią iskrę nadziei. Zapanowała nicość, ciężka i niepojęta.

W chwili, gdy towarzysze zatracili się we własnych myślach rozległ się kobiecy głos, który wniósł odrobinę ciepła.

- Dziękuję. Leos jesteś tu? A ten drugi pan?
- Giennadij...Tak jesteśmy – odrzekł z goryczą pocierając bezskutecznie krzesiwem zapalniczki.
- Bez światła, bez wody, bez jedzenia. Wytrzymamy tu maksymalnie dobie, ześwirujemy i diabli wiedzą co jeszcze – wtrącił Giennadij.
- Widzieliście to coś , co zabiło pracowników? – odezwała się kobieta.
- Żadnej żywej duszy. A ty coś pamiętasz?
- Nie bardzo. W głowie mam tylko jakieś strzępki...Przeraźliwy ryk, który docierał zza moich pleców. Gdy dotarłam tutaj,

zrobiło się tak dziwnie cicho. Potem rozległy się wrzaski i wołanie o pomoc... – Tatiana ponownie załkała wciągając gwałtownie powietrze.

- A ten cały incydent...Jak, gdzie, kiedy? Nic nie wiadomo . Z zewnątrz muszą coś wiedzieć, jakaś interwencja ratunkowa, cokolwiek, chociaż sygnał. Może lada moment wydostaną nas z tego gówna – cedził naukowiec wzbudzając w sobie oznaki nadziei.
- Nie możemy tu zostać.
- I nie możemy iść dalej – zripostował Giennadij – szukanie wyjścia w ciemnościach wydaje się być szalenie niepoważne.
- Czyli chcesz tu zostać i czekać na cud?
- Nie wierzę w cuda.
- W takim razie sam pójdę.
- Nie radzę.

Położenie towarzyszy przypominało partię szachów, gdzie osamotniona figura z koroną ma po przeciwnej stronie wyłącznie rywala tej samej rangi. Patowa sytuacja doprowadziła do milczenia, jed-

nak tylko z pozoru, bo na szachownicy pojawił się jeszcze jeden pionek, dając zarzewie nowej nadziei. Tatiana w momencie, gdy Giennadij i Leonid zamilkli, zaczęła po omacku grzebać w kartonach, które znajdowały się zaraz obok niej. Wyłowiony z pudełka przedmiot okazał się latarką. Rodzący światło sprzęt w ułamku sekund rozrzedził ciemny całun rozświetlając ciasne pomieszczenie. Reakcja trójki zagubionych była natychmiastowa i nieopisana, jednak szybko starta, bo świadomość o długiej i niebezpiecznej ucieczce z kompleksu nie dawała o sobie zapomnieć.

- Skąd masz latarkę? Szukaliśmy wszędzie i nic.
- Leżała w pudełku obok mnie. Instynktownie do niego zajrzałam.
- Dziwne. Byłem pewien, że wszystko sprawdziłem. Dzięki, ratujesz nam skórę – Giennadij uśmiechnął się sztucznie i odkleił wzrok od trzęsącej się Tatiany.

Naukowiec sięgnął do kieszeni, jednak pod opuszkami palców wyczuł wyłącznie ceratę zdobiącą wnętrze uniformu. Kolejna próba, to samo. Drogocenna pamiątka ze wskazówkami przepadła. Gien-

nadij stanął w obliczu absurdu i niepohamowanej chęci odzyskania osobistego chronometru. Zapomniał, że walczą o życie i ich głównym pragnieniem jest opuszczenie obiektu, reszta się nie liczy. Mimo to, sentyment do osobistego chronometru popchnął go do chorego działania.

- Musimy się wrócić...
- Wrócić? Oszalałeś! Jaki w tym sens?
- Górą nie jesteśmy w stanie się przedrzeć, to zbyt niebezpieczne.
- Co ty wygadujesz?! Trzecie piętro jest ślepe, tak samo czwarte. Jedyna droga do wyjścia prowadzi przez te pieprzone schody, rozumiesz czy ześwirowałeś doszczętnie.
- A szyby wentylacyjne?
- Nie mam zamiaru przeciskać się w ciemnościach, skąd ci ten pomysł do głowy przyszedł. Czemu chcesz wracać?
- W takim razie pójdę sam – Giennadij z powagą zwrócił się do kompana i wyciągnął rękę w kierunku Tatiany, by ta dała mu latarkę.

– Musimy trzymać się razem, nie mogę ci dać latarki! – kobieta cofnęła się, w jej głosie słychać było przerażenie.

Leonid odepchnął Giennadija, nie wyrządzając mu krzywdy, ten jednak nie wykonał odwetu, a spokojnie obrócił się na pięcie zmierzając ku wyjściu.

– Durniu! Co się z tobą stało? Bez nas nie masz szans.

– Wiem co robię.

Naukowiec szarpnął za klamkę, swąd śmierci przedostał się przez szczelinę między skrzydłem drzwi, a framugą. Zapach palonego plastiku i odór gnijącego ciała unosił się w powietrzu. Za jego plecami rozbrzmiewał zmutowany szept Leonida i Tatiany, głosy przybrały demoniczny charakter. Giennadij poczuł się niczym grzesznik zstępujący do piekieł na własne żądanie. Strach ponownie zawitał w jego ciele paraliżując kroki, które coraz wolniej stawiał. Czarna otchłań ogarnęła jego umysł, jednocześnie cucąc go od bezmyślnego działania. Naukowiec stanął w bezruchu wpatrując się w niemal namacalną ciemność. Nie myślał o niczym, mózg pracował na jałowym biegu utrzymując wyłącznie funkcje życio-

we, wyobrażenia i wszelkie uczucia obumarły. Otępiały Giennadij zrezygnował, poddał się, przegrał z nieznanymi siłami zła. Wystarczyła jednak chwila, by dane oblicze diametralnie się zmieniło. Z górnego piętra rozległ się rozdzierający pisk, w mgnieniu betonowa konstrukcja zatrzęsała się. Dudniące tupanie dobiegające z wyższych kondygnacji zmiękczyło nogi naukowca, ten upadł uderzając głową o spocznik. Pół przytomny Giennadij słyszał wyłącznie kroki wybiegających z komórki Leonida i Tatiany, snop światła docierający od ich strony chaotycznie smagał powierzchnie ścian demaskując nierzadko obraz krwawej sieczki. Potężny stukot znów dał o sobie znać, Giennadij zebrał siły i wstał.

Pogoń za dwójką towarzyszy zakończyła się już na pierwszym stopniu, naukowiec zamarł momentalnie, gdy poczuł na ramieniu chłód czyjejś dłoni. Nie miał odwagi, by się odwrócić, ciemność była przyjemniejsza od wizji cudzego oddechu odczuwanego na własnych licach. Kryjąca się w mroku postać zastygła, Giennadij pomyślał, że lada moment to coś wykonana ostateczny cios i pozbawi życia, jednak manewr nie nastąpił. Ciekawość działająca

pod dyktandem mimowolności zmusiła naukowca do obejrzenia się za siebie. To co zobaczył przerosło jego najśmielsze oczekiwania. Światło niemające źródła ukazało twarz istoty. Nienaturalna głowa z licznymi bliznami i siniakami wyglądała okropnie, ale budziła również zastanawiający rodzaj współczucia. Anemiczny wyraz obcej gęby nieruchomo wpatrywał się w Giennadija. Po chwili zdeformowane usta poruszyły się i wydobyły z siebie pojedyncze słowa, które w głowie naukowca brzmiały jak echo.

C-I-E-Ż-A-R...

W-I-N-O-W-A-J-C-Y...

N-I-E Z-A-P-O-M-N-I-S-Z

Przeciągłe sylaby nieznajomego przeszyły przestrzeń psychiczną Giennadija. Postać zniknęła pozostawiając po sobie wyłącznie iluzoryczny kontur tworzony przez oszalały umysł. Nieszczęśnik uporządkował myśli odganiając z pamięci miniony koszmar i ruszył przed siebie potykając się o stopnie. Brak światła zmuszał go do obrania taktyki kurczowego trzymania się elementów ściennych, które po omacku upodobały się do zupełnie innych rzeczy.

– GIENNADIJ JESTEŚ TAM? – z góry dobiegł głos Leonida, brzmiał na tyle czysto, że naukowiec mógł ocenić pozorną odległość dzielącą go od dwójki ocalałych.

Tatiana trzęsąc się ze strachu ścisnęła w ręce dłoń kolegi. Naukowiec pomyślał, że dobrze znów widzieć urok światła i ludzkie sylwetki, a nie te z koszmarów.

– I co znalazłeś wyjście? – nie odwracając się, Leonid rzucił ironicznie na „powitanie”

– Wynosmy się stąd, nie wytrzymam tu chwili dłużej!

– Spójrzcie! Drzwi są otwarte, prowadzą do korytarzy ewakuacyjnych. Zupełnie o nich zapomniałem – oznajmił z entuzjazmem pracownik.

Trójka postaci ciągnęła za sobą mglistą lunę, coś między światłem, a ciemnością, coś między granicą nadziei i śmierci. Naścienny znak informujący o wyjściu ratunkowym odbijał blask latarki, wąski hol ciągnął się ładne kilkadziesiąt metrów. Gdy zarys potężnych stalowych drzwi stawał się bardziej widoczny, rozległ się potężny wybuch krusząc ścianę na końcu korytarza. Wszyscy mo-

mentalnie runęli na ziemię, wpadając na siebie jak stado ślepych zwierząt, które nagli w kąt opętany pasterz. Tumany pyłu wypełniły przestrzeń. Trójka towarzyszy w siwych kłębach próbowała dojść do siebie, jednak szokujący efekt zniszczenia uniemożliwił, im manewr. Gdy kurz opadł, w jasnym świetle rysowały się ludzkie formy. Kontury męźnych postaci niosących coś w ręku z każdą sekundą były coraz lepiej widoczne. Giennadij mający już dość wrażeń nie próbował nawet wstać. Rozpoznając człowieczy głos, który brzmiał jak błogosławieństwo, zamknął tylko oczy czekając na ratunek. Bojowe okrzyki postaci w maskach rozległy się po holu, nagle jedna z nich pochyliła się nad ciałem naukowca i rzuciła coś do swoich kompanów. Lecz Giennadij nie wiedział o czym mówi jego wybawca, wyczerpany do granic możliwości odpłynął.

– HALO! Obudź się! Hej ty...Brawo, dochodzi do siebie! – krzyknął w euforii sanitariusz widząc powracającego do rzeczywistości naukowca – Doskonale, jeszcze chwila.

Giennadij otworzył oczy, szybko odzyskał przytomność, jednak słabość uniemożliwiała mu wstanie o własnym siłach. W odpo-

wiedzi na rzucane słowa przez medyka odparł mimochodem, z automatu.

- Co z Leonidem i Tatianą – jego wypowiedź brzmiała niczym spowiedź konającego na polu bitwy żołnierza.
- Nie było z tobą żadnego Leonida i Tatiany, znaleźliśmy tylko Ciebie, bardzo mi przykro – odrzekł z powagą i przykrością widząc w oczach naukowca narastający przyływ emocji.

Postój

Masywna ciężarówka sunęła polną drogą pod baczynym okiem eskorty dwóch terenowych UAZów, wyposażonych w dwa karabiny stacjonarne umieszczone na dachu. Gwałtowny wiatr i rzęsy deszcz utrudniał przemieszczanie się, jednak czas naglił narwanych kierowców liczących każdą mijającą sekundę, z tego też powodu niespecjalnie zdejmowali nogę z gazu. W wojskowej karetce huk silnika i stukot blachy pojazdu nie pozwalał zebrać myśli przygnębionemu Giennadijowi. Lekarz w tym czasie ponaglał

kierowcę i nawigatora, dzieląc się przy okazji własnymi spostrzeżeniami na temat trasy i warunków. Naukowca nie poruszał fakt, że jego życie zostało ocalone, wspominał dwójkę towarzyszy, którzy z niewyjaśnionych przyczyn nie znaleźli miejsca koło niego. Targany emocjami sięgnął do kieszeni zapominając, że jest pusta. Osobista pamiątka leżała kilkadziesiąt metrów pod ziemią, zatopiona w pyłe i ciemnościach.

- Jak się czujesz, szczęściarzu? – zapytał medyk siadając obok ocalałego.
- Sam nie wiem, chyba nic nie czuję. Totalny mętlik w głowie. Dokąd zmierzamy?
- Opuszczamy strefę. Po incydencie nakazano wstrzymać wszelkie prace w obrębie Czarnobyla. Eskortowano wszystkie jednostki. Stacje badawcze wieją pustką. W ciągu kilku godzin naukowcy opuścili swoje siedziby i prawdopodobnie znajdują się po za granicami Zony, anomalne zmiany pogody zmusiły organy władzy do wydania decyzji na temat ewakuacji – wyjaśnił sanitariusz.

- Wiadomo co się dokładnie stało, tam na dole?
- Sądziłem, że to pan, będący ocalałym świadkiem wyjaśni kulisy katastrofy.
- Powołując się na moich relacjach, niczego konkretnego się nie dowiecie, zbyt mało pamiętam.
- Nie moja w tym głowa. Mamy za zadanie pomyślnie pana przetransportować, to wszystko.

Mężczyzna w fartuchu odwrócił się i ponowił rozmowę z kierowcą.

Wąskie okno tylnych drzwi pojazdu pokryte zostało strużkami wody, cieniutkie skroplone wężyki tworzyły określony ciąg za sprawą silnego wiatru. Do kabiny dostała się dodatkowa dawka światła, swój koncert zainicjowała burza, za kilka sekund dał się usłyszeć potężny grzmot. Beznadziejna pogoda zwiastowała najgorsze, nie długo musiał czekać Giennadij, by usłyszeć przykre wieści od lekarza.

- Wystąpił mały problem, droga przed nami się urywa. Nawigator musiał popełnić błąd, choć sam zapewnia, że wszystkie współrzędne na mapie są poprawne. Łączność z

centralą nie działa, jesteśmy zmuszeni zawrócić lub czekać na postęp pogody. Nic nam nie grozi, więc, proszę zachować spokój.

Ostatnie zdanie zabrzmiało dość śmiesznie, żałosny pogłos wymawianych słów Giennadij puścił jedna koło ucha, spoglądając jednak nieco z kwaśną miną na nadawcę. Chwile grozy przeżyte w podziemnym kompleksie badawczym sprawiły, że duma poszkodowanego została urażona, gdy tylko usłyszał o „zachowaniu spokoju”.

Naukowiec wpatrywał się w szybę, najwyraźniej zaciekawiony znaczną częstotliwością błyskawic ukazujących się gdzieś w oddali. Jednak natychmiastowy przeblask doprowadził go do zdania sobie z sprawy, że owe zjawisko nie pochodzi z niebios. Giennadij ruszył do okienka i wlepił wzrok w horyzont szarego krajobrazu. W oddali na powierzchni rysowały się elektryczne wyładowania, które przemieszczały się w niewyjaśniony sposób. Widok gruntowej burzy zasłoniła nagle tajemnicza twarz, wspomnienie z piekieł ożyło, jednak owa postać za szybą okazała się wojskowym z eskor-

tującego UAZ’a. Serce naukowca przez chwilę stanęło w gardle, a ciśnienie w mózgu osiągnęło poziom nad wyraz duży. Jednak powoli jego stan wracał do normy.

– Co dalej, będziemy tak stali czy ruszamy? Łączność szlak trafił, a ja mam dość tej pie*dolonej wycieczki – bezpardonowo i zbędnych ceregieli rzucił zdenerwowany żołnierz.

Wojskowy spojrzał ukradkiem na naukowca, ale nie raczył nawiązać z nim rozmowy. Giennadij pomyślał przez chwilę osobie jako winowajcy, przez, którego eskorta ma dodatkową robotę.

- Nie ja tu wydaję rozkazy, jestem lekarzem z zawodu, widzisz gdzieś pagony na moim fartuchu?
- kipiał z poirytowania medyk dając do zrozumienia, że nie ma ochoty słuchać żalów mundurowego.
- Powinniśmy ruszać. Pogoda jest beznadziejna, ale nie zmieni się w pół godziny – wskazał palcem ku górze wojskowy i odszedł od adresatów swojej mowy.
- Dziadyga – oznajmił pod nosem medyk, uśmiechając się do

Giennadija.

- Niech pan spojrzy przez szybę i wypatruje w oddali dziwnego zjawiska elektrycznego – odparł naukowiec zachęcająco gibając głową w stronę drzwi.
- Że jak? – lekarz wstał i ruszył w stronę szklanej tafli – jakie zaś dziwne zjawisko?

Giennadij czekał, aż medyk odklei wzrok i ze zdumieniem spojrzy na niego, jednak po paru sekundach usłyszał tylko zrezygnowane „Nic nie widzę”.

- Musi tam być, niech się doktor dokładnie przyjrzy...Faktycznie, nic nie ma. Dam wiarę, że widziałem wyładowania na powierzchni – powiedział naukowiec czując wstydliwą gorę.
- Przewidzenie – medyk zrobił przerwę ziewając przeciągle – w wyniku szoku, czy też działach psychogennych obraz jaki pan widzi może być wypaczony, nawet z mojego punktu widzenia takie przypadki ciężko wyjaśnić w racjonalny sposób, zdarza się i tyle. Mózg lubi płać figle – zakończył poprawiając

fartuch

- To czemu tutaj wszystko jest na miejscu i widzę pana tak jak widzę teraz, a jak siedzę tak siedzę? – Giennadij uniósł się, złoszcząc się na doktora i jego tezę.
- Był pan kiedyś dzieckiem? – zadał absurdalne pytanie medyk i nie przerywając sobie i nie dając dość do głosu słuchaczowi, kontynuował – Z pewnością. Prosty przykład, za młodu każdy z nas się czegoś bał, mrocznych historii usłyszanych od starszych czy horrorów, które oglądaliśmy bez wiedzy rodziców. Odbieraliśmy to wszystko w inny sposób, mieszałyśmy fikcję z rzeczywistością. Wracając do pokoju przy zgaszonym świetle nasze wyobrażenia próbowały przyrównać otoczenie do tych z opowiadań czy filmów. Nasz mózg działał według pewnego wzorca, który z wiekiem zanikał. Dorośli nie boją się potworów, które żyją wyłącznie w bajkach. Pański przypadek funkcjonuje na podobnych zasadach, ludzkie oko czasami widzi coś czego nie ma, jest to efekt chwilowych zmian w mózgu, które mają psychiczne podłoże...ku*wa mać,

chyba jednak jest pan zdrowy.

Medyk żwawo ruszył do okna i zaczął oglądać widowiskowe przedstawienie elektrycznych rozbłysków, które znikają na chwilę, by znów ożyć.

- Chyba sam sobie wypiszę coś na wzrok, bo oczom nie wierzę. Cóż za piękne zjawisko. Co pan o tym myśli – zakomunikował podekscytowany nie odrywając głowy od szyby.
- Myślę, że to wypaczony obraz pańskiej percepcji – dodał żartobliwie Giennadij, zachowując równocześnie pozorną powagę.

Lekarz odwrócił głowę, wyszczerzył zęby i zaświecił oczami.

- Widziałem już coś takiego...Ale w filmach. Co jest źródłem tego efektu, przecież wokół same drzewa i zarośla.
- Kolejna zagadka do rozwiązania, jednak nie sądzę byśmy ją rozwikłali. Warto o tym poinformować władze.

W tym momencie zawarczał silnik transportera. Kierowca i nawigator doszli do porozumienia z wojskowymi. Czterokołowa kolumna chwilejnie ruszyła zostawiając w ziemi błotniste ślady. Feno-

men w postaci elektrycznych wyładowań stał się tematem rozmów dla Giennadija i medyka. Wspólna debata o naturze zjawiska tak mocno ich pochłonęła, że sam naukowiec przestał myśleć o dwójce towarzyszy, których „zostawił” gdzieś pod ziemską skorupą.



Dziab_Dziab

Frakcja: Najemnicy

Ulubiona broń: SPSA14

Biała zona

krótki opis opowiadania, mapa i tak dalej...

Rozdział I

Szedłem. Szedłem wycieńczony już kilkadziesiąt minut. Jeszcze trochę i dojdę w końcu na Wysypisko. Była dopiero połowa grudnia, a już cała Zona przykryta została warstwą śniegu grubą na jakieś czterdzieści centymetrów. Zima tutaj stanowiła bardzo ciekawe zjawisko. Wszyscy żyjący tutaj stalkerzy – od kota po weterana ograniczali swój zapał do walki. Jeśli nie było potrzeby to nikt nie walczył, coraz mniej było słychać odgłosy wystrzałów. Niektórzy na okres zimowy wracali do swych domów i wyjeżdżali z Zony, jednak duża część tu żyjących ludzi uważała ten skrawek skażonej ziemi za swój dom. Wielu ludzi lubiło tę mroźną porę roku w strefie, ponieważ mutanty nie zachowywały się tak agresywnie jak dotychczas, były znacznie łatwiejsze do zabicia. Zima ograniczała także owe zabójcze niegdyś anomalie. Wiele z nich nie stanowiła już takiego niebezpieczeństwa, co na przykład latem. A działo się to najpewniej przez mróz, który w jakiś sposób je rozbraja z tych co bardziej niebezpiecznych możliwości.

Dzisiejszy dzień należał do dni łagodnych podczas ukraińskiej zimy, podczas której mrozy sięgały nawet minus czterdziestu stopni Celsjusza. Temperatura aktualnie wynosiła jedynie pięć stopni na minusie, nie było także zbyt wielkiego wiatru. W pewien sposób gruba warstwa śniegu, pokrywająca wszystko łącznie z powykęcanyymi gałęziami rachitycznych drzew sprawiała, że zimno nie było zbyt mocno odczuwalne.

Wracałem do Baru 100 Radów z małej, nieudanej wyprawy. Razem z dwoma przyjaciółmi: Lorekinem i Bolem, byłem w Dolinie Mroku i próbowałem wraz z towarzyszami przejąć posterunek bandytów. Stacjonowali w budowlach, w których jak podejrzewano mieści się tajne, radzieckie laboratorium. Zamierzaliśmy zaatakować ich z zaskoczenia, jednak coś nam to nie wyszło. Strażnik zobaczył nas, kiedy się skradaliśmy, zanim jeszcze podeszliśmy do bramy – od razu zaczął bić na alarm. Wycofaliśmy się przestraszeni za zdezelowany autobus, który stał już jakieś dwadzieścia pięć lat nieopodal na wpół opuszczonego zakładu. Sądziliśmy, że bandziorów będzie góra sześciu, a było ich jakieś trzy, albo na-

wet cztery razy więcej. Rozpoczęła się nierówna wymiana ognia. Spychali nas coraz bardziej w stronę zamrożonych bagien i na szczęście nikt nas nie dostał pestką, również my nikogo nie trafiliśmy. Opuściliśmy, więc sobie strzelanie, już i tak sporo pocisków wystrzeliliśmy w kierunku wroga. Rzuciliśmy się w stronę odległego Wysypiska, a nasi prześladowcy nie przerywali ognia, lecz nie usiłowali nas gonić. Dopadliśmy po chwili porzuconej koparki i po krótkiej wymianie zdań postanowiliśmy się rozdzielić. Lorekin miał pewną sprawę u Sidorowicza, a Bolo postanowił jemu towarzyszyć. Ja za to udałem się z powrotem do Baru.

Trzymałem luźno w dłoni mój wysłużony, brytyjski karabin – IL-86. Nie zostało mi niestety do niego sporo amunicji, a miałem jej wcześniej... dużo, naprawdę dużo. Na sobie miałem standardowy, stalkerski kombinezon Świt. Różnił się on jednak od wielu innych – miał wszyty w środku materiał termo aktywny, dzięki czemu nie odczuwałem za bardzo chłodu. Było zrobione to tak praktycznie, że kiedy nadejdzie cieplejsza pora roku mogę zdjąć tę warstwę ubioru. Także kaptur został nieznacznie zmodyfikowa-

ny, nie musiałem zakładać i zdejmować maski przeciw gazowej, bo wystarczyło, że wysunę ją z kaptura okrywającego głowę. W tej chwili akurat maska była schowana, bo nic mi nie groziło.

W Zonie jestem już jakiś czas, około półtora roku. To czemu tutaj się zjawilem to bardzo skomplikowana sprawa. Pochodzę z Polski, z Wrocławia, a mój ojciec urodził się we Lwowie i uczył mnie języka ukraińskiego, więc potrafię porozumiewać się w trzech językach: polskim, angielskim i ukraińskim. Na studiach poznałem Adę, zakochaliśmy się w sobie, a zaraz po ukończeniu nauki wzięliśmy ślub. Rok później urodziła się nasza córeczka- Julka. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Jula urodziła się z nowotworem mózgu – była niepełnosprawna.

Zgłaszałem się wraz z żoną do różnych fundacji z prośbą dofinansowania operacji, dzięki której Julka będzie mogła żyć bez choroby. W ciągu tych trzech lat czepiałem się wszystkiego co mogłoby mojej rodzinie zapewnić pieniądze, aż w końcu postanowiłem dla zarobku wyjechać tutaj, do Zony. To jednak tylko pogorszyło sytuację. Ada porzuciła mnie i musiałem wrócić do Polski, aby wziąć

rozwód. Sąd odebrał mi prawo opieki nad córeczką i nie mogłem nawet się z nią spotykać. Więc zdołowany postanowiłem wrócić do Zony, wzbogacić się albo stracić wszystko.

Minąłem nareszcie pagórki dzielące Wysypisko od Doliny Mroku. Na posterunku broniącym przejście nikt nie stał, najwidoczniej Wolnościowcy mają ważniejsze sprawy od tego. Szedłem w stronę masywu zrujnowanej budowli, w której mieści się Pchli Targ. Stalkerzy handlowali tam zdobytym przez siebie różnorakim towarem, począwszy od kiełbasy, a skończywszy na pociskach do wyrzutni rakiet. Oczywiście poza miejscem handlu, było to także miejsce spotkań. To bardzo ważny punkt strategiczny na Samotników i nie tylko, często atakowany przez łatwo odpieranych bandytów. Bandyta to nie człowiek, bandyta to wrzód na dupie narodu. Stwierdził kiedyś tak Dywan, mój dawny kumpel rozerwany niedawno przez przeciw pancerną minę.

Przechodziłem przez niezbyt gęsty, pełen niskich drzewek zagajnik. Wiedziałem, że są tam anomalie i znałem to miejsce na tyle dobrze, iż potrafiłem je ominąć. Nie orientowałem się zbyt-

nio co to za anomalia, obchodziło mnie bardziej to, bym w żadną z nich nie wszedł. Podczas zimy poza tym, że anomalie nie były takie niebezpieczne to także artefakty rzadko powstawały, więc szansa na ich znalezienie była mizerna. Rzucałem co chwilę przed siebie śrubki, akurat w te miejsce, w które miałem zamiar pójść. Moja intuicja zawiodła mnie tylko raz, czyli tylko jedna śrubka wpadła w jedną z tych dziwnych anomalii. Przed sobą miałem zamrożoną bajoro i Pchli Targ, całe szczęście, że nie było nigdzie widać bandytów. Pospieszenie ruszyłem w stronę masywu budowli. Moje nogi, aż do kolan zagłębiały się w grubej warstwie śniegu. Zwolniłem jednak po chwili tempa, ponieważ byłem strasznie zmęczony, a plecak w którym miałem jedynie termos, trochę amunicji i chleb ciążył mi na plecach, jakbym niósł w nim kamienie. Jeszcze chwila i będę na miejscu, może nie spotka mnie pech i zobaczę się z Bergiem. Doszedłem jakoś do celu i powoli wdrapałem się po schodach. Rzuciłem plecak i karabin pod ścianę, a sam padłem zmęczony na jakiś stary materac. Wiedziałem, że zaraz ktoś mnie zauważy i radośnie się ze mną przywita. No

i zgadłem.

- Dobrze ciebie widzieć, Igi! – poznałem po głosie Makarona.- Gdzie jest Lorekin? Wisi mi czterysta dwadzieścia rubli za amunicję.
 - Też dobrze mi ciebie widzieć, po nieudanym wypadzie Lorek poleciał z Bolkiem do Sidorowicza.
 - Nieudany? Co się stało? A po co poleciał do naszego drogiego zgreda, Sidorowicza? – jak zawsze pytania i pytania.
 - Później powiem co się stało, daj mi odpocząć. Nie mój zasrany interes po co miał się spotkać z Handlarzem. – to był sygnał dla Makarona, żeby się odczepił, teraz go jeszcze tylko spytałem na odchodne: – Widziałeś gdzieś Cięgło?
 - No, jest na górze u naszego „doświadczonego technika”.
- Uznałem, że skoro jest na wyższym poziomie u technika to zaraz zejdzie tu na dół, do mnie. A co do tego technika... raczej można go nazwać kimś kto czyści i najwyżej trochę podreperuje broń. Teraz to on tylko jest na jakiś czas, oby jak najkrótszy. Wielu stalkerów teraz musi biegać, aż do Baru, albo do Wolności,

jednak Bar jest bardziej lubiany od Hangaru. To zapewne za sprawą lepszego położenia, stamtąd niedaleko do Dżicy, Magazynów Wojskowych i także kilku innych istotnych miejsc.

W tym momencie jeden z odpoczywających bywalców Pchlego Targu podniósł swą starą, akustyczną gitarę i zaczął grać smętnie jakąś melodię, a w tym samym momencie pojawił się Cięgło, więc wstałem i się z nim przywitałem:

- Dobry.
- Dobry, dobry. Ten technik, idiota zarysował moje SGI! Rozumiesz?! A jak próbowałem jemu poprawić trochę jego łuk brwiowy to wachman mnie tutaj wywalił. – Cięgło powiedział oburzony. Zawsze miał bzika na punkcie broni palnej, a jakiego karabin szturmowy był jego oczkiem w głowie.
- Nie przesadzaj, broń już ogarnąłeś to się zajmij pancierzami haha. Mam dla ciebie pewną propozycję – możesz się ze mną wybrać do Baru, a później do Jantaru?
- Jasne, muszę pójść do technika z Powinności, a co do Jantaru to zombiaczków chciało się pozabijać, co?

- Taa, tak dla zabawy. Przy okazji możemy przecież wziąć to co mają te upiory przy sobie. Czasem trafiają się prawdziwie dobre fanty. – uzasadniłem swój wybór.
- No dobrze, przyda mi się trochę gotówki. Idziemy? – zapytał Cięgło.

Skinąłem głową, narzuciłem swój plecak na plecy, wziąłem karabin w dwie ręce i powoli skierowałem się razem z kumplem w stronę Baru. Poza karabinem na amunicję NATO 5.56x45 miałem schowanego w kaburze PBS'a. Miał już swoje lata, lecz mimo tego, iż był używany przez wielu ludzi nie zawodził, ani trochę. Wszystko działało sprawnie. Ktoś kiedyś powiedział:” Z radzieckimi rzeczami jest tak, że albo od razu się zniszczą, albo będą niezniszczalne”. Ten kto wypowiedział te słowa miał rację. Na samym początku pobytu w Zonie używałem automatu Kalasznikowa z lat siedemdziesiątych i praktycznie co dziennie musiałem wymieniać jakąś część.

I w tym momencie, gdy już byłem wraz z Cięgłem niedaleko posterunku Powinności rozległy się głośno strzały.

Rozdział II

Odwróciłem się i ujrzałem trzy postacie w kominiarkach. Bandy-ci znów podjęli próbę zniszczenia Pchlego targu, tylko że atakując tak „licznym” oddziałem dostaną jedynie tęgie lanie. Jeden z nich był ubrany w dosyć sponiewierany kombinezon Wolności, pewnie chuj zdjął go z trupa. Żaden z przeciwników nie wyglądał na groźnego i nikt nie był zbyt dobrze uzbrojony, więc broniący się stalkerzy z łatwością ich pokonają.

- Słuchaj Cięgło, poczekajmy tu chwilę i kiedy się uspokoi to podejdziemy i zarekwirujemy co nieco. – powiedziałem, na co mój towarzysz w zamyśleniu kiwnął głową.

Obydwaj oglądaliśmy nierówne starcie.

Bandzior w kombinezonie Wolności, najwidoczniej dowodzący podszedł najbliżej i schował się za transformatorem i darł się na dwóch swoich kompanów, aby do niego dołączyli. Coś im nie wyszło. Jeden z samotników skutecznie ostrzelał z Vintara przeciwnika i dwóch beznadziejnych pomagierów „Wolnościowca” kopnęło

w kalendarz. Jeden z nich dostał kulkę w szyję, a drugi w klatkę piersiową. Na śnieg trysnęła fontanna, ciemnej, gorącej krwi. Z gardła ostatniego bandziora wydobył się zduszony krzyk i zostawiając swój stary, radziecki karabin szturmowy rzucił się do ucieczki.

Wyczułem okazję i zaraz po wycelowaniu wystrzeliłem w stronę uciekiniera. Karabin zaciął się, a tylko jeden z wystrzelonych kilkunastu pocisków trafiając cel w udo, bandyta krzyknął i runął w zaspę przy drodze.

Ruszyłem truchtem w stronę miejsca krótkiej wymiany ognia, Cięgło ruszył za mną. Nie tylko my poszliśmy, aby przeszukać trupy. Z Pchlego Targu po zasypanej drodze biegł zabójca dwóch bandytów i jeszcze jakiś samotnik. Szczerze mówiąc miałem ich w dupie, biegłem tam tylko po to, by zająć się „Wolnościowcem”. Przeładowałem pospiesznie swój karabin i zwolniłem tempa, przeciwnik pewnie ma pistolet i nie zamierza umrzeć bez honorowej, ostatniej walki. Ale moje przypuszczenia nie były trafne. Krwawiący bandyta czołgał się zostawiając po sobie ślad, starał się uciec. Z

łatwością dopadłem go i celnym strzałem w głowę dobiłem. Kolejny zabity przeze mnie człowiek, pewnie nie ostatni. Jakbym służył jeszcze w Wolności z chęcią bym go przesłuchał. – rozmyślałem sobie, kiedy dobiegł mnie gniewny, lecz opanowany głos:

– Zostaw ten pistolet kocie, on jest mój. – odwróciłem się i zobaczyłem stalkera z Vintarem celującego do mężczyzny z Pchlego Targu. Ten wystraszył się i porzucił łatwy łup. Spróbował szczęścia ponownie i udał się w moją stronę. A niech sobie bierze co chce, tylko wezmę naszywkę. Kucnąłem przy ciepłych zwłokach i zerwałem z ramienia naszywkę Wolności, sprzeda się w Barze.

Wejście do bazy Powinności i Baru nie zaskakiwało. Niezależnie od pory roku zawsze na asfaltowej drodze i na jej poboczu leżały truchła zmutowanych psów lub wilków. Dziwnym trafem mutanty nigdy nie miały ogonów. Zapewne ich krew nigdy nie zniknęła i cały czas pokrywała się nową warstwą, nikt nie miał ochoty tego sprzątać, jedynie co jakiś czas martwe mutanty zrzucano do głębokiego dołu wykopanego niedaleko drogi. Kolejnym nieodłącznym elementem tego widoku byli, są i będą Powinno-

ściowcy strzegący bazy za blaszanymi tarczami, a tuż przed nimi rozpościerały się prowizoryczne zasieki ograniczające bojowe możliwości mutantów. Gdy potwory napotykały zaostrzone końcówki kijów, stalkerzy w prezencie wysyłali przeciwnikom naboje, za darmo.

Szedłem z Cięgłem prosto do Baru. Przy wejściu przywitały mnie zaciekle, gniewne spojrzenia strażników. Wiedzieli, że przyczyniłem się do śmierci kilku ich towarzyszy, lecz nie zamierzali z jakiegoś powodu nic mi zrobić. Nienawidziłem przechodzić przez „bramę” i przez hangar kierujący wędrowców do Baru i na Arenę. Czułem na sobie nienawistne spojrzenia moich dawnych wrogów. Mogliby mnie zabić, lecz Łukasz, ich zasrany dowódca nie pozwalał strzelać do spokojnych samotników. Mało kto wzniesie tutaj bójki czy strzelaniny, a jak do tego dojdzie to Powinność szybko wyciąga konsekwencje.

- Nullus, ja idę na Arenę, żeby pogadać, pooglądać co się dzieje. – poinformował mnie Cięgło.
- Dobra, zobaczymy się później. Tylko uważaj, żeby zamiast na

widownię nie trafić na arenę, hahaha.

Na Arenę przychodzili stalkerzy w wielu celach. Jedni zakładali się o to kto wygra w walce w specjalnie przystosowanym do tego budynku, inni nie ryzykowali rubli i tylko oglądali walczących, a jeszcze inni przybywali tu by zaryzykować własne życie w walce. Istniały trzy możliwości walk. Pierwsza to kiedy stalkerzy walczyli ubierając własny kombinezon i używając własnej broni, dostawali wtedy jednak mniej pieniędzy. Kolejną możliwością jest walczyć z tym co się otrzyma od zarządców Areny. Nie zawsze przeciwnicy są uzbrojeni tak samo, lecz to zależy od stopnia zaawansowania walczących. Ostatnią natomiast możliwością jest taka walka jak opisana powyżej, jednak kiedy trwają zawody. Odbывают się one co kwartał i są naprawdę ciężkie do wygrania. Wielu stalkerów ginie w początkowych rundach przegrywając z silniejszymi przeciwnikami.

Ostatnio mistrzem areny został Tancerz. Bardzo dziwny stalker. Małomówny, spokojny, opanowany, mający zaledwie 170cm wzrostu i ważący prawie 70kg wbrew pozorom jest śmiertelnie

niebezpiecznym przeciwnikiem. Najdziwniejszą rzeczą w jego wyglądzie były ciemno zielone włosy i kredowo biała cera, a poza zielonymi włosami miał także zielone oczy. Rzadko opuszcza teren chronionej bazy i wiele czasu spędza na arenie. Zawsze nosi czarno-czerwony kombinezon Powinności, lecz nie należy do żadnej frakcji. Kombinezon jest pozbawiony wielu elementów, więc zapewnia mniejszą ochronę, a zarazem jest lżejszy i wygodniejszy. A co do używanej przez niego broni... Tancerz na arenie używał wyłącznie noża, bądź dwóch. Broń wybierali zawsze zarządcy, lecz jeśli walczący prosił o „najsłabszą” broń – nóż – to zostawał on jemu wręczany. Tancerz jednak wyjątkowo dobrze potrafił posługiwać się tym orężem. Przemieszczając się niemożliwie wręcz szybko i zręcznie potrafił stawić czoła uzbrojonemu po zęby stalkerowi. Walka wręcz w jego wykonaniu była bardzo szybka i dynamiczna, przypominała taniec, bardzo szybki taniec. Był tak szybki i zręczny, że jeszcze nigdy nie został poważnie ranny. Tym, że pokonał wielu na arenie narobił sobie sporo wrogów, którzy chcieli jego śmierci, ponieważ zabił wielu czyichś przyjaciół, ko-

legów czy też ojców. Zdawał sobie z tego doskonale sprawę, więc nie opuszczał bezpiecznej bazy stalkerów.

Schodziłem już betonowymi schodami do Baru. Tutaj wszyscy, no prawie wszyscy nie mogą do siebie strzelać. Pierwsze co można poczuć wchodząc do tego miejsca to mocny zapach pieczonego dzika, wysoka temperatura zabijała szkodliwe bakterie i wirusy, dzięki czemu mięso nadawało się do zjedzenia. Panowała tutaj magiczna, wyjątkowa atmosfera. Stalkerzy prowadzili ożywione dyskusje, przechwalali się, śmiali, stawali się pracownikami i zleceniodawcami. Ja jednak dawno już skończyłem z przyjmowaniem zadań od stalkerów i bezcelowymi rozmowami. Przychodziłem tutaj w celu pohandlowania bądź porozmawiania z dobrymi znajomymi. Zobaczyłem tylko Kruka, czy też Wronę, nie wiedziałem jak go tutaj nazywają. Ja znałem go wcześniej, w dzieciństwie. Od jakiegoś czasu jest handlarzem informacji w Zonie, ja jednak miałem wiele dosyć ogólnych wiadomości za darmo.

– Jak mija dzień, Andriej?

– Dobrze, panie Nullusie, bardzo dobrze. – w Zonie mówili na

mnie Nullus, jednak tylko na Pchlim Targu jego bywalcy zwracali się do mnie Igi.

- Zrobiłeś jakiś biznes, że taki ten dzień dobry? – zapytałem.
- Tak, jakiś idiota pytał o plany Agropromu. Akurat miałem jedno, więc opchnąłem je jemu za marne siedem tysięcy dwieście rubli. A wiszą na drzwiach od Baru, ślepy jakiś. Hahahaha.- Kruk (czy tam Wrona) uwielbiał się nie do końca uczciwie wzbogacać. Wkręcił już wielu naiwniaków zarabiając przy tym sporo kasy.
- Wiesz, że tego nie popieram. Planuję małą wyprawę do Jantaru. Coś ma się tam dziać ciekawego?
- A więc to ciebie dzisiaj ciekawi? Powinnościowcy coś tam mówili o przejęciu fabryki w Jantarze. Ale to raczej celowo, by zmylić przeciwników i wprowadzić ich w błąd. Przecież to wręcz nie możliwe do cholery, żeby zrobić coś takiego! Fale psioniczne zamieniłyby ich w bezmyślne zombii, a nawet jeśli by wyłączyli te fale to wybicie zombii i snorków byłoby wręcz niewykonalne. Musieliby odesłać do tego setki swoich

żołnierzy, których nie mają haha. Ahh... nie mam ochoty rozgadywać się o tym co musieliby niewykonalnego zrobić

haha. Jeśli to wszystko to możesz już iść, panie

Nullus. – powiedział Kruk (czy tam Wrona czy jak tam jemu było...) po czym wstałem pożegnałem się z nim skinieniem głowy i po woli skierowałem się do wyjścia.

Musiałem jeszcze tylko pójść do Szczura opylić naszywkę Wolności i udać się do technika Powinności i mogę już szukać Cięgła, a następnie udać się do Jantaru. Na początku poszedłem do jednego z mniejszych hangarów i poszedłem do handlarza drobiazgami – Szczura. Niski, koło trzydziestki, wyglądem przypominający szczura mężczyzna wykupił od Powinności najmniejszy hangar, albo raczej budynek i zrobił w nim coś w rodzaju sklepu. Skupował i sprzedawał naszywki, kombinezony różnych frakcji oraz informacje, jednak nie był jakoś szczególnie lubianym człowiekiem w Zonie. Irytował swoimi wrednymi odzywkami i złośliwym zachowaniem, toteż starałem się do niego nie przychodzić zbyt często.

- O przyszedł pan, panie Nullus. Nazbierało się troszkę naszywek i chce się je sprzedać, żeby mieć tyle pieniędzy co ja? – powiedział na mój widok.
- Milcz, bo jeszcze coś ci się stanie gnoju. – nienawidziłem gościa i to jeszcze jak. Na sam jego widok miałem ochotę chwycić go za jego chudą szyję i cisnąć nim w ścianę z całej ściany, tak żeby się już nie podniósł. Niestety nie mogę tego zrobić, bo chuj zatrudnił dwóch najemników. Jeden z nich miał egzoszkielek i trzymał w dłoniach gietę, czyli GP37, a drugi natomiast miał jedynie lżejszy pancierz – kombinezon Bułat.
- Spokojnie panie Nullus, pieniądze się przydadzą, a w tej chwili to pan na pewno takowych potrzebuje. Khy, khy potrzebował... na córeczkę.
- Odwal się, bo coś tobie zrobię! Nie twoje sprawy.- powiedziałem gniewnie.

Coś złowrogiego błysnęło w moich oczach. Nienawidziłem kiedy ktoś pcha się w moje prywatne, a ten tutaj przesadzał. Musiałem

się opanować i przejść do rzeczy. Rzuciłem na ladę kilka naszywek i powiedziałem:

- Masz i się zamknij. Pięć naszywek renegatów, dwie bandytów i jedna z Wolności.
- Dwadzieścia rubli za jedną renegatów, dwadzieścia pięć za jedną bandytów i pięćdziesiąt za tą z Wolności.
- Łżesz! Przecież naszywki Wolności chodziły za osiemdziesiąt rubli! Dawaj tyle ile powinno być.
- Panie Nullus, niech się pan uspokoi. Na „rynku” są nowe ceny, trzeba się do nich przystosować panie Nullus. To co dostałeś już tobie daję. – po tym położył na ladę dwieście rubli.
- Tym razem tobie odpuszczę, sukinsynu. – wziąłem pieniądze i wściekły wyszedłem z budynku.

Skierowałem się powoli do technika, żeby zrobić coś z zacinającym się mechanizmem karabinu, gdy minąłem jakiegoś stalkera, który ożywiony rozmawiał ze swoim kumplem

- ... a widziałeś jak Róg tak sprawnie uniknął jego strzałów i trafił go ze swojej dwururki? Wygrał raniąc tego... jak jemu

było? A no tak! Cięgło! Ale krwawił... Przeraziłem się i aż nie mogłem uwierzyć, że Cięgło poszedł na Arenę walczyć. Co za idiota... Nie pójdzie ze mną do Jantaru i zapewne do końca zimy nie opuści bazy. Cholera, jego problem. Udam się do niego za jakiś czas, teraz jestem zajęty – rozmyślałem sobie.

Teraz podążałem niespiesznie przez zasypaną śniegiem bazę do warsztatu Sosny. Już od jakichś dobrych dwóch godzin panował mrok, w zimowy czas w Zonie ciemność zapadała szybciej niż gdzie indziej. Szedłem na wpół odśnieżoną uliczką, którą otaczały odrapane, zaniedbane budynki, a na poboczu leżały różnorakie pudła, skrzynie i inne nie potrzebne już nikomu śmieci. Po chwili marszu doszedłem do zniszczonych drzwi, z których łuszcząca się brązowa farba odpadała płatami.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do długiego korytarza, a brudne, okratowane okna sprawiały niemiłe wrażenie zaniedbania. Brudne były nie tylko szyby ale i ściany, a także pokryta kurzem podłoga. Na końcu korytarza były ciężkie metalowe drzwi, które otworzy-

łem pchnięciem dłoni. Sosna poza zajmowaniem się naprawą i modyfikacji broni sprzedawał do niej amunicję, granaty, a nawet czasami miał na składzie jakąś broń snajperską. Miejsce pracy opuszczał w soboty i wyruszał w teren polować na mutanty oraz bandytów. Miał około dwadzieścia pięć lat, lecz groźnie wyglądająca blizna i gęsta broda postarzała go o kilka lat.

- Chcę kupić amunicję NATO i dobrze, by było jakbyś trochę podreperował mój karabin. – krótko i zwięźle od drzwi powiedziałem po co przyszedłem.
- Hmm... mało mam teraz amunicji, dwa magazynki wystarczą?- skinąłem niechętnie głową, pieniądze mi się kończyły i nie miałem ich zbyt wiele, lecz wolałbym mieć sporo naboí. – A co do twojego karabinu to sprawdzę co się z nim stało dopiero jutro, bo dzisiaj muszę jeszcze zmodyfikować TRs'a.

Kiwnąłem głową, położyłem na stoliku należne dwieście trzydzieści rubli, wziąłem zakupioną amunicję i wyszedłem bez słowa z budynku. Wzięła mnie ochota na jakieś małe piwko, już dawno nie

piłem niczego związanego z alkoholem. Udałem się powolutku do Baru i byłem w nim już po dwóch minutach krótkiej drogi. Wieczorem odpoczywało tutaj najczęściej bywalców.

Niektórzy postanowili utopić swoje smutku w kuflu piwa, bądź też w kieliszku wódki, albo raczej w kilku kuflach czy kieliszkach. Wielu stalkerów grało w karty i nie zwracali uwagi na ściany pozabawione tynku, zniszczoną podłogę czy odrapane ściany. To nie było dla nich ważne, mało to ich obchodziło, bo w końcu przyszli tutaj odetchnąć, a nie podziwiać zniszczony lokal.

Podszedłem do tłustego Barmana i poprosiłem o małe piwo, które dostałem chwilę później. Postanowiłem podejść do grupki grających w karty mężczyzn i podejrzeć jak grają. Nigdy mnie to nie kręciło to też po chwili odszedłem od nich z pustym kuflą, odstawiłem go na ladę i znużony wyszedłem znowu na powierzchnię. Musiałem znaleźć miejsce do odpoczynku, więc wszedłem do jednego z hangarów zajętych przez samotników i usiadłem przy ognisku. Akurat jeden ze stalkerów opowiadał jakąś na wpół wymyśloną historyjkę:

– ... i jak mówiłem skradałem się do nich powoli, powoli, a ci durnie niczego się nie spodziewali! Już miałem zaatakować ich pod osłoną ciemności kiedy nagle rzuciła się na nich pijawa! Takiej to ja jeszcze nie widziałem, miała prawie trzy metry, a jak groźnie wyglądała! Gdy już zręcznie uśmierciła dwóch najemników to wiedziałem, że wyczuła moją obecność, więc wystrzeliłem do niej z granatnika, ale się rozjechała na setki kawałków! – opowiadał podniecony stalker, wyglądający jeszcze na kota.

Pewnie na widok nibypsa spieprzał ile sił w nogach, idiota. Nie miałem ochoty słuchać tych bredni, więc zająłem miejsce w kącie hangaru i zmęczony czekałem na nadejście snu.

Rozdział III

Wstałem dosyć wcześnie, tuż przed siódmą rano. Byłem głodny, bardzo głodny, więc wyjąłem resztki prowiantu z plecaka i rozpocząłem poranny posiłek. Do zjedzenia miałem naprawdę nie-

wiele – trzy kromki chleba, połowa jakieś konserwy w blaszanej puszcze i termos herbaty do popicia. Nie smakowało to jakoś wytwornie, ot zwykły, pożywny posiłek typowego stalkera.

O tej porze roku słońce dopiero miało wstać, więc w hangarze panował mrok, z którym walczyły płomienie ogniska. Drzwi były zamknięte. Przecież nikt nie chciał, by w hangarze panował chłód. W budynku poza mną siedziało przy ognisku jakichś dwóch stalkerów. Jeden z nich spojrzał na mnie i wrócił do swoich wcześniejszych zajęć. Nie byli jakoś specjalnie dobrze wyposażeni. Oceniałem ich na kotów, nowicjuszy, a może i trochę zwykłych stalkerów. Pierwszy z nich, wyższy miał na sobie kombinezon najemnika, lecz nic nie świadczyło, o tym że można go najać na przykład do ochrony. Drugi jednak miał na sobie tylko poplamiony krwią, ciemnobrązowy sweter, a jego standardowy kombinezon „Świt” leżał obok. Był wyraźnie podniszczony i splamiony krwią, ciekawe co ci dwaj przeżyli jakiś czas temu.

Przerwałem w pewnym momencie swój posiłek i to co zostało z powrotem włożyłem do plecaka, nie było tego wiele. Poza tym

co miałem z sobą wziąłem jeszcze stary, duży koc. Później się mi z pewnością przyda. Planowałem czym prędzej wyruszyć do Jantaru, by zapolować na zombii, wyszedłem z hangaru i opuściłem obóz.

Do Jantaru szedłem dłuższą trasą przez Wysypisko i okolice Agropromu. Nie zamierzałem walczyć z najemnikami oraz mutantami z Dzicy. Droga minęła mi spokojnie. Mutanty, które napotykałem na swojej drodze nie miały najmniejszej ochoty ze mną walczyć, więc uciekały spłoszone przede mną. Wszystkie anomalie jakie czekały na nieuważnych stalkerów minąłem używając metody z śrubkami. Nie spotkałem nawet żadnego bandyty czy innego zawadiaki. Dzisiaj najwidoczniej miałem szczęście, chociaż nie do końca. Cały czas, w odległości co najmniej stu metrów siedł za mną jakiś stalker. Musiałem przyznać, że zaniepokoił mnie jego widok. Miał zapewne na sobie ciężki kombinezon „Bułat”. Nie widziałem z takiej odległości dokładnie. Ale co tam, nie ważne, najlepiej jest się nie przejmować.

Stałem na pagórku, przeze mną rozciągały się bagna, dawniej

będące jeziorem oraz niedaleko trujących moczar stał bunkier jajogłowych. Daleko było widać masyw budynków starej, opuszczonej fabryki, na terenie którego teraz grasowały zombii oraz snorki.

Jajogłowi czyli naukowcy stacjonujący w swoim bunkrze akurat tutaj zajmowali się przede wszystkim badaniem fal psionicznych, które zamieniał stalkerów w bezmyślne zombii. Bunkier broniony był przez jeden, liczny oddział najemników odpierający przeważnie ataki stalkerów, którzy już nie byli ludźmi. Snorki to natomiast przeważnie wojskowi w charakterystycznym maskach przeciw gazowych „Słoń” wystawieni na zbyt długi czas na radiację. Żołnierze przeszli mutację i przeistoczyli się w krwiożercze potwory poruszające się na czterech, mocno umięśnionych kończynach. Najczęściej kombinezon jest rozerwany w wielu miejscach i można zobaczyć okaleczony, zakrwawiony tułów.

Udałem się w stronę drogi prowadzącej do fabryki, dzieliło mnie od niej około tysiąc metrów. Przedzierałem się przez krzaki leżące u podnóży stromych pagórków. Nie chciałem, żeby ktokolwiek mnie zauważył. Nie lubiłem tego miejsca, zawsze było tutaj

brzydko i nie poprawiał tego wrażenia biały śnieg. Po kilkunastu minutach marszu dotarłem do zwykłej, kiepsko utwardzonej drogi, po której bokach stały krzywo wbite słupki. Szedłem wzdłuż drogi do fabryki i mijałem co jakiś czas zdezelowany pojazd, czy to furgonetkę, czy to autobus. Miałem wrażenie, iż ktoś mnie cały obserwuje.

Odwrociłem się tknięty przeczuciem i wzrokiem szukałem potencjalnego prześladowcy. Nikogo nie zauważyłem, jeśli ktoś w ogóle za mną podążał musiał umieć dobrze się ukrywać. Dodatkowo łatwiej było jemu mnie śledzić, ponieważ zostawiałem w śniegu ślady wojskowych butów, przez niektórych potocznie nazywanych glanami. Zamiast dalej rozmyślać nad niewidzialnym wrogiem przyśpieszyłem tempa. Zwolniłem dopiero niedaleko murów okalających dawny zakład pracy. Dopiero tutaj zwykła „wiejska” droga zmieniała nareszcie swoją powierzchnię na asfaltową. Na pokrywie śniegu przed główną bramą na szczęście nie było widać żadnych, nawet najmniejszych czyichś śladów.

Zbliżyłem się powoli do skrzyń leżących i tym samym prawie

tarasujących wejście na teren fabryki i ostrożnie spoza z nich wyjrzałem. Na widoku były tylko trzy zombii. Przyjąłem moją taktykę polegającą na wywabieniu stworów poza bramę, a następnie zlikwidowanie ich z ukrycia.

Jak znam życie kryje się ich tu więcej i zamiast trzech nadejdzie ich tutaj niewiele więcej. Sprawdziłem czy w magazynku mojego karabinu znajduje się amunicja, odbezpieczyłem, oparłem broń na swoim ramieniu, wycelowałem i oddałem dwa strzały w stronę najgroźniej wyglądającego zombii. Nim zrozumiał co się stało zdążyłem już wystrzelić do jego dwóch pozostałych kompanów. Takiego stwora ciężiej było pod pewnym względem zabić. Skóra podczas mutacji stwardniała, a wiele komórek odpowiedzialnych za odczuwanie bólu obumarło, przez co zombii miał jakby drugi pancerz. Oczywiście wraki dawnych stalkerów miały na sobie kombinezony. Czasami, lecz bardzo rzadko trafiają się mutanty w egzoszkieletach, lecz jeszcze nie przytrafił mi się taki pech. Odszedłem jakieś dwadzieścia metrów od bramy i kucnąłem za autobusem, zerkałem co chwilę czy nie nadchodzą przeciwnicy. I

w końcu pojawił się jeden zombii, a za nim kolejne cztery. Stały w tym miejscu skąd oddałem strzały i nie miały pojęcia co robić. Odczekałem chwilę, by mieć pewność, że żaden kolejny mutant nie nadejdzie.

W końcu po kilku minutach czekania otworzyłem ogień. Strzelałem seriami do pięciu pocisków i starałem się, by pestki trafiały w głowę, bądź jej okolice. Już po chwili śnieg zabarwił się na czerwono i tylko jeden z ocalałych potworów otworzył do mnie ogień jednocześnie idąc w moim kierunku niemrawo. Wszystkie kule wystrzelone z jego karabinku Viper 5 świstały mi nad głową lub trafiały niewinny autobus. Spokojnie, nie zwracając uwagi na ostrzał przeciwnika sam odpowiedziałem jemu ogniem kończąc tym jego wędrówkę po ziemi. Podeszedłem powoli do jednego z zombii i mocnym kopniakiem zakończyłem jego przedśmiertne konwulsje.

Jak każdy stalker nie zostawiałem łupu przy o ofiarach to też zacząłem przeszukiwać trupy. Przy pierwszym najbardziej wojowniczym zombii znalazłem użyty zresztą karabinek Viper. Niechęć-

nie wziąłem się przeszukiwania reszty ciał.

Szczególnie cennych łupów nie znalazłem, jednak trochę tego było. Wziąłem sporo egzemplarzy broni palnej, która była w różnym stanie. Poza Viperem znalazłem starą dubeltówkę, AK 74/u, dwa karabiny szturmowe AK 74/2 oraz mocno zniszczony IL86. No i oczywiście znalazłem broń mniejszego kalibru, czyli USP i dwie PMm'ki. Cały ten skromny arsenał poza pistoletami położyłem na wziętym wcześniej przeze mnie kocu i zacząłem ciągnąć go za sobą. Całą amunicję oraz trochę przydatnego prowiantu włożyłem do plecaka, który nie ciążył na plecach zbyt mocno, lecz odczuwalnie. Zdobytą broń mogę opchnąć taniej najemnikom, którzy później sami ją sprzedadzą, albo pomęczyć się i sprzedać ją na Pchlim Targu lub w Barze. Potrzebowałem jednak pieniędzy, więc postanowiłem zaryzykować i sprzedać drożej swój przyz.

Ehh... znów trzeba wracać tą, nudną drogą. To był właśnie ten minus dla samotnych samotników. Długie nieciekawe podróże, choć lepsze gdy są nudne, niż kiedy zaatakują ciebie jakiś wróg.

Nie można było powiedzieć, że nie lubię chodzić. Robiłem to nawet bardzo często. Tutaj jednak doskwierała mi samotność, teraz zapewne wracałbym z Ciegłem do Baru, jednak ten idiota musiał pójść na Arenę, eh. W innej porze roku takie samotne przemierzanie byłoby niebezpieczne, cholernie niebezpieczne. O tej porze jednak nie groziło mi wiele, szczęście i pech dla niektórych. A teraz wędrowałem przez te pustkowia z łupem i miałem obawy co do podróży. Mimo tego, że była zima to ktoś i tak może polować na nieuważnych wędrowców.

Rozważałem nad udaniem się do siedziby Samotników mieszczącej się niedaleko. Ostatnio w Zonie jest mniej stalkerów, więc ciężko znaleźć kupca na broń, nawet tą w lepszym stanie. Idę całą czas drogą powrotną, czyli taką samą jak wcześniej jednak coś nie mi tutaj nie pasuje. Nie mam pojęcia co, może kruki i wrony są cicho?

– Musisz być czujny, Nullus. – podpowiadał mi mój cichy głosik w głowie. Co do cholery się dzieje? Można powiedzieć, że wszystko ucichło. Nawet moje kroki na wilgotnym śniegu nie są takie...

głośne. I nagle zobaczyłem to. Nie było to nic niezwykłego, lecz czułem się na ten widok dziwnie, bardzo dziwnie.

ON stał tam cały czas bez ruchomo. Niby to stalker, stalker w pancerzu „Bułat”, ale coś tutaj nie pasowało. Stałem dwadzieścia metrów od tego człowieka i nie mogłem uciekać. Do dwóch metrów brakowało jemu pewnie dziesięć centymetrów, albo ewentualnie trochę więcej. Nie widziałem jego twarzy, którą zasłaniała maska. Nic szczególnego się nie stało, ale się strasznie bałem. Panowała nienaturalna cisza i przeważnie tylko dlatego się bałem, jednak w tej złowrogiej postaci coś było...

W pewnym momencie dostrzegłem coś na jego ciemnym niczym atrament pancerzu. Czerwone, jaskrawe słowa w jakimś dziwnym, nieznanym alfabecie pojawiły się z nikąd. Jednak mimo, iż nie miałem pojęcia co to za dziwaczne znaki układające się w wyrazy, to znałem ich znaczenie. Mówiły wręcz do mnie – Zgiń! – Zgiń! Wtedy też odezwał się cichy głos – Nullus, uciekaj póki możesz, albo zgiń! Ledwo oderwałem ociężałe nogi od ziemi i rzuciłem się do szaleńczego biegu w stronę bunkra naukowców. Nigdy

nie biegłem tak szybko jak teraz, pewnie biję rekordy prędkości. Przerażony bałem się odwrócić, ale jednocześnie tego chciałem. Walczyłem sam ze sobą i jedna moja część wygrała. Spojrzałem za siebie i zauważyłem...

Rozdział IV

Spojrzałem za siebie zatrwożony i zauważyłem to, że nie było widać złowrogiej postaci. Odetchnąłem z ulgą. Strasznie bolała mnie głowa i nie tylko. W jednej chwili poczułem się bardzo zmęczony i ospały. Incydent wybił mnie z równowagi. Co się w ogóle stało? Jakiś stalker w pancerzu stał w miejscu i pewnie w masce przeciwigazowej miał zainstalowane dwie diody świecące na czerwono. Taki żart dowcipnisia, czego ja się wystraszyłem?

Przypomniałem jednak sobie tę chwilę, nienaturalną ciszę, złowrogą atmosferę i nie do końca wierzyłem w opcję, że ktoś postanowił zażartować sobie kosztem innych. Szczerze mówiąc nie mam pojęcia co się stało chwilę temu, muszę odpocząć. Wciąż zszoko-

wany tym jakże dziwnym wydarzeniem, szedłem powoli w stronę bunkra naukowców. A może oni coś będą wiedzieć na ten temat? Szybko odrzuciłem tę myśl, pewnie powiedzą, iż przez radioaktywność i fale psioniczne mam jakieś pieprzone majaki. Durnie, nie wyjrzą z tej swojej „twierdzy” i się wymądrzają. Muszę iść z powrotem do Baru, coś zjeść, pogadać, sprzedać i może pójść do Ciągła... Aj, to nie ważne, jestem ciekaw co się stało chwilę temu. Kto może to wiedzieć? Medyk? Jajogłowi? Nie mam pojęcia. Dobra, później pomyślę, teraz muszę wrócić z tym co mam do 100Radów.

Droga minęła spokojnie, absolutnie nic się nie działo. I dobrze, pokonanie tej samej trasy samemu w lato, a nie w zimę jest naprawdę dużym osiągnięciem. Znużony zszedłem do zatęchłej piwniczki nazywanej barem. Ostatni wypad poza małym łupem przyniósł mi tylko nie potrzebne zmartwienie, a zarazem tajemnicę. Podeszedłem do Kruka i zagadałem:

- Widzisz, mam problem wiążący się jakby z mitami Zony.
Czyms dziwnym... rzadkim. Kto może coś o tym wiedzieć?

– Jak to kto? Leśnik, chyba wiesz kto to. – Kruk odpowiedział z serdecznym, słowiańskim uśmiechem na twarzy.

Przyszedłem do Baru tylko po to i nic więcej, nie mówiąc nawet ‘dzięki’ wybiegłem z piwniczki na powierzchnię. Muszę sprzedać handlarzowi broń, która pozostawia wiele do życzenia. Od wczoraj w bazie praktycznie nic się nie zmieniło, tylko śniegu jeszcze napadało. Wszyscy sprawiali wrażenie ospałych i znużonych brakiem zajęcia. Nareszcie doszedłem do ośnieżonej kanciapy handlarza bronią. Zmierzył mnie swoimi oczami i czekał co zrobię. Położyłem na ladę znalezione pisi bez słowa czekałem na wycenę. Stalker wziął powoli do ręki Makarova i dokładnie go obejrzał, sprawdził czy się nie zacina, ani czy nie ma żadnych usterek. To samo zrobił z drugim pistoletem i wycenił:

- Pierwszy nawet nieźle się trzyma, wszystko chodzi jak należy, choć za jakiś czas ktoś musiałby go naprawić, trzysta rubli? – zapytał i skinąłem w zamyśleniu głową – Drugi już taki świetny nie jest, jeśli w tydzień go nie sprzedam to będę musiał oddać go technikowi. Nie wygląda najlepiej, dam tylko

sto pięćdziesiąt i ani rubla więcej. A za ten ostatni, USP dam tobie marne trzysta pięćdziesiąt, podniszczony mocno jest.

Pasuje? – przytaknąłem głową i mężczyzna wręczył mi plik banknotów, wiele tego nie było.

Wyszedłem już bez skromnego łupu. Nie pozostało mi nic do roboty, więc znowu udałem się do Baru. Może ktoś będzie miał coś ciekawego do powiedzenia. Kątem oka zobaczyłem dwóch stalkerów idących za mną. Odniosłem wrażenie, że skądś ich znam. Odrzuciłem szybko tą myśl, przecież w Zonie jest wiele ludzi. Przyśpieszyli kroku wyraźnie idąc w moją stronę. Pierwszą myślą była ucieczka, tylko po co? Jestem zbyt nerwowy, opanuj się Nullus. Wyższy z stalkerów powiedział do mnie:

- Pójdziesz z nami, tylko niczego nie próbuj.
- Spieprzajcie, posłańcy. Nigdzie z wami nie idę. – odpowiedziałem na zaczepkę.

Zdawałem sobie sprawę, że mogą mi coś zrobić, a strażnicy nawet nie ruszą palcem, by mi uratować. Ruszyłem szybkim krokiem w stronę Baru mijając dwóch... bandytów? Usłyszałem wtedy

zirytowany głos jednego z nich:

– Nabój!

Ból rozsadzał moją czaszkę, widziałem jakieś niewyraźne kształty przed sobą. Spróbowałem dotknąć ręką swoją, ciężką, obolałą głowę. Nie mogłem. Coś krępowało skutecznie ruchy moich rąk i nóg. Siedziałem na starym krześle, przywiązany do niego. Gdzie ja jestem? Nagle ktoś wylał na mnie wiadro zimnej wody. Rozbudziłem się na dobre i zacząłem kaszleć ochryple. Podniosłem głowę i ujrzałem stare, masywne biurko. Nie sam mebel mnie zaintrygował, lecz postać przy nim siedząca.

- Widzisz Nullus, nie chciałeś po dobroci, to masz na przymus. Byśmy spokojnie pogadali, a tak to musisz siedzieć związany. Szkoda, że muszę cię zmuszać.
- Ty gnoju!
- Spokojnie, powinienesz dziękować. Chłopcy cię nieśli z Baru, aż do naszych skromnych magazynów wojskowych. Musieli się zmęczyć. – drwiny przesiąkały słowa stalkera, a raczej dowódcy stalkerów.

- Ale po co ja tobie?! Spłaciłem dług, zostałem wolnym stalkerem i jesteście kwita!
- Nullus, szukam ludzi. W tym ciebie.
- Nie ma mowy, Łukasz. Od czarnej roboty to masz swoich durnych anarchistów! Chcesz, żebym dołączył do masakry pod Barierą? Myślisz, że nikt nie wie co tam się dzieje?! Wysłałeś tam dziesiątki stalkerów na bezsensowną rzeź z Monolitem!
- Czy ktoś mówił, że jesteś mi potrzebny akurat do tego? A ta cała twoja rzeź to próba powstrzymania fanatyków i ich zabójczych ideologii. Durna Powinność myśli, że to jedyne co robimy. Nie spodziewają się niczego.
- Łukasz, co ty do cholery kombinujesz?! – nic już nie rozumiałem.
- Chyba ciebie moi dzielni chłopcy za mocno zdzielili po łbie, haha. Mam mało ludzi, coraz mniej. Sam chyba wiesz dlaczego. W zimę tylko Monolit jest aktywny i ktoś musi go powstrzymać. Zostało mi tylko kilku naprawdę dobrych stalkerów. Ty też do nich należysz.
- Tylko, że już nie jestem w Wolności i nie zmusisz mnie bym do niej wrócił.
- Czy ja mówię, że masz być w Wolności? Ja chcę tylko, żebyś mi pomógł w pewnej sprawie. Potrzebuję doświadczonych ludzi, a nie kotów. Zrobisz co miałeś zrobić i jesteś wolny. Oczywiście dostaniesz jakąś sumkę w nagrodę za służbę... – Łukasz przeszedł do konkretów.
- Naprawdę myślisz, że będę dla ciebie pracował? Nie żartuj sobie. Rozwiąż mnie i wypuść cholero.
- Mało kto teraz odwiedza wieżę ciśnień i pijawki są spragnione krwi, ktoś musi je nakarmić. – ta groźba do mnie trafiła. Czy w taki sposób chcę skończyć swoje życie?
- Mów o co chodzi.
- Dwie grupki naszych mają przejąć Agroprom. Znaleźliśmy ścieżkę, dzięki której podejmiemy prawie pod sam Agroprom mijając wszystkie posterunki Powinności. Pierwsza, czteroosobowa grupa ma przejść pod południową bramę po drodze eliminując wszystkie oddziały Powinności. Druga

- grupa, co najmniej dwa razy większa dojdzie później i na sygnał zaatakuje od bramy wschodniej.
- Szaleńczy plan... jak niby w czterech mamy przejść przez wszystkie posterunki?
 - O ludzi to się nie martw, lepszych ze świecą szukać. A sprzęt dostaniesz od Maksa, tylko później musisz go z powrotem oddać i weźmiesz to co miałeś, umowa stoi?
 - No, nie mam wyjścia. – odpowiedziałem niechętnie.
 - Dobra, to może się przebierzesz, ogarniesz i idź do Maksa. Poszedłem, świeży, umyty do jednego z baraków. Tam podobno przebywał Maks. Tutaj było całkiem inaczej niż u Powinności. Panowała samowola. Tu i ówdzie ktoś jarał skręta, wielu stalkerów grało w karty z pieniądze, wszędzie było słychać radosne okrzyki i rozmowy. Mimo luźnej atmosfery główna siedziba Wolności była dobrze chroniona przez przede wszystkim snajperów. W końcu znalazłem Maksa, leżał na jednym z polowych łóżek i czyścił rewolwer.
 - Łukasz mówił, żebyś poszedł do ciebie po wyposażenie.

- O, Nullus! Brakowało tobie starych, dobrych kompanów, co?
- Można tak powiedzieć, gdzie ten sprzęt? – nie miałem ochoty na rozmowę.
- Czekaj, już daję. – mówiąc to podszedł do wielkiej skrzyni leżącej pod oknem i wręczył mi to czego potrzebowałem.
- Dzięki. – dźwigając sprzęt usiadłem na pryczy i przejrzałem to co otrzymałem. Kombinezon „Strażnik Wolności” miał w jednej z dodatkowych kabur pistolet Kora z tłumikiem. Z broni długiej dostałem wyciszony karabin snajperski L96A1. Najbardziej cieszył mnie jednak mały karabinek typu SMG Scorpion. Spojrzałem na sprzęt w uznaniem i odłożyłem go na bok.
- Maks, kiedy wyruszamy na Agroprom?
- Jutro rano, lepiej odpocznij. Skinąłem głową, a że było ciemno, położyłem się czekając na sen. W oknie zobaczyłem ciemną sylwetkę, której oczy się jakby świeciły na czerwono. Podskoczyłem w pierwszej chwili na łóżku i nie mogłem oderwać wzroku od złowrogiej postaci. Było w niej coś

hipnotyzującego. Zrobiłem jednak coś co przerwało ten nienaturalny trans. Mrugnąłem. Postaci za oknem już nie było.

– Nullus, co się dzieje? – Maks zapytał się mnie troskilwie.

– Nic, nic. Masz szluga? Muszę zapalić.

– Tak, mam. Łap. – mówiąc to towarzysz podał mi papierosa.

Nie paliłem nigdy nałogowo. W ogóle paliłem tylko w momentach, gdy byłem naprawdę zdenerwowany, zatrwożony. A szczególnie, gdy wiele negatywnych emocji się skumuluje. Ten kawałek bibuły z mieszanką tytoniu uspokajał moje psychiczne problemy, dzięki papierosom w trudnych sytuacjach umiałem spokojnie pomyśleć, zapanować na sobą. Narzuciłem na siebie kurtkę i wyszedłem z baraku zapalić. Jakieś dziwaczne monstrum z Zony postanowiło mnie śledzić czy co? Chyba tak. Na dodatek, w końcu kiedy postanowiłem udać się do Leśnika, to Wolnościowcy musieli mnie porwać. Zajebscie, no Nullus, po prostu zajebscie... Jeszcze szanse na przeżycie tego durnego napadu na Agroprom są naprawdę małe. Taktyka do najlepszych nie należy... Ale trzeba w końcu

spojrzeć też pozytywnie. Jeśli wszystko się uda to zgarnę trochę pieniędzy i wyjdę na prostą, może. Wtedy trzeba będzie pójść do tego dziadka, Leśnika i co nieco się dowiedzieć o tym czymś co mnie... śledzi? Może nawet bym opuścił Zonę? Chociaż to i tak nie ma sensu, bo co bym tam robił?

Teraz już tylko strażnicy stali na swoich wartach na zimnym powietrzu. Nie było ich i tak wielu, nikt nie spodziewał się jakiegokolwiek ataku. Wszyscy inni Wolnościowcy odpoczywali w starych, wojskowych barakach. Kiedyś było tu inaczej... Papieros wypalił się już prawie całkowicie, rzuciłem więc niedopałek w głęboki śnieg i wróciłem z powrotem do schronienia. Trzeba już iść spać, ciekawe co przyniesie kolejny dzień.



saku

Frakcja: Samotnicy

Ulubiona broń: Sniper

Rifle SVDm2

W cieniu

kilka słów o utworze, jakaś mapka czy cośtam :)

Spojrzał na zegarek
– 30 minut spóźnienia. Standard. Dziwne żeby w tym przeklętym miejscu ktoś miał przyjść na czas.

Kolejny raz, jak zawsze kiedy czekał na klienta, zastanawiał się skąd u diabła wziął się wagon w którym siedzi, 20km od najbliższej linii kolejowej. Może to nie była wymarzona praca, ale tam – daleko, miał żonę i dwójkę dzieci, a rodzinę z czegoś trzeba wyżywiać. Nikłe światło świeczki odbijało się na jego twarzy. Twarzy tak łagodnej, jedyne zmarszczki miał przy prawym oku, tak jakby tylko jego lewa strona twarzy się śmiała. Ale on wiedział że to ślad po ciągłym mrużeniu oka do celownika karabinu snajperskiego.

Ścisnął go mocniej – SVD Dragunov, ile ta broń dla niego znaczy! Z niej pierwszy raz zabił. Czuł się taki twardy, myślał że zrobi to bez problemu, a jednak. Ręka się zatrzęsła, musiał poprawić po pierwszym strzale, bo biedak się wykrwawiał, krzycząc jakieś przekleństwa na oprawcę, którego nie widział. Nie mógł dostrzec, bo on – Syrjan, leżał daleko w krza-

kach, prawie 700m od swojej ofiary. Uważał się za tak twardego, a jednak przez całą noc się budził, widząc na siatce celownika twarz ofiary. Ale to dawne czasy, teraz jest inny, teraz naprawdę jest stalkerem! Kolba karabinu – pochyłymi literami napisane

KOCHAM MARIKA

a pod napisem namalowana róża. Czy on może mieć jeszcze takie uczucie jak miłość? Ale przecież robi to wszystko właśnie dla niej, i dla dzieci, więc może jednak...

Jakieś poruszenie w krzakach. Dobrze wiedział że to zapewne oni, ale zawsze był ostrożny. Odłożył swój karabin, i chwycił za AK47 – skrócona lufa i składana kolba, tak aby można było go przenosić w plecaku. Nigdy nie oddał z tej broni strzału do człowieka, ale nie wiadomo czy nie zajdzie taka potrzeba. Wycelował w zamknięty wąż wejścia do wagonu, gdyby połapał się że to nie oni, zaczniesz strzelać.

– Kto tam? – zapytał głośnym, wyzywającym tonem.

– Spokojnie, to my Syrjan!

Chwycił belkę blokującą wąż, i wyjął ją z zawiasów. Odsunął

wrota, za nimi ukazała się znajoma twarz Saszy, podał mu rękę i poklepał po ramieniu.

– Wchodźcie.

Kiedy jego przyjaciel wszedł do wagonu, a za nim dwójka umówionych klientów, nie wiedział czy parsknąć śmiechem, czy się załamać. „Jebani biznesmeni”, pomyślał na widok dwóch dość dobrze zbudowanych mężczyzn, w wieku około 40 lat, wchodzących do wagonu w garniturach.

– Chodźcie ubrani jak chcecie, ale buty ubieracie takie jakie ja wam dam. Zdrowe nogi to podstawa, jeśli chcecie tutaj przetrwać.

– Przetrwać? – zapytał podejrzanym głosem jeden z nich. „Ja pierdolę” jedyna myśl jaka przyszła Syrjanowi do głowy. „Kolejni turyści, myślący że Zona to idealne miejsce na wypoczynek”.

– Sasza powiedział cennik?

Klienci pokiwali głowami. Wyjął ze skrzyni dwie pary starych, wojskowych butów, kałacha schował do plecaka, zarzucił na plecy i wziął do ręki SVD. Spojrzał na dwóch mężczyzn w garniturach,

którzy dopiero co ubrali śmierdzące glany. Uśmiechnął się pod nosem, pokiwał głową.

– W drogę.

Trasa ta co zawsze, wszystko bardzo dobrze zna, ale nigdy nie zaniża ostrożności. Od paru dni martwi się, że zaczął już sam oznaczać jego przechadzki, trawa powoli się ubija, niedługo będzie musiał znowu znaleźć nowe miejsca do oprowadzania „turyستów”. Coś błysnęło.

– O, te będzie dobre Andriej. – Tego już nie mógł wytrzymać, odwrócił się, i wycelował w jednego z klientów, trzymającego aparat.

– Ochujaleś? Jest noc! Każdy może nas dostrzec po tym błysku, a już o mutantach nie wspominam. Lepiej ich nie budzić! Powiedziałem, idziemy 4km do opuszczonego domu, tam czekamy do rana. W świetle słońca będziecie mogli robić zdjęcia! Trzymać się mnie blisko, ja mam licznik, wy nie. Ruszyli dalej, cisza zdawała się przenikać przez nich, prześwietlać ich na wylot.

PIK, PIK, PIK

„Co jest ku*wa?”. Nie możliwe, czyżby wykrywacz się zepsuł? „Przecież tu nigdy nie było żadnej anomalii”. Ręką dał znać aby się zatrzymali. Włączył małą latarkę, wyszukał z jej pomocą kamieni na ścieżce. Wziął jeden do ręki, rzucił przed siebie. Szum, kamień uderzył go w tors. „Nowe anomalie? Nigdy nie pojawiały się same z siebie. Coś złego dzieje się w Zonie.”

Powoli obeszli miejsce, gdzie niewidzialna siła zdawała się przywoływać ich do siebie. Po chwili byli znów na ścieżce. Licznik zaczął stukać, to normalne w tym miejscu. Nigdy nie używał kombinezonów anyradiacyjnych, po co? Jak ma zginąć, i tak zginie. Kamizelka kevlarowa pod swetrem, i gruby skórzany płaszcz z kapturem, to mu wystarczy. Dom zaczął wyłaniać się z mroku. Piętrowy kamienny budynek, a zaraz przy nim stara, popękana i ledwo dostrzegalna droga. Wprowadził ich do środka, na pierwsze piętro. Rozpalił na kamiennej podłodze małe ognisko. Wyjął z plecaka dwie puszki fasolki, widelce i butelkę wody. Podał klientom, i w tym momencie usłyszał głosy. Wyrzwał przez

okno, w oddali zauważył światło latarek. Od razu wiedział że są one umieszczone na głowach obcych. „Hmm, 6. Nie! Jest siódmy.” Przytknął oko do celownika broni, po godłach poznał że to Powinność. Wcale nie zrobiło mu się lepiej, wiedział że z nimi nigdy nic nie wiadomo.

– Czekaście tu – zwrócił się do mężczyzn.

– Zostawisz nas samych?

– Zaraz wracam, nie ruszać się stąd!

Szybkim krokiem ruszył w kierunku patrolu. Kiedy tylko zbliżył się do nich, usłyszał to co zawsze przy spotkaniu z nimi. Przytłumiony głos zza maski przeciwgazowej, sprytnie wkomponowanej w specjalny kombinezon, który trudno przebić nawet z AK.

– Stój wędrowcze, wiedzieliśmy że gdzie tu będziesz. Broń na ziemię, zdejmij plecak, ręce w górę! Tylko spokojnie. Zachciało ci się robić zdjęć? – Syryjczyk wykonał polecenia, po czym odpowiedział

– Nie ja robiłem, oprowadzam dwóch kolesi.

– Oprowadzasz mówisz? No to wiesz jak jest, na naszym terenie

pobieramy „podatek”.

- Na WASZYM terenie? A od kiedy? WASZ teren zawsze był na zachód stąd. – Drugi strażnik zrobił krok do przodu
- Płacisz, czy wolisz się kłócić?

Po ostatnim słowie poklepał FAMASA po kolbie. Musiał być z niego dumny, taka broń to rzadkość w tych stronach. Może był jakimś kapitanem? Mało kto w Powinności może nosić własną broń. Zapłacił. Strażnik który odebrał opłatę, podszedł do niego, spojrzał zza maski, po czym powiedział.

- Uważaj na siebie stalkerze, podnosi się radiacja. Coś dziwnego się dzieje, anomalie pojawiają się w innych miejscach niż dotąd.
- Zauważyłem...

Kiedy wracał do klientów od razu coś go zaniepokoiło. Z okna nie wydobywało się światło ogniska, zapalił latarkę. Wszedł ostrożnie do środka, zdjął plecak. SVD przewiesił przez ramię, a wyjął kałacha. Powoli ruszył na górne piętro, w pokoju, przy zgaszonym ognisku, leżały dwa ciała. Oba na plecach, oba z zakrwawionymi

twarzami, całymi poharatanymi jakimiś diabelskimi siłkami. Ręce mieli blade, i jakoś nienaturalnie zmarszczone, tak jakby z ich ciał wyssano wszystkie soki. „Pijawka”, pomyślał Syrjan i spojrzał za siebie...



Canthir

Frakcja: Powinność

Ulubiona broń: Akm

74/2

Śpiąc w popiołach

Swego czasu popełniłem opowiadanko obarczone roboczym tytułem "Biba na skraju drogi". W prawdzie nie wiązałem z nim nadziei na dalszy rozwój fabuły, ale powołałem głównego bohatera, który niejako mi się spodobał. Wiele wody w Prypeci nie upłynęło a zabrałem się za pisanie czegoś, co może kiedyś osiągnie okazalszą objętość i poważniejszy poziom. Prolog zamieszczam tutaj. Wdzięczny będę za konstruktywną krytykę. Jeżeli ten fragment się Wam spodoba a poinformujecie mnie o tym będzie to dla mnie motywacją do dalszego pisania i zamieszczania historii.

Śpiąc w popiołach - I

Zimno... Twardo... Żle... Kurna, ileż można leżeć na gołym betonie przykryty tylko wojskową kurtką? Wiedziałem, że ta wycieczka do Chabna źle się skończy... Mówili przecież, że miasto puste, że żywej duszy nie ma, żeby sobie nim głowy nie zawracać, bo to strata czasu. Ale nie, mi coś nie pasowało i musiałem pójść i samemu sprawdzić. No i polazłem, jak inni przede mną. Którzy leżeli i nie wracali. Dlaczego? Niby płot zaraz dalej, ale przecież nie musieli tak daleko leżeć, żeby z Zony czmychnąć. To nie ma sensu...

Wstałem z podłogi, rozprostowałem kości i oparłem się o ścianę. Spękany tynk posypał się z cichym chrzęstem pod nogi. Otrzepałem pył i kurz z ubrania, zebrałem plecak i wyjrzałem przez okno. Szaro. Niebo zasłane nieprzeniknionym ponurym stropem chmur, leniwy obłok mgły wypełzający spomiędzy drzew, pękający beton budynków i dziurawy asfalt zarastających dróg. Pustka. Pustka tak namacalna, że na wskroś przenikająca człowieka jak

zimny wiatr. Brrr, nie lubię tego uczucia. Mrozi krew w żyłach, pozbawia oddechu, mąci w głowie. To chyba nie jest normalne, nie czułem czegoś podobnego poza Zoną. A może tylko nie zwracałem uwagi? Z resztą czy to ważne co jest poza Zoną?

Na drodze pojawił się pies. Gdzieś dalej zaszczekał jeszcze jeden, po chwili kolejny. Dobry znak, jest jakieś życie. Mutasów nie spodziewałbym się, to nie ich region, tutaj tylko kundle... O ile nie są wygłodzone nie stanowią problemu, płoszy je strzał z śrutówki. Tylko u mnie z śrutem krucho, zostawiam na poważniejsze okazje. Psy, w sumie cztery, przeszły skrajem drogi pod wejście do budynku w którym byłem i siadły. Szybko jednak poderwały się i odbiegły wzdłuż bloku podkulając ogony. Kie lichy je spłoszyło? No nic, trzeba iść. Przewiesiłem kałacha przez ramię na wszelki wypadek i wyszedłem.

Przed budynkiem z chodnika wyrastała brzoza. Trochę powykęcana i dziwnie szara. Wszystko tu szare, aż się zaczynam bać, czy od wdychania tej szarości sam nie zszarzeję. A może to od radiacji coś mi się psuje w oczach? Cholera, lepiej o tym nie my-

śleć... No nic, idę przed siebie. Obłok mgły otwiera się przede mną i bezgłośnie zapieczętowanie tuż za mną. Kąsa chłodem i wilgocią. Wiatr zawodzi na liniach energetycznych, jęcząc kołyszące się sosny. Nawet nieruchomy wrak przerdewiałego Zaporozca bez kół zdaje się skrzypieć. A w tle, jakby z dala, spod ziemi, jakieś dziwne i niepokojące dudnienie. A może to krew w uszach? Serce się tłucze pod żebrami jak szalone, oddech mam płytki, jakbym się bał wziąć tej mgły do płuc. Zakładać maskę gazową? Nonsens... Radiacja ledwie co, żrących wyziewów ani śladu, to nie co te cholerne świecące bagna. Mgły się boję? Dureń ze mnie, może czas skończyć z tą zabawą...

Idąc tak krok za krokiem doszedłem do skrzyżowania gdzie skręciłem w lewo. Przechodząc wzdłuż szpaleru słupów lamp ulicznych poczułem się obserwowany. Ciężar czyjegoś spojrzenia leżący na barkach zdał się równie namacalny jak ten kałach. Nie, nawet bardziej, karabin wydawał się rozpląwać we mgle, a wzrok wgryzał się w plecy. Ale się nie odwróciłem. Bo po co? Zobaczyć obdrapany budynek z betonowej płyty z powybijanymi szybami,

wrak Zaporozca i pokreconą brzoźkę? Nie, gdybym za każdym razem się tak rozglądał odkąd jestem w Zonie to niechybnie bym sobie już dawno łeb ukręcił. Człowiek jest odcięty od źródeł bodźców, które to doznaje zewsząd przebywając między ludźmi, więc zaczyna głupieć. Od jednej strąconej wiatrem gałązki można zawalu dostać, kurna, szaleństwo. W dupie mam, nikt na mnie się nie gapi, przylazłem tutaj i leżę dalej. Pewnie to tamte pieski wróciły jak mnie zwietrzyły, jak tylko usłyszę, że podchodzą to im wygarne serią, a co...

Poszedłem dalej, po prawej za jakimiś chaszczami stał budynek szkoły. Gdyby nie wyasfaltowany plac apelowy nie byłoby jej widać zupełnie. Spomiędzy popękanych płytek chodnikowych wyrastała trawa do pasa, podjazd zarastały w poprzek jakieś kolczaste krzewy. Las normalnie, nie miasto... Placówka edukacyjna mieściła się w czterech budynkach, z jednej strony sala gimnastyczna, dalej parterowy pawilon stołówki, za nim czteropiętrowy dydaktyczny i przyrośnięty do niego niższy z aulą na parterze a biurami na piętrze. Ten sam projekt co we wszystkich podob-

nych miasteczkach. Byłeś w jednej z tych szkół to jakbyś był we wszystkich. Większość zaopatrzona w schrony w piwnicach, na wypadek wojny, która nie nadeszła. Mnie zaś interesowały zapasy tam zgromadzone, środki opatrunkowe, zestawy do uzdatniania wody, filtry do masek, jakieś łachy, może dokumenty...

Wdrapałem się po skruszonych stopniach do kuchni i zapaliłem latarkę. Podłogę wyścielała bodaj centymetrowa warstwa pyłu, blaty tonęły w kurzu, wszędzie walały się poprzewracane garnki i talerze. Z sufitu rozpinały się pajęczyny rzucające na ściany długie cienie tańczące przy każdym poruszeniu źródłem światła. Nieco dalej od wejścia, na środku pomieszczenia, czernił się ślad po ognisku. Połamane krzesła leżały pod ścianą wręcz zapraszając do użycia ich w roli opału. Ale jeszcze nie czas na przerwę, najpierw muszę znaleźć tu coś ciekawego. W sali jadalnej stoły zepchnięte były pod ścianę w imponującą rozmiarami hałdę. Ku mojemu zdziwieniu połowa okien przeszklonej ściany nie była wybita. Bezmyślnie schyliłem się po kawałek gruzu nieco mniejszy od pięści, wziąłem zamach i zatrzymałem się w połowie

ruchu. Co mi ze stłuczonej szyby? Cała przynajmniej cieszy oko, wybitych w Zonie pełno. Do dziś myślałem, że wszystkie... Szkło było brudne od lepkiego kurzu i marnie przepuszczało światło, potęgowało tylko wrażenie wszechobecnej szarości. Jednak swoją obecnością odgradzało wnętrze sali od zewnątrz dając coś w rodzaju poczucia bezpieczeństwa. W każdym radzie uczucie czyjegoś wzroku ustało. Odetchnąłem z ulgą, cisnąłem kawałkiem betonu w podłogę obserwując jak odbija się i toczy gdzieś dalej, w cień.

Korytarze między salami lekcyjnymi były co najmniej przygnębiające. Tak samo tonące w kurzu, z łuszczącą się farbą olejną ze ścian. Ale na tych ścianach wisiały wyblakłe obrazki, z uśmiechniętym słońcem świecącym nad trójką postaci grających w piłkę, z rodziną siedzącą przy stole, z jakimiś zwierzętami w lesie. Prawie jak mutki, które można spotkać nieopodal, zaśmiałem się cicho. Dalej, w ramce, za stłuczoną szybą, przebarwione zdjęcie trzech rzędów dzieci siedzących obok wychowawczyni z podpisem: klasa IIIc, rok 1985. Z rozmyślań wyrwał mnie trupi odór, zaskaku-

jąc na tyle skutecznie, że mało nie spadłem poślizgnąwszy się na schodach. Stalkerska ciekawość została odsunięta przez stalkerską ostrożność, przynajmniej tak starałem sobie to wytłumaczyć. Trup w Zonie to nie nowina, co innego trup w szkole w mieście poza uczęszczanymi szlakami. Rozumiem na środku drogi, w rowie, przy wejściu, ale na piętrze? Rozejrzę się po budynku to do niego wrócę, przynajmniej mi nie ucieknie...

W części administracyjnej bez niespodzianek. Ślady ogniska z papierów i zacieki na ścianach od wody. Stojący w gabinecie dyrektora sejf otworzył ktoś przede mną, może i lepiej, bo nie mam środków gdybym miał z nim walczyć. Do plecaka wrzuciłem kilka pożółkłych zeszytów i jakieś ołówki, niby zabawki, ale mogą się przydać. Z ocalałych dokumentów moją uwagę przykuło parę z nich: rozkaz opuszczenia budynku z początku maja '86 i fragment korespondencji dotyczącej jakiś zamówień z końca '85. Widocznie coś za plecami szerszej uwagi chcieli robić, bo tylko mowa o 'obiekcie', 'urządzeniach' czy też 'instalacji'. Zabrałem cały plik w nadziei, że znajdzie się ktoś, kto będzie wiedział

o co chodzi. Po wyłamaniu paru szuflad wszedłem w posiadanie obiecująco wyglądającego pęku kluczy. Wyglądały na tyle solidnie, żeby sugerować, że nie są lekcyjne im pisane czy składzik sprzętu sportowego. Humor mi się poprawił, już miałem wracać, kiedy z niższego piętra wyraźnie dobiegło mnie skrzypienie drzwi. Zamarłem. Wiatr ponuro szumiał za oknami, pogwizdywał w pustych korytarzach, ale nie był na tyle mocny, żeby ruszyć zastanymi od dziesięcioleci drzwiami. Czy mogłem usłyszeć jeszcze czyjeś kroki? Nie, krew szumiała w uszach, serce waliło w piersi, chyba nawet w oczach pociemniało... Czego ja się, kurna, boję? Jest dzień, mam w garści kałacha gotowego do strzału, powinienem czuć się panem sytuacji, biegać rażno jak po Uniwermagu, a nie trząść ze strachu galotami na jakieś odgłosy, które mogły równie dobrze mi się przyśnić. Dupa a nie Stalker ze mnie. Dzieci bawić a nie artefakta zbierać, o.

Zbiegłem po schodach na tyle szybko na ile pozwalały obkruśzone stopnie i sypki gruz uciekający spod butów. Lewą ręką trzymałem się poręczy, prawą karabinu. Ja tu zaraz, kurna, pokażę...

Piętro niżej pusto, na parterze pusto, w auli pusto. Kie lichy? Z satysfakcją wybiłem butem drzwi wyjścia ewakuacyjnego z auli. Przeżarte przez mole drewno trzymane grubą warstwą olejnicy rozsypało się w drzazgi. Po mgle nie było już śladu, nawet słońce jakby skuteczniej przedzierało się przez chmury. Zmrużyłem oczy i rozejrzałem się po boisku. Ani żywej duszy. Tylko zarośla i sterta połamanych ławek i krzeseł. Noż do diaska...

Poszedłem przed główne wejście do szkoły z zamiarem odwiedzenia nieboszczyka, a później sprawdzenia piwnic. Bez ostrzeżenia znowu poczułem ten ciężar czyjś wzroku na sobie, zadrżałem, ale szybko odepchnąłem strach nie zatrzymując się.

- Zaczekaj!

Czyjś głos dobiegł mnie zza pleców, obróciłem się na pięcie i zrozumiałem jakie uczucie mają na myśli Stalkerzy mówiąc, że mało się nie posrali ze strachu. Kilkanaście metrów ode mnie stała dziewczyna. W czarnych spodniach i skórzanej kurtce, miała ciemne proste włosy do ramion, wiatr nimi poruszał leniwie.

- Zaczekaj! - powtórzyła wyciągając rękę w moim kierunku.

Serce podskoczyło do gardła, nie mogłem złapać oddechu, nogi mało się nie ugięły w kolanach.

- Stój! Nie ruszaj się! - krzyknąłem mając nikłą nadzieję, że cokolwiek tymi słowami zdziałam. Dziewczyna zrobiła krok w moją stronę. Robiła wrażenie nienaturalnie bladej i chudej, podświadomie zacząłem porównywać ją z czymś z katalogu spotkanych mutantów. Wystrzeliłem parę razy w powietrze.

- Stój mówię! Nie zbliżaj się! - głos mi drżał, nogi mi drżały, ręce bez kałacha pewnie latałyby jak w epilepsji.

- Nie! Poczekaj! Nie strzelaj! - szła co raz szybciej w moim kierunku. Utkwiła kamienny wzrok we mnie tak, że czułem jak mnie nim przewierca. Spanikowałem...

- Odejdź! Nie zbliżaj się! - wystrzeliłem w ziemię, gdzieś między nami. Kula świsnęła w powietrzu, dziewczyna zaczęła biec w moją stronę, przycisnąłem spust, broń szarpnęła. Pierwszy strzał poleciał gdzieś w krzaki, później broń się zacięła. Zamek się na hucce zaciął? Czort wie, zrobiłem dwa kroki do tyłu, a potem świat zawirował. Zobaczyłem niebo obramowane gałęziami pokrzywio-

nych brzózek a następnie ciemność. Ból...

Śpiąc w popiołach - II

Obudził mnie ból, promieniujący gdzieś z tyłu głowy i zalewający całe ciało. Sięgnąłem nie bez trudu ręką do potylicy, włosy lepiły się od krwi, pod nimi guz wielkości piłki golfowej. Zdrowo musiałem przypięnić... Otworzyłem oczy i rozejrzałem się z trudem łapiąc ostrość. Leżałem na podłodze sali gimnastycznej z głową opartą na stopniu trybuny. Plecak leżał gdzieś koło lewego kolana, broń trochę dalej, poza zasięgiem rąk. Spróbowałem wstać, ale bez powodzenia. Po chwili szamotania dotarło do mnie, że nie mam czucia w nogach. Leżałem tak przez chwilę myśląc nad tym w jak beznadziejnym położeniu się znajduję. Nawet jeżeli dopełzyłbym jakoś do kałacha to nabojów mi na długo nie staczy, później skończę jako jadalna tutejszej fauny, albo po prostu padnę z głodu.

- Ku*wa... To nie tak miało się skończyć... - Ogarnęła mnie bezsilność. Najgorszemu wrogowi bym tego nie życzył, a tu masz

ci los. Zona nie przepuściła... Chwilę gapilem się w sufit jakbym mógł tam znaleźć odpowiedź na dręczące mnie pytania jak wyjść z tej beznadziejnej sytuacji. Cholernie beznadziejnej... Najbliższe obozy są parę kilometrów poza zasięgiem nadajnika w moim PDA, nawet nie mam jak wzywać pomocy, nie mam kogo wzywać. Trzęsąc się z przerażenia straciłem przytomność nawet nie wiedząc kiedy.

~ (@) ~

Ocknąłem się wyspany i jakby mniej obolały. W stłuczonej głowie nadal się kręciło, ale póki leżałem nie sprawiało to dużego problemu. Otworzyłem oczy i mało nie wyskoczyłem z własnego ciała ze strachu. Nade mną pochylała się ta dziewczyna patrząc się we mnie. Nie miałem siły nawet krzyczeć.

- Ty... Czego chcesz? – Wysapałem przez ściśnięte gardło. Zamknąłbym oczy, gdyby dziewczyna zniknęła gdy znowu je otworzę, ale nie miałem złudzeń, że to zadziała. Była realna, dość realna bym poczuł chłód jej dłoni na swoim czole.

- Nie bój się, nic ci nie zrobię... Myślałam, że się nie obudzisz.

Długo spałeś. – Powiedziała siadając koło mnie na stopniu.

Kiedy już otrząsnąłem się z przerażenia zacząłem składać w myślach zdarzenia, które mnie tu przywiodły. Wycieczka do Chabna, szkoła, dziewczyna, strzały i gleba. Ale spotkałem ją przed szkołą, dlaczego więc budzę się oparty o trybuny?

- Gdzie... Gdzie ja jestem? – Zapytałem rozcierając obolałą głowę.

- To sala gimnastyczna szkoły. Przyciągnęłam cię tutaj z dworu, tam psy się kręciły jakieś i nie wiedziałam kiedy wróci ci przytomność, a gdyby zaczęło padać... - Powiedziała przeproszającym tonem. Patrzyła na mnie jakimś dziwnym wzrokiem, którego nie widziałem od miesięcy w Zonie. Co to mogło być, troska? Przynajmniej zrozumiałem od czego mnie ręce tak bolą, musiała mnie za nie zawlec aż tutaj. Gdy kątem oka dojrzałem dwie koleiny wyciągnięte w pyle kończące się u moich stóp zrobiło mi się jej żal. Ja prawie jej nie zastrzeliłem, a ona jeszcze mi pomaga, za co, dlaczego? Nie wiem...

Pierwszy raz miałem okazję się jej przyjrzeć od czasu kiedy

mało jej nie zastrzeliłem na wszelki wypadek. Była młodsza ode mnie, mogła mieć dwadzieścia lat, może mniej. Ciemnymi oczami wpatrywała się w podłogę gdzieś koło moich nóg, ciemne proste włosy spływały wzdłuż ramion. Była śliczna i to nie dlatego, że była pierwszą dziewczyną jaką widziałem od dobrych kilku miesięcy. Jak z obrazka. A ja durny nie dość, że wystraszyłem się jej na śmierć to mało jej ołowiem nie poczęstowałem. Ale głupio...

Odepchnąłem się rękoma od podłogi doprowadzając się do pozycji bardziej siedzącej. Chwyciłem za nogawki i przyciągnąłem nogi gdy nagle poczułem w nich ból. Spróbowałem nimi poruszyć i ból się nasilił, ale nogi drgnęły. Mrowienie było trudne do zniesienia, ale świadczyło, że paraliż mnie nie dotknął. Odetchnąłem z ulgą.

- Jestem Iwo, a ty? Tak w ogóle co to ty tu robisz? – Przerwałem niezręczną ciszę.

- Ja... Ja nie wiem, nie pamiętam... - Odpowiedziała opuszczając głowę i zalewając się rumieńcem.

- Ale jak to nie pamiętasz?

- No nie pamiętam... Obudziłam się w piwnicy tej szkoły trzy dni temu i nie pamiętam nic co działo się ze mną wcześniej. Nie wiem kim jestem, co to za miejsce, co ja tu robię. Nie wiem i boję się...

- Możemy tam pójść i rozejrzeć się, może znajdziemy coś co ci pomoże. Zaprowadzisz mnie tam?

Kiwnęła potakująco głową w milczeniu. Za oknami robiło się powoli coraz ciemniej, trzeba by miejsce na obóz znaleźć albo przynajmniej nocleg jakiś.

- Chodź, trzeba nazbierać chrustu na opał, jutro rano ruszymy na poszukiwania.

Z trudem stanąłem na własnych nogach i jeszcze zataczając się zebrałem plecak i broń. Bez słowa wyszliśmy ze szkoły i zaprowadziłem ją do bloku, gdzie spędziłem poprzednią noc. Tam nazbieraliśmy gałęzi z rosnących pod budynkiem krzaków. Dziewczyna szybko zasnęła owinięta w moją kurtkę, ja siedziałem oparty o ścianę wpatrując się w ogień i zastanawiając co z tego wszystkiego wyjdzie. Szukałem artefaktów a znalazłem dziewczynę. Artefakty

można sprzedać u Sidorowicza i mieć spokój, a dziewczynę... Nie, ja nie z takich, tak nisko jeszcze nie upadłem. Trzeba więc będzie się nią zaopiekować... No nic, czas pokaże.

(@)

Znowu obudził mnie chłód. Długą chwilę stałem w oknie próbując rozgrzać skostniałe z zimna dłonie. Miasteczko pograżone było jeszcze w porannych szarościach i otulone gęstą jak wata mgłą. Na ulicach oczywiście ani śladu żywej duszy, ani psa, nic. Nawet wiatr jakoś tak leniwie porusza gałęziami zdziczałych krzaków. Dziwne miejsce to Chabno, niby zwyczajna opuszczona miejscina, za spokojna na Zonę, a z drugiej strony... Diabli wiedzą.

Skończywszy rozmyślania zabrałem się za rozniecenie ogniska z pozostałego chrustu. Poszło szybko i sprawnie i nawet dziewczyna się nie obudziła. Ogień przyjemnie grzał i oświeślał odpędzając lęki minionej nocy, mój cień tańczył niezmordowanie nad naszymi głowami. Zajrzałem do plecaka, wygrzebałem dwie konserwy turystyczne, paczkę naboju do kałacha, butelkę wody i scyzoryk. Doładowałem magazynek nabojami i zabrałem się za konserwy

kiedy dziewczyna się obudziła. Ucieszyłem się w duchu, że nie zobaczyła mnie z bronią w ręku, głupio by to musiało wyglądać...

- Dzień dobry, jak ci minęła noc? Przygotowuję śniadanie. Może niezbyt okazałe, ale w Zonie trudno o lepsze.

- Dziękuję, dobrze... Gdzie, w Zonie? – Zapytała przecierając dłonią zaspane oczy.

- W Zonie, czyli inaczej Czarnobylskiej Strefie Wykluczenia. To miasteczko to Chabno a jesteśmy jakieś sto kilometrów na północ od Kijowa. Mówi ci to coś?

- Nie... To znaczy słyszałam o Zonie, ale nie mam pojęcia co mogę tutaj robić. A co ty tu robisz?

- No widzisz, kilka lat temu coś walnęło w elektrowni albo jej pobliżu i od tego czasu w Strefie zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Między tymi dziwnymi rzeczami pojawiały się fragmenty odmiennej materii nazywane artefaktami. Naukowcy z całego świata gotowi byli płacić każde pieniądze za artefakty z Zony, tylko ktoś musiał im je przynieść. Wdzierających się do Strefy nazywa się Stalkerami. Jednego z nich masz przed sobą. Masz konserwę,

pewnie głodna jesteś...

Tym sposobem unikałem nieuchronnie wiszącej w powietrzu lawiny pytań na mój temat. No, nie unikałem a raczej odroczyłem, ale dobre i to. Zresztą należy się jej trochę wiedzy o mnie, ale to nie dziś...

Śpiąc w popiołach - III

Zjedliśmy śniadanie i wyszliśmy z budynku zostawiając za sobą zgaszone ognisko, ostatnie źródło ciepła i światła na tym pustkowiu. Słońce było co prawda już nad horyzontem, ale niemożliwością było odgadnięcie jego położenia. Mgły podniosły się na tyle, że tworzyły teraz kozuch tuż nad naszymi głowami. Oblepiały swoją wilgocią drzewa, płoty, mury i rozpraszały światło słoneczne odbierając mu ostatnią cząstkę ciepła. Słyszałem tylko oddech swój i dziewczyny, niosące się echem nasze kroki i trzeszczący plecak pełen dobytku. Trochę mnie martwił brak psów, które widziałem wczoraj, niemniej na wszelki wypadek broń trzymałem w

ręku.

Doszliśmy do szkoły nie zamieniając słowa po drodze. Dziewczyna była chyba głęboko zamyślona, bo z lekko opuszczoną głową wpatrywała się nieobecny wzrokiem, gdzieś w nieskończoność poza kurtyną gęstego oparu. Powrót do miejsca przebudzenia pewnie nie jest dla niej miłym wspomnieniem, ale nie widzę innego sposobu, żeby dowiedzieć się czegoś o niej niż udając się tam.

- Dalej ty mnie musisz poprowadzić, nie zdążyłem wczoraj zejść do piwnic, bo... Zresztą... Mam nadzieję, że to nie problem dla ciebie tam wrócić? – Zagadnąłem specjalnie trochę głośniejszym głosem, jakbym obawiał się, że w przeciwnym wypadku mnie nie usłyszy.
- Tak, znaczy... Nie, nie ma problemu, chodźmy. Wejście jest obok tamtego budynku. – Wskazała ręką na część administracyjną.

Obeszliśmy szkołę szybkim krokiem. Dziewczyna prowadziła nie oglądając się za siebie, ja przeciwnie, nieustannie rozglądałem się

na boki wypatrując jakiegoś urojonego zagrożenia. Czułem dziwny, nieopisany niepokój, jakby coś zaczynało się na nasze głowy i czekało tylko dogodnego momentu, żeby wyskoczyć z ukrycia. Ale nic nie wskazywało, żeby był tu ktokolwiek poza nami. Zatrzymaliśmy się przed parą blaszanych drzwi umiejscowionych w asfalcie przy ścianie budynku, jedno ich skrzydło otwarte odsłaniało prowadzące w mrok strome betonowe schody.

- Tędy... – powiedziała zatrzymując się i widocznie czekając aż pójdę przodem. Przełknąłem ślinę próbując ukryć zdenerwowanie. Założyłem i włączyłem latarkę czołówkę i otworzyłem drugie skrzydło drzwi. Odpowiedziało okropnym piskiem i skrzypieniem zawiasów po czym z łomotem opadły na asfalt rozsypując wokół rdzawy pył. Spojrzałem w ciemną otchłań i zwątpiłem w to, czy na pewno chcę tam schodzić...

Schody były śliskie od wilgoci, na betonowych ścianach spływały kolorowe wzory zacieków, rude od rdzy, zielone od glonów, białe od soli. Strop zdobiły ciągnące się, włochate girlandy pajęczyn. Pod nogami cmokała brunatna warstwa cuchnącej ziemi

z gnijącą materią organiczną ze sterczącymi gdzieś ostro-
mi kawałkami bladego gruzu, przypominającego połamane ko-
ści. Światło latarki niechętnie oświetlało ten ponury widok, jakby
chciało oszczędzić mi oglądania go.

Schody prowadziły do krótkiego niskiego korytarza, a ten koń-
czył się ciężkimi drzwiami jak od schronu przeciw lotniczego. Za-
trzymałem się, żeby się im lepiej przyjrzeć. Były uchylone. Zgar-
nięte błoto na podłodze wskazywało, że były niedawno otwierane,
w przejściu zobaczyłem ślad buta dziewczyny i... Jakiś inny? Zła-
pałem się za głowę i westchnąłem nad swoją głupotą. Teraz, jak
już wszystkie ślady zdeptaliśmy, to mogę zgadywać kto to mógł
być. Trzeba było od razu zwrócić na to uwagę. No nic, może ni-
kogo nie spotkamy. Oby...

Weszliśmy do przestronnego pomieszczenia, którego podłoga i
ściany wyłożone były białymi kafelkami przywodzącymi na myśl
łazienkę, szpital albo rzeźnię. Na wprost prowadził korytarz gi-
nący gdzieś w ciemności, przed nim od ściany odchodził kontuar
przypominający portiernię czy recepcję. Na prawej i lewej ścianie

zauważyłem parę zamkniętych drzwi.

- Zaczekaj. – Polecilem. Dałem dziewczynie zapasową czołówkę
i chwilę się zawahałem. Gdy sięgnąłem po pistolet wyraźnie się
przestraszyła, bo cofnęła się o pół kroku i wbiła wzrok w broń.

- Umiesz się tym posługiwać? – Zapytałem retorycznie i od ra-
zu przeszedłem do krótkiego szkolenia. – Tu masz spust, tu masz
bezpiecznik, tym przyciskiem zwalniasz magazynek jak chcesz
przeładować broń. To jest zamek, po ostatnim strzale zostaje w
tylnym położeniu, po włożeniu pełnego magazynka automatycz-
nie wraca. Celujesz zgrywając to, z tym... - Kontynuowałem po-
kazując na muszkę i szczerbinę. Trochę się bałem, dając jej broń,
ale gdyby coś mi się stało, to może uratować jej życie. Zresztą do
czego mielibyśmy tutaj strzelać...

- Broń nosisz zawsze zabezpieczoną, chyba, że powiem inaczej,
strzelasz z wyprostowanej ręki, najlepiej przytrzymaj sobie drugą,
o tak. Niby takie gówno, ale kopie, jak źle złapiesz to możesz sobie
łokieć albo bark uszkodzić. – Zademonstrowałem pozycję strze-
lecką przymierzając się gdzieś w kierunku końca korytarza. – Nie

strzelaj, jeżeli jestem na linii strzału, jak się skończy magazynek to najpierw szukasz jakiejś osłony i chowasz się za nią, później przeładowujesz. Jasno się wyraziłem? Trzymaj...

Kiwnęła potakująco głową i przyjęła Makarowa. Dałem jej jeszcze jeden pełen magazynek, ot tak, na wszelki wypadek. Trzymała broń z przejęciem oglądając ją uważnie, ważąc w dłoni.

Podszedłem do pierwszych drzwi po prawej. Namalowany na nich symbol czerwonej błyskawicy sugerował, że znajdę za nimi jakąś rozdzielnię elektryczną. I faktycznie, kiedy już z pomocą solidnego kopniaka pomogłem sobie otworzyć zaklinowane drzwi, miałem przed sobą dużą wajchę, zapewne wyłącznik główny oraz kilkanaście przełączników i kontrolek. Kolejne grupy były opisane: ośw. 1, ośw. 2, went. 1, went. 2, mag, apar, chłód, lab. Bez głębszego namysłu chwyciłem dźwignę włącznika i podniosłem ją do pozycji załącz. Mechanizm zazgrzytał metalicznie, syknęła iskra i kontrolki rozświeciły się na czerwono. Nie spodziewałem się tego. Stałem tak chwilę oniemiały wpatrując się w delikatnie mrugające kontrolki. Stalkerze, wiesz co robisz? Coś mnie znowu

podkuśło i sięgnąłem do pierwszego przełącznika od oświetlenia. Chwilę go trzymałem nie będąc pewnym czy na pewno chcę przekręcić, ale przekręciłem. Hol napełnił charakterystyczny klekot zapalających się jarzeniówek, a ich zimny blask odbijający się w kafelkach oślepił mnie na chwilę.

- I stała się światłość! – Zaśmiałem się głośno. Jakkolwiek obecność elektryczności była dość dziwnym znakiem, nasuwającym całą masę pytań, to jednak zdecydowanie wolę zwiedzać te lochy w świetle lamp, a nie tylko skromnej latareczki. Machnąłem ręką na cicho buczącą płataninę kabli i wróciłem do dziewczyny przymykając za sobą drzwi.

- Którędy dalej? – Zapytałem.

- Drugie drzwi po lewej.

Poszliśmy tam. Pokój przypominał salę szpitalną, izolatkę. Tak jak hol i korytarz, całe pomieszczenie było wyłożone białymi kafelkami. Przy jednej ścianie stało samotnie łóżko szpitalne z wygniecionym materacem i zwiniętą w nogach pościelą, na przeciwległej ścianie, na wprost łóżka zobaczyłem okno z zasłoniętą żalu-

zją, do dyżurki? W kącie, obok pustego regału, leżały przewrócone dwa krzesła i jakiś statyw albo pulpit, w drugim rogu umywalka. Poza tym pusto. Powietrze tu miało jakiś dziwny zapach, trochę duchoty i wilgoci, trochę jakiś środków czyszczących. Niby nic groźnego, ale zatęskniłem za powierzchnią...

Przeszliśmy do dyżurki, nieco węższej od sali. Na drugiej ścianie było okno do kolejnej sali. Było... Przez stłuczoną szybę zobaczyłem zakrzepłe ślady krwi na ścianach, rozmazane kałuże na podłodze, porozrzucane meble, krajobraz jak po bitwie.

- O ku*wa... - Wyrwało mi się. Początkowo rutynowa wyprawa nabierała rumieńców, a jeszcze nie znaleźliśmy tego, czego szukaliśmy. Przełknąłem głośno ślinę i wróciłem do przeszukiwania pokoju. Dziewczyna stała tuż koło mnie, patrząc co robię.

W dyżurce było biurko, dwa krzesła i dwie szafki, z czego jedna przeszklona z lekami. Ta, jako pierwsza zwróciła moją uwagę. Nazwy leków stojących na górnych półkach brzmiały dla mnie obco, połowy pewnie nie umiałbym nawet wymówić... Niżej stały środki odkażające, opatrunki, przeciwbólowe. Cenny łup, bandaże

mi mogą się przydać, resztę opchnę jajogłowym za jakąś okrągłą sumkę, oni już będą wiedzieli co z tym zrobić. Drzwiczki były zamknięte, więc bezceremonialnie stłukłem je kolbą od kałacha. Kiedy pakowałem leki do plecaka, dziewczyna mnie zawołała.

- Zobacz tutaj, teczka z moim zdjęciem!

Faktycznie, w otwartej przez nią szufladzie na wierzchu leżała papierowa teczka na dokumenty. Napis w rogu głosił: AKTA 0/X-11/03-12/031, a obok przyklejone było jej czarno-białe zdjęcie. W sumie to nie domyśliłbym się, że to ona jest na tej fotografii, wyglądała na nim jak półtora nieszczęścia, z przymkniętymi oczami i twarzą bez wyrazu, jak na prochach jakich. Brak kolorów i mdłe oświetlenie tylko potęgowały ten efekt. Sięgnąłem po teczkę i zajrzałem do środka. Tam kolejne jej zdjęcie, trochę wyblakłe legitymacyjne ze szkoły średniej chyba... W nagłówku strony znowu numer akt, niżej: Obiekt 031, a niżej już dane biometryczne jak wiek, wzrost, masa ciała, kolor oczu, grupa krwi... Na następnej stronie wyniki badania krwi chyba, na kolejnej też coś podobnego, bo tabelki z różnymi liczbami. Dalej złożony w

harmonijkę elektrokardiogram z długim zygzakiem wykreślonym niebieskim flamastrem na papierze. Na kolejnej harmonijce też były wyrysowane zygzaki, ale miały inny kształt, piki były szersze i nieregularne, było też więcej wykresów. To samo na następnej, następnej, kolejnej i chyba wszystkich pozostałych... Przyjrzałem się opisom: płat czołowy, płat skroniowy, płat ciemieniowy, ... No jasne, to EEG!

- Świetnie, pokażemy jajogłowym, to pewnie coś wymyślą. Mają tam profesorka, co jest dobry w te klocki, jak go ładnie poprosimy, powinien ci pomóc. Co tam masz jeszcze? – Zadowolony pakowałem teczkę do plecaka.

- Teczki pięciu kolejnych osób...

- Widziałś kogoś z tych ludzi wcześniej? – Zapytałem zaciekawiony. Pokręciła przecząco głową. Pozostałe teczki rzuciłem do stojącego w kącie kubła i wróciłem do przeszukiwania biurka. Pełno było w nim różnorakich papierów. Już miałem się skierować do drugiej szafy, kiedy dziewczyna szarpnęła mnie za rękaw w kierunku drzwi.

- Chodźmy stąd! Tam ktoś jest! – Powiedziała z szczerym przerażeniem w oczach, nie przestając ciągnąć mnie za ramię.

- Nie bój się, nikogo tam nie ma, usłyszałbym. Poza tym mamy broń, hmm? – Próbowałem ją przekonać. Poza buczeniem świetlówek i szybkim oddechem dziewczyny zasadniczo nic nie było słychać.

- Jest, czuję go, idzie tutaj...

- Ech... Ale jeszcze... A, zresztą, niech ci będzie... - Dałem się jej przekonać, ale nie byłem pewien czy postępuję właściwie. Może ona chce mnie odciągnąć od znalezienia czegoś, albo prowadzi prosto w pułapkę? Bezsens, mogła mnie wcześniej rozwalić, ma przecież mój pistolet...

- Chodź, szybciej! – Wołała mnie już z korytarza.

Kiedy wyszedłem z dyżurki zobaczyłem w głębi korytarza czyjąś sylwetkę. Zatrzymałem się, żeby się przyjrzeć. To nie mogło być przewidzenie, faktycznie ktoś szedł w naszym kierunku. Nie słyszałem jego kroków, bo był boso. Co to za dziwoląg, boso w Zonie? Na wszelki wypadek odbezpieczyłem kałacha i odciągnąłem

zamek. Metaliczny szczęk broni poniósł się echem po korytarzu. Już przymierzałem się do celowania w nieznajomego, kiedy sprawy przybrały bardzo zły obrót.

Nagle usłyszałem głuchy huk i okropnie zakręciło mi się w głowie. Świadomość wróciła mi sekundy później, kiedy kałach leżał na podłodze, a ja klęcząc próbowałem się z trudem podnieść. Nastąpiło kolejne uderzenie, jakby ktoś ścisnął mi czaszkę w wielkim imadle. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Myślenie w takim stanie zadawało fizyczny ból, ale zdałem sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Wyskoczył na mnie kontroler, a ja nawet nie mogę broni podnieść, a co dopiero z niej strzelać... Przypomniałem sobie o granacie zaczepnym przyczepionym do pasa, mojej ostatniej desce ratunku w tych okolicznościach. Kiedy sięgałem po niego nastąpił kolejny cios, jakby ktoś mózg wyżył mi jak mokrą gąbkę. Leżałem już całym ciałem na zimnych kafelkach. W uszach dzwoniło niemiłosiernie. Co tak szumi? Krew w żyłach, czy to dziewczyna krzyczy? Chwyciłem zębami zawleczkę i wyszarpałem. Ścisnąłem cytrynkę w dłoni, spodziewając się następnego

uderzenia. Zamiast tego, jakby z otchłani, niósł się huk wystrzałów. Otworzyłem oczy i podniosłem się na wolnej ręce. Kontroler trafiony w ramię zatrzymał się dobre kilkanaście metrów ode mnie trzymając się za ranę.

- Schowaj się! – Krzyknąłem ostatkiem sił do dziewczyny i rzuciłem granat. W połowie zamachu przeciwnik jednak ugodził jeszcze raz, granat wypuściłem za wcześnie... Zasłoniłem głowę rękami i otworzyłem usta oczekując wybuchu.

Huk był okrutny. Jeszcze czaszka nie przestała mnie boleć od ataków kontrolera a posypał się na mnie grad pokruszonych kafelków i gruzu. Zawyłem z bólu, kiedy odłamki rozcinały mi skórę ramion. Pył jeszcze nie opadł, w uszach jeszcze mi dzwoniło, kiedy dziewczyna podbiegła do mnie próbując pomóc mi wstać.

- Spokojnie, dam radę... - Skłamałem. Stojąc już na własnych nogach zatoczyłem się, oparłem o ścianę i zwróciłem zawartość żołądka. Rany na rękach piekły jak ogień, ale jakoś nie zwracałem na to uwagi. Otarłem usta o ciemniejący od krwi rękaw.

- Dobra, wynosimy się stąd... - Wystękałem przyciągając

dziewczynę do siebie. – Uratowałaś mi życie, wiesz? – Trzęsła się nie gorzej ode mnie.

Zabrałem kałacha i wróciliśmy do obozu. W drodze powrotnej nie było już mgieł, świat jakby nabrał trochę kolorów, nawet parę ulic dalej czekały psy. Otarłem się o śmierć, ale żyłem. Żyłem i czułem, że żyję.



Valentino

Frakcja: Naukowcy

Degradacja

Popuszczenie wodzom wyobraźni - na pewno nie każdemu taka forma i wymowa tekstu, sposób jego prowadzenia przypadnie do gustu.

Miłej lektury... Oby xP

„Degradacja”

„Nie ma widoku bardziej przerażającego, upodlającego i żałosnego niż widok człowieka uciekającego przed własnymi demonami.”

1

Zbudził mnie ogłuszający huk.

Półprzytomny poderwałem się z materaca i jednym susem dopadłem leżącego pod kaloryferem rewolweru.

Czając się pod oknem próbowałem ustalić, co spowodowało ów tępy grzmot, który wyrwał mnie ze snu. Początkowo myślałem, że to bomba lub granat, z czasem jednak, w miarę powracania z otępienia do pełnej sprawności wszystkich zmysłów, byłem niemal pewny, że był to huk anomalii. W przypadku zaatakowania obozu czy chociażby rozlegnięcia się w dalekim sąsiedztwie pojedynczego strzału natychmiast rozległby się w nim alarm.

To nie mógł być wybuch granatu...

Podświadomość dopuściła do mnie jednak jedną potworną wizję – a jeśli była to dywersja? Co, jeśli strażnicy magazynu leżą z poderżniętymi gardłami, a mający przed chwilą miejsce wybuch miał jedynie rozpocząć serię eksplozji podłożonych przez skrytobójców ładunków, które w konsekwencji zmiotłyby z powierzchni

ziemi cały obóz?

Jeśli jeden jest niedaleko, dom się zawali, a na mnie runie gruz – czeka mnie więc powolna śmierć w męczarniach...

Uderzając pięścią w ścianę, co było pewnego rodzaju zrywem, wyrwałem się z ciągu czarnych, absurdalnych myśli o swoim losie. Traciłem nad sobą kontrolę – jeszcze tydzień temu nawet nie przyjąłbym się jedną silnie negatywną myślą, teraz, co gorsza nieświadomie, pogrążałem się w niemalże trans polegający na wyobrażaniu sobie siebie cierpiącego okropne katusze kończące się wybawczą, bo uwalniającą od bólu śmiercią. Tracąc nad sobą kontrolę, wpadałem w wir samo upodlenia i autodestrukcji.

Traciłem wolę przetrwania.

Sama egzystencja przestała być dla mnie specjalnie pociągająca i sensowna – to zaś, w połączeniu z ciągłym stresem wiążącym się z przebywaniem w miejscu takim jak Zona, powoli wpędzało mnie w obłęd.

-Ludzie! Zbierajcie szmal!!! – za oknem rozległ się radosny, dziki wrzask.

Przestałem myśleć o moich ostatnich niepokojących zachowaniach, notując sobie jednocześnie w myślach, bym później zajął się tym problemem. Choć blisko było mi do całkowitej obojętności wobec swojego losu, jeszcze zależało mi na tym, żeby żyć.

Jeszcze się nie poddałem.

Jeszcze nie.

Lewy bark, którym przywarłem do ściany, zdążył mi już zdrętwieć, wyprostowanie się więc sprawiło mi nieco kłopotów. Kiedy w końcu to zrobiłem, zabezpieczyłem rewolwer, wciąż jednak trzymałem go w ręku.

Stojąc plecami do okna, zauważyłem cienie tańczące na wpadających przez nie promieniach słońca. Miały drobny, postrzępiony kształt – przypominały spopielone gazety lub ich pourywane strony, unoszone chwilowo przez wiatr, po czym swobodnie opadające w dół, niczym spadające z drzew liście.

Odwrociłem się o sto osiemdziesiąt stopni i natychmiast pożałowałem tej decyzji.

Szybę znaczyło kilkanaście małych kropel krwi, nad którymi góro-

wał szkarłatny, przypominający swoim kształtem ranę ciętą, rozprysk. Krwawe drobiny zmieniały co chwila swoją barwę, będąc zasłanianymi przez migoczące cienie.

Cienie prawdziwego deszczu, niemalże wiszącej w powietrzu, chmury postrzępionych banknotów.

Dziesiątki, nie, setki banknotów o identycznym nominale pięciuset hrywien wirowały w górze – o zwęglonych bokach, zakrwawionych powierzchniach, niektóre stanowiące jedynie połowę, czasem nawet nie ćwierć, całego banknotu. Nieliczne w całości, z błogim spokojem, opadały na ziemię, inne zaś zostały zmielone w drobne kawałeczki, niektóre nawet w pył. Rój pieniędzy, który zdawał się brać udział w góry zaplanowanym układzie, majestatycznie przesłaniał świecące mocno słońce.

Widok ten był przerażający i niesamowity – przerażała ilość pieniędzy, jaka uległa zmarnowaniu, ale i ta część, która nie uległa zniszczeniu i była na wyciągnięcie ręki. Mogłem otworzyć okno i spróbować wyłowić niektóre z banknotów wirujących w powietrzu, korzystając z zamieszania, które miało zaraz nastąpić, z tłu-

mi stalkerów, który zaraz zbiegnie się przy chmarze pieniędzy. W jakby centrum owego niezwykłego układu znajdował się cały jego autor, sprawca – leżący na boku, nieżyjący już stalker z urwanymi przy samym pasie kończynami, które przerobione przez anomalię w krwawą miazgę, leżały metr dalej. Niedoszły rabuś oburącz kurczowo ścisnął rozerwaną w pół skórzaną torbę, z której niczym wnętrzości wypatroszonego zwierzęcia, wysypało się jeszcze całkiem sporo pieniędzy. Te, co dziwne, miały inny nominal niż wirujące nad trupem hrywny – poznałem wśród nich między innymi euro, ruble, polskie złote i dolary.

Kolejny złodziej, niedoszły sprawca udanego rabunku na skarbcu frakcji.

Uchyliłem okno i wyjrzałem przez nie w lewo, gdzie znajdowało się centrum obozu.

Tłum stalkerów z prawdziwym obłędem w oczach, dziką chęcią łatwego zysku, rzucenia się niczym zwierzęta, na pieniądze, nacierał w moją stronę. Żądza ta widocznie przyćmiła ich umysły na fakt, iż złodziej wpadł w anomalię, która urwała mu nogi. Nie

obchodziło ich, że sami mogą w nią wdepnąć i podzielić los martwego stalkera.

Łatwo dostępne pieniądze, sumy, które dla zwykłych mieszkańców Zony mogły pozwolić na przekupienie granicznych strażników i jej opuszczenie, pieniądze, na których nawet nie jedną dziesiątą część sami muszą pracować, ryzykując życie, były ważniejsze. Desperacja osiągnęła szczytowy poziom – każdy ze stalkerów wolał zostać bezboleśnie rozerwany na strzępy przez anomalię i z tą świadomością zaryzykować, chapnąć trochę grosza, niż później żałować zaniechania, braku podjęcia chociażby próby odwrócenia swojego losu.

Kiedy tłum znalazł się około dziesięciu metrów przed pieniędzmi, z lewej nadbiegło kilkunastu wojskowych, którzy oficjalnie stanowili jedno z ramion zbrojnych frakcji. Kilku z nich stanęło obok, pod ścianą jednego z baraków, czterech z liczącego kilkunastu ludzi oddziału, wkroczyła w chmurę pieniędzy, która zdawała się zwisnąć w powietrzu, niczym pszczołarzy w rój owadów. Stojący przy rogu baraku żołnierz rzucił mi wyzywające spojrzenie, ge-

stem ręki pokazując jednocześnie, żebym zamknął okno.

Natychmiast usłuchałem – zamknąłem okno wolną ręką tak gwałtownie, że jego szyba aż zadygotała i przez chwilę byłem pewien, że w końcu pęknie. Mimo, iż okno było zamknięte, miałem doskonały obraz całej sytuacji – tłum stalkerów i wojskowych dzieliła bardzo niewielka odległość.

Jeden z ubezpieczającej ciało złodzieja żołnierzy uniósł karabin w górę i oddał z niego krótką serię.

Tłum stanął jak wryty. W ich oczach, zaślepionych chęcią łatwego zysku, na chwilę pojawił się strach.

Około dziesięciu wojskowych, tych stojących pod barakiem, wyszło naprzód, swoją postawą i zachowaniem jednoznacznie dając do zrozumienia tłumowi, że nie zawaha się go wystrzelać – każdy z żołnierzy miał teraz za zadanie dostarczyć z powrotem do sejfu jak największą sumę, która ostała się ze zrabowanych pieniędzy.

Trwała próba sił – tłum mierzył się spojrzeniem z oddziałem wojska; niczym biorący udział w pojedynku gladiator czekał na pierwszy ruch swego rywala.

Ku mojej uciechu, tłum zrezygnował – wizja, iż zostanie wybity w pień przez wojsko była dużo okrutniejsza w swojej prostocie niż ewentualność wpadnięcia w anomalię i przemówiła im do rozsądku. Zrezygnowany, z wyrazem gorzkiego rozczarowania, powoli zaczął się rozchodzić.

Nagle jeden, jedyny stalker odwrócił się na pięcie i sprintem ruszył w stronę okaleczonych zwłok. Były niemal całkowicie przykryte przez banknoty, które zdążyły już co do ostatniego opaść w dół. Dowodzący oddziałem zorientował się, co jest w zamiarze stalkera. Wyjął z kabury wielki, czarny pistolet, wycelował nim przed siebie i jednym, nieludzko celnym strzałem uśmiercił zmierzającego ku zrabowanym pieniądzom mężczyznę. Ten padł głucho na ziemię, huk wystrzału zaś zwrócił uwagę tłumowi.

Mierzył wojskowych morderczym, wyzywającym od największych oprawców spojrzeniem. Żołnierze, całkowicie się tym nie przejmując, szybko ustalili położenie anomalii, po czym przy wzajemnej asyście w obserwowaniu zachowania tłumowi, zebrali pieniądze do foliowego worka. Pozostawili po sobie jedynie kilkanaście, nic nie

wartych strzępów – szanse, że wśród całego tego bałaganu znajdowały się całe banknoty, była nikła. Dowódca oddziału wydał rozkaz, po którym powoli, wraz ze swoimi podkomendnymi, oddalił się w stronę kwatery dowodzenia frakcji.

Noszony przez jednego z żołnierzy worek pieniędzy skupiał na sobie uwagę zgromadzonych stalkerów. Ostatecznie żaden z nich nie podjął jednak próby na jego odbicie – każdy, co do jednego, pozostawiając jednocześnie pasożytom ciało swojego kolegi, ze smutno spuszczoną głową poszedł w swoją stronę.

Cały spocony i zszokowany, z rewolwerem ślizgającym się w mokrej dłoni, usiadłem na materacu.

Po raz pierwszy w całym moim stalkerskim życiu, w ciągu dziesięciu lat przebywania w Zonie, zostałem zniesmaczony jej okropieństwem. Zdałem sobie po raz pierwszy sprawę, że tak być nie może, że coś jest tu nie tak.

Przed wszystkim jednak poczułem, że nie jest to miejsce dla mnie.

Muszę się stąd wydostać.

2

- On biję cię na głowę. Ty jesteś na prawie samym końcu łańcucha ewolucji, on osiągnął niemal szczytu. Ty byś granatnikiem przeciwpancernym szczura nie zabił, on podrzynał gardła rozwścieczonym, wygłodniałym psom! Ty... Adam urwał, czknął, po czym zwałił się pod stół. Towarzystwo w barze rzuciło na niego spojrzeniem, po czym mrucząc coś pod nosem o jego złych alkoholowych nawykach, wróciło do prowadzonych rozmów.
 - Podnieść go? – spytał mnie Mikołaj.
 - Nie... – rzuciłem. – Niech leży.
 - Często się upija?
- Sięgnąłem pamięcią wstecz.
- Odkąd go okradli, z dwa razy na tydzień.
 - A czy... – Leon zdawał się ugryźć się w język. – A co mnie obchodzi jakiś pijak? – rzekł gorzko, zapowiadając zmianę tematu. – Zajmijmy się czymś naprawdę ważnym.

– A więc... – odłożyłem kieliszek na bok. Ta rozmowa wymagała pełnej trzeźwości umysłu.

Mikołaj postawił na stoliku wielką, skórzaną teczkę, odpiął oba jej zatrzaski i zaczął szukać czegoś wśród mnóstwa teczek, aktówek i luźno zbitych ze sobą dokumentów.

Obserwowałem go przez chwilę i nagle zdałem sobie sprawę z tego, co przed zapadnięciem w pijacki sen, mówił Adam. Mikołaj zaiste, bił mnie na głowę pod każdym względem.

Będąc stalkerem przed dziesięć lat czułem się prawdziwym weteranem Zony – myślałem, że niewielu wśród ogólnej społeczności Strefy cieszy się takim uznaniem, jak ja; ludzie mówili o mnie, o moich wyczynach, często niezwykłych, zwykle jednak chwalono mnie za to, jak radziłem sobie w tym „państwie w państwie”.

Podziwiali moją wytrwałość i wolę walki – fakt, iż wybierałem się w niebezpieczne zakątki nie raz dwukrotnie w ciągu dnia, często wracając z niczym, tracąc zaś bardzo wiele. Niektóre z takich sytuacji trwale utkwіło mi w psychice – przykładowo, wypad do dzielnicy przemysłowej dwa lata temu, podczas którego miałem

zamiar zapolować na mutanta. Nim jakiegokolwiek znalazłem, zostałem otoczony przez bandytów, którzy okradli mnie z absolutnie wszystkiego, poważnie pokiereszowali, kazali mi rozebrać się do naga, by w końcu pozbawić mnie przytomności i zostawić w jednym z napromieniowanych hangarów.

Nie wiem jakim cudem, nie zauważyli jednak szpetnego symbolu zdobiącego moje prawe ramię. Jeśli tak by się stało, prawdopodobnie ze wściekłości zatłukliby mnie na śmierć.

Zbliżała się zima, było zimno i wietrznie – kiedy się ocknąłem, miałem wrażenie że skuł mnie lód – byłem sztywny niczym głaz, bezwładny i odrętwiały.

Ten jeden jedyny raz byłem całkowicie bezsilny i we władzy losu, który tego razu się do mnie uśmiechnął. Zostałem uratowany przez dwóch rodzonych braci, razem przebywających w Zonie od niedawna. Sposób, w jaki mnie potraktowali, na krótki czas przypominał mi o istnieniu rzeczy zwanej dobrem. W tydzień doszedłem do siebie.

Przez następny tydzień kolejno lokalizowałem i eliminowałem na-

pastników – każdy z nich skończył z obciętą ręką i kulką w głowie. To był naprawdę trudny miesiąc.

– Już prawie to mam...

Ten wyczyn jednak, podobnie jak cały mój stalkerski dorobek, był niczym w porównaniu do rzeczy, jakich dokonał Mikołaj. Od wielu lat pracował dla rządu Ukrainy, był jednym z czołowych przedstawicieli ich głównego obozu w Zonie, w 2001 roku startego z powierzchni ziemi, później jednak odbudowanego, funkcjonującego do dzisiaj. Mikołaj był człowiekiem od wszystkiego – strzelał i walczył wręcz nie gorzej niż członek elitarnej jednostki wojska, był wyjątkowo inteligentny, sprawny fizycznie, znał się na informatyce, materiałach wybuchowych, technikach przesłuchań – swoją osobą mógł zastąpić tuzin ludzi o różnych specjalizacjach. Przy całej tej mądrości i umiejętnościach był jednocześnie wielkim stalkerem.

Nie była to wiedza dla każdego, ja znalazłem się jednak wśród tej wąskiej grupy, która znała skład pierwszej drużyny stalkerów, którzy zdołali przetrwać okropieństwa prypeckiego szpitala. W

Zonie szpital był mitem – wystarczyło rzucić o nim słowo, by milkły rozjuszony tłumy; miejsce to urosło do rangi niemal legendy, potwierdzenie zaś, że kilku stalkerów przebyła w nim kilka godzin czasu i zdołała się z niego wydostać, tchnęło nowe życie w stalkerską społeczność.

Nikt nie powtórzył jednak heroicznego wyczynu grupy, w której znajdował się między innymi Mikołaj i jeden z najgorszych w historii Zony zwyrodniałców, Łazarz Niemierow.

Patrząc na przeszukującego teczkę Mikołaja czułem się jak w obecności Jeżozwiera – legendy, osoby kultowej, prawdziwej osobowości.

– Mam. – powiedział z ulgą, kładąc na stole kilka odwróconych wierzchem do góry kartek. Zamknął teczkę i postawił ją obok siebie, po czym przeciągnął stos kartek ku sobie, odwrócił je w sposób, w jaki pokerzyści umieszczają w talii nowe karty.

– Łukasz Aryndejski...

Sposób, w jaki wypowiedział moje imię i nazwisko, przypomniał mi szkolne lata.

– Nudzi mnie czytanie takich pierdoł jak twoja dotychczasowa kariera w Zonie. Nie każdy zasłużył sobie u nas na kartotekę jako stalkera – ty widniejesz raczej w ogólnym spisie, nie mamy o tobie zbyt wielu informacji. Twoje akta osobiste, które niejako rozślawiłeś przez pięcioletnią odsiadkę, są w tej sytuacji bezużyteczne. Granica między człowiekiem przed, a po przebywaniu w Zonie jest zbyt płynna. Niektórzy po przeżyciu w niej kilku lat zmieniają się tak diametralnie, że nie można poznać ich nawet na dawnych zdjęciach. Pewne rzeczy się jednak nie zmieniają – wiesz, co mam na myśli? Pokręciłem przecząco głową, czując jednak niepokojący ścisk w dołku.

Mikołaj nachylił się do przodu i spojrzał mi prosto w oczy.

– Zona jest anonimowa. Wielu próbuje załapać się na legalny wyjazd, wielu podszywało się pod sławnych stalkerów, żeby uciec z Zony tak, jak ty usiłujesz w tej chwili. Dowiadywało się przez to rzeczy, których nie powinny wiedzieć – jeśli typowy stalker, który trafił do Zony przez swoją głupotę,

podszyje się pod Łowcę i dowiadyuje się przykładowo o działalności Gomeza, my, ośrodek rządowy, mamy przez to poważne problemy. Zweryfikuj się. Tatuaż.

Moje ciało przebiegł silny, niepokojący dreszcz.

-A jeśli ktoś go zobaczy?

Mikołaj wstał z krzesła i stanął po mojej prawej stronie, skutecznie zasłaniając mnie przed większością klientów baru.

-Pokazuj. Widzę w tobie dobry materiał na kogoś, kto miałby się zająć tą sprawą, poza tym słyszałem, że naprawdę ciągnie cię do domu i...

W gniewny i agresywny sposób zacząłem podwijać prawy rękaw swetra. Zatrzymałem się w zgięciu łokcia, rozejrzałem się dookoła chcąc się upewnić, że nikt nie zobaczy tatuażu. W końcu zdobyłem się na odwagę i podwinałem sweter pod same ramię. Poczułem wstyd.

W skórę na moim prawym bicepsie, niczym wypalony przez hodowcę na byczym cielsku symbol, na stałe wryta była czarna swastyka.

Mikołaj spojrział na nią z zaciekawieniem, sprawdził, czy nie jest tymczasowym malunkiem wykonanym na potrzeby mistyfikacji. W końcu dał mi znak, żebym zasłonił tatuaż, co uczyniłem z niewyobrażalną ulgą.

-Nieprzyjemną część mamy z głowy. – odetchnął Mikołaj, zajmując swoje miejsce. – Jak każdy stalker podejmowałeś się pewnie niejednej roboty. Zapytam wprost – zabijałeś na zlecenie?

W głowie przemknęło mi kilka obrazów. Bardzo nieprzyjemnych i teraz, kiedy żywiłem obrzydzenie do Zony, wstydliwych. O tak, miałem bardzo wiele grzechów na sumieniu.

Ten jeden raz będę się musiał po części wyrzec siebie.

-Tak. – odpowiedziałem.

Odpowiedział mi nieprzyjemnym, niepokojącym uśmiechem.

-Nic specjalnego, nic za bardzo trudnego, przynajmniej dla ciebie, a nie wolno ci w to wtajemniczyć nikogo, choćby miał załatwić ci broń. Działasz absolutnie sam.

Umilkł, po czym przybrał wyraz twarzy, jakby przypominał sobie ważne szczegóły, instrukcje, którymi chciałby się ze mną podzie-

lić.

Ostatecznie nie odezwał się słowem – zmielił kartkę z moimi danymi, schował ją do kieszeni, wstał, zasunął za sobą krzesło i podniósł teczkę.

Ruszył do wyjścia. Już miałem zamiar zagrozić mu drogę i narzucić za jego dziwne zachowanie, Mikołaj jednak zatrzymał się tuż obok mnie, położył rękę na ramieniu, po czym nisko nachylił i szepnął do ucha:

-Za dwa dni o drugiej w nocy w szkole muzycznej. Wszystkich.

3

Po wyjściu z baru przeszył mnie wyjątkowo chłodny wiatr, tak mocny, że zgrzytnąłem zębami z zimna. W okolicy nie było śladu Mikołaja – prawdopodobnie oddalił się z obozu samochodem, mógł też zająć do któregoś z pobliskich domów – bardzo możliwe, że miał jeszcze inne sprawy do załatwienia.

Nie dał mi żadnych konkretów. Siedziałem w ciemno – znałem tylko

datę i miejsce, o którym wiem bardzo niewiele, gdyż na przestrzeni lat spędzonych w Zonie starałem się unikać Prypeci. To miejsce mnie przerażało i naprawdę nigdy nie przyszedłby mi do głowy pomysł, by dokładnie przeszukać któryś z tamtejszych budynków. Radioaktywne lasy, podziemia, jaskinie – wszystko to nie stanowiło dla mnie większej przeszkody, Prypeć jednak była dla mnie zbyt dużym wyzwaniem. Wewnętrzny opór nie pozwalał mi przebywać tam zbyt długo.

Teraz jednak nie miałem wyjścia. Moja determinacja, chęć wyrwania się z tego piekła była tak duża, że gotów byłbym nagi i bez żadnej broni udać się do szpitala.

„Piekła”

Zaskoczyłem sam siebie, używając tego określenia. Jeszcze nie tak dawno śmiałem się z ludzi, którzy określali Zonę takim mianem – nazywałem ich tchórzami, ludźmi nie potrafiącymi się przystosować do otaczających ich realiów, nie potrafiącymi wziąć się w garść. Teraz, samemu używając tego określenia, poczułem silny wstyd, ale i ulgę. Choć moja wizja Zony od dzisiejszego poranka

zaczęła się zmieniać i musiałem „dojrzeć” do jej nowego obrazu, ostatnie dziesięć lat życia wydało mi się pewnego rodzaju wegetacją. Cieszyłem się z wizji porzucenia stalkerskiego rzemiosła, opuszczenia Zony; czułem się jak skazaniec po długim, ciężkim wyroku – na pewien czas przymuszony do zmiany swoich poglądów i zachowań, spuszczonego na dno moralności, by przeżyć pewnego rodzaju szok i móc się od tego dna odbić tak wysoko, by znaleźć się na szczycie. To, co jeszcze niedawno uważałem za piękne, cała moja egzystencja w przeciągu ostatnich lat, poczynawszy od znalezienia się w Zonie, z której byłem dumny, teraz zaczęła mnie dołować, wręcz przyprawiała mnie o poczucie winy, moralnego kaca.

Jak mogłem zmarnować taki kawał życia?

Kiedy pewne etyczne i moralne bariery, których odnowę rozpocząłem od początku dzisiejszego dnia, zaczęły pękać i pozwoliły mi na tak diametralną zmianę swojego wnętrza? Który wniosek przyczynił się do zmiany mego nastawienia – od kiedy zacząłem zabijać bez żadnych skrupułów, często w iście ohydny sposób i

dla równie ohydnych celów?

Teraz, z upływem czasu, całkowicie straciłem w tym rachubę, w końcu uświadomiłem sobie, że nie na tym powinienem się skupić – ważne jest, że ta paskudna zmiana zaczęła się odwracać, „odkręcać”, że wracam do poprzedniego stanu ducha.

Zabicie nieznaney mi jeszcze ilości osób w prypeckiej szkole muzycznej.

Jeszcze wczoraj powiedziałbym o tym „Kolejne zadanie, kolejna porcja satysfakcji z jego wykonania i kolejne wynagrodzenie, które pozwoli mi godziwie pożyć do czasu znalezienia następnego zlecenia”.

Dziś mówię „Ostatnie w życiu wyrzeknięcie się siebie i długo oczekiwany koniec tego koszmaru”.

Udałem się do północnej części obozu – w schowanym tam pomiędzy dwoma warsztatami budynku znajdował się mój osobisty sejf, w którym trzymałem wszystko – od broni poprzez artefakty i pieniądze, na osobistych pamiątkach skończywszy.

Zdjęcia.

Byłem pewny, że teraz, w trakcie następującej we mnie przemiany, będę patrzeć na nie z zupełnie innej perspektywy.

4

W budynku było wyczuwalnie cieplej, niż na zewnątrz – była to zasługa stojącego w rogu pokoju parowego grzejnika.

Zamknąłem drzwi i nie odpowiadając na przywitanie Aleksego, bez słowa skręciłem w prawy korytarz. Był wąski na niecałe dwa metry i ciągnął się na ponad dwadzieścia – przejście dalej było zablokowane przez anomalię. Ściany miał pomalowane w kolorze zielono-białym, z podłogi zerwano wszystkie niegdyś zdobiące je płyty linoleum, na suficie zaś ciągnął się długi pas lamp, z których zapalona była obecnie jedna, ta najbliższej anomalii.

Mijałem umieszczone po lewej stronie korytarza drzwi – każde oznaczone były innym numerem i prowadziły do odrębnego magazynu – wszystkie z nich mogły zostać za odpowiednią opłatą wynajęte na dany okres czasu. Osoby, do których tymczasowo

należały mogły korzystać z nich na wszelkie sposoby – trzymać tam swój dobytek, broń, sejfy, sprzęty elektroniczne i tym podobne, a nawet korzystać z pomieszczenia w ramach „pokoju” – przebywać w nim ile się chciało i nocować. Wielu nazywało magazyn Aleksego „drugą Polisią”.

Zatrzymałem się przy drzwiach opatrzonych numerem 10.

Budziły we mnie bardzo nieprzyjemne wspomnienia.

Klucz do nich, który znajdował się w tylnej kieszeni spodni, zdawał się nagle nieprzyjemnie ciężyć, jakby przybrał na wadze cały kilogram. Miałem również wrażenie, że bije od niego fala gorąca, która zaraz dosłownie mnie poparzy.

Jakimś cudem zdołałem wyrwać się z otępienia i uciec od „dzięsiatki”.

Mimo chwiejnego kroku i zawrotów głowy dotarłem do mojego „apartamentu”, magazynu z numerem 15. Włożyłem rękę do kieszeni kurtki i zacząłem szukać odpowiedniego klucza spośród wielu, wypychających kieszeń po brzegi, śmieci. W końcu go znalazłem – stary, lodowato zimny i błyszczący mimo wielu szpecących jego

powierzchnię rys. Wepchnąłem go w zamek drzwi, przekręciłem dwa razy w prawo, wszedłem do środka, po czym rzuciłem go na materac.

Zamknąłem za sobą drzwi i zapaliłem światło, uderzając machinalnie w znajdujący się na wysokości klamki przełącznik.

Nic. W pomieszczeniu nadal było niełudzko ciemno – z chwilą zamknięcia drzwi nie docierało do niego żadne wypełniające korytarz na zewnątrz światło.

Poirytowany uderzyłem w przełącznik jeszcze dwa razy. Nadal żadnego skutku.

Westchnąłem gniewnie, położyłem lewą dłoń na przycisku i zacząłem go non stop wciskać, w górę i w dół, z nadzieją, że żarówka w końcu zaskoczy.

Nie zaskoczyła.

Wściekły grzmotnąłem pięścią w przełącznik.

Żarówka huknęła jak przy krótkim spięciu, rozświetlając na ułamek sekundy pokój mdłym, niebieskim, elektrycznym blaskiem. Zdołałem ujrzeć wewnątrz pokoju i widok ten przeraził mnie tak

bardzo, że zemdlałem.

Był pusty – nie znajdowała się w nim żadna z moich rzeczy, nie było szafy, sejfu, śpiwora i materaca. Ściany pełne były zaschniętych, osobliwie błyszczących w świetle wielkiej iskry, krwawych skrzepów. Na każdej z nich wisało krystalicznie czyste lustro, odbijające w swojej gładkiej tafli ten sam widok, ukazany z różnych perspektyw.

Dokładnie pośrodku trzech luster ze sufitu na grubym, trzeszczącym sznurze zwisały zwłoki – gołe, poznaczone ranami ciała, odwrócone do mnie plecami. Nie zapamiętałem niczego poza wzrostem i kolorem skóry ciała oraz faktu, iż nieszczęśnik miał całkowicie łysą, naznaczoną guzami, głowę.

Z lustra naprzeciwko mnie spoglądało na mnie nienaturalnie białe, przekręcone w pionie w wyrazie agonii i bólu, oko.

Ocknąłem się.

Czułem wewnętrzny strach przed tym, żeby otworzyć oczy. Bałem się czegoś.

Lęk wzmoógł się, kiedy zdałem sobie sprawę, że coś uciska mi

szyję.

Wpijający się w skórę, gruby, cuchnący potem i skrzepłą krwią, sznur. Suchy, twardy jak z drewna bezlitośnie cisnął mi szyję.

Wstrząsnęły mną silne dreszcze. Stałem na czymś niestabilnym.

Zebrałem w sobie dość siły, by w końcu rozszerzyć powieki.

Byłem w śmieszne wąskim... pokoju? Nie mogłem nazwać tego pokojem – pomieszczenie miało niecałe pół metra, przypominało raczej wnętrze rury, pionowego kanału. Panował w nim półmrok rozświetlany przez mdłą poświatę księżyca – nie wiedziałem, jak wpadała do środka, prawdopodobnie jednak za moimi plecami znajdowało się okno lub spora dziura w murze.

Ściany były wilgotne i wiało od nich chłodem, sprawiały wrażenie niesamowitej wilgoci, która parowała z ich powierzchni i czyniła w środku zaduch porównywalny z wnętrzem łaźni parowej. Drobny pył zmieszany z kurzem wisiał w powietrzu, majestatycznie uwydatniany przez światło księżyca.

Te oświetliło również niewielki kołek, na którym stałem. Miał wysokość dziesięciu centymetrów i choć zrobiony z wyglądającego

na solidne, drewna, nie wydawał się zbyt stabilny. Wręcz czułem w stopach, jak powoli próchnieje i zbliża się ku całkowitemu załamaniu pod moim ciężarem, skazując mnie na upokarzającą śmierć. Za wszelką cenę próbował bym oprzeć się końcami butów o podłogę, zapierałbym się rękoma i nogami o tak blisko położone mnie ściany, walcząc o przetrwanie.

W końcu jednak straciłbym siły i powoli się udusił.

Ręce. Nie skrępowano mi ich.

Dramatyzm sytuacji na kilka sekund wyostrzył mi wszystkie zmysły. Myślałem szybciej, niż kiedykolwiek. Kołek zaczął głośno trzeszczeć, początek mojej śmierci był bliski.

Po omacku wyrwałem z zapiętej na udzie kabury nóż i machnąłem nim w stronę sznura, z którego zwisałem.

Moją twarz oblała rzadka, oleista ciecz, cały jej strumień wylał się na mnie, jak z przechylonego gwałtownie wiadra.

Spadając w dół, znów czując, że tracę przytomność lub wchodzę w następną fazę traumy, o ile wszystko było to koszmarnym snem, ujrzałem drobny, biały kwadrat w górze. Kawałek nieba

widoczny u wylotu tego wąskiego pomieszczenia.

Stały nad nim trzy osoby – trzy owalne głowy były nisko pochylone w dół i najwidoczniej bacznie mnie obserwowały.

5

Pianino.

Ktoś grał na pianinie.

W młodości interesowałem się muzyką klasyczną, pianino zaś było moim ulubionym instrumentem – jeździłem po kraju na rozmaite koncerty, miałem półki pełne płyt z muzyką Chopina, Mozarta i innych mistrzów światowej sławy. Znałem się na tym, miałem na koncie nawet trzy artykuły pewnym specjalistycznym, zajmującym się muzyką poważną, piśmie.

Osoba, która zbudziła mnie uderzeniem w klawisze instrumentu, była niewątpliwie wielkim wirtuozem. Piękno gry, jaką tworzył, docierało do mnie stopniowo – taką miałem „muzyczną duszę”,

niejednokrotnie musiałem usłyszeć coś kilkanaście razy, by móc to docenić, tak było też tym razem – muzyka stawiała się piękniejsza z sekundy na sekundę, wprawiała mnie stopniowe w jakieś duchowe uniesienie.

Zdając sobie sprawę z tego, że leżę na podłodze, wciąż nie otwierając oczu, dźwignąłem się na lewym ramieniu.

Kiedy pianista wykonał pauzę, przetarłem oczy, otworzyłem je i rozejrzałem się dookoła.

Księżyc musiał być skryty za chmurami, gdyż znajdowałem się w absolutnej w ciemności – czern była nieprzenikniona aż do framug pokoju, z którego na korytarz, jak się okazało, wąski na jakieś trzy metry, wylewało się mdłe światło. Ogień – w pokoju tym musiało się coś palić.

Miałem wrażenie, że to z tego pokoju rozgrywała się cudowna gra na pianinie.

Zdałem sobie sprawę, że jestem w szkole muzycznej. Nawet nie próbowałem dociec, jakim cudem się w niej znalazłem, jak się domyślałem, dokładnie o drugiej w nocy zaraz po tym, jak

zemdlałem w wynajętym przeze mnie magazynie.

Coś we mnie pękło. Jak zahipnotyzowany czarodziejską melodią, wstałem i machinalnie sięgnąłem lewą ręką za plecy, wymacałem kolbę broni, później pas nośny – chwilę później trzymałem skróconego SIG'a w rękach. Nie obchodziło mnie, jak znalazł się na moich plecach ani czy jest chociażby załadowany – panowało we mnie jakieś przeświadczenie, potężna, wciąż nie odkryta przez moją świadomość pewność, która kierowała mnie niczym nadnaturalne moce kierowały ciałem opętanego.

A jeśli byłem opętany?

Stąpałem powoli, wbrew własnej woli – czułem, że jedyne, nad czym mam teraz panowanie, to wczuwanie się w wypełniającą pachnący pleśnią i kurzem korytarz, muzykę. Zdawała się trzymać mnie w ostatnich ryzach zdrowych zmysłów, działając niczym ostatnia lina asekuracyjna podczas długiego upadku w dół. Gdybym nie mógł skupić się na pięknie tejże muzyki, tajemnicza siła, która właśnie mną kierowała pozbawiłaby mnie wszelkiej świadomości. Byłbym jak zombie.

Zbliżyłem się do przejścia w lewo i przywarłem doń, nasłuchując. Trzaski ognia, płonących w ich gałęzi i wyskakujących na zewnątrz iskiek. Co dziwne, muzyka nie była głośniejsza, jakby miała swoje źródło gdzie indziej; mogłem się też wczuć w nią tak bardzo, że niektóre granice jej odczuwania uległy zatarciu. Brzmiała bezpośrednio w mojej głowie.

Odkleiłem się od ściany i susem wpadłem do środka. Gdyby nie to, że nie panowałem nad swoim ciałem, byłem jedynie „obserwatorem samego siebie”, krzyknąłbym z przerażenia.

Przy prawej ścianie starej szkolnej klasy rzędem stało około sześciu mężczyzn – wszyscy mieli związane ręce za plecami, nogi rozstawione szeroko, czoła zaś bezwładnie oparte, niemal wbite w ścianę, jakby stali w takiej pozycji od dłuższego czasu. Wyglądali jak jeńcy czekający na rozstrzelanie.

Z lewej, na środku całego pomieszczenia, znajdowało się stare, spróchniałe, pozbawione wierzchniej pokrywy pianino przy którym siedział tajemniczy wirtuoz, który wręcz przywołał mnie do siebie swoją muzyką. Siedział bokiem do mnie, na zniszczonym

obrotowym krzeselku, ubrany w skórzaną, czarną kurtkę z wysokim kołnierzem i powycierane, brązowe sztruksy. Widziałem jego prawy profil – grubo ciosaną twarz, płaski podbródek, zarośnięte krótkim, sztywnym, siwym włosiem policzki, wysokie czoło i zaczerwienione oko ze spuchniętą powieką. Niewątpliwie wkładał w grę całą swoją duszę, całkowicie się dla niej poświęcał; mimo to zdawał się być zmęczony i zniechęcony, niczym robotnik po wielogodzinnej harówce bez ani minuty na odsapnięcie.

Cała ta sytuacja mnie przerosła – omamy i nagłe utraty przytomności, koszmarny sen i niespodziewane znalezienie się w szkole muzycznej, fakt iż poruszałem się mimo woli i znalazłem się w tak niesamowitej sytuacji; obok ludzi czekających niewątpliwie na śmierć, którym przygrywał niezwykle utalentowany pianista sprawił, że coś we mnie pękło, zerwałem ostatnie więzy łączące mnie ze zdrowymi zmysłami i normalnością.

Moja dusza została zdegradowana. Najbardziej bolało mnie jednak to, iż nie wiedziałem dlaczego ani z jakich konkretnych przyczyn – co symbolizował wisielec otoczony przez lustra, ja

bliski takiej samej śmierci w wąskim pokoju, niemalże kominie, obserwowany z góry przez nieznajomych... ludzi? Dlaczego Zona przyszykowała dla mnie wszystkie swoje największe wynaturzenia, postanowiła „obdarować” mnie nimi akurat w dniu, w którym postanowiłem ją opuścić? Mściła się? Za to, że ją znienawidziłem, że dałem Jej poczucie, iż jestem Jej własnością by następnie spróbować z Niej uciec? Zdradziłem Ją?

Moja rozważania ustały w chwili, w której nacisnąłem spust karabinu – nawet nie zauważyłem momentu, w którym wycelowałem w rząd stojących pod ścianą stalkerów. Kanonada, która się rozległa była ogłuszająca, a jej odbijane przez wąskie ściany echo dosłownie wstrząsało moimi wewnętrznymi organami, mimo to muzyka pianisty była wciąż słyszalna, co dziwne, dopiero teraz jej piękno zdawało się rozkwitnąć w pełni.

Dźwięki były czystsze i lepiej słyszalne, każda nuta przybliżała mnie do ekstazy, cała melodia zaś przerażająco wpasowywała się w masakrę, której byłem sprawcą – czas zdawał się zwolnić, by móc uwydatnić i podkreślić każdy pojedynczy wystrzał,

stukot każdej z łusek, mdlący odgłos kuli wrzynającej się w ciało, łomot opadających, zalanych krwią zwłok nieznajomych, którzy osuwali się po zabryzganej juchą ścianie jeden po drugim. Trwała okropna symfonia, przerażające połączenie muzyki z mordem, które uzupełniały się wzajemnie i zdawały się tworzyć jedną, nierozłączną całość. Powoli rosło we mnie poczucie ulgi, z każdym zabitym nieznajomym, zgodnie z poleceniem Mikołaja swoją drogą, zbliżałem się do ostatniego samo upokorzenia siebie, tego, po którym miał dla mnie nastąpić nowy etap w życiu.

Ostatni z milczących skazańców padł martwy. Wnętrze wypełniło się dymem, tynkiem i zapachem prochu. Ogień pięknie podkreślał długie, tłuste smugi dymu i wzbity w powietrze kurz. Nagle poczułem, że odzyskuję nad sobą kontrolę. Muzyka przestawała mnie hipnotyzować, a jedynie zachwycać, zacząłem odczuwać wszystkie mięśnie i kończyny, słuch znów sprawiał wrażenie przestrzennego i zależnego od bliskości źródła dźwięków; muzyka brzmiała tuż obok mnie, nie w mym samym. Wykonując pierwszy od kilku minut, w pełni świadomy ruch, odwróciłem się za plecy.

Nieznajomy grał dalej, jak gdyby nigdy nic.

„Wszystkich”.

Ostatkiem sił wycelowałem w pianistę i nacisnąłem spust. Zamiast huku wystrzału rozległ się nikły trzask iglicy, na równi z wydaniem przez wirtuoza dźwięku, który zepsuł całą harmonijną kompozycję granej do tej pory melodii – uderzył w ostatni klawisz po lewej, wydając złowieszczą, przejmującą nutę, której echo zdawało się nieść bez końca. Przerwał.

Zerwał się z krzesła, podbiegł do mnie i uderzył w brzuch.

Nie widziałem, aby trzymał coś w ręku, mimo to ból był tak wielki, jakby ugodzono mnie haczykowatym, postrzępionym ostrzem potrafiącym zahaczyć o jelita.

Na zewnątrz rozległ się potężny grzmot, któremu towarzyszyła eksplozja zielonawego światła. Zbliżało się Zwarcie.

Drugi cios sięgnął mnie pod lewą pachę, trzeci i ostatni roztrzaskał mi prawe biodro. Tracąc dech, nie mając siły na nic ponad spazmatyczne jęki i sapania, osunąłem się na dół. Na zewnątrz błyskało już w wszystkich tak bardzo przywodzących

na myśl Zwarcie kolorach – purpurze, czerwieni, mdłym błękicie. Zostałem uderzony gołą pięścią, a czułem, że umieram. Czułem się tym niezwykle upokorzony. Pozbawiony życia, kiedy te zaczęło zapowiadać jakąś zmianę, dawało o sobie znać, że jest w nim coś więcej, niż do tej pory mi się zdawało. Zdołałem jedynie liznąć Prawdy na jego temat – nie zdążyłem odkryć jej nawet w najmniejszym stopniu, jedynie zdać sobie sprawę z jej istnienia. Ogrom gorejącej we mnie z tego powodu rozpacz przyspieszył mój zgon, zniszczył we mnie jakąkolwiek wolę walki, uświadomił wielkość klęski, jaką właśnie poniosłem. Chłód ogarnął całe moje ciało, podobnie jak ciemności, które przysłoniły obserwującą mnie na tle sufitu szkoły twarz nieznajomego.

Przez pięć sekund słyszałem jeszcze milknące echo emisji, później nie było już niczego.

Zdążyłem zdać sobie sprawę, że ostateczną formą wyzwolenia jest śmierć. Gdybym był tego świadom wcześniej, przywitałbym ją z otwartymi ramionami.

Kolejne opowiadanie

1

– Daj no jednego. – rzucił Mikołaj

Leon sięgnął do kieszeni kombinezonu, wyjął paczkę LM'ów, wyciągnął jednego papierosa i podał go Mikołajowi. Sam wsadził sobie jednego w usta, wyjął zapalniczkę, zapalił ją, po czym zaciągnął się i wypuścił dym z ust.

Siedzieli we dwójkę na przystanku autobusowym, niedaleko złomowiska. Zachował się całkiem nieźle – poza tym, że cały zarzewiał i miał sporą dziurę w dachu. Mikołaj siedział na starym fotelu, opierając nogi o głaz, zaś Leon leżał na ławce z założonymi na głowie rękoma.

Obaj, paląc, myśleli jak wrócić do obozu. Na zewnątrz padał ulewny deszcz, którego krople głośno bębniły o blaszany dach przystanku.

– Idę sprawdzić, czy nikt się nie zbliża – rzekł Leon, podnosząc się z ławki.

Wyjął lornetkę, narzucił na głowę kaptur zielonego kombinezo-

nu i wychylił się spod dachu. Zmrużył oczy, po czym przyłożył lornetkę do oczu i zaczął się rozglądać.

– Może zadzwonimy po wojsko? – zapytał Mikołaj.

– Nie ma mowy – odparł Leon, dalej obserwując. – Wybierz sobie wojsko z głowy – dodał.

Mikołaj westchnął, zaciągnął się jeszcze raz papierosem i wyrzucił jego niedopałek do pobliskiej kałuży. Usiadł na ławce i zamknął oczy. Był strasznie zmęczony, marzył o długim, twardym śnie w wygodnym łóżku. Po chwili już chrapał.

– Wstawaj do cholery! – krzyknął Leon, potrząsając Mikołajem
– Obudź się!

W końcu obudził przyjaciela – przetarł on oczy i wybałuszył oczy.

– Czego?! – spytał głośno.

– John F. tu idzie! Spadamy stąd!

John F. – Finn. „Rambo” – nazywał go czasem Leon. Brzmiało to śmiesznie, ale żaden inny pseudonim nie pasował do osoby, która zbliżała się w kierunku przystanku. Jeden z najsławniejszych stalkerów w Zonie, znany z rozgramiania sporych oddziałów, we-

dług niektórych, armii, w pojedynkę. Kilka opowieści mówiło, że posiada on pewien artefakt, który czyni go nieśmiertelnym.

Prawie nikt w to nie wierzył, ale jak wytłumaczyć niejedną wojсковą eskapadę zniszczoną przez samego Johna?

Mikołaj nieomal zemdlął ze strachu. John posiadał opinię najlepszego płatnego mordercy w Zonie.

A wielu ludzi miało by w interesie śmierć Leona, jak i jego przyjaciela. Mikołaj stanął na równe nogi, niczym wystrzelony, wyciągnął z plecaka AK-74SU i załadował go.

– Zwiewajmy. Nie mamy z nim szans – rzekł.

– Święte słowa – Leon podniósł z ziemi swego M14 i wychylił się zza przystanku.

– I co? – spytał Mikołaj.

Leon uciszył go machnięciem ręki i z karabinem gotowym do strzału, rozglądał się dalej. Nagle w blaszanej ścianie rozkwitła mała dziurka – zapewne od pocisku. Kawałek blachy wbił się Leonowi w rękę. Zawył i równocześnie z Mikołajem padł na ziemię.

– Kurwa! – zaklął, wpatrując się przerażonym spojrzeniem w

wystającą z nadgarstka blaszkę.

Chwilę później dobiegło ich echo wystrzału.

– Uciekamy! – wrzasnął Leon i podniósł się z ziemi.

Deszcz przybrał na sile, po chwili rozległ się głośny grzmot, a okolicę rozświetliła błyskawica. – Wynośmy się stąd w cholerę!

Obydwaj wybiegli spod daszku i od razu poculi ciężkie krople, uderzające w kombinezony. Pierwszy biegł Leon, (miał lepszą kondycję) zaś jego kolega trzymał się tuż za nim. Przeskoczyli wyłamane drzwi samochodu, oparte o kilka brązowych rur, po czym przyśpieszyli. Z metru na metr biegło im się coraz gorzej – głównie za sprawą coraz nieprzyjemniejszego deszczu.

Mikołajowi zakręciło się w głowie, zawahał się po czym z łomotem upadł na ziemię – Leon usłyszawszy to, odwrócił się przez plecy, kucnął przy stalkerze i próbował go ocucić.

– Dalej! – krzyknął z rozpaczą, po czym spoliczkował

nieprzytomnego Mikołaja. – Wstawaj!

Nad Leonem z charakterystycznym świstem przeleciał kolejny pocisk. Uderzył Mikołaja w twarz raz jeszcze i zniżył głowę, co ura-

towało ją przed trafieniem.

– Obudź się! – ryknął.

2

Wychodząc z samochodu nałożyłem kaptur, gdyż ciągle padało. Zatrzasnąłem drzwiczki i zamknąłem je na klucz. Deszcz był tak gęsty, że ograniczał widoczność, przez co poruszałem się niemal po omacku. Z kapturem na głowie i rękoma w kieszeni, ruszyłem w stronę budynku.

Znajdowałem się na wschodnie Prypeci i miałem zamiar dostać się do starej, opuszczonej szkoły podstawowej.

Przez strugi deszczu widziałem niewiele, jedynie zardzewiałe drabinki i karuzele – pozostałości po okolicznym placu zabaw. Natknąłem się na wysoki mur – przez chwilę poruszałem się wzdłuż niego. Był on pokryty spłowiałym graffiti, przedstawiającym gitarę w czyichś rękach, lecz twarz i tułów gitarzysty były nie do rozpoznania – znikły, pozostawiając jedynie wypłowiały cień nie-

gdyś pięknego dzieła. Idąc wzdłuż muru, co chwilę nerwowo oglądałem się na wszystkie strony – dostrzegałem kontury okolicznych bloków mieszkalnych oraz kilku wieżowców.

Zatrzymałem się przy poddaszu szkoły – cały budynek miał kształt prostokąta i był długi na około 20 metrów. Drzwi, niegdyś zielone, teraz miały szary kolor i obłaziło z resztek farby. Dzwonek do drzwi rozmontowano, wraz ze wszystkimi oknami szkoły – zostały po nich jedynie dziury nieprzeniknionej ciemności. Po dwie z nich szpeciły lewą i prawą stronę budynku.

Wyjąłem pistolet – przerobionego Colta M1911A1, załadowałem go i przełożyłem do prawej ręki. Lewą sformowałem w pięść i załomotałem w drzwi trzy razy.

– Otwierać! – krzyknąłem – Służby specjalne!

Usłyszałem kroki. Szybkie, acz krótkie, których echo rozbrzmiewało w wąskim korytarzu przede mną. Przystawiłem ucho do drzwi i nasłuchiwałem – kroki stały się głośniejsze. Na wszelki wypadek odsunąłem się na bok, jednak wciąż przytrzymując ucho przy drzwiach. Miałem szczęście, że dźwięk deszczu nie był tu tak

uciażliwy, inaczej niczego bym nie usłyszał. Po chwili nieznajomy za drzwiami się zatrzymał.

– Kto tam?! – krzyknął.

Nabrałem powietrza w płuca i odrzekłem:

– Służby specjalne! Ot...

Nie dokończyłem, bo drzwi rozłamały się w pół i ze stukotem opadły o betonowy ganek. Przez dźwięk latających drzazg dobiegło mnie echo strzału – wydawało mi się, że była to strzelba. Upadając na ziemię, przekląłem szpetnie, a kiedy w uszach przestało mi dzwonić wstałem, wychyliłem Colta zza zniszczonych drzwi i strzeliłem pięć razy na oślep.

Nacisnąłem przycisk przy spuście i magazynek wyskoczył z broni, odbijając się kilkakrotnie od podłoża.

Z kieszeni wyjąłem kolejny i wsunąłem go do pistoletu, po czym nacisnąłem przycisk, który spowodował, że zamek broni wrócił na miejsce – kiedy to nastąpiło, naciągnąłem kurek.

Wszedłem szybko po środka szkoły, trzymając broń wysoko, gotową do strzału.

Przedemną ciągnął się wąski, czterometrowy korytarz, w którym unosił się spalony proch, jak i jego duszący zapach. Każdy mój krok wzniewał tumany kurzu i ocierał porozbijane szła z szarą podłogą. Ściany i sufit korytarza były równie szare, lecz gdzieś gdzie można było dostrzec resztki beżowej farby. Podłogę ścieliły pozostałości po wyposażeniu szkoły – próbówki, książki, kawałki tablic i desek.

Metr przede mną, na lewo znajdowało się przejście do pomieszczenia – pośrodku framugi leżała klamka. Przyległem do lewej ściany i wzdłuż niej, powoli, zbliżałem się do najbliższego pokoju. Kiedy od wejścia dzieliło mnie około pół metra, usłyszałem wystrzał i dźwięk kuli wbijającej się w gips. Obok mojej głowy rozprysła chmura tynku i białego pyłu – przez całe to zamieszanie broń wypadła mi z ręki.

Jęcząc, zacząłem panicznie przecierać oczy, próbując pozbyć się drażniących białych drobinek.

Kiedy przestały mnie piekielnie piec i odzyskałem ostrość widzenia, schyliłem się po broń. W tym momencie padł kolejny strzał,

który przewiercił się przez ścianę i utkwiał w moim lewym łokciu. Wrzasnąłem głośno, zalewając mym wraskiem całą szkołę i osunąłem się na kolana.

Usłyszałem, że ze strony pokoju ktoś się zbliża.

Zza rogu wychylił się mężczyzna, około trzydziestki, łysy, o smukłej głowie i łagodnych rysach. Zadziwiły mnie jego oczy – całkowicie białe, bez siatkówki i źrenicy – samo białko, niczym jajko obrane ze skorupy.

– Witaj – rzekł mężczyzna ochrypłym głosem. – Witaj, Alex.

Skąd on znał moje imię?

Mężczyzna wyszedł zza framugi, ukazując swój strój.

Był ubrany w garnitur.

Beżowy garnitur i spodnie, bez krawatu. Garnitur był rozpięty, luźno narzucony i odsłaniał niebieską koszulę, na którą go nałożono. Nosił czarne, wypucowane mokasyny. Nieznany człowiek ruszył w moją stronę – o dziwo, poruszając się, nie czynił żadnego hałasu – nawet drobina kurzu nie drgnęła, kiedy podeszwy jego obuwia stąpały o podłogę.

– Myślałeś, że pójdziesz dalej i poznasz tajemnice tego miejsca? Że Nasz trud pójdzie na marne? Że rozbijesz naszą grupę? Nic o niej nie wiesz – i tym lepiej dla Ciebie. Może, kiedyś... trzeba dokonać czegoś naprawdę wielkiego, aby się tutaj dostać. Na razie, jeśli będziesz dalej próbował, czeka Cię to... – rzekł, po czym podniósł lewą rękę.

Mój Colt wzniósł się w powietrze. Jego lufa skierowała się w stronę sufitu, po czym broń wypaliła siedem razy, opróżniając cały magazynek. Huk strzału mnie zdezorientował i po chwili ujrzałem najbardziej niesamowitą rzecz, jaką było mi kiedykolwiek widzieć. Wszystkie siedem pocisków unosiło się bez ruchu w powietrzu.

– Wyciągnij dłoń, przyjacielu – poprosił nieznajomy.

Mimo woli, oszołomiony całą sytuacją, usłuchałem. Jeden z pocisków pofrunął w moją wprost na mnie i dotknął serdecznego palca. Pocisk był gorący i instynktownie cofnąłem rękę.

– Wynoś się i nigdy nie wracaj! – wrzasnął mężczyzna.

Nagle jego oczy jakby wywróciły się do góry nogami, powoli odsłaniając czerwone okręgi na białkach gałek ocznych. Były dosłownie

krwiste i widok ten przeraził mnie do szpiku kości. Pozostałe sześć pocisków z niesamowitą prędkością wbiły się w ścianę, o którą byłem oparty i każdy z nich, z hukiem przebiły ją na wylot. Cały byłem obsypany tynkiem.

– Wynocha! – powtórzył – Następnym razem zabiję Ciebie i wszystkich twoich przyjaciół!

Poczułem ból w klatce piersiowej i mimowolnie zamknąłem oczy. Zemdlałem...

Kiedy odzyskałem przytomność, siedziałem w samochodzie. Deszcz padał zauważalnie mocniej, a wraz z nim grad.

Podniosłem wzrok w kierunku budynku. Szkoła zniknęła, a na jej miejscu znajdowało się 5-cio metrowe drzewo.

Mikołaj otworzył oczy.

Leon, przemoknięty do suchej nitki, wrzeszczał ze wszystkich sił. Półprzytomny Mikołaj prawie w ogóle go nie słyszał, lecz z uchu ust wyczytał „Wstawaj!”.

Przed omdleniem (choć nawet tego nie był pewien) nie poczuł niczego, co by to zapowiadało – zawirowania w głowie, charakte-

rystycznego szumu w uszach ani czarnych plam przed oczyma. Po prostu padł jak trup, chociaż chwilę przed upadkiem wydawało mu się, że na 2 sekundy stracił równowagę, zataczając się na lewo i prawo.

W jego głowie pojawił się obraz – para ludzkich oczu z czerwonymi nań okręgami.

Widok ten przeraził go do głębi, ale sprawił też, że Mikołaj poderwał się na równe nogi niczym wystrzelony z procy. Leona zamurowało – wpatrywał się w przyjaciela z szeroko rozwartymi ustami, a zaraz potem krzyknął :

– Szybciej!

Znowu poderwał się do biegu, Mikołaj zawtórował mu i po chwili we dwoje, metr od siebie, biegli na południe.

Wciąż znajdowali się na wysypisku – wbiegli w jego część, gdzie wszędzie rosła niska trawa, która tonęła w kolorze brązowej ziemi, szczególnie widocznej o tej porze roku. Deszcz nieco zelżał, ale wciąż utrudniał poruszanie się.

John F. nie odpuszczał – gonił dwójkę stalkerów i był pewny, że

ich zaraz dopadnie.

Dawno zarzucił swego SVD na plecy i biegł teraz z rewolwerem Colt Pyton – nie miał zamiaru marnować amunicji strzałami z daleka, lecz z pewnej odległości wykończyć uciekinierów.

Wygrzebał z kieszeni artefakt, który „poprawiał kondycję” – tak skromnie opisano mu go w momencie zakupu – John chciał oszczędzić sobie specjalistycznego, medycznego żargonu.

Artefakt zadziałał od razu – dzięki czemu Finn przyspieszył gwałtownie i był coraz bliżej swych przyszłych ofiar.

3

Mikołaj z Leonem zobaczyli zardzewiały, stary szkolny autobus – nie miał okien, kół ani dachu – wśród deszczu dało się spostrzec kontury siedzeń i wypłówiały napis „Autobus Szkolny” na boku pojazdu, napisany w języku ukraińskim. Z obu stron – Leon z lewej a Mikołaj z prawej schowali się za stary wehikuł, ślizgając butami po błocie. Leon upadł na plecy, niemal słysząc jakiś trzask

w okolicy lewego przedramienia, przy okazji przypominając sobie o ranie w nadgarstku. Poczuł silny ból, jednak przemógł go i szybko oparł się na autobusie, tuż przy Mikołaju.

– Już po nas. – rzekł bezradnie. – Nawet siedząc w czołgu nie mielibyśmy z nim szans.

– Przestań pier... – urwał, bo nad uchem jego i Leona ktoś wystrzelił z karabinu. Obaj skulili się ze strachu, zaciskając uszy z całej siły.

John ujrzał Mikołaja i Leona wbiegającego za autobus.

„No to po was, koledzy” – pomyślał z ironicznym uśmieszkiem.

Na wszelki wypadek sprawdził bębenek Colta – po upewnieniu się, że jest pełny, zaczął szybko zbliżać się do autobusu. Deszcz nasilił się niespodziewanie, szybko i gwałtownie – krople zgrubiały dwukrotnie, a wraz z nimi zaczęło padać coś, co dla Johna było mniej prawdopodobne niż deszcz żab.

Grad, chociaż małej wielkości, był widoczny, tworząc coś w rodzaju białego potoku. Mimo ogromnego zdziwienia, John ruszył dalej, nie chlupocząc już w błocie, lecz krusząc białe lodowe kul-

ki. Będąc co najwyżej 10 metrów od autobusu, ujrzał znad jego dachu jasny błysk.

Przez sekundę w głowie przemknęła mu myśl „Jak mogłem go nie zauważyć?!”

Po tej krótkiej chwili John poczuł silny ból okolicy brzucha, chwilę później upadł na ziemię. Nadeszła kolejna myśl.

„Nie wiem skąd urwał się ten kretyn, ale najwyraźniej nie wie, kim jestem.”

Postanowił poczekać na odejście człowieka, który właśnie dokonał próżnej próby zabicia go. Obawiał się, że jeśli wstanie, to wybawca Mikołaja i Leona nafaszeruje go taką ilością ołowiu, że nie będzie w stanie podnieść się na równe nogi. John słyszał głos trzech mężczyzn – rozpoznał z nich Leona wraz z przyjacielem, lecz głosu trzeciej osoby, tajemniczego wybawcy, nie znał.

Odczekał pięć minut.

Grad ustąpił miejsca deszczu, który wyraźnie zelżał.

Zaczęło się przejaśniać, wiatr ustał, a czarne chmury zniknęły.

John był pewien, że póki co jest bezpieczny. Podniósł się z po-

krytej błotem trawy i usiadł. Westchnął ciężko po czym sięgnął prawą ręką do plecaka.

– Ci idioci nie wiedzą, z kim mają do czynienia. Nie doceniają mnie. Ten pajac chciał mi chyba tylko zrobić dziurę w kombinezonie. – Finn był wyraźnie zdenerwowany, niemal wściekły.

Wyjął artefakt zwany „Duszą” – położył go obok lewej nogi i rozpiął kombinezon, aby obejrzeć ranę. Będąc w białym (nie licząc czerwonej plamy na lewej piersi) podkoszulku, podwinął go i zobaczył miejsce trafienia w całej ‘okazałości’, mimo że dla Johna była mniej uciążliwa niż łaskotki – wtedy chociaż chichocze, a teraz jedyną szkodą będzie dziurawe odzienie.

Rana nie odbiegała zbyt swym wyglądem od powszechnie znanych opisów – dziura, a raczej dziurka była małej wielkości, z której środka powoli sączyła się krew.

„Żałosne!” – pomyślał John. Podniósł Duszę lewą ręką i zacisnął ją, aby zadziałała jak najszybciej. Stało się tak od razu – rana zmniejszała się błyskawicznie, z sekundy na sekundę, dosłownie

nikła w oczach.

Chwilę później, po trafieniu będącym dla normalnego człowieka śmiertelnym, została tylko plama krzepnącej krwi.

– Jeszcze was dorwę... – sapnął – Mieliście szczęście. Ale nie na długo.

John schował Duszę do plecaka, zarzucił kombinezon z powrotem na siebie i lekkim truchtem ruszył do swego mieszkania w Prypeci. Wbrew pozorom, można było się tam nieźle urządzić.

Ile czasu gapiałem się na to drzewo? Pięć minut? Dwadzieścia? Pewnie o wiele dłużej, ale trudno było mi się dziwić – do cholery, właśnie byłem świadkiem zniknięcia budynku szkoły i zastąpienia go przez drzewo. Może wyobraziłem sobie to wszystko? Ale na podstawie czego miałbym sobie wyobrażać mężczyznę w garniturze, do tego stuprocentowo białymi oczyma, na które nasuwały się czerwone, świecące okręgi? Podobno sny i różne wizje wybiera się mimo woli, ale na podstawie tego, co się widziało. A mogłem się założyć się o głowę, że do tej chwili nie miałem o tym miejscu ani jednego wspomnienia.

Po tych rozmyślaniach dotarł do mnie fakt, że właśnie zaczął padać grad – w tym miesiącu prędzej spodziewałbym się czterdziesto stopniowego upału. Najpierw jakiś facet z „nietypowymi” oczyma i ubiorem, potem zamiana szkoły w drzewo, a teraz grad. Zdecydowanie najdziwniejszy dzień w moim życiu.

Najwyższy czas pojechać do obozu.

Spojrzałem na deskę rozdzielczą – elektroniczny zegarek wskazywał 18:24, zatem niedługo się ściemni, a nie miałem zamiaru nocować w Prypeci.

Kluczyki były w stacyjce – przekręciłem je dwa razy, zanim silnik zapalił. Zwolniłem hamulec ręczny, wrzuciłem wsteczny bieg i wyjechałem spod drzewa. Jeszcze trochę kręcenia kierownicą i ruszyłem na drogę prowadzącą bezpośrednio do obozu. Komu opowiem całą tę historię? Na pewno nie dowódcy, który wyśmiałby mnie i wywalił z roboty. Chyba jedynym człowiekiem, jakiemu mogłem zaufać, był Leon – stalker, który nieoficjalnie należał do tutejszych służb – miał w nich wielu znajomych, a z racji niesionej pomocy był w obozie zawsze mile widzianym gościem. Praktycz-

nie, przesiadywał w nim dzień w dzień. Miałem przecucie, że i dziś go w nim zastanę – opowiem mu o wszystkim w barze, przy dobrym, zimnym piwie.

Deszcz wraz z gradem dudniły w dach samochodu, przy okazji pogarszając widoczność.

Gdyby nie wycieraczki, jechałbym z głową wystawioną przez okno.

Mając pięćdziesiątkę na liczniku skręciłem w lewo, przy supermarkecie.

Gdyby nie szczęśliwy fart, potrąciłbym człowieka.

Wysoki mężczyzna w zielonym kombinezonie, z nałożonym kapturem i małym plecakiem przebiegł tuż przed maską Hondy – reflektory oświetliły go na chwilę, lecz nie dostrzegłem niczego niezwykłego.

Niemal czułem, jak otarł się o zderzak auta.

Jakimś cudem nie postąpiłem w tej sytuacji jak wielu ludzi i nie zjechałem gwałtownie z drogi, przy okazji unikając czołowego zderzenia z blokiem. Wykonałem skręt jak gdyby nigdy nic, jednak

omal nie dostałem zawału i musiałem się zatrzymać, aby odsapnąć.

Dyszając ciężko, myślałem, co samotny (prawdopodobnie stalker) robił w centrum Prypeci. Każdy, kto jest normalny, powinien o tej porze z niej uciekać, a nie biec w samo centrum.

Nie mogłem się doczekać powrotu do bazy – musiałem w końcu odpocząć – na dziś miałem dość tych wszystkich, delikatnie powiedziawszy, nietypowych zdarzeń.

4

Leon i Mikołaj jechali wojskowym dżipem prostu do bazy – nieoficjalnie była to siedziba wszystkich ważniejszych pracowników urzędu bezpieczeństwa w całej Zonie. W wehikule oprócz dwóch stalkerów znajdował się ich wybawca – Mick, który prowadził.

– Jeszcze raz dzięki. – Mikołaj poklepał Micka po ramieniu.

– Nie ma za co. – odpowiedział z uśmiechem – A tak w ogóle, to kim on był?

Leon i Mikołaj wybuchli śmiechem.

– A wy z czego? – zapytał kierowca.

Dialog podjął Leon.

– Nie „był” lecz „jest” – powiedział. – Właśnie zostałeś kolejną osobą, która myślała, że uśmierciła Johna F.

Adam, jeden z bardziej znanych miejscowych handlarzy, siedział w swojej przyczepie postawionej aktualnie w tunelu kolejowym na terenie opuszczonej bazy wojskowej.

Przyczepa miała 10 metrów długości i 5 szerokości i z zewnątrz wyglądała niezbyt zachęcająco.

Była białego koloru, jednak większość farby odpadła i wypłowiała. Po jej lewej stronie wbudowane zostały dwa małe okienka, pomiędzy którymi znajdowały się drzwiczki wejściowe. Adam zamykał je z obu stron na stalową, antywłamaniową kłódkę – fabryczny zamek został zniszczony przez złodziei 3 dni po zakupie.

Koła zdemontował znajomy Adama – przyczepa była teraz oparta o kilka cegieł, aby nie przechylała się w pionie.

Wnętrze prezentowało się o wiele okazalej – można było o nim

powiedzieć, że jest wręcz eleganckie.

Sufit i ścianę obito miękką, jasnobieżową tkaniną, a całą podłogę pokrywał czysty i zadbane czerwony dywan – przy drzwiach położono na nim czarną wycieraczkę.

Tuż przy drzwiczkach wejściowych stał drewniany wieszak w kolorze ciemnego dębu, na którym wisiał czarny, sięgający butów płaszcz oraz ciemnozielona, wełniana czapka.

Dwa metry na lewo od wyjścia postawiono mały aneks kuchenny, którego powierzchnię stanowił granit – nad aneksem wisiała blaszana szafka z talerzami i szklankami – pół metra na prawo zamontowano błyszczący zlew, pobierający wodę ze zbiornika pod przyczepą. Wszystkie sztucce Adam trzymał w małej szufladce na skraju przyczepy. Na jej końcu, na całej jej szerokości postawiono rozsuwaną, lekko wytartą, lecz ciągle dobrze utrzymaną kanapę w kolorze niebieskim.

Na drugim skraju obecnego mieszkania Handlarza przytwierdzono do podłogi ubikację oraz wannę – nad nimi, w suficie, powbijano haki, z których zwisała syntetyczna zasłona.

Adam siedział na kanapie, ubrany w biały podkoszulek, lekkie białe spodnie i czarne skarpetki. 20-to calowy telewizor stał na podłodze, gdyż stół był w naprawie.

Telewizor był włączony na ukraiński kanał informacyjny nadający 24 godziny na dobę. Prezenter – wysoki i młody Latynos o czarnych włosach – opowiadał o wyniku jakiegoś meczu. Kiedy skończył, zapowiedział najbliższą relację na żywo.

– Za chwilę przeniesiemy się do Mryńska, małej miejscowości na wchodzie Ukrainy, gdzie nastąpi otwarcie nowej elektrowni atomowej – pierwszej wybudowanej po pamiętanej przez nas wszystkich katastrofie w Czarnobylu. Tym razem nie ma możliwości żadnych usterek – kompleks wyposażono w najlepsze sprzęty na świecie, sprawdzone przez wiele krajów czerpiących energię w ten sposób. Oddaję głos naszemu wysłannikowi, Arturowi Boruckiemu.

Ekran zmienił się i ukazywał teraz twarz pewnego białego mężczyzny z mikrofonem w ręku. Za nim można było dostrzec beżową ścianę jakiegoś budynku i reporterów innych stacji telewizyjnych

– także furgonetki, w których przyjechali. Studio telewizyjne ukazywane było teraz w małym okienku w lewym górnym rogu.

– To niewątpliwie wielkie wydarzenie... – zaczął reporter.

Streścił krótki historię katastrofy w Czarnobylu – jej czas, przyczynę i skutki. Porównał wyposażenie dwóch tamtej i Mryńskiej elektrowni, aby jeszcze bardziej zapewnić wszystkich, że kolejny tego typu wypadek jest niemożliwy. Cała opowieść trwała ponad dwie minuty, a kiedy Artur skończył, kamera przesunęła się w lewo, oddaliła widok, co pozwoliło sfilmować elektrownię w całej okazałości.

Wielkością była dość podobna do tej z Czarnobyla – różnice stanowiły – niższy komin bez dodatkowych obudowań wokół oraz nowoczesne zaprojektowanie – estetyczne, kremowe ściany i duże okna.

Znowu pokazywano studio – wysoki Latynos obwieścił, że za 10 minut elektrownia wykona swój pierwszy test bezpieczeństwa i że będzie to dowód na to, iż okoliczni mieszkańcy nie muszą się niczego obawiać.

Nagle na twarzy spikera pojawił się strach – rozszerzył on usta, wytrzeszczył oczy i opadły mu ręce. Lewą poderwał do prawego ucha – nacisnął znajdującą się w nim słuchawkę. Wymamrotał coś pod nosem po czym powiedział zdesperowanym tonem. -W elektrowni nastąpił wybuch. Artur? Artur, słyszysz mnie? – zaczął kręcić ręką do kamery, na znak aby przełączono ją na operatora wysłannika.

Nastąpiło to po dwóch sekundach i zanim Adam ujrzał obraz, usłyszał krzyki i dźwięk walącej się ściany oraz łomocącego gruzu.

Operator biegł sprintem do ciężarówki dysząc ciężko. Uderzył całym swoim ciałem w drzwi furgonetki, otwierając niemal nie wyważył ich z nawiasów, niedbale rzucił kamerę na tylne siedzenie – ukazywała ona teraz siedzenia kierowcy i pierwszego pasażera. Artur obejrzał się przez ramię o gorączkowo łypał oczyma – szukał zapewne swojego asystenta Artura. Kiedy spojrzał w stronę lewego okna, jego asystent wskoczył do środka przez boczne drzwi. Zaraz po ich zatrzaśnięciu krzyknął:

– Jedź!

Operator i zarazem kierowca zapalił silnik i furgonetka ruszyła naprzód. Słychać było trzeszczące pod kołami liście, a całym wehikułem lekko potrzęsało. Kiedy dwoje dziennikarzy wyjechało z wybojów, Artur obrócił się, chwycił kamerę i postawił ją na desce rozdzielczej. Przed nimi jechało jeszcze kilka furgonetek przyozdobionych logami różnych stacji. Adam poderwał się z kanapy, wybiegł z przyczepy i powiadomił wszystkich, co się stało.

5

Mick, Leon i Mikołaj podjechali pod bramę obozu.

Grad przestał padać i nad siedziba Bezpieki została oświetlona łagodnym światłem.

Znajdowała się ona w lesie – daleko na północ od Kordonu w samym jego środku. W obrębie 10-ciu metrów od murów wycięto drzewa i postawiono w ich miejsca 4 wieże strażnicze – 2 obok siebie, przy bramie i dwie z tyłu obozu. Na każdej znajdował się

strażnik.

Bramę wjazdową stanowiła rozsuwana, wzmocniona blacha dodatkowo poprzedzona szlabanem pomalowanym w czarno-białe, pionowe paski. Tuż przy niej znajdowała się mała budka.

Wychylił się z niej młody mężczyzna w czarnej skórze i sprawdził pasażerów dżipa. Gdy spostrzegł salutującego Micka, schował głowę z powrotem za okno, podniósł szlaban i rozkazał strażnikowi za bramą przesunąć ją w lewo.

Dżip wjechał do środka, a jego pasażerowie ujrzeli dawno wyczekiwany obóz.

Składał się z 4 baraków umieszczonych po lewej stronie, przy murze, 2 dwupiętrowych budynków (znajdowały się w nich biura) naprzeciwko bramy, baru położonego mniej więcej pośrodku (był to budynek o wielkości przeciętnego sklepu monopolowego) i małego, naprędce zbudowanego, drewnianego domku w północno-zachodnim rogu. Na lewo od niego było podziemne wejście do bunkra – zwyczajna, zamykana na kłódkę kłapa – w którym znajdowali się najważniejsi ludzie tutejszego Urzędu. Trójka stalkerów

wysiadła z pojazdu.

– Dokąd teraz? – spytał Mick zamykając drzwi kierowcy.

– Do baru. Trzeba pogadać z Radkiem.

– O ile wiem to... – urwał, kiedy do obozu wjechał zielony Mercedes. – To on. A więc wy sobie tu pogadajcie, a ja czekam na was w barze. – Schował kluczyki do kieszeni i ruszył w stronę „gospody”.

Mercedes skierował się w lewo i stanął pod drewnianym domkiem. Wysiadł z niego Radek – najlepszy i najbardziej znany agent w całej Zonie. Zasłynął ponad 2-wu letnią inwigilacją miejscowej grupy płatnych zabójców, w końcu doprowadzając ją do rozbicia, a jej członków do więzienia.

Miał trzydzieści lat, sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, czarne, krótkie włosy i bardzo błękitne oczy. Na brodzie nosił lekki, ciemny zarost.

Ubrał się w czarny, sięgający butów płaszcz, z którego lewej kieszeni wystawał kaptur ubrania przeciwdeszczowego. Zamknął drzwi, podszedł do Leona i Mikołaja, po czym zaprosił ich do ba-

ru.

Z głębi budynku dobiegały odgłosy muzyki – śpiew kobiety na tle harf i gitary. Bardzo podobała się Leonowi.

Muszę się dowiedzieć, co to za piosenkarka.

Ciekawe, jak spisał się Radek.

Podszedłem do barmana.

– Trzy piwa. – zapłaciłem, zanim gospodarz wyjął butelki spod lady.

Otworzył je i przesunął w moją stronę. Podziękowałem, chwyciłem dwie z nich do lewej ręki, zaś z trzeciej pociągnąłem łyk, po czym przysiadłem się do Mikołaja z Radkiem.

Kiedy wypili nieco, podjąłem rozmowę.

– Jak tam, Radek? Wszystko poszło zgodnie z...

– Ani słowa! – przerwał mi brutalnie. – Jak ci opowiem, co mnie spotkało w tej zasranej dziurze, to ci szczena opadnie.

Zachichotałem.

– No, opowiadaj. – zachęciłem go i po raz trzeci już upiłem trochę piwa.

– No więc podjeżdżam pod tą szkołę. Robię to, co zwykle – wyjmuję gnata, łomocze w drzwi i drę się „Służby Specjalne!” – sparodiował typowe zachowanie policjanta krzyczącego coś do aresztanta – słyszę kroki, ktoś zza drzwi pyta się „Kto tam?”. To ja wołam znowu, a tu nagle BANG! – rozłożył ręce, naśladując wybuch – drzwi łamią się w pół, ja wpadam do środka i wale na oślep. Zmieniam magazynek, idę wzdłuż korytarza tej obskurnej szkółki, kiedy ktoś wypada dwa razy w ścianę, przy której stałem. – szybko odsłonił łokieć, ukazując zakrwawiony bandaż. – Jeden mnie trafił. Siedzę bezbronny jak dziecko pod ścianą, bez pistoletu, kiedy podchodzi do mnie jakiś facet w GARNITURZE – zaakcentował – gada mi coś o „tajemnicy tego miejsca”, po czym, i to jest najlepsze, unosi siłą woli pistolet w powietrze, wypala z niego siedem razy, a pociski utrzymuje nad ziemią, jak jakiś zaszany Neo. Wszystkie kieruje w moją stronę – ślady po nich uczyniły pewnie zabawny kontur mojej sylwetki. Sam gość w garniturze nie ma normalnych oczu, tylko same białka i

jakieś czerwone, migające okręgi na nich. To jeszcze nie! Facet mnie zna, mówi mi po imieniu, a kiedy tracę przytomność, ocykam się w samochodzie i zamiast szkoły widzę co?

– Budkę z Hot-Dogami? – spytał ironicznie Mikołaj.

– Mc'Donalda? – spytałem podobnym tonem.

Radek z trudem powstrzymał się od śmiechu, ale szybko spoważniał i odpowiedział władcym głosem.

– Widzę, do cholery, drzewo.

Mnie (i zapewne Mikołaja, bo wpatrywał się tępym wzrokiem niewiadomo gdzie) замуrowało. Obydwaj znaliśmy Radka od dawna i tylko dzięki temu go nie wyśmialiśmy. Kiedy on mówi takie rzeczy, nie zmyśla. Nie mogłem jednak ukryć lekkiego poirytowania.

– W tej szkole, siedem lat temu, znajdował się najlepiej strzeżony skład najdroższych i najrzadszych artefaktów, a nie sojusz Budowlańców I Ogrodników, którzy dążyli do sadzenia drzew w miejsce budynków!

– Dobra, wyżyj się, ale nie przeginaj. Aha. Kiedy wracałem, omal nie potrafiłem jakiegoś stalkera. Biegł w samo centrum

Prypeci.

Minął Johna F.

I czemu ja nie kazałem mu pozaczepiać na drzwiach metrowych kolczatek...

To, że John urządził się gdzieś w Prypeci, specjalnie mnie nie zdziwiło. Nie zdziwiłby mnie nawet fakt, gdyby John F. mieszkał pod powierzchnią jakiegoś radioaktywnego jeziora. On był zdolny do niemal wszystkiego.

Zadzwonił telefon.

Mikołaj z Leonem spojrzeli na mnie niepewnym wzrokiem. Wiedzieli pewnie, tak samo jak ja, kto dzwoni. Wyjąłem komórkę, odebrałem ją, ale zanim zdążyłem coś powiedzieć ze słuchawki rozległ się nieludzki wrzask.

– Do mnie! Migiem!!! – krzyknął Barry i rozłączył się.

Włożyłem telefon powrotem do kieszeni i mruknąłem.

– Znowu się będę musiał ze wszystkiego tłumaczyć... ku*wa.

– Nie martw się – pocieszył mnie Leon. – Znasz Barry'ego.

Trochę pokrzyczy, pomarudzi i mu przejdzie.

- Tak... tylko że ja nie jestem, ku*wa, odstresywaczem!
- Przyjechałem tu aby rozbijać organizacje łowców głów i tym podobnych, a nie zbierać nagromadzoną żółć!
- Lepiej tam już idź, żeby mieć to z głowy.
- Pokiwałem głową, skończyłem piwo – dwójka moich przyjaciół zrobiła to samo – po czym wszyscy podnieśliśmy się z krzeseł.
- Idziemy z tobą – obwieścił Mikołaj.
- Zamurowało mnie. Patrzyłem się na Pana Samobójcę tępych wzrokiem przez jakieś pół minuty, po których odpowiedziałem.
- Jesteś nienormalny.aaaa
- Wcale nie – odrzekł radosnym głosem. Leon uśmiechnął się lekko.
- Posrało was. Albo jesteście nienormalni i życie wam niemiłe, albo coś kombinujecie. No? Co wam chodzi po głowie?
- Zobaczysz. Teraz idziemy do Barry'ego. Wszyscy troje.
- Minęliśmy kilka stolików, wspięliśmy się po małych schodkach i wyszliśmy z baru na zewnątrz. Mocno wiało, a szum kołyszących się drzew niósł się po całej okolicy.

Ruszyliśmy ku drewnianego, jednopiętrowego domku – tam właśnie urzędował szef wszystkich tutejszych agentów. Cały domek był jego – mieszkał w nim i sypiał na co dzień.

Stanęliśmy przed drzwiami – eleganckie, z drewna ze żłobionymi nań wzorami. Po lewej stronie wisiał biały przycisk dzwonka. Nacisnął go Leon. Dźwiękiem było ćwierkanie ptaka.

– Wejść! – zza drzwi dobiegł donośny głos.

6

Ledwie Mark przekroczył próg baru, z jego wnętrza podbiegł do niego jakiś mężczyzna o szerokiej, gładkiej i ogolonej twarzy, piwnych oczach oraz krótkich, ciemnobrunatnych włosach. Miał na sobie, podobnie jak reszta barowego towarzystwa, zieloną kurtkę i grube, czarne, wytarte dresowe spodnie. Był przysadzisty, lecz w dobrej formie, i sięgał Markowi do podbródka.

– Ty jesteś ten nowy? Niejaki Mark? – zapytał cichym, łagodnym tonem.

– Tak...

– Za mną. Pokaże ci co i jak ,i kto jest kim.

Obrócił się na pięcie i wolnym krokiem skierował się do środka. Mark ruszył za nim, zachowując metrowy odstęp. Przeszli przez zatłoczone stoliki, a gdy zamierzali się, by przy jednym usiąść, Przewodnik Marka wpadł na jakiegoś wysokiego stalkera. Przywitał się z nim uściśnięciem ręki, mrucząc pod nosem „Radek”. Zaraz za dryblasem, ku wyjściu szło dwóch innych gości – Izaak, bo tak nazywał się „niski” przywitał się z obojgiem, mrucząc ich imiona – „Leon” , „Mikołaj”. Po usadowieniu się, zamówieniu alkoholu – piwa dla Izaaka oraz flaszki dla Marka, zaczęła się pomiędzy nimi rozmowa.

– Poka no swoje akta. – rzucił Izaak.

Mark wyciągnął zza pazuchy małą teczkę i położył ją na stole.

– Co my tu mamy... – z uśmiechem zatarł ręce, otworzył akta i zaczął je czytać.

Przewracał oczyma na lewo i prawo, co chwilę wydobywając z siebie głębokie „Hmm...”. Chwilę potem, obydwie rozszerzyły się

w zdziwieniu. Izaak wytrzymał wzrok, pochylił się lekko, aby coś doczytać i prychnął śmiechem.

– Wolne żarty, gnojku. A teraz podaj swoje PRAWDZIWE akta, albo wylatujesz stąd na zbity pysk, i nawet do walk ze snorkami na arenie nie będą cię chcieli przyjąć! – widać i słysząc było w nim zdenerwowanie.

– To są prawdziwe akta, stary pierniku – odpowiedział Mark z uśmiechem. Mina drugiego była nie do opisu, brakowało tylko pary bijącej z uszu i dźwięku gwizdzącego czajnika.

– Aha – odpowiedział po chwili – Czyli w dzień przydziału do Zony, dostajesz zadanie... – spojrzał akta i wyczytał z nich zdanie – „Zabezpieczenia całego terenu szpitala w wschodniej Prypeci, aby dokonać tam specjalistycznych badań...” Po przekroczeniu Strefy, jesteś jedną nogą w grobie. Tak długo śpieszy ci się do następnego kroku?! – niemal krzyknął, rzucając mocno teczką o stół. – Można się kłócić, co gorsze, Jantar, Dicz, Prypec, Czerwony Las, czy może ten zawszawiony Kordon. Ale ten szpital, to wraz z laboratoriami

nad Jantarem i okolicami mózgozwęglacza, istne piekło. Nie pchaj się tam, po prostu ze zdrowego rozsądku.

- Poradzę sobie.
- Może z chmarami zombiech, stadami snorków i Bóg wie czym jeszcze, ale ten szpital...
- Jest nawiedzony, tak, wiem. – spokój Marka był godny podziwy.

„Niby nowy, zielony, ale zachowuje się, jakby miał naprawdę spore doświadczenie” – pomyślał Izaak.

- Może nie do końca nawiedzony – uniósł ręce niczym duch z kreskówki – w pełnym tego słowa znaczeniu. Tu da się powiedzieć tylko jedno – ze szpitalem jest jak z resztą Zony. Niektórych... a właściwie to większości rzeczy nie da się racjonalnie wytłumaczyć. Wyglądasz na bystrego, ale powiem ci to z zasady – cokolwiek zobaczysz, nie daj się zwariować. Niektórzy widują tutaj swoich zmarłych krewnych, jeszcze inni dawnych przyjaciół – masz tu tego więcej, niż filmów w Bollywood. Sam widziałem tu ducha swojego dobrego kolegi...

– Nic mi nie będzie – zapewnił Nowy. – Ten szpital jest dla nas bardzo ważny.

– Taa... To, co się tam wydarzyło, daje do myślenia. Dziesięć lat przed wybuchem, a ten cały... jak mu tam było?

– Gomez. Doktor Gomez.

– Właśnie. 10 lat przed powstaniem Zony, ten cały Gomez miał już przedmioty o właściwościach dzisiejszych artefaktów.

Niewiarygodne... Mimo, że masz o niejednym pojęcie, muszę cię zapoznać z paroma ludźmi, żeby jakieś gnojki nie odstrzeliły ci dupy dla nowych kaloszy. Najpierw ta trójka, która minęła nas niedawno. Ten wysoki to Radek – jeden z lepszych naszych ludzi. Słyszałeś o ósemce?

– Ta grupa płatnych morderców, która została jakiś czas temu rozbita?

Izaak skinął głową.

– To Radek ich inwigilował. Męczył się szmat czasu, ale jak widać było warto. Ta dwójka, która mu towarzyszyła, to Leon i Mikołaj – na razie mogę ci powiedzieć tylko tyle, że mają tu

duże wpływy, znajomości całej w Zonie, a znają się od dzieciństwa. Nieoficjalnie do czas należą – niejedno razem przeszliśmy... Reszta... jak cię polubią, to sami ci powiedzą. Ludzi, których warto znać, jest wielu, ale jak będziesz w dobrych kontaktach z Mastertonem, to sam Pan Bóg cię nie ruszy.

- A Masterton to...
- Jonathan Masterton – można go skwitować jednym, bardzo miłym słówkiem – psychol. Ma przeszłość brudną niczym gówno Mięszcza – podejrzany o zabicie znajomego i wiele napadów na bank. Niegdyś prawdopodobnie płatny zabójca, wycofał się po rzekomym morderstwie szefostwa jego organizacji. Później, i to jest pewne, pracował w grupie zawodowych złodziei. Kolejne kilka okradzionych banków. Mniej więcej w wieku 40 lat wstąpił do nas. Cierpił na Mauhausena, ale do tej pory jakoś się trzyma. Ponadto, śmierć jego przyjaciela dogłębnie nim wstrząsnęła, i od tamtej pory ciągle łyka jakieś psychotropy, żeby kompletnie mu nie

odbiło. Jest wiecznie podenerwowany, niepewny i podejrzanie łypie oczyma na wszystko co się rusza. Mimo wszystko jest to człowiek z zasadami – nigdy cię nie oszuka, a w rozmowie i kontaktach z ludźmi jest miły i uprzejmy. Ubiera się jak „gangster z klasą” i ma rozcięte lewe oko.

- A jego „przydatność bojowa”?
- Zna większość sztuk walk i jest mistrzem w strzelectwie, wyćwiczył większość broni znanych świata. Oho... idzie tu. Na razie siedź cicho, zobaczymy, czy mu się spodoba.

Mark spojrzał przez ramię i ujrzał Jonathana.

Wysoki, około 180 Cm, z krótkimi, czarnymi włosami sięgającymi ledwie czubka czoła. „Zdrowe”, prawe oko miał błękitne, drugie zaś było trupio blade, a nad i pod nim widniał ślad po głębokim cięciu. Ubrany był, jak mówił Izaak, „po gangstersku” – zdecydowanie wyróżniał się z tłumu. Nosił czarne, materiałowe spodnie, ciemnobrązowe półbuty oraz czarny garnitur – rozpięty luźno pod szyją, tak samo jak biała koszula. Mark zauważył jednak jeszcze jeden szczegół – w prawej dłoni, palcem środkowym i serdecznym

trzymał kastet z wbudowanym, krótkim, wystającym ostrzem. Dało się go spostrzec z daleka, i wraz z ubiorem robił ogromne wrażenie. Na twarzy malowało się zmęczenie, ale trudno się dziwić, po tym, co przeszedł.

Przysiadł się do Marka i Izaaka.

– Witam panów. – miał wyraźny, czysty, lecz smutny głos.

Wyciągnął rękę do obu agentów, uściśnął je i dosiadł się głębiej do drewnianego stolika.

– Co słyszeć? – zapytał serdecznie.

Mark nie wierzył własnym oczom – człowiek o wyglądzie (nie licząc garnituru) najgorszej męty, zachowywał się jak najlepszy uczeń szkoły *savoir vivre*'u. Psychotropy robiły swoje, czy też opowieści Izaaka były przesadzone? Nowo przybyły trzymał lewą rękę pod, a prawą nad stołem, co chwilę obracając w palcach kastet ze sztyletem.

– Ten tutaj – Izaak wskazał palcem na Nowego – dostał zadanie oczyszczenia szpitala.

Jonathan gwałtownie szarpnął ostrzem w dół, jednocześnie odchylając głowę lekko w lewo, wydając przy tym nerwowy odgłos. Nóż z piskiem przejechał po stole, po czym głucho uderzył wraz z ręką posiadacza o krzesło. 'Psychol' był widocznie zdenerwowany, niemal wściekły – zaczął się trząść, co chwilę, coraz mocniej wbijając kasteto-sztylet w spód blatu. Usta otworzyły mu się z widocznym zamiarem powiedzenia czegoś, lecz przerwał mu dzwoniący telefon. Migiem się uspokoił, sięgnął do kieszeni garnituru, otworzył klapkę i przyłożył telefon do ucha.

Trzy potaknięcia, pomruk oznaczający zgodę, pytanie „Gdzie?”, koniec rozmowy.

– Znaleźli jeden z „magazynów” tutejszych handlarzy organów.

Sala wyłożona kafelkami i przerobiona na kostnicę.

sku*wiele... Lenny! – zawołał, machając do jednego z obecnych w barze stalkerów ręką.

Przysiadł się do nich wychudzony, niewysoki, młody brunet.

– Dla całej czwórki? – spytał, sięgając do kieszeni.

– Ta. – odpowiedział Wariat.

Lenny podał wszystkim obecnym po parze białych, gumowych rękawiczek.

7

Po dotarciu na miejsce, przeżyłem naprawdę szokujący dzień. Izaak nie odczuł tego zbyt, a może udawał, oczekując tylko okazji do puszczenia pawia? Lenny zachował kamienną twarz – pewnie miał już do czynienia z gorszymi zachowaniami Jonathana, ale ja nigdy nie zapomnę, co zrobił w „prowizorycznej” kostnicy.

Siedzieliśmy w niej od dziesięciu minut – ja, czyli Mark, Masterton, Izaak i Leonard/Lenny. Miała ona szerokość siedmiu, a długość dwudziestu metrów. Po lewej i prawej stronie umieszczono chłodzone szuflady na nieboszczyków, na końcu pomieszczenia postawiono szafkę z krzesłem, wraz z blaszanym pojemnikiem na „sprzęt”. Sufit pomalowano na biało, a ściany i podłogę wyłożono białymi, kwadratowymi kafelkami z zielonymi przerwami. Do sufitu przymocowano dwie jarzeniówki, które skutecznie oświetlały

cały „magazyn”. Poza tym panował tutaj silny zapach środków dezynfekujących.

Gdy wchodziliśmy do środka, Jonathan szedł przodem, ubrany tak, jak w barze, sprawie otworzył drzwi wytrychem, następnie wywarzając je kopniakiem. Trafił nimi w właśnie wychodzącego chłopaka (bo mężczyznę nazwać się go nie dało), zwalając go z nóg.

Masterton szybko wpadł do środka i spojrzał na jęczącego pod nim młodzieniaszka z zażenowaniem.

– Biedny... – rzekł z politowaniem, strasznie cienkim głosem – sku*viel! – zmienił ton na głośny, niemal krzykliwy i kopnął młodego w brzuch z wyraźnym obrzydzeniem na twarzy.

Wkroczyłem do „trupniarni” wolnym krokiem, obserwując Psycho-la. . Zaraz za mną podążyli Izaak oraz Lenny. Ten ostatni powiedział na głos.

– Do roboty! – zaczął zakładać rękawiczki.

Reszta uczyniła to samo, nakładając lateks na lewą dłoń, obawiając się najgorszego. Jonathan chwycił młodzieńca za fraki i

pociągnął go po ziemi, wbijając go głową w ścianę. Zawył z bólu i skulił się jeszcze bardziej.

– Niedobrze mi się robi – mruknął niedoszły oprawca. –

Najgorsi z najgorszych, najpodlejsi z najpodlejszych...

Chciałem mu przerwać, ale Lenny powstrzymał mnie szturchnięciem w łokieć i wymownym spojrzeniem.

– ... wrócić do ciepłego domku i pogadać z przyjaciółmi, o tym jak zarobiłeś sobie na cudzej nerce?! – krzyk i oczy, a raczej oko zaślepione szalem. – Dziś nie wyjdiesz stąd w jednym kawałku, o nie...

Lewą ręką złapał młodego za szyję, zaś prawą przysunął ku twarzy, zbliżając ostrze na kastecie niebezpiecznie blisko oka ofiary.

– Możesz tylko zdecydować, w ilu. Jeśli szybko nam powiesz, kto jeszcze siedzi w tym... – splunął z odrazą. – czymś, to umrzesz szybko i bezboleśnie. – wstał z kucków, odrzucając głowę mocno o ścianę. Usłyszałem kolejne wycie.

Siedzieliśmy teraz na 4 krzesłach obok siebie – wszyscy, poza młodym, który wyznał, że nazywa się Johnson. Zajął krzesło za sto-

likiem i rozmawiał z Mastertonem. Jeśli można to było nazwać rozmową.

– Mów, skurwysynu! – wrzeszczał tak głośno, że od czasu do czasu zabolalo mnie ucho.

– Zajmowałem się... – zaczął cicho Johnson.

– Wiem do ku*wy nędzy, że tylko „formalnościami” – dodał z pogardą – Masz mi powiedzieć ważne osoby biorące w tym udział, a nie, kto zamiatał czy zmywał tę – tupnął – pierdoloną podłogę! Także, wkrótce, z twojego mózgu!

Nasze źródło informacji milczało.

– Dosyc tego, do ku*wy nędzy... – odwrócił się gwałtownie na pięcie, głośno uderzając podeszwami butów o kafelki rzucił się na szafkę z narzędziami.

Wywrócił ją do góry nogami, wyrzucając z niej; skalpele, piły, brzeszczoty, worki, rękawiczki, igły, strzykawki i to, czego pewnie Jonathan szukał – elektryczną piłę do otwierania czaszek.

– Te smarki nawet nie pozbyły się tego, co im niepotrzebne.

Chyba że... – zwrócił się do Johnsona – lubiliście pobawić się

takim cackiem na truposzach! Gadaj, do ku*wy nędzy, bo potne cię na kawałki! Nie zdajesz sobie sprawy, jak wiele mogę zrobić, zanim umrzesz.

Milczenie.

– Twardziel! – Masterton wsadził kabel od piły do kontaktu i włączył ją.

Zapiszczała złowieszczo, siejąc zamęt w mojej głowie. Chciałem stąd wybiec, uciec jak najdalej, żeby dalej nie oglądać tego psychola. Serce podbiegło mi do gardła, byłem mokry od potu i oczekiwałem na makabryczny finał.

Piła piszczała i kręciła się z niesamowitą prędkością nieprzerwanie, z czego Jonathan był widocznie zadowolony. Przysunął ją blisko twarzy młodzieniaszka, który wyrywał się do tyłu.

– Dalej! – wrzasnął młodemu do ucha.

– Barry Jefferson!

Wszyscy zaniemówiliśmy ze zdziwienia.

– Nasz Barry? – zapytał z niedowierzaniem Izaak.

– Tak, wasz Barry, teraz mnie puśćcie, bo...

Lenny odwrócił głowę, Izaak zrobił to samo, jednocześnie odwracając mój łeb do tyłu. Zdążyłem zauważyć, jak Jonathan błyskawicznie wyjmując zza pazuchy obrzyna i wypala z niego prosto w twarz Johnsona. Zaszumiło mi w uszach od echa wystrzału, pełen wdzięczności do Izaaka, że uchronił mnie od zmywania krwi z czoła, spojrzałem na Jonathana.

Nie opuścił jeszcze lufy znad zmiecionej głowy – wpatrywał się w nią tępym wzrokiem i nagle upuścił obrzyna z rąk. Lewa ręka zaczęła mu się panicznie trząść, wbił się nią dosłownie w kieszeń i wyjął pudełko tabletek. Odbijały się one o plastikową powierzchnię opakowania, dopóki Masterton nie wyrwał wieczka i nie wsypał sobie zawartości do ust. Na oko tabletek było z dziesięć, podłużnych, o długości około sześciu milimetrów. Pochylił się nisko, zaczął kaszleć i połykać co chwilę po jednej tabletkę, z czym miał wyraźne trudności. Kiedy skończył, wstał i odwrócił się, ukazując twarz całą zakrwawioną. Rozejrzał się po swoim „dziele” – drobinach mózgu i czaszki.

– Mówiłem, że opuścisz to miejsce w kawałkach – zwrócił się do

miejsca, gdzie niegdyś dumnie widniała głowa. – Na oko będzie ich z 5 tysięcy.

Lenny wyjął z kieszeni utleniacz, ręczniki i folię.

- Nie, nie dzisiaj... – powiedział Psychol.
- To po ch*j mu rozwalileś łeb? Nie mogłeś po prostu mu skrócić karku, czy coś w tym stylu? Ku czemu zmasakrowałeś mu głowę?!
- Ku przestrodze. – odpowiedział z uśmiechem. Spojrzał na mnie, nieszczęśnie wyglądającego z otwartymi w zdumieniu ustami. – Ruszaj się, nie mamy całego dnia!

W trakcie drogi powrotnej mieli wyjątkowe szczęście – nie spotkali ani wojskowego patrolu, ani grupy bandytów, nawet pojedynczego mutantu. Szybkim krokiem, zręcznie omijając anomalie, wkroczyli do obozu bezpieki. Lenny oraz Izaak pożegnali się z Markiem i Jonathanem, po czym udali się do swych biur. Pozostała dwójka miała umówione spotkanie z Mikołajem i Leonem w pubie.

- Nie mam czasu na szczegóły, po prostu o siódmej wieczorem macie być w barze. – powiedział przez telefon Masterton,

będąc przy bramie.

Kiedy przechodziliśmy koło budki strażniczej, strażnik wstał z krzesła i spojrzał zdziwiony na zakrwawionego Jonathana, miał już coś powiedzieć, ale nie zdążył.

– Ani słowa... – rzekł pod nosem Psychol.

Strażnik uniósł ręce w przeproszającym geście i usadził się z powrotem na krześle.

Po wejściu do obozu, Jonathan szybko pobiegł do swojego pomieszczenia, ściągając na siebie spojrzenia okolicznych ludzi. Będąc w środku błyskawicznie wiał prysznic i przebrał się w czyste ubrania – znowu garnitur, tylko tym razem szary, wraz z szarymi spodniami.

Teraz wraz z Markiem siedział przy stole w kącie. Dochodziła siódma, o tej porze było w pubie dość tłoczno – większość stalaków wracała wczesnym wieczorem, tylko nieliczni włączyli się po Zonie w późnych godzinach. Masterton zamówił 3 kieliszki wódki, jego towarzysz piwo. Jonathan chwycił kieliszek, błyskawicznie wlał jego zawartość do ust i ze stuknięciem odstawił, to samo

zrobił z dwoma następnymi, po czym przełknął. Cicho syknął i zwrócił się do Marka.

– Co dokładnie masz zrobić z tym szpitalem, co?

Rozmówca łyknął piwa.

– Przyjść. Zabezpieczyć. Zadzwonić po naukowców. –
odpowiedział.

Masterton pokiwał głową.

– Widocznie nie zrozumiałeś pytania. Pytałem, co masz
DOKŁADNIE – zaakcentował silnie – tam zrobić.

Mark zrozumiał, że facet nie odpuści.

– Zbadać piwnicę.

8

Więc to on.

Jemu powierzono jedną z największych tajemnic Zony.

Spojrzałem na niego wymownie.

Ktoś, kto nie wytrzymuje widoku rozwalonego łba, ma być trze-

cią osobą, która pozna, co jest w piwnicy miejscowego szpitala?!
Największe w Zonie skupisko elektro to parter kliniki. W miejscu wejścia do piwnicy, dziewięć różnych anomalii w jednym punkcie, w jednym cholernym metrze kwadratowym znajduje się 9 anomalii! Nałożone na siebie, tworzą niesamowity widok. W piwnicy na sto procent znajdowały się tylko 2 rzeczy – zwłoki pewnej osoby (teraz już pewnie szkielet) oraz artefakt znany Pochłaniaczem. Trzecią, niepewną rzeczą, a raczej osobą, był wytwór owego artefaktu.

Jak mogli...

„Przydzielimy naszego najlepszego człowieka, masz moje słowo!”
– mówili mi tydzień po wybuchu, kilka godzin po dotarciu do Petersburgu.

Więc to jest ich najlepszy człowiek?

Pierwszy raz od 21 lat przypomniałem sobie tamten dzień...

Radek, Mikołaj i Leon wyszli z biura Barry’ego. Nie wiedzieli jeszcze, do czasu rozmowy w barze w Psycholem i Markiem, że ich szef był jednym z przywódców miejscowej grupy handlarzy

organów. Zamykając drzwi, Leon odebrał telefon od Mastertona.

– Ta? Pod jego biurem. A o co chodzi? – przerwa, Leon słuchał.

– Niech ci będzie...

Schował telefon do kieszeni i oznajmił pozostałej dwójce:

– Idziemy do baru, Jonathan chce z nami mówić.

– Nie mógł wybrać sobie innego dnia na pogawędkę? – zasmęcił Radek. – Jestem wyczerpany, a jutro czeka mnie całonocne przesłuchanie kolejnego gnoja z 5.

– Widocznie nie. – Leon wyprostował się i poszedł w stronę baru.

Radek ziewnął i ruszył za nim, idąc obok Mikołaja.

– Skurwysyn! – Leon walnął pięścią w stół, przewracając dwa puste kieliszki. Gdyby nie szybka reakcja Marka, piwo wylałoby mu się na spodnie. – Wiecie, co się stanie, jak inni się dowiedzą?!

– Anarchia – Masterton.

– Chaos – Mikołaj.

– To dopiero początek. – Leon wsadził ręce do kieszeni. –

Paranoja. Skoro szef był w to zamieszany, powtarzam szef, to pomniejsi, mniej ważni członkowie obozu będą się podejrzewać na każdym kroku. Złe spojrzenie, w popłochu odebrany telefon będzie pretekstem, żeby kogoś rozwalić. Autorytet Barry’ego runie, nikt nie będzie czuł się bezpieczny. Pewnie wszyscy powyrzynamy się nawzajem... Jakież pomysły?

– Zabić gnoja i powiesić jego łeb w miejscu publicznym. – Jonathan wyrecytował swoją kwestię tak gładko, jakby obmyślał ją przez kilka minut.

Do rozmowy włączył się Mark.

– Nikt nie może się tego, prócz nas, dowiedzieć. Musimy się skontaktować z dowództwem w stolicy. Podstawiam swojego człowieka, najbardziej zaufanego...

– Barry też miał być „zaufany” – zakpił Mikołaj.

– Drugi raz nie popełnię tego samego błędu. – Mark kontynuował. – Ich człowiek zajmie się tu dowodzeniem, a los Barry’ego spocznie w naszych rękach...

Lenny zapalił papierosa zapalniczką, zaciągnął się i po długiej

chwili wypuścił dym z ust.

- Wyprowadźmy go po cichu z obozu i najlepiej, ku*wa, od razu wrzucimy do anomalii. – zaproponował.
 - Czy koniecznie musimy to robić? – zapytał smutno Mark. Jonathan nachylił się do niego gwałtownie i rzekł głośno.
 - Ziemia do Marka! To jest Zona, tu problemy rozwiązuje się tylko w jeden sposób, który przedstawiłem ci kilkadziesiąt minut temu, a nie... – zawahał się, jakby miał trudności z powiedzeniem następnego słowa. – czynami rodem z grzecznego komiksu, gdzie Ci Źli przeproszą i już na zawsze będą dobrzy. Jeśli masz opory, aby zabić byle gnoja, długo tu nie zagościsz. – wyprostował się i oparł na krześle.
 - Niekoniecznie... – Izaak zamyślił się głęboko.
 - Jak to?! – zaprotestował Psychol. – Chcesz się męczyć z namawianiem tego ścierwa, żeby nie wygadał innym, że dowiedzieliśmy się, w czym macza paluchy?
- Mikołaj przejął inicjatywę.
- O Barrym wie wielu stalkerów, ale tylko nieliczni widzieli go

na własne oczy. Z kim nigdy nie prowadziliśmy interesów?

- W... – zaczął Lenny.
 - ...olność. – dokończył Leon. – Chcesz go zmusić do przyłączenia się do Wolności?!
 - Jeśli go porządnie nastraszymy, nie puści farby. – rzekł pomysłodawca.
- Papieros Lenny'ego, spalony do filtra, wyładował w brązowej, porcelanowej popielniczce.
- Znam kilku gości z Wolności. Na pewno znajdzie się wśród nich co najmniej dwóch strażników. Jeśli będą go budzić codziennie rano i przypominać, że jeśli coś piśnie, skończy marnie, pewnie będzie siedział cicho. Mógłbym też załatwić kombinezon z ich oznaczeniami.
 - Dobra, wiemy co zrobić z Barrym po wyprowadzeniu z obozu, ale jak go w ogóle z niego wywieziemy? – Leon popadł w zadumę. – Nie ma szans, żeby wyjść z nim przez główne drzwi, od razu zaczną wrzeszczeć na lewo i prawo, kim jest i tak dalej. Zamieszanie w jedynej siedzibie Służb w Strefie

będzie mu, a raczej reszcie układu, tylko na rękę... Jakieś sugestie? Mark wpadł na pomysł.

- Okno jego biura. Trochę ponad 5 metrów, pół metra do ogrodzenia, nie będzie problemów, żeby... Masterton i ja wejdziemy do środka i obezwładnimy Berry'ego. Leon, Mikołaj, Lenny, Izaak i Radek – będziecie w ciężarówce, którą zaparkujecie tuż przy ogrodzeniu, od strony okna. Wezmę coś w rodzaju składanej kładki, kiedy Barry będzie nieprzytomny, otworzę okno, wyłożę kładkę i zrzucę z niej go wprost do ciężarówki. Pojedziemy w jakieś ustronne miejsce, porządnie go nastraszymy...
- Ja się zajmę tym „zastraszeniem” – Masterton uśmiechnął się krzywo. – Zrobię mu „głuchego”.

Spojrzenia wszystkich, prócz Marka, dawały do zrozumienia, że wiedzą o co chodzi, więc zapytał się on, czym jest „głuchy”.

- Standardowa procedura – piącha w ryło, kop w jaja, potem stawiam go przed anomalią, zawiązuję oczy, przystawiam lufę do tyłu głowy, ale wypalam cały magazynek koło ucha. Będzie

miał farta, jak będzie w ogóle słyszał. W jego wieku, jest to mało prawdopodobne. Generalnie, mimo mocnego z pozoru charakteru i wysokiego stanowiska, żaden z niego twardziel. Wydzierał się na nas, bo gdybyśmy się postavili, „załatwił” by nam posadę w jakimś podrzędnym więzieniu na zadupiu.

- Jedynym problemem są strażnicy na wieżach. – głos Lenny'ego był wyraźnie niespokojny. – Co z nimi?
- Proste. – mruknął Masterton. – Zrobimy w obozie jakieś zamieszanie, żeby się wami nie przejęli. Zawalę wieże, najlepiej posadzę jakieś małe bomby u ich podstaw. Strażnicy powinni być cali... Jak myślisz, moralisto? – spojrzał wymownie na Marka. – Dwie, góra trzy połamane kończyny to uczciwa cena za życie jednego śmiecia?

W odpowiedzi Mark wystawił mu środkowy palec, gapiąc się w jakiś kąt.

Jonathan uśmiechnął się pod nosem i kontynuował.

- Mogę też podłożyć okolicy małą bombę, do narobienia jeszcze większego hałasu, żeby nikt nie przejął się odjeżdżającą z

„piskiem opon” ciężarówką. Kiedy wysadzę ładunki na wieżach, wy w tym czasie obezwładnicie Barry’ego.

Poczekajcie na drugi wybuch, wtedy zapakujecie do z okna do środka i pojedziemy siną w dal. Ale musicie uważać, bo jest tam tylko jedna droga, którą można przejechać przez drzewa, kiedy przetestuję karabin, powiem wam którędy jechać.

- Przetestujesz karabin? – zagadnął Leon.
- Ta. – odpowiedział rozmówca, dokańczając butelki alkoholu. – Zaczaję się gdzieś, żeby mieć oko na bramę i zacząć walić w nią i okolice obozu, najlepiej pociskami zapalającymi. Nikomu nic się nie stanie... – te słowa wyraźnie skierował do Marka. – Po prostu niech pobiegają wokół, narobią szumu i chaosu ,i tyle.
- Co wy na to? Nie trafię w nikogo, tylko brama, może kilka drzew.
- Na pewno?

Jonathan wstał, chwycił piwo Marka i wykonał gest picia, celowo przechylając butelkę za kołnierz, wylewając niego zawartości

na podłogę. Po odstawieniu piwa na innym stole, ku zdziwieniu siedzących przy nim stalkerów, udał, że szuka krzesła, wymachując rękoma bez ładu i składu niczym niewidomy. Kiedy usiadł, uśmiechnął się.

- Masz mnie za ślepcę? – spytał. Gdy ucichły chichoty, Jonathan przeszedł do rzeczy.
- Jutro o tej samej porze go dorwiemy. Chodźcie, musimy znaleźć mi kryjówkę, a wam miejsce na bombę.

9

Trzy kwadranse później byli kilkaset metrów od obozu, na pasie lekkich, czasem wysokich, zasłaniających widok na obóz wniesień pokrytych gęstą, ciemnozieloną trawą – dało się też spostrzec kilkanaście większych krzewów. Słońce zachodziło, rzucając wszędzie dookoła ciemnopomarańczową poświatę, niebo było błękitne i bezchmurne.

Licznik Geigera pykał powoli, dając znać, że promieniowanie jest

w normie. Masterton, Leon i Mikołaj szli szybkim krokiem, rozglądając się na wszystkie strony. Pozostała trójka „wtajemniczonych” załatwiała pozostały sprzęt – paralizatory, chloroform, także ciężarówkę, dwa karabiny i mały ładunek wybuchowy, który mieli zakopać w ziemi tuż koło wschodniej części muru obozu. Psychol ubrał się w wzmocniony kombinezon w zielonych barwach maskujących i dźwigał na plecach skórzaną torbę. Miał w niej przerobionego M82 i siatkę maskującą, które miał zamiar przetestować, przed jutrzejszą akcją.

Jego towarzysze byli ubrani w kombinezony SEVA w kolorze czarno-zielonym i mieli przy sobie nic poza SIG’ami 550 z doczepionymi lunetami ACOG.

– Tutaj. – Leon wskazał gęsty krzak, a raczej kilka krzaków rosnących blisko siebie.

Łącznie miały one 3,5 metra długości oraz 2 metry szerokości, wysokie na ponad 140 CM.

– Idealnie... – mruknął z zadowoleniem.

Jonathan Położył torbę na ziemi, gniotąc żdźbła trawy, kucnął i wyjął zawartość swego bagażu. Najpierw wypakował ogromny, chroniący przed urazami mechanicznymi, pokrowiec na broń. Był bardzo długi, a sądząc po wyrazie twarzy Mastertona, dość ciężki. Pozostałe miejsce bagażu zajmowała mała, poręczna torba oraz zapakowana siatka maskująca w leśnym kolorze. Najpierw rozpięto pokrowiec.

Oczom wszystkich ukazał się Barret M82 – jeden z najpotężniejszych karabinów snajperskich znanych światu, o przerażającym kalibrze .50 Cal. Może miał swoje lata i do tej pory wypuszczono nowsze modele, ale nikt nie śmiał o tym wspomnieć. W Zonie nawet staromodne, niemal archaiczne AK (można było spotkać tu jego najróżniejsze warianty) sprawowało się wyśmienicie. Magazynek, luneta i dwójnóg (złożony pod lufą) były na swoim miejscu.

Z mniejszej torby Jonathan wyjął amunicję – pociski przeciwpancerne umieszczone w specjalnym, usztywniającym każdy nabój opakowaniu. W magazynku znajdowała się amunicja zapalająca,

Masterton wyjął cały magazynek i położył go bokiem na ziemi, po czym zaczął ładować amunicję przeciwpancerną.

Po napełnieniu i ponownym włożeniu magazynka, Psychol wyjął z pokrowca wielki, długi, czarny tłumik. Wiedział, że to niezbyt utrudnia namierzenie, skąd kto strzela, ale nie chciał po prostu zwrócić na siebie uwagi jakiegoś przechodnia. Zdjął dodatkowy kompensator i nakręcił w jego miejscu „tubkę”, bo tak można było tłumik ów nazwać.

Gdy broń była gotowa do użycia (nie licząc ustawienia parametrów w lunecie, ale tym zajmie się później). Jonathan przyłożył licznik do kępy krzaków – promieniowanie było niewiele wyższe, a aby się upewnić, że w przyszłej kryjówce nie ma anomalii, rzucił w nią kilkakrotnie kilkunastoma małymi kamyczkami. Gdy nic się nie stało, wpełzł do środka, na razie bez kamuflażu. Jego zdrowe, „żywe” oko i wyraz twarzy wyrażały zadowolenie.

– Podać ci siatkę?

Masterton skrzywił się.

– Nie chce mi się z nią męczyć... w sumie to chciałem tylko

postrzelać do ptaków czy coś... – skinął głową na karabin. –

Podaj. – rzucił do Leona.

Gdy Leon spełnił prośbę kolegi, rozejrzał się wokół. Z zachodu na wschód sunęły wielkie, ciemnogrnatowe, niemal czarne deszczowe chmury. Słońce już prawie znikło za horyzontem i zaczęło się ściemniać. Zaczął wiać dość porywisty, zimny wiatr, wprawiający popłoch w roślinności. Trawy, drzewa i krzewy z szumem kołysały się w rytm wichru. Znajdowali się ponad kilometr od obozu, od strony jego głównego wejścia. Mieli stąd bardzo dobry widok na bramę, jak i kawałek obozu ponad nią, dzięki czemu mogli bezpiecznie pokryć środek siedziby niewielkimi ogniskami przy pomocy pocisków zapalających.

Masterton przyłożył karabin do siebie, wcześniej jednak załadował magazynek ze zwykłą, pełno płaszczową amunicją, po czym skierował go w okolice bramy obozu i zaczął ustawiać odległość w lunecie.

– Ile?

– Jeśli oddasz i użyjesz do dwóch głowic, to za darmo. O

chloroformie nie wspomnę, mam go całe tony.

Mark zapakował paralizator i butelkę chloroformu do plecaka i zapytał Norberta (jeden z wielu handlarzy w Zonie, w tym przypadku ważnego dostawcę Powinności, o coś jeszcze.

– A materiały wybuchowe?

– Mam trochę Semtexu.

Mark pomyślał przez dłuższą chwilę. Semtex był potężny, ale niewielkie ładunki powinny spisać się nieźle.

– Daj mi z 5 kilo i to byłoby na tyle.

10

Minął dzień po nieudanej próbie zabicia dwóch pewnych stalaków.

John przekreślił klucz w białych, odłazących z farby drzwiach, przekreślił okrągłą, zaśniedziałą klamkę i wkroczył do swego pokoju w Prypeci.

Zwykły, czteropiętrowy blok mieszkalny, z pięcioma klatkami

schodowymi – z każdej z nich można było się dostać do dziesięciu mieszkań.

John zamknął drzwi na klucz, ściągnął przewieszzonego przez ramię czarnego L96 i odłożył go na stojaku. Zdjął buty oraz kombinizon, zostawiając na sobie jedynie dresowe spodnie i czarną podkoszulkę. Plecak z artefaktami został rzucony na zielony, obfity fotel.

Mieszkanie składało się z przedpokoju i 2 pomniejszych pomieszczeń. Przedpokój miał kształt litery L – w jej lewym dolnym rogu znajdował się skręt do małego pokoiku, w którym Finn urządził magazyn broni, artefaktów, pancerzy i amunicji. Przy samym wejściu do środka, na prawo, urządził niewielki salon.

John miał do swojej dyspozycji 3 na 3 metry kwadratowe. Pod wschodnią ścianą postawiono czerwoną, obitą skórą, śliską kanapę, pod przeciwną stał 24-ro calowy telewizor z wystającą anteną, opartą o ścianę. Same ściany, wraz z sufitem, miały biały, wypłowywały kolor. Wyłożenie dywanu (w tym przypadku zielonego, a był to raczej rozwijany kawał płótna, niż dywan) oraz sprzętu

zapewniającego codzienne wygody a malowanie ścian w mieszkaniu, które od kilkunastu lat nie nikt nie odwiedzał, to co innego. Na ścianach nie wisiało nic, poza SPAS'em 15 (umieszczonym na wwierconych uchwytych, rodem z garażu dla majsterkowicza) z pełnym magazynkiem. Broń ta nie rozpowszechniła się zbytnio ze względu na potężny, niemal nieludzki odrzut, ale John F. był nieludzki, nie tylko pod względem nadnaturalnej siły.

Wszelkie potrzeby fizjologiczne załatwiał zwykle w toalecie w sąsiednim mieszkaniu obok, a czasem najzwyczajniej w świecie odlewał się na klatce schodowej.

Teraz siedział na kanapie i pił herbatę. Zrobił nią w kubku przy pomocy grzałki, którą zasilał artefaktem. Skakał po programach w telewizji, na większości z nich trąbiono o Mryńsku i wybuchu w nowo otwartej elektrowni atomowej. Na razie nie było wiadomo nic o promieniowaniu, albo też nikt nie chciał podać tego do publicznej wiadomości.

„Bardzo dobrze.” – pomyślał.

Zadzwoił telefon.

John odebrał i słusznie spodziewał się najgorszego. W słuchawce rozległ się aż za dobrze znany mu głos.

– Leon i Mikołaj? -Jeszcze ży... – John nie dokończył, przez sekundę przemknęła mu myśl „Tylko nie to...”

Przez lewą rękę (trzymał w niej kubek z niemal wrzącą herbatą) Johna przeszedł paraliżujący ból, który zmusił go do wylania napoju prosto w krocze. Spodnie niewiele pomogły, Johna zapiekło tak mocno, że ledwie powstrzymał się od panicznego wrzasku. Zamiast tego zacisnął zęby, oblewając twarz krwistą czerwonym rumieńcem. Prawa ręka została zmuszona do zaciśnięcia jej palców na telefonie, również wywołując ból. Komórka ustawiła się na tryb głośnika i dobiegł z niej przeszywający, jeżący włos na głowie ton.

– Jutro o dwudziestej. Przy drzewie w Sali gimnastycznej. Blok 9A, klatka C, mieszkanie dziesiąte, lewe okno salonu. I przestań się przechwalać, czegoś to byś nie wytrzymał. Niszczysz garnizony, a wystarczy wrzątek i... po tobie. Nie jesteś jedyny – gdyby Susarro się ujawnił, nie był byś godzien

pucować mu butów. Za miesiąc wyruszasz do Mryńska.

Chwilę później w pokoju rozległ się dźwięk przerywanego połączenia. Ból ustał, a John ruszył do łazienki (wybiegł z mieszkania i barkiem wparował do sąsiedniego apartamentu – jego łazienka została z nieznanых przyczyn zamurowana) by się przebrać i opatrzyć poparzenie.

– Jutro o dwudziestej... – powtórzył, ściągając spodnie.

– Jutro o ósmej wieczorem. – oznajmił Masterton.

Siedział z Lennym, Leonem, Mikołajem, Markiem i Izaakiem w swojej kwaterze w obozie. Dochodziła jedenasta w nocy, obóz ucichł, bar opustoszał, a niebo poczerniało, tam, gdzie widoku nie zasłaniały chmury, świeciły gwiazdy. Blask księżyca był nikły z powodu chmur – było to samo pasmo, które ponad dwie i pół godziny dostrzegł Leon, kiedy Masterton testował karabin.

Pomieszczenie miało sześć na dziesięć metrów. Z lewej strony widniało duże okno, w tej chwili zasłonięte grubą, nieprzepuszczającą światło, ciemnozieloną firaną. W lewym górnym rogu stało piętrowe łóżko, naprzeciwko niego widniał mały telewizor, ustawiony

na półce.

Wzdłuż ścian ustawiono pięć foteli z drewnianymi, prostymi oparciami. Wszystkie były zajęte – tylko Mark siedział oparty o łóżko.

– Plan jest jasny, mamy wszystko co potrzeba? – zapytał

Jonathan. – Paralizatory?

– Są. – potwierdził Mark.

– Chloroform?

– Mamy.

– Broń?

– Też.

– A czym wysadzimy wieże?

– Mam już odpowiednie porcje Semtexu, wystarczy wsadzić detonatory.

– A jak zamierzasz je podłożyć? – rzekł Leon.

– Otoczę kamieniami i tyle. Po dwa na wieże – po jednym na nogę.

– Dobra... Masterton pokazał nam, którędy jechać. Mamy też ustalone miejsce przekazania Barry'ego do Wolności. Gdzie

podłożycie główny ładunek?

– Już jest podłożony. – odezwał się Mikołaj. – Na środku obozu, głęboko w ziemi.

Jonathan wrzasnął.

Wszyscy utkwili w nim spojrzenia. Psychol złapał obydwoma rękoma za głowę (sztylet w kastecie ocierał się o włosy) i kiwał nią w górę i w dół, na zmianę, niczym ofiara migreny. Krzyknął jeszcze raz, ale tym razem ciszej, po czym głęboko się skulił – utkwiał głowę pomiędzy ramiona i podkulił ku nim kolana. Oparty na samych biodrach, monotonnie się kiwał, wydobywając, długi, nieprzerwany, zduszony jęk.

Izaak podniósł się z krzesła, podszedł do Jonathana i położył mu rękę na ramieniu.

– Nic ci nie jest? – zapytał z troską i obawą w głosie.

Nagle Masterton gwałtownie odchylił głowę do tyłu, uderzając nią o ścianę.

Dyszał przez chwilę i oczy „podjechały” mu ku górze, ukazując jedynie białka.

Wszyscy aż odskoczyli ze strachu, jednak ten stan nie trwał długo

– po chwili zarówno na i martwym, jak i zdrowym oku, można było dostrzec już tęczę.

– Bierzemy ze sobą kombinezony.

– Przecież nie wyruszamy tam w strojach kąpielowych! – powiedział głośno Leon.

Masterton wciąż dysząc, mruknął z zirytowaniem.

– Wiem, ku*wa. Chodzi mi o kombinezony antyradiacyjne.

Leon zdenerwował się jeszcze bardziej.

– A po cholere nam one?! – teraz już niemal krzyczał.

Do dyskusji włączył się Mikołaj.

– Spokojnie! – uspokoił kłócącą się dwójkę.

Zwrócił się do Mastertona.

– Po co nam antyradiacyjne, Jonathan?

– Po prostu je weźmy. Nie mamy w nich chodzić non-stop. Ale czuję, że wydarzy się coś, co zmusi nas do ich użycia.

Promieniowanie będzie rosnąć... wybuch...

Zaczął kompletnie bełkotać, mówiąc bez ładu i składu.

- Czy to objaw jego... – Mark się zamyślił. – „Choroby”?
 - Nie. – Izaak udzielił błyskawicznej odpowiedzi. – To nie to. E! Ocknij się, człowieku! – wielka ręka wystrzeliła ku twarzy Mastertona, zatrzymując się na prawym policzku z głośnym plaśnięciem.
- Trafiony sapnął krótko i zaczął rozglądać się na lewo i prawo, jakby nie wiedział gdzie jest.
- Po prostu je weźmy. Coś się wydarzy, i będzie to początek końca tego miejsca.

11

Tej nocy Jonathan Masterton alias Psychol spał niespokojnie. Od czasu wieczornej rozmowy z znajomymi z obozu, powrócił jego najgorszy koszmar. Od dnia śmierci jego najlepszego przyjaciela, nigdy nie ujrzał snu z Adrianem. Został przez niego zastąpiony. Aż do dziś, 21 Marca 2001 roku, Jonathan miał szczęście nie doświadczać swej najgorszej traumy. Każde, bez wyjątku, poja-

wienie się niej, zostawiało w psychice Jonathana głębokie, nieusuwalne piętno. To jak z poezją starożytnych – stworzone, poczęte kiedyś i trwające do dzisiaj. Może kształty planet zmieniały się, ale trwało to setki lat – Jonathanowi na odwrócenie zmian zaszłych w jego duszy zostało ich ponad 30. Niektóre części snu uległy zatarciu przez podświadomość. Być może chciała ona nie dawać świadomości okazji do dalszego samozniszczenia, w pewnym sensie osiągnęło to swój skutek. Masterton pamiętał dobrze każdy szczegół, ale nic by tak nim nie wstrząsnęło, jak pełne przypomnienie sobie 1978 rocznika.

Tło było oślepiająco białe i bezkresne – istniał tylko Masterton (widział obraz własnymi oczyma, nie wiedział, jak wygląda, był pewien tylko swego 15-to letniego wieku) z Adrianem. Był on wysoki na około 170 CM, był barczysty, umięśniony i miał nieprzyjemne, wredne spojrzenie. Tego dnia ubrał się w ciemnoszary dres, ciemne spodnie, adidas, do tego zgolił się na łyso. Uśmiechnął się do Jonathana i zniknął. Sam Masterton zaś poczuł, że się cofa.

Do nieograniczonej bieli dołączył blok mieszkalny – typowy na tutejszym osiedlu w Prypeci. Jonathan nie zdziwił się, gdy nie z własnej woli właśnie wychodził z klatki schodowej. W śnie ludzie byli obserwatorami, mało kto mógł na nie wpływać. Jonathan dowiedział się, jak jest ubrany oraz ile ma lat – nosił sięgające kolan spodenki, śnieżnobiałą koszulkę, był 15-to latkiem.

Na koszuli zaczęły kwitnąć ciemne krople.

Masterton jęknął z bólu. Sprawilo to, że obserwującym go stalke-rom zrobiło się go żal.

– Budzimy go? – spytał Leon.

– Nie. Sam sobie poradzi. – zapewnił Izaak.

12

Deszcz.

Tego felernego dnia, kiedy zaprzepaścił sobie życie (choć do 2003 nie będzie tego świadom) padał ulewny deszcz. Gospodarz snu stał pod blokiem, rozglądając się na prawo i lewo. Czuł krople

deszczu, które chlustały go po twarzy, był nawet mokry, ale nie widział niczego poza bielą, blokiem, i sobą.

Z daleka, z potoku bieli, niczym z mgły, wyłonił się Adrian. Ubrany tak samo jak wcześniej, wykonał ten sam uśmiech.

– No witam. – rzekł, zmieniając uśmiech na szyderczy.

Jonathan poczuł jakiś metal w prawej dłoni. Pomiędzy dwoma palcami.

Uniósł rękę ku twarzy i spostrzegł kastet z wystającym sztyletem. Był nowy, lśnił, a otaczająca biel jeszcze bardziej podkreślała jego upiorny, surowy połysk. Nagle Mastertonem wstrząsnęły gwałtowne emocje. Przez moment poczuł się, jakby dowiedział się tego, co robił przez ostatnie 2 godziny, o których zapomniał z powodu amnezji. Wszystko wokół znowu się zmieniło – posiadacz kasteto-sztyletu w sekundę zmienił pozę. Był nisko zgarbiony, ręce miał spuszczone swobodnie ku ziemi, patrzył na Adriana spode łba, tak jak nigdy. Mimo swego wieku wyglądał dorosłe, a obecnym spojrzeniem złamałby niejednego dojrzałego mężczyznę. Nie patrzył w ten sposób na Adriana bez powodu. Sekundę później

poczuł w sobie wielką, ogromną wypełniającą całe jego ciało, niezdolną do zatrzymania, żądzę mordy.

Wszyscy patrzeli na Jonathana przerażonym spojrzeniem.

Łóżko, na którym leżał, było mokre od potu, którego zapach wypełniał całe pomieszczenie.

Widząc jego cierpienia, Leon musiał zareagować.

– Zbudźmy go, Izaak. Nie mogę na to patrzeć.

– Wiesz, co mu się śni, prawda? – głos Mikołaja miał zatroskany i zaniepokojony ton.

– Nie mamy pewności. – Izaak zamyślił się głęboko.

Mark nie wytrzymał.

– Koniec tego! – wrzasnął, aż wszyscy podskoczyli.

Zerwał się z fotela (byli w kwaterze Mastertona, od dwudziestu minut wszystkie fotele ustawiono pod łóżkiem) i podniósł prawą rękę, by uderzyć nią śpiącego w twarz. Równocześnie z jego, w powietrze wystrzeliła prawa dłoń Mastertona. Z nałożonym nań kastetem, wraz z złowieszczo błyszczącym ostrzem. Kończyny trafiły się nawzajem.

Nikt nie potrafił określić tego dźwięku jednym słowem.

Charakterystyczny odgłos przebijanej skóry i krwi, która ochlapała ubranie Marka.

Ze środka dłoni wystawało zakrwawione ostrze, wokół którego powoli płynęła czerwona posoka. Wyraz twarzy Jonathana mówił, że jeszcze się nie zbudził – Marka, że jest w szoku. Zaczął się trząść, a wraz z nim przebita dłoń, której kość wydawała upiorny, cichy zgrzyt, ocierając się o metal. Nie czuł jeszcze bólu – szok był zbyt silny i przesłaniał wszystkie inne uczucia.

Błyskawicznie wyciągnął poranioną dłoń, ponownie wydając nieprzyjemny dla ucha dźwięk. Trysnęła kolejna porcja krwi i Mark wrzasnął przeraźliwie. Ręka Mastertona wciąż sterczała w powietrzu, a jej właściciel trwał już nie we śnie, lecz w transie. Mark pojękując i trzymając rękę wysoko, doskoczył do wiszącej szafki, potężnym uderzeniem pięścią otworzył ją, po czym wydobyl z niej silny lek przeciwbólowy oraz apteczkę.

Reszta patrzyła to na niego, to na Mastertona z sztywną kończyną, na zmianę, wciąż nie mogąc nadziwić się zaistniałej sytuacji.

Leżący sprawca uszczerbku na ręku Marka uciszył się, opuścił ręce wzdłuż boku i otworzył oczy. Spocił się jeszcze bardziej – twarz dosłownie błyszczała w jasnożółtym świetle żarówki. Miał też krótki, gwałtowny oddech.

Podniósł się, jak gdyby nigdy nic, spojrzał na zakrwawiony kastet przerażonymi oczyma.

– Co się stało? – zapytał ledwie słyszalnym szeptem.

„Nie jestem „zaczepny”, raczej spokojny. Stary, przecież ja niktogo w życiu nawet nie uderzyłem! – mówił, lecz nie wiedział, jak szybko to się zmieni.

„Nigdy nic nie ukradłem... żal mi jest takich, co okradają rodziców dla marnego zarobku – byle się upić, byle się upalić...” – mówił, lecz nie wiedział, że pierwsze morderstwo popełni będąc jeszcze nastolatkiem.

„Będziesz wielki, świat jest twój i zdobędziesz go tylko dla siebie.” – mawiała mu rodzina, i on sam sobie. Nie widział, że zaledwie piętnaście lat po narodzinach, jego życie straci całkowity sens – będzie karą, nie błogosławieństwem. Zwykłą udręką, którą będzie

chciał jak najszybciej zakończyć.

Następny ranek był wietrzny i zimny – mało kto wychodził ze swej kwatery, tudzież baru, chyba, że miał ku temu naprawdę ważny powód. Do tej wąskiej grupy zaliczał się Lenny – musiał wyruszyć do Powinności po broń zamówioną dla Marka – Walthera WA2000.

Przekazał Leonardowi torbę z pieniędzmi i przypomniał mu, że ma wrócić przed szóstą.

– Tak, mam. – odparł udawanym głosem małego dziecka wychodzącego na podwórko. – Będę grzeczny i wrócę, zanim się ściemni.

Mark roześmiał się i życzył znajomemu powodzenia.

– A tak w ogóle. – spytał ten drugi. – Skąd do cholery masz tyle kasy?

Nabywca drogiego karabinu zamyślił się głęboko. Po chwili ujrzał oczyma wyobraźni setki wielkich worków z drogocennym, białym proszkiem. Proszkiem, którego handlem i przemysłem zajmował się przez większość swego życia.

– Odłożyłem sobie z poprzednich zajęć. – Rozbawiła go ta myśl. Procent pieniędzy, które posiadał, tych, które dzisiaj wydał na broń, mogłyby być równie dobrze spożytkowane w ramach papieru toaletowego. Handel narkotykami był niesamowicie, niewyobrażalnie dochodowy. Trzeba być człowiekiem z nie lada łbem, żeby chociaż wyobrazić sobie skalę zysków wynikających z tego samozwańczego rynku.

– No dobra... to ruszam... – Lenny westchnął głęboko, jakby z obawą i niepokojem, po czym zszedł ze schodków prowadzących do pomieszczenia Marka, obrócił się na pięcie i szybkim chodem ruszył w kierunku bramy.

Ubrał typowy kombinezon, a pod spód kamizelkę. Z najbliższej leżącej w okolicy anomalii – małej „Karuzeli” położonej dziesięć minut drogi stąd, Lenny’ego miał do obozu Powinności zawieźć ich człowiek, a po wymianie odwiedzić go z powrotem. Był więc bezpieczny.

Mark zaczął już się trząść od chłodnego powiewu. Ubrany w kurtkę i lekkie spodnie, w popłochu wrócił do „mieszkania”, zatrza-

skując drewniane drzwi.

13

Leon obudził się z momentem pierwszego blasku porannego słońca.

Jak zwykle („Niech to...” – pomyślał sobie) nie pamiętał, o czym śnił.

Wyciągnął się szeroko, ziewając i lewą dłonią oraz nogą zahaczając o ścianę. Spał w samej bieliźnie i było mu trochę zimno, przykrył więc szybko nagi tors kołdrą. Spojrzał zaspanym wzrokiem na kalendarz, wiszący tuż obok jego głowy, nad łóżem.

22 Marzec. 2001 rok

Trzydziestego będzie jego czwarta rocznica pobytu w Zonie. Też mi, ku*wa, powód do świętowania... Powinienem tego dnia palnąć sobie w łeb na oczach wszystkich, ku przestrodze. Leon jednak zbyt mocno szanował życie, by poświęcić je dla innych. Poza

kilkoma, nielicznymi wyjątkami, generalnie nie wierzył w ludzi. Zdanie to wyrobił sobie to zbyt wielu niemiłych doświadczeniach. „Twa ofiara była próżna, Jezusie.” – mawiał niegdyś. Widząc, co niektórzy na tym świecie wyprawiają, męki na krzyżu wydały mu się bezcelowe. Czy był bezbożny? Na pewno łamał mnóstwo zasad Typowego Katolika. Pytać, czy agent służb specjalnych jest wierzący i przestrzega nauk Kościoła, jest równie mądre, jak pytanie Jimiego Hendrixa, czy miał kiedykolwiek w ręku gitarę. Długopis, trzymany przez rękę Leona, powędrował w stronę kalendarza. Pod liczbą 22 Leon napisał niebieskim kolorem kilka słów. „Kolejny dzień w Zonie z kategorii posranych. Miłej zabawy, chłopie! I nie daj sobie odstrzelić dupy!” Uśmiechnął się na myśl o własnym poczuciu humoru. Napisał coś pod dniem dwudziestym trzecim. „Jeśli przeżyję, będzie trzeba to opić. Zadzwoń do Pawła po kilka sześciopaków, i coś mocniejszego. Jeśli zaś nie, nagranie znajdą państwo pod deskami w podłodze mego pięciogwiazdkowego apartamentu. Miłego dnia.” Spojrzał na ścienny, staromodny wahadłowy zegar. Dochodziła ósma rano. Masz dwanaście godzin

do przekonania się, z jakiej jesteś gliny, Leon. Dwanaście godzin na przygotowania i zrobienie chyba najbardziej szalonej, zaraz po skoku w uran na dnie elektrowni, rzeczy w historii Zony. Co następne? Balansowanie w anomaliach? Próba morderstwa Johna F. przy pomocy zabawkowego pistoletu, z którego lufy wystawała chorągiewka z napisem „Boom!”? Wstał z łóżka i doczłapał do szafy z ubraniami.

Mikołaj już o siódmej rano stał na nogach. Obudził się godzinę wcześniej, dwadzieścia minut poświęcił na ćwiczenia, ubranie się, zjedzenie śniadania i typowych nowo dziennych czynności. Po wyjściu z domu, został do niego niemal wepchnięty przez lodowaty wiatr. Z pewnością nie była to pogoda, podczas której można było spacerować w samej koszuli z długimi rękawami. Po nałożeniu białego podkoszulka, grubego, czarno-pomarańczowego swetra, cieplejszych, czarnych, ocieplanych polarem spodni oraz ciemnej kurtki z kapturem, Mikołaj podbiegł do domu Mastertona. Wiatr był wyjątkowo nieprzyjemny i mówił wręcz „Wracaj do domu, póki się nie zaziębisz!” Stanąwszy przed drzwiami kwatery

Jonathana, Mikołaj nacisnął biały przycisk dzwonka. Stylizowany na ćwierkanie ptaka dźwięk nie zmusił właściciela do otwarcia drzwi. Mikołaj spodziewał się tego, wyjął więc zapasowe klucze. Mastertonowi nie podobało się, że może do niego wchodzić kiedykolwiek zechce, ale odkąd uratowano mu rękę tylko dzięki „wproszczeniu się”, zmienił swe nastawienie. Włożył kluczyk, przekręcił szybko dwa razy w lewo, lekko uchylił drzwi, wsunął się do środka, po czym powoli je zamknął. Przedpokój w kształcie przybliżonym do sześcianu oraz dwie sztuki drzwi. Jedne na lewo, prowadzące do mini-kuchni oraz ubikacji, także prysznic, drugie do sypialni i czegoś, co na siłę można by nazwać salonem. Zanim Mikołaj zdążył dotknąć klamek tych drugich, usłyszał dźwięk tłuczonego szkła. -Wiedziałem, ku*wa, że tak będzie! – krzyknął, wywarzywszy drzwi barkiem. Masterton, ubrany w bieliznę, także skarpety (białe) z narzuconą na siebie czarną marynarką, siedział na fotelu dosuniętym do stolika. Telewizor był włączony, grał jakiś stary film sensacyjny. Leżały pod nim drobiny kieliszka rzuconego przez Jonathana. Miał zapity wzrok, którym gapił się w pustą

butelkę po wódce, trzymaną przez niego w lewej dłoni. Obracał ją na różne strony i podziwiał sposób, w jaki zniekształcała widok. - Kompletnie pijany... – mruknął Mikołaj, wyrывая przyjacielowi butelkę z ręki, po czym rzucił ją na łóżko. – Jesteś napierdolony w trzy dupy, a o ósmej mamy robotę! Pijany uniósł rozkołysaną głowę i spróbował skupić spojrzenie na stojącym nad nim człowiekiem. Na próżno – gałki oczne błędziły na oślep, nie mogąc się chociażby na moment zatrzymać. „Kompletnie pijany...” – pomyślał w duchu Mikołaj. Z politowaniem, ale i troską.

O 10 rano John próbował przypomnieć sobie dane, które przekazano mu ostatniego dnia. Ładunek pojawi się o 19-tej przy drzewie, które wyrosło pośrodku sali gimnastycznej szkoły nieopodal. Anomalia wymagana do rzutu będzie... Finn pomyślał przez chwilę... Na razie pamiętał tylko, że będzie to w bloku położonego dość daleko od domu Johna, a dokładniej w salonie, pod lewym oknem. Cóż, został na to cały dzień. Prócz roboty zleconej mu przez Marvina, nie miał nic ważniejszego do roboty. Najlepiej było się po prostu gdzieś położyć i cały czas myśleć. Gdyby nie

zdążył, była by to jego ostatnia okazja do jakichkolwiek czynności. Fakt, John Finn był silny, wręcz niezniszczalny, ale wczoraj, zaraz po poparzeniu go wrzątkiem, Marvin uświadomił mu pewną bardzo ważną rzecz – gdyby Susarro się ujawnił, John nie miał by w Zonie czego szukać.

– Masterton? Pijany?! – Mark schował twarz w dłoniach, wzdychając z załamaniem tonem. Nie mógł uwierzyć, że Masterton się zwyczajnie upił. Musiał w akurat ten dzień?! Zresztą... może miał ku temu powody? Gównie prawda! Nawet byle frajer nie upija się, bo coś mu się przyśniło! – A kiedy mu przejdzie? – Leon był zniecierpliwiony i również podenerwowany z powodu zachowań Jonathana. – Dobrze wiesz, jak „mocny” – ton przez chwilę zmienił się na drwiący. – on ma łeb. Niestety, wiedział. Warto było próbować sprowadzić go do kacy, by na kacy strzelał? Markowi niewiele brakowało, by się roześmiać. Oto ich najbardziej niebezpieczna misja, a udana tylko dzięki skacowanemu snajperowi! Lenny zaraz po Jonathanie był pośród wszystkich „spiskowców” najlepszym strzelcem, poza tym, jak wyniknęło ubiegło godzinnej rozmowy,

miał on spore doświadczenie w używaniu Barreta. Drobna zmiana planów. – stwierdził Mikołaj. – I po krzyku. – Izaak i Lenny – zaczniecie podkładać bomby. – oznajmił. – Potem ty – zwrócił się do Izaaka – wsiadasz do ciężarówki, którą Radek będzie prowadził. Lenny do kryjówki i na mój znak zaczniesz strzelać. Ja, Mark i Leon zajmujemy się Jeffersonem. Wszystko jasne? Grupowe skiniecie głową. – Dobra... Radek. Zaczynaj obmyślać władczą gadkę, żeby Barry jeszcze bardziej narobił w portki.

Porcja Semtexu otoczona, wręcz oblepiona kamieniami, wypadła z kieszeni Izaaka tuż pod lewą nogę południowo-wschodniej wieży. Izaak dopalił papierosa, zgasił go o leżący pod nim kamień i przeszedł na środek obozu. Pod flagą stał Lenny.

– To już ostatnia. – zakomunikował mu.

– Dobra... – Lenny zarzucił plecak na ramię. – Idę na stanowisko...

– Powodzenia.

– Taa... przyda mi się.

Południe oraz wczesny wieczór minęły spokojnie. Wszyscy, prócz

Leonarda o 17 wybrali się do baru na piwo, obgadując ostatnie szczegóły. Mieli cały sprzęt przy sobie – paralizator, chloroform, detonator oraz broń. Zsynchronizowali zegarki umówili się, że odpalą Semtex równo o 20. Za godzinę Radek miał pójść do ciężarówki – zaparkowali ją w nocy.

Słońce chyliło się ku zachodowi, było ciepło i wilgotno, wiatr ustał więc rośliny, trawa i korony drzew trwały w bezruchu. Spora część obozu wybyła w głąb Zony. Ci którzy zostali – Mark, Leon i cała reszta, była gotowa i z niecierpliwością oczekiwała ósmej. Chcieli to mieć za sobą – oczekiwanie było dla nich udręką. Podobnie jak ostatnie losy Mastertona – Mark czuł się niedoinformowany – reszta zachowywała się, jakby znała przyczyny ostatniego zachowania Psychola. Czy znali się od dawna? Przyjaciele z dzieciństwa? Możliwe. Musiał się w końcu dowiedzieć, o co chodzi. Bycie „jedynym niewtajemniczonym” od zawsze go denerwowało.

19:30

John stał na klatce schodowej C bloku 9A na osiedlu położonym na południu Prypeci. Była odrapana z jakiegokolwiek farby, okna po lewej i prawej stronie zostały wybite, a drzwi wejściowych po prostu nie było. Połowę skrzynek pocztowych zerwano, ocalało ich jedynie pięć. Na ziemi leżało mnóstwo drobnego gruzu i szarego pyłu, oraz fragmentów porozbijanego szkła. Na zewnątrz było pusto i cicho. W promieniu kilometra znajdował się jeszcze jeden blok – zbudowano go naprzeciwko tego, pod którym stał John. Lata świetności miał dawno za sobą – farba zeszła, okna były zdemolowane, nawet duże graffiti pokrywające wschodnią ścianę wypłowiało. Był przeraźliwie pusty i cichy, a myśl, że mieszkały tam dziesiątki ludzi, zawróciła Johnemu w głowie. „Takie rzeczy tylko w Zonie!” – pomyślał z rozbawieniem. Balkon na wysokości czwartego piętra był zerwany, przez co można było dostrzec pomieszczenie, które niegdyś było kuchnią. Przestrzeń pomiędzy budynkami wypełniała droga – na jej środku leżała zdemolowana, pordzewiała budka, pełniąca kilkanaście lat temu funkcję kiosku,

a obok niej duży głąz. Na szosie walały się papiery, butelki i kamienie. Wzdłuż rosły 2 zaniedbane, obwisłe drzewa.

Powiał silny wiatr. Szkła na ulicy potoczyły się z donośnym dźwiękiem, zaszumiały leżące wokół papiery, podniosły się też tumany bladego kurzu. Niegdyś tętniąca życiem okolica, pełna rozkrzyczanych dzieci, dorosłych udających się do pracy oraz ich pociech wynoszących śmieci, teraz była opustoszała. Ani żywego ducha – pustka, dobrze zachowane bloki pełne wspomnień, John F. i nic poza tym. Przynajmniej tak się wydawało, dopóki na ulicy nie rozległ się ryk.

Finn aż podskoczył i szybko wyrwał się z głębokiego zamyślenia. Ustalił źródło krzyku – dobiegał on z pokoju bloku naprzeciw. Wiedział tylko, że na parterze, lecz nieznane mu było dokładne mieszkanie. I tak na niewiele by mu to się zdało, ponieważ twórca hałasu ujawnił się. Z położonego na prawo pokoju coś wyskoczyło. Otarło się to o wystające z ramy kawałki szkła, kalecząc się przy tym. Strużka krwi naznaczyła biały parapet. Z okna wyłonił się mutant – ewidentnie był to snork. Wylądował na plecach,

lecz w sekundę zmienił pozę na typową dla tego gatunku stworów – nisko pochylony, wręcz zgarbiony, poruszający się na nogach i dłoniach niczym pies. Ubrany w typową przeciwgazową maskę z urwanym przewodem, która zakłócała nierówne i nieprzerwane dyszenie poczwary. Zniekształcone i poranione, wręcz zniszczone ciało, okrywały pozostałości czarnego kombinezonu stalkera, niegdyś dumnego, teraz chroniącego jedyne resztki godności, które pozostały temu nieszczęśnikowi. Szkiełka maski były zaparowane i brudne, ukrywając ślepie.

Snork zwrócił się w stronę Johna, który stał tuż pod klatką schodową. Dzieliło ich ponad dwadzieścia metrów. Potwór podskoczył w miejscu i ruszył w stronę Finna. Krótkimi, szybkimi podskokami – podczas każdego dyszenie stawało się głośniejsze, a rura maski stukała o asfalt.

Odległość odskoków rosła szybko – przy czwartym snork pokonał odległość trzech metrów. Stalker czekał cierpliwie, lekko pochylony i z odchyloną prawą dłonią.

Odległość drastycznie się zmniejszyła, kiedy poczwara wybiła się

przy pomocy większego głazu – skok miał siedem metrów długości. Był zarazem ostatni, gdyż pomiędzy Johnem a snorkiem zostały już tylko cztery metry, ten drugi zaczął więc biec. Biegł, unosząc kończyny niczym pies, niczym lampart goniący ofiarę, poruszając się z wielką szybkością i, co zaskakujące, gracją.

Zatrzymał się nagle, uklęknął nisko i wzniosł się w powietrze z wystawionymi nogami, którymi miał zamiar powalić Johna. Całej scenie towarzyszył nieludzki ryk.

Finn ugiął kolana i wystającą dłonią sformowaną w pieść z wielką siłą (także Sprężyny, którą zawiesił sobie na pasie) grzmotnął snorka w sam środek jego maski. Rozległ się dźwięk łamanych kości i pękającego szkła, którego fragmenty wylądowały na drodze. Chlusnęła czerwona posoka i stwór uderzył w ścianę klatki schodowej, nie tylko z siłą uderzenia stalkera, lecz siłą jakiej użył do skoku.

Leżąc na brzuchu, wierzgał się na lewo i prawo – nie dyszał już, lecz sapał, tonem pełnym wściekłości i upokorzenia. Z przekrzywionej osłony na twarz obfitym strumieniem płynęła krew.

John chwycił w prawą dłoń Berettę 81 i celnym strzałem w głowę skrócił agonię mutanta. Po włożeniu pistoletu z powrotem do kabury, poczuł w uszach ogłuszający pisk.

„Co jest, do cholery?!“ – przemknęło mu przez głowę. Odgłos był tak mocny i intensywny, że John zapomniał o wszystkim innym, próbując go zniwelować. Okrycie uszu dłońmi nie dawało efektów. Po trzech sekundach przeraźliwego dźwięku Finna rozboleła już głowa. Momentalnie został on zastąpiony przez coś innego – odgłos przypominający wybuch, gwałtowne tupnięcie dochodził z trzeciego piętra bloku 9A.

John wiedział co to.

Miotacz znalazł położenie.

Finn błyskawicznie chwycił dwa Elektro w ręce i nadludzko szybkim biegiem popędził do przepołowionej Sali gimnastycznej. Miał pięć minut, zanim Kula zniknie.

14

- Za pół godziny zaczynamy... – rzekł Leon po spojrzeniu na ręczny, srebrny zegarek, który błysnął w nikłym słońcu, kiedy zsunął się na niego rękaw. – Za dziesięć idziemy do Barry’ego. Radek z Izaakiem są już w ciężarówce... – spojrzał w ciemnoniebieskie, zachmurzone deszczowymi chmurami niebo.
 - To czekanie mnie dobija...
- Trzy kwadranse i będzie po wszystkim. – uspokoił go Mikołaj.
 - Co z Mastertonem?
- Wciąż śpi, wciąż pijany, a ja wciąż jestem na niego wku*wiony. Chociaż...jeśli to naprawdę to, co myślę...
- Nie myśl. Wiedz. To na pewno... – nie zdążył dokończyć, gdyż brutalnie przerwał mu Mark.
- Skończcie do cholery jasnej z tym „to”! O co wam chodzi? Co takiego Masterton zrobił, że tak mu odbiło? – założył ręce na piersi i niecierpliwie czekał na odpowiedź.

W całym gronie zapadła głucha cisza. Wiatr przybrał na sile tak dużo, że Lenny się zachwiał.

– Powiedzieć mu? – spytał Lenny.

Reszta stalkerów pokiwała potwierdzająco głową. Lenny nachylił się do ucha Marka i zaczął coś mówić. Cichym, słabo słyszalnym głosem, a Mark w pełnym skupieniu słuchał. Po minucie oczy rozszerzyły mu się w akcje przerażenia – jęknął coś pod nosem i nasłuchiwał dalej, jakby wstrząśnięty i obawiający się dalszych informacji. Leonard swoją opowieść zakończył głośniejszym tonem, lecz wciąż nikt w okolicy nie miał szans dowiedzieć się, co dokładnie powiedział.

Mark stał przez chwilę zdziwiony, zszokowany, a może dotknięty tymi dwoma emocjami na raz. Myślał, próbował sobie wyobrazić, jak można sobie w tak głupi sposób zmarnować życie. Taki młody...

– Współczuję... – mruknął.

Wiatr smagał Johna silnie po twarzy. Pędził po opustoszałych ulicach Prypeci od ponad dwóch minut – do Sali gimnastycz-

nej zostało mu ponad dwieście metrów. Omijał kratery po wybuchach, kupy gruzu odłamane od okolicznych budynków, zardzewiałe budki, pręty, przystanki autobusowe. Ciemne niebo było ledwie widzialne zza deszczowych, szarych chmur, które po chwili zasłoniły także słońce. Prypeckie osiedle zostało ogarnięte przez lekki cień i półmrok – Finn poczuł się nieswojo. Po chwili zauważył wielką wyrwę w ścianie, za którą znajdowała się stara hala do ćwiczeń uczniów pobliskiego gimnazjum. Wbiegł do niej tak szybko, że nie zdążył wyhamować, potknął się o wystający kamień i z krzykiem wpadł do środka pomieszczenia, łomocząc przy zderzeniu z podłożem.

Sala miała dziesięć na dziesięć metrów, po lewej stronie dalej przychepione były bale do wspinania się, pod nimi zaś stały dwie długie, drewniane ławki. Ściany były pokryte niegdyś beżową farbą, której mizerne, odpadłe resztki leżały na ziemi, ukazując surowe betonowe płyty, z których zbudowany został budynek. Oznaczenia boisk z desek dawno się starły, ocalała jedynie jedna, długa, czarna kreska, wyznaczająca środek. W tej sali także było dusz-

no, głównie z powodu wiszącego w powietrzu brudu oraz wdierającego się do nosa i gardła białego tynku oraz nieprzyjemnego, przyprawiającego o mdłości zapachu.

Wiejący na zewnątrz wiatr tylko częściowo docierał do wnętrza, a zderzając się z zniszczonym murem, świszcząc przeraźliwie. Z samego jej środka wyrastało niewielkie drzewko – z niewielką ilością zielonych liści, dość zdrowe, można by powiedzieć, zadbane. Gałązki były szeroko rozpostarte i rzucały wokół chude, długie cienie. Gdy John wstał na równe nogi, zauważył na ścianie na prawo wryte cyrklem serce i inicjały R.I + H.N.

Uśmiechnął się na myśl o szalejących tu lata temu dzieciach. W miejscu, gdzie zwykle nauczyciel WF'u przywykł kłaść piłkę, leżała Kula. John aż zaniemówił z wrażenia, mimo, że widział ją już nie pierwszy raz. Mała, o średnicy maksymalnie siedmiu centymetrów, błyszczała nienaturalną, wręcz oślepiającą bielą. Co najciekawsze, deski, na której leżała, nie miały na sobie żadnych świetlnych refleksji. Kula pełna była blasku, którym jednak nie chciała się dzielić z otoczeniem. Nie wydawała żadnego dźwięku,

nie poruszała się też – trwała w deskach, niczym wryta, nie ruszając się o ani milimetr, nie wydając najmniejszego dźwięku.

Finn schylił się powoli i dotknął Kuli palcem wskazującym. W miejscu, w którym spoczął, biel ustąpiła całkowitej, smolistej czerni. Tak samo stało się, gdy została chwycona całą dłonią – miejsca, które cokolwiek dotykało, były całkowicie czarne. Uniósł ją przed siebie, wpatrując się weń z podziwem. Nie wierzył, że taka potęga mieściła się w czymś tak małym.

Za dziesięć dwudziestą. Podczas, gdy John F. dotarł już, przezierając się przez puste osiedla, do Miotacza, Mark zapukał do drzwi Barry’ego Jeffersona. Serce waliło mu jak młot, tak głośno, że zagłuszało (z punktu widzenia Marka) otoczenie. Niewiele brakowało do zapadnięcia na zewnątrz całkowitej ciemności – mimo, że nie było wcale tak późno, wchłaniające wszelkie światło słońca chmury stwarzały wrażenie, iż jest około jedenastej w nocy.

Wiatr ucichł, zaś z niewiadomych przyczyn, poza trójką stojącą pod domkiem Jeffersona (Markowi towarzyszył Leon i Mikołaj, tak, jak się umawiali) na zewnątrz nie było nikogo. Bar za to aż

pękał w szwach od naboru gości. Wrócili zmęczeni po „całym dniu pracy” i zwyczajnie odpoczywają. – pomyślał z tęsknotą Mikołaj, ściskając walizkę, w której trzymał kładkę. O niczym tak nie pragnę, jak usadowieniu się w barze i...

Drzwi uchyliły się – otworzył je młody mężczyzna koło trzydziestki, z krótkimi czarnymi włosami. Ubrany był w bluzę i dżinsy, mający około 170 CM wzrostu.

– Słucham? – spytał grzecznie.

Mikołaj przestał myśleć o zimnym piwie w towarzystwie znajomych (a być może próbował sobie tylko wmówić, że tak robi, gdyż myśl ta była niezwykle pociągająca, szczególnie w obecnych okolicznościach) i wkroczył na pierwszy schodek prowadzący do kwatery szefa.

– My do Jeffersona. – odpowiedział. – A ty...

– Chciał dzisiaj wzmocnionej ochrony.

– On? Tutaj? A co miało niby miałoby mu się stać? – odwrócił się, upewniwszy, że nikt go nie widzi.

Strażnicy mogli co najwyżej powiedzieć o „trzech mężczyznach w kapturach” – cały ubiór Leon z Mikołajem i Markiem mieli jednakowy, a żaden z nich nie miał niczego w stylu „cechy, po której poznam, że należy do tego i tego”. Nie widział jednak, ilu strażników jest w środku. Spokojnie... – uspokoił się w duchu. – Najpierw wejdźcie do środka, macie Rękę Kontrolera, więc w razie czego możecie jej użyć.

Czemu więc, do ch*ja, nie użyjecie jej na Jeffersonie, geniusze? – durne alterego Mikołaja dało o sobie znać. Nic poważnego, pewnie jego podświadomość kazała wszystkie jego życiowe wątpliwości wyrażać w postaci drugiej tożsamości. Bo współpracowników Jeffersona nie należy lekceważyć. Gdyby dorwali go w stanie „Chryste, gdzie ja jestem, kim ty i ja jestem?!” zbadali by go na wszystkie możliwe sposoby i odkryli powód amnezji, a do tego odwrócili by jej efekt. – odpowiedział alteregu...

Sobie?

Po czym myślał dalej, co robić. Myśl...

Chwila... znał tego gościa, który im otworzył. Jego skłonności do

alkoholu były wszystkim znane. Na imię miał Irek, ale wszyscy nazywali go Pijaczną. Tak, upozorowanie upojenia alkoholem to dobry pomysł. W przypadku Barry’ego na przeszkodzie stało by im co innego – jego ciągle zażywanie leków przeróżnej maści – wliczając w to antybiotyki. Ręka Kontrolera nie interweniowała bezpośrednio w organizm, jednym słowem, była bezpieczna nawet dla staruszka, którego powiew dałby radę zamienić go w pył. Barry trzymał u siebie sporo alkoholu – dla gości, sam nigdy nie pił. Upić strażników, użyć artefaktu, a do tego narozrabiać w biurze Barry’ego. Pomyślą, że strażnicy zrobili mu awanturę po pijaku. – W takim razie... – kontynuował Mikołaj. – Możemy wejść? – Jasne... – Irek uchylił drzwi szerzej, wpuszczając trzech przyszłych porywaczy do środka.

Gdy weszli do środka, zauważyli dwóch innych strażników – jeden siedział na małym krzeselku pod zachodnią ścianą, przy drzwiach do toalety, drugi zanurzył się w wytartym, zielonym fotelu, stojącym na prawo od drzwi wejściowych. Sam znajdujący się na dole przedpokój miał niewiele ponad cztery i pół metra kwadratowego.

Mikołaj postawił walizkę przy drzwiach.

Ściany, podłoga oraz sufit były z czystego, jasnego drewna – nie było go widać jedynie pod dwumetrowym, rozłożonym przed schodami na piętro, czerwonym dywanem. Irek usiadł zamknął drzwi i stanął pod nimi, trzymając dłoń na kaburze, z której wystawała rękojeść potężnego rewolweru. Broń pozostałych dwóch strażników oparta była o ich siedzenia – po dwa AKM. Leon i Mark nie wiedzieli, co począć. Czekali na jakiś znak od Mikołaja. Ten drugi podszedł do dwójki, wyjął paczkę papierosów...

– Można? – odwrócił się i spytał pozostałych w pokoju.

Strażnicy skinęli głowami na zgodę. Wyciągnął z niej trzy papierosy – podał każdemu po jednym i sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. Mark z Leonem zbliżyli się z wyciągniętymi w dłoniach papierosami. Zapalniczka zapłonęła ogniem, i w momencie, w którym wszystkie papierosy były zapalone, Mikołaj powiedział cicho.

– Po trzecim ich załatwiamy.

Oddalili się od siebie, paląc. Zaciągali się długo, a jeszcze dłużej trzymali dym w ustach. Mark zerknął na zegarek – do dwudziestej

zostało siedem minut. Nie wiedział, co później zamierza Mikołaj, ale ufał mu. Cokolwiek chciał zrobić, ufał, że wymyślił coś sensownego. Po drugim zaciągnięciu się Mikołaja, dwaj agenci zbliżyli się nieco do strażników. Sam Mikołaj stanął dziesięć centymetrów od Irka.

– Barry zdradzał wam jakieś szczegóły? Czuje się zaniepokojony, czy co?

– Nic na ten temat mi nie wiadomo...

Nastała ta chwila, w której Mikołaj zaciągnął się po raz trzeci. Długo, „przyspawając” papierosa i jednocześnie patrząc prosto w oczy Irka. Odchylił się lekko do tyłu, i uśmiechając się krzywo, wypuścił dym przez nos. Zauważywszy to, Mark z Leonem zadziałali, lecz Mikołaj był pierwszy.

Z wielką szybkością uderzył Irka w żołądek – tak mocno, że ten chwycił się za niego oburącz i zaczął kurczowo chwytąć powietrze. Następnie wymierzył „haka” w tył kolana, co zmusiło Irka do zgięcia się w prawą stronę, niemal zmuszając się do upadku. Został chwycony przez ramiona i szybko odwrócony plecami. Le-

wa ręka spoczęła na plecach, przyciskając Irka do drzwi, prawą zaś Mikołaj wyjął z kabury swojego Colta. Uderzył nim całą siłą w tył głowy strażnika, pozbawiając go przytomności. Lewa dłoń przytrzymała bezwładne ciało, by nie huknęło przy zetknięciu z deskami.

Leon rozwiązał sprawę podobnie, lecz nieco prościej. W lewej dłoni pojawił się nagle pistolet z długim, szarym, tłumikiem. Była to była broń ukraińskich agend bezpieczeństwa, prawdziwa spuścizna po ubiegłej epoce. Chwycony przez lufę, pistolet kilkakrotnie uderzył strażnika w głowę, który zdążył poderwać się na równe nogi i chwycić broń. W momencie, w którym sięgnął dłonią do bezpiecznika, Leon zaczął tłuc go kolbą pistoletu po twarzy. Każde uderzenie kolbą sprawiało, że ochroniarz słabł coraz bardziej i „wracał” do pozycji siedzącej. Na szczęście dla porywaczy, nie zdążył odbezpieczyć kałasznikowa. Czwarte uderzenie wystarczyło – siedzący stróż bezwładnie opadł głową w dół. Mark rozprawił się z ostatnim strażnikiem. w wyjątkowo prymitywny sposób. Wystarczył potężny cios w podbródek.

Palce ofiary Leona zeszytniały i wysunął się z nich karabin. Upadł z łomotem na ziemię, przez co w pokoju zapadła głucha cisza. Wszyscy nasłuchiwali, czy z góry dobiega jakiś odgłos. Nie było na co czekać – może właśnie szykował się do ogłoszenia alarmu.

- Kończy nam się czas. – powiedział zaniepokojony Leon.
- Na górę. Szybko – odpowiedział Mikołaj krótko, chwytając neseser. – Ja zajmuję się Barrym, wy bierzcie cały jego alkohol i... macie wlać go w tą trójkę. Mark, szykuj Dłoń Kontrolera. Szybkim krokiem zaczął się wspinać po schodach. Przygotował paralizator. Po wejściu na piętro, zapukał dwa razy do biura.
- Wejść! – krzyknął Barry.

Mikołaj powoli nacisnął klamkę, powoli otworzył drzwi (które zostawił uchylone) i wszedł do środka. Z wielką ulgą dostrzegł, że Jefferson siedzi na swoim krześle niewzruszony, niczego nie podejrzewając. Gabinet był mały, jego ściany były pokryte trofeami, w tym zakonserwowaną głową mięsacza oraz dzika.

Resztę wyposażenia stanowiło już tylko drewniane, ciemne biur-

ko, za którym siedział Barry – miał grubo ciosaną twarz, duży, wystający brzuch i siwiejące włosy. Był w wieku około pięćdziesięciu lat, reszta nie interesowała się dokładną datą jego narodzin. Kładka ukryta w walizce wylądowała na podłodze.

- Taa? – spytał Barry niedbale, przekładając w rękach jakieś papiery.
- Zapłacisz za to. – Mikołaj uniósł paralizator w górę i odpalił dwie głowice, które trafiły Jeffersona w brzuch.

Nacisnął, pełen gniewu, ale i wyczucia (serce dowódcy mogło nie wytrzymać zbyt dużego napięcia), przycisk zwiększający przepływ prądu. Barry krzyknął, dostając lekkich drgawek. Miał zamiar wrzasnąć mocniej, ale nie zdążył, gdyż chwilę później szmata nasączona chloroformem okryła jego nos i twarz.

Trzecie piętro. Mieszkanie dziewiąte.

Odrapane drzwi ledwo trzymały się w nawiasach – pierwszy kop Johna od razu je wyważył. Jeszcze pięć minut.

Miotacz wirował zaraz przy lewym oknie, które w całości wyjęto. Pokój był niewielki, typowy w „tej okolicy” – zdemolowany i pełen

duchów przeszłości. Drzwi na lewo i prawo – prowadzące kolejno, do łazienki i kuchni, były zamknięte. Salon nie przekraczał swymi wymiarami pokoju Johna, był za to o wiele mniej zadbany i pełen drobnego gruzu, szeleszczącego przy każdym postawionym kroku. W skrócie można go było opisać miniaturową wersją Karuzeli, z tą różnicą, że nie wciągał od do siebie niczego, poza specjalnymi przedmiotami. Takimi jak Kula.

Finn podszedł bliżej, odwinął rękaw i spojrzał na zegarek. Ponad trzy minuty. To będzie ostrzeżenie, a jeśli go nie posłuchają, Susarro i reszta sięgną do bardziej radykalnych środków.

Okno zaskrzypiało przeraźliwie, gdy Leon je otwierał.

Kładka stabilnie opierała się o framugę okna i wystawała dobre ponad pół metra za pokrytym drutem kolczastym wierzchu ogrodzenia. Barry na oko mieścił się w oknie – na szczęście pozory się potwierdziły – bez problemu wyszedł poza granice swego biura. Mark trzymał kładkę z drugiej strony, by się nie przechyliła zbyt- nio w drugą stronę.

– Ile? – spytał.

- Minuta. – Mikołaj z Leonem opróżnili już wszelkie „zapasy” Jeffersona i przenieśli trzech nieprzytomnych strażników na schody.

Zostali poddani już działaniu Dłoni Kontrolera – nie pamiętali niczego z sprzed dwudziestu minut. Rozważali użycie jej na Barrym, by jeszcze bardziej „wtopił” się w Wolność, postanowili jednak trochę jeszcze z niego wycisnąć.

Mieli całą frakcję po swojej stronie, nie mieli więc po co się spieszyć.

- Pół minuty... – Leon chodził nerwowo w kółko. W końcu też będzie musiał wskoczyć razem z nimi do ciężarówki, a miał paniczny lęk wysokości. – Co myślicie o tej radzie Mastertona, żeby zabrać skafandry?
- Też bym plótł takie bzdury, gdyby przypomniało by mi się coś podobnego. Nie jego wina... – Mark mocno trzymał koniec rozkładanej deski, patrząc z tęsknotą w ręczny zegarek. Niech to już się skończy jak najszybciej, niech już będzie po wszystkim... – powtarzał sobie w duchu niczym mantrę.

Kula wydała lekki stukot, gdy John położył ją na pokrytej brudem i gruzem podłodze. Do Miotacza z tego miejsca dzieliło ją ponad dwadzieścia centymetrów. Miała zostać rzucona trzydzieści sekund przed nastaniem dwudziestej, aby dać jej czas na pokonanie odległości. Finn przełknął nerwowo ślinę i skupił się, by nie stracić orientacji w czasie. Mimo, iż miał ustawiony alarm w zegarku, który aktualnie nosił w kieszeni, John wołał mieć pewność, że gdyby ten nie zadzwonił, pośle Kulę w odpowiednim czasie. Z nerwów zaczął się gwałtownie pocić, zaschło mu w gardle, a nogi lekko zwiótzczały, do tego poczuł w żołądku nerwowy skurcz. Ten kto uważa, że najbardziej uczuciowym organem jest serce, powinien spróbować w życiu czegoś naprawdę śmiałego – reakcja żołądka zmusiła by go do zmiany zdania.

Alarm w zegarku dał o sobie znać.

John jeszcze raz przełknął ślinę i przestał przytrzymywać Kulę dwoma palcami, a unosząc dłoń, popchnął ją palcem serdecznym ku Miotaczowi.

Jako, że nie była aktualnie dotykana przez żadnego człowieka,

Kula lśniła swym niezachwianym, nie wydostającym się z niej, białym blaskiem. Cała scena przypominała obraz, w której Kulę stanowiła pomyłkę malarza, który niechcący chlapnął płótno białą farbą. Kontrast między toczącym się obiektem, a otoczeniem, był przeogromny. Kulając się, wydawała ona przytłumiony, suchy dźwięk.

Pięć centymetrów od „pola” Miotacza, dwadzieścia sekund do godziny dwudziestej. Dwie tak małe, z pozoru nieistotne rzeczy, miały odmienić los co najmniej pięciu osób. Działanie Kuli to zaprzeczenie wszelkich praw fizyki, zasad związanych z chemią, atomistyką, matematyką, ogólnie rzecz biorąc, nauką. Nie miała ona tu nic do powiedzenia – to cały urok Zony.

Miotacz pochwycił Kulę i zadziałał w typowy dla siebie sposób. Wchłonięty przedmiot uniósł się powoli w niewidocznym wirze powietrza, jednocześnie zataczając spirale. Gdy osiągnął wysokość dwudziestu, może trzydziestu centymetrów, wystrzelił bezgłośnie z prędkością i torem lotu odbitej piłki baseballowej. Po trzech sekundach prędkość zmieniła się gwałtownie – Kula przyspieszyła

tak bardzo, że dosłownie zniknęła Johnowi z oczu.

– *Dziesięć...* –

Leon niemal się trząsł.

Oczekiwanie na wybuch czterech wież i upozorowany atak oboz nie dawały o sobie zapomnieć.

– *Siedem... Sześć... Pięć...* –

głos z sekundy na sekundę napełniał się coraz większą paniką i niepewnością. Leon miał chęć krzyknąć coś w stylu „Już się nie bawię, odkręćcie to, ja idę do siebie, mam tego dosyć!”

Kula minęła Prypeć i Czerwony Las. Leciała jeszcze szybciej, a do obozu bezpieki dzieliło ją już tylko...

– *Trzy... Dwa... Jeden...* –

Całą siłą skupioną w obydwóch dłoniach nacisnąłem przycisk detonatora. Wybuch semtexu, dźwięk łamanych desek, krzyczących ze strachu strażników oraz Jeffersona wpadającego do ciężarów-ki zagłuszyło coś innego. Wybuch, nie mający konkretnego źródła, niewyobrażalnie, wręcz ogłuszająco głośny, dochodził wprost

z mojej głowy. Krótki, trwający dwie sekundy, jednak zmusił mnie do kurczowego dociśnięcia dłoni do głowy i uszu – był tak potwornie donośny, że omal nie zemdlałem. Bębenki pulsowały rytmicznym, mocnym bólem, podobnie jak cała głowa. W tej samej chwili ujrzałem przez ułamek sekundy oślepiający, biały błysk.

Zalał on dosłownie wszystko, co widziałem – wewnątrz ciężarówki, nieprzeniknione, blisko rosnące korony drzew za oknem. Nic nie powstrzymało białego światła, które było tak silne, że sprawiało wrażenie, iż całe otoczenie spłonęło. Przenikało ono przez wszystko, niczym światło ogromnego reflektora przez skrawek najcieńszego na świecie pergaminu. Kolejny ułamek sekundy później, wszechogarniającą biel zastąpiła ciemność. Moje oczy chwilowo kompletnie straciły zdolność widzenia, uszy słyszenia, zdziwiłem się więc, że mogłem przynajmniej pomyśleć. Myśl nie była zbyt ważna, ale dowodziła, że przynajmniej pod względem umysłowym tajemnicza eksplozja mnie nie dosięgnęła.

– Co to, ku*wa, jest?!

Leon, Mikołaj i Mark otrząsnęli się z skutków szoku po dwudziestu sekundach. Wciąż piszczało im w uszach, wciąż bolały ich niemiłosiernie głowy, ale mogli w końcu przejąć inicjatywę.

– Chryste panie! – Mikołaj oparł się o biurko, chwytając powietrze niczym dusząca się ryba. – Uran w elektrowni piznął, czy co?

– Nieważne, co to było. – Leon trzymał się lewą dłonią na lewe ucho. – Idziemy do ciężarówek! Szybko, zanim... zanim... – stanął gwałtownie na równe nogi, szybko się pochylił i oparł ręce o kolana, po czym zwymiotował długo i obficie, wydając przy tym typowy dla tej czynności odgłos.

Wyciągnąwszy się jeszcze bardziej, pochylając twarz w dół, Leon zacharczał kilkakrotnie i zaczął kaszleć. Długie strugi śliny spływały mu z ust. W obozie zawył alarm. Dobrze znana wszystkim częstotliwość, której nie chcieli by usłyszeć za żadne skarby.

Dźwięk, którym straszono nowych nie wiedzących, że wybuch leżącego na dnie elektrowni uranu jest bardzo mało prawdopodobny.

Alarm mówiący o silnym wzroście promieniowania i skażenia. Leon nie dał rady dalej stać – ze stukotem opadł na pośladki, zderzając się z twardą podłogą. Zwrócił jeszcze raz – głośniej, ale wypływając mniej wymiocin. Po raz kolejny zacharczał, po czym głęboko wciągnął w powietrze w płuca. Wyglądał beznadziejnie – z sekundy na sekundę zaczął przypominać ciężko chorego. Promieniowanie robiło swoje.

– Trzeba było posłuchać Mastertona... – kolejne, głośnie kasznięcie.

Alex siedział przy piwie z dwójką znajomych w barze. Było około ósmej wieczorem i w barze było aż ciasno od siedzących w nim ludzi. Panował harmider i hałas, wszyscy o czymś rozmawiali, obowiązkowo przy jakimkolwiek alkoholu. Alexa dobiegł głos puszczanego pawia.

– Ho ho ho! – powiedział z dezaprobatą, odwróciwszy się przez ramię. – Ktoś nieźle sobie gulnął, co chło...
Poczuł ogromną falę nadpływających mdłości. Całe jego dobre samopoczucie nagle się ulotniło i zostało zastąpione przez osła-

bie nie i ból głowy. Coś białego błysnęło mu przed oczyma, niczym światło skierowanego wprost na jego oczy reflektora. W głowie usłyszał przytłumiony, lecz i tak bardzo głośny dźwięk wybuchu. Gdy rozległa się syrena alarmowa, w barze wybuchła panika.

15

Rok 1977

Za oknem pokoju czternastoletniego Jonathana Mastertona świeciło słońce. Rozświetlało ono wnętrze pokoju jasnym blaskiem, na co wpływ miało zdjęcie firanek – były one w praniu. Okna niedawno umyto i lśniły one niczym szyby z reklamy środków czystości. Młody Jonathan mieszkał w czteropiętrowym bloku o literze D, niedaleko centrum, w trzypokojowym mieszkaniu nr 6. Z jego własnego pokoju miał widok na plac zabaw zbudowany zaraz pod blokiem – składał się z kilku drabinek, trzymetrowej piaskownicy oraz dość wysokiej, blaszanej zjeżdżalni.

Cała przestrzeń „należąca” do osiedla miała ponad dwieście metrów – poza wcześniej omawianym placem, ustawiono tu cztery ławki (dwie obok siebie, cztery metry od piaskownicy, kolejne dwie pod balkonami bloku D, w odstępach dwudziestu metrów. Wszystko wokół porastała gęsta, nisko przycięta, zielona trawa. Przecinała ją betonowa, wąska ścieżka spacerowa o kształcie niskiej elipsy, przypominającej wręcz kwadrat. Wzdłuż niej stały jeszcze dwa budynki – bloki A i C, blok B znajdował się na południe od tego, w którym mieszkał młody Masterton. Co kilka metrów przy ścieżce, jak i po całym osiedlu, rosły niskie, lecz obfite w liście drzewka. Jedyne w okolicy większe drzewo posadzono lata temu tuż przy klatce schodowej Jonathana – miało ono dziesięć metrów wysokości, a gałęzie rosły tak szeroko, że można się było pod nimi schować w razie deszczu.

Był 21 czerwiec – przedświecie wakacji, wszystkich uczniów okolicznych szkół zdążyła już ogarnąć euforia i wyjątkowo dobre poczucie humoru – został tydzień do rozdania świadectw, oceny wystawiono, pogoda dopisywała, a każdy miał już ułożone pla-

ny na wakacje, których wcielenia w życie nie mogli się doczekać. Na niebie nie było ani jednej chmurki, słońce grzało przyjemnie, a nawet, kiedy komuś zrobiło się za gorąco, został natychmiast schłodzony lekkim powiewem. Ptaki ćwierkały radośnie, tworząc niemal sielankowy obraz całości.

Czterdziesto metrowe mieszkanie składało się z dwóch małych pokoi (jeden należał do Jonathana), sypialni, przedpokoju, sporego salonu, kuchni oraz łazienki. Pomieszczenie, w którym rezydował Masterton, miało dwa i pół metra kwadratowego, do jego wyposażenia należało: składane łóżko, wysokie biurko, telewizor i cztery, ustawione pod ścianą, wysokie szafy na ubrania, książki i różne inne rzeczy.

Wspominany telewizor był oparty o kredens, a biurko ustawiono w rogu pokoju. W pomieszczeniu rozlegały się dźwięki dobiegające z odbiornika wiadomości – Jonathan już za młodu chciał znać wszystkie aktualności i ważniejsze wydarzenia, czasem denerwowało go nawet, gdy ktoś nie znał takich rzeczy jak nazwa którejś partii czy nazwiska obecnego Prezydenta.

Oglądanie reportażu o pewnym morderstwie na północy Ukrainy przerwało pukanie do drzwi.

Podniósł się powoli z łóżka (obecnie złożonego) i wolnym krokiem podszedł do malowanych na biało drzwi wejściowych. Spojrzał przez wizjer i ujrzał w nim szóstkę swoich przyjaciół.

Lenny Mikołaj Izaak Leon Radek Kamil
Wszyscy, prócz ostatniego, siedzieli na schodach. Byli ubrani niemal tak samo – nosili krótkie spodnie sięgające kolan. Jedy-
nym wyjątkiem był Mikołaj, który jak zwykle miał na sobie dłu-
gie, czarne bojówki. Obecni przed mieszkaniem Mastertona przy-
wdziali koszulki o różnych kolorach, których rękawy pokrywały
jedynie kawałek ramion.

Jonathan został, jak za każdym razem, serdecznie przywitany
przez swych znajomych. Pierwszy odezwał się Leon.

– W końcu wolne, co? – spytał z uśmiechem. – Idziemy po
zakupy, idziesz z nami?

Masterton bez zastanowienia się zgodził – wykonał jedynie gest
mówiący „chwilkę..”, wszedł powrotem do mieszkania, ubrał bu-

ty oraz zmienił spodnie. Chwycił klucze, znów wyszedł na klat-
kę schodową, zamknął drzwi wejściowe na cztery zamki i z całą
„paczką” udał się do Prypeci – pięknej i tętniącej życiem, przy-
najmniej ówczesnych latach.

Jonathan z przyjaciółmi spotkał na klatce schodowej sąsia-
da z mieszkania nr 4 – miłego starszego pana, zwykle broniące-
go całą miejscową „paczkę” przed czepiającymi się wszystkiego
(według Leona) sąsiadami. Harry, bo tak nazywał się 54-ro letni
mężczyzna, mówił „Dajcie im się wyszaleć, zostało im niewiele lat
beztroski!” Leon mawiał wtedy (o reszcie, nie Harrym) coś dosad-
niejszego. „Banda idiotów” – takie miał zdanie o ponad połowie
osiedla. Kamil przytrzymał drzwi klatki schodowej, poczekał aż
wszyscy wyjdą na zewnątrz, po czym je puścił – dobrowolnie się
zamknęły. Wiatr pomiędzy dwoma blokami był wyraźnie słab-
szy i jednocześnie chłodniejszy. Na Mikołaja i resztę padał długi,
szeroki cień bloku B.

– Idziemy tamtędy.- Izaak wskazał drogę na prawo, do centrum
miasta.

Ruszyli chodnikiem i wkrótce wyszli z cienia, na co Kamil zareagował westchnięciem pełnym ulgi. Nienawidził wszelkich przejawów chłodu, poza tym miał ostatnio problemy ze zdrowiem i „przewianie” mogłoby mu zwyczajnie zaszkodzić.

Szli ramię w ramię po zatłoczonym chodniku, tuż pod innymi blokami. Po ulicy jeździło wiele samochodów, a z okien i balkonów okolicznych budynków wyglądali ludzie – jedni ze sobą rozmawiali, inni wytrzępywali dywany lub pościel, jeszcze inni po prostu cieszyli się słoneczną pogodą i bezchmurnym niebem. O tej porze roiło się ono od ptaków wszelkiej maści – między innymi wróble, sroki i gołębi, które chętnie, co jakiś czas, siadały na szczycie pobliskiej lampy. W końcu doszli na koniec ulicy, znajdując się w centrum.

Otoczony blokami mieszkalnymi i nie tylko, szeroki plac zajmował sporą część ulicy Kurczatowa. Pośrodku niego ciągnęły się dwie szosy, pomiędzy którymi zbudowano pewnego rodzaju alejkę – chodnik z posadzonymi na lewo i prawo wysokimi drzewami, które otoczono równo przystrzyżonym trawnikiem. Chodnik po

lewej i prawej stronie także pełen był trawy i drzew, stojących na tej samej wysokości, można by rzec, w jednej linii. Najwięcej ludzi było na wyższych chodnikach – tych, do których szło się po niskich schodach, tych, przy których znajdowało się najwięcej sklepów i salonów wszelkiej maści, głównie fryzjerskich. Dawało się wyczuć tutaj wakacyjną aurę – wielu dorosłych ludzi wraz ze swymi pociechami już dziś udawało się na urlop, powierzając odebranie świadectw znajomym.

Nastolatki w grupach podobnych do tej, w której siedł Leon, także kłębili się po okolicy, rozmawiając na każdy temat, głównie jednak o czasie wolnym i sposobu uczczenia zakończenia roku nauki. Całe otoczenie wraz z świecącym radośnie słońcem skutecznie stwarzało poczucie sielanki.

- Chryste... aż nie mogę w to uwierzyć. – westchnął Leon. – Czy ktoś, poza Kamilem, jeszcze stąd na wakacje wyjeżdża? – spytał.
- Prawdopodobnie jadę na wieś do połowy lipca... – powiedział Mikołaj. – Co ja tam będę, cholera, robił? – mruknął z

pretensją. – Karmił świnie? Rąbał drewno do kominka? Będę odliczał tylko sekundy, aż wrócę tu, do was.

Wszystkim spodobała się ta myśl. Zawsze trzymali się razem, i nie dopuszczali do siebie myśli, że ich więź się kiedykolwiek zmieni. Na gorsze.

– I co chcecie tu robić przez całe dwa miesiące, co?

– Mamy basen, dom kultury, teatr...

Izaak skrzywił się na to słowo.

– Intelktualna nędza... – mruknął Mikołaj, po czym zaczął wymieniać dalej. – Mamy też kawiarenkę i stadion – zajęć nam nie zabraknie. No i wesołe miasteczko...

– Poskaczmy w kulkach! – krzyknął Lenny udawanym dziecięcym głosem. – Mimo wszystko, nie widzą mi się dwa miechy siedzenia tutaj. Wyjedźmy gdzieś kilka razy, chociaż na jezioro. Nie wytrzymam tu dwóch tygodni bez konkretnego zajęcia.

– A czy... – zaczął Masterton. – Nie marzyło ci się nigdy usiąść gdzieś poza domem, w wieczór, najlepiej w namiocie, i całą

noc, przy świetle świecy, grać w karty albo po prostu porozmawiać? Tematów nam na pewno nie zabraknie.

– Masz dziwne wyobrażenia.

– Cieszę się drobnymi rzeczami, po prostu nie wymagam wycieczki do Watykanu, żeby być szczęśliwym.

Jonathan do marca przyszłego roku jest wierzący i dość uduchowiony, w przeciwieństwie do jego kolegów. Mimo wczesnej śmierci ojca, Jonathan miał wciąż pozytywne nastawienie do życia. Miał je wkrótce zmienić, ale póki co, pozostawał wielkim optymistą.

– A tak w ogóle. – rzekł. – Co macie kupić?

– Jako, że nie idziemy do kolejnej kilometrowej kolejki pod spożywczym, skończy się na chlebie i zapasie octu. – brzmiało to śmiesznie, ale wcale takie nie było, chociaż chyba nikt nie miał wątpliwości, że za kilkanaście lat cały świat będzie zrywał boki z uroków komunizmu.

– Aha... – mruknął rozczarowanym tonem. – No, w końcu jesteśmy na miejscu.

Dom handlowy miał kształt kwadratu i składał się z czterech

pięter. Miał w sobie mnóstwo okien – te, które umieszczono w „słupku” po lewej i prawej stronie domu, ukazywały schody na następne jego piętra, zaś te ułożone poziomo, należały bezpośrednio do zakładów wewnątrz – między innymi placówki poczty, salonu fryzjerskiego i małego sklepu spożywczego. Kilka z nich było otwartych na oścież, inne zostały jedynie nieśmiało uchylone.

Pod budynkiem wyłożono długi i szeroki jasnoszary chodnik, do którego prowadził przecinająca trawnik równie jasny, lecz o wiele węższy chodnik. Przy jednym z trzech wejść stała zielona ławka. Tu także rosło jedno drzewko – wysokie na trzy metry, gładko przyszyty. Z wnętrza kompleksu co chwilę wychodzili jacyś ludzie o niezbyt bogatych zasobach w torbach – chleb, jakieś butelki i słoiczki, prawdopodobnie ocet i musztarda.

- Witajcie w naszym kochanym Związku, gdzie ludziom żyje się lepiej, a towarów mamy więcej od kapitalistów i to bez pogoni za pieniądzem. – mruknął Jonathan.
- Ooo tak! – zawtórował mu Lenny. – Kraina miodem i mlekiem płynąca...

W centrum było dość wielu ludzi – najwięcej z nich kłębiło się w biurze poczty, odbierając i nadając przesyłki oraz listy, przy okazji rozmawiając ze sobą o wszystkim i niczym – ludzie byli tu na ogół szczęśliwi i szybko zawierali nowe znajomości po krótkiej pogawędce. Kilku mieszkańców Prypeci spędzało obecny czas w salonie fryzjerskim, także ucinając sobie krótkie pogawędki ze znajomymi. Mikołaj otworzył i przytrzymał wielkie drzwi, pozwalając reszcie wejść do środka. Nie mieli czasu na stanie w kilometrowej kolejce po jajka pod okolicznym sklepem spożywczym, a asortyment tutejszego potwierdził obawy o skromnych zakupach tego dnia.

Ocet... Ocet... Chleb... Jeszcze więcej octu, no i trochę musztardy. Każdy wziął po bochenku, zaś jedynie Jonathan kupił butelkę octu – zapas na następny rok, pomyślał, po czym opuścił centrum budynek. Lenny podczas zeskakiwania z ostatniego stopnia schodów na parterze, potrącił jakiegoś chłopaka.

W białej koszuli, czarnych wytartych spodniach, średniego wzrostu, szeroki w barakach i w miarę umięśniony. „Zasrany paker” –

tak mawiał o nim Masterton. Nie zmieni zdania, bo nie będzie do tego okazji – żywot tej osoby skończy się krótko i nagle.

– Uważaj, jak, ku*wa chodzisz! – krzyknął Adrian.

Gdy zobaczył, kto na niego wpadł, wyszczerzył się w swoim wrednym uśmiešku. Zaś kiedy spostrzegł, kto towarzyszył Lenny’emu, uśmiechnął się jeszcze szerzej i szyderczo, głównie z powodu obecności Mastertona.

Trwało to od dłuższego czasu, ale nasiliło się ostatniego „poważnego” dnia w szkole. Połowa czerwca, wystawienie ocen i świadomość wśród uczniów, że nauka w tym roku się zwyczajnie zakończyła, że mogli udać się do domów i wieść dwa miesiące nieskrępowanego obowiązkami żywota. Pierwsi z budynku szkoły wypadł Jonathan, z plecakiem przewieszonym przez lewe ramię, prawą wymachując na lewo i prawo. Tuż za nim z budynku wybiegł Leon, potem po kolei – Mikołaj, Radek, Lenny, Kamil oraz Izak. Stanęli oni w wypukłym rzędzie, rozglądając się na wszystkie strony, co jakiś czas zasłaniając twarz przed bijącym w oczy słońcem. Wszyscy byli uśmiechnięci i szczęśliwi, roznosiła ich energia i

poczucie euforii – myśli o wakacjach naprawdę nie dawały o sobie zapomnieć.

16

Rok 2001

Godzinę przed wybuchem, przed alarmem w obozie służb bezpieczeństwa, godzinę przed śmiercią pewnej ważnej osoby i powstania kilometra kwadratowego śmiertelnego skażenia, Graham udał się do miejsca zamordowania Johnsona – podrzędnego pacholka biorącego udział w procederze sprzedawania organów osób umarłych (bynajmniej nie przypadkowo) w Zonie. W okolicach wejścia do swego rodzaju kostnicy wiatr był dość silny i wyginał okoliczne trawy oraz drzewa do granic wytrzymałości. Graham ubrał się w czarną kurtkę i niebieskie spodnie, nie chciał wyróżniać się z tłumu.

Podszedł do blaszanych drzwi, otworzył je i od razu przykrył nos

rękawem, by poczuć jak najmniej smrodu ciała pozostawionego przez Jonathana. Był okropny, i mimo, iż Graham czuł go niejednokrotnie, nie zdążył się do niego przyzwyczaić oraz nie miał takiego zamiaru. Znał ludzkie emocje i doznania od ledwie dwóch lat – rzeczy takie jak zabijanie, mimo, że był do nich niejednokrotnie zmuszany, uważał za chore i niepotrzebne.

Do czasu, gdy wysłuchiwał materialnych korzyści, jakie te czynności dawały.

Korytarz kostnicy cuchnął i wyglądał przeraźliwe – skrzepnięta krew i wyschłe drobiny mózgu Johnsona były wszędzie i wyjątkowo kontrastowały z bielą kafelków. Graham wkroczył do środka, dalej trzymając rękaw prawej ręki przy twarzy, po czym wolnym krokiem ruszył do końca pomieszczenia. Każdy krok odbijał się szerokim echem – po wykonaniu czterdziestego Graham stanął jak wryty, wyczuwając pod sobą pewnego rodzaju energię.

Tuż przy trupie. – przemknęło Grahamowi przez głowę. – Wybrałeś idealne miejsce, Sussaro.

Kopnął z całej siły w kafelek, na którym kończyła się zmieciona

przez śruciny głowa Johnsona – pękł on w pół z charakterystycznym odgłosem. Grahamowi zrobiło się niedobrze – typowy efekt kontaktu z Pochłaniaczem. Chwycił go szybko w lewą rękę (wyglądało to komicznie, ale prawa ręka aż do wyjścia z kostnicy nie odrywała się od ust i nosa) i schował go do specjalnego pojemnika, który nie przepuszczał na zewnątrz negatywnej energii artefaktu. Kolejna porcja energii dla Susarro – wystarczy jeszcze odwiedzić Mryńsk, by wcielić cały plan w życie.

Chryste panie...

Powtórzyłem to już czwarty raz – dwa razy na głos i dwa razy w myślach. W obozie wszyscy albo wrzeszczeli, albo padali nieprzytomni, jednak większość wymiotowała i zawodziła z bólu. Należałem do tych ostatnich – puściłem już dwa obfite pawie i z trudem powstrzymywałem następne, że nie wspomnę i wszechogarniającym bólu. To nie było zwyczajne promieniowanie – działało zbyt szybko i gwałtownie, ale to, co w normalnych świecie zmusiłoby całą planetę do powołania ekipy śledczej, w Zonie było często spotykane.

Z trudem stanąłem na równe nogi i rozejrzałem się po biurze Barry'ego – Mark usadził Leona na krzesło, chwyciwszy go za ramiona. Miał problemy z oddychaniem, kaszłał i co chwilę nerwowo mrużył oczy.

Cokolwiek to było, mamy Barry'ego w ciężarówce i musimy go stąd jak najszybciej wywieźć. Trzeba działać, potem będzie czas na rozmowę i cogodzinne bieganie w krzaki w celu zwrócenia wartości żołądka. Działać, do cholery...Działać...

– Do cholery jasnej, wynośmy się stąd! – krzyknąłem do dwójki stalkerów.

Boże, jak bardzo brakowało mi uroków dzieciństwa. Żadnego zabijania, żadnego podkradania się w celu dywersji, żadnej przemocy, żadnych kłopotów. Tylko ja, Masterton, Radek, Kamil, Lenny, Leon i Izaak – tylko my i żyjąca Prypec. Niczego więcej nie wymagaliśmy. Tęskniłem za normalnym życiem, ale było niestety za późno, by je odzyskać.

– Dobra... – Mark widocznie był za moim pomysłem. – Leon...
– rzekł cicho. – Leon!

Leon otworzył szeroko oczy i jeszcze raz zakaszłał.

– Dam sobie radę, jedźcie z Radkiem i Izaakiem, ja pójdę do Mastertona.

Poderwał się na równe nogi i wybiegł z pokoju, zostawiając drzwi otwarte na oścież.

– Co teraz? – spytałem.

Mark odpowiedział mi wzruszeniem ramion. Podobnie jak ja, oczekiwał on powrotu Leona. W tej nerwowej sytuacji sekundy dłużyły się niesamowicie – po połowie minuty, kiedy Leon do nas wrócił, miałem wrażenie, że minął cały dzień.

– I co? – zdziwiony i podenerwowany ton zadziwił samego mnie. Wyjdę przez okno, a potem bramą, ale mniejsza z tym. W obozie nie ma ani śladu dymu. Nawet najmniejszego płomienia. Lenny.

– pomyślałem przerażony. Chwyciłem do lewej dłoni radiostację ustawioną na częstotliwość tej należącej do Lenny'ego i wywołałem go. Brak odpowiedzi. Nacisnąłem przycisk i wyszeptałem :

– Lenny?

Po dziesięciu sekundach z słuchawki rozległ się krzyk. Był tak głośny, że sam wrzasnąłem, wypuszczając krótkofalówkę na podłogę. Wrzask nie trwał on zbyt długo, ale wystarczył, by wprowadzić mnie w szok – spościłem się i strach niemal mnie sparaliżował – przez moment schowałem głowę między kolana w akcie kompletnej paniki. Gdy nieco oprzytomniałem, lęk i ból straty (nieomal pewnej) Lenny’ego zostały zastąpione przez determinację. Po drugim kroku w kierunku leżącej kładki w moim prawym biodrze rozkwitł potworny ból – zatrzymałem się nagle i jęknąłem cicho, lecz po chwili przestałem zwracać uwagę na cierpiący staw – zajęmę się nim później, teraz musiałem przede wszystkim wydostać się z obozu. Dobiegłem... Nie, dokuśtykałem do okna i wyjrzałem przez nie.

– Radek! Izaak! – krzyknąłem w stronę ciężarówki.

Barry leżał bezwładnie wśród skrzynek z szeroko otwartymi oczyma.

Lewe drzwi pojazdu otworzyły się szeroko i wyszedł z niego Radek. Widocznie kręciło mu się w głowie, jednak wciąż pozostawał

świadomy tego, co się wokół niego dzieje.

– Izaak jest nieprzytomny, dalej, skaczcie i jedziemy stąd w piz*u!

– Dasz radę prowadzić?

– Tak, tak, tylko się pospiesz! – Radek wsiadł do ciężarówki na miejscu kierowcy i odpalił silnik, po czym zatrzasnął mocno drzwi.

Odwrociłem się przez plecy i chwyciłem oburącz leżącą na deskach kładkę – wystawiłem ją przez okno, tuż nad naszym jedynym obecnym środkiem transportu. Pierwszy wszedł na nią Leon – nie skakał on jednak do pojazdu, lecz ześlizgnął się w wąską szparę pomiędzy ścianą domku Jeffersona, a obozowiska. Upadł twardo na ziemię, leżał na niej chwilę, co mnie dość mocno zaniepokoiło.

Miałem już zawołać, czy wszystko z nim w porządku, lecz po kilku kolejnych sekundach Leon powstał, przecisnął się przez wąską przestrzeń w lewo, znajdując się na środku obozu. Kiedy tylko to zrobił, popędził on biegiem do kwatery Jonathana Mastertona.

Drugi był Mark – widocznie najmniej dotknięty przez... cokolwiek to było. Zsunął się najpierw nogami w dół, chwilę później lądując na nich twardo w ciężarówce. Rozstawiłem tylne podpory kładki, co zapewniało jej stuprocentową stabilność, do momentu, gdy nie przekroczyłem framugi okna. Po wspięciu się na długą deskę i dojściu do progu okna, kucnąłem nisko.

Musiałem wyczuć moment przechylenia się pewnego rodzaju mostu, na którym stałem, by bez szwanku znaleźć się w pojeździe. Posuwając się do przodu co milimetr, coraz bardziej odczuwałem chęć odjechania gdzieś daleko – dźwięk włączonego silnika działał na mnie niczym syreni śpiew. Długi kawał drewna zaczął sunąć w dół – podpórki oderwały się od ziemi, pozostawiając mój los w rękach praw grawitacji i szczęścia.

17

Leon, wciąż zmagający się z mdłościami, otworzył drzwi do pomieszczenia Jonathana. Miał jedyny klucz należący do Master-

tona, ten sam, którym zamknął go dziś rano – z Psycholem nie dawało się nawet porozmawiać – leżał na swym łóżku, trzeźwiąc po wypitym ostatnio alkoholu.

Łóżko było puste, drzwi łazienki otwarte na oścież, ukazując jej puste wnętrze.

– Geniuszu? – powiedział Leon do siebie w myślach. – A za drzwiami, obok których właśnie stoisz?

Były one uchylone do połowy, prostopadle do framugi. Powoli, będąc pewien, co za nimi zobaczy, Leon zaczął je zamykać, jednocześnie wycofując się na lewo. Gdy ujrzał skrawek spodni Jonathana, popchnął drzwi na tyle mocno, że się zatrzęsęły.

Spodnie od wieczorowego stroju, które miał na sobie Masterton, były czarne, podobnie jak reszta ubioru – buty oraz garnitur, jedynie koszula pod spodem miała biały kolor. Cóż, przynajmniej jest już sobą. – stwierdził cicho Leon. Zmienił zdanie, gdy stojący przed nim człowiek rzucił się na niego z niehumanitarnym rykiem.

Na szczęście idealnie wyczułem moment, w którym kładka zaczęła całkowicie lecieć ku ziemi. Wybiłem się obiema nogami od

drewnianej powierzchni z całych sił, przez sekundę wisiałem w powietrzu, po czym plecami upadłem na tyle ciężarówki. Gdy Radek to usłyszał, ruszył do przodu – najpierw powoli, by ominąć drzewa, chwilę później przyspieszył, gdyż wjechał na coś w rodzaju ścieżki – szerokie odstęp między grubymi pniami dawały możliwość przejechania pomiędzy nimi z dość dużą prędkością, bez ryzyka zderzenia.

Usiadłem na tyłku, opierając się bolącymi plecami o bok pojazdu. Barry leżał przede mną, dalej pod działaniem chloroformu, zaś Mark siedział za nim, naprzeciwko mnie, w podobnej pozycji, że z rękoma opartymi o kolana.

- Ledwie tu przybyłeś, a spotyka cię taka masa atrakcji! – krzyknąłem do niego, by przebić się przez odgłos kół i warkotu silnika. – Strach pomyśleć, ile będziesz miał za sobą za rok!
- Strach się bać... – mruknął w odpowiedzi.

Spojrzałem na jego zabandażowaną dłoń. Wątpię, czy ot tak puści Mastertonowi w niepamięć ten incydent, lecz nawet jeśli mu wybaczy, niesmak pozostanie do końca, choć krótkiego, życia obojga

stalkerów.

- Mówilem... – Jonathan uderzył pięścią w twarz Leona.

Obaj leżeli na podłodze

- Żeby... – zamachnął się jeszcze raz. – Wziąć... – trzecie uderzenie złamało Leonowi nos.

Krzyknął on krótko zalany krwią ustami, próbując jednocześnie uspokoić Jonathana.

- Kombinezony! – w prawej dłoni szaleńca pojawił się zakończony sztyletem kastet.

Jego posiadacz przyłożył ostrze do prawego ramienia Leona, powoli obracając je w lewą i prawą stronę, demonstrując swe narzędzie na wszelkie możliwe sposoby. Ofiara Psychola nawet przez gruby strój czuła zimne, wręcz lodowate ostrze – było to wyjątkowo nieprzyjemne doznanie.

- Nie... – jęknął cicho. – Nie rób tego! Nie... – Leon doprowadził swoje gardło do granic wytrzymałości w momencie, gdy Jonathan wbił się kastetem w jego ramię.

Jego skóra w mgnieniu oka zmieniła swój kolor – w krótkiej chwili stała się trupio blada. Okolice rany natychmiast wypełniła czerwona, rzadka posoka, której kilka kropel wylądowało też na deskach. Ostrze zagłębiało się coraz bardziej i bardziej, zwiększając głębokość i rozmiar rany, wydając przy tym przeszywające odgłosy stali ocierającej się o mięso.

Na chwilę Masterton utkwiał swe spojrzenie w Leonie. Jego oczy były po brzegi wypełnione czystym obłędem – rządzą mordy, czynienia krzywdy i cierpienia, które w danej chwili sprawiało mu nie lada radochę. Dysząc ciężko, przybliżał swą twarz coraz bliżej twarzy Leona, niemal stykając się nosami.

– Zupełnie jak z Adrianem, co? – mruknął Leon.

Jonathan natychmiast umilkł.

Jako, że przestał się wierzyć na wszystkie strony, dało się w mu się w końcu dokładnie przyjrzeć – każda powierzchnia skóry lśniła potem, którego niespodziewanie zaczęło się tworzyć jeszcze więcej. Wyraz twarzy także uległ drastycznej zmianie – usta, jeszcze chwilę temu wygięte w straszliwym grymasie, teraz opadły nisko

w geście smutku. Szalone spojrzenie znikło w mgnieniu oka – na ich miejscu pojawił się żal i ogromne, wręcz niewyobrażalne poczucie winy, połączone z czystym strachem. Myślamy znów wrócił do pewnego deszczowego dnia.

– Przestań... – jęknął głosem pełen rozpaczy, dalej rozmyślając o tamtym dniu.

Leon odzyskał inicjatywę – zrzucił z siebie Jonathana lewą ręką, gdyż prawa wypełniła się tak potwornym bólem, że nie miał odwagi nią poruszyć. Masterton bezwładnie wylądował na plecach – po chwili Leon powstał, (z zranionym ramieniem sprawiło mu to nie lada trudność – podnosząc się z zakrwawionej podłogi poczuł tak silny ból, że omal nie zemdlął) patrząc na Jonathana z politowaniem. Mimo tego, że kręciło mu się w głowie, musiał zachować w obecnej sytuacji zimną krew.

– „Tylko tobie mogę zaufać, tylko ty nikomu nie wygadasz.”

albo „Nie dzwoń po pogotowie, i tak z tego nie wyjdzie.”

Płakałeś jak małe dziecko nad jego trupem. – ton Leona i słowa, które właśnie wypowiadał, przerażały go samego, ale nie widział

innego wyjścia, by ujarzmić Jonathana, którego mimo pozorów, było mu dogłębnie żal. Sięgnął lewą dłonią do długiej kieszeni spodni, przybliżywszy się do Mastertona o trzy kroki.

Usłyszawszy szydercze słowa Leona, wyrzucił on kastet na podłogę i chwycił się oburącz za głowę, chowając ją jednocześnie między kolana. Próbował sobie „wszystko poukładać”, ale niestety, jak zwykle mu się nie udawało.

Chwyciłem stalową szpitalną strzykawkę w lewą dłoń, po czym błyskawicznie wyciągnąłem ją z kieszeni. Zanim Jonatan zdążył spojrzeć na mnie swym smutnym spojrzeniem, wstrzyknąłem mu środek usypiający. Mój przyjaciel skrzywił się boleśnie i już po sekundzie opadł bezwładnie w dół.

Gdy ciężarówka zbliżała się obozu, Barry na chwilę odzyskał przytomność. Leżąc na plecach, poobijany i posiniaczony na całym ciele, spojrział w lewo. Mikołaj zerknął na niego i uniósł prawą dłoń na wysokość lewej piersi. Pomachał nią energicznie, jednocześnie przywdziewając swą twarz w uśmiezek pełen udawanej serdeczności. Po dwóch sekundach tego szyderczego zachowania,

Mikołaj pozbawił Barry’ego przytomności, kopiąc go czubkiem buta w podbródek.

– Ciesz się, że w ogóle żyjesz... – powiedział cicho pod nosem.

Gdy Radek zatrzymał swą ciężarówkę, kilkaset metrów od niego, w tej samej chwili, Lenny odzyskał przytomność. Leżał w krzaku, który wcześniej został „wybrany” przez Jonathana, który nie mógł jednak uczestniczyć w dzisiejszej akcji. Prawa ręka Lenny’ego podniosła się i obmacała pulsujące przeszywającym bólem czoło. Lewa zaś położyła się na pokrytej trawą ziemi. Lenny przewrócił się z brzuchu na plecy i odetchnął ciężko. Zrzucił z siebie siatkę maskującą i spojrział na leżący obok niego karabin. M82 leżało na lewym boku, ze złożonym dwójnogiem i wyjętym, opróżnionym z pocisków zapalających magazynkiem. Szkiełko lunety było pęknięte w dwóch miejscach, podobnie jak wielki tłumik, który leżał luzem w trawie. Leon wyczołgał się (nogi miał kompletnie bezwładne) z krzewu na otwartą przestrzeń. W oddali dojrzał jakiś pędzący pojazd – ciężarówkę Radka.

Szybko chwycił w prawą dłoń swą krótkofalówkę i wywołał Leona.

– Harlan? Ta... Tak... Dobra, później pogadamy, jesteś mi potrzebny. Ta, znowu mu odbiło. A skąd mam wiedzieć? Może coś wspólnego z tym alarmem... Właśnie – nikomu nic nie jest? Naprawdę? Nikomu?! Dobra, wiesz, co masz ze sobą wziąć, czekam, byle szybko.

Rozłączyłem się i schowałem telefon do kieszeni. Zranione ramię bolało nieprzerwanie i mocno, jednak na szczęście sporą ulgę przynosiły mi leki przeciwbólowe, których Jonathan miał tutaj całe mnóstwo. Wliczając w to masę broni palnej, nie zdziwiłbym się, gdyby Masterton sięgnął po tego rodzaju „metody” na znieczulenie. Opatrzyłem ranę i nie zamierzałem nawet o niej myśleć do momentu, gdy nie wypożyczę sobie na parę godzin porządnego artefaktu – dokładnie miałem na myśli Duszę. Wizja całkowitego zagojenia się rany (co prawda zostanie po niej blizna) była niezwykle pociągająca.

Każdy w obozie wiedział o większości zachowań Jonathana, jednak tylko Harlan był na tyle godzien zaufania, by poznać go głębiej, a przy okazji móc od czasu do czasu się nim zajmować. Ra-

zem z Nami (czyli mną, Izaakiem, Radkiem, Mikołajem i Lennym) Harlan pomagał Mastertonowi od dość długiego czasu i robił to bardzo dobrze. Jednak nie wiedział o nim jeszcze bardzo wielu rzeczy – kto wie, może kiedyś dowie się, co spotkało Kamila, Adriana, i tym samym, czemu Jonathan jest, jaki jest.

Ma radiostacja dała o sobie znać, krótkim, piszczącym odgłosem. Po odebraniu, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, usłyszałem głos Lenny’ego.

– Leon?

Bogu dzięki, że żyje.

– Gdzie jesteś? – spytałem podniecony.

Naprawdę uszczęśliwił mnie fakt, że Lenny jest cały – jego krzyk w biurze Barry’ego nie pozostawał mi żadnych wątpliwości. Aż do teraz.

Po pięciosekundowej przerwie Lenny znów dał o sobie znać.

– W kryjówce. Ten krzak, w którym Jonathan...

– Tak, wiem który. Dasz radę... Chodzić? – usłyszałem sapnięcie i dźwięk gniecionej trawy – mój rozmówca

najwyraźniej próbował się podnieść. Odczekałem krótką chwilę.

Lenny oparł się rękoma i ziemię, po czym począł podnosić się w górę. Udało mu się, gdyż odzyskał czucie w nogach. Schylił się po radiostację, chwając się niczym pijak, i powiedział na głos: Raczej... – w momencie, kiedy miał rzec „Tak” nogi znowu odmówiły mu posłuszeństwa, powalając go a hukiem na glebę. –

– Nie...

– Co się dzieje?

– Co chwilę tracę czucie w nogach. Lepiej po mnie czymś przyjedź, nie zamierzam tu tak długo leżeć.

– Dobra, spokojnie, niech tylko Harlan przyjdzie, to...

– Harlan?

– No. Harlan, nie pamiętasz...

– Wiem, który Harlan. Chwila... Czy ty jesteś u Mastertona?

Mruknięcie oznaczające zgodę.

– No tak... Co tym razem?

– Najpierw się na mnie zaczął, a potem podziurawił ramię tym

swoim sztyletem.

– Od momentu odkrycia powiązań Barry’ego całkiem mu odbija, że nie wspomnę o tym jego wczorajszym śnie.

Wszystkich dziurawi – najpierw Mark, teraz ty. Chyba znowu będzie trzeba ściągać tu jakiegoś psychologa.

– A nie możemy... Wybacz, zapomniałem.

Lenny odetchnął ciężko.

– On nigdy. – rzekł smutno. – Przenigdy nie opuści Zony.

Wolałby zgnieć w starej rurze, niż resztę życia spędzić w ekskluzywnym hotelu z widokiem na ogromne miasto. –

Lenny’ego ogarnęło poczucie beznadziejności. – Od momentu narodzin nie opuścił okolic Czarnobyla na ani jeden dzień. To chore.

– Nie ma się co użalać. Trzymaj się tam, niedługo po ciebie przyjadę.

– Taa... Przeżyję...

Mikołaj kontynuował swe chamskie zagrywki. Gdy ciężarówka stanęła gwałtownie, tuż pod lekkim wzniesieniem, wydał on z

siebie odgłos naśladowujący dźwięk poprzedzający komunikatom na dworcach pociągowych.

– Przystanek – Wolność. Dziękujemy za podróż naszymi liniami, mamy nadzieję, że znów z nich skorzystacie w przyszłości! Nasz personel dokona teraz prezentacji poziomu, z jakim obchodzimy się z naszym drogim klientem! – kiedy skończył recytować, chwycił Barry’ego za barki i wyrzucił go z całej siły z tyłu pojazdu.

Opierał się, ale w obecnym stanie nie miał z Mikołajem szans w siłowaniu się, więc po chwili leżał już na twardej, pokrytej kamieniami ziemi, z obolałą twarzą i brzuchem. Nie zdążył nawet podnieść głowy, bo została ona brutalnie wdeptana w podłoże czymś ciężkim butem. Barry, charcząc, przez dwie sekundy ocierał się głową o kamienie, kalecząc ją w dwóch miejscach, po czym odetchnął z ulgą, kiedy Mark skierował swoją prawą nogę z powrotem ku ziemi. Chwila wytchnienia nie trwała długo, bo sekundę później Mark z całej siły kopnął Barry’ego w żołądek, wywracając go jednocześnie na plecy. Po chwili usłyszał otwierane

i zamykane drzwi ciężarówki – spojrzał w lewo i ujrzał idącemu ku niemu Radka.

Zatrzymał się on metr przed Jeffersonem i założył ręce na piersi.

– Takie rzeczy... – zaczął. – Tylko u nas!

Po chwili krótkiej ciszy (nie licząc lekkiego powiewu i tym samym, szumu liści) odezwał się Mikołaj.

– Co z Izaakiem? – skierował to pytanie w wyraźny sposób do Radka.

– Źle się czuje, ale to raczej nic poważnego – mdłości, ból brzucha i takie tam...

– Tobie ten „wybuch” też nie daje spokoju?

– Ooo tak. Ale bardziej... – Radek spojrzał na Barry’ego. – Spokoju nie daje mi on.

Z prawego okna ciężarówki wychylił się Izaak.

– Szybciej! – ponaglił. – Chce mi się srać, a wy się bawicie w niewiedomo co!

Mikołaj zamyślił się na chwilę.

– Racja... – mruknął. – Mijmy to za sobą.

Sięgnął lewą dłoń za pazuchę i wyjął z niej raketnicę, po czym błyskawicznie skierował ją ku niebu.

– Od tej pory pół Zony będzie cię miało na oku. – powiedział, po czym odpalił zieloną racę.

Poszybowała ona z typowym dla siebie świstem wysoko w górę, pozostawiając za sobą strugę ciemnozielonego dymu. Po chwili umilkła i zaczęła powoli, leniwie opadać w dół, jarząc się radośnie. Drzwi ciężarówki otworzyły się na oścież i wypadł z niej Izaak. Oparł się o maskę i zapalił papierosa. Po minucie ciszy, odezwał się, wyrzucając w tej samej chwili niedopałek.

– Chmurzy się.

Wciąż leżący na ziemi Barry próbował spojrzeć za plecy, jednak wszechobecny ból mu na to nie pozwalał. Zrobił to natomiast Radek i Mikołaj z Markiem, dostrzegając na południu ogromną, szeroką, granatową chmurę. Sunęła ona ku obozowi Wolności powoli, z racji niezbyt silnego wiatru, była też ona dość daleko. Mimo to wszyscy obecni poczuli chęć powrotu do obozu, a tym samym do zadaszonego domku, gdzie będą mogli spokojnie spędzić

resztę dnia, nie zważając na deszcz i pioruny.

Pierwszy rozbłysnął kolejne pół minuty później, w samym centrum odległej chmury. Po kilku sekundach rozległ się wszechobecny, przytłumiony, charakterystyczny odgłos grzmotu. Na moment wiatr przybrał na sile, obsypując Jeffersona kolejną kupą liści i piasku.

Mark skierował swe spojrzenie na wzgórze.

– W końcu...

Zza wzniesienia wyłoniła się piątka stalkerów – każdy miał zielono-czerwony kombinezon, na których rękawach widniały zielone emblematy o wyglądzie wilczej głowy. Cała grupa była uzbrojona w OC-14 – dwa karabiny miało dodatkowo doczepione lunety. Wszyscy, prócz członka Wolności idącego przodem, mieli zasłonięte twarze. Powoli, ostrożnie, cała piątka zeszła z trawiastego wzgórza, by po chwili stanąć tuż przed samym Mikołajem. Niejaki lider nowoprzybyłej grupy miał koło czterdziestu lat, krótko przycięte ciemne włosy i piwne oczy oraz niewielki, lekko przekrzywiony nos, zaś dolną część jego twarzy pokrywał szorstki za-

rost.

Po kolejnym grzmocie i nikłym, fioletowo-granatowym błysku, który zalał na ułamek sekundy całe otoczenie, Mikołaj podszedł do Anarchisty i uściśnął mu dłoń.

- Więc to on? – odezwał się ten drugi.
- Taa... – Mikołaj spojrzał niepewnym wzrokiem na zbliżającą się deszczową chmurę.

Wiatr nasilił się, i to na stałe, powodując wszechobecny, głośny szum.

- Chcesz zdążyć przed burzą, co?
- Tak, a poza tym, Jonathan znowu nie miewa się zbyt dobrze.
- Pozdrów go ode mnie. – zarośnięty mężczyzna klepnął Mikołaja po plecach.
- Dzięki... Przekażę... No... – stalker zatarł ręce, jednocześnie drepzcząc przez chwilę w miejscu. – Zabierajcie go, wiecie co mu powiedzieć.
- Damy sobie z nim radę... Nie takich kozaków już tu mieliśmy.
- dodał członek Wolności, uśmiechając się ironicznie. –

Wstawaj, Barry! – krzyknął.

Jefferson spojrzał na Marka i Radka, obawiając się kolejnych kopniaków, wgniatania w kamienistą drogę, czy innych tego typu zagrywek – jego obawy rozwiął Izaak.

- Podnoś się, na dziś już dostałeś wystarczająco! – zachęcił go. Barry usłuchał i chwilę później stał już wyprostowany, obejmując dłońmi obolały brzuch.

Usłyszałem pukanie do drzwi. Podniosłem się z łóżka, spoglądając na Harlana.

- Tylko spokojnie. – mruknął, celując we mnie paralizatorem. Zignorowałem go, jednak wciąż było mi wstyd, tego, co zrobiłem w przeciągu ostatnich godzin. Doczłapałem do drzwi, wciąż będąc lekko pochylony i spojrzałem przez wizjer.

Lenny Mikołaj Izaak Leon Radek
Zupełnie jak tego dnia, pod koniec czerwca, kiedy poszliśmy razem na zakupy. Puste miejsce po prawej stronie wypełniła moja wyobraźnia – młody Kamil uśmiechnął się do mnie, po czym zniknął.

18

Wszyscy usiedli przy okrągłym, drewnianym stoliku w biurze Mikołaja. Pomieszczenie miało piętnaście metrów kwadratowych i łączyło w sobie kuchnię, salon i sypialnię. Łazienka znajdowała się zaraz za drzwiami wejściowymi – cała kwatery rozplanowaniem przypominała tę należącą do Mastertona, jedyną różnicą było wyposażenie łazienki i większy pokój główny.

W jego rogu stało spore, rozłożone, zaścielone łóżko, zaś zaraz przy nim, drewniana szafka, na której stały – elektroniczny zegarek oraz niewysoka lampka z wąskim, jasnobieżowym abażurem. Kuchenka gazowa wraz z aneksem kuchennym (do którego przy-mocowano zlew) zajmowały zachodnią część pokoju. Na samym jego środku stał zaścielony pieniędzmi i kartami stół, przy którym w pokera grało siedem osób – Leon, Lenny (miał podbite lewe oko i prawą nogę w gipsie – okazało się, że jest złamana), Mikołaj, Radek, Mark, Izaak (który wciąż borykał się z kłopotami trawiennymi, toteż co jakiś czas wybiegał w popłochu do

toalety) oraz Masterton. Ten ostatni prezentował swym wyglądem definicję słowa „rozbity” – środki uspokajające widocznie go uciszyły i pozbawiły wigoru, stwarzając prawdziwy obraz zmęczenia i wyczerpania – mówił on i zachowywał się niemrawo, bez jakichkolwiek chęci. Melancholia i przybicie w jednym.

Reszta jego przyjaciół (Izaak, Leon, Lenny wraz z Mikołajem i Radkiem) i jeden znajomy (Mark) co chwilę spoglądali na Jonathana zaniepokojeni, w głównej mierze z obawy, czy znowu mu nie odbije. „Ostatnich dwóch dni moich wyskoków tak łatwo nie zapomną...” – pomyślał Jonathan.

Za jedynym w kwaterze oknie panowała ciemność i cisza, przerywane jedynie przez jasne, białe błyski i potężne grzmoty burzy – deszczu jak na razie nie było. Pół godziny temu, kiedy wybiła dziesiąta, Mark postanowił zgasić lampy i spędzić noc w otoczeniu świec, lecz okazało się, że Mikołaj ma tylko jedną – stała ona teraz dumnie pośrodku blatu, rozciągając wokół żółtawe światło. Telewizor także stał wyłączony – grało jedynie radio, ustawione na stację z której nadawano na żywo relację z pewnego meczu pił-

ki nożnej. Głębiej interesował się nią tylko Leon, toteż co chwilę uciszał resztę towarzystwa, by z podnieceniem nasłuchiwać opisów potencjalnych bramek – kiedy jakaś padła, Leon za każdym razem zasłaniał usta rękawem, by nie krzyknąć z podniecenia.

– I z czego tu... – pojękiwał Masterton co chwilę, niezwykle leniwym głosem.

„Morda w kubeł, wariacie!” – tak Leon jak i reszta mieli zamiar odpowiedzieć, jednak powstrzymali się – musieli zrozumieć Mastertona, którego stan zakrawał o chorobę. W swych zachowaniach łączył objawy przeróżnych schorzeń – od koszmarów sennych poprzez omamy (także słuchowe) na atakach szału i objawach schizofrenii skończywszy. Mimo wszystkich krzywd, jakich sprawił im Jonathan (gdzie największą wcale nie było zranienie na przykład ręki Marka czy ramienia Leona), nadal go wspierali i podtrzymywali na duchu. Każdy z nich, może poza Markiem, miał tę smutną świadomość, że zostanie w Zonie do końca swych dni, wiedzieli też, że spędzą je u boku Jonathana – zostawienie go samego było by gorsze od dokonania na nim morderstwa.

Atmosfera była niewątpliwie, mimo wszystko, przyjemna. Granie w karty i jednocześnie słuchanie meczu całkowicie odprężyło stalkerów, nie licząc Mastertona. Był spięty, zdenerwowany i przygnębiony, ale według Izaaka powinno mu niedługo przejść. Psychol umilkł o północy – wcześniej udał się do siebie.

– Jestem wykończony, idę spać... – rzekł, wstając z krzesła.

Pozostali wciąż grali w karty – prowadził Mark, który niemal całkowicie ogołocił resztę z ich „majątku” – pieniądze o które grali, miały specjalną, sentymentalną wartość, o której Mark nie miał jeszcze pojęcia.

– Idę po piwo... – oznajmił po chwili.

– Idę z tobą... mam ochotę na coś mocniejszego... – Leon przerwał grę i po chwili wraz z Markiem opuścił pokój, udając się do baru.

Leonard, zwany przez żonę Lennym (nie lubił zbytnio, gdy nazywał go tak ktoś poza małżonką) założył nogę na nogę i zaczął tasować karty.

– Znowu to samo... – powiedział po chwili milczenia.

– To znaczy? – spytał Izaak, jednocześnie wyglądając przez okno.

Ciemność, wielka, bezkresna ciemność, rozświetlana kilkoma nikłymi światłami z okien innych agentów. Poczucie bezsilności, ogromu Zony i jej niebezpieczeństw, a także wrażenie zaniepokojenia o swe życie było potęgowane przez tego typu widoki, jak Strefa nocą.

– Te myśli...

– Pesymistyczne?

– Pełną gębą... – Lenny westchnął. – Mimo, że jesteśmy to bardzo długo, to ja wciąż nie czuję się pewnie. Wciągnięcie nas do Zony było tak gwałtowne, wręcz brutalne, że chyba nigdy się do Niej nie przyzwyczaję. Raz w życiu byłem poza Jej terenem, do ku*wy nędzy! – walnął pięścią w stół. – Ona tam na mnie czeka... A ja chyba nigdy się z nią nie spotkam.

– Spokojnie... Wszystko będzie...

– W porządku?! – Lenny zmienił ton na lekko kpiący. – Tkwimy tu od tylu lat, a jak próbujemy wyjść, to zawsze jest jakiś

pretekst, przez który zostajemy! ku*wa, czuje się jak w „Truman Show”!

Spokojny sen dla Jonathana był czymś niemożliwym w ostatnim i zapewne przyszłym tygodniu. Cała sytuacja z Barrym dała mu się porządnie we znaki, jednak dokładnych powodów Jonathan wciąż nie był świadomy. Szukał go usilnie – jakiegoś wytłumaczenia, po prostu odpowiedzi, lecz niczego się nie dowiadywał. Wszelkie tego typu rozmyślenia nie dawały żadnego efektu – Masterton musiał czekać, aż rozwiązanie pojawi się samo, podane na tacy, czarno na białym.

Tego dnia śniło mu się coś z goła innego, niż ostatnim razem. Dzień, w którym poznał Marka, dzień, w którym w brutalny sposób zabił Johnsona na oczach nowoprzybyłego. Sen zaczynał się od momentu pociągnięcia za spust.

Masterton aż za dobrze, za dokładnie przypominał sobie eksplozję czaszki nieszczęśnika, podobnie, jak jej fragmenty, które gęsto go pokryły. Czuł wszystko z tamtego wydarzenia z przerażającą dokładnością – dźwięk, obraz, wszystkie możliwe szczegóły.

Za każdym razem, kiedy we śnie garnitur Jonathana trafiła jakaś zakrwawiona, obrzydliwa drobina, czas zwalniał, by w pełni przedstawić Mastertonowi to przerażające „widowisko”, przy okazji obdarowując go krótkotrwałym, za to obezwładniająco mocnym bólem głowy. Jako, że użył obrzyna, jego katusze trwały przez ponad godzinę. Przez ten czas spocił się jak harujący cały dzień wół, spadł też z łóżka, lądując boleśnie na brzuchu. Oddech miał krótki i bardzo nierówny – przez chwilę niemal zapragnął zawału, byle zaprzestać cyklicznego rozkwitu bólu w czaszce. Kiedy podświadomie odetchnął z ulgą, schował obrzyna znów za pazuchą. Po krótkiej chwili nastąpił punkt kulminacyjny koszmaru.

Bezgłowy trup chwycił Jonathana za szyję i zaczął go dusić.

- Niemożliwe! – jęknął Mikołaj. – Jak to „odsyłają”?! Stał wraz z Leonem pod barem, rankiem następnego dnia, rozmawiając pod fioletowym niebem.
- Załamał się. Nie ma z nim żadnego kontaktu, po prostu „odleciał”. Leon ukrył twarz w dłoniach. Niewiele brakowało,

by nie dał rady powstrzymać się od płaczu.

- Muszę go zobaczyć. – rzekł zdecydowanym tonem.

Z swego pokoju wybiegł Izaak. Wciąż w pidżamie, nie zważając na wiatr i chłód, stanął zaraz przy Leonie, błędząc oczyma na wszystkie strony.

- Co z Jonathanem? Słyszałem, że...

- Odsyłają go. – Mikołaj spuścił głowę. – Masterton opuszcza Zonę...

Radek zerknął na przypiętego do noszy Jonathana.

- Katatonia? – spytał przestraszony.

Masterton miał puste, martwe spojrzenie, ręce spuszczone u dołu i nie dawał żadnych oznak życia. Po prostu leżał bez ruchu, wpatrując się nieprzerwanie w sufit. W tym tragicznym stanie znalazł go Harlan – nad ranem zajrzał do niego, by upewnić się, czy znów nie odstawił żadnego numeru. Po wejściu do jego kwatery usłyszał głośnie sapanie – ustało, kiedy Harlan wparował do sypialni Jonathana – Psychol leżał bezwładnie na brzuchu, na podłodze. Kiedy Harlan do niego podbiegł i obrócił go na plecy, wydawane

do tej pory sapanie ustało.

O stanie Mastertona wiedział już praktycznie cały obóz, jednak nieliczni się głębiej tym faktem przejęli – trudno było się dziwić, dla większości tutejszej społeczności był on jedynie typowym wariatem, z którym znajomość ograniczała się do kilku wspólnych akcji i wypraw. By zawiązać z nim bliższe więzy, potrzeba było o wiele więcej, nie mówiąc już o byciu jego przyjacielem – do tej pory miał ich sześciu i liczba ta raczej nie miała ulec zmianie – od wybuchu w 86 Masterton w pewnym sensie odizolował się od reszty świata i ludzi, spędzając jak największą ilość wolnego czasu głównie z Leonem, Mikołajem i pozostałą czwórką dawnych znajomych. Nikt nie wiedział co – podświadomość, on sam, czy nawet Bóg podczas rzekomego objawienia, ale pewna siła upewniła go, że jego starym przyjaciołom nic nie grozi. Być może dlatego każdej nocy spał niespokojnie, a podczas ostatnich dni nie sypiał prawie wcale – porwanie Barry’ego było naprawdę niebezpiecznym zagraniem, które narażało jego uczestników na śmierć. Czy to dlatego Jonathan tak się zachowywał? Obawiał się, że Radko-

wi, Izaakowi albo innemu bliskiemu jemu stalkerowi stanie się coś złego? Prawdopodobnie, gdyż wtedy Masterton został by sam – nic nie łączyło by go z „dobrymi (choć niekoniecznie) czasami” – z Kamilem i Adrianem. W takiej sytuacji obawiał się dodatkowo, że zwariuje szybciej, niż zdąży się zabić.

– Możesz nas na chwilę zostawić samych? – spytał cicho Leon.

Poza nim, Radkiem, Mikołajem, Izaakiem i Lennym w pokoju znajdował się Mark, który pod względem znajomości

Jonathana znacznie odstawał od reszty.

– Jasne... – rzekł tonem pełnym zrozumienia, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Krótką chwilę później Radek sięgnął prawą ręką do lewej kieszeni marynarki Jonathana – pogrzebał w niej przez chwilę, po czym wyłowił zeń plastikowe pudełko z lekami, które Masterton musiał zażywać regularnie, trzy razy dziennie. Wpatrywał się w żółte pudełko przez moment, zaś po chwili odkręcił czerwoną nakrętkę, którą obrócił do góry nogami i zaczął w niej grzebać palcem wskazującym.

Krwiście czerwona, wyjątkowo mała tabletką w kształcie koła o średnicy co najwyżej milimetra. Nikt nie znał dokładnego składu tej trucizny – nawet sam Jonathan nigdy nie zapamiętał ilości śmiertelnych środków chemicznych, których do niej napakowano. Miała zabić natychmiastowo w razie potrzeby, tylko to się dla niego liczyło. Od ostatniego tygodnia wizerunek Jonathana wielce podupadł – początkowe „odpały”, które dla większości stalkerów nie były niczym niezwykłym i wrażenie wielkiej pewności siebie zaczęły ustępować wizji doszczętnie zniszczonego człowieka – kogoś, kto boryka się z problemami od dłuższego czasu i nie może sobie z nimi poradzić. Kogoś, kto już w młodym wieku przeszedł więcej, niż nie jeden, który z tego świata zszedł w wieku stu lat. Wariat, Psychol – słowa te były wypowiedane z przymrużeniem oka (do pewnego czasu), gdyż to, co Jonathan czasem robił, nadawało się głównie do opowieści przy ognisku – spokojnych, gdzie nie było miejsca na poważne i dobijające historie. Mimo, że jego zachowanie nie jeden raz jeżyło włos na głowie i autentycznie przerażały, uważano go za „porządnego” człowieka.

Sytuacje, w których wykazywał się niebywałym talentem, te, podczas których olśniewał poczuciem humoru, pomocą, grzecznością – wszystkie one mieszały się z momentami, kiedy Mastertonowi prawdziwie odbijało – kiedy zabijał w okrutny sposób czy dostawał ataków szału i wściekłości. Powoli i stopniowo na jaw zaczęła wychodzić prawda o Jonathanie – non stop nosił przy sobie nafaszerowaną truciznami tabletkę, obawiając się całkowitego zatracenia w szaleństwie – szaleństwie, które być może ogarnęło go ostatniej nocy, podczas snu o Johnsonie.

Cały czas myślał o możliwości samobójstwa i nic nie przemawiało mu do rozsądku – pozostawał głuchy na wszystkie argumenty jego przyjaciół, a jednego omal nie zatłukł na śmierć, kiedy próbował podmienić tabletki – z trującej na pozbawiającą przytomności, jednocześnie umieszczając w niej mały nadajnik, dzięki któremu Mastertona szybko by znaleziono.

Wszystkie próby pozostawały jednak bezskuteczne – Jonathan w pewnym stopniu żył we własnym świecie, do którego wielu rzeczy po prostu nie dopuszczał.

- Co mu się mogło stać? – zapytał Izaak.
- Pewnie znów coś mu się przyśniło. – mruknął Leon. – Trzeba było przy nim zostać na noc. Czemu, do ku*wy, puściliśmy go sami?
- A jeśli komuś powiesz... – ton Mikołaja tworzył nową definicję słowa „niesamowity”. – Pożegnasz się nie tylko z drugim okiem...

Rok 2006

Druga Zona.

Hazardzista, duchy, tworzenie anomalii, wszelkie możliwe artefakty. Wyprzedanie codzienności, sześć poziomów, potencjalnych siedem. Co z tym wszystkich wspólnego ma Pochłaniacz, Oko Stwórcy i... te... te... Wytwory? A ta cała grupa? Co połączyło wszystkich uczestników incydentu w Mryńsku i pierwszych, którzy spenetrowali szpital z tymi, którzy po raz pierwszy weszli na Pola i tym samym do domu Gomeza? A ten chudzielec, którego z nimi spotkałem? Moją ostatnią nadzieją są akta wszystkich służb

mundurowych na terenie Ukrainy – może znajdę powiązanie.

Rok 1978

- Jezu Chryste... – Kamil padł bezwładnie na ziemię, uderzając twarzą o posadzkę.

Nawet Leon i jego wielki refleks nie uchroniły go przed bolesnym upadkiem. Reszta poza Kamilem na szczęście utrzymała się na nogach, widząc Jonathana.

Znajdowali się na trzecim piętrze szpitala w sali 12 – typowym szpitalnym pomieszczeniu z białymi kafelkami i równie śnieżno-białymi ścianami, jak i sufitem. Znajdowały się w niej trzy szpitalne, zaścielone łóżka – dwa były puste, ostatnie, to przy oknie, zajmował Masterton. Powodem tak gwałtownej reakcji, w tym Radka, który niemal zwymiotował z nadmiaru emocji, był ogromny opatrunek na lewym oku pacjenta. Widoczne wielkie plastry i pokryte różnego rodzaju środkami bandaż, także przez nie dodatkowo zawinięte, wraz ze specjalną taśmą. Wszyscy wiedzieli już, co się mniej więcej stało, dowiedzieli się od samego poszko-

dowanego, a raczej znajomego ojca Mastertona, który pracował w szpitalu i w krótkim czasie zwołał całą jego grupę znajomych. Zastanie przyjaciela w takim stanie zawsze było szokiem – zwłaszcza, kiedy coś takiego przeżywa się po raz pierwszy w życiu. Cała szóstka (Kamil ocknął się po chwili) dopadła łóżka Jonathana, zajmując resztę jego wolnego miejsca, nie przejmując się nawet stojącymi pod ścianą krzesłami. Wszyscy byli zatroskani i zaniepokojeni, zasypywali Jonathana mnóstwem pytań wszelkiej maści. Trwało to ponad pięć minut – wszyscy próbowali myśleć więcej o tym, że mimo wszystko Mastertonowi już nic nie będzie, że są gorsze tragedie, niż utrata oka, że łatwo się po tym pozbiera i wróci do normalnego życia. Całą atmosferę wymieszanego cierpienia i szczęścia zakłóciło z goła inne pytanie – zapadło ono głęboko w pamięci każdemu z siódemki nastolatków, jednocześnie rozpoczynając koszmar Jonathana Mastertona. -To Adrian ci to zrobił, tak? – Kamil założył ręce na piersi, wpatrując się w leżącego bezlitosnym spojrzeniem. Zapadła martwa cisza.

Rok 2001

Graham raz jeszcze sprawdził zawartość plecaka, po czym oparł się o betonowy murek, patrząc w niebo. Było czarne i pełne gwiazd, których blask podświetlał niewielkie, białe chmurki. Była pierwsza w nocy – zimno i wiatr dawały się we znaki każdemu, kto miał o tej porze odwagę zapuścić się w głąb dzielnicy przemysłowej, potocznie zwanej Dżiczą. Nazwa mówiła sama za siebie – tereny te wprost przypominały dżunglę – ciasne, otoczone budynkami, dźwigami i wagonami przestrzenie, gdzie głównym tłem były place budowy i tory kolejowe. Całe masy napromieniowanego żelastwa i złomu wszelkiej maści – od znaków drogowych na wrakach samochodów kończąc. Woń rozkładu, rdzy, pyłu i brudu niemal wisiała w powietrzu, mieszając się ze zwietrzałym smrodem oleju i smaru.

Dookoła panowała przeraźliwa ciemność, bezruch i cisza, przerywana jedynie szelestem papierów, blaszek oraz niewielu liści, wprawianych w ruch przez każdorazowy podmuch wichru. W okolicy nie było widać żadnego źródła światła – jedyną rzeczą, która

nieco oświećlała powierzchnię, był księżyc, który, gdy wyłaniał się na moment zza chmur, pokrywał wszystko bladoniebieskim kolorem. Zza blaszanych dachów starych budynków Graham mógł dostrzec w oddali także słaby, wzbijający się wysoko w górę snop, którego źródłem był reflektor. Prawdopodobnie z obozu wojska położonego za wzgórzem, między terenami wokół starej wieży zegarowej, a wschodnią częścią Jantaru.

Graham stąpał po zardzewiałych torach, obok niewielkich budynków, z których kontrolowano zwrotnicę i opuszczano szlabany – przynajmniej, kiedy stacja jeszcze działała. Przez stare szyny rosły kępy ciemnozielonej trawy, które miejscami były urozmaicane także przez nienaturalnej wielkości kwiaty i chwasty. Krótkofalówka Grahama wydała dźwięk, kiedy mijał on zdezelowany wagon kolejowy z kilkunastoma otworami po kulach niewielkiego kalibru.

– Gdzie jesteś? – spytał Graham po odebraniu sygnału.

– Zaraz przy szlabanie.

Po ponownym przypięciu słuchawki do pasa, Graham raz jeszcze sprawdził noszoną za pazuchą czarnej kurtki kopertę z pieniędzmi

– dalej była na swoim miejscu. To samo zrobił z bronią – upewnił się, że jego Spectre jest zabezpieczony i odpowiednio załadowany.

– Spokojnie, Leon! Poradzą sobie z nim! – Jerome

powstrzymywał Leona, który usilnie próbował przebić się przez dwóch strażników, ustawionych niczym mur przed wejściem do podziemnego wejścia – klapy, leżącej tuż przy domku Barry’ego Jeffersona.

– Nie dam ci go zamknąć w jakiejś cuchnącej celi przesłuchań! –

Leon wpadł na dwójkę goryli, wymachując wściekle ramionami we wszystkie strony, przeklinając szpetnie. – Ty skurwielu, jak możesz! Mikołaj! Lenny! – krzyknął wściekle. Po chwili nabrał powietrza w płuca i wydobył z siebie tak niehumaniczny i przeraźliwy ryk, że stojący przed otwartą klapą strażnicy, wraz z JerOMEM aż podskoczyli.

– Izaak! – ryk był tak głośny, że Leon upadł na ziemię, niczym zemdlony. Podniósł się po chwili, po czym znów najechał na dwójkę agentów, z zacieklą „Ach!”. Dalej jednak nie dawał rady, krótko powiedziawszy, stał w miejscu tracąc po prostu

siły – na próżno.

– Wy... – Leon pochylił się nisko, łapiąc oddech, niczym ryba wyjęta z wody. – sku*wiele... – wysapał, po czym twardo opadł pośladkami na trawę, wpatrując się tępo w pordzewiałe drzwiczki. Rozległ się dźwięk zamykanych gwałtownie drzwi. Po chwili do miejsca całej szamotaniny podbiegł Izaak z Radkiem i Mikołajem u boku.

– Co się tu, ku*wa dzieje? – wyszeptał ten ostatni zimnym, zniecierpliwionym głosem.

Leon odciągnął głowę do tyłu, oczami błędząc po nocnym niebie.

– Te... – przez odchylenie głowy zachłysnął się własną śliną.

Gwałtownie spuścił ją między kolana, kaszląc sucho. Kaszel palacza. Kiedy skończył, zaciągnął się powietrzem, tak, jakby miał to być ostatni oddech w jego życiu.

– Te gnoje chcą wywalić Jonathana z jego kwatery i zamknąć go w podziemiach do czasu, gdy po niego przyjadą! Rozumiesz? Zamknąć go w... – zawiesił głos i zmienił go na ledwie słyszalny szept. – Celi...

Wszystkim trzem nowo przybyłym przysłowiowo odpadła szczeka. Wpatrywali się w Jerome'a z oburzeniem i wściekłością. Milczenie przerwał Izaak.

– Dlaczego? – zapytał.

Radek, Leon i Mikołaj, a w pewnym stopniu on sam wyjątkowo zdziwili się jego grzecznym tonem. Administracja obozu miała zamiar zapakować Jonathana Mastertona na „czas bliżej nieokreślony” do swego rodzaju lochu, a Izaak dokonał właśnie zapytania, które pasowało by do skrajnego pacyfisty, który pyta się listonosza, dlaczego nie dostarczono mu przesyłki na czas.

– Żeby go zbadać.

– Ooo nie! – Leon poderwał się na równe nogi i niemal zetknął się nosem z twarzą Jerome'a. – Już ja wiem, jakie badania masz na myśli! Zaraz...

Skąd on, do cholery wiedział?! Każdy postawiony tutaj krok trzeba było uzgadniać z Jeffersonem. Ile piwa maksymalnie mogłeś wypić, od kogo zlecenia przyjmować i jakie artefakty przechowywać mogłeś na terenie obozu. Jerome już wcześniej miał

w planie jakieś podejrzone badania – z naciskiem na testowanie działań artefaktów, w sposób, gdzie humanitarność nie miała nic do gadania. Barry na szczęście zakazał mu tego typu praktyk pod groźbą „pójścia do piachu” – poskutkowało. Lecz teraz, gdy w obozie nikt nie sprawował rzeczywistej władzy, uświadomieni tym faktem mogli robić, co żywnie im się podobało. Jerome widocznie skorzystał z tego przywileju – nie zdziwiłbym się, gdyby znalazł na dole cały „sprzęt” rodem z siedziby Frankenstein. Do czasu przybycia nowego dowódcy trzeba było potrzymać resztę w nieświadomości – dom Jeffersona był stale obserwowany – nikt do niego nie wszedł od czasu wywiezienia Barry’ego, zaś strażnicy widocznie jeszcze się nie ocknęli. Podśłuch w jego pomieszczeniu też zdjeliśmy. Ku*wa, przecież Jerome nie wszedł tam do środka przez drabinę!

Zaskakująco wiele myśli przeszło mi przez głowę, w momencie, w którym dobywałem pistolet. Był to jednak bezcelowy manewr – właśnie dowiedziałem się, dlaczego Jerome wciąż trzymał prawą dłoń za płaszczem. Upadając na ziemię, z pociskiem w brzuchu,

obejrzałem się na Radka, Mikołaja i Izaaka.

„Myśl o dawnych czasach.” – powtarzałem sobie panicznie w duchu.

„Same dobre chwile, Prypec... Prypec... sierpień 78!”
78?!

Przestałem ufać własnemu umysłowi – właśnie przywołałem najgorsze wspomnienie z czasu bycia młodzieniaszkiem. Jedyłą pociechą był Kamil – jedyny, który z naszej grupy pozostał nieskażony aż do chwili śmierci. Może tak było dla niego lepiej?

22

Rok 1978

- Odjechał nie jedno, to fakt. Ale żeby zrobić coś takiego... – Kamil urwał nagle, po czym znów zmierzył Jonathana twardym spojrzeniem.

Wszyscy obecni w Sali popadli w głęboką zadumę – co zrobić z Adrianem?

Oczywistym wnioskiem na samym początku była zemsta – każdy z przyszłych stalkerów (z wyjątkiem Kamila) wyobrażali sobie przeróżne okropieństwa, które można było wyrządzić Adrianowi. Radek, Mikołaj, Izaak i reszta nie byli bandą kradnących oprychów, tak zwanym „złym towarzystwem”, ale do grzecznych, bojących się bójek chłopców też się nie zaliczali.

Wiedzieli, że ich przyszły czyn odmieni ich życie na zawsze, lecz satysfakcja z zemsty była dla nich ważniejsza. Pod tym względem odstawał jedynie Kamil – z początku był za zgłoszeniem tego na policję, lecz szybko wycofał się z tego pomysłu – uległ najzwyczajniejszej żądzy odwetu. Wciąż jednak w Mastertonie i jego przyjaciółach kłębiło się coś w rodzaju lęku – podświadomość podrzucała im okropne obrazy, przedstawiające konsekwencje – więzienie, problemy w rodzinie, duże prawdopodobieństwo zostania w przyszłości zwykłym bandziorem. Zero życia towarzyskiego – nie licząc prostytutek, zszargana reputacja, prawie stuprocen-

towa szansa na popadnięcie w alkoholizm czy narkotyki. Pośród grupy znajomych panowała prawdziwa burza mózgów. Na moment przerwał ją gwałtowny grzmot.

Wszyscy, w tej samej chwili obejrzeni się w stronę okna. Za wieżowcami, położonymi przed dziedzińcem szpitala, wysoko w górze kłębiły się granatowo-szare burzowe chmury. Poruszały się one w miarę szybko, płynęły wraz z wiejącym z północy wichrem, z sekundy na sekundę coraz bardziej zasłaniając słońce i zbliżając się do szpitala. Wokół robiło się coraz ciemniej – na podwórzu ilość światła zmieniała się jak w regulowanej świecy, zaś słońce zaczęło rzucać ogromny, półprzezroczysty cień, sunący powoli w stronę kliniki niczym morską falą. Kiedy pokrył on cały budynek szpitalny, w momencie, w którym słońce zostało całkowicie przyćmione a w „dwunastce” zrobiło się tak ciemno, że trzeba było zapalić wszystkie światła, Masterton głośno przełknął ślinę. Patrząc nieobecny spojrzeniem za okno, widocznie się czymś martwił. Częściowo uspokoił go Kamil.

– Nie martw się. – rzekł, położywszy dłoń na lewym ramieniu

Jonathana. – Zostajemy tu z tobą do samego rana.

Jonathan zdobył się na lekki uśmiech.

Na zewnątrz rozległ się tak silny podmuch wiatru, że Masterton aż podskoczył, słysząc zgrzytający przy oknie parapet. Ludzie na dziedzińcu z widocznymi trudnościami utrzymywali równy krok, zmagając się z coraz mocniejszymi podmuchami. Drzewa były ugięte pod nienaturalnym kątem, obficie gubiąc stare liście. Po kolejnym, wyraźnie głośniejszym grzmocie rozpadał się ulewny deszcz.

Rok 2001

Graham oparł się o stary, przekrzywiony kolejowy szlaban. Po prawej miał niewielką budkę, po lewej zaś przewrócony, zniszczony wagon towarowy. Jego odłazące z farby drzwi były przesunięte w lewo, ukazując wnętrze – stos złomu i spleśniałych, starych drewnianych skrzyń, z których kilka było roztrzaskanych. Gdzieś, wokół całego tego bałaganu powiewała delikatnie niewielka pajęczyna z oczekującym nowych ofiar pająkiem na samym jej środku.

W kilku miejscach wisiało niewiele martwych, wysuszonych much. Jeszcze jedna, srebrna w świetle księżyca pajęczyna wisiała na całej szerokości otworu w starej budce po jej lewej stronie, dokładnie w miejscu, gdzie niegdyś znajdowało się niewielkie okienko. Całe otoczenie tonęło w rzucanych przez chmury cieniach, przez co podłoże wyglądało jak niezbyt głęboka tafla jeziora podczas lekkiego powiewu. Miało się wrażenie, że z gruntu zaraz wypłynie jakieś morskie zwierzątko.

Po odczekaniu dwóch minut, Graham miał zamiar po raz trzeci wywołać Gavina, lecz w chwili, w której sięgał po radiostację, nieznany sprzedawca dał o sobie znać.

– Jestem, jestem... – mruknął przepraszającym tonem, wytaczając się spod wagonu (gniotąc lekko swój nowoczesny kombinezon), któremu Graham jeszcze przed chwilą się przyglądał.

Niewiele brakowało, by podskoczył ze strachu, dał radę jednak w porę się opanować, wydobywając z siebie jedynie jęk zdziwienia i uznania. Przewrócił oczyma z dezaprobatą, patrząc na wykonują-

cego jakiś gest Gavina. Po chwili przestrzeń w pobliżu dziesięciu metrów wypełniła się stalkerami. Było ich czternastu, wszyscy, co jeszcze bardziej zdumiało Grahama, mieli na sobie jedne z najrzadszych kombinezonów w Zonie – SEVA. Uzbrojeniem także robili wrażenie – pięć sztuk G3, kolejne pięć L1A1, dwójka stalkerów trzymała po jednym DAO-12. Po krótkiej chwili Gavin wydobył zza pazuchy L22A2, po czym skierował go lufą do ziemi.

„Ku*wa, a spodziewałem się zwykłych oprychów...” – pomyślał przez moment Graham. Sam sposób pojawienia się współtowarzyszy Gavina także dawał do myślenia, że są nie byle kim – połowa czyhała schowana pod kilkoma innymi wagonami, dwóch z nich ukryła się w wagonie, przylegając do jego wnętrza, zaś ostatnich czterech wybiegło z krzaku rosnącego około dwudziestu metrów od szlabanu.

– To jak? – ton Gavina wskazywał jasno, że jest wyjątkowo pewny siebie, cóż, trudno mu było się dziwić, mając taką obstawę... – Robimy interes? – po tym zapytaniu z wyraźną uciechą zatarł o siebie ręce.

– Taa... – mruknął Graham, po czym zaczął kierować broń do wewnętrznej kieszeni ubrania.

Kilkanaście luf, z wyjątkiem tej Gavina, wystrzeliło w jednej sekundzie w powietrze, biorąc Grahama na celownik.

– Hej hej! Tylko kasę wyjmuję...

Bronie zostały opuszczone – po krótkiej chwili Graham wyjął dużą, grubą kopertę. Wystawił ją powoli ku Gawinowi, który po paru sekundach przyglądania się, wziął ją do ręki. Oceniał jej grubość, gwizdząc z zadowoleniem, po czym opróżnił ją i zaczął liczyć pieniądze, które w niej schowano. Robił to szybko, sprawnie i zręcznie. Kiedy skończył, kiwnął kilka razy porozumiewawczo, mruczając coś do siebie. Ok, ok., ok., ok...

– Ok., zgadza się... Henry, przynieś tego... Jak mu tam było?

– Vychlopa, szefie, Vychlopa. – rzekł zrezygnowanie jeden z stalkerów trzymających DAO-12.

Kiedy podrapał się po głowie, odwrócił się przez plecy i wolnym krokiem ruszył w stronę wagonu. Wszedł do środka przez boczne drzwi, krusząc niewielkie kawałki drewna. Włączył przyczepioną

do ramienia w prowizoryczny sposób latarkę, oświetlając stary, pordzewiały blaszany dach. Złapał w nim jakąś wypukłość prawą dłoń i mocno pociągnął do siebie. Z wagonowego sufitu odpadła wielka, szeroka blacha, ukazując coś, co wyglądało na zamknięty w pokrowiec teleskop – to, w jaki sposób trzymał się sufitu, było dla Grahama wciąż niewiadome, prawdopodobne posłużyły do tego wyjątkowo silne magnesy. Henry z trudem nie wypuścił zawartości skrytki z rąk podczas jej wyjmowania – nic dziwnego, Vychlop ważył ponad osiem kilogramów. Chwyciwszy go oburącz, niosąc niczym ceremonialny miecz, Henry podszedł do Grahama. – Proszę bardzo... – rzekł, położywszy pokrowiec na ziemi. Nagle stojący na samym końcu „formacji” stalker odwrócił się momentalnie przez prawe ramię i wystrzelił trzy razy ze swojego G3. Reszta gwałtownie odwróciła się w stronę oddanych strzałów, podnosząc swoje lufy przed siebie – powstrzymał się od tego jedynie Graham – po takiej reakcji na gwałtowny ruch wołał nie wyciągać przy Henrym i reszcie broni.

– Dzięki, Ben... – podziękował Gavin tonem pełnym ulgi, opuszczając broń.

Pijawka leżała tuż przed stalkerem (Benem) z trzema wielkimi otworami po kulach w swym brązowym, niemrawie owłosionym cielsku. W bardzo szybkim tempie łała się z ich krew, czerwieniąc beton wokół miejsca, w którym potwór padł na ziemię, nadając szynom upiornego, czerwono-szarego koloru. Macki mutantu rzucały się jak szalone we wszystkie strony, łącznie z przekrzywiając się z boku na bok łbem – również białe, świecące w ciemności ślepie poruszały się szybko i chaotycznie. Kończyny zachowywały się podobnie – próbowały pomóc ich właścicielowi przewrócić się na brzuch, lecz w konsekwencji łomotały jedynie wściekle o tory.

– Wróćmy do naszej wymiany. – powiedział Gavin po wystrzeleniu jednego pocisku w głowę pijawki – uniesione ręce i nogi wraz z głową i mackami zastygły na moment w powietrzu, po czym opadły bezwładnie.

Ben usiadł po turecku, sapiąc. Czując na sobie spojrzenia innych, zapewnił ich, że nic mu nie jest.

- Skończcie, to zaczęliście, mi nic nie będzie, muszę tylko odpocząć... – wysapał.
- W porządku... – rzekł Gavin. – Słyszałeś, skończmy to jak najszybciej. Sprawdź sprzęt, spieszy nam się.

Graham pochylił się nisko, rozpiął pokrowiec i wyjął z niego karabin snajperski VSSK Vychlop.

Broń ta autentycznie go przerażała – miała ponad 800mm długości, z czego połowę stanowił niesamowicie gruby tłumik, co w połączeniu z potężną amunicją 12.7MM dawały temu karabinowi wielkie możliwości. Jego korpus miał ciemno oliwkowy kolor. Sam karabin zbudowano w układzie bull-pup – magazynek mieszczący pięć sztuk amunicji mieścił się za spustem, przed którym zaś zamontowano składany dwójnóg, obecnie złożony. VSSK używał kultowej już lunety PSO.

- Idealny... – mruknął Graham. – Wprost idealny.

Zachwyty Grahama przerwał kolejny wystrzał, nie dochodził on jednak z żadnej z broni ludzi Gavina. Jeden z nich padł na ziemię, łapiąc się za przestrzelone kolano, krzycząc:

- Wojsko! je*ane trepy czekały, aż...

Słowa rannego stalkera zagłuszył dźwięk eksplodujących granatów dymnych. Po chwili ich cichy syk mieszał się z jękami rannego, którego Gavin przyciągnął za fraki do przeciwległego wagonu. Całą przestrzeń wypełniły opary szarego, smolistego dymu. Ktoś z wojskowych wystrzelił jeszcze dwa razy na ślepo, nikogo nie trafiając. Cała trzynastka, w sumie czternastka, jeśli doliczyć Grahama, leżała płasko na torach kolejowych, nie mając żadnej osłony, poza dymem.

- Pod wagony! – Gavin powiedział to dość głośno, by przebić się przez dźwięk opróżniających się granatów.

Graham czołgał się pierwszy – z trudem pokonywał kolejne metry nierówności, kierując się na wschód. Sapnięcia stalkerów, którzy za nim podążali zdawały się nie mieć końca. Dym zaczął powoli opadać – zauważywszy to, Gavin odbezpieczył i upuścił jeszcze jeden pojemnik.

Cały spód wagonu wypełnił się oparami – wyglądało to tak, jakby na torach, na których stał, palił się ogień. Stalkerzy z trudem pod

niego dopełzli, zaś kiedy w końcu im to się udało, Gavin kazał wszystkim założyć tłumiki. Jego podopieczni usłuchali – każdy miał czarną, wąską tubę przyczepioną do tyłu kombinezonu, w okolicach potylicy. Przez moment zrobiło się głośno od dźwięku zakręcanych tłumików, zaś posiadacze strzelb wydobyli z kabur wytłumione już pistolety – Graham spojrzał na nie z ciekawości i poznał między innymi P99. Graham także miał przygotowaną tego typu broń – w prawym ręku trzymał teraz Berettę 93R z zamontowanym wcześniej tłumikiem.

– A teraz... – zaczął Gavin. – Nie robicie nic, dopóki wam nie każe.

Na górze rozległo się głuchoe stuknięcie – to postrzelony stalker doczołgał się do kryjówki. Graham miał wraz z resztą jego chwilowych towarzyszy wyjątkowe szczęście – wagon miał szeroki spód, dzięki czemu zasłaniał on całkowicie ciała ukrywających się pod nim stalkerów.

Dym zniknął, rozwiany przez lekki powiew. W oddali, według Grahama w granicy złomowiska z terenami przemysłowymi, rozle-

gło się wycie wilka. Po chwili, tym razem znacznie bliżej, rozległy się kroki kilku par butów.

Trzy godziny wcześniej, w chwili, w której noc zaczęła dominować nad dniem, w okolicach Jantaru przebywało pięciu członków S. Była to ta sama grupa, której znaczna część w tym samym czasie wyruszyła w stronę Dżiczy, by sprzedać Vychłopa. Jedna z najmniej znanych i najbardziej elitarnych frakcji w Zonie – na równi z Monolitem, ustępowała jedynie grupie Susarro, lecz z nim nikt nie mógł konkurować.

Jej nazwa – S – pochodziła od nazwy kombinezonu SEVA – standardowego typu kombinezonu używanego przez jej członków, a raczej z historią, w jaki założyciele S zdobyli owe pancerze.

Głównym organizatorem był Gavin – człowiek, którego w 1993 porwał oddział dezertersów z Specnazu, którzy zrobili mu pranie mózgu i wcielili do siebie w roli żołnierza. Rok później, listopada 1994 Gavin dowiedział się, że oddział od dłuższego czasu zajmuje się wyłącznie ogromną akcją na terenie Zony – Strefy, terenu elektrowni atomowej w Czarnobylu. Planowali oni dokonać wielkiego

przewrotu – wyeliminowania lub zrekrutowania wszystkich wojskowych na Jej terenie i wykluczyć jakąkolwiek rolę oficjalnych sił jakiegokolwiek rządu – Zona miała należeć wyłącznie do nich. Potem ta całkiem pokaźna grupa (należało do niej ponad dwustu byłych komandosów, w tym Gavin, który miał za sobą wiele specjalistycznych szkoleń) chciała utworzyć z elektrowni atomowej swoją twierdzę – symbol ich potęgi i pozycji, jaką zajmowali by w Strefie. W 1992 zatrudnili oni sztab naukowców, którzy badali Zonę od momentu nastąpienia wybuchu – mieli oni opracować kontrolowany sposób tworzenia anomalii, by nikt poza nimi nie mógł przekroczyć granicy do Czerwonego Lasu – początku ich oficjalnego terytorium. Do tego oddziału badaczy należał między innymi Doktor Gomez, który zainteresował Dezerterów pod wieloma względami.

Każdy inny naukowiec miał zostać zabity, a wyniki ich badań – przejęte. Dwudziestego lipca 1996 roku Gavin został uprowadzony spod jego domu – dwójka nieznanych ludzi ogłuszyła go, kiedy wychodził z mieszkania, po czym zapakowali do samochodu. Po

przejechaniu kilkunastu kilometrów Gavin odzyskał przytomność – był w południowej części Petersburga, a dokładniej w pewnej obskurnej kawalerce. Dwaj nieznajomi okazali się, jak sami powiedzieli, „oficjalnymi przedstawicielami ukraińskiego rządu”, który „dowiedział się o zamiarach grupie dezerterów i zamierza nie dopuścić do ich zrealizowania” ponieważ „rząd ma własne plany co do sposobu wykorzystania Zony, a „jakikolwiek rozruch na tle przejęcia władzy będzie dla niego wyjątkowo niekorzystny”. Dwójka agentów zaproponowała a raczej rozkazała Gavinowi co tygodniowe raporty na temat planów Dezerterów i działania „mające doprowadzić do całkowitego rozpadnięcia się grupy”. W zamian oferowali mu szansę stworzenia własnej, potężnej frakcji, której jednak działalność miała być tajna – Gavin i członkowie P.S (bo tak brzmiała wtedy ich nazwa) mieli dążyć jedynie do „zaspokojenia własnych korzyści” i „utrzymywania w Zonie równowagi” do „bliżej nieokreślonego czasu”. Gavin do 1999 roku był w Strefie jedynie raz – wizja bycia Jej „nie koronowanym królem” wraz z chęcią zemsty na sprawcach wyprania mu rozumu przekonały Ga-

vina – dwa miesiące po nastaniu roku 2000 szefowie Dezerterów zostali zabici (po wczesnym, ponad czteroletnim inwigilowaniu) zaś członkowie rozeszli się w popłochu, obawiając się podzielenia losu ich przełożonych.

Już dwa lata przed tym wydarzeniem Gavin zebrał jeszcze trzech ludzi, którzy mieli stworzyć P.S – miał też plany co do ich wyposażenia i roli, jaką mieli odegrać w Zonie.

Kiedy byli żołnierze Specnazu przestali zagrażać planom Ukrainy, zaczął on tworzyć w Strefie własną władzę – stworzyli oni obóz, gdzie pracowali ich najlepsi agenci – ich zadanie po części pokrywało się z celem P.S – zbieraniem wszelkich informacji o Zonie.

Po zbudowaniu obozu i umieszczeniu tam większej części swoich ludzi, ukraińska władza posłała pierwszy z dwóch transportów z wyposażeniem dla ośrodka służb specjalnych. Zawierał on osiemdziesiąt sztuk kombinezonów SEVA i ponad setkę sztuk broni wszelkiego rodzaju – od strzelb po karabiny szturmowe na snajperskich skończywszy.

Tym razem to Gavin dokonał dezercji.

Zaatakował i przejął cały transport, w chwili przekroczenia przez niego granicy. Gdy otwarcie uznano go zdrajcą, ukrył się w głębi Zony wraz ze swoimi ludźmi, których miał już dwudziestu dwóch. Z racji ich wyposażenia szybko opanowali oni północną część Zony, zaś wszędzie, prócz grupy Susarro i Monolitu, posiadali informatora w każdej frakcji. Ze starej nazwy usunięto „P” – P.S przestało oficjalnie istnieć, lecz i tak tylko nieliczni w ogóle wiedzieli o istnieniu jego „następcy”. Być może nazwa znowu uległa by zmianie, gdyby ludzie Gavina zdecydowali by się na atak drugiego transportu, który miał miejsce 2001 roku – nie chcieli jednak całkowicie wykluczać ingerencji rządu w Zonę – posiadanie w ich obozie informatora wydało się kuszącą wizją, którą zresztą wcielono w życie.

Teraz niepisany zastępca, a także przyjaciel Gavina, który wielce pomógł mu podczas ataku na pierwszy transport, imieniem Teodor, zwany zwykle „Tedem” wraz z czwórką innych żołnierzy S oczekiwało wojskowego śmigłowca. Dwaj z nich na chwilę zostawili swoje RPG – oparli je o wrak autobusu, przy którym też usiedli,

oczekując raportu od zwiadowcy, który miał im dać znać, kiedy wojskowy Mi-28 przekroczy granicę Jantaru. Teodor i pozostała dwójka uzbrojeni byli w G3 z celownikami optycznymi.

– Ciemno jak w dupie... – mruknął Pete, jeden z posiadaczy RPG.

On jak i pozostała czwórka miał zasuniętą osłonkę twarzy, wbudowaną w kombinezon. Jego głos był w charakterystyczny sposób stłumiony i zniekształcony przez szczelne zamknięcie.

- Chyba bym zdechł, gdybym miał nosić jeden z tych podrzędnych kombinezonów, jakich używają ci tutejsi.
- Co masz na myśli? – spytał rozglądający się we wszystkie strony Teodor.
- Chodzi mi o to, że znaczna większość ich wbudowanych noktowizorów bardziej pomaga oslepnąć, niż ułatwić widzenie w nocy. Ci, którzy je robią, dają je chyba dla szpanu, nie mają zielonego pojęcia o tego typu technice!
- Fakt... – Ted na chwilę odsunął przesłone na twarz, by pociągnąć łyk wody z manierki.

Kiedy to zrobił, zasunął ją z powrotem, znów upodabniając się do reszty. W takiej sytuacji odróżnić go można było poprzez dwa wielkie, czerwone pasy, które wszyto w prawe i lewe ramię kombinezonu. Podobne miała SEVA należąca do Gavina, która miała dodatkowo jeden czerwony pas biegnący od lewego barku do prawego uda. Tego wszycia nie dało się pomylić z żadnym innym, dlatego Gavin zawsze był łatwo rozpoznawany przez swoich ludzi wśród oddziału identycznie ubranych stalkerów.

O tej porze Jantar był rzeczywiście mroczny i ciemny – słońce kierowało się ku horyzontowi, lecz jego promienie i tak prawie nigdy nie gościły na wyschniętym jeziorze – mało kto wiedział dokładnie co – gęsta, szarawa mgła, wiecznie stojące pasmo grubych chmur (Takie rzeczy tylko w Zonie! – rzekłby John Finn), ale coś sprawiało, że Jantar niemal o każdej porze roku i dnia był nieoświetlony przez słońce.

W tym momencie widoczność ograniczała się do ponad dwudziestu metrów – dalej była tylko mgła, której srebrzysty kolor ledwie wybijał się ponad panujące ciemności. Teodor czuł się jak na pla-

nie filmowym, gdzie autobus był jednym z rekwizytów, a reszta światel na całym planie została wyłączona.

Pete potrząsnął kilkakrotnie puszką z białą farbą.

– Minęła godzina. Ściągnij go spowrotem.

Jonesy nacisnął na radiostacji odpowiedni przycisk i przyłożył słuchawkę na lewego ucha. Po pięciu dłużących się sekundach wydobył się z niej głos.

– Szeffie? – spytał przestraszony. – Tu jest...

– Wracaj natychmiast. – rozkazał Jonesy. – Wynoś się stamtąd, za parę godzin będzie Zwarcie!

– Dobra... Jeśli stąd nie wyjdę... powiem wam jedno – nigdy, przenigdy tu nie wchodzić! Mutanty wyłazące ze ścian, wizje... – ze słowa na słowo głos wysłannika stawał się coraz głośniejszy i mniej zrozumiały. – Anomalie, o których wam się nie śniło, do tego ruchome, omamy, halucynacje... Niech Zona wstydy się, że zrodziła takie miejsce! – żołnierz Monolitu wykrzyknął ostatnie słowa tak głośno, że Jonesy o mało nie ogłuchł.

Teraz ze słuchawki dobywał się jedynie szaleńczy bełkot – miało się wrażenie, że obecny wewnątrz budynku stalker krąży w kółko, gadając do siebie.

Minęła minuta cierpliwego oczekiwania na kompana z oddziału, jednak niczego one nie dały – radiostacja całkowicie umilkła, przestała wydawać z siebie jakiekolwiek odgłosy.

W oknie na trzecim piętrze kompleksu rozkwitło spore pęknięcie – coś zostało rzucone z wnętrza pomieszczenia. Coś czerwonego i widocznie mokrego – za tajemniczym przedmiotem ciągnęły się niczym smugi czerwonawe krople. Nieznany obiekt leciał z wyjątkową prędkością i wyraźnie kierował się w stronę Jonesy’ego – w ciągu dwóch sekund, przed zderzeniem oślizgłej kuli z jego twarzą, rozległ się świst przecinającego powietrza, który stopniowo narastał podczas krótkiego lotu serca żołnierza, którego wybrano do wejścia na przedostatnie piętro.

Trafiło ono Jonesy’ego prosto w nos, łamiąc go – po tym trafieniu także świeżo wyrwane serce uległo zmiążdżeniu, oblewając wszystko w promieniu kilkunastu centymetrów ciepłą krwią.

Jonesy z trudem ustał na nogach, gdyż siła uderzenia była naprawdę wielka. Ku zdumieniu wszystkich, dowódca oddziału był niewzruszony – reszta podwładnej mu drużyny była w kompletnym szoku. Jonesy stał twardo niczym słup soli z zakrwawioną głową, wbijając się tępym spojrzeniem w trzecie piętro prypeckiego szpitala. Na chwilę dostrzegł w budynku coś więcej niż mury i fundamenty – zobaczył klinikę jako żywy, myślący własnym rozumem organizm, który robi Monolitowi na złość, nie zapraszając nikogo otwarcie do swych progów. Na chwilę Jonesy był nieobecny – przeniósł się do własnego, niedostępnego dla nikogo, poza nim świata.

– Rób sobie co chcesz... – wyszeptał nieładzko chrypliwym głosem. – Oko Stwórcy i tak wkrótce będzie nasze.

W oddali huknął potężny grzmot. Jonesy potraktował to jako pogardliwą odpowiedź szpitala. Splunął szpetnie, po czym odwrócił się przez plecy i zaczął przecierać twarz.

– Idziemy... – rozkazał, trąc lewe oko. – Nie chcę tu być, kiedy Zwarcie się zacznie.

Teodor wstał i przeciągnął się, chrupiąc nadgarstkami, szyją i każdym palcem z osobna. Siedzący obok niego Pete nawet nie zwrócił na to uwagi – był przyzwyczajony do rozmaitych rzeczy, które Ted wyczyniał ze swoim ciałem.

– No... – mruknął, rozglądając się na boki. – Długo mamy jeszcze na niego czekać?

Zapadła już niemal całkowita ciemność – pojęcie widoczności przestało zobowiązywać na odległości większej niż pięć metrów. O tej porze Jantar był szczególnie przerażający – odgłosy zamieszkujących to miejsce mutantów nie przestawały o sobie znać, a wiatr był jeszcze silniejszy, niż zwykle. Po zapytaniu Teodora, gałęzie i korony drzew świszczwały niemal ogłuszająco. Wszyscy członkowie S. poderwali się na równe nogi, po czym biegiem schowali się do starego wraku autobusu. Do czasu ustania Powiewu stalkerzy wcisnęli się na koniec autobusu, obserwując bacznie każde wybite okno pojazdu – Gavin nie zamierzał dopuścić do zranienia drugiego człowieka w ten naiwny sposób – mianowicie chodziło o Pabla, który dał się wciągnąć Snorkowi przez kabinę kierowcy innego

autobusu (w tym przypadku Prypeckiego). Gdyby nie znaleziony przypadkiem odłamek Duszy, Pablo pożegnał by się z lewą nogą. Teraz cała frakcja miała opanowany każdy „wzór” zachowania do każdej sytuacji – znali całą Zonę niemal na wylot, miejsce każdej anomalii, położenie każdego wraku, każdej rury lub większego kawałka gruzu. S. ryzykowała wiele, przemierzając Strefę każdego dnia po ponad piętnaście godzin – było to zwyczajowe Jej poznanie, które trwało trzy miesiące nieustannych tułaczek, nieprzespanych nocy i walk z mutantami oraz innymi stalkerami. Do stuprocentowej wiedzy na temat Zony podwładnym Teodora i Gavina zostało już tylko dokładne przeszukanie elektrowni jądrowej. Niestety szanse na to drugie były dość nikłe dopóki Monolit całkowicie się nie rozpadnie, nie wspominając o ilości wojska broniącego Sarkofagu.

Autobus drżał silnie i miało się wrażenie, że Powiew zaraz wywróci go na dach. Zgniłe siedzenia i podłoga autokaru pokryły się starymi liśćmi, pyłem i suchymi żdźbłami trawy.

Ted spośród całej gamy chaotycznych dźwięków zdołał „wyłowić”

odgłos radiostacji. Pochylił się nisko, niemal chowając głowę między kolana, po czym odebrał sygnał.

– Teodor?! – okolicę wokół kryjówki zwiadowcy także wypełniała kakofonia wywołana przez anomalie. – Śmigłowiec się zbliża! – informator S. ledwie przebijał się głosem ponad szum.

Ten, ku zdziwieniu wszystkich, nagle ustał. Wszystko wróciło do normy – najszybciej o tym fakcie zorientował się Pete, który z RPG w rękach w mgnieniu oka wybiegł z autokaru.

„Pete szybko biega, Pete’a nikt nie dogoni.”

Dobiegł mnie dźwięk łopat wirnika tnących bezlitośnie powietrze. Z granatnikiem gotowym do strzału, opartym o prawe ramię, włączyłem zintegrowany z kombinezonem noktowizor. Jantar nabrał jasno fioletowej barwy, podobnie jak wiszące nad nim niebo. Teraz, wzmacniając blask gwiazd, mogłem bez trudu dostrzec nadlatujący śmigłowiec. Mi-24WP, u którego zamiast czterolufowego karabinu zamontowano działko 23mm. Oparłem swego RPG7 wyżej, po czym przyłożyłem oko do lunety. Mi leciał nisko,

dziesięć metrów przede mną, przez co mogłem trafić go w dowolne miejsce. W momencie, w którym wzbijany przez wehikuł kurz zaczął stukać w mój kombinezon, odpaliłem pocisk.

Rok 1978

– No, pokazuj, co tam masz! – zachęcił Kamil podnieconym głosem.

Izaak rzucił niedbale karty na plandekę, ukazując cztery asy i króla.

– Ja pier*olę... – Mikołaj gwizdnął z podziwem.

Wszyscy, prócz przebywającego w szpitalu Jonathana, grali w karty pod namiotem w lesie, który za kilka lat zostanie nazwany lasem czerwonym. Był to bardzo duży namiot, z czymś w rodzaju trzech pomieszczeń oddzielonych przegrodami. W jednej znajdowało się radio i prowizoryczna kuchnia – stojak na patelnie, których były dwie wraz z przyczepionym u dołu palnikiem zasilanym na gaz. Największa, środkowa część namiotu zasiedlało pięć mordercy – to tutaj niekompletna „paczka” przyjaciół przesiadywała

wieczory. Spędzali je na długich, nie mających końca rozmowach na wszystkie tematy oraz na graniu, głównie w karty, kości, lub inną zabawę, którą „dasz radę wziąć ze sobą pod namiot”. Zwykle pierwszy „padał” Leon, przyzwyczajony do wczesnego chodzenia spać – od dwunastego roku życia zaczął biegać i zachowywać się jak sportsmen – wstawał wcześniej rano, biegał, ćwiczył, generalnie, wielce dbał o kondycję i zdrowie. Największym Nocnym Markiem był Kamil – nie widział on żadnych przeszkód, by nie przespować nocy, a zmrużyć oko dopiero w południe następnego dnia, by obudzić się rześkim po dwóch godzinach snu. Była to jedna z wielu osobliwości, które posiadał, które jednak upodabniały go do reszty uznawanego za „nieodpowiednie” towarzystwa. Teraz, o pierwszej w nocy, prócz niego na nogach trzymał się jeszcze Mikołaj, Izaak i Radek – Leon zasnął już po jedenastej i przewrócony na prawy bok, zapewne śnił o Wielkim Kanionie (miał lęk wysokości, zaś ten konkretny sen nawiedzał go już od szóstego roku życia).

Stawką były, jak zwykle, zapalki – Kamil od dawna przestrze-

gał przyjaciół przed poważnym hazardem, posługując się ojcem-bankrutem jako przykład. Przynajmniej do tej pory jego ostrzeżenia odnosiły skutek – nikt z obecnych w namiocie, a także Jonathan, nie wygrali ani nie przegrali w tego typu zagrywkach żadnego pieniądza.

„I oby tak dalej...” – powtarzał Leon co jakiś czas.

Po skończonej grze i zebraniu całej „puli” przez Izaaka, Radek wrócił do bolesnego tematu.

– Masterton ostatnio dziwnie się zachowuje, no nie? – spytał.

Izaak przewrócił oczyma.

– A jak ty byś się zachowywał, gdyby ktoś rozciął ci twarz? – odparł.

Miał rację – w takich sytuacjach osobowość człowieka może się diametralnie zmienić, a nikt, nawet sama ofiara nie jest w stanie przewidzieć, jak.

– Jestem w stanie zrobić wszystko. Dosłownie wszystko, dla Jonathana. – obwieścił Kamil.

Spodziewano się takiej wypowiedzi – Kamil zawsze dawał o sobie znać, że to on jest najbliższą Jonathanowi osobą zaraz po rodzinie. Nie wiadomo było jeszcze, co dokładnie zbliżyło tą dwójkę w tak dużym stopniu, lecz Radek, Leon, Izaak i Mikołaj mieli się już niedługo o tym dowiedzieć. Do tej pory pozostawały im jedynie domysły – czy jeden uratował drugiego podczas napaści? Pożyczył pieniądze w naprawdę kryzysowej sytuacji? Ilość podejrzeń była nieograniczona, pozostawało więc jedynie oczekiwać prawdy.

– Zauważyłem coś innego, Kamil. – zagadnął Izaak.

– Co masz na myśli?

– Ty zachowujesz się dziwnie. Jesteś zduszony, wyciszony, gapisz się w glebę jakby Bóg ci się na niej objawił. Żal?

Poczucie winy? Czujesz się odpowiedzialny za to, co stało się Jonathanowi?

– Adrian! Tak, do ciebie przecież, ku*wa mówię! Choć no tu! – Kamil nie czuł się pewnie w obecnej sytuacji.

Nie wróżył sobie świetlanej przyszłości, jeśli jego plan nie wypali. Cóż, twierdził, że Adrian zalicza się mimo wszystko do grupy

szpanerów – takich, którzy są mocni tylko w gębie i pięści, innymi słowy – jeśli takiemu się dobrze przygada, to wymięknie, tak samo, jak jego wielkie mięśnie.

Nazywający samego siebie tego dnia Pan Ryzykant niósł džinsy, adidas i białą koszulkę z krótkim rękawem. Adrian zaś miał na sobie koszulkę na ramiączkach oraz spodnie z dresu. Obaj byli podobnego wzrostu, jednak Kamil był o dwa lata młodszy.

„Bez ryzyka nie ma zabawy!” – powiedział sobie w duchu.

Nie znali się – gdyby Adrian wiedział, że Kamil kumpluje się z Jonathanem i resztą jego osiedla, na dzień dobry wybił by mu zęb. Nie pierwszy raz zresztą.

Zamiast tego serdecznego powitania, stanął on przed Kamilem jak słup soli, po czym zaczął mierzyć go morderczym spojrzeniem. Na szczęście dla Ryzykanta nie odniosło ono skutku – Kamil, zanim przeprowadził się do Prypeci, mieszkał w innym podobnym miasteczku, które tworzyło zupełnie nowe znaczenie słowa „chuligaństwo”. Na ulicy „rządziła” grupa zwykłych nastoletnich bandytów, okradających nie tylko sklepy i napadających na lu-

dzi dla pieniędzy. Kamil mieszkał tam od urodzenia i widział nie jednego „kozaka” – w jego rodzinnej miejscowości, Adrian byłby pomniejszym frajerem – tu, w Prypeci, próbował uczynić z nich między innymi Jonathana

. „W moich snach, gnoju!” – rzekł Kamil do siebie, gdy dowiedział się od Jonathana, że Adrian go, jak to określił, gnębi.

– Życie ci nie miłe? – spytał lekceważącym tonem Adrian.

Pęka.

Taki z niego twardziel, a wystarczyło, że nie zlałem się patrząc mu prosto w oczy.

Teraz to ja mierzyłem go spojrzeniem, które można było nazwać zabójczym. Teraz to on zaczynał być trzęsącym spodniami frajerem. Tam, gdzie się urodziłem, miałem wyjątkowe szczęście, będąc dobrym znajomym „od przedszkola” Mariusza Kirowskiego – chłopaka starszego ode mnie o trzy lata, który w pewnym stopniu przekonał swoich znajomych (czytaj – resztę osiedlowych chuliganów) do mojego towarzystwa, przez co byłem świadkiem niejednego wybryku. Trzy razy doprowadziło to do poważnej bój-

ki, miałem za sobą dwa tygodnie w poprawczaku, o czym jeszcze nikt poza Jonathanem nie wiedział.

Dziwi mnie, jak nietypowe mogą być powody stworzenia się takiej zażyłości.

– No?! – głos Adriana był już widocznie zaniepokojony.

W takich chwilach, jak spodziewał się Kamil (co widział kilka razy na własne oczy) tego typu osiłki przestają rozmawiać, za to zaczynają się bić. Do tego momentu brakowało niewiele – Kamil chciał jeszcze trochę poucierać gnębicielowi nosa.

– Takiś mocny, co? – zapytał sarkastycznym tonem.

Śmiałość.

Śmiałość zawsze łamie takich gnojków, którzy oczekują od innych, że zaczną płakać po podniesieniu przez nich tonu głosu.

Dobra, czas przejść do konkretów.

Założyłem ręce na piersi, jeszcze intensywniej świdrując stojącego przede mną nastolatka.

– Podobno zaczepiasz Jonathana Mastertona.

Adrian wydawał się oburzony.

– Właśnie! – teraz jego głos był niemal paniczny. Podstawowa zasada – nie daj po sobie poznać, że się boisz. – Jonathan! To nawet nie jest ukraińskie imię, że o nazwisku nie wspomnę! – wykrzyczał.

Zaczął zachowywać się jak hipokryta. Jak gość na przyjęciu, który próbuje przekonać otoczenie do kiepskiego kawału, obawiając się, że inni się nie zaśmieją. Nie myślał nad tym, co mówi – plótł jęzorem na ślepo, próbując załagodzić sytuację albo zboczyć z tematu. Teraz jego jedynym (i tak mocnym) atutem była siła. Fakt, Masterton nie był z Ukrainy tylko z zachodu, lecz to nie miało teraz nic do rzeczy.

– Pytałem, czy go gnębisz, a nie skąd pochodzi.

– A co cię to?! Zresztą, kim ty jesteś, żeby tak do mnie gadać, co?

Ostatnie próby uratowania swej godności.

Adrian wystrzelił prawą, sformowaną w pięść dłoń w kierunku nosa Kamila. Ten sprawnie uniknął ciosu, uskakując w prawo. Po chwili całą siłą, na jaką potrafił się zdobyć, kopnął Adriana

prosto w krocze.

Oczy wyszły mu na wierzch, a twarz nabrała komicznego choć i przerażającego wyrazu. Odruchowo złapał się za trafione miejsce obiema rękoma, jęcząc przeraźliwie i osuwając się na chodnik. Kamil złapał go za ucho i podniósł ogoloną głowę na wysokość jego pasa, po czym schylił się nisko i wyszeptał:

- Jeszcze raz go tkniesz, to będę cię kopał w jaja tak długo, że ci odlecą i będziesz musiał je zbierać z chodnika. Od dziś Jonathan Masterton jest dla ciebie nietykalny i święty – jeśli spadnie mu choć włos z głowy... – po wypowiedzeniu tych słów doprawił swą ofiarę jeszcze jednym kopniakiem, tym razem w czoło.

Dyszałem ciężko, patrząc na zwijającego się z bólu Adriana. Od drugiego tego typu występku mego autorstwa przyzwyczailem się do emocji, które wcześniej wywoływały u mnie drżenie nóg. Teraz, choć, co oczywiste, podekscytowany, byłem opanowany. Moje zachowanie ściągnęło na siebie spojrzenia przechodniów – kilku przechodzących obok stadionu ludzi omijało mnie szerokim

łukiem. Gdyby nie oni, zmusiłbym się do wymiotów wtykając do ust palca, zwracając rzecz jasna na leżącego pseudo twardziela. Wzięłem głęboki oddech i szybkim krokiem ruszyłem do bloku Jonathana, z wieścią, że jego problemy z Adrianem się skończyły. Lecz miały się one dopiero zacząć.

Rok 2009

- Cóż... – rzekł Jonathan pocieszającym tonem, patrząc w bezchmurne niebo. – Przynajmniej nie mogłeś się dłużej obwiniać...

Rok 2001

- Po pierwszej piątce trupów reszta spękała. – pochwalił się Gavin, paląc papierosa. – Gdybyś tylko widział ich miny – takie! – Gavin wytrzeszczył oczy i w komiczny sposób rozszerzył usta, niczym wyjęta z wody ryba.

Siedzący na dachu wieżowca wybuchli śmiechem. Zamierzali spędzić w nim noc, a konkretnie na czwartym piętrze najwyższego w Prypeci budynku. Nieoficjalnie stanowił on główną kwaterę S. – piętra powyżej trzeciego były zupełnie niepodobne do pozostałych – Gavin starannie je odnowił, zamontował kilkanaście nowoczesnych, stalowych drzwi, a ściany dodatkowo opancerzył, podobnie jak okna. Tylko kilka pokoi nie uległo gruntownemu remontowi – większość z pełnych gruzu pomieszczeń zamieniły się w rusznikarnie, laboratoria i centrum łączności, wręcz pęczniące od sprzętu elektronicznego – laptopów, telewizorów i wielkich komputerów, wszystkie z nich były zasilane artefaktami. Na najwyższym piętrze wieżowca zburzono ściany, upodabniając je do wielkiej sali, które było połączeniem jadalni i sypialni, choć, jeśli ktoś chciał przebywać sam, nie miał ku temu żadnych przeszkód – każdy z członków S. miał do dyspozycji własny pokój.

– A jak wam poszło? – zapytał Gavin po chwili.

Ted strzelił nadgarstkiem, po czym odpowiedział.

– Zestrzelony, na nasze szczęście, wałnął w tą górę na południu,

więc załoga nie miała żadnych szans.

23

– Gdzie ty jesteś, do cholery? – spytał podenerwowany John.

Czekał ponad minutę na odzew od Grahama. W tym czasie, jak zwykle zresztą, nerwowo rozglądał się na boki, wypatrując naukowców i wojska. Odpowiedź drugiego podwładnego Sussaro była następująca:

– Zwiedzam sobie centrum. – nie tyle treść, co beztroski ton tej wypowiedzi doprowadził Finna do szału.

– Kurwa!- zaklął. – Nie jesteś tu na wycieczce krajoznawczej, więc przestań się bawić w turystę i jak najszybciej tutaj przychodź! – wykrzyczał.

W odpowiedzi usłyszał kilka uspokajających pomruków typu „Tak, tak...” Westchnął głęboko, po czym oparł się o pniak najbliższego drzewa i założył ręce na piersi, wyczekując partnera.

– Wycieczkę sobie zrobił... – mruknął pretensjonalnie.

Smutas.

Rodzi się druga Zona, a on mi nie pozwala mi obejrzeć centrum kilkanaście godzin po wybuchu. Mimo wszystko usłuchałem – Finn może miał i gorsze relacje z Sussaro niż ja, ale nawet taka drobna sprzeczka mogła je pogorszyć. Sussaro należał do ludzi strasznie przewrażliwionych, także w kwestii wykonywania jego zleceń. Zaś po wybuchu tutejszej elektrowni, dostał wręcz obsesji na punkcie Mryńska. Promieniowanie.

Wszystko przez powstałe promieniowanie, którego, według wcześniejszych ustaleń, mogło być nawet dwa razy więcej, niż zdoła pomieścić Pochłaniacz. Naładowanie go w połowie pozwoliłoby Gomezowi na poszerzenie Strefy o kilka kilometrów, zaś całkowite zapełnienie artefaktu energią stanowiło prawdziwy szczyt marzeń. Wołałem nie myśleć, co zrobi Sussaro, kiedy dostanie do dyspozycji „pełnego” Pochłaniacza. Szybko odpędziłem od siebie wizje, jaki kształt przybierze wtedy Zona, więc przyspieszyłem kroku i zacząłem skupiać swą uwagę na wymarłym mieście.

Mryńsk dość znacznie różnił się on Prypeci – nowocześniejsza

(czytaj – nie ta rodem z „komuny”) zabudowa – wyraźnie lepsze drogi i chodniki, teraz tonące w kolorowych papierkach i wstążkach, które przy mocniejszym wietrze lądowały także na pobliskich kamienicach.

Kamienice.

Tutaj to one stanowiły większość budynków mieszkalnych, w przeciwieństwie do tonących w blokach i wieżowcach Prypeci. Na ulicy, którą właśnie się przechadzałem, kamienice były szare, trochę zaniedbane i bardzo wysokie, przez co rzucały długie cienie, pograżając centralną część Mryńska niemal w całkowitej ciemności. Była siedemnasta, zaś czułem się jak o dziesiątej w nocy.

Idąc, bacznie obserwowałem otaczające mnie budynki. Żadnej odrapanej farby, gruzu, pyłu czy śladów zniszczeń. Zdawało się, że wszyscy mieszkańcy gdzieś wyjechali, nie zaś, że uciekli w popłochu. Tutaj wrażenie zatrzymania się w czasie było jeszcze wyraźniejsze, niż w Prypeci.

Wiele okien było szeroko otwartych, ukazując białe sufity wewnątrz. Przez nieliczne balkony i okiennice wywieszono pranie – ku memu

zdumieniu wiele z nich jeszcze nie wyszło.

Po wyjściu z wąskiej i zacienionej uliczki, znalazłem się na sporym placu. Miał kształt przybliżony do prostokąta – w każdym jego rogu znajdowało się wejście do uliczki podobnej do tej, z której właśnie wyszedłem. Wyłożony został kostką brukową, która co kilkanaście metrów została urozmaicona niewielkim paskiem wypolerowanego granitu. Na całej powierzchni placu rosły drzewa, sadzone dwoma rzędami z pięciometrowym odstępem. Zaczynał się on w połowie placu, biegł z zachodu na wschód – omawianą przestrzeń pomiędzy nimi wyłożono podobną kostką, lecz w znacznie innym kolorze i wzorze. Ziemia, z której wyrastało każde drzewo, była ogrodzona granitem, tworząc coś, co wyglądało jak kwadratowa doniczka. Na końcu pewnego rodzaju alejki ustawiono czarną furtkę, prowadzącą do niewielkiego kościoła.

Jego wielka wieża zegarowa wyrastała ponad korony drzew i dachy kamienic, była zbudowana z czerwonej cegły, sam zegar składał się z białej, oszlifowanej kamiennej tarczy i dwóch wielkich, czarnych wskazówek. Rzymskie cyfry wskazujące godziny wyko-

nano z czarnego kamienia pomalowanego dodatkowo złotą farbą. Ten zegar późnił się trochę w stosunku do mojego – wskazówki na kościele wskazywały za pięć siedemnastą.

Przez chwilę miałem ochotę uciec do Finna, obawiając się w pewien sposób dzwonów, które niewątpliwie zadzwonią, kiedy nastanie pełna godzina. Bałem się wielu dziwnych rzeczy, nabyłem wiele nietypowych fobii, ale nie mogłem dokładnie opisać, czego dokładnie obawiałem się, gdy w pustym, opustoszałym niedawno mieście rozlegną się dzwony kościelne. Przygnębienia? Załamania? Wizja, że kolejne duże, tętniące życiem miasto podzieliło losy Prypeci, niewątpliwie mnie smuciła.

Postanowiłem jednak, czym prędzej udać się do Johna i elektrowni. Skręciłem w prawo, szerokim łukiem mijając kościół. Po tej stronie placu, otaczały go kawiarnie, sklep z alkoholami, zaraz obok z tytoniami, zaś na jego końcu, u wylotu uliczki, jeszcze niedawno działała cukiernia. Skręcając w ulicę Ukrainki, omiotłem spojrzeniem wystawione przed sklep plastikowe stoliki i krzesła. Pomyśleć, że jeszcze niecałe dwa dni temu były pełne zajadają-

cych się ciastami, pączkami i innymi słodyczami ludzi. Pod jednym ze stolików leżała przewrócona porcelanowa filiżanka, pełna zaschniętej kawy na dnie.

– Poszły! – warknął John zduszonym przez hełm głosem, strzelając ze swego P99 do stada psów.

Zastanawiało go, czemu psy zachowują się w ten sposób w takich sytuacjach – odczuły swobodę, nieobecność swych panów? Ich całkowite zdziwienie, (jeśli wcześniej wszystkie nie padną trupem przez skutki promieniowania) pozostało już tylko kwestią czasu. Stado rozbiegło się w popłochu we wszystkie strony, kiedy jeden z jego uczestników został trafiony w głowę, która niemal pękła w pół w miejscu, gdzie wilczur miał oko. Przez moment zdawało się, że pysk zwisa w powietrzu na niewielkim płacie pokrytej sierścią skóry.

Z zarośli tuż za martwym kundlem wyszedł Graham, rozglądając się na boki. Wraz z Johnem nosił on szarawy kombinezon naukowca, z hermetyczną przesłonką na twarz, podobnej do tej, jaką miały pancerze SEVA. W kwestii ochrony przed promienio-

waniem ten kombinezon był niekwestionowanym liderem, z którym cała grupa Sussara obchodziła się niemal z namaszczeniem, na co wpływ miał też sposób ich zdobycia. Mianowicie chodziło o sprzedaż trzech Dusz (zdobycie dwóch z nich wymagało napaści na bazę wojskową) naukowej organizacji, która miała swój wkład w odkrywaniu Zony. Odkryli oni i nazwali wiele artefaktów, anomalii i mutantów.

Całe te zamieszanie na szczęście się opłaciło.

John ujrzawszy idącego ku niemu Grahama, wyjął z plecaka Pochłaniacza w specjalnym pojemniku – tym samym, w którym Graham umieścił artefakt ukryty w miejscu, gdzie Masterton zabił Johnsona. Gdy sięgnął ręką do otwierającego przycisku, powstrzymał go przed tym Graham.

– Jeszcze nie! – niemal krzyknął. – Dzwony.

– Jakie znowu dzwony? – spytał John podenerwowanym głosem. Miał już zamiar dodatkowo ochrzanić swego towarzysza, jednak zmienił swoje zamiary, gdy pokazał on mu zegarek. Za kilka sekund miała nastąpić piąta.

– Dalej się ciebie to trzyma? – dociekał Finn. – Chociaż... – zamyślił się głęboko. – Też nie jestem pewien, jakbym zareagował. Wiesz, jak działa Pochłaniacz.

Nieprzewidywalnie, jak alkohol i leki.

Kilka sekund po wyjęciu kilkumetrowej liny przez Johna, rozległo się pierwsze uderzenie dzwonu. Grahama przeszył zimny dreszcz. Wszystko, całe otoczenie i powstała sytuacja – opuszczenie miasta przez mieszkańców, chłodne powietrze, szare, wręcz smutne niebo wraz z bijącym dzwonem kościelnym strasznie go dobijały. Gdyby ktoś nieświadom wybuchu przechadzał się nieopodal, myślałby o udających się do kościoła ludziach, jak i tych, których sprawy duchowe w ogóle nie interesowały.

Jedyna rzecz stwarzająca pozory funkcjonowania miasta dawała o sobie znać. Krótkie uderzenia i rozchodzące się we wszystkie strony głuche echo wypełniało nie tyle uszy, co myśli Grahama, trwało przez ponad pół minuty. Kiedy John upewnił się, że jemu asystentowi nic nie jest, wyjął Pochłaniacza z pojemnika. W momencie odchylenia przezroczystego wieka, Finn natychmiast

poczuł się o wiele gorzej, jakby właśnie dowiedział się o śmierci bliskiej osoby. Nie mógł pomylić tego uczucia z żadnym innym – żal, smutek dosłownie wypełniły go po brzegi. Uczucie było tak silne i rzeczywiste, że Finn niemal nie spytał Grahama: „Jak umarł?”

„Weź się w garść!” – pomyślał. Zaczął sobie wmawiać, że to uczucie jest jedynie efektem działania artefaktu, że kiedy tylko zamknie go z powrotem w pojemniku, negatywne emocje znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kiedy w końcu uświadomił sobie, że nie umarł mu nikt bliski (zresztą, żadnego nigdy nie miał) połączył drut z pochłaniaczem za pomocą przyssawki, po czym odczepił od paska przeciwpancerny granat.

– Niedługo mają przysłać pierwsze oddziały, więc lepiej się sprężmy. – rzekł, odbezpieczając ładunek.

Powoli, z ostrożnością sapera na polu minowym, ominąłem Elektro. Światło dobywające się z Blasku Księżyca dobywało się z niewielkiego dołku w glebie, tuż pod ścianą magazynów z wagonami, na wschód od centrum terenów przemysłowych. Od elek-

tro po lewej dzieliło mnie niewiele ponad kilka centymetrów, byłem więc, powiedziawszy szczerze, o krok od śmiertelnego porażenia prądem. Jedynie odłamki Baterii, którymi byłem obwieszony pod koszulą, mogły dać mi szansę na oderwania się od ładunku elektryczności. Kucnąłem, wziąłem głęboki oddech, po czym odniosłem wrażenie, że całe życie przelatuje mi przed oczyma – od młodości w Kijowie po zawitanie do Zony. Wciąż pamiętałem moment wjazdu na Jej tereny. Ogromne, ciągnące się po horyzont pola uprawne, gdzie jedynym urozmaicheniem od wszechobecnych traw była niewielka szosa. Po kilkugodzinnej jeździe, przejechaniu przez rządowy punkt kontrolny (dobre kilka kilometrów przed właściwą Strefą, gdzie nikt bez sporego wsparcia i arsenału broni palnej się nie zapuszczał – w pewnym momencie sam byłem zdziwiony, dlaczego) zacząłem sobie uświadamiać okropieństwo tego miejsca.

Witamy w Zonie!

Miejscu, gdzie po paru dniach zaczniesz zabijać dla kawałka chleba, miejscu, które wypierze cię z emocji i wymaże z twojej świadomości pojęcia takie jak „racjonalne”, „prawdopodobne”, „możliwe”. To nowy, inny świat, z którego za cholere nie wyjdiesz, chyba, że założysz tu burdel, albo urwą ci nogę, więc, jeśli życie ci miłe, zawracaj i módl się, żebyś nigdy nawet nie pomyślał o tym szyldzie.

– głośiły litery nabazgrane białą farbą na sporym kawałku drewna. Pod szyldem wykopano spory i głęboki dół. Zbliżyłem się do niego i omal nie upadłem z wrażenia po tym, co zobaczyłem w środku.

Setki, wręcz tysiące ludzkich zębów. Po zwróceniu niewielkiego śniadania, dostrzegłem jeszcze jedną tabliczkę. Pisało na niej:

Każdy ząb to jeden głupiec, który stracił tu życie. Oczywiście nie każdy trzyma się tego zwyczaju -- te zęby to niewiele więcej niż połowa zmarłych tu stalkerów. Wciąż chcesz tutaj zostać? W takim razie miło było cię poznać.

Przełknąłem głośno ślinę i pozbierałem myśli. Musiałem, musiałem tu wejść. Nie było innego wyjścia. Wsiadłem do samochodu i kazałem memu kierowcy jechać.

- To jeszcze nic. – mruknął.
- Co? – spytałem zaniepokojony.
- Nic... zobaczysz.

Po dziesięciu minutach zobaczyłem.

Ze stojącego przede mną pnia, na szubienicy wisiał człowiek. Musiał się zabić (albo ulec tym, którzy go zmusili) dawno, bo ciało było wyjątkowo przegniłe, a w paru miejscach było widać już gołe kości. Nie mogłem dokładnie opisać tego okropnego widoku – powierzchni mięsa, ilości mieszących się z sobą obrzydliwych wydzielin, a także niewątpliwego przesłania, które miał rozpowszechniać wisielec. Jego ręce ułożono wzdłuż boków – trzymał

w nich kolejną tabliczkę. Trudno było nazwać to trzymaniem – kawałek drewna przybito do palców nieszczęśnika gwoździami.

Skończysz tak samo...

- Hej, ty! – obcy głos zza pleców wyrwał mnie z zamyślenia. Odruchowo wyrwałem mego USP Experta z kabury i wycelowałem w przybysza. Ten z kolei mierzył do mnie Browningiem HP. Miał na sobie SEVA'ę, z odsłoniętą twarzą. Patrząc na nią i sposób, w jaki kombinezon układał się na jego sylwetce, można było dojść do oczywistego wniosku. Był chudy.

Niewiarygodnie chudy.

Wszystkie kości sterczały w niesamowity, wręcz nienaturalny sposób.

- Nic z tego! – krzyknąłem. – To jest mój artefakt, byłem tu pierwszy!

Błady chudzielec prychnął, po czym powiedział:

- Nie interesuje mnie twój artefakt, widzisz... – po tych słowach odchylił głowę do tyłu w bok, ukazując spore rozcięcie na kościstej szyi.

Świeże rozcięcie, z którego jeszcze niedawno płynęła krew. Teraz skrzepła i speciała szyję stalkera.

– Nie powiodła mi się walka z mutantem, a mam takiego pecha, że... – znów skierował głowę, a tym samym swe spojrzenie na mnie. – Zgubiłem środek dezynfekujący. Nieszczęśliwy wypadek, który mógł się nawet zdarzyć Sus... każdemu.

Dobrze, że przynajmniej nie osępi mnie na Blask Księżyca. Wtuliłem zbyt wielu ludziom, żeby tak po prostu zrezygnować. Wciąż celując w chudzielca, lewą ręką sięgnąłem do wielkiej kieszeni na lewym udzie. Otworzyłem ją, po czym wymacałem w jej wnętrzu zminiaturyzowaną apteczkę, z której wyjąłem niewielką buteleczkę. Po zamknięciu kieszeni, rzuciłem środkiem oczyszczającym ponad Elektro, w stronę nieznajomego, który zręcznie ją chwycił. Przytrzymując flakon kciukiem, uniósł w moją stronę rękę w geście wdzięczności, po czym odwrócił się i z pistoletem u boku ruszył w stronę przejścia do Rostoka. Odetchnąłem z ulgą, kiedy zniknął mi z oczu. Położyłem pistolet na ziemi, kucnąłem i wyciągnąłem rękę w niewielkie zagłębienie w ziemi, w którym ra-

dośnie świecił Blask Księżyca. Pewność ogromnej zapłaty i wizja posiadania nowego karabinu jeszcze bardziej mnie zmotywowały.

Zapukałem do przyczepy Adama.

– Wejść! – rozległo się zza drzwiczek.

Pociągnąłem klamkę, otworzyłem szeroko drzwi, po czym wszedłem do środka, zamykając je za sobą. Adam siedział na kanapie i oglądał telewizję. Wnętrze bez wątpienia można było nazwać schludnym – dywan, obicia ścianek i sufitu, meble i sprzęty kuchenne były czyste i zadbane.

– Jakież to wspaniałości przynosisz mi dzisiaj, o Michale? –

zawołał do mnie Adam, nie odrywając oczu od kineskopu.

Sprzedawałem mu różności od dawna, tak często, że prawie się zaprzyjaźniliśmy. Jednak przejście na „ty” w zupełności mi wystarczyło – uprzejmie, miło, bez niepotrzebnego włożenia w dupę i klepania w plecy przy drinku. Zrzuciłem z siebie torbę wraz z kombinezonem, pod którym miałem oliwkowy sweter i cienkie spodnie. Schyliłem się nisko, po czym wyjąłem swą zdobycz z plecaka. Lazurowy blask natychmiast wypełnił pomieszczenie, z

racji późnej pory i faktu, że dopóki nie wyjąłem Blasku Księżyca, jedynym źródłem światła w przyczepie był telewizor. Handlarz bronią natychmiast zauważył zmianę.

– Noo, w końcu jakieś konkrety! – rzekł z uznaniem, zacierając ręce. – Co tak stoisz? – spytał uprzejmie. – Siadaj. – ruchem głowy wskazał boczne siedzenie kanapy.

Z artefaktem w dłoniach, zająłem miejsce obok Adama.

– Słyszałem... – zaczął. – Że wkurza cię ten twój, nie oszukujmy się, złom.

Miał rację – przez ostatni tydzień zabiłem trzy mutanty, zaś strzeliłem ze swego zdezelowanego M16 dwa razy. Strzały służyły przestraszeniu pewnego informatora, jak więc zabiłem mutanty? Powiedzmy, że częściowo, bo przez szczęście, obaliłem tezę wielu ekspertów twierdzących, że kolba M16 może pęknąć przy mocnym uderzeniu. Karabin, którym posługiwałem się od przybycia do Zony był zwyczajnie stary, miał też kilka usterek, ale bez wątplenia nie wyrzucę go na śmietnik. Miałem sentyment do wielu rzeczy, w tym broni, planowałem, więc, po zakwaterowaniu się

u Powinności, ładnie go wyeksponować – zapewne wstawię go w gablotę.

Potrzebowałem czegoś nowoczesnego, najlepiej egzemplarz typu „prosto z taśmy produkcyjnej”. W idealnym stanie.

– Proponuję ci snajperskiego Gaila. Oraz coś naprawdę... sam zobaczysz. „Może być.” – pomyślałem. Gail był dobrą bronią, w pełni mnie zadowalał.

Bardziej interesowało mnie to, co Adam zapewne chciał określić mianem niespodzianki.

– Umieram z ciekawości. – powiedziałem całkiem szczerze, starając się, by w moim głosie nie dało się wyczuć wazeliniarskiej nuty.

Na te słowa Adam jeszcze raz zatarł ręce, po czym zanurkował głową i rękoma pod stół. Usłyszałem jakiś łoskot, po chwili dźwięk odskakującej deski. Adam wynurzył się z spod stołu i położył na stole teczkę z aktami. Była dość nowa, miała biały kolor i zamknięto ją na mocny rzep. Pękała w szwach.

– Słyszałeś o tej grupie naukowców, jak im tam... Autorach?

- Ci, którzy jako pierwsi wjechali do Zony? – spytałem.
 - Tak. I zarazem ci, którzy... – Adam zawiesił głos i dał mi znak, żebym dokończył za niego zdanie.
- Zamyśliłem się na moment, po czym odparłem, a raczej odpowiedziałem pytaniem na pytanie:
- ...zginęli przez wejściem do Czerwonego Lasu?
- Adam patrzył na mnie przez chwilę, po czym wybuchł śmiechem tak głośnym i gwałtownym, że musiałem zatkać prawe ucho. Śmiał się przez dwie sekundy, wystawiając moją cierpliwość na próbę. Kiedy umilkł i otarł łzę (albo zrobił to, by podkreślić, jak bardzo go bawię) jego mina pozostała dalej rozbawiona, przyozdobiona szerokim uśmiechem.
- Co ty? W Boga wierzysz? – zapytał z lekką dozą cynizmu. – Każdy tak sądzi, dopóki nie przeczyta tych akt. Powiem ci to w skrócie.
- Założyłem nogę na nogę i z wyraźnym podnieceniem oczekiwałem dalszych słów Adama.
- To ich zapiski, dokładnie z 87-ego roku. Autentyczne, wierz mi

na słowo. Według ich... cała grupa Autorów ginie w Prypeci, a dokładnie w samym jej centrum, na placu.

Więc jednak przeszli przez Las. Co tam spotkali? Jakie nieznane nam anomalie i mutanty? Cholera, czy tam w ogóle coś żyje? Sam fakt, że przeprawili się przez Czerwony Las dawał wiele do myślenia. Po wydarzeniu w 97-ym roku chyba nikt się nie zapuszczał w tamte strony.

Gwałtownie otworzyłem teczkę i ujrzałem ostatnią rzecz, jakiej bym się spodziewał.

Mnóstwo zapakowanych płyt DVD.

- Masz u siebie odtwarzacz? – spytał mnie Handlarz, widocznie widząc w mych oczach coś w rodzaju żądy wiedzy.
- Musiałbyś mi pożyczyć... – mruknąłem, wpatrując się tępych wzrokiem w zawartość teczeki.
- Jasne, jasne... powiem ci trzy rzeczy i dam ci go na czas „nieokreślony” byś wszystko dokładnie sobie przestudiował. Pierwsza – pewnie zastanawiasz się, dlaczego daję to akurat tobie. Stalkerów w Zonie są niezliczone rzesze, a ja dołączam

ciebie do wąskiej grupy, że tak powiem, wtajemniczonych. Powiem ci dlaczego – spośród tych wszystkich samotników narażających życie dla kasy, którą im dają, ty jesteś najostrożniejszy. Większość handlujących ze mną nie żyje ze zwykłej głupoty, wiadomo, jak to wypadki chodzą po ludziach w Strefie. Nikt nie czuje się bezpieczny, a przeciwko tobie jest wszystko – od anomalii po mutanty, na chciwych bandytach skończywszy. Mam wrażenie... Nie, jestem pewien, że ty jako jeden z nielicznych tu gości dokonasz czegoś naprawdę wielkiego – zwiedzisz elektrownię, pokonasz Monolit, coś z tego kalibru. Nie skończysz jako anonimowy krzyż wbity w glebę na jakimś wzgórzu – pewnego dnia zrobisz coś, co naprawdę odmieni twoje życie, a kiedy już inni się o tym dowiedzą, okrzykną cię prawdziwą legendą. Poznanie prawdziwej historii Autorów to twój pierwszy krok – oby następne były podobne. Dwie pozostałe rzeczy, to coś, co nazywam zwiększaniem apetytu.

Siedziałem oniemiały, wciąż wbijając się tępym spojrzeniem w Adama. Naprawdę wierzyłem w to, co mówi.

– Nie chcę mi się liczyć wszystkich anomalii, które są powszechnie znane, ale jest ich około dwudziestu. Autorzy spisali ich dokładnie czterdzieści sześć. Słyszałeś zapewne o miejskim szpitalu. Autorzy byli w środku, przemierzali każdy metr poza piwnicą. Ich zapiski do chwili wejścia do tego budynku urywają się, w lipcu. Następny, a zarazem ostatni wpis ma datę dwudziestego trzeciego września, a brzmi mniej więcej tak – Autorzy wychodzą ze szpitala, biegną na plac w centrum Prypeci, po czym giną. Jak i „dlaczego” – sam zobaczysz.

Lenny ostatniej nocy znów śnił o Sammym.

Obudził się gwałtownie, lekko spocony, dokładnie o dziewiątej rano.

Przyzwyczał się on już w pewnym stopniu do bólu dobywającego się ze złamanej nogi, który był teraz znacznie mniej uciążliwy. Leonard podniósł się z łóżka, oparł głowę o lewą dłoń i zaczął

rozmyślać, co właściwie stało się dnia, w którym porwano Barry'ego Jeffersona. Pamiętał ten „wybuch” – ogłuszająco głośny trzask i oślepiające, wszechobecne światło, tak jak i niewielkie promieniowanie, które w wyniku tajemniczej eksplozji powstało. W momencie ujrzenia blasku, Lenny stracił przytomność – w tej samej chwili, w której miał ostrzelać obóz pociskami zapalającymi, dokładnie w tej samej sekundzie, w której odpalono podłożone u podstaw wież strażniczych ładunki wybuchowe.

Kiedy się ocknął... Przypomniawszy sobie. Po radioaktywnym wybuchu Leonard wciąż leżał w krzakach (kryjówce, którą dzień wcześniej znalazł Jonathan. Zdrowy Jonathan.) z karabinem u boku. Z niewiadomych przyczyn jego radio było odłączone od paska i leżało przez nim o dwa metry, przysypane kilkoma grudkami ziemi. Po chwili wydobył się z niej głos Marka. Wzywał on snajpera, zapewne zaniepokojony brakiem jakichkolwiek śladów pocisków, które miał wystrzelać.

Lenny zaczął się powoli czołgać w stronę słuchawki, zatrzymując się co kilkanaście centymetrów, by podjąć próbę jej sięgnięcia. Po

dziesięciu sekundach w końcu dopiął celu.

Obróciłem się na plecy i pochyliłem nisko, z rękoma (w prawej trzymałem krótkofalówkę) wciąż partymi o ziemię, wziąłem głęboki oddech. Targały mną koszmarnie mdłości, kręciło mi się w głowie, a w uszach wciąż echem odbijały się dźwięki spowodowane wybuchem. To z pewnością nie było Zwarcie. W chwili naciśnięcia przeze mnie przycisku odpowiedzialnego za wysłanie wiadomości, w krzaki wskoczył rozszalały Snork.

Odruchowo wrzasnąłem i wypuściłem krótkofalówkę z ręki.

Snork wyczuł albo dostrzegł, w jakiej pozycji siedzę, bo zakończył swój niehumanie długi skok potężnym kopnięciem końcem swej stopy w moją prawą łydkę, trafiając w sam środek kości piszczelowej. Zamarłem, słysząc dźwięk pęknięcia. Nie wiem co – zapewne adrenalina – o tym przesądziło, ale udało mi się przemoć ból.

Po kopnięciu, Snork chwycił mnie obiema rękoma za ramiona i przeskoczył mi nad głową. Wciąż trzymając swe pokryte skrzepniętą krwią łapskami, pociągnął mnie nimi mocno w dół. Z głuchym łomotem uderzyłem i tak już obolałymi plecami w twar-

dą glebę, krzywiąc się boleśnie. W tym czasie mutant, człapiąc niechlujnie, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, znowu będąc naprzeciwko mnie. Sapnął, a raczej prychnął niczym byk przed szarżą, po czym znów ruszył w moją stronę. Po drodze wypadł nieco z rytmu, uderzając lewą dłonią o M82, tłukąc szkiełko w zamontowanej na nim lunecie.

Podniosłem lekko głowę i próbowałem przewidzieć, w jakiej pozycji stwór dokona następnego skoku, próbując w końcu mnie wykończyć.

Odzyskując wcześniejsze tempo, Snork znów wybił się w powietrze.

Leciał z przekrzywioną głową i wyciągniętymi przed siebie rękoma, rycząc przeraźliwie.

Poderwałem się do góry i chwyciłem potwora za jego przerażającą, wykrzywioną w grymasie niepokohamowanej żądy zabijania twarz.

Udało mi się zmienić kierunek, w którym mutant miał zamiar polecieć, a jako, że włożył w to bardzo dużo siły, dość łatwo udało

mi się obalić go na ziemię. Gwałtownie przekręciłem dłoń.

Puściłem bezwładne ciało, po czym odetchnąłem z wyraźną, przeogromną ulgą. Ciężko dyszałem, ale i tak byłem o wiele spokojniejszy. Wszystkie zapasowe rezerwy energii, w tym adrenalina, powoli mnie opuszczały, o czym świadczył też ból w złamanym piszczelu. Narastał stopniowo, podobno jak każde miejsce, w które zostałem uderzony w przeciągu ostatnich kilku godzin. Zamarzyłem o lekach przeciwbólowych.

Wezwałem Marka przez krótkofalówkę.

Lenny obrócił się, podniósł leżące u nóg łóżka kule i już po chwili kuśtykał nimi w stronę kuchni. Wciąż nosił na sobie pi-dżamę – wróżył sobie taki stan aż do dnia zagojenia się złamania. Drzwi były otwarte – przeszedł przez próg, oparł lewą kulę o aneks, by wolną ręką przysunąć do niego taboret. Po ułożeniu obu kuli na podłogę, Lenny usiadł na nim bokiem, po czym zaczął szykować sobie śniadanie. Wyciągnął się i otworzył lodówkę. Wyjął z niej trzy plasterki żółtego sera, kilka kawałków pokrojonego małosolnego ogórka. Chleb, schowany w pojemniku opartego o

bok lodówki, wylądował na aneksie, zaraz przy kostce masła leżącej na małym talerzyku. Leonard posmarował chleb, ułożył na nim ser z ogórkiem, po czym zabrał się do jedzenia, oczekując przy okazji herbaty – woda już się gotowała.

Po skończeniu pierwszej kromki, Lenny przysunął się wraz z taboretą w stronę okna. Jego kwatera była na pierwszym piętrze budynku, miał więc bardzo dobry widok na plac obozu.

Widział stąd też korony drzew wzbijające się ponad mur. O tej porze panował niewielki ruch, nie licząc ganku tutejszego baru. Siedziało przy nim pięć osób – Lenny rozpoznał wśród nich Aleksa, Damiana i Radka – pozostała dwójka stała plecami do Leonarda. Pomędzy ubranymi w skórzane płaszcze agentami toczyła się ożywiona dyskusja, w której najaktywniejszy udział brał Radek. W kuchni rozległ się gwizd czajnika. Lenny wyłączył gaz i zalał szklankę z torebką miętowej herbaty wrzątkiem. Wkrótce silny, miętowy aromat wypełnił pokój. Oczekując, aż napój wystygnie, Lenny wrócił do lektury książki, którą zaczął czytać od wczorajszego późnego wieczora, jakiś czas po założeniu gipsu. „Observa-

tory Mansion” Edwarda Carey’a zapowiadała się bardzo obiecująco.

Po skończeniu rozdziału, Lenny napił się herbaty, po czym skończył śniadanie. Spojrzał na gips, czując zadowolenie i ulgę z racji tego, że złamanie było niezbyt groźne i kość szybko się zrośnie. Następne pięć minut Leonard spędził na rozmyślaniach – o dealerze narkotyków, swojej żonie i Sammym. Następne dwadzieścia minut myślał o Jonathanie.

Ostatnie dni drastycznie różniły się od pozostałych – głównie za sprawą zachowań Mastertona, którego stan ze stabilnego zmienił się gwałtownie w krytyczny. Wszystko zaczęło się od Johnsona, pogoni Johna F. za Leonem i Mikołajem, od tego, co spotkało Radka. Ale tak naprawdę wszystko zaczęło się od Prypeci – od roku 78-ego wszystkie sprawy przybrały zupełnie inny obrót, zaś zajście w Prypeckim szpitalu udowodniły, że mimo wszystko może być jeszcze gorzej. Szpital, jego piwnica, Gomez i Kamil.

Teraz, po wybuchu w elektrowni, powrót do szpitala był śmiertelnie niebezpieczny, lecz w głębi duszy Lenny wciąż czuł, że prędzej

czy później wyląduje w klinice wraz ze swymi przyjaciółmi. Był zaś pewien, że tam wszystko się skończy.

Graham trzymał oburącz stalową linę, która biegła w górę, ku dachowi elektrowni atomowej, podczas gdy John przy pomocy laptopa operował niewielką kamerą. Jej obiektyw został umieszczony przez Finna w otworze wywierconym w ścianie budynku – mógł być on ręcznie obracany za pomocą programu komputerowego, którego John włączył na swym przenośnym komputerze kilka minut temu. Jego monitor ukazywał wnętrze elektrowni oraz przyczepiony do liny Pochłaniacz, który sunął powoli w dół, obniżany przez Grahama.

– I jak? – spytał.

– Jeszcze trochę. – rzekł John Finn.

Kellerman westchnął i poluzował uchwyt, tym samym opuszczając artefakt w dół. Mimo „świeżości” Mryńska wołał on jednak starszą, „pocziwszą” Zonę na terenie Czarnobyli. Wiedział jednak, że to Mryńsk i jego okolice będą wkrótce nowym terenem działań jego, Johna i Sussaro. Było niemal pewne, że w przecią-

gu kilku tygodni powstaną tu nowe anomalie, artefakty, a nawet mutanty. Gomez miał zamiar „poeksperymentować” na drugiej Zonie, głównie używając do tego Pochłaniacza – był ciekaw efektów, jakie wywołają Wybuchy i Cykle na obszarze, w którym tak niedawno doszło do radioaktywnego skażenia. Na razie wiedział tylko, że nowo powstałe artefakty znacznie przybliżą go do odkrycia położenia Złotej Kuli. Oko Stwórcy, Pochłaniacz, Złota Kula – te trzy artefakty były mu potrzebne, by bezpiecznie przemieszczać się po szpitalu. Drugim szpitalu.

– Już! – krzyk Johna wyrwał Grahama z zamyślenia. Chwycił on drut z całej siły, co uchroniło Pochłaniacz od zderzenia z kafelkami w elektrowni. – Teraz go połóż.

Graham usłuchał, po czym rzucił linę na ziemię.

– Ile to potrwa? – zapytał.

– Jakąś godzinę, potem wracamy.

Gomez przysiadł się do starego, obsypanego tynkiem stolika. Znajdował się w Sali nr 6 Prypeckiej szkoły podstawowej nr 2. Pomieszczenie to służyło niegdyś uczniom placówki na kształcenie

się z dziedziny historii. Oczywiście odpowiednio przeforsowanej przez radzieckich „specjalistów” w tym zakresie. Sporych rozmiarów klasa tonęła w postrzępionych kawałkach drewna (niegdyś stanowiących ławki – wciąż dało się dostrzec wyryte cyrklem inicjały, pseudonimy uczniów) i gruzie, któremu towarzyszył biały pył i chmury tynku. Ściany i sufit były w opłakanym stanie – farba łuszczyła się ogromnymi płatami, niczym skóra gada, ukazując goły beton. Wszystkie osiem wysokich okien zostało niemal całkowicie wybitych – przez ich pozostałości z gwizdem wiał wiatr, który co jakiś czas powiewał stronicami porozrzucanych po sali książek i podręczników szkolnych.

Zza framugi wyważonych drzwi klasy, z szkolnego korytarza rozlegały się odgłosy stawianych kroków. Narastał z sekundy na sekundę – w końcu u progu drzwi stanął Sussaro.

Nosił na sobie czarny, sięgający ziemi płaszcz z długim kapturem, który miał obecnie zsunięty na plecy. Pod tym nietypowym strojem nałożony był Całun. Sussaro oparł się o zakurzoną ścianę.

– Aleksander Gomez. – mruknął pod nosem.

Gomez wstał z ławki i uśmiechnął się ironicznie.

- Obecny! – powiedział głośno udawanym tonem ucznia wywołanego przez nauczyciela. – Jak im idzie w Mryńsku?
- Sussaro sięgnął prawą dłonią pod płaszcz i nacisnął przycisk. Dyktafonu. Ciągłe nosił przy sobie ten cholerny dyktafon, na który nagrywał większość słów, które wypowiedział przez swoje krótkie życie. Co, co znajdowało się na taśmach, było o wiele bardziej wartościowsze niż najpotężniejszy artefakt. No, może z wyjątkiem Złotej Kuli. Po włączeniu nagrywania Sussaro powiedział:
- W pełni naładowany Pochłaniacz, zapowiadana burza, sytuacja Jonathana. Czego chcieć więcej? – po krótkiej chwili milczenia dodał. – Pamiętasz, jak szukałeś następnego? Te podszywanie się pod psychologa i takie tam? Ale opłaciło się, co?

Gomez uśmiechnął się pod nosem, przypomniawszy sobie 86-ty rok. Bynajmniej nie z powodu wybuchu w elektrowni.

- O tak. – powiedział pełnym zadowolenia głosem. – Opłaciło się, i to bardzo.

– Michał! – krzyknął ktoś do mnie w chwili, gdy zamykałem pokój w kwaterze dowodzenia Wolności.

Chwilę później uderzył w stojące przede mną drzwi, wytrącając mi z rąk teczkę z aktami na temat Autorów klucze i odtwarzacz. Zawartość teczki przyozdobiła podłogę, wypływając z siebie kartki, zdjęcia i stosy zapakowanych płyt DVD. Sprzęt RTV z hukiem grzmotnął o podłogę, cudem nie łamiąc się w pół.

Kopnąłem w drzwi ze złości, trafiając nimi, jak się okazało, Dawida – jednego z podobnych do mnie stalkerów zaprzyjaźnionych z Wolnością, tych, którzy sypiali na terenie magazynów wojskowych za niewielką opłatą. Dawid specjalizował się w zbieraniu trofeów – spodziewałem się też, jak się okazało słusznie, że właśnie w tej sprawie do mnie przylazł.

– Przy śmigłowcu widziałem piękną Pijawę! – krzyknął do mnie podekscytowanym tonem, masując trafione drzwiami, spocone czoło.

Dawid miał dwadzieścia osiem lat, ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i niemal całkowicie łysą głowę. Był sporej postury i dobrej

budowy ciała z wyjątkiem nabytego w wyniku nadmiernego spożywania piwa brzucha. Odstawał od niego niczym włożona pod koszulkę piłka do koszykówki.

Schyliłem się i zacząłem zbierać porozrzucane akta, próbując odgonić od siebie wizję zapolowania na mutantą. Powstałe w wyniku rozmowy z Adamem podniecenie nie dawało o sobie zapomnieć. Miałem ochotę jak najprędzej wyprosić (a jeśli to nie poskutkuje, to „wywalić na zbity pysk”) Dawida, zamknąć się na klucz, zdemontować dzwonek i do rana chłonać treść dokumentów. Mimo to, znając Dawida, byłem pewien sporych zarobków, które od niego otrzymam, jeśli mu pomogę. Próbując stłamsić w sobie ciekawość i głód wiedzy, szybko odłożyłem pozbierane papiery z nośnikami na kanapę. Dawid miał zapewne zamiar mnie o coś spytać, lecz uciszyłem go gestem ręki i pobiegłem do kuchni.

Szerokim zamachem, niemal nie wyważwszy drzwiczek, otworzyłem lodówkę. Zostawiwszy ją otwartą, wyjąłem z niej butelkę wódki – pociągnąłem łyk i naprędce zakręciłem ją z powrotem, po czym niedbale rzuciłem na drugą półkę lodówki, którą równie

niedbale zamknąłem.

Wciąż mając w ustach smak alkoholu, wróciłem do salonu. Dawid czekał z założonymi na piersi rękoma.

Spojrzałem na ułożoną z desek podłogę i z całej siły kopnąłem tą z wyrytymi nań nożem dwoma kreskami. Odskoczyła ona na wysokość pół metra, po czym z głośnym trzaskiem upadła na pozostałe, ukazując drewnianą, błyszczącą kolbę karabinu. Kucnąłem i powoli, uważając, by nie zahaczyć o wciąż „sztywne” deski, wydobyłem swojego SWD. Wstałem na równe nogi, odciągnąłem zamek, sprawdzając, czy nabój jest w komorze. Był. Sprawdziłem także magazynek, upewniwszy się, iż jest on pełen.

Zabezpieczyłem karabin i zarzuciłem go sobie na plecy przy pomocy oliwkowego, wytartego materiałowego paska.

– Byle szybko... – mruknąłem do Dawida, pokazując mu gestem dłoni, żeby wyszedł z pokoju.

Kiedy to zrobił, ruszyłem za nim i zamknąłem drzwi na klucz, które schowałem w kieszeni kombinezonu.

– Na tobie zawsze można polegać. – rzekł do mnie Dawid z

uznaniem, przeciągając się szeroko.

Szpital.

Autorzy.

Nowe anomalie i artefakty.

Miesiąc by błędzili po klinice?

– Kurwa, gdzie ona jest?! – spytałem zdenerwowany, opierając się o drzewo. Dawid oderwał oczy od lornetki i spojrzał na mnie zdumiony.

– Spokojnie. – rzekł lekko przestraszony. – Prędzej czy później nas wywęszy. – wycedził, po czym wrócił do obserwacji horyzontu. Niemal wyczytałem w jego myślach słowa „Psychol...”.

– Przepraszam. – powiedziałem po chwili. – Po prostu mam coś bardzo, ale to bardzo ważnego do załatwienia i nie mogę się tego doczekać.

– W porządku... Hmm... – Dawid przejechał palcami po pokrętłach, wyrażając wzrok. – Generalnie – co słychać?

Z wielkim trudem powstrzymałem się od wzmianki na temat nietypowej formy zapłaty, którą wręczył mi dziś Adam.

- Bez zmian, ciągle to samo. No, może z wyjątkiem Mryńska.
- Ta... Wciąż trudno mi... – nastąpiła chwila przerwy, podczas której Dawid rozważał dobranie odpowiedniego słowa. – Przyjąć to do wiadomości. Myślisz, że wyjdzie z tego druga Zona?
- Zapewne. Ale znając doświadczenia naszego rządu z Czarnobyliem, nie dadzą pewnie się tam rozwinąć stalkerostwu. Poślą tam pół swojej armii i nikogo nie wpuszczą. Zagarną wszystko dla siebie, a nam każą się ślinić za szklaną szybą.
- A artefakty, anomalie i mutanty? Tam one też powstaną?
- Być może... – wziąłem głęboki oddech.
- To niewielkie miasto, podobno promieniowanie nie rozeszło się za daleko.
- Wojskowi pewnie zajmą tam każdy budynek, a całość ogrodzą murem.

– Widzę ją. Na drugiej.

Ponownie przeniosłem się z rozmyślań o centrum Prypeci i placu, na którym zginęli najbardziej zasłużeni stalkerzy w historii do „prawdziwego świata”. Przywołałem sobie z pamięci obraz tarczy zegara z perspektywy Dawida i skierowałem lunetę w tamtym kierunku. Tak, niewątpliwie. Wyuczenie się na „blaszkę” gdzie jest, która godzina i tym samym natychmiastowa reakcja, to jedna z rzeczy, której musiałem się nauczyć w najbliższym czasie. Na tle innych bez tej podstawowej umiejętności wyglądam jak nieudacznik i zwykła, nie warta zachodu oferra.

A przeszedłem nie jedno.

Niemal nie do odróżnienia na tle bujnej roślinności mutant zastygł w chwili, w której skierowałem na niego swe spojrzenie. Wciąż pozostawał pod działaniem „kamouflażu”, którego nie dało się określić inaczej niż „Taki, jaki miał Predator.” Na podstawie zniekształconej przez mutantą powierzchni roślin i pnia drzewa oceniłem jego wzrost na około dwa metry. Dawid ma przed sobą nieprzespaną noc przebyłą na patroszeniu.

Pijawka znowu ruszyła do swego charakterystycznego marszu, tym razem prosto w stronę moją i Dawida. Dzielilo nas około trzystu metrów.

Wciąż nie odrywając oka od lunety, którą bez przerwy podążałem za Pijawką, spytałem:

- Gdzie strzelać?
- Na pewno nie w łeb. Jeśli możesz, w środek klatki piersiowej. Jeśli nie, odstrzel jej nogi.

Znowu nabrałem powietrza we płuca. Tym razem wydawało mi się, że było go o wiele mniej niż poprzednim razem. Zawsze miałem takie wrażenie, kiedy się denerwowałem – podobnie zresztą jak wydzielanie żółci. Dlatego przezywano mnie czasem „Gilbert”. W momentach silnego stresu, a czasem tylko lekkiego podenerwowania obficie się pocilem, oddechy stawały się krótsze z sekundy na sekundę – zdawało mi się, że siedzę w ciasnym pomieszczeniu, chociażbym stał na polu uprawnym, to zdenerwowany będę się czuł jak w szybie wentylacyjnym. Dlatego miałem spore trudności z zabieraniem się na „wycieczki” – większość stalkerów miało

mnie za niezrównoważonego. Jednak stawałem się coraz bardziej opanowany – była to głównie zaleta leków, ale lepsze to niż nic.

Przełączyłem bezpiecznik.

Gdy mutant zbliżył się do odległości stu metrów i „zdjął” kamuflaż, strzeliłem.

Dzięki pozycji i własnym usprawnieniom niemal w ogóle nie poczułem odrzutu i podrzutu. Dźwięk wyrzucanej z zamka, dymiącej łuski został zagłuszony przez odbijające się o korony drzew echo wystrzału. Dobiegł mnie jedynie krótki, niemal niemożliwy do usłyszenia syk, powstały w momencie zetknięcia się gorącej łuski z chłodnym, żdźbłem trawy.

W okolicy mostka Pijawki rozkwitła niewielka chmurka ciemnej krwi – kiedy jej drobne kropelki opadły na ziemię, mutant padł gwałtownie na plecy.

– Byle szybko.

Już niedługo się go pozbędę i w spokoju przejrzę akta. Życie jest niewątpliwie piękne.

Podniosłem się, założyłem zabezpieczony już karabin na plecy i

wyjąłem z kabury Rudera – mały, bogato zdobiony przez znajomego mi rusznikarza, małokalibrowy pistolet, którym zawsze dobijałem mutanty. Od czasu, kiedy rzekomo martwa Chimera omal nie odgryzła mi ręki, zawsze nosiłem przy sobie tą, strzelającą pociskami kalibru .22 cala, broń. Siły wyższe – w tym przypadku ta część mózgu, której nie kontrolowałem – kazały mi od tamtej pory dobijać każdego mutanta strzałem w serce.

Ten, którego przed chwilą ustrzeliłem, leżał bez ruchu z prawą ręką komicznie wyrzuconą nad głowę, patrząc się tępo w niebo gasnącymi ślepiami. Wyciągnąłem przed siebie pistolet, przymrużyłem lewe oko i strzeliłem potworowi w serce – pod takim kątem, by wlot drugiego pocisku był jak najbliżej otworu po kuli SWD – ważny był każdy, nienaruszony centymetr wartościowego, brązowego futra.

Po strzale Pijawka wykonała coś w rodzaju westchnięcia. Dawid założył na głowie Pijawki pętlę z grubego sznura, którego dwumetrowy pęd przewiesił sobie przez ramię. Ja w tym czasie ułożyłem pod trupem twardą, odporną plandekę, którą spiąłem nad ob-

rośniętą mackami głową – każdego upolowanego mutanta Dawid wraz ze mną zabezpieczał w ten sposób, by podczas ich ciągnięcia po ziemi nie poharatać pleców.

Schodząc ze wzgórza, Dawid wolną ręką bawił się swym nożem. Na przemian chował i obnażał ostrze przy pomocy ponacinanego pionowo przycisku.

– Co z Jonathanem? – tak brzmiały moje pierwsze słowa po tym, kiedy ocknąłem się w podziemiach obozu.

Miałem obolały brzuch i żebra, poza tym kręciło mi się w głowie. Leżałem na rozłożonym, skórzanym fotelu – przebrano mnie w koszulę bez ramion i luźne spodnie. Podniosłem głowę i ujrzałem siedzącego przede mną Mikołaja. Obok niego, z nogą w gipsie opartą o drewniane krzesło, usadowił się Lenny, nad którym, oparty o jego lewe ramię, stał Izaak. Pod ścianą stała stara kanapa – siedział na niej Mark i Radek.

Od bardzo wielu lat w tego typu sytuacjach brakowało mi Kamila, ale tym razem, chyba po raz pierwszy w życiu, bardzo zatęskniłem za Mastertonem. Miałem z związku z nim spore obawy, które w

pewnym stopniu rozwiął Radek, odpowiadając na moje niedawne pytanie.

– Harlan się nim opiekuje z jakimś lekarzem. Jak mu tam... – Radek zaczął kręcić nadgarstkiem, co, według niego, pomagało mu się skoncentrować. – Pawłem. – rzekł ożywionym głosem, kiedy w końcu przypomniał sobie imię naukowca.

Zdołałem przemóc ból w żebrach i podniosłem się nieco, przysunąłem do tyłu i oparłem plecami o miękkie obicie fotela.

– Jerome? – wyjąkałem. – Czy Jerome go... – zdążyłem wydukać te słowa, zanim przerwał mi Radek.

– Już wrzuciliśmy go do anomalii. – zapewnił mnie.

Odruchowo spojrzałem na Marka i ujrzałem, jak krzywi się z wyrzutem sumienia. Przez moment poczułem chęć, by spytać go, skąd u niego takie przewrażliwienie na punkcie zabijania, a tym samym, po co przybył do Zony z takim „urazem”. Zamiast tego spytałem:

– Możesz na chwilę wyjść?

Mark zrozumiał, że to pytanie jest wyraźnie skierowane do niego – kiwnął głową ze zrozumieniem, westchnął cicho, podniósł się na równe nogi i wolnym krokiem wyszedł z pomieszczenia, zamykając za sobą dźwiękoszczelne drzwi.

– Coś jest nie tak. Coś naprawdę nie gra. – wyszeptałem. To, co powiedział Lenny, całkowicie zbiło mnie z tropu.

– Musimy iść do szpitala. Do piwnicy. – po krótkiej chwili ciszy Leonard powtórzył na głos swoją poranną, stworzoną rano, myśl. – To tam się wszystko zaczęło. Tam i w Prypeci. Co wam się ostatnio śniło? Mi Sammy.

Każdy z obecnych w pokoju stalkerów, prócz Lenny’ego, popadł w zadumę.

– Prypec przed wybuchem. – oznajmił Mikołaj.

– Mi też. – powiedział lekko zdezorientowany Radek.

– Mi... to samo... – wydusiłem z trudem.

– Ja ostatnio prawie w ogóle nie śpiam. – rzekł Izaak. – Ostatni sen, jaki pamiętam, to Jonathan wybiegający ze szpitala. Nigdy tego nie zapomnę...

Mikołaj wstał z krzesła, okrążył pokój dookoła, po czym stanął jak wryty i powiedział:

- Radek. Załatw mapę Prypeci i Ukrainy. Jutro idziemy do centrum. Mam pewien pomysł.

Rok 1986

- Po co oni tam w ogóle poszli? – spytał Leon, paląc papierosa. Radek w odpowiedzi wzruszył ramionami.
- Za cholere nie wiem. – mruknął, po czym zerknął na zegarek. Musiał użyć palącego się papierosa jako źródła światła. – Siedzą tam już piętnaście minut.

Radek z Leonem i Mikołajem stali na placu w centrum Prypeci, pod schodami prowadzącymi na wyższy chodnik, z którego wchodziło się do miejskiego szpitala. Była noc – cicha, przerywana przez nielicznych przechodniów, z których większość właśnie wracała już do domu. Leon skończył papierosa i wrzucił niedopałek do śmietnika po wcześniejszym jego zgnieceniu.

- Coś mi tu nie gra. – powiedział zaniepokojony. – Zaczekaj tu.

Leon obrócił się, powiewając swoją skórzaną kurtką i szybkim krokiem ruszył w stronę kliniki. Wchodząc na schody, odchrząknął i splunął w stronę trawnika, po czym otarł usta lewą dłonią i wspiał się po ostatnich trzech stopniach. Będąc kilka centymetrów od drzwi, wyciągnął prawą dłoń ku drzwiom.

Nagle wyskoczył z nich Jonathan, powalając Leona barkiem na ziemię.

Jego ubranie – czarna marynarka i spodnie – było postrzępione i osmalone w kilku miejscach. Miał zakrwawioną twarz i ręce, którymi miotał wściekle we wszystkie strony. Biegł, a raczej człapał nisko pochylony, niczym ranny żołnierz, który zauważył idącą mu na pomoc kompanię.

Jednak najbardziej w pamięci Izaaka, Leona i Mikołaja zapadł jęk – nie, ryk i rozpaczliwy wrzask, które dobywały się z gardła Mastertona. Nieludzkie, przywodzące na myśl dziczące zwierzęta wycie zwróciło uwagę przechodniów, którzy ze strachem i zdumieniem w oczach obserwowali pokrytego krwią Jonathana.

Nie zwrócił uwagi na schody – stoczył się z nich, ciągle rycząc,

lądując boleśnie na plecach. Przez chwilę wierzgał się w szaleńczy sposób, lecz po chwili przewrócił się na brzuch i, kuśtykając, ruszył przed siebie. Jego krok stawał się bardziej chwiejny z każdym pokonanym metrem – skończył się w chwili dopadnięcia go przez Leona. Złapał go on oburącz za brzuch i powalił na ziemię.

Jonathan był bardzo silny fizycznie, lecz widocznie w tej chwili siły go opuściły – wciąż będąc w uścisku Leona, zdołał jedynie doczołgać się do przodu o ponad metr. Kiedy to zrobił i żałośnie zawył, wyciągnął przed siebie lewą rękę. Trudno to było nazwać zwykłym wyciągnięciem – kończyna Mastertona dosłownie wystrzeliła w powietrze, jakby jej właściciel próbował coś złapać – owada czy upadającą monetę.

Palce zaciskały się i rozwierały bez przerwy, jakby Masterton usiłował pochwycić klamkę, która co chwilę mu się wyslizgiwała. Gapił się w niebo opętańczym, nieobecnym spojrzeniem – coś, co próbował w wyobraźni złapać, najwyraźniej było bardzo daleko. Ręka wraz z resztą ciała Jonathana nagle zeszytniały i upadły – umilkł też niehumaniczny wrzask i szloch, którego był sprawcą.

Cała trójka jego przyjaciół stała nad nim, próbując znaleźć racjonalne wyjaśnienie dla tego typu zachowania. Byli tak zszokowani, że odjęło im mowę i było stać ich jedynie na wpatrywanie się w nieprzytomnego Mastertona. Przez ten krótki moment byli oszallali z rozpaczy. Czuli się okropnie – mimo wszystkiego, co przeszli z Jonathanem do tej pory, ta sytuacja dosłownie ich замуrowała. Jonathan otworzył czerwone od posoki powieki i zapłakał.

Chwilę później w czarnobylskiej elektrowni jądrowej doszło do eksplozji. Jonathan ponownie uniósł swoją rękę, tym razem powoli i ostrożnie – wskazał ten sam kierunek, co przed paroma chwilami, po czym znowu stracił przytomność.

Rok 2001

- Dobra. – zapewnił Radek. – Ale najpierw wam coś powiem.
Mark! – krzyknął. Ciężkie drzwi uchyliły się z cichym piskiem.
Wychylił się zza nich Mark.
- Już? – spytał.

Kiedy Leon skinął mu głową, otworzył drzwi szerzej i wszedł do pokoju, zajmując miejsce Mikołaja, który stał oparty pod ścianą, rzucając we wszystkie strony podejrzliwe spojrzenia.

„Do Prypeci...” – pomyślał. Po chwili się odezwał, nie mogąc dłużej tłumić swoich wątpliwości.

– Do Prypeci? – spytał tonem niedowiarka, któremu właśnie opowiedziano wątpliwą historię o duchach. – Mamy dwudziesty trzeci – Monolit znowu zaczyna patrole. A tak w ogóle – jak nasze punkty kontrolne w Czerwonym?

Radek odchrząknął.

– Właśnie między innymi o tym chciałem z wami pogadać. Rano rozmawiałem z Damianem, Aleksem i jakimś samotnikiem, który określił miejsce tego wczorajszego wybuchu. Cokolwiek to było, to walnęło to na środku jednej z tych dróg prowadzących do Prypeci. O dziwo, o co zapewnili mnie ci z Wolności, całe promieniowanie powstałe w tej eksplozji zwyczajnie wyparowało, nikt nawet nie zginął. Po prostu pół Zony puściło wielkiego pawia. A punkty na szczęście zwinęły

się na czas. Po co w ogóle chcesz iść do Prypeci, Mikołaj?

– Słyszałeś Lenny’ego. – odpowiedział stalker. – W tym szpitalu coś jest.

– No coś takiego! – Radek machnął rękoma, niczym naukowiec krzyczący „Eureka!” – Co za odkrycie, kiedy Ameryka?

– Nigdy nie chciałeś wejść do środka? W sumie, to jestem zdziwiony, że po 86 nasza stopa nigdy tam nie powstała.

– Gdyby nie ilość artefaktów, jaką wtedy mieliśmy. – powiedział Leon. – Nie miałbym czym stąpać. Ten sposób działania anomalii mnie przerasta.

Widząc minę Mikołaja, Leon kontynuował:

– Przecież próbowaliśmy tam wejść. – powiedział pretensjonalnie. – Zresztą nie tylko my. Niejeden sławny stalker próbował i co? Teraz ich zmielone szczątki są przenoszone razem z wiatrem. Tam się nie da wejść! – krzyknął, zrywając się na równe nogi. Spojrzał na Marka rozwścieczonymi oczyma. – Ty! Ty podobno miałeś go „zabezpieczyć” – wyrecytował udawanym tonem urzędnika. –

Zabezpieczyć. Co to, ma ku*wa znaczyć?! I kto w ogóle kazał ci to zrobić? Nasz rząd? Do 1999-ego posłał do szpitala sześćdziesięciu dziewięciu ludzi, i nikt z niego nie wrócił! Nie wiadomo nawet, czy ktoś dostał się do środka. Jesteś Straceńcem. Co takiego żeś przeszkrobał, że kazali ci tam zdechnąć? Powiedzieli „Zginiesz, ale możesz spróbować wejść do szpitala, jeśli dowiesz się, co jest w piwnicy, darujemy ci życie.”. Byłeś już kiedyś chociaż dziesięć metrów od szpitala, Mark?

Spytany stalker, choć zdziwiony i wyraźnie obrażony, nie dał po sobie tego poznać. Stał niewzruszony, mierząc Leona wzrokiem. Powoli, nie odrywając od niego oczu, pokręcił głową.

Leon, jakby spodziewając się tej odpowiedzi, powiedział:

– Będziesz żałował, że stworzyłeś sobie okazję, by to zrobić. – po tych słowach wyraźnie ochłonął.

Westchnął z wysiłkiem i oparł się nisko o obłazący z farby mur. Powoli usiadł i oparł ręce o kolana, chowając głowę pomiędzy nimi.

– Dlaczego posłali kolejnego? – spytał, nie zmieniając pozycji. Mark otarł czoło lewą ręką, po czym założył ręce na piersi.

– Dokumentacja Autorów. – rzekł. – Ona istnieje, a ja wiem, gdzie jest.

Izaak nawet nie próbował ukrywać zdumienia. Chciał (podejrzał, że jego towarzysze też) rozwiać wszelkie wątpliwości, zanim da się do końca ponieść emocjom.

– Żeby wszystko było jasne. – wyszeptał. Głos wyraźnie mu drżał. – Mówimy o tych samych aktach? O tym, co spisali Autorzy, pierwsi w Zonie?

Mark skinął głową.

– Z tym, co zawierają te akta, zdobycie szpitala staje się... – zawiesił głos, czując, jakby miał zaraz obwieścić wyjątkową, niesamowitą rzecz, która zmieni dotychczasowe oblicze Zony. – ...możliwe.

Minęło trochę czasu, podczas którego emocje opadły. Kiedy to nastąpiło, Mikołaj ponowił prośbę.

– Dajcie mi mapę Prypeci, kompas i mapę Ukrainy. –

powiedział. – O...

- Czyli komputer Pawła. – wtrącił Radek, uśmiechając się pod nosem. – Zaraz przyniosę. – rzekł, idąc w kierunku drzwi.

Uporządkowałem wszystkie, zapisane wyjątkowo drobnym drukiem, kartki – od strony pierwszej do czterdziestej drugiej. Były z bardzo dobrego (i niewątpliwie bardzo drogiego) papieru, który od strony jedenastej, co kilka stron, zdobiony był krwią. Najwidoczniej Autorzy walczyli przez połowę tworzenia swej „twórczości” podczas swego pobytu w Zonie. Pisali i nagrywali, nie zważając na ataki mutantów i prześladowania przez wojsko. Po ułożeniu gotowych do czytania i uporządkowanych akt, przejrzałem kilka płyt.

Były one podpisane czarnym markerem – wiele z nazw zaczynało się słowem „Pierwszy” – „Pierwsza Anomalia”, „Pierwszy Snork”, „Pierwsza Pijawka”. Co najmniej cztery płyty oznaczono słowem „Zwarcie”.

Płyta pierwsza – „Zwarcie 1-7”.

Płyta druga – „Zwarcie 7-16”.

Płyta trzecia i czwarta – „Zwarcie 17-23” i „24-31”.

Po prostu nie mogłem się doczekać.

Przejrzałem jeszcze sześć krążków – „Elektro”, „Snork nr 3”, „Zdjęcia Porównawcze 1-7”, „Zdjęcia Porównawcze 17-23”, „Obserwacje Burzy – 2”,

„Rzeka”.

Rzeka. Czyżby jedna z nowych anomalii? Nieznany artefakt? Wkrótce się dowiem. Usiadłem wygodnie na fotelu – na stoliku obok mnie leżał stos ułożonych kartek, obok których stała bogato zdobiona filiżanka z kawą.

- W końcu... – wyszeptałem niemal błogim, pełnym zadowolenia głosem, sięgając po pierwszą stronę.

Kompletny raport z eksploracji Zony.

Pod tym tytułem znajdowała się szczegółowa historia wybuchu w Czarnobelskiej elektrowni – o nieudanym teście bezpieczeństwa, ewakuacji ludności, Likwidatorach, utrzymywaniu wieści o katastrofie przez rząd i pierwszych niepokojących zjawiskach na terenie, który wkrótce nazwano Zoną. W ostatnich zdaniach pierw-

szego „rozdziału” najczęściej pojawiającymi się słowami były synonimy wyrazu „zaprzeczenie”.

„...zaprzeczenie prawom grawitacji...”

„...sprzeczność ze wszystkim, do czego przyzwyczailiśmy się przez wszystkie lata bycia na Ziemi...”

Ostatnie zdanie, które było czymś w rodzaju podsumowania, brzmiało:

„Wszystkie znane nam prawa fizyki, grawitacji i związane z nimi teorie, nie mają tu nic do gadania.”

25

Wchodząc do pokoju z laptopem pod pachą, spytałem:

– A gdzie Mark?

Zdążyłem zamknąć za sobą drzwi na wszystkie trzy, stalowe zasuwę i antywłamaniowy zamek, zanim usłyszałem odpowiedź Leona.

– Odesłałem go, prędzej czy później i tak byśmy go wyprosili.

Chciałem to mieć za sobą. – powiedział.

Usiadłem wygodnie na krześle, położyłem komputer na kolanach, otworzyłem go i uruchomiłem. Kiedy startował system, podłączyłem do komputera kartę zapewniającą dostęp do Internetu. Sprawdziłem łączność, po czym przez przeglądarkę wszedłem na stronę z szczegółowymi mapami niemal całego globu. W niewielkie okienko wpisałem słowo „Prypec”.

Wirtualny wizerunek planety obrócił się o kilkadziesiąt stopni w lewo, po czym strona automatycznie zwiększyła powiększenie, ukazując me rodzime miasteczko. Zwiększyłem procentowy wskaźnik powiększenia na dziewięćdziesiąt – na tej mapie zaznaczone było każde drzewo, każdy blok i niegdyś sprawna instytucja. Wliczając w to szpital.

Serwis ten współpracował z wieloma rządami, którym potrzebne były szczegółowe, satelitarne zdjęcia, wliczając w to rząd Ukraini. Podając odpowiednie hasło, mogłem uzyskać dostęp do zdjęć o poziomie szczegółów i jakości, które nadawałyby się do przewodników turystycznych. Na razie zrezygnowałem – obecny plan

robotniczej miejscowości i czyjś dobry pomysł, jakim było umieszczenie opcji pozwalającej na zaznaczenie linią dowolnego dystansu i przeliczenie go na jakąkolwiek jednostkę długości, pewnie wystarczyły.

– Jeśli dobrze zgaduję. – zacząłem. – Mam wskazać okolice szpitala?

Ucieszyłem się, widząc skinięcie Mikołaja. Oddaliłem nieco obszar i na moment zerknąłem poza monitor, widząc zainteresowanie w oczach pozostałych osób obecnych w pokoju. Wszystkich, prócz Mikołaja, który miał minę pacjenta czekającego na wyniki badania obecności na jakąś śmiertelną chorobę. Podejrzywałem, że jeśli jego przypuszczenia się potwierdzą, będzie w szoku. My pewnie też.

– Co dalej? – spytałem po nakierowaniu obrazu na plac w centrum Prypeci.

Mikołaj sięgnął po pilota i włączył wiszący w rogu pokoju telewizor. Przeskoczył przez pięć kanałów informacyjnych – na wszystkich wręcz trąbiono o Mryńsku.

– Mikołaj. – powiedziałem zniecierpliwiony.

Ten jakby ocknął się z głębokiego zamyślenia, po czym odparł:

– Dzień wybuchu. Pamiętasz, co zrobił wtedy Jonathan?

Miałem wrażenie, że ktoś wymierza mi mocny cios w policzek. Powrócił żal i poczucie winy. Poczucie, którym ja, Leon, Izaak, Mikołaj i Lenny do dziś darzą Jonathana. Wiedział, co stało się w szpitalu, i nigdy z nikim nie podzielił się tą wiedzą.

Wczoraj Izaak opowiedział mi, jaki kit wcisnął on Markowi na temat Jonathana, w dniu, w którym też nowoprzybyły poznał Psychola. Bajeczki o bankach, organizacjach najemników, nieludzkich umiejętnościach strzeleckich i poziomie opanowania walki wręcz. O tym, jak przebył świat długi i szeroki, zostawiając po sobie stosy trupów.

„Kiedyś może zasłuży.” – powiedział mi wtedy Izaak, kiedy przestałem się panicznie śmiać.

Do tej pory Mark żył w przekonaniu, że Jonathan Masterton to zwykły zabijaka i rzeźnik. Najlepiej będzie, jeśli tak pozostanie. Chyba, że Mark „zasłuży”.

Ani on, ani ja, jednym słowem nikt do tej pory nie przekonał Jonathana do wyjawienia prawdy o tym, co stało się w szpitalu dnia, kiedy nastąpiła atomowa eksplozja. Ostatnia tego próba nastąpiła W południe jedenastego kwietnia 1998-ego roku. Po tym, jak Jonathan omal mnie do siebie nie upodobił pod względem przeciętego oka, przestaliśmy go wypytywać o tamten dzień.

Kolejne dwie minuty upłynęły na śledzeniu kierunku wyznaczonego przed laty przez Jonathana.

Las.

Jakaś rzeka.

W pewnej chwili mapa zaczęła wyświetlać granicę niewielkiego, położonego na dość zalesionym terenie, miasteczka. Oddaliłem nieco widok, by ujrzeć nazwę miejscowości.

Mryńsk.

Zastukałem do mieszkania 21 dwa razy, lewą ręką, używając środka palca wskazującego. Oczekując na to, aż Damian otworzy mi drzwi, spojrzałem na lewo. Zza okna klatki schodowej padał obfity i puszysty śnieg, który przysłonił szarawe niebo wiszące

nad Luksemburgiem. Odwinąłem kołnierz uniformu listonosza i spojrzałem na srebrny zegarek – była siódma wieczorem. Przysiąpiałem z nogi na nogę, znowu wpatrując się w antywłamaniowe, drewniane drzwi. Z zewnętrznej strony judasza wynikało, że w przedpokoju mieszkania paliło się światło. Po chwili zostało przysłonięte, zapewne przez Damiana. Odkasznąłem i przybrałem twarz w mój typowy, wzbudzający zaufanie uśmiech. Usłyszałem dźwięk przekręcanego kluczyka w zamku, któremu towarzyszył odgłos odsuwane ryglu. Po zdjęciu łańcucha drzwi otworzyły się, ukazując stojącego za nimi człowieka i wąski, pokryty ściennymi panelami i czerwonym dywanem na podłodze, przedpokój. Dalej, zapewne w salonie, grał włączony telewizor, ustawiony na kanał informacyjny.

– Tak? – spytał Damian ochrypłym głosem.

Miał sześćdziesiąt dwa lata, metr siedemdziesiąt wzrostu i szczupłą sylwetkę. Nosił na sobie zielony, wełniany szlafrok i włochate, czerwone kapcie, na nosie zaś oparte były czarne okulary o grubych, prostokątnych, przezroczystych szklach, zza których bacz-

nie przyglądały mi się duże, brązowe oczy.

Jego skóra była blada, pokryta ciemnobrązowymi plamami i dużą ilością zmarszczek, zwłaszcza w okolicach ust i na czole.

Odpowiedziałem mu w chwili, w której zaczął lewą dłonią gładzić się po błyszczącej łysinie, oblizując usta.

– Przesyłka dla Pana, Panie... Damianie, tak?

– Tak, to ja. – rzekł, uchyliwszy drzwi szerzej, co pozwoliło mu zauważyć wielkie, wysokie ponad na metr, szerokie pudło pokryte pocztowym papierem.

Nie krył radości.

– Ktoś najwyraźniej mnie kocha. – rzekł zadowolony, uśmiechając się.

Zapewne.

Ktoś bardzo cię kocha.

– Od kogo to? – spytał mnie, wciąż uśmiechnięty.

– Od brata. – odpowiedziałem. – Pachnie kwiatami.

– W końcu temu staremu pierdzielowi przeszło... – zachichotał ochryple. – Podpisać?

Wyjąłem spod prawego ramienia kwit pocztowy, oparty o mały kawałek drewna z uchwytem na długopis. Przybliżyłem się do Damiana, pozwalając mu dosięgnąć ręką mego Wattermana. Wyjął go z uchwytu i wciąż nie wychodząc zza progu swego mieszkania, podpisał się imieniem i nazwiskiem. Podał mi długopis, który schowałem w przyszytej na lewej piersi uniformu kieszeni.

Starzec postawił lewą nogę poza próg domu, schylając się po przesyłkę.

– Nie, nie... – powiedziałem przepraszająco. – Pomogę Panu. – uśmiechnąłem się szeroko, po czym wziąłem pudło w obie ręce, opierając je o brzuch.

– Dziękuję bardzo. – powiedział zadowolony Damian, wchodząc do pokoju.

Ruszyłem za nim, oglądając się zza wielkiej przesyłki na boki.

Szeroki na dwa metry i długi na półtora, przedpokój, był obficie obwieszony wszelkiej maści obrazami, przedstawiającymi morskie i górskie krajobrazy. Największy z nich, umieszczony w pięknej, złoczonej oprawie, ukazywał wielki, dziewiętnastowieczny statek

towarowy zmagający się ze silnym morskim sztormem. Sposób oddania szczegółów i przedstawienie przesłaniającego widok deszczu wzbudzały uznanie malarza, który wykonał ów malunek.

Markowski doczłapał, szurając kapciami o dywan, do salonu, wpuszczając mnie w jego głąb. Potem odwrócił się przez plecy, wrócił do drzwi wyjściowych i zamknął je, kiedy wrócił, usiadł na beżowym fotelu, po czym założył nogę na nogę.

– Połóż na stole, młodzieńcze. – rzekł cicho.

Spełniłem jego prośbę – powoli, uważając, by nie ściągnąć obrusu, ustawiłem pudło na dużym, prostokątnym stoliku z dębu. Westchnąłem głęboko i wyprostowałem plecy, ziewając głośno.

– Trudny dzień w pracy? – spytał mnie Damian.

– Taa... – westchnąłem, drapiąc się po szyi. – Ale to już moja ostatnia robota na dzisiaj.

– Może usiądziesz? – siedzący na fotelu przede mną wskazał na ustawioną pod ścianą sofę.

– Chętnie, jeśli można... – rzekłem, obchodząc stół dookoła.

Salon miał około czterech metrów kwadratowych – naprzeciwko sofy, na której usiadłem, znajdowało się wejście do kuchni, obecnie zamknięte staromodnymi drzwiami z półprzezroczystym, zniekształcającym obraz szkłem. Wyposażenie pokoju było skromne – prócz rozkładanej sofy, na której właśnie zająłem miejsce i fotelu „Marka”, stołu i kolejnego pięknego obrazu wiszącego mi nad głową, resztę wyposażenia salonu stanowił telewizor, ustawiony na lewo od wejścia do kuchni kredens i szafa. Wykonano je z tego samego dębu, co stół, co pasowało z drewnianymi panelami i pomalowanym na beżowo sufitem, nie wspominając o dobrze dobranym dywanie.

– Pana brat polecił mi, by po zdjęciu tego całego zabezpieczającego syfu, od razu rozpakował pan zawartość.

– Chętnie. Proszę się nie gniewać, ale chciałbym jak najszybciej zostać sam.

– Ależ nie ma sprawy. – moje słowa brzmiały jak przeprosiny.

Wyjąłem z prawej kieszeni niebieskich spodni nóż do kartonu, wysunąłem jego ostrze i przysunąwszy stół do siebie, przeciąłem

karton z góry na dół. Położyłem nóż na stole, obróciłem paczkę o sto osiemdziesiąt stopni, po czym powtórzyłem ostatnią czynność. Wsunąłem ostrze z powrotem w plastikową rękojeść, schowałem go do kieszeni, tym razem lewej, po czym, znów lekko pochylony, rozwarłem przecięty karton na bok.

Oczom Damiana „Marka” Markowskiego ukazało się wysokie na metr i nieco chudsze od kartonu plastikowe, białe pudełko, po środku którego umieszczony był plastikowy, czarny przycisk. Przez jego położenie biegło złączenie pudełka – naciśnięcie go pozwalało w pewnym sensie przepołowienie opakowania na dwie części, które opadały bezwładnie na boki, ukazując zawartość. Pod przyciskiem napisano czerwonymi literami „Nacisnąć”.

Szczyt perfidii.

Damian nie mógł się powstrzymać. Zerwał się z fotela, z trudem obrócił pudło w swoją stronę i nacisnął przycisk, łamiąc „otoczkę” przesyłki na dwie części, które opadły na dywan.

Z miejsca, na którym siedziałem, dostrzegłem jedynie tył ramki na zdjęcia opartej o wazon, z którego sterczał bukiet róż. Czar-

nych róż.

Skupiłem się jednak na twarzy starca, której wyraz diametralnie się zmienił – uśmiech wyparował w mgnieniu oka, zastąpiony przez grymas przerażenia. Otworzył szeroko usta i zaniemówił. Zanim zdążył spojrzeć na mnie, błyskawicznie wyjąłem zza pazuchy pistolet i strzeliłem. Damian w chwili śmierci nie wydał żadnego dźwięku, choć prawdopodobne westchnięcie mogło zostać zagłuszone przez telewizor. Po trafieniu w głowę, i przyozdobieniu ścianą za nią swym mózgiem, upadł bezwładnie na plecy, z szeroko rozłożonymi ramionami.

Zabezpieczyłem swojego Colta, po czym zacząłem odkręcać jego tłumik. Po schowaniu jego i broni, wstałem na równe nogi i podszedłem do stygnącego trupa.

– Rzeczywiście, ktoś cię kocha. – po tych słowach wolnym

krokiem ruszyłem w przedpokój i chwyciłem klamkę drzwi.

Zanim je otworzyłem i opuściłem blok, obejrzałem się przez plecy, dostrzegając rzecz, która wołała w Markowskim takie zdumienie. W kwadratowej ramce oprawiono cztery zdjęcia. Pod nią, na

grzbiecie wazonu, ustawiono czarną tabliczkę.

Aleksander Jurkowski – 1959-1979.

Zdjęcie w lewym górnym rogu było czarno-białe i przedstawiało młodego, uśmiechniętego chłopaka o krótko przystrzyżonych włosach. Obok niego także znajdował się wizerunek Aleksandra – z tą różnicą, że zdjęcie zrobiono w kostnicy, ciało było nagie i potwornie okaleczone, w oczy rzucały się głównie siniaki po uderzeniach pałką i pięściami.

Pod tym okropnym widokiem znajdowało się inne, również czarno-białe zdjęcie, ukazujące żyjącego jeszcze Aleksandra przyjmującego cios od milicjanta służbową pałką w brzuch. Zdjęcie po lewej, przedstawiało jej właściciela. Młodego Damiana Markowskiego, milicjanta, który za głoszenie haseł przeciw komunistycznej władzy, zatłukł dwudziestoletniego mężczyznę. Takich zleceń nigdy nie odmawiałem.

1. Wstęp
2. Skład Grupy Autorów
3. Historia Wybuchu

4. Powstanie Zony
5. Stalkerstwo I Stalkerzy
6. Anomalie
7. Artefakty
8. Miejsca, Okolica, Zona
9. Monolit
10. Ruchy, Frakcje, Grupy
11. Zjawiska Pogodowe, Zwarcia
12. Szpital

Zajrzałem do części siódmej. Artefakty.

Wiele z znanych mi „cudeniek” znajdowało się na liście.

Gwiazda Wieczorna.

Blask Księżyca.

Korale.

Kulebiak.

Czy, wręcz cudotwórcza, Dusza. Jednak wiele z podanych tu nazw było dla mnie nieznanych.

Ręka Kontrolera.

Pochłaniacz.

Czerwoną czcionką u dole strony napisano:

„Zak. – Zabójca”

Najbardziej jednak zaintrygował mnie artefakt o nazwie „Oko Stwórcy”.

Jedyny, do którego nie zamieszczono zdjęcia – na papierze znajdował się sam, i tak dość krótki i niezbyt treściwy opis.

Rzec by można, oszczędny.

Po kilkugodzinnej dyskusji stalkerzy udali się do swych kwater na odpoczynek. By „przespać się z nowinami”. Najbardziej poruszony był rzecz jasna Radek, Leon i Mikołaj – świadkowie całego zdarzenia pod budynkiem szpitala, na krótko przed wybuchem. Wciąż nie mogli otrząsnąć się z, prawdę powiedziawszy, szoku – Jonathan Masterton przed ponad piętnastoma laty niemal w chwili katastrofy w czarnobylskiej elektrowni atomowej, dokładnie wskazał miejsce następnej.

– Daje do myślenia, co? – powiedział jak zwykle Izaak.

Mówiąc to miał pewnie, podobnie jak reszta, bardziej na myśli fakt, że Jonathan nikomu nie zdradził, co stało się w podziemiach szpitala. Teraz już może nie być okazji. Nie pozostaje nic innego, jak zastosować się do słów Marka – znaleźć rzekome akta Autorów, by z kolei zastosować się do słów Lenny’ego; wejść do szpitala, co z kolei wiąże się ze słowami „Tam wszystko się skończy”.

„Oby, ku*wa, nie.” – powiedział Lenny na głos, wychodząc z piwnicy obozu na świeże powietrze. – „Oby nie...”

Zatrzasnąłem drzwi tak głośno, że pod moją kwaterę przybiegł zaniepokojony Bogdan, myśląc, że ktoś na mnie napadł.

– Nie, nie... wyjąkałem poirytowany. – Po prostu za mocno trzasnąłem drzwiami i... – Bogdan uniósł ręce w przepraszający sposób i oddalił się w stronę baru.

W takich chwilach tęskniłbym za możliwością pobytu w barze. Gdyby nie pokaźny zbiór osobisty. Oczywiście brakowało mi „ludzkiego towarzystwa”, lecz mi w całości wystarczało lustro. Po wzięciu prysznicu, o pierwszej w nocy, położyłem się do łóżka z litrem wódki pod pachą i mnóstwem rzeczy do przemyślenia.

Czas umiłał mi telewizor, z oczywistych chyba względów włączony na czymś innym niż kanał informacyjny. Nie mogłem się jednak powstrzymać, by choć nie zerknąć na „Czerwone paski sunące u spodu ekranu”. Siedem stacji opisało różnymi słowami jedno wydarzenie – zjazd najważniejszych osób z Europy, mających związek z energią atomową – politycy, specjaliści, eksperci, znawcy.

Francja powinna czuć się dość niepewnie. Nie dziwię im się.

Odkręciłem butelkę i postawiłem ją na stoliku obok, zaraz obok szklanki. Czekałem, aż woń alkoholu powoli wypełni wąskie pomieszczenie. Bardzo odpowiadał mi ten gorzki, surowy, wręcz drażniący nozdrza zapach.

Przełączyłem na kanał ze starymi, klasycznymi filmami z starej epoki. Nalewając wódki do szklanki wsłuchiwałem się w odgłosy „Wściekłego Byka”. Jeszcze raz po cichu podziękowałem ówczesnej komisji akademii za przyznanie Robertowi De Niro Oscara. Należał mu się, i to bardzo.

Zacznijmy od początku.

Z zdarzeń w 86 wynika prosty, jednoznaczny i niezaprzeczalny wniosek – od tamtego dnia Jonathan stał się Psycholem. Niezbyt oryginalne, niestety prawdziwe. Cokolwiek tam się stało, musiało wpłynąć na fakt odejścia Kamila. Zostawił go, a raczej nas, na zawsze. Byłem ciekaw, co się z nim stało – gdzie mieszka, czemu nie próbował się z nami skontaktować, jeszcze zanim narodziła się Zona – zanim przystąpiliśmy do służby. Uprzedzał nas jednak przed taką sytuacją, przynajmniej nikt nie mógł mieć do niego pretensji.

„Może już nigdy się nie zobaczymy.” – tak wtedy powiedział, choć nie dam głowy za zgodność co do wyrazu. Sens niestety był ten sam.

Po dwóch szklankach zrobiłem się wyjątkowo senny. Myśląc o 86-tym, tej nocy śniłem o 86-tym.

Rok 1986

– To już dziewiąty, Leon. Za darmo masz dwa, resztę mi odkupisz, jasne?

Leon bez słowa wyrwał mi papierosa z ręki, wsadził go sobie w usta, po czym trzęsącymi się dłońmi, zapalił przy pomocy zapalniczki. Kiedy się zaciągnął, wyraźnie się rozluźnił.

– Nie bój dupy. – rzucił niedbale. – Kasy mi starczy. A ty ileś spalił, że masz do mnie pretensje, co?

Uniosłem głowę w górę, w stronę nieba.

Westchnąłem ciężko i zrezygnowany obejrzałem się przez ramię, spojrzawszy na szary chodnik zaścielony niedopałkami. Naliczyłem dwadzieścia trzy.

– Dziewiętnaście. – rzekłem zrezygnowany, obróciwszy głowę z powrotem w stronę Izaaka, Leona i Mikołaja. – Co? Chcesz sprawdzić?

– Żebyś wiedział. – Leon wykonał chwiejny krok w przód.

– Dobra, dobra, dwadzieścia trzy! – niemal wykrzyczałem, powstrzymując Leona ręką. – Cztery... – dodałem, wyrzuciwszy kolejny niedopałek na śmierdzącą stertę. – A tobie co odbiło, chcesz mi robić problemy z powodu niedopałków?

– Taa! – rzekł niemal z zadowoleniem. Najwidoczniej zasada Kamila działa. – Od dzisiaj będę ci robił problemy za każdym razem, kiedy będziesz się mnie czepiać o ilość wypalonych fajek!

Zasada Kamila brzmiała – „Od czasu wydlubania Jonathanowi oka przez Adriana, dzwoniąc do was na ten numer, zawsze będę miał złe wieści. Bardzo złe, więc nie obwiniajcie się, jeśli ktoś będzie wam robił problemy z byle czego. Będzie to... uzasadnione.”

– Uspokój się Leon. – wycedził Mikołaj przez kaszel. – Jakoś to przetrwamy. Po Adrianie nie może być gorzej.

Leon zaśmiał się upiornie, załamując ręce. Przejechał prawą ręką po sztywnych, krótkich włosach, obrócił się w stronę mego obrońcy i ruszył w jego stronę. Dzieliły ich ledwie dwa metry, odległość ta zmieniła się dopiero po trzydziestu sekundach – Leon szedł wyjątkowo wolno, chwiejnie, a po „drodze” dwa razy zatoczył się niczym pijany.

Stanąwszy przez Mikołajem, omal na niego upadł – wyglądało to jak omdlenie. Stojący obok Izaak uchronił go przed upadkiem; w

odpowiedzi otrzymał kolejny dwuznaczny uśmiech.

Leon przestał się chwiać, stanął z szeroko rozstawionymi nogami i zbliżył swą twarz w stronę twarzy Mikołaja. Jeden czuł oddech drugiego, dwójka przyjaciół wręcz stykała się nosami.

Leon zmierzył Mikołaja groźnym spojrzeniem.

– Dziś... – wyszeptał, po czym głęboko nabrał powietrza w płuca. – Stanie się coś o wiele gorszego.

– Hej!

Wszyscy odwrócili się jednocześnie w stronę zawołania. Całe dotychczasowe napięcie wyparowało jak kamfora. Wszyscy obecni pod szpitalem odetchnęli z głęboką, niesamowicie przyjemną ulgą. W jednej chwili uśmiechnęli się niemal jednakowo – tak samo szczerze, tak samo serdecznie.

Kamil i Jonathan szli szybkim krokiem by „dołączyć” do reszty. Jonathan miał na sobie marynarkę i eleganckie spodnie i buty, Kamil, czarną koszulkę z krótkimi ramionami, wytarte dżinsy oraz brązowe półbuty. Obaj mieli podobne, srebrne zegarki na lewych nadgarstkach. Obaj się uśmiechali.

Kiedy zbliżyli się do nas na jakieś pół metra, Leon pobiegł w stronę Kamila i chwycił go w ramiona, kołysząc się. Kamil wciąż trzymał ręce u boku, nie rozumiejąc gestu swego znajomego. Kiedy powoli, jakby ze smutkiem zwolnił uścisk i odsunął się do tyłu o pół metra, zapłakał.

– Eee... – jęknął zrezygnowanie Jonathan. – Co jest? –

podrapał się po bliźnie po cięciu Adriana lewą dłonią, po czym położył ją na ramieniu szlochającego Leona. – Co jest, Leon? Co się dzieje? – z jego głosem było coś nie tak.

Jak głos lekarza, który daje fałszywą nadzieję rodzinie chorego – wiedział, że coś jest nie tak, mimo to udawał, że tak nie jest.

Dawno nie czułem się tak zmieszany. Poruszenie udzieliło się też Izaakowi, który w nerwowy sposób kroczył z nogi na nogę, równie nerwowo mrużąc oczy. Wszyscy byliśmy zdezorientowani zachowaniem Leona.

Ten umilkł, otarł oczy i wychylił się w lewo zza stojącego przed nim Mastertona.

– Zostań. – powiedział.

Rok 2001

Kamilowi dosłownie oczy wyszły z orbit. Spojrzał pretensjonalnie na Jonathana, który zaś wyglądał jak niesłusznie oskarżony o morderstwo. Teraz nie udawał – naprawdę zgłupiał.

– Nie pisałem słowa, naprawdę! – wydusił z trudem, co chwilę zerkając dookoła, jakby szukał wsparcia.

Ja, Izaak, Mikołaj, Leon i Radek nie mogliśmy wydusić ani słowa. Zamurowało nas. Pierwszy, po ponad minucie milczenia, odezwał się Kamil.

– Leon, Radek, Mikołaj – zostańcie tu. Lenny, idź z Izaakiem do mojego domu. – po tych słowach wyłowił z kieszeni pęk kluczy i rzucił mi go. – Przynieście broń. Szybko. Jonathan – idź do szpitala. Wiesz, co i gdzie dla ciebie zostawiłem. Ja... Jonathan wam wszystko wyjaśni, kiedy wróci. Żegnam... – po tych słowach Kamil obrócił się na pięcie, po czym biegnąc truchtem, zniknął za rogiem bloku.

Zdenerwowanie, niepewność i strach znowu powróciły – tym razem ze zdwojoną siłą. Nie doczekałem się obiecywanych przez Kamila wyjaśnień.

Radek wyszedł z pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi.

– I jak? – spytał zdenerwowany Mikołaj.

– Nic. Ciągle to samo. – odpowiedział Radek, drapiąc się po głowie. Na kołnierze posypało się kilka drobin łupieżu.

– Kiedy ostatnio myłeś głowę?

– Z trzy tygodnie temu.

Mikołaj wystawił język, sycząc z obrzydzeniem. Kiedy spoważniał i znowu zrobił zmartwioną minę, zaprosił Radka do siebie na rozmowę.

– A co? – dociekał, strzepując łupież. – Chcesz znowu się poużalać nad Jonathanem, 86-tym, Mryńskim i całą tą sytuacją.

– Nie... – odpowiedział Mikołaj ku rozczarowaniu rozmówcy. – Dwie sprawy. Dzwonili do mnie z dowództwa i...

Radek gwizdnął z udawanym podziwem.

– Ważniak! No, i co ci powiedzieli? – zapytał.

Począł chwilę na odpowiedź – zszedł za Mikołajem po schodach, czekał, aż wygrzebie klucze ze schowka w suficie, potem wyszedł z nim z kwatery i obserwował, jak zamykał drzwi wejściowe na klucz – zarówno zamek pod klamką jak i trzystopniową zasuwę wyżej.

– Wybrali nowego szefa obozu. – powiedział Radek, chowając klucze do kieszeni, po czym ruszył w stronę baru. – Niech go sobie przypomnę... Dy... Dymitr K... K... kurewsko trudne nazwisko. Dadzą mu monitoring dwa razy większy, niż ten, którym Wolność obarcza Barry'ego.

– A propos Barry'ego – coś już niego wycisnęli?

– Nie wiem, szczerze mówiąc to...

– To co?

– Nie przerywaj mi, jak mówię. Jeszcze z nim „nie rozmawiali”.

– Co?!

– I z czego tu...

Mikołaj nie krył oburzenia:

– Leon.

– Co „Leon”?

– Sprawdź, czy brakuje mu nerki.

Radek prychnął złośliwie.

– Bardzo, ku*wa śmieszne. Myślisz, że jak nie zaczną go męczyć pierwszego dnia, to...

– Tak, geniuszu! To siatka będzie działać dalej, ba, pewnie już znalazła sobie nowego „kierownika”. Może właśnie w tej chwili ktoś chlasta jakichś samotników elektrycznym nożem chirurgicznym – co ty na to?

– Zadzwoń do nich, żeby się za niego zabrali. – wyszeptał Radek po długim wdechu. Wypuścił powietrze z sykiem i ulgą. Przejdźmy do rzeczy... – Druga sprawa to nowa robota, od tego całego Dymitra.

– Słucham, słucham... – zachęcił Mikołaj, otwierając drzwi do pubu.

Z jego twarzy wynikało, że poczuł woń wnętrza – starego alkoholu, wymiocin i środków czyszczących oraz odświeżających, które

próbowały je zamaskować. Wchodząc do środka, powęszył nosem i mruknął z zadowoleniem.

– Waniliowe. No, dalej, dalej...

Z racji gwaru obecnych w barze i muzyki dobiegającej z radia, Radek musiał mówić głośniej, niż zwykle. Próbował przekrzyczeć otoczenie, jednocześnie przeciskając się wraz ze swym kompanem przez tłum, szukając wolnego stolika.

– Będzie okazja do sprawdzenia tego genialnego pomysłu! – wykrzyczał, powoli posuwając się naprzód. Mikołaj co chwilę przybliżał się do niego, by jak najwięcej usłyszeć. –

Dowództwo znowu kombinuje jakąś dostawę dla naukowców.

Mamy skombinować dwóch stalkerów znających...

– Tylko nie to...

– ...Dolinę Mroku, by...

– Kurwa! Nienawidzę tego miejsca!

– To jeszcze nic. Mamy im przynieść po jednym trupie każdego mutantu, jakiego spotkamy.

Mikołaj stanął jak wryty. Radek też.

– Może oszczędźmy sobie tego zachodu. – zaproponował Mikołaj.

– Co masz na myśli?

– Oblejmy się wodą i wskoczmy do Elektro. – rozmówca Radka zachichotał ironicznie, uśmiechnął się przez dwie sekundy i wskazał prawą ręką wolny stół. Stały przy nim dwa drewniane krzesła.

– Tylko ty robisz w gacie na samą myśl, by tam wejść. – wycedził Radek, siadając na krzesło i przysunąwszy się do stołu.

– Możliwe, ale wiesz... – Mikołaj zamilkł, po czym usiadł na krześle. – Wciąż rozmyślam nad moją propozycją co do skoku w Elektro. – dokończył, przybliżając się do przodu wraz z krzesłem. – Przynajmniej oddamy nasz majątek, komu trzeba.

– Daj spokój. Wiem, że to, co tam się stało cię...

Mikołaj uniósł rękę na znak protestu.

– Co?

– Hmm... – Mikołaj zamyślił się, po czym opuścił dłoń z

powrotem na kolano. – Chciałem ci walnąć jedną z tych gadek typu... – zmienił ton na ten, który uważał za „parodiujący brazylijskie tasiemce” – „Nic nie wiesz, o tym, co przeżyłem!” albo „Nic o mnie nie wiesz!”, ale darujmy to sobie. Ja tam nie pójdę. Zresztą, po co ten cały Dymitr chce tam nas?

- Po prostu jesteśmy dobrzy.
- Tak jak cały ten obóz.
- Dobra, to niewinne zrzącenie losu. Szkoda, że nie wróżyłeś ostatnio z tarota – pewnie dowiedział byś się o tym zawczasu i postrzelił się w jądra, albo skoczył w Elektro, by się od tego wymigać.
- Nie. Zmieniłbym łachy i na jakiś czas poudawał samotnego, lub, wkręciłbym się do bazy wojskowej na parę dni. Słuchaj... czy ja jestem tam konieczny?

Radek oparł czoło o dłoń, kiwając głową z dezaprobatą.

- Wiesz, że mamy napięte terminy. – rzekł.
- Ta, i co z tego?
- To, że prędzej czy później, dojdzie do takiej sytuacji, w której

wszyscy dostaniemy jakąś robotę w tym samym czasie i nie będzie okazji, byś na przykład, zamienił się ze znajomym, by iść do takiego Agropomu, zamiast Doliny. Nie można być w Zonie i zwyczajnie bać się wejścia na któreś z jej terenów. Dowództwo będzie miało w dupie, co tam przeszedłeś – masz tam iść i koniec. Po za tym, to ty masz najlepsze znajomości u samotnych. Znasz, kogoś, kto...

– Michał.

Radek kiwnął kilkakrotnie głową z zadowoleniem.

- Noo... – zawołał ciepło, klepiąc Mikołaja po ramieniu. – Dobrze. Ile będzie za to chciał?
- On i gość imieniem Dawid.
- Zaraz, zaraz. Kto jest kim?

Mikołaj wyprostował się na krześle i ruchem ręki dał znak barmanowi, że dziś niczego nie zamawia. Ziewnął, po czym odpowiedział:

- Obaj są dobrymi stalkerami. Michał zna tamte tereny, oprócz gospodarstwa, Dawid zbiera trofea. Pomoże nam z

przewożeniem zwłok do sekcji – zna się na tym jak nikt inny.

- Może być... Więc – ile będą za to chcieli?
- Nie są zbyt chciwi. Pewnie będziemy im płacić w sprzęcie – będą mieli z tego większe korzyści. Sama kasa niewiele daje, jeśli nie wiesz, gdzie jej wydawać... Chyba jednak coś sobie wezmę. Też chcesz?

Radek pokręcił głową

Mikołaj wstał z krzesła i wolnym krokiem skierował się w kierunku lady. Podniósł lewą stopę, by nie zahaczyć o wystającą rączkę służącą do otwierania klapy schronu. Po ominięciu stojących metr przed ladą stalkerów, zagadał do barmana i poprosił o małą szklankę. Chwycił ją w palce lewej ręki i wrócił do Radka. Postawił szklaneczkę na stoliku i zaczął się w nią wpatrywać.

- Od gapienia się w szklankę nie napełni się ona alkoholem. Chyba, że sprawdzasz, czy jest w niej woda i chcesz zabawić się w Chrystusa. A może...
- Mam swoje. – przerwał Radkowi Mikołaj, wyjmując z kieszeni butelkę whisky.

- Hmm... Lenny ci dał?
- Owszem. – potwierdził Mikołaj, przymierzając się do zakręcenia butelki po napełnieniu szklanki jej zawartością.
- Daj łyka. – poprosił Radek zrezygnowanym tonem, wpatrując się w butelkę Lenny'ego niemal z uwielbieniem.
- Na zdrowie.
- Zdrowie. – Radek sięgnął po butelkę, i w chwili, w której pociągnął łyk, w obozie rozległy się syreny.

Alarm inny, niż w przypadku wybuchu. Chwilę później wszyscy w obecni w barze, ba, wszyscy obecni w Zonie poczuli się jak podczas trzęsienia ziemi. Z daleka, a dokładne z północy zaczął napływać ogłuszający, szybko narastający ryk. Niektórzy nazywali to gwizdem.

Niebo za oknem powoli nabrało czerwonej barwy, która po chwili zamieniła się w fiolet. Kolejną sekundą później kolor nieba zmieniał się w szalony sposób, niczym szkła w kalejdoskopie. Rozdzierający ryk wypełnił całą przestrzeń, zagłuszając typowy, barowy harmider. Teraz każdy miał wrażenie, że huk rozlega się

bezpośrednio z jego głowy; nie miał żadnego konkretnego źródła.

- Co za ironia... – mruknął Radek, odstawivszy butelkę z alkoholem na stoliku.
- Zwarcie! – wrzasnął barman, wyskakując zza lady w kierunku klapy schronu.

Wyprzedził go Mikołaj, który właśnie schylał w kierunku dwóch stalowych uchwytów. Złapał je, i wstając otworzył schron.

Obudziły mnie szalejące błyskawice.

Otworzyłem oczy i spojrzałem nimi w stronę okna. Zwarcie.

A ja miałem zamiar się wyspać...

Przetarłem oczy i ze stojącej obok szafki zdjąłem leżącą na niej kartkę.

Pochłaniacz.

Wyjątkowo zagadkowy artefakt. Po raz pierwszy spotkaliśmy go pod Super Samem – sklepem, który miał zostać niedawno otwarty, był to pewnego rodzaju dyskont spożywczy, taki market. Pochłaniacz leżał pod jednym ze sklepowych wózków. W wózku nad artefaktem leżały zwłoki żołnierza. Raport z sekcji – płyta 27, ty-

tuł „Sekcja Wojskowego-Pochłaniacz”. Artefakt wygląda jak idealnie okrągła kula (o średnicy dwudziestu pięciu centymetrów) o nieprzeniknionej, czerwono złocistej barwie, która pokryta jest czymś w rodzaju narośli, bogatą ilością cienkich włókien, chropowatych w dotyku. Jest twardy jak gład i równie odporny – testy nacisku nie stworzyły jakiegokolwiek odkształcenia; mimo to, ma się wrażenie, że wszystkie włókna poruszają się niczym żywa istota.

Nazwaliśmy go tak, ponieważ absorbuje pobliskie promieniowanie. Wykonaliśmy pięć testów – mierzyliśmy dwa metry kwadratowe powierzchni wydzielone specjalną siatką – przed i po umieszczeniu artefaktu pośrodku wyznaczonej przestrzeni na pięć minut. Po tym, dokładnie odmierzoną czasie, promieniowanie w odmierzonej obszarze wyraźnie zmalało.

Przerwałem lekturę. Zwarcie powoli milkło – cienie w moim pokoju powoli przestały tańczyć, tworzone przez błyski różnorodnych barw, przez które poczułem się jak we wnętrzu kalejdoskopu. Byłem zbyt zmęczony na czytanie. Położyłem kartkę niedbale

obok łóżka, przewróciłem się na prawy bok i wkrótce zasnąłem. Ostatnią myślą przed zapadnięciem w sen było – „Miałeś rację, Adam.”

Siedząc w schronie, zacząłem wypytywać Radka o szczegóły zleconej nam misji. Błyskawice i ryk Zwarcia niewątpliwie nam to utrudniały, podobnie jak szepczący coś do siebie obecni w piwnicy stalkerzy, jednak umiejscowienie się w kącie skutecznie pomogło nam cieszyć się dyskrecją.

- Dostaniemy jakiś pojazd?
- Specjalną ciężarówkę.
- Kto jeszcze z nami idzie?
- Prócz mnie, ciebie, Michała i Dawida? Leon i Mark. Izaak jest chwilowo bez pracy, podobnie zresztą jak Lenny. Pijawkę, psa i wilczura będziemy mogli od razu przywieźć tutaj, bez zapuszczania się w Dolinę. Te długoszyje, połamane gnoje, kontrolerzy, zombie i...

Radek zanucił piosenkę śpiewaną przez siódmkę krasnoludków z „Królowy Śnieżki” podczas wybierania się do kopalni.

- ... Krasnale będziemy musieli taszczyć stamtąd aż tutaj na pokładzie ciężarówki. Nie ma innego wyjścia, ale cóż...
- Lepiej powiedz, co będziemy z tego mieli.
- Jakies artefakty, kupę szmalu i dowolną, możliwą do zdobycia przez nich, broń.
- No... – Radek gwizdnał. – To chyba jest wart naszego zachodu.
- Powinieneś się cieszyć z tego, że przełamiesz swój lęk. Nie wyobrażam sobie ciebie bojącego się tam wejść.
- Taa... teraz tylko wejść do szpitala i mogę uważać swoje życie za spełnione. Pogadam z Michałem. Może słyszał coś o tych aktach Autorów.

Mark zakręcił pojemnik ze środkami przeciwbólowymi, położył jedną z białych tabletek na stoliku, po czym ostrożnie usiadł na brązowym krześle. Schylił się i wyciągnął spod niego butelkę wo-

dy mineralnej, otworzył ją i upił z jej dwa długie łyki. Spojrzał na zabandażowaną dłoń – wciąż był wkurzony na Jonathana, a jeszcze bardziej na jego znajomych, którzy ciągle wciskali mu kit. O jego przeszłości, tym co zrobił i co się z nim dzieje.

Albo go nie lubili, albo uważali wiedzę na temat Jonathana za jakiś niewyobrażalny skarb, którym nie można się dzielić z byle kim.

„Władza dla elit” – tak nazywał to Mark. W tej hierarchii oni byli królami, Mark zaś Dworzańskim błaznem.

Po tej myśli sięgnął zdrową ręką po tabletkę, wsadził ją w sobie usta i popił wodą. Zadziałała po kilku sekundach, uśmierzając ból w dłoni i wypełniając Marka błogim spokojem. Było mu tak dobrze, że miał chęć położyć się do łóżka, co też zrobił.

– Walić ich. – szepnął do siebie, kładąc głowę na poduszce. – Nie chcą mi opowiadać o swoim zwariowanym chłopce, trudno; nie po to tu przyjechałem. Koka. To wszystko przez nią. I tak, było mi szkoda Jonathana. Choć, może mu się należało?

Maks potknął się i z impetem wpadł na drzewo, uderzając dołem szczęki o twardy pień. Zawył z bólu, podniósł się z trudem, prawą ręką ocierając krwawiące usta, po czym pobiegł dalej. Zaczął dostrzegać już blaszane ogrodzenie obozu.

Mutant, który go zaatakował, przestał go ścigać ponad pół godziny temu; Maks jednak, nie mogąc otrząsnąć się z szoku, pędził nieprzerwanie, odnosząc wrażenie, że wciąż goni go stado pijawek. Mimo, że stwór, którego spotkał, był o wiele gorszy od stada pijawek. Może nawet od gromady Burerów, tu jednak miał by większe wątpliwości. Jednak sam fakt, że jedna istota może być gorsza od stada innych, napędzała mu wystarczającego stracha. Był przestraszony i dumny jednocześnie – przerażony spotkaniem z Iluzjonistą, dumny, że uszedł z niego z życiem. Jeśli dojdzie do siebie, jeśli w obozie się nim zajmą, nie nachwali się znajomym swym osiągnięciem do końca życia.

Jedyna broń, jaka mu została, a mianowicie gołe pięści, nie powinny być wystarczającym pretekstem dla wartowników, by zabili go na sam jego widok. Poza tym, po grudniowej masakrze w Boże

Narodzenie, bezpieka powinna zacząć odbudowywać swój wizerunek.

Prędzej, czy później, nie zrzeszeni stalkerzy zbiorą się w grupę i otwarcie zaatakują obóz bezpieki, by pomścić swych znajomych. Tutejsza armia, wraz z urzędem bezpieczeństwa w Zonie, umywała ręce od grudniowej masakry, nie mogła znaleźć dobrego kontrargumentu na argument stalkerów – zwłok żołnierza, jedyne, który zginął podczas rzekomej akcji.

Taki wstyd...

– Stój! – krzyknął ktoś znad wzniesienia, w kierunku którego zmierzał Maks.

Stał jak wryty i podniósł ręce wysoko w górę.

Zbudził mnie odgłos rozsuwanej, ciężkiej bramy.

Czując się jak w młodości – jak sportowiec, biegacz, poderwałem się z łóżka bez żadnych oporów i doskoczyłem do okna. Brama powoli przesuwiała się w lewą stronę, zaś przed nią stało trzech stalkerów z uniesioną bronią.

Wsluchując się w dźwięk skrzypiącego metalu, otworzyłem okno

na oścież. Przetrzymałem chłodne powietrze, które wdarło się do pomieszczenia, i wystawiłem głowę nad parapet, po czym rozejrzałem się dookoła. Niebo pełne było ciemnych, szarych deszczowych chmur, które prawie zasłoniły nisko położone słońce, którego blady blask dało się dostrzec jedynie pomiędzy pniami drzew.

Całkowicie przesunięta w lewo brama ukazała samotnego stalkera. Jego wygląd był okropny.

Niegdyś sprawny, domowej roboty kombinezon był postrzępiony i pełen śladów pazurów, jak i skrzepłej krwi. Materiał od pasa w dół był zerwany i postrzępiony, ukazując zdartą skórę na kolanach i ślad po postrzale w okolicy piszczela. Stalker nie miał prawego buta, plecaka, nawet kabury. Jego włosy kleiły się od potu i krwi, podobnie jak posiniaczona i pokryta zadrapaniami twarz. Prawe oko znikło za obfitym, sinym obrzękiem, który zdobiła krew z rozciętego łuku brwiowego.

Stalker padł na pośladki, niemal kładąc się na ziemi, po czym próbował odsapnąć. Mimo dzielącej mnie i jego odległości, słyszałem jak rozpaczliwie łapał powietrze potwornie świszczącym i wręcz

nienaturalnie zniekształconym oddechem. Każdy wdech i wydech sprawiał mu wyraźnie ból, o czym świadczył każdorazowy grymas na twarzy, kiedy tylko wypinał i wciągał pierś.

Nie pozostanie nam nic innego jak się nim zająć. Jaki mamy wybór, odkąd wrobiono nas w rzeź?

Do ранnego samotnika podbiegło dwóch sanitariuszy z noszami – jeden z nich chwycił go za nogi, drugi za ręce, po czym jednocześnie położyli go na łożu, które pędem przenieśli do piwnicy.

Mijając moją kwaterę, stalker zaczął krzyczeć:

– Iluzjonista! Widziałem Iluzjonistę!

– Ilu...! – Maks, jak się „przedstawił” urwał w połowie zdania; była to reakcja po podaniu środków uspokajających.

Całe powietrze włożone w zamierzony krzyk powoli ulotniło się z ust z cichym sykiem i błogim westchnięciem Maksa. Wyraźnie mu ulżyło.

– Odkażcie rany, zszyjcie łuk, zróbcie coś z tym obrzękiem i utrzymujcie go w tym stanie. – wyrecytował Doktor, drapiąc się po prawej dłoni. – Zaraz wracam, zbadam jego płuca i

gardło. – dodał, po czym wstał i wyszedł z pomieszczenia.

Mick, Leon, Izaak i Radek siedzieli na skórzanej kozetce, naprzeciwko łóżka z Maksem. Wciąż wyglądał strasznie, jednak przynajmniej na jakiś czas przestał też dawać o swoim stanie przy pomocy głosu. Wcześniejsze wrzaski o Iluzjoniście, hordzie mutantów i tym, co przeszedł, doprowadzały do furii.

– Myślicie, że naprawdę go spotkał? – spytał Radek, który od momentu wejścia na oparcie, dziecinnie machał nogami na przemian.

Leon wzruszył szeroko ramionami, wzdychając.

– Może to zwidy od Kontrolera. – zaproponował.

– Raczej nie. – zaprzeczył Radek. – Szum, purpurowa barwa, kołysanie, mdłości i powolny paraliż, tak, ale to mi wygląda bardziej na emisję Zwęglacza. Byłeś tam? – to pytanie zostało skierowane do Maksa.

Ten odpowiedział natychmiast:

– Nie od ponad trzech lat. – mówił wolno i trochę niewyraźnie, na co wyraźny wpływ miały podane przed chwilą leki. – Jego

spotkałem gdzieś w centrum Wysypiska, siedł na północ. Radek oparł brodę o prawą dłoń i zaczął myśleć. W całej historii Zony oficjalnie spotkano dwóch Iluzjonistów – nieoficjalnie, czterech, wliczając w to przypadek Maksa. Pierwszy z nich, pojawił się w okolicach bazy bandytów w Dolinie Mroku w roku 1991 – w tym samym czasie spora grupa stalkerów, w większości członkowie Powinności, przeprowadzała akcję. Ówczesny dowódca frakcji zaprzyjaźnił się z wysoko postawionym porucznikiem wojska – po roku przyjaźni zaczął wykonywać zlecenia, które wojsku mogły „zepsuć reputację”. Pierwszym z nich było całkowite wyeliminowanie bandytów z Zony. Tak więc, Powinność zebrała rozsianych po całej Strefie swych żołnierzy do Baru, wyposażyła ich w sprzęt dostarczony przez wojskowych, po czym ruszyła na plac budowy – odwieczną kwaterę bandytów. Z trzydziestu sześciu stalkerów i czterdziestu trzech bandytów, ocalały trzy osoby – dwóch ludzi z Powinności i jeden bandyta,

który jednak w pewnym sensie umarł – całkowicie oszalał i do dziś siedzi w jednym z ukraińskich szpitali psychiatrycznych, cierpiąc na ciężką schizofrenię. Pozostała dwójka opuściła Zonę raz na zawsze, pozostawiając na dożywotnej opiece psychologa. Według ich relacji, zdążyli zabić już kilku bandytów i walka wkrótce rozgorzała na dobre. Po dziesięciominutowej wymianie ognia, kolejnych pięciu ofiarach, zza głównego budynku stacji benzynowej, stojącej bardzo blisko bramy na ruiny, wyłonił się Iluzjonista. Nazwę tą nadano mu na podstawie relacji ocalałych – było to pierwsze spotkanie z tym mutantem. Nazwano go tak, gdyż po wkroczeniu przez potwora na teren budowy, wszyscy na jej terenie zaczęli strzelać do siebie nawzajem. Wszyscy, prócz pilnujących furtki dwóch stalkerów, którzy na widok mutantu zwyczajnie padli trupem. Bandyta do bandyty, członek Powinności do swego niedawnego kompana – wszyscy wystrzelali się nawzajem niemal do ostatniego, krzycząc przeraźliwie, jakby ze świadomością tego, co robili. Sam stwórca całej rzezi stanął obok jednej z ciężarówek i napawał

się swym dziełem. Podsuwał stalkerom wizje – ludziom wydawało się, że stojący obok niego człowiek zamienia się w mutanta, że próbuje zabić swego towarzysza, lub, jak powiedział bandyta: „Wmówił mi potworny ból, naprawdę go czułem, oczekując, że sam się zabiję. Trzech moich kolegów tak zrobiło – jeden skoczył z wysoka, pozostali dwaj przyłożyli sobie lufy do skroń...”

Po dwóch minutach na placu budowy zapadła głucha cisza, przerywana jedynie odgłosem kroków stawianych przez Iluzjonistę – kroczył on pośród stygnących ciał, napawając się dumą i satysfakcją z rzeczy, której dokonał.

Trzech bandytów i dwóch ludzi Powinności wytrzymało potworne wizje – albo zawarli ze sobą okresowy rozejm, albo zwyczajnie zapomnieli o swych niedawnych wrogach, całą swą uwagę skupiając na mutancie. Zaatakowali go, jak podał jeden z ocalałych (obserwator, który nadzorował akcję z daleko położonego wzgórza), z okien ceglanej ruiny, kiedy szczupła, dwumetrowa postać w czarnym płaszczu przechodziła pod jednym z dwóch zardzewiałych dźwigów.

Jeden ruch, machnięcie bladej ręki, uśmierciło dwóch bandytów i jednego pozostałego żołnierza; pozostała dwójka została sparaliżowana od pasa w dół.

Po chwili Iluzjonista ściągnął z głowy kaptur, ukazując swoją głowę.

Jak do tej pory, snajper-observator pamiętał wszystkie szczegóły z wydarzenia, którego był świadkiem, jednak nie potrafił opisać wyglądu głowy mutantu żadnym konkretnym słowem. Kiedy ją zobaczył, całkowicie odjęło mu mowę; zaczął się panicznie trząść i mimo chęci oderwania oczu (a raczej lornetki) od potwornego widoku, nie mógł tego zrobić. Wpatrywał się tępo w, jak określił, „niewyobrażalnie przerażającą” twarz, siejąc w swoim mózgu coraz większe spustoszenie.

Po upływie pięciu minut potwór założył kaptur z powrotem, po czym pobiegł na zachód, pozostawiając po sobie kilkadziesiąt okaleczonych zwłok.

Druga oficjalnie potwierdzona obecność Iluzjonisty – Jantar.

Siedmiu naukowców z dziesięcioosobową eskortą żołnierzy ocalał

z ponad dwóch setek żołnierzy, którzy zabezpieczyli opustoszały ośrodek badawczy. Tutaj jedynym dowodem był gość szczegółowy opis mutanta, który „wybił” większość ludności na terenie zakładu. Jego autor, naukowiec, podał zgadzający się w większości z poprzednim przypadkiem, opis potencjalnego Iluzjonisty. Dwa dni po przejściu przez naukowców w bunkrze nad bagnami postradał resztki rozumu.

Trzecia wizyta Iluzjonisty w południowej Zonie, a dokładniej, w Dzikich, nie znalazła potwierdzenia. W napromieniowanym domu przy jednym z torów kolejowych, w sejfie położonym w piwnicy dawnej siedziby kolejarza, znaleziono nagranie na dyktafonie. Było to coś w rodzaju relacji „na żywo” ze spotkania z Iluzjonistą – zaczynało się ono normalnie; relacją pewnego stalkera, który podawał szczegółowy opis otoczenia. Po minutowym raporcie w nagraniu rozlega się ogłuszający wrzask, a właściciel dyktafonu, twórca nagrania, zaczyna się panicznie, nieprzerwanie śmiać, nawet bez przerwy zaczerpnięcia oddechu. Obłąkańczy rechot zostaje przerywany słowami „Iluzjonista...”, po czym kończy

się dźwiękiem głośnego strzału, mokrego chluśnięcia (prawdopodobnie krwi) i ciężkim łomotem; prawdopodobnie ciała.

Wielu ekspertów – z grubsza ludzi pracujących dla rządu i Sacharowa, jak i doświadczeni stalkerzy, potwierdzili, że ryk w nagraniu to krzyk Kontrolera.

Przypadek czwarty – Maks, stalker, który z północy dotarł aż tutaj.

Rozmyślenia i dedukcje Radka przerwał Leon:

– I co o tym sądzisz? – spytał, wpatrując się tępo w przykutego do łóżka, poranionego człowieka. – To naprawdę mógł...

– To był Iluzjonista! – krzyknął Maks, próbując się uwolnić. –

Podam wam jego dokładny opis, to wam wystarczy, tak?!

Izaak aż się wzdrygnął.

– Taa... To nam wystarczy. – powiedział powoli, schodząc z pryczy.

Przeciągnął się szeroko, po czym podszedł do szuflady. Otworzył ją i wyłowił z niej zapakowaną w folię strzykawkę.

Zerwał folię i zdjął zabezpieczenie igły, po czym rzekł do Maksa:

- Jeszcze raz wydrzesz tak japę, to wbije ci to w pęcherz. Jak widzisz, jest dość długa.
- Maks skrzywił się ze strachu, po czym powoli obrócił głowę przed siebie i zaczął wpatrywać się w sufit.
- Nie ma takiej potrzeby... – mruknął spokojnie. Mam nadzieję, że po tym mnie odeślą. Mam dość Zony.

28

Nocą, kilka minut po północy, Radek wyszedł z obozowego baru. Natknął się na kuśtykającego o kulach Lenny'ego, który zmierzał do środka pubu. Było w nim tłoczno, gorąco i parno od oddechów wszystkich jego gości. Jak zwykle o tej porze, zapach papierosów i alkoholu dało się wyczuć dobre trzy metry przed progiem. Lenny miał na sobie ciepły płaszcz, spod którego świeżała pidżama. Białe gips także mocno rzucał się w oczy.

- Chcesz tam nocować? – spytał ironicznie Radek, podnosząc rękę w powitalnym geście.

Lenny skinął mu głową na „dzień dobry”, po czym odparł:

- Nie, chce odebrać nagrodę.
- Jaką? I za co?
- Lenny uśmiechnął się pod nosem, kręcąc głową. Wyglądało, jakby zaraz miał zamiar się roześmiać. Odchrząknął, po czym zaczął odpowiadać Radkowi na pytania:
- Mick. Wiesz, który?
- Uratował Leona i Mikołaja przez Finnem. Jest w środku...
- A ci jeszcze mu nie podziękowali...
- Przypomnę im. – zapewnił Radek uspokajająco. – Więc, Mick...
- Założył się ze mną o pięć paczek ekskluzywnych cygar, plus papierkowa robota z ich załatwieniem.
- A o co? – spytał Radek z wyraźnym zainteresowaniem w głosie. Założył ręce na piersi i czekał.
- Czy Igor znowu pokaże się w „stroju roboczym” na oczach całego obozu, podczas odbierania ładunku.
- Nie mogę... – Radek z trudem nie wybuchnął głośnym

rechotem.

Przyłożył zaciśniętą pięść do ust i zaczął chichotać, kołysząc się w lewą stronę. Wylądował na ścianie baru, wciąć śmiejąc się pod nosem. Kiedy skończył, opuścił rękę z powrotem u boku z pełnym samozadowolenia westchnięciem, który przypominał dźwięk wydawany przez narkomana, zaraz po kolejnej dożyłnej dawce heroiny.

Spoważniał, po czym jeszcze bardziej zaniepokojony zapytał:

– Naprawdę to zrobił? Opowiadaj, nie było mnie dziś cały wieczór.

Lenny oparł się o mur zaraz obok swego przyjaciela, oparł prawą kulę o barierkę otaczającą trzy niskie stopnie, po czym już wolną ręką sięgnął do kieszeni.

– Godzinę po tym, jak wyszedłeś, przyszedli do obozu pohandlować. Z siedmiu, ośmiu, bardzo wpływowi i znani wśród „nie zrzeszonych” stalkerów. Chcieli trochę broni, amunicji, jeden wykupił wiele sprzętu do oprawiania zwierzyny. Generalnie, oni chyba zajmowali się głównie

polowaniami – specjalne naboje, w tym zatrute, głównie małokalibrowe. Zamówili, jak mu tam... Iver Johnsona.

– Muszą nieźle na tym zarabiać.

– To oczywiste. Dwa dni łowienia w takiej Dzikiej, kilkanaście minut jazdy okrężną drogą na Yantar i masz kilkanaście tysięcy. Ubicie i przetransportowanie całej, nienaruszonej pijawki to dla nich normalka. – Leonard wygrzebał z kieszeni paczkę papierosów – otworzył ją kciukiem i skierował w stronę Radka.

Ten pokręcił głową na „nie”. Autor propozycji wyłowił jednego papierosa przy pomocy zębów z prawie pełnej paczki, którą schował do kieszeni, tym razem tylnej w spodniach.

– Przydadzą się nam. To znaczy... – Radek spojrzał na gips. – Ty to masz farta...

– Co masz na... Aha... Dwu tygodniowy zastój, a kiedy dostajecie nową robotę, ja muszę być „niedysponowany”. – po tych słowach Lenny zapalił trzymany w ustach papierosa. Zaciągnął się głęboko, przetrzymał dym przez trzy sekundy,

po czym wypuścił go nosem.

- Zmienisz zdanie, jak ci powiem, co mamy zrobić. Potem skończysz to o zakładzie.

Radek urwał, gdy z baru wyszedł Leon. Zatrzymał się on na drugim kamiennym stopniu, widząc stojącą pod ścianą dwójkę.

- Radek! – rzekł rozpromieniony, wciąż pozostając na miejscu. – Gdzieś ty był do nocy?

- Później ci powiem.

- Dobra... w takim razie idę do siebie. Jestem zbyt zmęczony na typowe, swojskie lanie wody. – wycedził, ziewając krótko.

Machnął ręką na pożegnanie, schodząc ze schodków, po czym wolno skierował się do swojej kwatery.

- Chyba ma zły humor... – mruknął Leonard, oprowadzając Leona spojrzeniem, do momentu, w którym całkiem zniknął w ciemnościach. Kiedy to się stało, wrócił do poprzedniego tematu:

- To co macie zrobić?
- Przytaszczyć tu trupa każdego mutantu, jaki stąpał po Zonie.

Z wyjątkiem Olbrzyma i Iluzjonisty, rzecz jasna.

- Po kiego?

- Dla „elity intelektualnej” kilku współpracujących z nami krajów.

- Ile wam to zajmie?

- Z tydzień. Siedem dni łożenia po Zonie wzdłuż i wszerz.

- Miałeś rację. Zmieniłem zdanie. Dzięki ci, Snorku, za mą nogę...

- Wariat. – mruknął Radek żartobliwie.

- Może trochę. – przyznał Lenny podobnym tonem. Skończył palić, niedopałek rzucił na ziemię. – To chcesz wiedzieć, jak było z tym zakładem? – dodał po chwili.

- Mów.

- Po „zakupach” cali ci Łowcy zaczęli wsiadać do samochodów, wracając, mijali dom Barry’ego...

- Dymitra.

- Racja... – Lenny odkasznął. – Igor wypadł z podziemi, dokładnie, kiedy mijali ją ci stalkerzy.

– I co?

Lenny wrzasnął w sposób parodiujący nisko budżetowe horrory.

– Odskoczyli jak porażeni! Jeden zemdłał, a pozostali zaczęli uciekać. Dopiero, jak Igor zaczął się śmiać, to zorientowali się, że to nie mutant.

– Cały we krwi?

– Jak zwykle. Białe fartuch, co ja mówię – czerwony i zachlapany posoką, podobnie jak jego twarz! Nawet ja się wzdrygnąłem, a widziałem to wszystko z okna.

– Prawdziwy wariat. – skomentował z pogardą Radek.

– Może. – przyznał Lenny. – Ale czy ktoś z taką robotą może być normalny?

– Nie.

Rok 1978

Ktoś zapukał do moich drzwi. Trzy razy, w krótkich odstępach. Odłożyłem gazetę, podniosłem się z krzesła i szybkim krokiem podeszedłem do drzwi. Spojrzałem przez judasza i zobaczyłem spo-

conego Kamila, stojącego na klatce schodowej. Miał rozczochrane włosy, wyglądał na wyczerpanego. Nawet stojąc za drzwiami słyszałem jego zmęczony oddech.

Oby to nie było to, o czym myślę.

Przekręciłem klucze w zamku i otworzyłem szeroko drzwi. Kamil wpadł do środka, jakby opierał się o ścianę, którą właśnie usunęto. Zataczając się, obleciał cały przedpokój, lądując na ścianie, tuż obok wiszącego lustra. Uderzając plecami o panele, zsunął się po nich; po chwili siedział już na tyłku, z rękoma opartymi o kolana. Ciężko dyszał.

– Co znowu? – spytałem, trąc lewe oko.

– Cóż... Jonathan... – Po każdym krótkim słowie Kamil brał głęboki wdech, zmagając się ze zmęczeniem. – Pogadałem sobie z nim. Już więcej cię nie zaczepi.

– Na pewno? – mruknąłem, wciąż niepewny i lekko przestraszony.

Nie mogłem przekonać samego siebie, że postąpiłem słusznie mówiąc Kamilowi o ostatnich wybrykach Adriana. Teraz albo się

odczepi albo jeszcze bardziej wnerwi.

- Co robisz? – zapytał mnie Kamil, który oddychał już normalnie. Wstał z wysiłkiem, podrapał się po czole i poszedł do mojego pokoju.
- Czytałem gazetę.
- Coś ciekawego?
- Słyszałeś o tym psycholu, który zabija dwójkami?
- Ta. Nawet w telewizji o tym gadają. Co musi siedzieć we łbie takiego człowieka, żeby... Eee, szkoda gadać. Mam nadzieję, że jak go złapią, to powieszą. I bynajmniej nie za głowę.

Kolejna wzmianka o mordercy nastąpiła wieczorem, także w wiadomościach.

Bez, motywów, i w pewnym sensie świadków – odkryto jedynie powiązanie – jedna ofiara śmiertelna, druga, świadek zabójstwa dostaje świra i ląduje w psychiatryku. I niczego nie da się z niego wyciągnąć – dwóch z sześciu naocznych świadków już próbowało popełnić samobójstwo. Całkiem im odbiło. Tak jak policjantowi, który odkrył pierwsze miejsce zbrodni.

Rok 2001

Igor odbezpieczył granat błyskowy i wrzucił go do środka dawnego salonu. Kiedy jego wnętrze wypełnił oślepiający blask i niemal zwałający z ziemi huk, obecny towarzysz Igora, Radek, wpadł do środka z dzikim wrzaskiem. Zaraz po nim do salonu wtarł Igor, rozglądając się na boki.

W czterometrowym pomieszczeniu, na pozostałościach z kanapy, wiła się zdeorientowana pijawka.

- Wal! – krzyknął Radek, odpaliwszy w stronę pijawki dwie głowy paralizatora.

Ustawił napięcie na maksimum – pijawka przestała przejmować się działaniem granatu – teraz trzęsła się pod wpływem prądu; rzucała się dziko na lewo i prawo, rycząc wściekle. W ciągu tych dwóch sekund Igor dobył z kabury sześciostrzałowy miotacz strzałek – dwie z nich nasączono trującą paraliżującą, kolejne dwie środkami uspokajającymi. Ostatnie zatopiono w zabójczej truciźnie, mieszanke sporządzonej przez samego Igora.

Sześć strzałek przecięło powietrze ze świstem, po czym utkwiliły

w trzęsącym się ciele mutanta. Radek wciąż nie zmieniał napięcia – było tak mocne, że na piersi wierzgającego się stwora zaczęły tworzyć się oparzenia.

Nagle, bez żadnej zapowiedzi, z sekundy na sekundę, Pijawka zesztyniała, po czym zsunęła się z fotela na podłogę, lądując na plecach.

– Wyłącz to! – wrzasnął Igor do Radka, który wciąż nie zmieniał pozycji. – Wyłącz! – Igor krzyknął jeszcze głośniejszym głosem, co poskutkowało.

Operator paralizatora wypuścił broń z ręki, po czym wyraźnie otrzeźwiał. Schylił się po pistolet, załadował go dwiema nowymi głowicami, po czym schował do udowej kabury. Nagle złapał się za nos, wolną ręką odpychając smród.

– Pieczona pijawka... Zaraz się porzygam. – wycedził, zmagając się z odorem.

– Wynieśmy ją stąd, zanim zasmrodzi całą chatę. – Igor nacisnął włożoną w ucho słuchawkę. – Przynieście nosze. – następne słowa skierował do Radka. – Na pewno nie żyje?

– Mnie pytasz o skuteczność swoich trucizn? Nawet, gdybyś pomylił je z alkoholem, pewnie padła od prądu. Mutant mutantem, ale czegoś takiego nie przetrzymałby Zły Przewodnik.

Do pokoju przez pustą framugę wtargnęło dwóch stalkerów z noszami – Mick i Leon. Pierwsze co zrobili, to skrzywili się z obrzydzeniem, czując smród spalenizny.

– Bierz nogi, ja za ręce. – rozkazał Leon, ustawiając się za kanapą. Po chwili, na „raz, dwa, trzy” wraz z Mickiem unieśli pijawkę do góry, po czym, po kilku krokach, niedbale, acz celnie, rzucili na nosze. Mick ułożył ręce na tułowiu i przybliżył nogi, po czym zapiął pasy.

– Kto z was jest najsilniejszy albo chce mieć wymówkę do tego, że dał się postrzelić.

– Ja. – zgłosił się Radek. Podszedł do noszy i odczepił pasek, który umocował na kombinezonie.

– Chodźmy stąd, bo zaraz padnę od tego smrodu... – szepnął, odganiając od siebie nieprzyjemny zapach, po czym skierował

się w stronę wyjście.

Reszta kompanów podążyła za nim. Po wyjściu na zewnątrz, pod ciemniejące niebo, rozległy się oklaski.

– Brawo! – powiedział głośno Michał, patrząc z zadowoleniem na ciągnącego Pijawkę Radka.

Stłumił kolejny odruch przepony i podszedł do pijawki, otwierając kolejną butelkę wody mineralnej. – No... – mruknął, po czym wypił połowę pół litrowej butelki jednym łykiem. – Ten smród... nie przejmuj się, mi też się to zdarzało. – po tych słowach pocieszenia Michał zrobił zdziwioną minę. Przejechał palcem prawej ręki po nosie, po czym potarł go o kciuk. Jednocześnie wystawił lewą przed siebie. Po dwóch sekundach oczekiwania, założył kaptur kombinezonu, po czym schował ręce w kieszeniach.

– Zaczyna kropić. Wróćmy przed deszczem. Nienawidzę deszczu. Przynajmniej do póki, kiedy nie jestem w przytulnym pokoju z kominkiem.

Gavin wstał z krzesła, po czym przeszedł przez odległy hol wieżowca w stronę okna. W prawej ręce trzymał nadgryzioną ka-

napkę, w drugiej butelkę wody.

Zaraz po skończeniu snu, o siódmej rano, Gavin przebrał się w zielony sweter i czarne, ocieplane spodnie. Nie zmienił jedynie skórzanych kapci, którymi szurał po podłodze. Była ósma rano, więc sporo pozostało mu do stanu „pełnego wybudzenia”? teraz wyglądał jak uzależniony od kofeiny, który rano nie dostał dwóch pełnych filiżanek kawy do wypicia. Poranek był szary, nieprzyjemny i pełen przenikliwego, zimnego oraz suchego powietrza.

Po dościsnięciu do pokoju Teda, który opuścił je o szóstej rano, Gavin wyjrzał przez okno na niepowtarzalną panoramę Prypeci.

Bloki mieszkalne były w dużej mierze zasłanianie przez brązowe drzewa. Jedną z niewielu rzeczy widzianych z kwatery Teodora był daleki stąd komin elektrowni atomowej. Dumnie górował nad ciągnącymi się dalej lasami i polami. Był bardzo wyraźny i trudno go nie było zauważyć z racji niemal śnieżnobiałych chmur, które podkreślały i eksponowały jego kształt.

Co chwilę następował długi i mocny podmuch wiatru, który wyginał lekko rozsiane po Prypeci drzewa, wydając przy tym daleko

roznoszący się szum liści. Wiele z nich opadało z koron, dołączyszy do wyblakłych i brązowych listków, które ścieliły ulice i chodniki. Jeśli podmuch wiatru był naprawdę silny, liście wraz z pyłem, kurzem i drobnym piaskiem sunęły razem po asfalcie, przypominając morski piasek podczas sztormu.

Gdyby nie wymienione okna, Gavin prawdopodobnie by zamarzał. Nie miał najmniejszej ochoty wychodzić dzisiaj na zewnątrz, chciał spędzić całą dobę w ciepłym pokoju, najlepiej oglądając telewizję. Nie czuł się dziś na siłach, przynajmniej takich, które pozwoliłyby mu wyruszyć w Zonę.

Tak, dziś będzie oglądał telewizję, i specjalnie w tym celu przystarża sobie najwygodniejszy fotel, który stał w tej chwili cztery piętra niżej. Po za tym będzie rozmyślał nad osobą, która kupiła od niego Vychlopa.

– Co tam? – spytał ktoś. Gavin rozpoznał głos Huberta – ochrypli, gruby i wyjątkowo spokojny. – Mamy dziś specjalnego do roboty? – dodał.

Gavin odpowiedział, wciąż oglądając widoki za oknem:

- Dziś? Nic. Ktoś w ogóle ma zamiar dzisiaj gdzieś? iść?
- Ted i ja.
- Dokąd?
- Siedziby rządu. Znasz Radka?
- Tak, a co? – Gavin upił duży łyk herbaty, po czym ugryzł spory kawałek kanapki.
- A jako kogo go znasz?
- Hmm? dobry agent, stalker, który na szczęście się nami nie interesował. A co, zaczął?
- On nie, ale Mark powiedział mi, że Dymitr?
- Jaki Dymitr?
- Ich nowy szef. Barry’ego gdzieś wciął, gdzieś w okolicach tego wybuchu. To nie było Zwarcie, prawda?

Gavin zachłysnął się herbatą. Odwrócił się w końcu, spuszczaając oko z komina elektrowni, po czym uśmiechnął się do Huberta. Nie szyderczo, raczej uspokajająco. Hubert był wyjątkowo nerwowym i niepewnym człowiekiem, który by uspokoić swoje obawy na jakiś temat, musi przepytac i usłyszeć to, co chce, od co najmniej

czterech osób. To rozwiewa jego obawy na jakieś pięć godzin – potem, przez niekontrolowaną myśl, zaczyna martwić się jeszcze raz. Miał przez to (dziś co prawda śmieszne) – problemy – w dzieciństwie, zwłaszcza w przypadku zabiegów i inwazyjnych badań, które potrafiły doprowadzić do omdlenia i nawet przejściowych depresji.

Raz Gavin zakpił sobie z Huberta, gdy ten zadręczał go pytaniami na temat zabezpieczeń kwatery głównej przed mutantami – po jego przykłej reakcji już nigdy więcej nie był w stosunku do niego złośliwy, do czego przekonał też resztę S.

Hubert był bardzo nietypowym mężczyzną, którego ilość fobii mogłaby posłużyć jako źródło informacji do napisania scenariusza filmowego – hipochondryk, w pełnym tego słowa znaczeniu. Kilka jego zachowań uważano powszechnie za zabawne, jednak nie mówiono o tym otwarcie – podkomendni Gavina zostali uświadomieni, że jest to zwyczajnie nie w porządku.

Najbardziej zapamiętał on dzień, w którym Hubert wziął kilka, blisko położonych pryszcz, za objaw choroby popromiennej.

Przez nerwy i ciągle rozmyślanie o chorobie (o której zresztą, zaraz po odkryciu niewielkiej wysypki, zaczął czytać i jeszcze bardziej pogłębiać swe zakłopotanie) sprawdzał wykrywaczami promieniowania całe swoje ciało, jak i okolicę. Efekt był chyba do przewidzenia – szukanie promieniowania w Prypeci jest jak szukanie czegoś mokrego w morzu – Hubert nie mógł się przekonać do argumentów jego kolegów, że poziom promieniowania, który według Hipochondryka jest źródłem jego „choroby”, w Prypeci jest „poziomem typowym”, który panuje tu od kilku lat.

Kiedy Hubert wmówił sobie objawy „na dobre” i domagał się antyradów, Ted rozwiązał jego problem.

Zastosował efekt placebo.

– Nie, to nie było Zwarcie. Ale nie masz się czego obawiać, od tego nawet nikt nie zginął.

– To dobrze?- Hubert kolejny raz odetchnął z ulgą.

Dawid spacerował wzdłuż silosów w północno-zachodniej części Złomowiska. Z typowym kombinezonem, AK-103 w lewym ręku i sporym, wypełnionym po brzegi plecakiem, zmierzał w kie-

runku obozu Wolności, w Wojskowych Magazynach. Było południe, słońce wisiało wysoko na niebie, zalewając wszystko słońcem. Spore przedmioty i konstrukcje, jak silosy, które mijał Dawid, rzucały długie, półprzezroczyste cienie.

Ciepłe promienie częściowo niwelowały nieprzyjemny, chłodny wiatr. Dawid wzdygał się, szczękając zębami za każdym razem, kiedy zawiał.

Po piątym w ciągu minuty powiewie, Dawid usłyszał dźwięk telefonu. Wyjął go z prawej kieszeni zziębniętą, trzęsącą się od zimna dłonią, po czym przyjrzał się wyświetlaczowi. Zakaszłał, zasłaniając usta ramieniem; kiedy przestał, odebrał połączenie.

- Gdzie jesteś? – spytał z słuchawki głos, należący do Michała.
- Na Wysypisku, w przemysłowych będę za jakieś dwadzieścia minut. Jak ci poszło?
- Dobrze. Widzisz jakieś chmury na północy?
- Tak.
- Zaraz zacznie padać, a one idą w twoją stronę, więc jak nie chcesz zmoknąć, to się pospiesz.

– Zdążę. – zapewnił Dawid. – Jacy są ci, no?

– Ci z urzędu?

Dawid mruknął na „tak”.

– Dziwni. Jeden z ich, Igor, to prawdziwy dziwak. Kiedy z nami wędrował, szeptał coś pod nosem?

– Prześlij mi jego zdjęcie.

– Co? A jak mam?

– Prześlij jego zdjęcie! – krzyknął Dawid, kończąc rozmowę.

Igor. sku*wysyn? Ten śmieć?

Jeśli to ten, który w obozie dokonuje przesłuchań, Dawid będzie gotów sprowokować bombardowanie nuklearne Zony, byle by zabić tego gnoja. Igora otaczano opieką całego obozu – nigdy z niego wychodził, rzadko też opuszcza tamtejszą piwnicę, w której spędza całe dnie. Ma tam nawet własną kuchnię i mieszkanie, a do zaspokajania osobistych zachcianek może korzystać z interkomu. Nazywano go Kretem – siedząc w podziemiach niemal odzwyczaił się od widoku prawdziwego słońca i ich promieni.

Mijając betonowy, odrapany przystanek autobusowy, Dawid za-

uważył siedzącego w nim stalkera. Jak porażony, wyjął prawą rękę z kieszeni, którą chwycił za lufę AK, teraz skierowanej w stronę nieznajomego. Ten rozłożył ręce, po czym uniósł je wysoko w górę. Był wyraźnie przestraszony – na jego czole w ciągu trzech sekund pojawiło się kilka kropel potu. Jego oczy niemal wyszły na wierzch, a usta wygięły się w grymasie paniki.

– Tylko nie? – wyjęczał, zmagając się z trudnościami z oddychaniem.

Karabin Dawida opadł w dół, uderzając o jego nogę ze stukotem.

Dawid przetarł lewe oko, po czym sapnął z wysiłkiem.

– To? tylko odruch? – rzekł z uśmiechem i ulgą, widząc znikające z twarzy nieznajomego obawy o swe życie.

Nie lubił robić innym przykrości, a tym bardziej wymachiwać im przed oczyma bronią.

– Mogę? wstać? – spytał siedzący na przystanku stalker.

Miał około trzydziestu lat, bladą, grubo ciosaną skórę i duże, zmęczone, czarne oczy. Był mały i chudy – niczym typowe szkolne popychadło; jego palce długie i kościste, podobnie jak ubrane w

czarne spodnie nogi i wąski tors, na który założono szary kombinizon. Dawid nie widział włosów spotkanego człowieka, gdyż były one zasłaniane w całości przez kaptur.

– Wstawaj i przepraszam, po prostu jestem przezorny.

– Nie szkodzi? – chudy mężczyzna powoli się podniósł, po czym szeroko rozciągnął ręce, wzdychając, jakby dopiero co wstał z łóżka po dziesięciogodzinnym śnie.

Takim, jaki z pewnością Dawid sobie uczyni, kiedy tylko wróci do Baru.

Najpierw jednak wolnym krokiem ruszył w stronę nowopoznanego stalkera, by uścisnąć mu dłoń. Idąc, zarzucił karabin na plecy. Wszedł z szeleszczącej trawy na betonową powierzchnię przystanku i uniósł w górę prawą dłoń. Stojąca naprzeciwko niego osoba zrobiła to samo, jednak nie doszło do uścisku, przynajmniej nie w tym sensie.

Kiedy Dawid uniósł rękę na wysokość około pół metra, stojący przed nim najemnik chwycił go za szyję i zaczął dusić.

Teraz to on wyglądał na przerażonego, czując uścisk, który był

silny niczym stalowa obręcz. Nie zdążył nawet krzyknąć ani się ruszyć – uniesiona przed chwilą w geście przyjaźni dłoń zeszywniała, podobnie jak lewa.

Napastnik odchylił lekko głowę Dawida w tył, po czym z całej siły pchnął go w przód, w stronę betonowego słupa. Dawid grzmotnął weń tyłem czaszki.

To uderzenie niemal pozbawiło go przytomności – zaczął się powoli osuwać wzdłuż betonowej konstrukcji, na której, rozbitą głową, pozostawiał krwawy ślad. Takiego bólu nie czuł nawet, kiedy był przesłuchiwany przez Igora – doprowadzał go on do szału, tym bardziej, że poczuł się kompletnie bezradny. Był zdany na łaskę nieznanego mu napastnika.

Kiedy Dawid głucho opadł na pośladki, jęcząc żałośnie, stojący nad nim stalker wyjął z tylnej kieszeni spodni mały, matowy rewolwer, który natychmiast skierował w stronę Dawida.

- Dlaczego?! – krzyknął z przerażaniem, zanim pierwszy pocisk trafił go w żołądek.
- Igor. Nikt go do tej pory nie poznał, i niech tak pozostanie.

Rok 1978

Tego dnia czułem się „dziwnie”.

Miałem „dziwny” sen tej nocy. W nim, śnie, stałem na najwyższym piętrze jakiejś niedokończonej budowli. Było to co najmniej czwarte piętro – widziałem jedynie odległe, duże, blaszane konstrukcje skąpane w pomarańczowych promykach słońca jak i trzy duże, jakby stare, dźwigi.

Wszystko było zniszczone, jakby zdezelowane, w fazie rozkładu i ogromnego zaniedbania. Beton, na którym stałem, pokryte były grubą warstwą zakurzonych, brązowych i zielonych liści. Spośród, jak później spostrzegłem, zardzewiałych konstrukcji spostrzegłem kilka torów kolejowych – również starych i zaniedbanych, których nie używano od wielu, wielu lat.

Spośród zardzewiałej stali rosły wysokie chwasty, który były na tym terenie jedyną roślinnością, nie licząc wyschłego, gołego drzewa, którego korona sięgała podłogi czwartego piętra. Niebo było błękitne i bezchmurne, słońce dopiero wspinało się na szczyt, było więc przed południem. Oddychałem rześkim, ciepłym powie-

trzem, tak też się czułem. Ciepło, z powodu grzejącego słońca, rześko z powodu powietrza i samego poczucia, które w tym śnie miałem wyjątkowo dobre. Czułem się naprawdę dobrze – jak w pierwszy dzień wakacji, zaczynający się długi weekend czy spotkanie ze znajomymi. Samopoczucie niwelowało nawet moją obecną niepewność.

W jakimkolwiek miejscu w tej chwili byłem, było to miejsce całkowicie wymarłe. Nie słychać było najmniejszego szmeru, odgłosu przyrody, zwierzęcia. Panowała martwa, nieprzerwana cisza. Nieprzerwana, nie licząc mego oddechu.

Rozejrzałem się dookoła.

Na tym piętrze nie wybudowano jeszcze żadnych ścian – być może nie było to piętro, lecz dach budynku, gdyż nie wiedziałem jeszcze, co jest niżej. Zauważyłem schodzące w dół schody, dwa metry przede mną. Po wykonaniu pierwszego kroku, sceneria snu zmieniła się.

W mojej głowie rozległ się ogłuszający dźwięk walących się kamieni i osuwającego się gruzu. Towarzyszył im stukot odłamanych

skałek i miękki odgłos osadzania się grubego pyłu na ziemi. Z sekundy na sekundę przeniosłem się do wąskiego korytarza.

Ten także należał do niedokończonej budowli, którą jednak wykonano w większej części niż budynek, w którym znajdowałem się jeszcze kilka chwil temu.

Korytarz miał kilka metrów długości, miał szerokość ponad trzech. Stałem mniej więcej pośrodku.

Ściany były już zbudowane i pomalowane śnieżnobiałą, nową farbą. Po lewej i prawej stronie korytarza znajdowały się framugi drzwi, których w pokoju po lewej jeszcze nie wstawiono. Generalny stan tego miejsca świadczył, że wystarczy jeszcze go „wyposażyć” w odpowiedni sprzęt, do czegokolwiek miałby służyć. Pomieszczenia były gołe i niczego w sobie nie miały, poza wspomnianymi drzwiami i przyczepioną do sufitu dużą, długą jarzeńnicą.

W korytarzu było jasno od słonecznego światła, które wpadało przez progi dwóch pomieszczeń, w których zapewne zamontowano spore okna. Poza otoczeniem zmieniło się także moje samopo-

czucie.

Nigdy w życiu tak się nie bałem.

Obudziłem się nad ranem, jak wynikało z ściennego zegara, o piątej. Nie byłem „mokry”, nawet ani trochę się nie spociłem, jednak ciągle czułem powoli ulatniający się z mnie strach, którego napędził mi sen. Pierwsze pięć sekund po otwarciu oczu byłem z jego powodu lekko ośpiały, później już tylko zaniepokojony. Przez minutę, może dwie, leżałem bez ruchu, tępo wbijając swój wzrok w kołyszące się, połączane wahadło, próbując dojść do siebie.

Dziesięć po piątej podniosłem się częściowo z łóżka i usiadłem, przecierając oczy. Wyjrzałem za okno, na prypeckie osiedle.

Huśtawka, blaszana zjeżdżalnia wraz z piaskownicami i ciągnącymi się wokół drzewkami tonęły w nieprzeniknionym mroku, któremu uległ nawet blask księżyca.

Ziewnąłem długo i głośno, podrapałem się po plecach i głowie, po czym podjąłem próby przypomnienia sobie ostatniego snu.

Coś w rodzaju szpitalnego korytarza, przedtem placu budowy?

Gomez podszedł do dużej, drewnianej szafki, otworzył ją szeroko, po czym wyjął z niej długi, biały lekarski kitel. Zdjął go z wieszaka, który włożył z powrotem do szafki, same ubranie zaś położył na wysłużonej desce. Wyrównał je w miarę możliwości własnymi dłońmi; dalszą pracę wykonywał żelazkiem po wcześniejszym spryskaniu fartucha wodą.

Pierwszy dzień w nowej, upragnionej pracy – musiał więc zrobić dobre wrażenie, a jedną z rzeczy składających się na definicję tego pojęcia jest wygląd zewnętrzny. Gomez zaczął od ubrania. Spodnie, skórzany płaszcz na zimniejsze dni (było zero stopni, do tego obficie pruszył śnieg) wraz z butami były już gotowe, teraz wystarczyło już tylko przygotować koszulę i wspomniany lekarski ubiór.

Był wąski, jako, że Gomez był bardzo szczupłym i zdrowym mężczyzną – ostatniego razu zważył się i zmierzył tydzień temu – jego waga wynosiła 80 kilogramów, wzrost zaś metr osiemdziesiąt.

Niemal maniakalnie szukając zagieć, nierówności i innych niedoskonałości w fartuchu, Gomez słuchał radia, które stało na dru-

gim końcu salonu, pod ścianą. Trochę dobre muzyki plus typowa, obowiązkowa dawka propagandy.

- pałek i milicji mrowie, Marks się przewraca w grobie! –
zanucił Gomez, jeżdżąc żelazkiem po ubraniu.

Był z siebie dumny (i miał do tego pełne prawo), iż dostał pracę w tutejszym szpitalu. Całe życie spędził na studiowaniu medycyny i niedawno dostał gwarancję, że jego trud nie poszedł na marne. Wiele mądrych, znanych haseł pasowało by do tej sytuacji, jednak żadne nie wyraziło by w pełni szczęścia Doktora (tak, już był doktorem) Gomeza.

- Opłaciło się? – mruknął, odwracając kitel na drugą stronę.

Po wyprasowaniu i jej zabrał się za białą koszulę.

23 Grudzień 1978 roku, jeden z niewielu dni, podczas których Gomez tak zadbał o swój wygląd.

- A wiesz, co jest najgorsze? – spytał Leon, przestępując nerwowo z nogi na nogę. W lewej ręce trzymał palącego się papierosa.
- Ta. – odparł Radek pewnym tonem.

Siedział na ławce, za szpitalem, w cieniu wielkiego drzewa, który przysłał silne promienie słońca. Jego gałęzie nieprzerwanie kołysały się w prawą stronę, ulegając wiatru.

- Co? – Leon przystanął na chwilę, obok kamiennego śmietnika, by mocno się zaciągnąć.
- To, że palisz.
- On jest zdenerwowany, zrozum to. – mruknął siedzący obok Radka, Mikołaj. – Próbuje się... – zaczął, lecz przerwano mu brutalnie:
- Uspokoić? – Radek nie przestawał atakować. – Leon, ile czasu masz zamiar spędzić u Jonathana, kiedy już skończysz?
- Bo ja wiem? pół godziny i wracamy do siebie.
- Jak będziesz dalej kopcił i udawał dorosłego, spędzisz u jego boku kilka tygodni, bo wylądujesz z nim w jednej sali. Choć, bo zanoszą się na burzę.
- A gdzie Kamil? – zapytał Mikołaj, podnosząc się z ławki. Jęknął głośno, łapiąc się za biodra. – W sklepie?
- Tak, mamy na niego poczekać, na gorze.

- Jak zareaguje?
- A skąd mam wiedzieć? – oburzył się lekko Radek, także wstając na równe nogi. Podparł się lewą ręką, prawą zaś miał luźno zwieszoną u boku. – Te zakwasy...

Po minucie, Radek z Leonem i Mikołajem u boku ruszyli w stronę głównego placu Prypeci, na front od szpitala.

O tej porze Prypec była bardzo tłoczna – ulice wręcz pęczniały od przechodniów; dzieci, kobiet, dorosłych i młodych mężczyzn, czasem osobno, czasem razem, całą rodziną. Od większości mieszkańców bił entuzjazm, niemal wszyscy wyglądali na pogodnych, szczęśliwych i zadowolonych. Szczególnie było widać to po plotkującej parze młodych dziewczyn z wózkami, które właśnie obgadywały miejscowego przystojniaka, czy też domową kuchnię nie lubianej sąsiadki.

Część dzieci szła u boku matki czy ojca, a to trzymając rodzica za spodnie, spódnice, czy też zwyczajnie za rękę. Wiele roześmianych dzieci przemierzało plac na placach równie uśmiechniętych rodziców, którym sprawiało to nie mniejszą frajdę.

Cynik nazwałby ten widok „sielankową sieką, z której można zrobić by zdjęcie na pocztówkę”, jednak ktoś, komu pozytywne emocje takie jak te nie są obce, byłby zwyczajnie zadowolony, i obserwowalby mieszkańców małego ukraińskiego miasta z czystym zadowoleniem.

Trójka przyjaciół minęła rząd ławek, na których siedziało kilka starszych osób, czytających gazety i książki. Wielu z nich broniło się przed południowym słońcem, wkładając czarne okulary przeciwsłoneczne.

Radek zaproponował, by w oczekiwaniu na Kamila przysiąść na schodach prowadzących do głównego wejścia do kliniki.

- Myślicie, że jak zareaguje? – spytał Radek po usadowieniu się na skraju betonowego stopnia. Odpowiedział mu Mikołaj:
- Pewnie się załamie. Wiesz, że oni są sobie najbliżsi.
- Ciekawe, dlaczego...
- Kiedyś... – zaczął głos, który rozległ się za trójką siedzących na schodach nastolatków. Wszyscy trzej aż podskoczyli i odwrócili się wystraszeni.

– ... może się dowiecie. – skończył Kamil z uśmiechem. –
Chodźmy, bo im dłużej tu stoję, tym bardziej się denerwuję.

30

Idąc do sali, w której przebywał Jonathan, Kamil napotkał jego ojca – Jana, niegdyś Ulissesa Mastertona. Wyszedł zza rogu korytarza prowadzącego na oddział pediatryczny, zmierzał w kierunku schodów, wyraźnie mu się spieszyło.

Chociaż znałem Jonathana niemal tak dobrze jak jego ojca, dopiero teraz, chyba ze względu na okoliczności, spostrzegłem pomiędzy nimi wielkie podobieństwo w wyglądzie.

Jan miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i dobrą budowę ciała – zaliczał się do osób pomiędzy „ludzi z sporą muskulaturą” a tych, których określano mianem „dość bliskich do grubasa”. Jego budowa twarzy – wielkość nosa, ostre rysy, lekko rozdzielony podbródek i smukłe, zapadłe kości policzkowe dopiero dziś wyglądały dla mnie identycznie z twarzą Jonathana, która różniła się

jedynie szerszym czołem, wielkością oraz umiejscowieniem oczu oraz szerokością ust, które u młodego Mastertona były znacznie węższe.

Siwiejący lekko zarost trzydziesto siedmio letniego Ulissesa lepił się od potu, podobnie jak włosy. Oczy wysokiego mężczyzny były przekrwione i potwornie zmęczone, kąciki zaś pełne powstałych w wyniku zmartwienia zmarszczek. Ne lewym, szorstkim policzku błyszczało kilka zaschniętych łez. W nieładzie było także ubranie Jana – spodnie oraz koszula były pogniecione i pomięte, jakby noszono je bez przerwy przez ostatni tydzień. Z pach ojca Jonathana donosił się silny smród potu, zaś z ust przykra woń alkoholu. Niezależnie, ile wypił ostatniej nocy, teraz był trzeźwy, choć w stanie zakrawającym o „opłakany”.

Nie zwrócił żadnej uwagi ani na mnie, ani na Leona, Radka czy Mikołaja. Mijając nas i mając tego doskonałą świadomość, mruknął tylko trzy słowa zmęczonym głosem:

– Reszta już czeka.

Po tych słowach zaczął szybko schodzić po schodach. Wyglądało

na to, że miał ochotę wyskoczyć ze szpitala przez okno.

Chciał stąd jak najszybciej wyjść i, jak podejrzewałem, uspokoić się poprzez kolejne kilka spojrzeń w dno kielicha.

– Jak on wygląda? Jak się czuje? – zawołałem w momencie, w którym Jan pokonał pierwszą część schodów i skręcał, by w końcu zejść na parter.

Słyszając moje zapytanie, stanął w miejscu, po czym nie odwracając spojrzenia (zapewne wlepił je w drzwi wyjściowe ze szpitala) odpowiedział krótko i boleśnie:

– Gorzej ode mnie. – nigdy w życiu nie powiedziano mi czegoś tak dobitnie, szczerze i krzywdząco.

Ojciec młodego Mastertona najwyraźniej i z tego zdał sobie sprawę, gdyż po ostatnich stopniach zszedł jeszcze szybciej, wręcz z nich zbiegł.

Do goniącego do widma okaleczonego oka Jonathana dołączyła świadomość złego potraktowania jego najlepszego przyjaciela.

Byłem pewien, że od zaglądania w kielich oczy będą go boleć do jutra.

Oby tylko jego wątroba to przetrwała – jeśli nie, Jonathan zostanie zupełnie sam.

Nawet ja nie wystarczałbym mu w takiej sytuacji.

– Zepsujmy sobie w końcu nastrój. Wolę świadomość tego, co mu się stało niż tą... niepewność. – powiedziałem. – Jestem niemal pewny, że to Adrian. Chyba go, ku*wa, zabiję! – krzyknąłem, po czym wbiegłem na górę.

Towarzysząca mi trójka podążyła za mną podobnym tempem.

Zaraz po opuszczeniu sali Jonathana, Kamil wraz ze znajomymi ruszył w stronę schodów prowadzących na parter szpitala. Był wściekły – po trochu na Adriana, po trochu na samego siebie.

Nigdy otwarcie nie okazywał złości – kiedy się denerwował, nie dał po sobie tego poznać zachowaniem; ruchem warg, oczyma czy nawet podniesionym tonem. Wyjątkiem była sytuacja sprzed kilkunastu minut. Kiedy był naprawdę zły, zdarzało mu się zgrzytać zębami, co robił w tej chwili; tak intensywnie, że rozbolała go szczeka.

Za to, gdyby zamienił uczucia na odznaki zewnętrzne, prawdopo-

dobnie zmiotł by wszystko gołymi rękoma w zasięgu kilometra. Teraz jeździł jedynie po sobie stałymi siekaczami i milczał niczym głaz – momentami bał się, że mimowolnie krzyknie, jeśli choć lekko otworzy usta.

Za to Leon, Mikołaj, a szczególnie Izaak byli pod tym względem niebywale wylewni. Od momentu przyznania przez Mastertona, iż oko rozciął mu Adrian, nieustannie klęli pod nosem i wymyślali różnorakie sposoby na zemstę – od doniesienia na policję na zabójstwie skończywszy. Oczywiście by do tego nie doszło – było to odruchowe zachowanie, poprzez które przyjaciele Jonathana rozładowywali nerwy. Świadomość rzekomej gotowości do podobnego czynu była jedynie objawem złości, która prawdopodobnie minie do dzisiejszego wieczora, kiedy wszyscy zaczną już myśleć „trzeźwo”.

Schodząc na dół, Leon przypadkiem potrafił młodą pielęgniarkę. Na początku zrobiła rozgniewaną minę, lecz już chwilę później uśmiechnęła się nieśmiało, słysząc przeprosiny. Zaraz po nich Leon zbiegł na dół, precyzyjnie się przez kolejki i grupy schorowanych

ludzi, po czym uderzając barkiem, brutalnie otworzył drzwi na zewnątrz. Szybko skręcił w lewo, po pokonaniu trzech metrów siadł na środku zielonej ławki.

Kasznął, po chwili zaś zaczął masować czoło, próbując się uspokoić.

Po kolejnym głośnym i świetlistym grzmocie Mikołaj wstał z kanapy i zasłonił ostatnie okno w salonie swojego mieszkania. Od co kilkusekundowego jasnego rozbłysku w całym pokoju rozbrały go już oczy. Zanim zasunął żaluzje, rozejrzał się po wyludnionym placu zabaw i okolicy jego osiedla – blaszana zjeżdżalnia i wszystkie podobne powierzchnie lśniły metaliczno-księżycowym blaskiem, dodatkowo wzmocnionym przez krople czystego deszczu. Wpatrując się w ciemną noc, Mikołaj stukał palcami o szybę okna, rozmyślając o różnych sprawach.

Jonathan i jego ojciec. Nie może tak po prostu się zapić – zdarzają się gorsze rzeczy od rozcięcia oka i gnębienia „przez starszych”, czego ofiarą padł młody Masterton. Po kilku miesiącach, maksymalnie dwóch latach, wszystko wróci do normy.

- Znowu myślisz o Jonathanie? – spytał Kamil, który leżał na kanapie obok z przykrytą przez poduszkę połową twarzy. Tak jak się spodziewał, cała złość zdążyła już wyparować.
- Szósty zmysł? – pomyślał sobie Kamil w duchu. – Inaczej tego nazwać nie mogę.
- Pamiętaj, co ci powiedziałem. – kontynuował rzekomy posiadacz owego zmysłu. – Są gorsze tragedie, z których ludzie wychodzą cało. Raki, amputacje, śpiączki i choroby psychiczne – jego oko to w porównaniu z tym istny pikuś. Więc nie myśl o tym – stało się. Myśl, jak to naprawić, nie tylko jemu wyjdzie to na dobre.

Rok 2001

Lech rozejrzał się na boki, upewniając się, że nikt go nie obserwuje. Kiedy to zrobił, wyjął z kieszeni metalowy wytrych, który włożył do zamka drewnianych drzwi. Z pewnością, jedno z dziwniejszych zleceń, jakie dostał do tej pory. Dziwniejszych, nie trudnych, choć do łatwych też z pewnością nie należało.

Wykonując każde zlecone zadanie, Lech lubił w czasie tym przypominać sobie słowa jego zleceniodawcy. Pomagało mu to utrwalić ważne szczegóły (czasem, jeśli było to konieczne, wykonywał notatki), niezbędne do wypełnienia kontraktu. Poza tym, po prostu ułatwiało mu to skupienie się, całkowitą koncentrację, uporządkowanie myśli i tym samym usunięcie tych zbędnych.

Osoba, której Lech miał się pozbyć, była znanym „wojownikiem” na Barowej arenie, i właśnie z tego powodu stała się obiektem zlecenia dla Najemników. Kelvin, bo tak nazywał się obecny czempion, słynął ze swojej brutalności. Ponoć zdarzały się sytuacje, w których kierownik areny wyłudzał od obstawiających walki dodatkowe pieniądze, obiecując, że starcia będą wyjątkowo krwawe – jako, że w Zonie nie brakowało tego typu popaprańców, organizator walk często podpowiadał Kelvinowi, w jaki sposób toczyć ma się walka. Niektóre miały trwać jedynie kilka sekund, inne zaś miały toczyć się kilkadziesiąt minut, co na tak małym polu walki jest nie lada wyzwaniem.

– Wiesz, Lechu... Z czasem walki na arenie zaczynały

przypominać rynek porno – tyle, że tutaj ludzie wyżywali się patrząc się na mordujących się nawzajem bliźnich. Rzecz jasna, ci bogatsi, mający więcej do zaoferowania mieli bardzo „wygórowane” wymagania. Zabójstwo nożem, daną bronią czy nawet wybranym rodzajem amunicji to jeszcze nic. Jedni chcieli, by pokonany należał do którejś z frakcji, miał na sobie wybrany przez klienta kombinezon, z czasem zaś arena zaczęła być alternatywą dla takich jak my, czyli najemników.

Pomyśl tylko – gość płaci kupę szmalu i chce w zamian, by porwano konkretną osobę, naszprycowano ją narkotykami i puszczono na arenę na pewną śmierć. Nasz klient zaś... cóż, jego brata spotkał właśnie taki los. Pewien stalker, którym też wkrótce się zajmiemy, zapłacił szefowi całej tej rzeźni, by zorganizował porwanie, a uprowadzoną osobę, czyli brata naszego klienta, posłać na arenę do walki z Kelvinem.

Cyprian zajął się tym, który zlecił porwanie i ludźmi, którzy w nim uczestniczyli. Niestety kierownik areny jest póki co nietykalny... Ty zaś zajmiesz się Kelvinem, a klient życzy

sobie, by zginął w wyjątkowo haniebnym sposobie.

Wchodząc do magazynu areny, Lech ponownie rozwał wszystkie możliwości co do słuszności zlecenia. Kelvin zasłużył na śmierć – przez takich jak on, czyli ludzi gotowych zrobić wszystko za pieniądze, Zona stawała się coraz gorszym miejscem.

Sam Najemnik nie robił dla pieniędzy niczego bez powodu. Stalker, który zginął na arenie, pewnie nie zdając sobie nawet z tego sprawy, nie zrobił nic złego – jego jedyną winą były niekorzystne okoliczności – stał się jedną z losowych ofiar pogoni za pieniędzmi. Lech zamknął za sobą drzwi, po czym wolnym krokiem skierował się w głąb wolnego, pokrytego starą, zieloną farbą, pomieszczenia.

– Gotowy? – spytał Josh, odwracając się przez plecy. Otworzył skrzynkę z bronią i wyjął jej zawartość na stół obok.

– Jak zwykle. – odparł Kelvin pewnym siebie tonem.

Z niecierpliwością obserwował, jak kolejne sztuki jego broni łądowały na obrusie. Najpierw pojawiła się na nim Beretta, później sześć dodatkowych, załadowanych magazynków do niej. Następnie

Josh wyłowił z głębokiej skrzynki Ingrama MAC10, obok którego następnie ułożył trzy pary złączonych ze sobą taśmą, wydłużonych magazynków.

Na koniec Kelvin dostał trzy granaty odłamkowe i jeden ogłuszający.

Podszedł do stolika z zadowoloną miną i dozbroił się – 92-kę schował do udowej kabury, magazynki do niej w kieszeniach obok, zaraz przy kaburze. Ingrama zaś zawiesił na prawym ramieniu przy pomocy zamszowego, czarnego paska – dodatkowe magazynki Kelvin wsadził do ładownic zawieszonych na klatce piersiowej. Granaty umocował przy pasie, u którego zwisał też duży, wojskowy nóż.

- Powodzenia. – powiedział Josh. – I pamiętaj, ta walka ma trwać co najwyżej dwie, trzy minuty. To pierwsze tego ranka, więc na dobrą rozgrzewkę w sam raz. Wywal co najwyżej jeden magazynek, bo widzowie dostaną euforii na sam początek, a nie o to chodzi, prawda?
- Się wie. – zapewnił Kelvin, po czym wyszedł z pokoju Josha.

Zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po okolicy Rostoka. Na prawo od niego znajdowało się wejście do osławionego baru, nazywanego „Sto Radów”, dalej, jeśli pójdzie się na wprost, znajdzie się niewielką placówkę Powinności, frakcji niesłusznie oskarżanej o współpracę z rządem Ukrainy.

Cały ten teren był bezpiecznym miejscem na postój dla wszystkich stalkerów, swoistym przedsionkiem terenu zwanego Dzięzą – obszaru przemysłowego, który przed wybuchem w 86 roku pełnił ważną rolę w całym Czarnobyli. Roilo się na nim od przemysłowych budynków, dźwigów i magazynów, a także stacji kolejowych i rzecz jasna torów – kiedy działały, pociągi codziennie rozwoziły węgiel i inne potrzebne surowce na okoliczne tereny.

Sama Dzięcz była dość niebezpiecznym miejscem – zamieszkiwało w nich wiele gatunków mutantów, z których, na nieszczęście stalkerów, większość stanowiły osławione Pijawki. Było to chyba najbardziej znienawidzone przez wszystkich mieszkańców Zony stworzenie, które skutecznie odstraszało odważnych i głupich samotników.

Od czasu do czasu dwie największe w Strefie frakcje – Wolność i Powinność, wysyłały patrole i grupy swoich członków na jednodzińne wypadły. Zwykle trwały one od rana do wieczora, zależnie od pory roku, jednak najważniejsze było wydostanie się z Dzikły przed zapadnięciem zmroku.

Spierano się, czy lepiej jest zginąć od śmiertelnej rany zadanej przez mutantą, czy też spędzić w Dzikły całą noc.

Tak czy siak – w Rostoku każdy mógł czuć się bezpiecznie, przestać przejmować się otaczającymi go terenami. Tutaj nikt cię nie zastrzeli (chyba, że na arenie, do której zresztą nikt cię nie zmusi), nie grozi ci też tu żaden mutant. Tu byłeś pewien, że nic ci się nie stanie.

Raj dla tych, którzy lubili trzymać się na uboczu; mekka stalkerów, którzy po dniu niebezpiecznych łowów na artefakty marzyli o odpoczynku i rozmowie przy posiłku.

Kelvin przestał rozmyślać o Rostoku i wolnym krokiem skrzył w lewo, do wejścia na teren starć.

Euforia?

Duma?

Ciekawość, niepewność, zadowolenie, oczekiwanie, ekscytacja?

Które z tych uczuć tak naprawdę dominowały nad innymi, kiedy wchodziło się pokrytą piaskiem, pełną poustawianych beczek, kartonów i innego rodzaju barykad halę areny?

Według Kelvina, był to strach.

Ten zawsze i bez wyjątku, przez pierwsze dziesięć sekund, panywał nad Kelvinem. Przez te dziesięć sekund musiał się wewnętrznie uspokoić i przygotować – odgonić myśli o ewentualnej porażce, wypełnić głowę wizjami zwycięstwa, chwały i wiwatującymi widzami, których ryk wzrasta z każdym strzałem, który padł podczas walki.

Kelvin chwiejnie przekroczył blaszaną bramkę i z zamkniętymi oczyma, wsłuchiwał się w wiwaty, niczym dyrygent w kierowaną przez siebie orkiestrę. Czuł się jak ryba w wodzie, choć będzie to krótka walka. Kiedy tłumy przycichły dość, by dało się usłyszeć upiorny świst wiatru wdzierający się w blaszany, rozklekotany dach areny, Kelvin wykonał pierwszy ruch.

Szybkim tempem pobiegł w prawo, z Ingramem w prawej ręce, zaś granatem ogłuszającym w drugiej. Minął dwie leżące na ziemi, czerwone beczki i przyparł do wysokich skrzynek, dwa metry dalej. Jego rywal w tym czasie pobiegł w lewo, lawirując pomiędzy blaszanymi osłonami, także na podobną odległość.

To będzie krótka walka.

Kelvin wyszedł zza skrzynki z pistoletem maszynowym uniesionym w górze, przebiegł bokiem sześć metrów w lewo, po czym kucnął przy zielonym kontenerze, wypełnionym po brzegi ciężkimi beczkami. Jego oponent wciąż czekał, przyczajony za kawałkiem blachy. Nie liczył, że go osłoni – chciał się jedynie schować, by w pewnej chwili pokonać kolejne pięć metrów.

Obecny czempion areny powstał na równe nogi i odbezpieczył trzymany w ręku granat. Kiedy zawleczone upadła na brązowym piachu, Kelvin wychylił zza kontenera prawą dłoń, po czym błyskawicznie schował.

Dwa pociski z MP5 załomotały w blaszany róg, po czym odbiły się rykoszetem w lewo, ładując całkiem już zniekształcone na be-

tonowej ścianie.

Tłum momentalnie ryknął, przepełniony euforią.

Kelvin, wciąż pozostając za pełnym żelastwa kontenerem, rzucił granat.

Ten po pokonaniu w powietrzu jednego metra odbił się od dachu blaszanego pojemnika, po czym wylądował za blachą, przy której czał się stalker.

Huk i błysk były tak mocne, że nawet połowa widowni odruchowo schowała twarze w ramiona. Kelvin wybiegł zza osłony i sprintem zaczął zbliżać się do zdezorientowanego, miotającego się na wszystkie boki mężczyzny. Stał metr przed nim.

Tłum zaczął skandować hasła typu „Zabij go!”, „Dobij!” „Wykończ go!”, krzycząc coraz głośniejsze.

Kelvin nie miał powodu, by przedłużać pojedynek. Uniósł Ingrama przed siebie, wycelował w głowę przeciwnika i nacisnął spust. Wydawało się, że wrzask tłumu był ponad dwukrotnie głośniejszy od wystrzału. Oba te dźwięki poniosły się szerokim echem po sali. Chwilę później rozległy się jęki niezadowolenia.

Choć Kelvin wystrzelił, jego wróg nie odniósł żadnej rany.

- Co do? – szepnął czempion, po czym przyłożył pistolet do ramienia i począł opróżniać cały magazynek.

Mechaniczny, ogłuszający terkot zdawał się nie mieć końca. Kiedy w końcu setki ech opadło, tłum zawył jeszcze głośniejsze, niż dotychczas.

Zanim efekt grantu błyskowego ustał i Kelvin niechlubnie stracił swój cenny tytuł, usłyszał spośród wszystkich krzyków chyba najbardziej szokujące wyznanie w życiu.

- Masz ślepaki, idioto! – krzyczał jeden ze stalkerów, bijąc rękoma o ścianę. Prawdopodobnie obstawił wszystkie swoje pieniądze. Przegrał.
 - Będziesz się tam gapić cały Boży dzień? – spytał Ted, wchodząc do swojego pokoju na piętrze.
- Gavin od godziny siedział w tym samym miejscu, wyglądając przez okno na okolice centrum Prypeci, zerkając też co jakiś czas na elektrownię atomową.
- Nie. – odpowiedział Gavin. – Za dwie godziny idziesz ze mną

do super samu.

- Po kiego? – oburzył się Ted, stanąwszy jak wryty w pół kroku. – Miałeś dziś...
- Odechciało mi się, cokolwiek miałem dzisiaj robić. – po tych słowach dowódca S. podniósł się na równe nogi, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia z pomieszczenia.
- Oglądać telewizję, to miałeś zamiar robić dziś cały dzień. – po tych słowach ręka Teda oparła się o framugę, zagrządzając drogę.

Gavin zatrzymał się nagle i niespodziewanie, robiąc zażenowaną minę.

- Czego? – spytał zrzędlwym i zrezygnowanym głosem.
- Sam. Czego tam szukasz?
- Nigdy nas tam nie było...
- I co z tego?
- Czas chyba w końcu zbadać Zonę do końca, nie? – Gavin uśmiechnął się, zadając to retoryczne pytanie.

Zignorował wystawioną rękę swego kompana, pod którą przeszedł, nisko się pochylając. Schodząc po schodach na niższe piętro, gdzie miał zamiar się przygotować, usłyszał krzyk Teda.

– Co, może następny będzie szpital?

Gavin po pokonaniu pięciu stopni upił kolejny łyk napoju.

– Czemu nie? – mruknął pod nosem, znowu chwyciwszy się barierki.

Omawiany supersam miał zostać największym tego typu sklepem w całej Prypeci – miał oferować wiele produktów z wielu branż, między innymi żywność. Znajdował się kilkanaście metrów od 16-to piętrowego wieżowca, kwatery S, z którego dachu zresztą było idealnie widać sklep poniżej.

S. zajęła się, w co trudno uwierzyć, eksploracją Prypeci od całkiem niedawna, ledwie trzech miesięcy. Wcześniej próbowała zachować swoje istnienie w tajemnicy, przygotowywała też swoją obecną kwaterę, jak i zdobywała kontakty w całym Czarnobyli, od Wysypiska na Rostoku kończąc. Był to okres, podczas większości członków tej frakcji zginęła nie w „trudnych warunkach”

czy walce, lecz z powodu własnej głupoty i braku wiedzy na temat Strefy – dwie osoby zwyczajnie weszły w anomalie, myśląc, że „Spalacz” to gorące powietrze powodowane temperaturą.

Jakiś czas temu S zaczęło stosować najbardziej podstawową zasadę panującą w Zonie – „Nie łaż gdzie popadnie.” Te cztery słowa niejednemu ocaliły życie; one i rzecz jasna, kilogram śrub lub innego zbędnego żelastwa.

Grupie Gavina do całkowitego poznania Prypeci zostało niewiele – jedynymi ulicami, których S nie знаła na wylot, były ulice Ukrainki i Gorbaczowa, licząc tamtejsze budynki mieszkalne. Z tych ważniejszych „obiektów” pozostał właśnie supersam, teatr, kino, kawiarnia „Prypec” i niesławny szpital. O tym ostatnim należało całkowicie zapomnieć, zaś z reszty wymienionych budowli najniebezpieczniejszą był teatr, w którym roiło się od mutantów. Ostatnio nawet widziano tam Kontrolera.

Z obserwacji dokonywanych z wieżowca wynikało, że supersam jest całkowicie opustoszały – od czasu do czasu jedynie „przeWINął” się przez niego pies, ew. zombie. Było to dość napromienio-

wane miejsce, zwłaszcza okolice metalowych wózków sklepowych, które wchłoneły promieniowanie niczym gąbka. Mimo to nie przekraczał od poziomu, który powstrzymałby członków S do dostania się do środka dyskontu – dobór odpowiednich artefaktów i przede wszystkim ostrożność ochronią ich przed śmiertelnymi skutkami promieniowania.

Całej frakcji niezaprzeczalnie przydała by się książka Autorów. Między innymi Ted był niemal stuprocentowo pewny, że pierwsi eksploratorzy Strefy dokonali wielu ciekawych notatek na temat nie otwartego dyskontu.

Kilkadziesiąt minut później Gavin wrócił do swojej kwatery. Miała ona pięć metrów kwadratowych, odnowione ściany, sufit i podłogę. Nie było tu mowy o żadnym luksusie, jednak dowódcy grupy wystarczyło odróżnienie jego pomieszczenia od reszty bliźniaczych wnętrz bloków w Prypeci – brudnych, zaniedbanych, pełnych pyłu i gruzu, nie wspominając o paskudnie złączącej farbie, grzybach ściennych i tych podobnych oznak „starości” ścian. Gavin przysiadł na obrotowym, biurowym krześle, odsuniętym na

metr od biurka z komputerem, po czym chwycił w prawą dłoń słuchawkę interkomu. Zmienił częstotliwość na „ogólną”, odchrząknął i wcisnął duży, czarny przycisk.

– Ted, Hubert i Paweł – za dziesięć minut zbierzcie się na drugim piętrze, gotowi do wyjścia. Mało amunicji, niech każdy ma przy sobie co najmniej 3 kilo żelastwa i po jednym „Kryształach”. Wrócimy do pierwszej na obiad, zbadamy tylko supersam. – zakomunikował, po czym wsłuchując się w echo swych słów, które obiegały cały budynek, dodał: – Marek, przynieś jego plany. Marcin, Kamil, idziecie na dach.

Po odłożeniu słuchawki na biurku, Gavin powstał z krzesła i ruszył do zbrojowni.

Marcin po pokonaniu kolejnych dwóch, kamiennych stopni, uderzył końcem, a dokładniej mówiąc, hamulcem wylotowym swego Barreta w stare, drewniane drzwi. Ustąpiły od razu, uchylając się z cichym skrzypnięciem, które zostało jednak w dużej mierze zagłuszone przez głośny wiatr. Tu, na dachu, poważnie dawał się we znaki, był głośny i nieprzyjemny.

- Nie rób tak... – rzekł Kamil, podążając ze swym towarzyszem po schodkach. Kiedy postawił stopę na czarnej, śmierdzącej wciąż smołą, powierzchni, dodał: – Nie po to wydaliśmy na to tyle kasy, byś sobie tym wywężał drzwi.
- Eee tam... – Marin zlekceważył usłyszaną uwagę, po czym wolnym krokiem obszedł dach.

Przy bezchmurnym, czystym niebie, widoczność stąd była wręcz doskonała.

Sam dach w dużej mierze pokryty był gruzem i odpadłym tynkiem, głównie pochodzącym od wciąż niszczonej betonowej klatki schodowej, przy której wybudowano dumny znak sierpa i młota oprawionego w kłos zboża, pośrodku którego wisiała radziecka, pięcioramienna gwiazda.

Niegdyś widoczny z daleka i wyróżniający się znak, dziś niemal całkiem zardzewiał, tym samym zlewając się z resztą podobnych, wyblakłych i niezauważalnych obiektów. Jego wygląd był niemal przynębiający. Typowe widmo przeszłości.

Po za tym szczyt siedziby S „zdobiło” kilka, blisko rozstawionych

siebie, niskich kominów o kształcie prostokąta i niewiele wyższy słupek, z którego sterczało kilka metalowych linek.

- Gdzie to? – zaczął Marcin, obracając się dookoła.
- Tam. – odpowiedział Kamil, wystawiając przed siebie rękę.
- Ok?

Dziesięć minut później Gavin, Hubert, Paweł i Ted byli gotowi do wyjścia. Zebrali się na schodach, pomiędzy pierwszym a trzecim piętrem. Odprawę mieli już za sobą, teraz czekali tylko, aż dwójka na dachu się przygotuje.

- Ile jeszcze? – spytał Ted, mówiąc do mikrofonu. Chwilę później na zniszczonej klatce schodowej rozbrzmiała odpowiedź, zniekształcona elektronicznym szumem.
- Pięć minut.

Hubert sięgnął do kieszeni SEVY i wyciągnął z niej paczkę Marlboro. Podobnie jak reszta, schował czarną, błyszczącą zasłonkę na twarz.

- Komu? – spytał z uśmiechem.

Trzymając otwartą paczkę, z której ubyły trzy papierosy, wolną ręką dobył i zapalił srebrną zapalniczkę. Ted, Gavin i Paweł po kolei schylali się z fajką w ustach, by zapalić ją od Zippo Huberta. Kiedy każdy z nich w końcu pierwszy raz się zaciągnął, zapalniczka zatrzaskała się z suchym dźwiękiem a jej posiadacz wszedł po schodach na wyższe piętro. Wierzył w bierne palenie.

Dwójka stalkerów położyła się na czarnym dachu wieżowca. Kamil, z lornetką zawieszoną u szyi, rozglądał się po okolicy. Podziwiał, jeśli można było to tak ująć, bliźniaczo podobne, opustoszałe budynki mieszkalne i częściowo zasłaniające je drzewa. Jednak większość swojej uwagi skupiał na elektrowni. Był blisko niej, właściwie, gdyby miał przy sobie naprawdę dobry sprzęt, mógłby stąd zauważyć nawet muchę, która osiadła by na powierzchni sarkofagu.

Kamil odczuwał jej siłę, tajemniczość, odnosił wręcz mistyczne, nierealne wrażenie, wpatrując się w obity tonami blachy komin. Sarkofag przytłaczał go swym ogromem.

– Pięć minut, Marcin.

Operator karabinu skinął głową i począł ustawiać M82. Najpierw zdjął go z pleców i położył obok, na zaschniętej papie. Przesunął ciężki, wciąż złożony pod lufą dwójnog w przód, odchylając go na 90 stopni w dół, po czym rozłączył go na dwie części. Po odpowiednim „rozszerzeniu” dwóch oparc, Marcin postawił je na dachu, kierując lufę w kierunku domu kultury, przed którym zaś stał dyskont spożywczy.

Barret miał już magazynek na swoim miejscu, Marcin dostosował też wcześniej lunetę do odpowiedniej odległości. Kiedy sięgał palcem do bezpiecznika, zauważył coś kątem oka. Puścił broń, opierając kolbę o podłoże, po czym przewrócił się na plecy, po czym zaczął wpatrywać się w bezchmurne, bezkresne niebo.

Samolot.

– Patrz... – wyszeptał cicho.

Kamil również obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Szybko spostrzegł źródło „zachwytu” Marcina.

Nad nimi, z północy na południe, wysoko nad ziemią, szybował potężny odrzutowiec pasażerski. Leciał na dużym pułapie, toteż

nie było słyszeć jego potężnych silników. Pozostawiał za sobą białą smugę, mocno kontrastującą z błękitnym niebem.

– Szczęściarze... – mruknął Kamil wzruszonym tonem.

Każdorazowe spojrzenie na przelatujący samolot czy jakąkolwiek rzecz czysto związaną ze światem zewnętrznym, powodowała w większości stalkerów potężną nostalgię, tęsknotę ale i żal do siebie za to, że przekroczyło się Granicę do Strefy. Czasem był to żal do innej osoby, było tak w przypadku Marcina, Gavina i większości osób z S, na których wojsko poza Zoną wydało wyrok śmierci. Mieli wielkie szczęście, że rząd Ukrainy całą swoją uwagę skupia na zwykłych, prostych stalkerach. W Prypec wojskowi zapuszczali się okresowo – co trzy tygodnie ulicami Miasta Duchów przez trzy dni maszerowała spora grupa, nie raz wspierana przez śmigłowce. Jeśli któryś ze stalkerów obraził wojsko czy zaszkodził mu w jakikolwiek inny sposób, w Zonie pojawiał się Specnaz – prawdziwa zmora dla wszystkich mieszkańców Zony.

– Nie mogę dłużej... – wysapał Kamil, po czym znowu przekreślił się na bok, lądując czołem na cuchnącym dachu.

Nie mógł już dłużej wpatrywać się w samolot – zbyt go to dołowało.

– Siadaj i powiedz im, że jesteśmy gotowi. – dodał, próbując powstrzymać się od płaczu. Udało mu się, wynikiem czego było jedynie zaczerwienienie oczu i chwilowa utrata tchu.

Po rozwiązaniu problemu, jakim są tutejsi wojskowi, Kamil będzie mógł w końcu urealnić swoje wizje na temat ucieczki ze Strefy. Myśl ta motywowała go od dwóch lat do tak zwanego „stalkerstwa”.

Lenny leżał na sofie, z zagipsowaną nogą opartą o taboret. Czytał książkę, wsłuchując się w muzykę z gramofonu. Winyłowa płyta Armstronga pochodziła z domu pewnego mieszkańca w Prypeci – odnalazł ją znajomy Lenny’ego, Norbert, członek pierwszego oddziału wojska, który wkroczył do opustoszałego miasta. Po przeczytaniu 233-ej strony powieści płyta skończyła się – ostatnie dwie sekundy „What A Wonderful World” zostały zakłócone przez mechaniczne zgrzyty, spowodowane rysą na powierzchni krążka.

Stalker włożył skórzaną zakładkę w książkę, po czym zamknął ją i odłożył na podłodze. Chwycił leżące obok kule i, wkładając w to sporo wysiłku, podniósł się z sofy. Idąc o kulach, podszedł do gramofonu, potem, utrzymując równowagę na zdrowej nodze, odsunął igłę, która wciąż przytrzymywała obracającą się płytę. Następnie zaś chwycił ją ostrożnie, po czym schował do tekturowego opakowania. Kiedy włożył je w rząd bliźniaczo podobnych pudełek, w pokoju zaczął dzwonić telefon. Lenny sięgnął słuchawkę lewą ręką i przyłożył ją sobie do ucha, z powrotem opierając się o kulach.

- Tak? – zapytał, manewrując dłońmi tak, by nie wypuścić z nich metalowych podpór.
- Twój koleżka straszy mi klientów! – krzyknął Mirek, tutejszy barman. Jego słowom towarzyszył typowy, „spelunowy” gwar – stuki szklanych butelek, głośne rozmowy i krzyki. Dziś towarzyszyło im pijackie zawrodo.
- Kto? – zapytał Lenny, po czym zaczął szykować się do wyjścia. Lewą, wolną ręką, otworzył szufladę i niedbale

wyciągnął z niej płaszcz.

- Ten Michał! – wrzasnął Mirek jeszcze głośniejszym głosem niż poprzednio.
- Upił się i wymachuje wszystkim nożem przed oczyma. Jak nie przyjdiesz tu w ciągu pięciu minut, to sam go ukatrupię i wrzucę do anomalii! Rusz dupę!

- Kretyn... – mruknął Lenny, odkładając słuchawkę.

Schylił się niżej po płaszcz, narzucił go na siebie, po czym skierował się do drzwi wyjściowych. Zdjął klapki i zastąpił je luźnymi butami na rzepy. Docisnął obie, przejeżdżając nimi po framudze drzwi, po czym otworzył je, nacisnąwszy klamkę łokciem.

Po placu spacerowało kilkunastu stalkerów, co najmniej dwóch obserwowała okolicę z okien swych kwater, przed barem zaś, jak zwykle, stała grupka rozmawiających ze sobą agentów. Popołudnie tego dnia było słoneczne, bezchmurne i przyjemne. Lenny poczuł się nieco dziwnie, widząc nieruchome korony drzew okalające obóz – przyzwyczał się do ich szumu, dzisiejszy dzień był zaś całkowicie bezwietrzny.

Ignorując ból w nodze, popędził w kierunku baru tak szybko, jak

pozwaliał mu na to obecny stan piszczela. Z racji tego, że ziemia była zziębnięta, twarda i sucha, szło mu się łatwo i komfortowo, w przeciwieństwie do chodu po błocistej, śliskiej breji, która tworzyła się po każdym dłuższym deszczu.

Po dotarciu do progu pubu, Lenny usłyszał już wrzaski Michała, donoszące się w wnętrza pomieszczenia. Minął ustawionych w rzędzie stalkerów, przecisnął się przez utworzony przez nich krąg, po czym zobaczył zataczającego się w środku koła stalkera z nożem w ręku.

Michał miał na sobie zielony, wzmacniany kombinezon bez kaptura, z maską przeciwgazową, która obecnie zwisała luźno u szyi. Wisząca na prawym ramieniu kabura była pusta, podobnie, jak przyszyty do lewego barku uchwyt na nóż – skórzane zapięcie kołysało się we wszystkie strony, w rytm kroków łowcy.

Miał mgliste, zapite i niewyraźne oczy, które obłąkańczo łypały na prawo i lewo, szukając potencjalnej ofiary. Co do stanu upojenia alkoholem ich właściciela nie było wątpliwości – każdy jego krok był chwiejny, niepewny i niewiele brakowało mu do upadku.

Michał z trudem utrzymywał równowagę, zaś każde jej zachwianie okazywał pijackim jękiem, połączonym z byle jakim, wręcz niedbałym machnięciem klingą, która była wolniejsza od ręki zamachującego się zombie.

– Dwie minuty! – krzyknął ktoś do Lenny’ego.

Spojrzał w lewo i ujrzał Mirka, wesoło machającego ręką, w której trzymał pistolet, lewą ręką zaś pukając w zegarek. Ponaglił go, wybałuszając oczy.

– Michał! – zawołał Lenny w stronę pijanego stalkera.

– Dawid? – spytał, odwróciwszy się.

Na chwilę stał w miejscu, mimo to dalej się chwiało i zdawało się, że za chwilę upadnie. Powoli uniósł prawą rękę, po czym spróbował trafić nożem w pochwę. Ostrze ześlizgnęło się po ramieniu, tak więc jego posiadacz spróbował jeszcze raz. Wziąwszy większy zamach, trafił myśliwskim nożem do specjalnego uchwytu. Zdjął palce z rękojeści, po czym zaczął męczyć się z zapięciem. Po czterech próbach udało mi się docisnąć je na tyle, by zabezpieczyć narzędzie, które w końcu pewnie siedziało w uchwycie.

– Stój! – ostrzegł wartownik na wieży.

Do obozu zbliżało się dwoje nieuzbrojonych stalkerów. Janusz, obecny wartownik, nakazał asystentowi obserwację nieznajomych stalkerów przez PSG. Ten przyłożył oko do lunety, obserwował przez dwie sekundy, po czym z ulgą oznajmił:

– To Radek i Mikołaj.

Radek usiadł przy bramie obozu, oparł się o nią plecami, po czym luźno opuścił dłonie i zwiesił głowę. Był wykończony. Uniósł prawą rękę na wysokość dziesięciu centymetrów.

Natychmiast opadła z wysiłku, po czym załomotała w twardą ziemię.

– Jezu... wysapał, przecierając lewą ręką spocone, gorące czoło, używając ostatnich zapasów sił. Już dawno się tak nie zmęczył. – Już dawno się tak nie zmachałem... – wydusił z siebie wycieńczonym głosem.

– Ja też... – odparł Mikołaj podobnym tonem, siadając obok Radka.

W prymitywny sposób schłodził głowę, jeżdżąc potylicą po lodowatej, metalowej bramie. Wpatrując się znudzonymi oczyma w przesłonięty drzewami horyzont, wymacał kieszeń kombinezonu, w której trzymał butelkę wody.

Po niezdarnej próbie chwycenia jej za korek, wypadła z kieszeni. Woda wewnątrz plastikowej butelki załśniła w promieniach słońca. Odbijała się na przemian od krańców butli z charakterystycznym, stłumionym pluskiem.

– Podnieś... – szepnął Mikołaj, nerwowo mrużąc oczy.

– Nie dam rady... – odpowiedział Radek, przeciągając ostatnie słowo. – Zastukaj do bramy.

– Nie chce mi się. Jak twoje gardło?

– A co?

– Kto krzyknie, poda kod, żeby nas wnieśli?

Radek otworzył usta, z których wydobyło się przeraźliwe chrypienie. Zapewne był to efekt próby podniesienia głosu.

– Na mnie nie licz... – wykaszał Radek. Mikołaj zmierzył go spojrzeniem, od którego ciarki przeszły mu po plecach.

Westchnął ciężko, nabrał powietrza w usta, po czym krzyknął:

- Otwórzcie bramy! Siedem, siedem, dwa, jeden, pięć! Leniwa świnia... – dodał po chwili, zwracając się do Radka.
- Od zawsze...

Zza blachy rozległ się dźwięk rozsuwanych rygli – po trzech, metalicznych szczęknięciach, brama z piskiem poczęła obsuwać się w bok. Dwójka agentów pochyliła głowy w przód, by nie walić nimi w bramę. Kiedy w końcu się zatrzymała, Radek i Mikołaj, będąc wciąż odwróceny plecami do obozu, bezwładnie padli na ziemię. Obaj poczuli łoskot źdźbeł trawy na szyi i uszach. Radek, przewrażliwiony na tego typu dotyk, zachichotał cicho, po czym zakaszłał. Tak bardzo zmęczył się tylko dwa razy w życiu – w 79-tym roku, na jednej z lekcji W-Fu, do której przystąpił bez zjedzenia śniadania oraz w roku 2000, dokładniej dwudziestego czwartego maja, kiedy to uciekał przed goniącą go grupką złodziei.

Ktoś przeskoczył nad leżącym bez ruchu Radkiem. Ubrany w cienkie spodnie khaki i skórzaną kurtkę postać odwróciła się powoli,

swą grzywą przesłaniając promienie słońca.

- Jezu! – krzyknął Radek, przytomniejąc momentalnie.
- Nie bluźnij... – szepnął Mikołaj, który wciąż nie odrywał oczu od nieba.
- Jonathan?
- Gdzie?!

Mikołaj zerwał się na równe nogi, odzyskawszy nagle całą energię i siły vitalne. Ujrzał Jonathana podającego rękę Radkowi, który z jego pomocą wstał z ziemi, po czym wpadł mu w ramiona. Przedtem wziął niemal sporego rozbiegu, przez co dwójka zaczęła się chwiać we wszystkie strony, przystępując z nogi na nogę.

- Kiedy? – spytał Radek zachwyconym głosem, stłumionym przez lewe ramię, do którego się przycisnął.
- Godzinę temu. – odpowiedział Jonathan. W jego tonie dało się wyczuć coś niepokojącego.
- Co, nie cieszysz się?
- Jasne, że tak... – szepnął Jonathan w mało przekonujący sposób. Zanim Mikołaj zdążył do niego dobiec, zwolnił już

- uścisk, po czym szybkim krokiem skierował się do centrum obozu. Mikołaj stanął jak wryty, czując spore rozczarowanie.
- Wiem jak to wygląda. – rzekł Masterton. – Nie stój tak, włącz! – zachęcił Mikołaja, który wciąż stał w miejscu z zawiedzioną miną.
- Zabił Dawida! – krzyknął Michał niewyraźnie. – Ten... jak mu... – zatoczył się nagle, po odzyskaniu równowagi dodał. – I? – nie mogąc wymówić reszty imienia, tupnął wściekle nogą w podłogę.

Lenny zrobił krok w przód, stanowczo występując z tłumu. Zaraz po nim, z naprzeciwnika, z kręgu gapiów wyłonił się Igor. Ubrany w swój „krwawy” fartuch i pochłapane czerwoną posoką spodnie i buty. Na skórzanym, mocno zapiętym pasku nosił siedem długich, błyszczących brzytw o drewnianych rękojeściach. Odczepił jedną prawą ręką, po czym kciukiem wcisnął metalowy przycisk. Ostrze wystrzeliło przed siebie, ze świstem przecinając powietrze. Uniosło się ono wysoko, wraz z trzymającą je ręką na wysokość oczu zdezorientowanego, bełkoczącego Michała. Uniósł

prawą stopę, zamierzając się do kroku w bok. Igor napiął mięśnie, pochylił się nisko, po czym wykonał błyskawiczny krok naprzód. W tym samym czasie zamachnął się ostrzem, tak mocno, że siła zamachu zmusiła go do obrotu przez plecy.

Opuścił brzytwę, po czym przejechał jej krawędzią po fartuchu. Ku zaskoczeniu, a raczej zdumieniu obecnych w barze, pozostała ona za sobą krwawy ślad.

Michał poczuł na czole narastające pieczenie. Uniósł niepewnie prawą rękę, którą przejechał po miejscu swądu. Opuścił dłoń i skierował na nią swe oczy.

Ręka była cała czerwona od świeżej, jeszcze lśniącej krwi.

Obserwujący całe zajście Mark uśmiechnął się pod nosem, widząc padającego bezwładnie na podłogę Michała. Albo alkohol łowcy wydawało się, że dosłownie urwało mu głowę, albo Igor nasączył ostrze jakąś trucizną.

W ciągu niecałego tygodnia w Zonie Mark najwięcej nasłuchiwał się o Igorze, a raczej tym, czym się od lat zajmował.

Teraz miał zamiar opowiedzieć wszystko Gavinowi. Wychodząc z

baru, Mark był niemal pewien, że to osoba zajmująca się przesłuchaniami więźniów, Igor, jest mordercą owego nieznanego Dawida.

„Bądź ostrożny, bo skończysz jeszcze gorzej, niż Olaf.” – powiedział do siebie w duchu, mijając dwójkę jeszcze nieznanych mu stalkerów, wynoszących z pomieszczenia Michała. Z płytkiej rany na czole popłynęło już znacznie więcej krwi, której jedna spływająca struga dotarła aż do podbródka.

„Już my ci pokażemy, jak przeprowadza się przesłuchania...”
Ted, Gavin albo Hubert. Któryś z nich należycie zajmie się Igo-rem.

Henryk nacisnął świecący się zielonawym światłem przycisk elektrycznego czajnika. Zgasł.

Unoszącej się gorącej parze towarzyszyło głucho bulgotanie, dobywające się wnętrza grzejnika. Właściciel odczekał kilka sekund, by nie narazić chorobliwie delikatnej skóry na działanie oparów. W końcu chwycił czajnik za pokryty antypoślizgową gumą uchwyt, po czym wrócił do swojego biurka. Nachylił się i zalał

przezroczystą szklankę wrzątkiem – torebka miętowych liści herbaty popłynęła w górę, zabarwiając wodę zielonym kolorem. Po zamieszaniu naparu, czajnik wylądował w drewnianej szafce, obok biurowego krzesła. Grzałkę odłączono od prądu, zaś w jej miejsce, do kontaktu, Henryk wetknął kabel zasilający komputer.

Po usadowieniu się na krześle schylił się lekko, by ręką dosięgnąć dużego plastikowego przycisku. Po jego naciśnięciu komputer zaczął cicho buczeć, na obudowie zaś zaczęły lśnić odbłaski dwóch lampek – zielonej i czerwonej.

Monitor jak zwykle zareagował z opóźnieniem – wyświetlił obraz dopiero po pięciu sekundach.

Henryk znajdował się na 15-tym piętrze wieżowca-kwatery S. Poziom ten był najobficiej wyposażony w sprzęt elektroniczny – sterownie kamer, masę komputerów osobistych jak i tych dostępnych dla każdego, na przykład Pecetów, przez które przeglądać można było całą „jawną” bazę danych frakcji, której większość stanowiły mapy Zony i Jej okolic.

Henryk był marnym żołnierzem, poszukiwaczem artefaktów i,

krótko mówiąc, stalkerem. Wszystkie jego umiejętności, zarówno te przydatne dla reszty jak i te, które były pomocne tylko dla niego, można było określić jednym słowem – „wiedza”.

Był wykwalifikowanym fizykiem, chemikiem i biologiem, a przy okazji, badaczem Zony. Pod tym jedynym względem mógł nazywać się prawdziwym mieszkańcem Strefy – jego znajomość anomalii, artefaktów była wręcz niebywała. Rozpoznawał wszystkie po dotyku, dźwięku, jakim wydają przy zetknięciu z jakąkolwiek powierzchnią, a ich działanie, na przykład zasklepianie ran, miał zapisane w głowie w postaci skomplikowanego, matematycznego wzoru.

Po wyświetleniu pulpitu (jako tapetę Henryk ustawił widok Czarnobyli z perspektywy szczytu komina elektrowni). Włączył internetowy komunikator, przeglądarkę i już przymierzał się do uruchomienia programu dokonującego obliczeń, kiedy zadzwonił telefon.

Obrócił się na krześle w lewo, podjechał do stojącej przy drewnianych drzwiach szafki i podniósł czarną słuchawkę.

- Halo? – spytał, obserwując pojawiające się na ekranie komputera ikony.
 - Znalazłem go. – powiedział Mark.
- Henryk prawie spadł z krzesła. Zmarszczył czoło, skupił się, po czym rzekł:
- Gdzie?
 - Jest w obozie bezpieczki. W ogóle nie zmienił wyglądu, od reszty dowiedziałem się, że w ogóle nie wychodzi z podziemi. Wygląda identycznie, mówię ci, jakby nawet nie przejmował się tym, że ktoś go pozna. On nie opuszcza nawet obozu, mieszka w tych katakumbach i...
 - Już to mówiłeś.
 - Wybacz, ale...
 - Rozumiem, doskonale to rozumiem. Mów dalej.
 - Wciąż zajmuje się przesłuchaniami i jest jeszcze bardziej nienormalny. Mam kilka zdjęć, udało mi się nawet nagrać jedno przesłuchanie. To prawdziwy wariat, Henry. Jego śmierć ocali życie wielu stalkerom.

- Święte słowa. Najpierw on, potem?
- Najlepiej cały obóz. Jutro opowiem ci o...
- O? – ciągnął Henryk, oczekując odpowiedzi.
- Słyszałeś o Jonathanie Mastertonie?

31

Igor Tomasz Gustowski.

Pracujący w Zonie syn członka NKWD. Człowiek znający na pamięć setek wzorów, substancji i sposobów mieszania poszczególnych składników w celu uzyskania danej trucizny. Pracujący, mający do czynienia z największymi brudami, jakie kiedykolwiek zawstydzają gatunek ludzki. „Kopał” w brutalnych przesłuchaniach, wymuszeniach, porwaniach i morderstwach niczym kret, co doprowadziły go, niczym kreta, do konieczności wejścia pod ziemię.

Od trzech lat, od 1998 roku, Igor przebywa w Zonie, Strefie, w tamtejszej siedzibie ukraińskiego rządu, w podziemnym bunkrze.

Ukrywał się przed rodzinami, znajomymi i przyjaciółmi wszystkich, których skrzywdził przez te wszystkie lata.

Ukrywał się, przebywał w podziemiach tyle czasu niczym kret – każdorazowe wyjście na zewnątrz było jak wyjście z łona matki – promienie słońca były oślepiające, powietrze nienaturalnie świeże, zaś te kilkadziesiąt metrów placu były dla Gustowskiego niczym bezkresne morze.

W końcu wrażenie bezpieczeństwa i azylu, jakim był obóz bezpieczki, legło w gruzach. Igor niestety dożył dnia, w którym poczuje się autentycznie zagrożony – czuł, że nie pomoże mu nawet cała armia Iluzjonistów.

Zabił...

Michał...

Dawida!

- W końcu? – wyszeptał Igor, wpatrując się w lustro.

Obserwując swe czoło, próbował zachować spokój, bowiem niepewność, która go zżerała, podsuwała mu momentami nawet wizje. Wyobrażał sobie, jak na jego czole pojawia się

cięcie – o wiele większe i głębsze, niż te, którym oszpecił dziś twarz Michała. Z nim będzie inaczej.

- Kiedy mnie dorwą? Użyją na mnie wszystkich moich metod? Od jutra zacznę żyć jak oficer Gestapo. Z cyjankiem przyczepionym do zęba, by mógł go w każdej chwili rozgryźć i uwolnić się od przyszłych cierpień.
- Nie do wiary? W końcu dobrali mi się do dupy? Ale kto?

Henryk odłożył słuchawkę.

W końcu go znaleźli. I w końcu go dorwą.

Igor.

Stalkerzy, którzy przeżyli spotkanie z nim dosłownie popuszczają w spodnie ze strachu na samo usłyszenie, wspomnienie imienia, a co gorsza osoby, do której ono należy.

Psychopata.

Takich akurat w Zonie jest bardzo, bardzo wielu, ale tacy jak Igor są o wiele gorsi. Dlaczego?

Ludzie pokroju Igora otrzymywali za to pieniądze i działali w imię kraju, dla rządu, pozującego na wybawcę Zony. Niczym Rosja i

Afganistan, USA i Zatoka Perska. Samozwańczy zbawiciele, którym naprawdę zależy na czystym zysku, dominacji, władzy.

Tacy byli najgorsi, wzbudzali największą pogardę nie tylko w Henryku, który miałby wielką radochę z każdej sekundy cierpienia tego typu zwierząt. Tak, to nie byli ludzie, przynajmniej pod względem moralnym.

„Cel uświęca środki.” „Jeśli chodzi o bezpieczeństwo Zony, tortury są dopuszczalne?”

- Wyrwę mu żywcem serce? – wysapał Henryk, przypominając sobie losy jednej z ofiar Igora, szczególnie bliskiej jemu i całej S.

Michał.

Henryk podejrzewał, że ten wkrótce dołączy do jego organizacji. Niekoniecznie na stałe, najważniejszym i być może jedynym powodem będzie okazja do zemsty na Igorze, odpowiedzialnym za śmierć stalkera imieniem Dawid, który, jak doniósł Mark, był bliskim przyjacielem łowcy.

– Świetna robota, Mark...

Ktoś załomotał do ciężkich, blaszanych drzwi. Patryk, do tej pory obserwujący zza weneckiego lustra reakcja Maksa, wciąż bełkoczącego o Iluzjoniście, odwrócił się przez plecy.

– Idę! – krzyknął, ruszając przed siebie.

Po drodze, po wyjściu z specjalnego sektora obserwacji, zmienił laczki na luźne półbuty – zapiał odstającą rzepę lewego, po czym sięgnął ręką do wciąż uginających się od walenia w nie drzwi. Nacisnął potężną klamkę, po czym gwałtownie się cofnął pod naporem wrót.

Do punktu medycznego wbiegło dwóch mężczyzn niosących nieprzytomnego stalkera z długą, choć płytką raną ciętą na czole, z której krew płynęła po całej twarzy nieszczęśnika.

– A temu co? – spytał Doktor, kucnąwszy, by przyjrzeć się ranie. Nie mógł jednak skupić swego wzroku na jednym konkretnym miejscu, bowiem ciało kiwało się w rytm kołyszących się przez ich ciężar Świstaka i Andrzeja. – ku*wa, połóżcie go! – krzyknął na nich Patryk. Ci, robiąc wielkie

oczy, usłuchali – nieprzytomny Michał wyładował na pryczy, jeszcze niedawno zajętej przez Maksa.

– I po co całe to zamieszanie? – spytał Doktor, ocierając krew z czoła rannego mokrą ścierką.

– Masterton wyzdrowiał.

– No co ty! – zdziwił się lekarz, odwróciwszy się nagle. – Kiedy?

– Jakies pół godziny temu?

– A co?

– Co „co?”

– Wyzdrowiał. W jakim sensie wyzdrowiał?

– Po prostu. Harlan przy nim siedział, a ten nagle wrzasnął coś i wstał.

– Czyli on ciągle?

– Nie rozśmieszaj mnie! – zadrwił Świstak. – Po tym co przeszedł, już nigdy nie będzie normalny.

– Dobrze chociaż, że może chodzić? – pomyślał na głos Patryk, po czym znów zabrał się do ocierania i dezynfekowania rany łowcy. – Co z nim? – spytał, wyjmując z kieszeni buteleczkę

wody utlenionej.

- Z kim? – rzekł tym razem Andrzej, siadając na blaszanym stołku obok, pod szafką z medykamentami. – Stalkerem? Jak on?
- Michałem. – podpowiedział Świstak, zajmując krzesło obok kolegi.
- Ta? No więc? Nasza kochana paczka z Prypeci chce go przesłuchać.
- Z Igorem?
- Przeciwnie. Pogadają z nim, a potem go puszcza; potrzebny im jest chociaż do upolowania kolejnych stworów, do badań.
- Ma farta... – mruknął Doktor. – Podobnie jak cały ten gość od Iluzjonisty – przyślą tu pięć „wielkich umysłów” by go zbadać, a potem, uważaj, zabierają go poza Zonę! Zwykły stalker po trafieniu do obozu rządowego opuszcza Strefę? Wiesz, z czego czasem niezmiernie się cieszę?
- Z czego?
- Że nie działamy jak militarni...

32

Rok 1978

- Skoczę po coś do picia. – oznajmił Kamil, wstając z fotela. – Co wam?? – zaczął, oczekując szybkiej odpowiedzi.
 - Jakiejś herbaty? – rzucił Izaak, przewróciwszy się na brzuch, wtapiając tym samym swą pulchną twarz głęboko w poduszkę. Zawsze, podczas każdej wizyty u domu Kamila, zajmował on to samo miejsce – Dużą, miękką kanapę pod lewą ścianą salonu. Co pięć minut przewracał się na plecy i na odwrot, by, jak sam ujął, „żadna pozycja mu się nie znudziła”.
- Leon udowodnił wtedy, że w każdych okolicznościach zdolny jest rzucić świńskim kawałem.
- Mi wódki? – rzekł stanowczo, stopując na chwilę stukanie palcami o blat stołu. Słyszając reakcję Kamila – śmiech – dodał.
 - Nie, no, poważnie!
- Gospodarz zrobił wielkie oczy.
- Nienormalny jesteś? – spytał oskarżycielsko.

- Nie. To tylko mały łyk?
- Morda w kubek! – wrzasnął niespodziewanie Kamil, tak głośno, że Mikołaj prawie zleciał z taboretu, Izaak zaś momentalnie zerwał się z kanapy, po raz pierwszy dzisiaj, siadając na niej jak normalny człowiek.

Mina Leona mówiła, że nie rozumie on powodu wściekłości kolegi. Widząc to, ten zajął miejsce naprzeciwko, po drugiej stronie stołu.

Rozsiadł się wygodnie, odchrząknął, po czym zapytał:

- Znasz Radka? Nie tego, „od nas”, tego drugiego.
- Taa...
- A Tomka?
- Też.
- Kulera?
- Jezu, po kiego wymieniasz mi swoich byłych... – tu Leon zawiesił głos, by poszukać odpowiedniego słowa. Wypowiedział je z niekrytą dumą, drwiącym tonem. – Kolegów??
- Wiesz, czemu z nimi „zerwałem”?

- Bo robiłeś u nich za frajera?

Ta szczerza do bólu odpowiedź zauważalnie poruszyła Kamila. Mimowolnie zacisnął on usta, tłumiąc kolejny napad wściekłości. Zamknął powoli oczy i wewnętrznie się uspokoił, głośno biorąc oddech i jeszcze głośniejszymi wdechami wypuszczając całe zabrane powietrze nosem. Otworzył oczy, po czym odpowiedział, wbijając je bezlitośnie w Leona.

- Nie tylko. To banda zwykłych skurwysynów, pijaków i ćpunów, a ty, „kolego”? – Kamil idealnie sparodiował ton jednego z poprzednich słów Leona. – Ty, takim nędznym...
- O co ci?
- Żalosnym, smętnym, ku*wa mać, żebraniem o wódkę, się do nich przybliżasz, rozumiesz?! – wycedził Kamil, podnosząc ton głosu co każde słowo. – Dlatego się od nich „odłączyłem” – ciągle tylko biegałem im po wódkę, tanie wino i szlugi, bo sami wydalił pół pensji rodziców „na krechę” albo wyglądali na nieletnich. Więc, do ch*ja, proszę, przestań się zachowywać jak oni! Przyszedłeś tutaj, by się napić, czy żeby spędzić ze

- mną i resztą czas?! – wykrzyczał, wychylając się nad stołem. –
Pytam jeszcze raz – Co dla ciebie?
- Wody... – wyszeptał, przewracając pretensjonalnie oczyma.
 - Nie rób tak! – rozkazał Kamil, wstając z stolika, stawiając pierwszy krok w stronę kuchni.
 - Czego?!
 - Te oczy. Co, czujesz się zawiedziony, że wódki nie dostałeś?
 - Przestań.
 - Nie, nie „przestań”! Jeszcze jeden taki numer, a wylatujesz za drzwi, rozumiesz?!
- Mikołaj zabrał głos zaraz po opuszczeniu domu przez Izaaka i Leona.
- Nie za ostro? – zapytał, przekręcając klucze w zamku.
 - W życiu! – zawołał Kamil, skręcając w głąb kuchni. – Teraz będzie siedział cicho... – dodał już ciszej, widząc wchodzącego za nim do kuchni Mikołaja. Odsunął jeden z ustawionych pod stołkiem taboretów, po czym usadowił się na nim, plecami luźno opierając się o ścianę. Westchnął głośno.

- Co? – zapytał Kamil, słysząc to. Posłodził swoją herbatę, po czym odwrócił się i oparł o aneks kuchenny.
- Chcesz do niego iść? – spytał Mikołaj, majstrując przy radiu.
- Ba.
- A jak będzie pijany?
- Na pewno nie będę dzwonił na policję. W sumie, to sam nie wiem co zrobię. Nastraszę go, zgnoję? Szczerze mówiąc, nie wiem co pocznę, kiedy zobaczę go pijanego. Oby nie?
- Który to pokój? – dopytywał przez większość drogi Mikołaj, rozglądając się dookoła po centrum miasta. Po pokonaniu ledwie stu metrów zdążył spytać o to trzy razy.
- Siódmy i zamknij się w końcu? – mruknął Kamil z niechęcią.
- Szczęśliwie, co?
- Nie za bardzo?

Mieszkanie numer siedem.

To tam, z dotychczasowego miejsca pobytu Jonathana, szóstego pokoju bloku D, przeprowadził się Ulisses Masterton po rozwodzie. Od ponad roku mieszkał w hotelu Polisia, niedaleko centrum

Prypeci, utrzymując się za zaoszczędzone pieniądze, o których pochodzeniu opowiadał innym bardzo niechętnie – mówił „Ważne, że są, i nie sypiam pod mostem, nie?”. Syn jak ojciec – Ulisses mimo wielu, momentami bardzo zawziętych namów kolegów nie zdradził, jak zarobił sumę, z której opłacał siódmy apartament Polisii. Zawsze starał się pomijać tą kwestię. Z zamierzonym skutkiem.

Kamil z Mikołajem skręcili w lewo, mijając pusty kwadrat ziemi. Dalej, po lewej, przy wąskim chodniku przecinającym trawnik, zaczynały się schody do domu kultury „Elektryk”. Tego dnia biel farby, którym pokryto budynek, świeciła momentami mocniej od samego słońca, które zalewało je swoimi promieniami. Jego blask nikł jedynie w chwilach zasnucia słońca przez chmury, których było jeszcze niewiele, mimo iż pod wieczór zapowiadano sporą burzę.

Na razie jednak, o czternastej dwadzieścia, czyli daleko od zapowiadanych opadów, pogoda była słoneczna i ciepła, momentami upalna oraz całkowicie bezwietrzna.

Kamil, idąc przed siebie szybkim krokiem, zapatrzył się w duże, prostokątne okna „Elektryka”. Miał ochotę porzucić obecny cel – spotkanie z ojcem Jonathana – by udać się do środka budynku. Chciał usiąść w miejscowej bibliotece i przejrzeć losowo wybraną książkę, zerkając co chwila przez jedno z wielkich okien na południe Prypeci. Marzyło mu też się kolejne przedstawienie – nie obchodziłby go w tej chwili temat ani charakter sztuki – po prostu czuł potrzebę zanurzenia się w miękkim fotelu i poczucia atmosfery spektaklu, skupienia, spokoju. Wszystko, byle nie ten smutny obowiązek.

Szesnastolatek sprawdzający zachowanie ojca swego najlepszego przyjaciela? Zapewne, dla wielu brzmiało to śmiesznie. Tak naprawdę, to Kamil sam nie wiedział, czy postępował słusznie – ciągle zmagał się z wątpliwościami na temat tego, jak Ulisses oceni jego postawę.

Z jednej strony, gdyby okazało się, że naprawdę dojrzał, Kamil mógłby w jakimś stopniu pomóc Mastertonom, o ile dobrze ocenił sytuację i okaże się, że Ulisses naprawdę weźmie się w garść,

widząc zatroskanego przyjaciela swego syna.

Z drugiej strony Kamil mógł się przeliczyć i z jego szlachetnych zamiarów pozostałby jedynie wstyd – usłyszał by gadkę w rodzaju „Ty, gówniarzu, mówisz mi, jak postępować z synem?!”. Drugi argument był dla Kamila o wiele mocniejszy. Dopiero przed chwilą uświadomił sobie, po co tak naprawdę chce odwiedzić Ulisses. Dla czystej pewności i spokoju.

– Jezu... – jęknął Mikołaj, zerkając na budynek.

Oślonił oczy przed słońcem. Pomyślał, że musi sobie w końcu kupić okulary.

Szeroki, biały budynek miał siedem pięter i górował nad licznymi niewysokimi rosnącymi dookoła drzewkami. Każdemu z nich towarzyszył trawnik czerwonych kwiatów i krzewów, zasianych wzdłuż chodnika.

Na dachu hotelu znajdował się największy pokój z dwoma dużymi oknami – choć można było z niego zapewne wyjść na taras z widokiem, Kamil nie wiedział jeszcze, czy pokój ten był do wynajęcia.

- Co? – spytał Mikołaja, wpatrując się w dwie duże anteny telewizyjne sterczące z dachu hotelu. Zapewniały dość dobry odbiór większości kanałów telewizyjnych w kraju – kanałów informacyjnych, publicystycznych i kilku stacji komercyjnych.
- Który pokój zajmuje Ulisses?
- Mówiłem ci, że?
- Które piętro?
- Trzecie?
- Naprawdę musi mieć dużo kasy.
- Na pewno.

Mikołaj z Kamilem skręcili w lewo, zbliżając się do wejścia do „Polisii”. Wspięli się po kilku małych, krótkich kamiennych stopniach, po czym weszli w chłodzący cień rzucany przez łuk łączący hotel z Domek Kultury kilkanaście metrów dalej. Kamil odsapnął z ulgą, żegnając się przynajmniej na kilka minut z prażącym słońcem. Zaczekał wraz ze swym kolegą aż grupka starszych osób wyjdzie z poczekalni – pewien starzec po paru sekundach zmagania się z drzwiami w końcu uchylił je dość szeroko, by można

było się przez nie precysnąć.

Kamil przytrzymał je, pozwalając bezproblemowo wyjść reszcie grupy z holu recepcji, za co serdecznie mu podziękowano. Kamil w odpowiedzi uśmiechnął się leniwie, po czym, po wyminięciu ostatniej staruszki, przekroczył próg hotelu. Mikołaj wszedł do niego tuż za nim.

Leon otarł pot z czoła i sapnął z wysiłku.

Od dziesięciu minut siedział na zimnych, wąskich schodkach przy centralnym placu Prypeci. Co kilka minut mijały go dziesiątki ludzi, zerkających na niego krzywym spojrzeniem. Niemal słyszał ich myśli – ?Zaraz dostanie wilka??. ?I gdzie on się gapi?? i tym podobne. Jemu było wszystko jedno – był zdenerwowany, a ta nietypowa metoda wyjątkowo go uspokajała. Wpatrywanie się w niebo, tłumy ludzi na ulicach i innych wyglądających z okien i balkonów – sam kontakt z ludźmi, nawet wzrokowy, był dla Leona przyjemnością.

Żałował tylko, że nie mógł sobie zapalić w tym miejscu. To też niewątpliwie by go uspokoiło.

Wbrew pozorom, dziesięciominutowe wylegiwanie się na betonie nie przyprawiało go o ból pleców – przyzwyczał się do tego i umiał się ułożyć na nim w komfortowy sposób. Mimo to, nie pogardził by miękkim łóżkiem. Kiedy w końcu się uspokoi, zapewne pójdzie się zdrzemnąć. Co doprowadziło go do tego stanu?

Kamil.

Nie był zły na Kamila, na to, co powiedział. Właśnie przez to, co powiedział, Leon był zły na samego siebie.

Od pewnego czasu czuł się dojrzęły emocjonalnie – uważał, że wiedział jak zachować się w każdej sytuacji i jak w nich postępować. Jednak, kiedy dotarło do niego, czego „czepiał” się Kamil w jego prośbie o łyk alkoholu, dotarło do niego, że między okresem dojrzewania a prawdziwą dorosłością dzieli go prawdziwa przepaść.

Z drugiej strony, większość alkoholików stanowią właśnie dorośli. Bał się.

Leon nie mógł stuprocentowo zapewnić się w duchu, że jego dzisiejsze „wybryki” z „procentami” wkrótce się skończą, jak to za-

chowania dojrzewających ludzi. Nie miał pewności, że to nie rozwinię się dalej – autentycznie obawiał się, że skończy jako śmierdzący potem menel, pijący rozcieńczone wodą z kranu kosmetyki. Czuł lęk i niepewność, które jednak stopniowo go opuszczały, w miarę analizowania sprawy.

Myślał o specjalistach, którzy mogliby mu pomóc – o kimś, kto nie zwróci się do niego „synu”, „skarbie”, „kochanie”. Nie był nieczuły i niechętny co do rodziny, wręcz przeciwnie, jednak tą jedną rzecz wyjątkowo chciałby „załatwić” z kimś całkiem obcym – kimś, kto dopiero go poznał i da mu szansę poznania go od nowa, nie wiedząc o poprzednich kilkunastu latach jego życia.

Musiał wziąć się w garść.

Rok 2001

– Co masz? – zawołał Graham z końca pokoju w stronę Johna, plądrującego sąsiedni pokój.

Podszedł do niskiej, drewnianej szafki, zapewne należącej do młodego dziecka. Była oblepiona kilkunastoma kolorowymi naklejka-

mi i symbolami – bohaterami komiksów, filmów, książek. Kilku młodocianych idoli, postacie z najbardziej znanych i kultowych bajek – Kubusia Puchatka, czerwonego kapturka i wielu innych, których Graham nie znał.

Kucnął nisko, podginając palce stóp, po czym chwycił obiema rękoma za metalowy uchwyt szafki, po czym pociągnął go z całej siły, brutalnie patrosząc zawartość. Pusta szuflada wylądowała na końcu pokoju – Graham rzucił ją tam niedbale, rozrzucając dookoła dziecięce ubranka, ręczniki i kilka zabawek.

Drewniana szuflada z hukiem rozpadła się w pół, rozrzucając dookoła drzazgi.

Graham przekopał się przez stosy ubrań, szukając czegoś wartego uwagi. W kieszeniach małych, pozornie nowych dżinsów znalazł monetę. Przyjrzał się jej możliwie dokładnie, na tyle, na ile pozwalala mu przesłonka kombinezonu. Uznał ją za cenną, po czym schował w specjalne opakowanie.

Stalkerowi przypomniały się zasłyszane gdzieś w okolicy Baru słowa.

„Ludzie nie powinni trzymać kosztowności w takich oczywistych miejscach jak sejfy, skrytki, depozyty. Trzy razy okradli mi dom – za każdym razem wszystkie karty kredytowe, dokumenty i tym podobne miałem w kieszeni spodni leżących na wielkim stosie innych. Jedyne, co wynieśli, to kilka wartościowych książek.”

Jak widać, mieszkańcu tego domu albo wierzyli w tą zasadę, albo któreś z ich dzieci dostało monetę w prezencie i schowało ją do kieszeni, po czym zapominając o niej, zapakowało spodnie do szafki.

Graham, łapiąc się za kolana, wyprostował się powoli, odwrócił się na pięcie, po czym wszedł do salonu. John siedział na kanapie i męczył się z jakimś kwadratowym przedmiotem – chwycił go na wszystkie możliwe sposoby i oglądał dokładnie z każdej strony. Kiedy Graham zbliżył się do stolika z mlecznego szkła, zauważył, że Finn usiłuje otworzyć szkatułkę.

Zrobiono ją z ciemnego, niemal czarnego drewna, które dodatkowo ozdobiono ręcznie wykonanymi wzorami, które podkreślono złotem. W środku pudełka brzęczały jakieś małe przedmioty,

prawdopodobnie biżuteria.

– Gdzie to było? – spytał Graham, siadając po turecku na dywanie.

– Tam. – odpowiedział John, wskazując wysoką szafę w rogu salonu.

Była opróżniona z jej zawartości, która ścieliła teraz niechlubnie podłogę, podobnie jak każda szafka, każda komoda i szuflada w apartamencie.

Finn przewrócił szklany stolik nogą, by w jego miejsce, na gołej podłodze, położyć szkatułkę, którą przed chwilą znalazł. Odczepił bagnet od leżącego na sofie karabinu, po czym chwycił go oburącz i klęknął na kolanach.

Wziął daleki zamach w tył i, niczym osoba składająca ofiarę, ugodził małą skrzyneczkę bagnetem prosto w zamek, wkładając w to całą swoją siłę.

Ostrze bagnetu zazgrzytało w momencie spotkania się z zamkiem, który puścił już po pierwszym uderzeniu – blaszka wygięła się i odpadła, pociągając za sobą kilka śrubek, które rozsypały się po

całym salonie. Jedna z nich trafiła w stojące na komodzie lustro, pozostawiając na nim wielką, szkaradną rysę.

John otworzył szkatułkę i wygrzebał z niej duży naszyjnik.

Zawiesił go na palcu wskazującym, uniósł przed siebie i dokładnie obejrzał. Był to naszyjnik ze srebra z wielką, pięknie oszlifowaną perłą w środku. John gwizdnął z zadowoleniem.

– Co jeszcze? – spytał Graham, wyglądając przez okno na rynek dookoła kościoła.

– Pocztówki.

– Pocztówki?

– Ta, pocztówki i zdjęcia. Te elektrowni już mamy, zrobimy jeszcze kilka kościołowi i rynkowi.

– Niedaleko jest wyższa uczelnia?

– Chcesz sfotografować roczniki?

Graham uśmiechnął się pod nosem.

– Cały ten nikły upływ czasu, wrażenie, że jeszcze parę dni temu szkoła tętniła życiem i pękała w szwach od studentów – niektórych to kręci. Wiesz, ile dawali za zdjęcia szkół w

Prypoci?

– Nie musisz mi przypominać. Możemy iść do uczelni, ale najpierw kościół.

– Jak chcesz... – Graham wyszedł z salonu do przedpokoju i chwycił klamkę od drzwi wyjściowych.

John ruszył zaraz za nim, najpierw jednak zabezpieczył odpowiednio znaleziony naszyjnik. Wyszedł za swym towarzyszem na korytarz kamienicy – starej, powojennej, której bardzo przydałby się chociaż powierzchowny remont, nie wspominając o zabiciu nieprzyjemnego zapachu i pozbyciu się wielu graffiti.

Schodząc po brudnych stopniach kamienicy, Graham zatrzymał się na chwilę i przyjrzał się metalowej, zniszczonej skrzynce pocztowej. Skrytki trzech z ośmiu mieszkań kamienicy zwisały bezwładnie ku ziemi – dwie z nich były powyginane, jakby od uderzeń ciężkim przedmiotem, z ostatniej zaś została jedynie połowa

– druga została prawdopodobnie zerwana.

W skrytce siódmej znajdowała się biała koperta.

– Listy? – mruknął Finn z zadowoleniem. – Są tam jeszcze

jakieś? – zaciekał się i zaniepokoił lekko, widząc Grahama dobierającego się do siódmej skrytki.

- W pierwszym. – poinformował Graham po krótkiej obserwacji. Uderzył pięścią w włożony między zawiasy bagnet – stary i zaniedbany zamek puścił, ukazując wnętrze. Koperta wylądowała w dłoniach stalkera – przeczytał jedynie dane adresata, gdyż list był anonimowy.
- Michał Piotrowski, ulica Łesii Ukrainki, 3A, mieszkanie siódme, Mryńsk – 81300. Lepiej zrób temu zdjęcie, bo nie uwierzą.

Finn chwycił w prawą rękę zwisający z szyi aparat i sfotografował skrzynkę pocztową.

- Ile czasu zostało nam na kamerze?
- Z dwie godziny?
- Ile nam wystarczy na jakąś anomalię?
- Zależy, jaką spotkamy.
- „Na oko”?
- Pięć minut. Myślisz, że jakaś już powstanie?

– Zapewne. – rzekł pewnym tonem Graham. – Ale najpierw idziemy do kościoła, znajdziemy w wieży jakieś okno i sfilmujemy panoramę miasta. Mgła opadła?

– Zobaczymy. – rzucił Finn, kierując się do wyjścia z kamienicy. Minął jeszcze kilka grafików i tablicę ogłoszeń skierowaną dla mieszkańców okolicy, po czym wyszedł na podwórze przez framugę wyłamanych drzwi, które leżały obok. Omal się o je nie potknął.

Znajdował się z Grahamem z powrotem na rynku miasta – jakieś dwieście metrów od kościoła. Wrażenie opuszczenia miasta było przeogromne, choć nie w tej dzielnicy Mryńska – najbardziej sugestywne wrażenie wywierała jego południowa część, a dokładniej mówiąc, wielka stołówka, podczas której w czasie zbliżonym do wybuchu odbywało się wesele.

Ludzie zniknęli, pozostała jednak muzyka, wciąż grająca w pustej sali. Była głośna i roznosiła się po całym otaczającym stołówkę osiedlu.

Graham rozciągnął się, ziewnął, po czym, chrząkając, wolnym

crokiem ruszył w stronę kościoła.

– Mam nadzieję, że znajdziemy „Czad”. – mruknął, rozglądając się dookoła.

Opuszczone, ponad pięćdziesięciotysięczne miasto, nie przestawało go zadziwiać ogromem swojej pustki.

– Co się z tobą w ogóle działo? – zaciekał się Leon, nachylając się do przodu, niemal kładąc się na stole.

– Wiesz, co mi było? – odpowiedział obojętnym tonem Masterton. Wpatrywał się w kuchenkę gazową i tańczący płomień grzejący czajnik z wodą. Niedługo powinien zapisać.

– Ale jak się czułeś? Jeśli w ogóle coś czułeś?

– Jak podczas snu. W ogóle nie czuję tego upływu czasu – jakbym położył się wczoraj w nocy, a dziś rano obudził.

– Eee... – jęknął Leon, siadając z powrotem w normalnej pozycji na krześle.

– Co?

– Mówisz o tym... ze zbyt dużym spokojem. Co widziałeś?

– Jak to „co widziałem”? Po prostu miałem atak – zachowujecie się, jakbym... lunatykując prawie kogoś zabił!

– Blisko.

Jonathan zrobił wielkie oczy.

– Podziękujesz mi później. – powiedział Mark, pokazując zabandażowaną dłoń.

– Coś jest z tobą nie tak? – oznajmił Mikołaj. – Na pewno nic ci nie jest? Żadnych zmian?

– Mam problemy z lewą ręką.

– „Problemy”?

– Niedowład. – Jonathan spróbował położyć na stole lewą rękę, którą do tej pory opierał na kolanie.

Z widocznym wysiłkiem uniósł ją na kilka centymetrów, skierowanie jej zaś nad stół sprawiło mu wyraźny ból. Nagle, zanim zdołał ją wyciągnąć jeszcze kilka centymetrów przed siebie, opadła ona w widocznie niekontrolowany sposób. Masterton zasyczał głośno z bólu, w chwili, w której dłoń uderzyła o kant. Miał przerażony wyraz twarzy, który pogłębiał się z każdą sekundą poświęconą na

wygodne ułożenie ręki, która bezwładnie zwisała pomiędzy kolanami.

– Jezu? – jęknął błagalnie.

Zaciskając zęby, jakby spodziewając się kolejnej fali bólu, chwycił bezwładny nadgarstek prawą ręką, który ułożył z powrotem na kolanie, po czym odetchnął z wyraźną ulgą.

Chcąc zmienić temat, Jonathan powiedział:

– Musimy wrócić do Johnsona.

– Po cholerę? – zapytał zdziwiony Leon.

– Muszę coś... sprawdzić.

– Jego ciało?

– Być może?

– Nie masz na co liczyć – wtrącił się do tej pory milczący Lenny. – Psy go zjadły.

– Na zdrowie. Ale i tak muszę coś tam sprawdzić. Za godzinę pod flagą.

– Co? – spytał zdziwiony John, słysząc gwizdnięcie towarzyszącego mu stalkera.

– Ta szkoła. – odpowiedział Graham, rozglądając się dookoła. – Coś w niej jest.

– Graham?

– Tak?

– Teraz ja go poniosę.

Graham zwiesił ramiona i zrobił zażenowaną minę.

– To nie przez niego. – począł się tłumaczyć. – Taki już jestem i tyle. – Graham, trzymając plecak za pasek lewą ręką, mruknął pytająco, mierząc Finna spojrzeniem. – Więc??

– A noś go sobie... – mruknął Finn. – W sumie to i tak jest odizolowany, więc?

– Właśnie. Więc przestań się czepiać, to nie Ostatni Pierścień, żebyśmy się o niego zatłukli, czy tak?

– Taak.

– Drzwi...

– Zablokowane.

– To znaczy?

– Zamknięte na klucz. Wyjmij łom.

Graham zdjął z pleców wielką torbę, położył ją na chodniku, po czym usiadł przy niej niemal po turecku – mimo tego, że kombinizon był lekki, ograniczał jego ruchy.

Graham i John Finn znajdowali się w północnej części Mrynśka, kilometr od krańca jego centrum i otoczonego rynkiem kościoła. Po przejściu przez duży, miejski park, pokonali niewielki kilometr wzdłuż głównej ulicy miasta, po czym, skręcając na zachód, dotarli do uniwersytetu.

- Kurwa? – przeklął Graham, grzebiąc w plecaku.
- Tylko nie mów, że...
- Nie... mam łom. – poinformował stalker, na ironię wyciągając narzędzie obiema rękoma. Wysuwając je całkiem i kładąc kawał żelaza na ziemi, dodał. – Ja miałem zbierać informacje, ty zdjęcia, tak?
- Do rzeczy!
- Trzy godziny przed wybuchem w szkole zastrajkowali nauczyciele.

John zrobił zdziwioną minę i pierwszy raz podczas tej rozmowy spojrzał na Grahama.

- Sprzeciwiali się dyrektorowi – złe traktowanie, bezsensowne pomysły, jakieś próby zmiany funkcjonowania szkoły. – kontynuował stalker. – Ustawili się przed szkołą i zażądali dymisji – a, że nie posłuchał, to wpadli do szkoły i ją zdemolowali, przy okazji tłucząc kilka osób – uczniów, dyrektora, po drodze staranowali nawet woźnego.

John gwizdnął z podziwem.

- Nie ma co, potrafią walczyć o swoje? – rzucił ironicznie. – I trzeciego dnia, w dniu wybuchu?
- Zabarykadowali się, a kiedy w elektrowni walnęło, zostali w środku.
- I?
- Gdy wojskowi wparowali do środka, nikogo nie znaleźli. Pusto.
- A propos wojska, jakim cudem nie znaleźli nas? Gdzie oni w ogóle są?
- Zasluga Sussaro. – Graham, z łomem w lewym ręku, podniósł

się z chodnika, po czym stanął na równe nogi, zarzucając plecak z powrotem na plecy. – Co? – zaniepokoił się, widząc zaniepokojony wyraz twarzy Finna, zniekształcony przez przesłonkę kombinezonu.

- Mieliśmy tylko go naładować i wrócić, tak?
- Ta, ale on nam nie zapłaci za to tylu pieniędzy. A stalkerzy za zdjęcia stąd, owszem. Chwila... wiem o co ci chodzi.
- No, pochwal się.
- Czy skarci nas za to, że nadużywamy jego „wkładu”?
- O tym właśnie mówię. – zmartwił się John. – Jeśli się dowie?
- Nie obrazi się, uwierz mi. Jemu, o dziwo, pieniądze też są potrzebne. Wchodzimy? – jęknął, opierając łom na ramieniu.
- Robimy kilka zdjęć. – dodał, robiąc pierwszy krok w stronę drzwi. – I już nas tu nie ma.
- No dobra?

Siedziałem na starej, szpitalnej kozetce w podziemnej, medycznej części podziemi obozu rządu. Znajdowałem się w odizolowanym pomieszczeniu, z ustawionymi na lewo i prawo ode mnie

dwoma łózkami, którym „towarzyszyła” blaszana półka. W kącie długiego na dziesięć, a szerokiego na około pięć metrów pomieszczenia stało pięć wysokich słupków na kółkach, służących do wywieszenia na niej kroplówki oraz oparta na krześle zmięta, zielona zasłona.

Śnieżnobiałe kafelki w połączeniu z silnym światłem jarzeniówki były mnie w oczy bardziej, niż poranne słońce – co chwila mrużyłem przewrażliwione na światło oczy, ocierając je z łez. Panujące światło było dla mnie wręcz nienaturalne, wszechobecne, tak silne, że odbiło się na szklanych szybach, naprzeciwko mnie, uniemożliwiając mi zobaczenie, czegokolwiek na korytarzu.

Słyszając metaliczny zgrzyt, obejrzałem się w stronę źródła dźwięku – wielkich, blaszanych drzwi, które ktoś najwyraźniej zaczął otwierać.

Kiedy otworzyły się na oścież, przez ich próg przeszedł wysoki mężczyzna w stroju, który określiłem jako „nie pasujący do sytuacji”. Jednak nie garnitur zwrócił moją uwagę, a białe, nie, trupio blade i naznaczone szkarłatną szramą lewe oko. Zdawało się

funkcjonować równie dobrze jak zdrowe, prawe – podążało ono w rytm drugiego, nie zezowało i zdawało się wciąż pracować w pełni sprawnie. Mimo to wyglądało okropnie, na dodatek było ono podkreślone przez bliznę idącą od górnej części policzka aż po brew – był to dokładny przebieg rany, powstałej najprawdopodobniej w wyniku cięcia.

Gdybym był w lepszym nastroju, gwizdnąłbym z niejakim podziwem, widząc ranę stalkera, jednak w obecnych okolicznościach jedynie mnie ona zniesmaczyła.

Za agentem w garniturze do pokoju wkroczyło jeszcze sześć osób – trzech postawnych mężczyzn około czterdziestu lat, jeden wyraźnie niższy, grubszy i starszy – oceniałem jego wiek na ponad pięćdziesiąt, któremu towarzyszył dobrze znany mi Mark.

Spojrzał na mnie zdziwiony – próbując nie dać po sobie poznać, że niejednokrotnie go spotkałem, zwiesiłem głowę i zacząłem wpatrywać się w podłogę.

Jeśli się wygadał, to obaj najpewniej skończymy w anomalii.

A Igor uniknie kary.

- Gdzie Lenny? – spytał stalker z rozciętym okiem.
- Zmienia gips. – odpowiedział mu zwalisty, siwiejący agent, kierując się w stronę najbliższego krzesła. – Zgaś to? – rzucił, łapiąc krzesło za oparcie, po czym przeciągnął je pod szybę. – No i? – mruknął, usadowiwszy się z wyraźną ulgą na oparciu. – Co z nim robimy? – rzekł, kierując na mnie spojrzenie.

Poczułem się dość nieswojo.

- Do anomalii? – mruknął jeden z opierających się o ścianę stalkerów, sięgając ręką pod pazuchę.

Sparaliżowany strachem, zdołałem tylko wlepić w niego gały, spodziewając się widoku pistoletu, po którym nastąpiła by całkowita ciemność.

- Czekaj! – zawołał stojący obok zamierzającego mnie zabić agenta mężczyzna. Wpatrując się we mnie, z niemałym rozbawieniem z powodu przerażonego wyrazu mojej twarzy, po omacku przytrzymał dłoń sięgającą po broń. – Pogadajmy z nim. – zaproponował. Podeszedł do mnie i wyciągnął przed siebie rękę, oczekując powitalnego uścisku. – Leon. –

przedstawił się. Widząc, że wciąż jestem przestraszony, zapewnił. – Nic ci nie zrobimy...

- Michał? – wymamrotałem, trąc piekącą bliznę na czole. Zabije sku*wiela... – Na pewno nic mi nie zrobicie?
- Na pewno? – zapewnił mnie Leon.

Mimo niewątpliwie dużej szczerości włożone w te słowa nie przekonały mnie one – brzmiały jak wymówka nastolatka, który kłamie, że nigdy w życiu nie palił papierosów. Sam w ten sposób kłamałem, było więc to mi aż za dobrze znane. Dopóki nie znajdę się u siebie, w magazynach, nie przestanę się denerwować, choćby nie wiem co.

Nie zważając na dręczącą mnie niepewność, uścisnąłem dłoń Leona. Ten odwrócił się przez plecy i zaczął po kolei przedstawiać mi pozostałe osoby.

- Sznyta na czole to Jonathan, ten, który najwidoczniej bardzo lubi rozmawiać to Radek, ten na lewo od niego to Mikołaj, a na prawo, Mark. Mnie znasz, a ten staruch...
- Pierdol się! – warknął Izaak, wystawiając w stronę Leona

środkowy palec.

- To Izaak.
- Jeśli nie chcecie mnie zabić... – zacząłem.
- Pomyślimy o tym. – wtrącił się Radek.

Sku*wiel.

- Jeśli się nie zamkniesz, sam się zabiję. – wycodziłem ze złości. Widząc jego zdziwiony wyraz twarzy, zwróciłem się do reszty, tym samym całkowicie go lekceważąc. – To o czym chcecie porozmawiać? – zapytałem, wciąż nie będąc pewny swojego losu.
- O Igorze. – odezwał się Jonathan, siadając na szpitalnym łóżku po mojej lewej stronie. Kiedy kładł ręce na pościeli, zauważyłem na jego prawej dłoni błyszczący srebrzystym blaskiem przedmiot – swoiste połączenie kastetu ze sztyletem, uchwyt na dwa palce, zakończony ostrzem.

Spojrzałem znowu na jego rozcięte oko. Zauważył to.

- Sam sobie tego nie zrobiłem. – zapewnił, uśmiechając się.
- Co z tym Igorem?! – krzyknąłem niemal, ku zdumieniu

obecnych stalkerów.

- Spokojnie... – uspokoił mnie Leon. – Mówiłem, że nic ci nie grozi.
- Podejdź tu. – rozkazałem.
- Wedle życzenia.

Kiedy Leon zbliżył się do mnie na dwa metry, przyjrzałem się jego palcom.

Były przyżółkłe od wieloletniego palenia papierosów.

- Od dawna palisz? – spytałem. Leon, w pewnym sensie zbity z tropu tym pytaniem, odpowiedział po chwili namysłu.
- Od trzynastego roku życia, a co to ma do rzeczy?
- Ile razy kłamałeś mamusi, że nie palisz?
- Wiele, wiele razy.
- Teraz też kłamiesz?
- Jezu... – mruknął Leon błagalnie. – Zabierzcie mnie od niego, bo chyba coś mu zrobię. Mówię ci po raz ostatni – nic ci się nie stanie, rozumiesz?
- To o co chodzi wam z tym Igorem, co? Tak bardzo się

interesujecie tym kretem?

Radek gwizdnął.

- Ktoś tu jest dobrze poinformowany. – powiedział. – Ale do sedna. Nie tylko ty chcesz zrobić porządek z Igorem.
- Serio? – jęknąłem. – A któż to będzie mnie wspierał w dorwaniu tego ch*ja?
- My. – oznajmił Jonathan.

Nigdy nie znalazłbym odpowiednich słów na opisanie mojego zdziwienia. Zdołałem z siebie wydusić jedynie krótkie, urwane „Co?”.

- Właśnie to. – rzekł Leon. – Święty, podaj listę. – zwrócił się do Mikołaja. Ten wyciągnął z kieszeni zmiętą kartkę i podał ją kompanowi.

Leon rozłożył kartkę, odwrócił ją do góry nogami, po czym zaczął czytać.

- To lista rzeczy, których mamy się pozbyć w najbliższym czasie, sporządzona przez, jak mu tam było?
- Dymitra. – podpowiedział Jonathan, kładąc się „plackiem” na łóżku. Z sekundy na sekundę zrobił się wyjątkowo senny. –

Czytaj, chętnie posłucham.

- No więc... nie będę czytał słowo w słowo, za dużo tu tego.
„Jako wasz nowy szef i przywódca, na początek nakazuję wam zrobić dwie rzeczy – zmienić nasz wizerunek i wzmocnić ochronę. Musimy się jak najbardziej odróżnić od militarnych, bo wszyscy wiemy, za co tak nienawidzą stalkerów. My musimy być inni – musimy trzymać pieczę nad Zoną a ze stalkerami się pogodzić; zapewnić ich, że też potępiamy wojskowych. Co najważniejsze, musimy znaleźć dowody na to, że masakra w grudniu dwutysięcznego nie jest naszą sprawką. No dobry początek, pozbywamy się dwóch rzeczy. Patroli i Igora”
Czyli, krótko mówiąc, mamy się nim zająć, nieważne w jaki sposób, Igor ma, powiedzmy, opuścić to miejsce.
- Jak? – spytałem.
- Bo ja wiem? – mruknął Jonathan, wpatrując się w sufit. – Jednego już załatwiliśmy, a teraz mamy po naszej stronie Dymitra.

- Z nim będzie o wiele łatwiej. – zauważył Radek.
- Możliwe. Ale to będzie prawdziwie brudna robota.

33

- No, no... – mruknął Graham, rozglądając się dookoła.
 - Nieźle ich musiał wku*wić, co? – rzekł John, zamykając drzwi wejściowe uczelni. Odwrócił się przez plecy, oparł ręce o biodra, po czym dodał. – Pozdrapywać farbę i mielibyśmy Prypeć.
 - Sussarowi by się to spodobało. – zauważył stalker. – Zawsze jest jakaś różnica, ale w końcu... – nie kończąc zdania, uśmiechnął się lekko.
 - Fakt, spodobałoby się mu.
- Długi, ciągnący się kilkanaście metrów w obie strony korytarz z lekko zaokrąglonym sufitem zaścielony był połamanyymi ławkami, porozszarpywanymi książkami wszelakiej maści oraz różnymi przedmiotami codziennego użytku. Białe i czarne, poukładane

na wzór szachownicy poprzykrywane były butelkami, (zarówno szklanymi jak i plastikowymi) linijkami, ekierkami, kątomierzami, cyrkłami, zerwanymi ze ścian obrazami i kilkoma przyrządami z pracowni fizyczno-chemicznej.

Na końcu korytarza po prawej stronie, na parapecie przy oknie stał wielki model globusa, odznaczający się na strumieniu intensywnego, słonecznego światła wylewającego się zza nowych, plastikowych szyb. Czarny kształt odznaczał się na tle niczym kleks na kartce papieru.

Naprzeciwko dwójki stalkerów zaczynały się szerokie, dość niskie schody prowadzące na piętro uczelni, również „przyozdobione” porozrzucanym wyposażeniem budynku. Ściany na piętrze miały, w przeciwieństwie do kremowych na parterze, niebieski, soczysty kolor, mocno kontrastujący z identycznym, białym sufitem. Kolorystyka wewnątrz szkoły była niewątpliwie dziwna, bardziej jednak prawdopodobna była wersja, że z racji wybuchu w elektrowni nie skończono przemalowywać reszty ścian na biały/niebieski kolor.

Drewniana, zakończona elegancką gałką poręcz była podrapana i zniszczona, pokryta cięciami zrobionymi nożem lub scyzorykiem. Nawet na stopniach leżało kilka kupek wiórów i drzazg, jeszcze suchych.

- Odkąd zaczynamy? – spytał Graham, odbezpieczając pistolet.
- Korytarz na lewo. – oznajmił John, wskazując palcem za siebie. – Sprawdzamy każdy pokój po kolei. I staraj się nie hałasować – pamiętaj, że ktoś wciąż może tu być.
- Zobaczymy...
- Jak twoja ręka? – spytał już drugi raz w ciągu minuty Leon Jonathana, bez przerwy wyglądając za okno swej kwatery. Spojrzał za zegarek. Widząc to, odezwał się Mikołaj:
- Która godzina?
- Siódma. Jeszcze pięć.

O wspomnianej siódmej pięć Jonathan, Radek, Lenny, Leon, Mikołaj, Izaak i Michał mieli się spotkać z Dymitrem, obecnie, jak to określił, „porządkując swoje nowe biuro”. Mieli wiele do omówienia – sposób na dalsze rozpracowywanie łowców organów, kwe-

stię samego Mastertona i wojska, grudniowej masakry lecz przede wszystkim – mieli się tam udać by porozmawiać o Igorze.

Nie zdobycie broni, zabicie kogoś, upolowanie mutantu czy zdobycie któregoś z rejonów Zony.

To zmiana wizerunku miała się okazać najtrudniejszym zadaniem dla przedstawicieli rządu w Strefie. Oczywiście, nie uniknie się kilku zabójstw, jednak wiele rzeczy takich jak niechęć stalkerów do agentów po grudniu dwutysięcznego żadne morderstwo nie załatwi.

Podobno Dymitr miał plan co do tego ostatniego. W wstępnej rozmowie przez telefon wydawał się bardzo podekscytowany i niezwykle pewny siebie. Patrząc na jego dotychczasowe sukcesy i generalnie, jego „referencje” można się było spodziewać naprawdę sensownego pomysłu. Nie wchodząc w szczegóły, Dymitr był w ścisłej czołówce wszystkich działaczy rządu Ukrainy, a Zona to idealny teren, w którym mógłby dożyć emerytury, jakkolwiek dziwnie to by nie brzmiało.

– Jak moja ręka? – zadrwił lekko Jonathan. – Bez tego i łykania

prochów co godzinę się raczej nie obędzie. – wyszeptał, wkładając na lewe ramię stary pas nośny, w który po chwili, z pomocą Mikołaja i „zachętą” widocznego bólu, umieścił bezwładne a mimo to bolące ramię. – A pogoda?

Leon jeszcze raz odsłonił firanę okna i wyjrzał przez nie na dziedziniec i wystające za nim drzewa, dość znacznie przysłaniające niebo.

– Wietrznie, ciemno, zimno i nieprzyjemnie a do tego burzowe chmury.

– Ujdzie... – Jonathan z pomocą prawej dłoni wstał z kanapy, po czym otworzył stojącą na końcu długiego pokoju szafkę i począł wyciągać z niej płaszcz.

Zdołał wciągnąć go na prawe ramię, którym, po włożeniu w rękaw, nasunął pozostałą część ubrania na lewe ramię. Sam uporał się też z guzikami, pozostawiając nie zapięty jedynie ten najwyższy, przy samej szyi.

– Już? – zaciekawił się.

– Ta. – odpowiedział Izaak, sprawdzając godzinę w telefonie. –

Chodźmy.

Stałem na środku obozowego placu, opierając się o maszt flagi już od ponad dziesięciu minut. Co chwilę wyciągałem ręce z kieszeni i energicznie nimi pocierałem, próbując choć trochę się rozgrzać. Cienki kombinezon, w dodatku bez żadnego cieplejszego ubrania pod spodem, stanowił marną ochronę przed zimnem, który dziś było wyjątkowo dotkliwie. Suche powietrze, wiatr i całkowity brak słońca – prawdziwa zgroza. Będę miał szczęście, jeśli jutro nie obudzę się z przeziębieniem czy, co gorsza zapaleniem. Każdy podmuch wiatru nasilał uporczywe szczypanie zadanej mi wczoraj przez Igora rany. Ona, Dawid i przyjaciel Gavina. Do trzech razy sztuka, skurwielu.

– Już ja cię dorwę? – wyszeptałem mimowolnie rozgoryczonym głosem.

Zrobiłem to dość głośno, zwracając na siebie znowuż uwagę mijających mnie agentów. W sumie, to czułem na sobie spojrzenia całego obozu. Patrzyli na mnie to ze skrzywieniem, to z rozba-wieniem czy pogardą. Ale najbardziej ze zdziwieniem – myśleli

pewnie coś w stylu „Czemu jego szczątki nie są jeszcze rozrzucone dookoła przez anomalie?”.

Próbując nie myśleć o komentarzach i niemiłym podejściu mieszkańców co do mojej osoby, pomyślałem przez chwilę o Jonathanie Mastertonie.

Słyszałem o nim wcześniej, głównie od Gavina, wiele opowieści i historii, jednak dopiero po spotkaniu w cztery oczy osoba ta mnie naprawdę zaintrygowała. Co oczywiste, największą uwagę zwróciłem na jego rozcięte oko – prawdziwie paskudny i przeszywający widok. Nawet nie próbowałem sobie wyobrazić bólu, który musiał wtedy czuć. Wolałem zastanowić się nad tym, jak wpłynął on na Mastertona, wreszcie, kiedy okaleczenie to go spotkało.

Tym właśnie zajmę się po opuszczeniu Zony – będę szukał osób mieszkających w Prypeci i rozmawiał z nimi o Czarnobyli przed wybuchem w 86-tym. Jako, że Zona niewątpliwie będzie istnieć prawdopodobnie do końca świata, informacje o „rdzennych” jej mieszkańcach mogą być niezwykle użyteczne i cenne. Akta S. – marzeniem Gavina jest, by stały się one owianą legendą bazą in-

formacji, o której będzie się mówić, że „znajdzie się w niej wszystko”. Ja dopilnuję zaś, by tak się stało, a pierwszą osobą, o którą zacznę wypytywać będzie właśnie Jonathan.

Między innymi po prostu z czystej ciekawości. Od dziecka miałem chorobliwe chęci jej zaspokajania, tym razem nie będzie inaczej. Idą.

Prowadził Jonathan, przy jego lewym boku krzątał się Leon i Mikołaj, za których plecami z pomocą Izaaka, Radka i Marka o kulach kuśtykał Lenny z zagipsowaną nogą.

Cała zgraja psycholi, z których największym był Masterton.

– Już? – zawołałem, gdy ten zbliżył się do mnie na cztery metry. W odpowiedzi kiwnął głową i ruszył dalej, w stronę dużego, jasnego drewnianego domku, w którym od dziś miał rezydować cały ten Dymitr.

Westchnąłem, po czym podążyłem za nim, zachowując metrowy odstęp od ostatniego w „szyku” Lenny’ego.

Teraz to dopiero byłem ciekaw.

– I jak im idzie?

Sussaro sięgnął pamięcią od ostatniej rozmowy z Grahamem. Odtworzył ją sobie w głowie, pomyślał jeszcze kilka sekund, po czym odpowiedział Gomezowi.

– Byli już pod reaktorem, obesli miasto? Myślę, że fotografują i nagrywają wszystko dookoła, by sprzedać to tutejszym ”kolekcjonerom”. – wyrecytował Sussaro. – Nam, o dziwo, też przydadzą się pieniądze. – dodał.

– Zapewne.

Idąc dalej, wzdłuż szarej, kamienistej ścieżki, Gomeza znowu naszła ochota na wspomnienia. Na całą Prypeć przed wybuchem, tętniące życiem okolice Czarnobyli i tym podobnym rzeczom, które ludzie pokroju Finna nazwaliby „sentymentalną bzdurą”. Prawdę powiedziawszy, uważał go za osiłka, nikogo więcej. Graham był już nieco bardziej wrażliwy, zaś najlepszym rozmówcą w tego typu trudnych tematach był sam Sussaro. Przez te wszystkie lata znajomości, urozmaicane tego typu pogawędkami, Gomez i Sussaro prawdę powiedziawszy stali się bliskimi przyjaciółmi, których łączyły nie tylko wspólne cele.

- Nienawidzę takiego wiatru? – syknął doktor, ściskając kaptur kurtki.
- Już prawie jesteśmy.
- Jak promieniowanie?
- Ujdzie?

Gomeza nagle naszło dość zastanawiające i niespodziewane pytanie.

„Kim jest Sussaro – Człowiekiem”?

- No! – nagły okrzyk zadowolenia obiektu refleksji doktora zupełnie wytrącił go z rytmu.

Zmrużył oczy, próbując zamaskować zdezorientowanie, po czym odgarnął kaptur z głowy, odsłaniając go dla przenikliwego wiatru. Rozejrzał się dookoła, próbując w pewnym sensie przywołać każdy szczegół widziany kilkanaście lat temu. Pierwszym, oczywistym wnioskiem był brak ludzi. A co z resztą?

Cóż, brak ludzi miał w gruncie rzeczy bezpośredni wpływ na ową „resztę”.

Niemal cały asfalt i chodnik dookoła zarośnięty był gęstym,

żółtawo-brunatnym, gęstym mchem, gromadzącym na sobie spadłe liście i gałęzie. Mech ów wyglądał niczym spadły na nierównej, zaniedbanej drodze – „powlewał” się on w najgłębsze fragmenty szosy, upodabniając niezarośnięte fragmenty do małych wysepek. Osiadła kilka metrów dalej kałuża aż tak bardzo nie różniła się od „pola” mchu; różniła się jedynie kolorem, wielkością (miała ponad metr średnicy) i faktem odbijania w swojej brudnej, pełnej zanieczyszczeń tafli szarego nieba i przesłaniających go gałęzi.

Same drzewa nie zmieniły się przez cały ten czas – wciąż stały dumnie przed budynkiem, patrząc na wszystko z wyższością. Inaczej miały się krzewy i trawa dookoła kompleksu – zapuszczona, zachwaszczona, nie sprzątnięta z rozwianych rzeczy, w tym gnijących liści.

Budynek zaś...

Budynek stracił wiele ze swojej „świeżości” i istotnie, wyglądał jak ruina. Jediną ratującą go rzeczą było kilka okien, które przetrwały próbę czasu.

W oczy najbardziej rzucały się zacieki po deszczu – wymieszały

się z całą masą różnych rzeczy, przyjmując zielonawą barwę, która mocno odznaczała się na wypłowiej, kremowych kafelkach. Większość okien była zalana zielonawą mazią i brudna czy też zaparowana od środka, kilka jednak było zadziwiająco czystych, zupełnie, jakby niedawno je umyto.

W porównaniu do stanu przed kilkunastoma laty, prypecki szpital wyglądał dziś wręcz nienaturalnie. Czyste, przyjemne drogi i okolica stały się niemal lasem, biel kafelków zniknęła, tak samo jak błysk szyb i wyblakłe światło rzucane przez odbijające promienie słońca drzwi wprawiane w ruch przez pacjentów, członków ich rodzin czy pracowników kliniki.

- Nienawidzę tego uczucia. – jęknął Gomez.
- Nikt go nie lubi. – uspokoił doktora Sussaro. – I tak masz dobrze.
- To znaczy?
- Wyobrażasz sobie, co będzie przeżywał Masterton, jak tu przyjdzie?

Drzwi otworzyły się szeroko, ukazując dobrze znane wszystkim wnętrze. Dymitr raczej nie miał zamiaru przemeblowywać parteru, prawdopodobnie postąpi tak tylko ze swoim nowym biurem. Za drzwiami stał Harlan – wyrzwał przez nie, zbadał wzrokiem cały ganek, po czym dał obecnym znak, by weszli do środka. Pierwszy z miejsca ruszył się Jonathan, który poczuł się wyjątkowo nieswojo, przekraczając próg. Leon zaś niemal jęknął, przypominając sobie dzień pojmania Barry’ego.

- Banda inwalidów... – zażartował Harlan, widząc pokaleczonych agentów.

Lenny ze złamaną nogą, Leon z raną brzucha i Mark z obwiązaną ręką, nie wspominając o bliźnie po brzytwie na czole Michała. Grupka stalkerów wyglądała jak zbiorowisko barowych zabijak, które dopiero co „rozwaliły” kolejny bar.

- To jeszcze nic. – odparł Masterton, zamykając za sobą drzwi.
- Bez pukania? – spytał, wskazując kciukiem schody prowadzące na górę.
- Bez.

- Nareszcie...
- Hej! – zawołał niespodziewanie Michał w stronę Jonathana. Ten, pokonując już pierwszy stopień schodów, zatrzymał się nagle i spojrzał w stronę łowcy przez ramię.
- Ta? – spytał zirytowany.
- Mam przy tym być.
- Przy czym?
- Jego śmierci.

Jonathan uśmiechnął się pod nosem.

- Dobra... psycholu. – odpowiedział, „strzelając” ironicznie okiem. – Czy to jest zaraźliwe? – mruknął, wbiegając po schodach.

Michał prychnął na dźwięk ostatnich słów Mastertona. Odwrócił się powoli przez plecy, po czym spojrzał błagalnie na resztę stalkerów i, jak słyszał, bliskich przyjaciół Jonathana.

- Nie pytaj. – rzucił rozkazująco Radek. – My znosimy to przez czterdzieści lat...

Nacisnąłem kryształową (pałacu mu się zachiało?) klamkę jednym, pewnym ruchem i niedbale otwierając drzwi na oścież, wpadłem do środka. Ciekawe, jak?

- Jezu! – krzyknął zaskoczony Dymitr, podskakując na krześle i łamiąc ołówek, którym wypełniał na biurku pewien dokument. – poj*bało? – krzyknął po raz drugi, stukając się w czoło. W komiczny sposób zsunęły mu się okulary – dyndały bezwładnie, zwisając z wnętrza ucha.

- I to ostro. – odpowiedziałem, zdając sobie sprawę, że w pewnym sensie zwyczajnie błaznuję.

Musiałem jednak odreagować wszystkie godziny spędzone w łóżku i pieluchach, ?wyładować się?, by znów zachowywać się jak na co dzień. Czyli nieprzewidywalnie.

Miałem dobry dzień.

- Jonathan, tak? – spytał nowy dowódca, temperując urwany koniec ołówka „korką”. Nie poprawił nawet okularów, które w końcu spadły na ziemię, niemal się tłukąc. – A gdzie reszta?
- Zaraz przyjdą, ale ten cały Michał chce dotrzymywać nam

kroku każdego dnia i być przy tym, jak w końcu go wykończymy.

– „Go”?

– No, Igora.

Dymitr temperował dalej, wbijając swe spojrzenie w kurczący się ołówek.

– A sam nie chce go zabić? – rzekł po chwili.

– Myślę, że byłby wniebowzięty. – powiedziałem z dumą w głosie.

– Masz. – rzekł Dymitr, wyciągając w końcu ołówek z temperówki. Był cienki niczym igła, zapewne niemal równie ostry. Wcisnął mi go w dłoń. – Niech załatwi go tym.

– Serio? – spytałem z niedowierzaniem.

– Nie. Ale przyznaj, że to by było niezłe. – odparł z uśmiechem, zabierając mi ołówek.

Pochylił się nisko nad biurkiem, po czym wrócił do pisania na kartce. Podeszedłem bliżej i zerknąłem na papier – wyglądał mi na regulamin albo instrukcje – każdy akapit czystej kartki A5

zaczynał się cyfrą, od jednego do, na razie, dziewięciu. Każdy punkt składał się ze średnio trzech zdań.

– Co to?

Jutro ci powiem? – mruknął Dymitr, kończąc zdanie zapisane przy cyfrze dziesięć. Schował papier do szuflady, zamknął ją na klucz, który schował w lewej kieszeni spodni i spojrzał na mnie, mówiąc:

– Siadaj.

Usłuchałem – złapałem krzesło stojące w kącie pokoju, ustawiłem je przy biurku, po czym usiadłem wygodnie, zakładając nogę na nogę. Lewą rękę trzymałem w kieszeni, prawą zaś „stukalem” w czubek kolana. Mój beztroski nastrój wskazywałby na to, że dopiero jutro będę w stanie zrobić coś „złego” – dziś miałbym, sam nie wiem czemu, opory by chociażby kogoś uderzyć, a co dopiero zabić.

Durna psychologia...

– Mówiłeś coś? – spytał Dymitr.

– Kiedy mamy się nim zająć?

- Bo ja wiem? Kiedy chcecie?
- W sobotę?
- Może być.
- A jak mamy to zrobić?

Dymitr zakaszlał głośno, niemal lecąc w tył razem z krzesłem. Typowy kaszel palacza, do którego przyzwyczaił mnie Leon. Wolałbym nie wiedzieć, jak wyglądają ich płuca.

- Jak chcecie – wysapał dowódca, łapiąc łąpczywie oddech.

Każdej próbie towarzyszyło głośne uderzenie pięścią w stół. –

Byle by... – urwał po raz drugi, znów kaszląc.

- Skończył w anomalii?
- T... ta! – sapnął, rzucając się we wszystkie strony.

Po trzech sekundach przestał, wziął pięć razy głęboki oddech. Jego zaczerwieniona twarz rozbłysła kilkoma kropelkami potu. Odetchnął z ulgą, przyglądał włosy, po czym kiwnął głową.

- Tak, ma skończyć w anomalii. Ale przed Igorem macie się zająć kimś jeszcze. Zawołaj ich. Kur...

Wstając przeszła mi przez głowę zabawna myśl. „Nie lubię zabójstw na zlecenie.” Dziwnie to zabrzmiało, biorąc pod uwagę, kim jestem. Tego typu zlecenia wykonywałem chętnie, owszem, ale kilka lat temu. Znudziły mi się, do tego uznałem je za zbyt ryzykowne.

Ale cóż... Są momenty, w których trzeba się przemóc.

- A kogo chodzi? – zagadnąłem, zbliżając się do drzwi.

Uchyliłem je lekko, wyjrzałem przez nie, po czym dałem znać reszcie, by weszła na górę. Najszybszy, co wcale mnie nie dziwiło, był Michał, który dosłownie wyrwał się z tłumu i jak dziki pomknął w moją stronę.

- Graham Kellerman. – rzekł Dymitr sekundę przed uniknięciem przeze mnie zderzenia z pędzącym Michałem, który wleciał do biura jeszcze gwałtowniej ode mnie. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, głos zabrał Dymitr.
- Tak, będziesz mógł go zabić, ale najpierw zajmijmy się kim innym, dobra?

Byłem bliski parsknięcia śmiechem, widząc ulatniający się entuzjazm Michała. Po dwóch sekundach upokorzenia w końcu kiwnął nieznaczająco głową, po czym oparł się o ścianę, czekając na innych, zwłaszcza wleczonego się Lenny'ego.

Kiedy w końcu dokuśtykał do pokoju i wraz z resztą usadowili się na miejscach, Dymitr zaczął wprowadzać nas w szczegóły.

Zakręcił się dość mocno na krześle, obracając się dookoła co najmniej dwa razy.

– Graham Kellerman... – mruknął, wciąż się kręcąc.

Zahamował prawą nogą o stolik, po czym kontynuował. –

Graham był w Mryńsku przez kilkanaście godzin, ledwie kilka godzin po wybuchu. Z pewną osobą, której nie znamy...

– A jego skąd znacie? – zapytał Radek.

– Stalker – mało, prawie w ogóle nieznany, ale na tyle jednak, że wojskowi dali radę go „spisać”. W Mryńsku zrobiliśmy mu zdjęcie i... Nie spodziewałbym się tego po nim. Wiadomo o nim, że w życiu zdobył jedynie dwa artefakty i to, że całkowicie stroni od „życia publicznego”, w sumie to

widzieliśmy go tylko raz, w „tej” Zonie. Rok temu był w Rostoku przez tydzień, potem się nie pokazywał. Do wczoraj, kiedy wraz z jakimś gościem zestrzelili nam śmigłowiec...

– Zwolnij. – rzuciłem nagle. – Kiedy, jak, gdzie?

– Trzecia grupa badaczy, znaczy się, rządowa, która miała zbadać elektrownię została zestrzelona nad wieżą kościelną wczoraj w nocy. Więc, choćby z zemsty, macie go zabić. A najlepiej by było, gdybyście go złapali.

– Gdzie szukać? – spytałem.

– W Prypeci rzecz jasna.

I tak oto prysnął cały mój dobry nastrój. Czyli jego mogłem już mieć z głowy.

Szybkim krokiem, ku zdziwieniu mych przyjaciół, Dymitra i Michała, wyszedłem z pokoju i zbiegłem po schodach. Sięgając dłonią do klamki drzwi wyjściowych z chatki usłyszałem kilka dudniących kroków za mną. Obstawiałem, że pobiegł za mną Radek, Leon i Mikołaj. Izaak był na to za ciężki. Nie zwróciłem uwagi na lodowaty powiew wiatru, który niemal wbił mnie w ziemię

swym chłodem, kiedy wyszedłem na plac. Schowałem prawą rękę w kieszeń i udałem się do „nory” Igora. Nie było sensu tego dłużej odkładać – sobotę spędzę przed telewizorem.

Był bliski popadnięcia w autentyczny obłęd.

Czuł się zagrożony – pierwszy raz od ponad dwudziestu lat. Nigdy nie wyobrażał sobie takiej sytuacji – takiej, w której w końcu ktoś będzie chciał się do niego dobrać. Zastanawiał się, gdzie popełnił błąd, przez co lub przez kogo został ujawniony. Wszystkie okropieństwa, których się dopuszczał...

Nie zdziwiłby się, gdyby armia zjednoczonych stalkerów z całej Zony zaszarżowała na obóz rządu, gotów zrobić wszystko, byleby go zlinczować.

Igor od trzech godzin siedział na kozetce w bezruchu, próbując poukładać sobie w głowie wszystkie myśli, uspokoić się, chociaż trochę. Wszystko na nic.

– Ile mu dajesz?

– Bo ja wiem... trzy dni?

– Eee! Ja góra półtora. Pewnie zakradną się do niego w nocy i...

– A co z wywiezieniem?

– Rozpuszczą go.

– Wątpię. Ja na ich miejscu rozłożyłbym folię i go pokroił, a potem wyrzucał kawałek po kawałku, żeby nawet zęba nie znaleźli.

– Ząb?! Nie zdziwię się, jak któryś z nich zawiesi go sobie u szyi!

– Mimo to uważam, że nie będzie im się chciało go kroić.

Obstawiam, że poproszą go o upolowanie mutantu i...

– ...w tył głowy.

– Może. Ale gdyby Jonathan miał odpał, pochłastałby go tym swoim nożykiem.

– Nie musi chlastać. Jedno precyzyjne cięcie i...

I tak od dwóch godzin.

Armia halucynacji i omamów otoczyła Igora i nieustannie się nad nim znęcała, podsuwając wizje i wyobrażenia jego rychłej śmierci. Był prawdziwie zszokowany – do tej pory nie zdążył się nawet przyzwyczaić czegoś bać, teraz zaś „kazano mu” przygotowywać się do zejścia z tego świata w niezbyt miły sposób.

Może lepiej samemu się wykończyć? Oszczędzić cierpień? Igor i tak nie wierzył w Boga, więc nie przejmował się prawdą wiary, jako by samobójca miał trafić do piekła.

Otruć się czy zastrzelić? Raczej to drugie. Szybsze i mniej męczące.

Poza tym, pod ręką Igor miał jedynie pankuronium, a śmierć poprzez uduszenie po wcześniejszym paskudnym zwiotczeniu mięśni nie należała do przyjemnych. Dobrze to wiedział, bo już niejednokrotnie używał pavulonu, jak brzmiała „handlowa” nazwa owego specyfiku.

Pistolet Igora, Glock 20, leżał na biurku, metr od szpitalnej, skórzanej kozetki. Pięć sekund i było by po wszystkim. Chociażby mieli wywiesić jego ciało ku przestrodze, jemu by to nie przeszkadzało. Nie czułby już kompletnie niczego.

Cóż, trudno.

Mimo męczącej go niechęci, Igor jednym pewnym ruchem zsunął się z oparcia i wyprostował, po czym wykonał pierwszy krok w stronę pistoletu. Zatrzymał się chwilowo, by na niego spojrzeć.

Tak, to będzie najlepsze wyjście. Szybko i bezboleśnie.

Nagle w głowie Igora odezwała się kolejna myśl.

– Trzy dni? Półtora? W życiu. Ja daję mu trzy minuty.

Staął jak wryty, słysząc kroki. Szybkie, pewne i ciężkie, przypominały raczej bieg. Co oczywiste i dla Igora niestety nieszczęśliwe, kroki zbliżały się w stronę jego pomieszczenia.

– Idą po mnie... – odezwał się po raz pierwszy od trzech godzin Igor.

Drzwi.

Przez całe te zamieszanie zapomniał nawet o tym, żeby zamknąć blaszane drzwi, wchodząc do środka. Niczym porażony prądem rzucił się w ich stronę, te jednak zdążyły już pomknąć do przodu, prawdopodobnie uderzone barkiem. Igor uniknął zderzenia z kawałkiem zardzewiałej blachy, nie zdążył jednak uchylić się przez żelaznym uściskiem dłoni, która chwyciła go za szyję.

– Master...! – sapnął, wierzgając się we wszystkie strony.

Udało mu się raz kopnąć Jonathana w lewą nogę, pozbawiając go tym samym równowagi, jednak na zaledwie pół sekundy, któ-

rej oprawca praktycznie nie odczuł. Parł wciąż naprzód, z długo wyciągniętą przed siebie lewą ręką, którą dusił Igora. Miał zamiar zdążyć, zanim przybiegnie za nim Radek, który pewnie by go zatrzymał.

– Skurwieli! – wydyszał Igor, zderzając się ze ścianą. –

Wiedziałem, że to będziesz... – urwał w wyniku ciosu zadanego przez Jonathana.

Uderzył go z główki prosto w czoło, niemal pozbawiając go przytomności. W tym czasie Masterton zwolnił lekko uścisk by przesunąć kastet z ostrzem – wąską klingą do przodu. Widząc odzyskującego świadomość Igora, Jonathan „doprawił” go dodatkowym kopnięciem w brzuch. Skulił się odruchowo, łapiąc się za bolące mięśnie. Jonathan złapał jęczącego Igora za włosy, wyprostował go do pionu, po czym zamachnął się lewą dłonią. Ściągnął ją w dół, po czym pchnął w stronę brody agenta, trafiając go ostrzem za podbródek, odchylając tym samym głowę nienaturalnie w tył. Jonathan niemal się zawahał, słysząc przeraźliwy krzyk i krew powoli wyciekającą z pod brody. Musiał jednak „kontynuować”.

Rzadko używał tego artefaktu, teraz zaś miał do tego idealną okazję.

Z pomocą „Sprężyny” i niewątpliwie silnej lewej ręki, Masterton zdołał unieść ją wysoko w górę. Razem z wciąż nabitym na ostrze Igorem, który słabł z sekundy na sekundę, nie mogąc pewnie uwierzyć w to, co się właśnie dzieje.

„Wisiał”, przybity do ściany, ponad pół metra nad Mastertonem, nie mogąc nic zrobić. Nie mogąc wydusić słowa, jęknął jedynie ze zdziwienia widząc niespodziewany grymas na twarzy Jonathana. Próbował poruszyć prawą ręką, co sprawiało mu widoczne trudności. Do tej pory bezwładnie zwisająca, zdołała unieść się na wysokość pasa, przesunąć w stronę pleców i w końcu wyciągnąć pistolet.

„Goły” Colt należący do Radka, jeden z dwóch posiadanych przez niego modeli M1911A1. Ten był bardziej „klasyczny” – nie modyfikowano w nim niczego (nie licząc kilku wymienionych części), miał typowy, matowy, ciemnosrebrny kolor i okładzinę z ciemnego drewna, prawdopodobnie dębu.

Jonathana zaczęły opuszczać siły – trzęsący się Igor, teraz już cały we krwi opadł kilka centymetrów w dół, poważnie przeciążając dłoń Jonathana. Problem stanowiła teraz jednak prawa, w której obecnie dzierżył pistolet.

W nagłym przypływie siły i adrenaliny Masterton poderwał broń do góry i przyłożył ją do klatki piersiowej Igora, celując w serce. Wcisnął się, niemal wgryzł lufą w żebro Igora.

Samemu czując wielki ból – mięśni, głowy i przede wszystkim ścięgien, zdołał jakimś cudem pociągnąć za spust. Ciało Igora, teraz już bezwładne, podobnie jak grube mury i metry ziemi skutecznie zdusiły odgłos wystrzału.

Obie ręce Jonathana opadły bezwładnie z sił, wypuszczając tym samym ciało, które załomotało o kamienną podłogę, lądując na brzuchu.

Wypuszczony z bezwładnej dłoni Mastertona Colt wylądował obok prawej dłoni zwłok Igora. Palce wyglądały, jakby próbowały coś chwycić – pozostały w panicznym rozwarciu.

Masterton uśmiechnął się lekko, widząc tą dość nietypową scenę.

Zaraz potem krzyknął znowu, czując napływ bólu w prawej ręce. Czuł się, jakby po tygodniu poruszono mu w niej ogromny skrzep krwi, który zaczął krążyć po żyłach.

– Szybciej! – ponaglił Radek, zeskakując z pięciu stopni na raz. Chwilę później zrobił to pędzący Mikołaj, który z trudem zachował równowagę po lądowaniu; upadłby, gdyby nie zderzył się z kamienną ścianą. Wyprostował się i miał zamiar już biec dalej, stanął jednak w miejscu, słysząc pewien odgłos.

Z końca betonowego korytarza rozległ się suchy trzask, jakby grubej, suchej gałęzi. Był jednak zbyt donośny i, choć wytłumiony między innymi przez ściany, łatwy do rozpoznania.

Mikołaj chwycił wciąż biegnącego przed siebie Radka za ramię i pociągnął go do tyłu. Widząc jego oburzone spojrzenie, rzekł:

– Już po nim.

– Jak...?

– Nie słyszałeś? Załatwił go.

– Kurwa... – jęknął Radek, wyraźnie mniej podekscytowanym tonem. – I co teraz?

- Na początek... zamknij drzwi.
- Jestem ciekaw... – zaczął stalker, podchodząc do blaszanej klapy. – Co mu zrobił. – dokończył, chwytając obie klapy, po czym pociągnął je do siebie i zamknął, robiąc przy tym spory hałas. Mikołaj aż zgrzytnął zębami, słysząc metaliczny huk.
- Już?! – zapytał zniecierpliwiony.
- Ta... – mruknął Radek, blokując uchwyty blachy, spinając je łańcuchem. – Już...
- Myślicie, że ma ta jakiś kwas, albo coś w tym stylu? – odezwał się milczący do tej pory Leon, który stał od pozostałej dwójki o ponad dwa metry, nerwowo wpatrując się w głęb korytarza.
- To nie Jefferson. – rzekł Mikołaj, robiąc pierwszy krok naprzód. Chwilę później ruszył za nim Radek.
- To znaczy? – zapytał po kilku sekundach milczenia, podczas których trójka agentów pokonała ledwie trzy metry. Szli bardzo wolno i spokojnie.
- Do jutra, no, może góra za dwa dni, Dymitr ogłosi wszystkim, że mieliśmy załatwić Igora, a wszystkich, którym się to nie podoba, spotka zapewne to samo...
- W sumie... – zamyślił się Radek. – Przydałoby się zrobić tu nieco porządku.
- Z wojskiem będzie mu trudniej. – zauważył Leon, idący powoli bokiem wzdłuż ściany. – Jak ty sądzisz, Ra...
- Nie zaczynaj! – krzyknął nagle Radek, mierząc Leona zabójczym spojrzeniem. Ręka odruchowo wylądowała mu na rękojęści Colta.
- Pytam poważnie... – kontynuował wciąż spokojny Leon. – Byłeś z nimi, widziałeś co potrafią, więc...
- Nigdy... – wysypał Radek, łapiąc Leona za kark i przystawiwszy go do ściany, boleśnie trafiając jego nosem w mur. – Nie mów nikomu o tamtym dniu, rozumiesz?! – tym razem już krzycząc, wyjął pistolet z kabury. Widząc jego wściekły wyraz twarzy Mikołaj aż zdziwił się, że lufa M1911A1 nie wylądowała na potylicy Leona.
- Niby czemu? – spytał Leon, wciąż w miarę spokojny, choć już lekko przestraszony, z niepewnie brzmiącym głosem.

- Jest mi wstyd, po prostu wstyd, rozumiesz?
- Wstyd za co?
- Nie udawaj, że nie...
- Jasne, że wiem! Trzech stalkerów i możliwość załatwienia reszty, ale coś ty im...
- Zaraz zrobię to, ku*wa tobie! – wykrzyczał Radek, tym razem wyjmując pistolet z kabury i dociskając jego lufę tak mocno do głowy Leona, że tej jęknął z bólu. – A raczej by ci się to nie spodobało.
- Daj mu spokój... – szepnął ktoś zrezygnowanie z zacienionej części podziemi, idąc powoli w stronę trójki agentów.

Z cienia wyłoniła się zmęczona i spocona twarz Jonathana, dwa kroki później odsłonił on swój garnitur – widniała na nim spora plama jasnej krwi; ciemna, która niemalże już skrzepła, pokrywała jedynie biały kołnierzyk koszuli, którą Masterton niósł pod marynarką.

Jej prawy rękaw zwisał bezwładnie – był pusty, prawa ręka Jonathana oparta była o zwisający z szyi pas. W lewej dłoni, najob-

fiej pokrytej krwią, Masterton jak zwykle trzymał swój kastet zakończony ostrzem. O dziwo klinga była całkowicie czysta, wypolerowana „na połysk”; lśniła metaliczno niczym firmowa, nowo kupiona zapalniczka.

Masterton miał wiele dziwnych zachowań, ale do ścisłej czołówki zaliczało się polerowane owego ostrza tuż po jego „użyciu”. Zrobił tak nawet w przypadku...

- Słuchaj. – powiedział Radek stanowczo w stronę świeżego mordercy Igora. – Jeśli on... – w tej chwili wskazał kiwnięciem głowy Leona. – Jeszcze raz wspomni o...
- Wybiciu tamtego obozu? – domyślił się Jonathan. Widząc zdziwione spojrzenie kolegi, uśmiechnął się lekko pod nosem.
 - Lepiej o tym zapomnieć.
- Raz na zawsze. – szepnął Mikołaj.
- Smuci mnie to. – mruknął po nosie Jonathan, prostując się.
- „To” czyli...? – dociekł Leon.
- Pamiętacie te wszystkie nasze „przysięgi przyjaźni”, jeszcze z Prypeci?

W ciemnym korytarzu zapadła głucha cisza. Każdy na swój sposób zaczął rozmyślać o dzieciństwie, konkretnie zaś o przypomnianej przez Mastertona rzeczy – „przysięgach”. Mikołaj, mimo swego przekonania o własnej dorosłości i prób nie myślenia o przeszłości z chęcią zaczął rozmyślać o tamtych czasach i dniach, w których poznawał swych pierwszych przyjaciół. Radek, pierwszy raz od ponad trzech tygodni wrócił myślami do swej młodości, dokładnej zaś, do pierwszego w życiu pobytu w szpitalu; tego, podczas którego „oficjalnie” uznał za swego najlepszego przyjaciela Leona. Ten z kolei nie myślał o niczym konkretnym – zaczął sobie jedynie wyobrażać siebie w wciąż „żywej” Prypeci, leżącego na kamiennych schodach w centrum, wpatrującego się w niebo. Już wtedy go to uspokajało, teraz również był to jeden z jego lepszych sposobów na wszelkie przejawy złości. Zaraz po papierosach i alkoholu, których niestety od dłuższego czasu nadużywał, co gorsza, zaczął odczuwać tego skutki.

Masterton zaś, jak zwykle, nie mógł się skupić na jednej, konkretnej rzeczy. Z jednej strony myślał o Kamilu, z drugiej wciąż

przeszkadzały mu w tym wspomnienia związane z Adrianem i pobylem w szpitalu po bolesnym ranieniu oka. W cały ten i tak już poważny „konflikt” mieszał się ojciec Jonathana, Ullises – zarówno te dobre jak i złe, tych pierwszych jednak, na szczęście, było znacznie więcej.

O dziwo, po tak wielu zmianach w swoim życiu i niewątpliwego częściowego wyprania z emocji, Jonathan pozostał optymistą.

- Więc... – kontynuował, mimo tego, że nie doczekał się odpowiedzi. – Robi mi się przykro z powodu tego, co dziś robimy...
- Mogło być gorzej. – uspokoił się Radek.
- Jasne. Zawsze mogliśmy się pozabijać nawzajem za byle co, ale to... smutne.
- To przepadło. – Radek schował w końcu pistolet do kabury, po czym podszedł do Mikołaja, wciąż kierując jednak słowa do Jonathana. – Jedyne, co zostało z tamtych czasów to to, że wciąż jakoś trzymamy się razem, a to już naprawdę wiele.
- Szkoda, że nie wszyscy... – szepnął Masterton, mając na myśli

Kamila.

Mimo wszystko, dziś nie miał odpowiedniego nastroju na to, by wyłuskać wszystkie pozytywne związane z nim wspomnienia. Nie mógł odpędzić od siebie wydarzeń z końcówki kwietnia 1986 roku. Po prostu nie mógł. Zmienił temat.

Radek i jego współpraca z wojskiem.

Powód, dla którego mające kilkanaście lat więzi mogły w ciągu kilku sekund całkowicie stracić ważność. Był to chyba najbardziej drażliwy dla Radka temat; wątek, który dołował go bardziej niż Jonathana dołował brak Kamila. By uwolnić się od tych drugich i tym samym potwierdzić pewne słowa zasłyszane niegdyś w prypeckim szpitalu („Zawsze łatwiej jest mówić nie o swoim, ale cudzym nieszczęściu.”), Masterton myślami cofnął się do ubiegłorocznej gwiazdki.

Dnia, w którym stalkerzy tak naprawdę zaczęli prawdziwie nienawidzić stacjonujących w Zonie przedstawicieli rządu. Fakt, nigdy się nie lubili, ale była to raczej niechęć, drobne uprzedzenie, tłumaczone najczęściej konfliktem interesów.

Jednak od tamtego dnia, stalkerzy wypowiedzieli wojsku otwartą wojnę.

Biorąc pod uwagę okoliczności, mieli do tego całkowite prawo.

34

Rok 2000

Zjadł zdecydowanie za dużo.

Karp, kilkanaście pierogów, ogromny zraz – wszystko to popite wielką, wręcz przyprawiającą o mdłości ilością czerwonego barszczu. Zawsze objadał się niczym dziki wieprz, ale nigdy nie jadł tak dużo jak w Boże Narodzenie. Ilość potraw, samo wyczekiwanie na sposobność spożycia ich w tą niezwykłą okoliczność, jaką były święta, zwiększały nienasycony apetyt Grahama. Zwykle, tak jak teraz, odkupywał to godzinami spędzonymi w toalecie, nie były one jednak widocznie na tyle złe, by zapobiec przyszłorocznemu obżarstwu. Tym razem dopadła go dość silna niestrawność i jesz-

cze silniejszy ból brzucha; był on jednak do wytrzymania.

Kiedy skończy, wróci na swoje miejsce przy wigilijnym stole i pełnienia grzechu obżarstwa. Ku zdumieniu wszystkich jego znajomych, Graham nie był gruby, wręcz przeciwnie – był doskonałej kondycji fizycznej, silny, wysportowany i dobrze zbudowany. Zawdzięczał to nie tyle ćwiczeniom, co wyjątkowo dobrej przemianie materii – już od dziecka pamiętał, jak pomagała ona mu zachować odpowiednią wagę.

– Święta w Zonie... – mruknął z lekkim niedowierzaniem, wyrzawszy przez okno.

Chyba najbardziej przydatne wykorzystanie dawnej zabudowy, jakie Graham w życiu widział.

Do czterech chat wioski niedaleko Prypeci ponad tydzień temu wniesiono stoły, krzesła, sprzęt grający oraz dekoracje, które jeszcze do wczoraj leżały w pudłach, dziś zaś spoczęły na lampach, oknach i drzwiach drewnianych budynków.

Dwa dni temu umieszczono w każdej z nich przenośny grzejnik, który już uruchomiono ubiegłej nocy tak, by zdążyć „nagrzać”

każdą chatę; na zewnątrz było wyjątkowo zimno i nieprzyjemnie, a prognoza z dnia na dzień się pogarszała. W miarę możliwości polokowano i pouszczelniano okna każdej ocieplanej chaty tak, by zachować w środku gorące powietrze. Co do drzwi, o dziwo, były one sprawne w każdej z chat, co było „zasługą” mieszkających tu ponad rok temu handlarzy, którzy w pewnym stopniu wyremontowali okoliczne pomieszczenia i urządzili sobie tu coś w rodzaju targu. Po paru miesiącach jego niezwykle owocnego funkcjonowania handlarze postanowili jednak przenieść się bliżej Zony i jej niebezpieczniejszych, bardziej znanych terenów; nie każdy miał ochotę na kilku kilometrowy spacer nieznanymi ścieżkami, często naszpikowanymi anomaliami. Fakt miało to swoją zaletę; do Targu zjeżdżała się sama elita, która wydawała u kupców prawdziwy majątek, mimo to handlowcy postawili na powszechność i łatwy dostęp swoich usług.

Wynieśli cały sprzęt, wymontowali nawet okna, ale drzwi zostawili, ułatwiając tym samym w znacznym stopniu zadanie stalkerom, którzy podjęli się zorganizowania wigilii.

Na pierwszy rzut oka wydawało się to niemożliwe – wystarczyło wypowiedzieć sobie w duszy słowo „Zona”, pomyśleć o wszystkich Jej „urokach” i tym, z czym najczęściej się kojarzy, by się zniechęcić. Jednak nawet w Zonie było kilku ludzi dobrych woli; nie tyle mądrych, do odważnych, by choć zaprezentować innym pomysł urządzenia wigilii w takim miejscu jak Strefa. Po oczywistym zdziwieniu i niewątpliwie ironicznym parsknięciu śmiechem stalkerzy zastanowili się jednak głębiej nad tą kwestią – była niezwykle kusząca, mogła w pewnym stopniu pomóc mieszkańcom Zony i...

– Nie... – syknął Graham, zaciskając pięść ze złości.

Nienawidził, kiedy jego rozmyślania szły w złą stronę i traciły swój początkowy rytm. – Inaczej...

Wigilia była po prostu dobra.

Tak, użycie tak prostego i wręcz prymitywnego słowa jak „dobra” nieco zdziwiło Grahama, ale uznał on to za lepsze niż wielominutowe wymienianie różnorodnych epitetów. Ta „obiektywna” strona pojęcia „dobre” (dla niektórych, przykładowo, oznacza to,

że będzie miał okazję kogoś zabić) zawierała w sobie wszystkie pozytywy związane z wigilią; choć nikłe, to zawsze – poczucie wspólnoty większe niż to odczuwane podczas wypadu, rozmowy w barze czy...

Po prostu niepowtarzalne.

Te święta były po prostu potrzebne, a w szczególności w Zonie; mimo wszystkich dziejących się w niej okropieństw, a może właśnie dlatego – by dać żyjącym w niej ludziom choć trochę normalności. Potem? Niech robią co chcą; wróć do tego, czym się na co dzień zajmują – wypraw, morderstw czy polowań.

Ale ten jeden dzień Zona miała być nie do poznania – widząc ją w święta ludzie mieli sobie zadawać pytanie „I to ta niesławna Strefa?”, mieli uznać nazywanie skażonego Czarnobyła piekłem za niedorzeczne.

Przez społeczność stalkerów przewijało się setki różnorodnych pomysłów, w których nie brakowało dobrego zamysłu i szczytnych intencji. Ale tym razem w parze razem z intencjami miało iść wcielenie w życie i dotrzymanie obietnic „złożonych” w teorii.

Miał to być spokojny, zwyczajny dzień, tak bardzo różniący się od każdego innego – tych, które wypracowały opinię Zonie i stalkerom.

– No i się udało... – mruknął Graham, znowu patrząc przez okno (jedno z dwóch w całej „wiosce”) na, uwaga, bogato przyozdobioną choinkę.

Niezwykły, za to bardzo krzepiący widok.

– Nie uważasz, że to lekka przesada? – spytał Marek, obserwując gotujący się barszcz.

Bulgotał, aż miło, wypełniając pokój swym aromatem – mimo tradycyjnego przepisu dominował w nim uwielbiony przez Marka czosnek. Nie mógł się doczekać, by go spróbować, mimo, że musiał poczekać jeszcze ledwie dwie minuty, wydawało się to dla niego za dużo.

„Głodny jestem!” – pomyślał błagalnie.

– Może trochę... – odpowiedział siedzący przy kuchennym stoliku Daniel.

Od godziny rozmawiał z Markiem, podczas gdy ten szykował barszcz, teraz zaś zeszli na temat „zakupów”. Otóż Daniel od ponad dwóch tygodni przymierzał się do zakupu nowej broni – odkąd w wyniku spotkania z pewnym stalkerem, prawdopodobnie pracującym dla wojska, stracił swój karabin, nie mógł nawet zapolować na oblażącego ze skóry psa. Przesiadywanie w bazie, barze czy jakimkolwiek innym obozowisku nie tyle go dołowało, co zwyczajnie irytowało – od zawsze rozpierała go energia, a polowanie na mutanty... było najlepszym sposobem na rozładowanie się.

– Znam jednego gościa... Adama. – Marek powąchał barszczu. Był prawie gotowy.

– I co z nim? – spytał Daniel.

– Załatwi ci tego samego Remingtona za osiemdziesiąt procent tego, za ile chce ci sprzedać ten twój znajomy.

– Ale nówkę?

– Oczywiście, że tak. On sprzedaje same nówki, chyba że chcesz jakiś kolekcjonerski egzemplarz.

- Kolega poszukuje rządowego Colta.
- Jedenastkę? – domyślił się Marek, skręcając gaz w kuchence.
- Ta, jeden z pięciuset egzemplarzy na cały świat, Sing coś-tam... Mam to gdzieś zapisane, jutro ci powiem konkretnie i pogadasz z tym Adamem.
- W porządku...
- Słyszałem, ba, widziałem kiedyś ten model. Chyba nawet ma go jakiś stalker...
- Gdybyś mi go załatwił, byłbym bardzo wdzięczny. – zapewnił Daniel. – I jak? – spytał po paru sekundach milczenia.
- Chwila... – Marek chwycił w prawą dłoń dużą łyżkę, zanurzył ją w zupie, po czym spróbował sto... sto... sto dwudziestego trzeciego barszczu zrobionego w swoim trzydziestoletnim życiu. Raz, dwa, trzy – miła liczba.
- Jak zwykle... – mruknął z zadowoleniem. – Idealny. Idź do... Kur...! – Marek urwał nagle, łapiąc się za brzuch. Po dwóch sekundach koszmarnego bólu nastąpiła niespodziewana chęć na...

- Co ci? – zaniepokoił się Daniel, widząc chwiejącego się Marka.
- Muszę... do kibla! – wysapał Marek, biegnąc w kierunku drzwi.
- Zajęty!
- Co?! – stalker zdążył otworzyć już drzwi. Stał we framudze, gorączkowo łypiąc oczyma. – Przez kogo?
- Graham...
- Kurwa! – Marek wypadł z chaty tak gwałtownie i szybko, że stłukł szybkę w drzwiach wejściowych.

Już w przedpokoju poczuł chłód, na zewnątrz jednak był on tak nieprzyjemny, że stalker miał chęć zawrócić do środka. Robić w krzaki w jakimś w lesie przez tego zasranego debila-obżartucha! To się nazywa upokorzenie...

Wciąż trzymając się za brzuch, ominął przerobioną na kuchnię chatę dookoła i skierował się w stronę najbliższego, większego skupiska drzew, którego nie oświetlały nawet lampki wielkiej choinki. Mimo wszystkich niedogodności wsłuchiwał się w przyjemny dla jego ucha suchy dźwięk gnieczonego śniegu.

Biegnąc obok niej, kołysząc nerwowo głową i zmagając się z setkami jaskrawych światełek poczuł się jak w pędzącym pociągu w słoneczny dzień – choć zdarzyło mu się to ostatnio dopiero kilka lat temu, poczuł, że zaraz dopadnie go atak padaczki. Zamknął oczy i pobiegł kilka metrów na oślep, lewą, wolną ręką osłaniając się przed ewentualnymi gałęziami. Po czterech sekundach przestał odczuwać mdłości, oddaliły się one wraz ze światełkami choinki oraz ozdób, podobnie jak widmo ataku epilepsji. Brakowało mu tylko papieru do pełni szczęścia w tym nieszczęściu.

W końcu.

Zacieniony, wolny od czyjegokolwiek wzroku zakątek.

Otworzyłem powoli drzwi i wszedłem do przedpokoju. Poczułem zapach świeżego barszczu i kilku innych potraw – ciekaw byłem, czy Marek zdążył już którejs z nich spróbować. Poczułem nieprzyjemny ścisk w żołądku.

„To śmiecie.”

Po czterech krokach dotarłem do otwartych drzwi prowadzących do kuchni. Tutaj czosnkowo-ziołowy aromat osiągnął już apo-

geum, poczułem się jak w ekskluzywnej restauracji podającej tradycyjne potrawy. Znowu ten ścisk...

„...gnoje!”

W kuchni, przy okrytym ceratą stoliku siedział młody mężczyzna, wyraźnie zaniepokojony. Nie wyglądało na to, aby miał przy sobie jakąkolwiek broń – nie widziałem żadnej wypukłości ni w okolicy pasa czy klatki piersiowej. Jeśli w ogóle miał jakiś pistolet, to trzymał go najpewniej za plecami, wepchnięty w spodnie.

– Gdzie Marek? – spytałem go.

Mężczyzna spojrzał się w moją stronę nieco zaskoczony, jakby dopiero zauważył moją obecność. Obadał mnie spojrzeniem, po czym odpowiedział.

– Wybiegł za potrzebą. Masz do niego jakąś sprawę? – zaciekał się po chwili.

Nie mogłem się powstrzymać od ironicznego uśmiešku, który szybko jednak zniknął z mojej twarzy, zmyty przez kolejną wątpliwość, po której zaś z kolei znowu w mej głowie rozbrzmiało propagandowe hasło.

„sku*wysyny!”

Nigdy w życiu nie czułem się tak niepewnie. Ale byłem już za daleko, żeby się wycofać.

– Martwi nie mówią... – mruknąłem, wyciągając pistolet z kabury, po czym wymierzyłem go w młodego stalkera.

Singer mfg Co., jeden z pięciuset egzemplarzy na świecie, wart ponad trzydzieści tysięcy dolarów, nigdy nie miałem zaś ochoty przeliczać tego na ruble czy hrywny. Moje samouwielbienie miało pewne granice.

Przebłysk sceny z wczorajszego prania mózgu wywołał u mnie mimowolny skurcz mięśni, przez co kula Colta zamiast trafić stalkera w głowę wwierciła się w jego szyję.

Okropieństwa tego widoku nie dało się opisać słowami, toteż nie próbowałem. Zamiast tego skupiłem się i wycelowałem jeszcze raz, tym razem prosto w czoło.

Stalker umilkł zanim łuska zdążyła drugi raz odbić się od podłogi. Zakrwawiona ręka zsunęła się z szyi i opadła bezwładnie, chlapiąc wszystko dookoła krwią. Niepotrzebny bajzel.

I na co to wszystko?

Przełożyłem pistolet do lewej ręki, prawą zaś złapałem za nogę trupa, po czym ściągnąłem go z krzesła i powlokłem do przeciwnego pokoju, w którym panowała kompletna ciemność. Pod oknami postawiono kilka wysokich szaf, pomiędzy którymi wepchano szmaty i różne tkaniny, chcąc ocieplić budynek, jak widać, skutecznie. Mimo uszczelnienia słyszałem przez cienkie deski, co działo się na zewnątrz, a raczej, co działo się w pozostałych trzech chatach. Głośne rozmowy wymieszane ze śpiewami i odgłosami rodem z baru – dźwięki sztućców, talerzy i szklanek. Zabawa trwała w najlepsze, póki co.

Znowu poczułem wstyd, że brałem w tym udział. Jak oni będą na mnie po tym patrzeć? Jak na typowego rzeźnika, który za pieniądze zrobi wszystko. Cała nasza przyjaźń pójdzie się zwyczajnie je*ać, bo...

Poczułem wibrujący w górnej kieszeni kurtki telefon. Zaciągnąłem zwłoki w kąt, przymknąłem drzwi, po czym wytargałem aparat z dna i odebrałem, nie patrząc nawet na to, kto dzwoni.

Gdybym wiedział, prawdopodobnie cisnąłbym nim w kąt.

– Radek?! – krzyknął do słuchawki Masterton. – Gdzie ty kurw...

– Nie teraz! – rozkazałem stanowczo.

– Gdzie jesteś?

– Nieważne...

– Więc jednak.

Wiedziałem, że się domyśli. pierdo*ony wróżbita.

– Jednak co? – udałem, mizernie tłumiąc w mym głosie wyraźnie słyszalny strach.

– Nie bój się. Choć nawet ja nie robię takich rzeczy, to wraz z resztą wybaczymy ci ten jeden raz.

– Wybaczyć co?! – wrzasnąłem, uderzywszy czubkiem łumika pistoletu w ścianę, omal nie robiąc dziury w starej desce.

– To, że dałeś się na to namówić. – rzekł Jonathan, kończąc rozmowę.

Stałem przez chwilę wpatrzony w wyświetlacz telefonu – tapetę, którą stanowiło zdjęcie kontrabasu, stan baterii i godzinę – 21:42.

Zerknąłem w najciemniejszy kąt pokoju, w którym leżało ciało zabitego przeze mnie stalkera – nie było go widać, jak się zresztą spodziewałem. Poza tym... jeszcze trzy minuty i już nie będę się musiał niczym przejmować. Ponoć Masterton i reszta mi wybaczą.

21:43. Dwie minuty.

Wybrałem prędko numer Igora. Odezwał się po pierwszym sygnale.

– I...? – zamyślił się pytająco.

– Ślijcie ich. – rozkazałem. – Dwóch do mnie, reszta tam gdzie ustaliliśmy. Przedłużam czas o dwie minuty.

– Będą u ciebie za dwadzieścia.

– Marek?

– Po nim.

21:47 i będzie po wszystkim.

– Jezu... – sapnął Graham, czując kolejny napływ bólu w żołądku.

Wyjrzał jeszcze raz przez okno, tak, jakby widok ośnieżonej, różnokolorowej choinki miał go jakoś uspokoić. Zauważył przemykających obok niej szybkim krokiem dwóch mężczyzn. Nie dziwił się, widząc tempo ich chodu, zważywszy uwagę na chłód, który dosłownie wpędzał do najbliższego ciepłego pomieszczenia niczym gorąc zachęcał do zimnej kąpieli.

Ile on już tu...

Za siedemnaście dziesiątą. Ponad pół godziny spędzonej na sra-czu przez głupi nawyk obżarstwa. Na szczęście Graham czuł, że nadchodzi kres jego niestrawności i zdąży przynajmniej skosztować barszczu Marka.

Obstawiał jeszcze góra dziesięć minut.

Dwójka „cyngli” przekroczyła próg pomieszczenia. Na sam ich widok aż mnie zmroziło.

Nie, wyglądali całkiem normalnie. Ten po lewej miał wręcz przyjazną, okrągłą twarz, można by rzec, grubą, nie pasowała ona jednak do zwartego ciała poniżej. Nawet ciemne, gęste włosy wyglądały sympatycznie. Całości przyjemnego wrażenia dopełniał

czarny, gęsty zarost, któremu niewiele brakowało do brody. Oczy, małe, czarne niczym węgiel i głęboko osadzone w ironiczny sposób mówiły „Tak, ja też określam siebie mianem »do rany przytul«” Mężczyzna po prawej wyglądał już nieco bardziej poważnie – miał pociągłą, a zarazem szeroką, kanciastą twarz, był także wyraźnie starszy od swego towarzysza – oceniłem jego wiek na około trzydzieści pięć lat. Zamiast zrostu dookoła podbródka po nosem nosił niewielki, lecz równie czarny wąsik, mocno kontrastujący z bladą skórą. Nie widziałem jego włosów, ponieważ nosił na sobie dość nisko opuszczoną czarną, wełnianą czapkę.

Cóż... zawsze, kiedy wiem o kimś, że ma za sobą lata służby w Specnazie, mrozi mnie na jego widok, choćby wyglądał na najsympatyczniejszego i najmiłszego człowieka na świecie i tak też się zachowywał, wciąż czułbym do niego pewne uprzedzenie, zupełnie jak teraz. Pozostawało mi cieszyć się, że są po mojej, a nie innej stronie.

Jeszcze bardziej zmroził mnie widok dwóch wyciągniętych przez nich AKMS'ów, z których każdy doczepiony miał wielki, bębnowy

magazynek. Póki co, zawiesili je sobie na plecach, a w dłoniach chwycili po tłumionym Tokariewie.

– Ilu jest na zewnątrz, znaczy się, „dla nas”? – spytał wyższy z żołnierzy.

Zastanowiłem się przez chwilę.

– My bierzemy chatę obok. – odrzekłem, przeładowując Colta. Schowałem go niedbale za pazuchę i wyszedłem z „gastronomicznej” chaty, po czym skierowałem się w stronę tej pełniejszej. Robiła ona za tutejsze miejsce do pogawędek, tam zebrali się wszyscy stalkerzy oczekujący na przybycie do dwóch pozostałych chat, w których równo o dziesiątej miała się zacząć wigilia. Jako, że zostało już niewiele czasu, większość ze stalkerów usiadła już przy stole i tam wyczekiwała dziesiątej – w „barze” pozostało, wedle przebywającego tam współpracownika Igora, ledwie dziewięciu ludzi. Obejrzałem się przez plecy. Dwójka członków Specnazu szła za mną, zerkając nerwowo na boki. Popatrzyłem w lewo i zauważyłem, że kryjący się w lesie oddział Igora przesunął się kilka metrów do przodu, wstępując na skraj gaju.

Niejednego mógł zastanawiać brak ochrony całej wioski – brak ogrodzeń, budek wartowniczych, nawet pojedynczego strażnika. Jednak do tej pory stalkerzy przejmowali się jedynie mutantami; nie do pomyslenia było, aby wojsko bez żadnego ostrzeżenia zaatakowało obóz samotników – była to abstrakcja, rzecz nie do pomyslenia, niczym hitlerowskie obozy zagłady za czasów drugiej wojny światowej – choć poglądy faszystów były znane, ludziom nie mieściło się w głowie, by pogląd wcielić w życie i tym samym dziennie mordować kilku tysięcy ludzi. Tu sprawa miała się podobnie – choć między stalkerami a rządem Ukrainy iskrzyło od dłuższego czasu i dochodziło do pewnych „incydentów”, ani jedna, ani druga strona nawet nie myślała o otwartej wojnie, ataku któregoś z należących do nich obozów, baz. Po prostu trzymali się od siebie z daleka, nie kryjąc wzajemnej niechęci.

Jednak stało się coś, przez co rząd podjął dzisiejszą decyzję. Nie znałem szczegółów i prawdę mówiąc, nie miałem zamiaru ich znać. „Wystarczyło” mi to, że uczestniczyłem w pierwszej zbrodni wojska wobec stalkerów – zwykłym skurwysynstwie, wymordowania

kilkunastu Bogu ducha winnego ludzi, których nawet nie znałem, uczestniczących w pierwszej w Zonie wigilii.

Tkwiłem w błędnym kole – choć dotarło już do mnie w końcu, że robię źle, musiałem doprowadzić tą rzeź do końca, inaczej skończyłbym jak Marek – zadźgany ukradkiem i porzucony w lesie. Są chwile, w których trzeba się przemóc...

Usłyszałem dziwny, przytłumiony odgłos, po którym coś załomotało w podłogę. Sekundę później zza drzwi łazienki rozległ się krzyk, któremu również towarzyszył łomot. Pękające szkło, jakby ktoś pociągnął pełen kuchennych zastaw obrus i zerwał go ze stołu. Cichy, przytłumiony syk, coś, co przypominało z brzmienia wtapiający się w kawał mięsa nóż, kroki, kilkanaście chaotycznych, panicznych kroków, kolejny łomot.

Podciągnąłem i zapiąłem spodnie, błagalnie wyjrzałem przez okno.

Choinka, chyba najoczywistszy zaraz po Świętym Mikołaju i prezencie symbol Bożego Narodzenia naśmiewał się ze mnie. Manifestując swym niewzruszonym, śmiałym obrazem ducha świąt

naigrywał się z tego, że za drzwiami obok jakieś gnoje mordowały moich kolegów.

Po tej dziwnej myśli natychmiast w końcu dopadł mnie strach. Niepokojące odgłosy za drzwiami stawały się coraz głośniejsze, podobnie jak kroki. Prawdopodobnie nie miałem szans z oprawcami, ale przynajmniej miałem okazję zabić któregoś z nich.

Zanim zdążyłem złapać leżącego przy umywalce Uzi ktoś wyważył drzwi ubikacji – w progu stanął wysoki mężczyzna, mierzący do mnie z zakończonego tłumikiem Colta. Dobrze zapamiętałem jego twarz – niewzruszoną, zimną, ale mimo to jakby niepewną. Czyżby tego gnoja targała jakaś wątpliwość?

Trafił mnie w szyję, po czym odwrócił się przez plecy i oddalił. Upadając, widziałem strzępki dużego pokoju, w którym jeszcze niedawno bawili się moi przyjaciele – zanim boleśnie wylądowałem na plecach, ujrzałem fragment zakrwawionej, sztywnej dłoni, ściskającej pokryty kapustą widelec.

Z każdą sekundą brakło mi tchu, a ból stawał się coraz bardziej nieznosny. Wierząc się we wszystkie strony, próbowałem wy-

macać swój pistolet, by chociaż przyspieszyć swoją nieuchronną śmierć.

„Kula w szyję to koniec.”

Iście hipnotyzujący widok. Często spotykany, wręcz pospolity, ale ludzi pokroju Grahama niezwykle ujmujący.

Wzbijające się od niskiej świeczki aż po sufit barwne kłęby dymu, wijące się w każdą możliwą stronę, z sekundy na sekundę zwiększające objętość, zalewając pokój tysiącami przezroczystych, podświetlanych blaskiem kominka smolistych wzorów, setki różnych, nakładających się nawzajem kształtów, kłęb dymu przypominających litery, przedmioty, nawet twarze, wszystko to było dodatkowo przeplatane tysiącami elastycznych, dymnych linii, przewijając się przez resztę niczym pnącza. Kiedy obłok dymu wzniosły się po zgaszeniu świecy przybrał kształt przypominający atomowego grzyba, Sussaro przerwał panującą w pokoju ciszę.

- Niby zwyczajne, a... – zagadnął do Grahama, słodząc herbatę.
- Coś w tym jest... – przyznał świeżo upieczony współpracownik. – No, to o czym chciałeś pogadać.

– Ty mi powiedz... R...

– O Radku, tak? – ubiegł Grahama Sussaro. – Pokażę ci coś...

Mówiłem ci o dyktafonie? – zapytał.

– Nie... Ale kiedy wtedy mnie znalazłeś i doszło do tej...

„wymiany”, coś mi o nim świtało. To jakiś artefakt?

Sussaro uśmiechnął się chytrze. Zaraz zacznie swój zwyczajowy monolog.

– Coś więcej. – rzekł z otwartą dumą w głosie. – To coś w rodzaju tej kłęby dymu – niby zwyczajne, ale... Coś w tym jest. – po tych słowach wyciągnął zza pazuchy pewien przedmiot.

Zakrywając go palcami, postawił na stole, przytrzymał przez chwilę, po czym zabrał rękę.

Staromodny, czarny dyktafon na klasyczne, dwustronne kasety. Z boku ciemnej obudowy sterczało kilka szarawych przycisków. Po między dwoma ostatnimi włożona została poskładana kilkakrotnie karteczka. Sussaro po paru sekundach, w trakcie których dał czas Grahamowi na ponowne poważne nastawienie się do całej

sytuacji (widok zwykłego dyktafonu mocno go zdezorientował) chwycił ów papier, rozwinął go (okazało się, że jest to kartka A5, w linie) i położył na stoliku. Graham ujrzał prześwitujące z drugiej strony zapisane linijki – wyjątkowo drobnym, eleganckim drukiem, prawdę powiedziawszy, była to rasowa i dokładnie wyćwiczona kaligrafia.

– Jeden dyktafon, jedna kaseta, jedna kartka – i tak od siedemnastu lat. – powiedział Sussaro, kładąc rękę na stole, drugą drapiąc się w głowę. Miał bardzo poważne oczy – jakby szykował się do dłuższej wypowiedzi i tylko czekał na to, aż ktoś mu przerwie. – Od tylu lat na tym oto dyktafonie nagrywane są bardzo, ale to bardzo ważne, choć najczęściej kilkosekundowe, wypowiedzi. Różne osoby nagrywały – czasem ja, czasem Gomez...

Gomez.

Ta postać naprawdę zainteresowała Grahama, zaczynając od dnia, w którym Sussaro przedstawił mu pracującego niegdyś w pryveckim szpitalu doktora. Opowiedział o nim niewiele – wła-

ściwie to Graham wiedział o Gomezie tyle, że ma czterdzieści dziewięć lat, sporo lat doświadczenia w medycynie, wliczając w to długie studia i liczne lata pracy lekarza oraz fakt posiadania niebywale zasobnej wiedzy na temat wszelkich rodzajów artefaktów – w tej ostatniej dziedzinie był największym znanym Grahamowi autorytetem, a widział już niejednego specjalistę. Gomez o artefaktach wiedział po prostu wszystko.

– ...raz nawet nagrywał jeden z nauczycieli z podstawówki, wyobrażasz to sobie?

– Co tam jest? – zaciekał się Graham.

– Sam zobacz. – zachęcił Sussaro, spoglądając w stronę rozłożonej kartki zeszytu. Widząc ruszającego się stalkera dodał pospiesznie. – Nie zalej jej herbatą!

– Spokojnie... – zapewnił Graham, wyciągając dłoń przez całą długość stołu.

Chwycił delikatnie kartkę między palec wskazujący, a kciuk, po czym, obchodząc się z nią jak z relikwią, ułożył przed sobą, tak, by mógł siedząc wyprostowany, bezproblemowo ją przeczytać.

Miejsce.

Rok.

Miesiąc.

Dzień.

Godzina.

Minuta.

Sekunda.

Okoliczności.

Osoby mówiące w nagraniu.

„Rejestrator”.

Po trzech liniijkach oczy wyszły mu na wierzch, po trzech następnych serce zaczęło głośno dudnić, kiedy dotarł do połowy zapisanych dat i miejsc, sapnął głośno, jakby z wycieńczenia, po czym z sercem, tym razem walącym jak młot, omiótł gorączkowo ostatnie dwa wersy, po czym otarł czoło – w ciągu tych kilku sekund zdążył się obficie spocić. Westchnął i skierował spojrzenie na Sussaro.

– Nie wierzę. – oznajmił mu tonem niedowiarka. W odpowiedzi otrzymał jedynie pewny siebie uśmiech. – Naprawdę? – tym

razem skinienie głową, któremu również towarzyszył uśmiech, jeszcze szerszy, niż poprzednio. – Jezu...

– Chcesz posłuchać?

Rok 2001

- Jeszcze jedna wzmianka... – wyszczał Radek. – I po tobie.
- Spokój! – zarządził niemal Jonathan, poprawiając marynarkę.
 - Wynieście go w piz*u, bo zdąży nam zgnić.
- Na widok? – zapytał Izaak. -Na widok – to Dymitr będzie się tłumaczył, a pewnie i tak będą siedzieć cicho, Igor nie miał tu nawet prawdziwego kolegi.
- No dobra... – mruknął Leon, wzruszając ramionami, po czym niechętnie skierował się w stronę pokoju, w którym zginął Igor. Mijając jego oprawcę, zapytał:
- Byle jak, czy ostrożnie?
- Zdecydowanie ostrożnie. – odpowiedział Jonathan z uśmiechem. – Bo krwią się zachlapiecie. Ta... – chrypnął z zadowoleniem, kiedy Radek z Leonem zniknęli w ciemnym,

kamiennym korytarzu. – Idźcie, grabarze... – szepnął z pogardą.

Słyszając głośnie „Jezu!” wykrzyknięte przez Radka, roześmiał się cicho pod nosem. Ból w ręce zaczął powoli przemijać, a jej właściciel czuł się jak ryba w wodzie.

– Musiałeś? – powtórzył już drugi raz w ciągu dziesięciu minut Radek, spoglądając z rozpaczą na zakrwawiony rękaw. – Nie lepiej było ci go udusić? Strzelić Rugerem? Musiałeś, go ku*wa, chlastać?!

Masterton w odpowiedzi kiwnął zadowolony głową, dodając do tego uśmiech.

– Lepiej byście go już wrzucili. – zmienił temat. – Zimno, jak skur...

– Dobra. – przerwał Radek. – Izaak, bierz go za nogi. Ta... wyżej... gotowy?

– Raz...

– Dwa...

– Trzy...

Zwłoki Igora pokonały w powietrzu dwa metry, po czym załomotały o podłogę i zaczęły się głośnie staczać w dół, wzbijając przy tym tumany kurzu. W pewnym momencie, zanim jeszcze się zatrzymały, u zboczu urwiska zaczął się tworzyć powietrzny wir, zgarniający okoliczne liście, grudki ziemi i pył w promieniu co najmniej trzech metrów. Po sekundzie urósł do niebotycznych rozmiarów i zaczął „ciągnąć” do siebie bezwładnego Igora – wir uniósł się wraz z nim na wysokość dwóch metrów, zbierając jeszcze więcej pyłu i kurzu, zaczął wydawać też charakterystyczny, narastający świst.

– Nie wiem jak wy! – krzyknął schowany za drzewem Jonathan do stojących nad urwiskiem dwójki agentów. – Ale ja bym się na waszym miejscu schował. – dodał jeszcze głośnie, ledwie przekrzykując niemal rozsadzający bębni szum anomalii.

Radek i Izaak, jakby wyrwani z głębokiego zamyślenia runęli w stronę drzewa, w ostatniej chwili stając w bezpiecznym miejscu, tuż obok Mastertona

Szybko oddalił się o kilka metrów do tyłu, z dala od promieniujących wózków. Próbował jednocześnie wypatrzeć źródło hałasu – coś szeleściło i wiło się w długim, blaszanym, pospinanym ze sobą łańcuchami rzędzie. Samo w sobie, cokolwiek to było, nie wydawało żadnych dźwięków – nie oddychało, nie sapało, czy ryczało, nie był więc to prawdopodobnie żaden z tych bardziej znanych mutantów.

Gavin aż odskoczył ze strachu w tył na widok kilkunastu iskier, które wystrzeliły spośród sklepowych wózków, wydając przy tym ogłuszający, metaliczny zgrzyt. Kiedy iskry opadły, wśród setek metalowych pospawanych drutów po raz pierwszy przemknęło coś, co można było nazwać jako takim kształtem – iskrzący, niematerialny, jaskrawy obłok, plama nieznanej wielkości.

– Nie... – jęknął idący obok Gavina Hubert. W jego głosie zabrzmiał prawdziwy, namacalny strach. – Tylko nie on... – przełknął nerwowo ślinę, bezradnie opuszczając karabin lufą w dół.

Wózki zaszeleściły i zazgrzytały przeraźliwie kolejny raz, niewyraźny do tej pory obłok zaś zwiększył niebotycznie swoje rozmiary, w ciągu sekundy osiągając ponad metr średnicy. Przeistoczył się w coś wyglądającego na kulę żywej elektryczności, kulisty piorun, setki iskrzących się łuków elektryczności, z których każdy zdawał się żyć i co gorsza, stanowić część myślącej samowolnie całości.

Kiedy po budynku nieotwartego z powodu katastrofy Super Samu przetoczył się niewyraźny, wszechobecny ryk, Ted i Gavin nie mieli już żadnych wątpliwości; Hubert był za to pewny co do swojego zdania od dłuższego czasu. Wszyscy trzej stali za to osłupiali, wpatrując się w wciąż rosnącą kulę elektryczności. Pierwszy zareagował Hubert.

– Polter! – wrzasnął głośno, zrywając się do biegu. – Polter!!!

Nie trując się próbami trafienia ducha, odwrócił się przez plecy i pognął przed siebie, z karabinem w lewym ręku. Po trzech sekundach biegu, podczas których znacznie zbliżył się do wyjścia ze sklepu, ujrzał obok siebie Gavina, biegnącego zygzakiem, z ko-

micznie fruującym na boki automatem, zawieszonym na lewym ramieniu. Po ułamku sekundy przed dwójkę uciekających stalaków znienacka wybił się Ted, który „wpadł” w swoje zwyczajowe tempo. Dosłownie – biegł, aż się za nim kurzyło; stukot butów swą częstotliwością przypominał serię z karabinu maszynowego, kończyny poruszały się nienaturalnie szybko, rytmicznie, jak u profesjonalnego biegacza, którym zresztą Ted pewnego czasu był. Nie używał żadnych „wzmacniaczy” – artefaktów, proszków, sterydów; niczego, jedynym i wystarczającym atutem było ciało Teda samo w sobie – rozwinięte do granic możliwości, wyrobione latami treningu, o niesamowitej kondycji.

Mimo hałaśliwego coraz bardziej sapania Hubert wciąż słyszał za sobą elektryczne trzaski Poltergeista, które na szczęście zdawały się powoli milknąć, pozostawać w tyle. Mimo to narastało w nim wciąż (zresztą pewnie nie tylko w nim) charakterystyczne, rozchodzące się po całym ciele, mrowienie, które, jeśli nie ucieknie się od ducha w ciągu kilkunastu sekund przerodzi się w jeden wielki, wręcz paraliżujący skurcz. U Huberta zawsze zaczynało się od

palców u rąk – mrowienie z okolic paznokcia szybko obejmowało cały palec, potem zaś, szczypiąc już niemiłosiernie, obejmowało całą dłoń.

Zwolnił nieco, czując nieprzyjemne rozpieranie w ramieniu, przyspieszył znowuż po wyjściu ze skrzyżowania w lewo – znajdował się teraz wraz z Hubertem i Tedem przed wyjściem z Supersamu, tym południowym, stanowiącym zjazd dla samochodów. Zbiegli w dół, nabierając dodatkowej prędkości – Gavin z Hubertem sapali już głośno, Ted zaś biegł, nie dość że kilka metrów dalej, to jeszcze bez najmniejszego śladu zmęczenia.

Trzy kolejne metry – Biegacz bez zmrużenia oka wybiegł spod cienia sklepu, znajdując się na prażącym słońcu. Powietrze nie cuchnęło już pyłem i zwiędzieliną – Ted, zwalniając lekko, po raz pierwszy odetchnął pełną piersią, aż wyginając się do tyłu, po czym zerknął ukradkiem przez ramię. Gavin, który został nieco w tyle za Hubertem, znacznie zwolnił, a po Poltergeiście nie było już śladu. Ted zatrzymał się gwałtownie, obrócił się i pomachał ręką.

- Już po nim. – zawołał. – Nie ma go, stójcie!
- Jezu... – sapnął Gavin, opierając się na kolanach, sapiąc ciężko. – I tak mieliśmy szczęście. Pamiętacie...
- Nawet mi nie przypominaj! – wtrącił się Hubert, siadając na chodniku. – Nie powinniśmy jeszcze się trochę, no... oddalić?
- To był słaby Polter. – rzekł Ted. – Mógłby ci co najwyżej rzucić kamieniem w twarz albo skaleczyć kawałkiem szkła. Stąd oczywiście, bo gdyby się do nas zbliżył... Jezu... – jęknął nagle przerażonym głosem.
- Co? – zaniepokoił się Gavin, prostując się. – Ted?
- On tu jest... – Sprinter rozejrzał się nerwowo dookoła, zatrzymał swoje spojrzenie na wjeździe dla samochodów. – Pusto, ale on gdzieś jest... Mrowi... spierda*am stąd! – krzyknął panicznie, zrywając się do biegu.

Zrobił trzy, coraz szybsze kroki, po czym jakby trafiony obuchem, padł bezwładnie na ziemię, boleśnie przejeżdżwszy się policzkiem po betonie. Zasyczał z bólu, po czym przewrócił szybko na plecy, kurczowo przekładając karabin do ręki – choć nie mógł nim

skrzywdzić ducha, dodatkowe kilogramy w ręku zwiększały jego poczucie bezpieczeństwa.

Pośród trójki członków S. rozbłysło oślepiające światło, któremu towarzyszył ogłuszający, rozdzierający powietrze huk.

Był ponad dwukrotnie większy, niż poprzednio, złożony z jeszcze większej ilości jeszcze bardziej popłątanych iskier i piorunów. Biło od niego gorące, cuchnące spalenizną powietrze, które zdawało się rozsadzać nozdrza, kiedy się nim oddychało. Gavin odskoczył do tyłu i boleśnie wylądował na plecach, bezradnie wpatrując się w ducha, Hubert zaś stał bez ruchu z założonymi na kolanach rękoma, mierząc go wzrokiem. Beznadziejnie obojętnym spojrzeniem, jakby przestało mu na czymkolwiek zależeć i w jednej chwili przestał się przejmować groźbą utraty życia. Skrajna apatia. Jedna z wijących się iskier urosła do niebotycznych rozmiarów i trafiła go w twarz, zrywając go z nóg. Upadł bez słowa ani wydania z siebie nawet cichego krzyku, rozrzucając na boki bezwładne, wiotkie ręce.

– Oho! – mruknął zadowolony Jonathan, odrywając oczy od

lornetki. – Nareszcie. Ej! – klepnął drzemiącego Mikołaja w czoło. Począł, aż ten przestał się awanturować i klnąć, po czym przypomniał, „Co on tutaj robi.” – Adam jedzie.

- Dziesięć minut... Który bierze łopatę? – Masterton podniósł się na równe nogi bez użycia rąk, rzucił niedbale lornetkę na wciąż leżącego na trawie Mikołaja, który odpowiedział na to wiązanką, której nie powstydziliby się zawodowy komik.
- Wstań, bo rzucimy cię na asfalt i Adam przejedzie ci oponą po łbie! – warknął Jonathan, zerkając przez ramię.

Raz jeszcze rozejrzał się po okolicy.

Wielkie, pagórkowate, trawiaste pole, przecięto pośrodku popękaną szosą otoczoną przez drzewa. Tych było tu niezbyt wiele – jedyne większe skupisko, poza mającym na północy, kilkadziesiąt kilometrów dalej lasem, stanowiło obecną kryjówkę stalków – kilkanaście wysokich, liściastych, wilgotnych drzew na najwyższym w okolicy, aż bardzo łagodnym, wzniesieniu, doskonale nadającym się na miejsce do obserwacji. Niebo było szare i zachmurzone, powietrze zimne, rześkie. Rzadką, słabą mgłę dało

się zauważyć dopiero nad horyzontem – wypełniała zaczynające się tam rozległe lasy.

- Co robimy? – spytał, zmagając się z targającymi mną dreszczami, od których aż drżał mi głos.

Stałem skulony, oparty o pień z dłońmi głęboko wciśniętymi w kieszenie. Mdlilo mnie; tej nocy spałem zdecydowanie zbyt krótko. Nie dla mnie czterogodzinny odpoczynek.

- Schowacie się za drzewami, przy zakręcie i wyskoczycie jakieś dwadzieścia metrów przed nim, żeby zdążył wyhamować. Strzelcie, ale w powietrze albo w bok maski, byle nie w niego na Jezusa!
- Od kiedy zrobiłeś się taki religijny?
- Nieważne. Bierzcie kominiarki i złażcie na dół. – zwrócił się Jonathan do Leona i Marka. – My zaczniemy schodzić na dół nieco wcześniej, niech się przestraszy... W tym czasie... szkoda, że nie ma z nami reszty.
- Dopatrują Radka, jakby mu rękę, a nie palec urwało. – zdenerwował się Mikołaj, z wielką niechęcią wstając.

Porozciągał się we wszystkie strony, odruchowo sprawdził pistolet, podniósł leżącą obok kominiarkę i schował ją do kieszeni. Spojrzał na opartą o drzewo łopatę. – Ja ją wezmę.

– A będzie konieczna? – zmartwił się Mark. Obrońca...

– Jak to „konieczna”? – zdziwił się Jonathan, chichocząc wrednie. – Masz opory, żeby raz walnąć komuś łopatą? Gdzieś ty był, zanim cię tu przysłali, w AI?

– Nie, w narkotykowym kartelu.

Cisza. Zdawało się, że wyznanie Marka wprawiło w milczenie nawet otoczenie – wiatr umilkł, żdźbła trawy przestały szeleścić. Mikołaj z Leonem zrobili wielkie oczy, Jonathanowi zaś kompletnie opadła szczeka. Uniósł teatralnie lewą brew w niemym akcie zdumienia, po czym wciąż nie mogąc uwierzyć, w to, co usłyszał, zapytał:

– Rosyjskim?

Mark, zyskując nagle na pewności siebie prychnął śmiechem, w którym dało się słyszeć nutkę urazy.

– Nie, ku*wa, amerykańskim i to ja zabiłem Tony’ego Montanę!

– zdenerwował się. – Jasne, że rosyjskim, do cholery! I powiem wam... – tu zmierzył pobliskich stalkerów zabójczo poważnym wzrokiem. – To, co tam się wyprawiało w porównaniu z waszymi metodami... wypadacie bardzo błado. Bardzo.

– Taa... – mruknął Masterton, uśmiechając się chytrze. – Założysz się, kto tu jest większym...

– Zapomnij. Idę na dół... – zniechęcony Mark założył kominiarkę na twarz, po raz pierwszy przyjmując groźny, odpychający wygląd, po czym zaczął powoli zsuwać się ze zbocza w stronę grubego drzewa rosnącego przy asfalcie.

Zajęło mu to kilka sekund – po dwóch uznał powolne kroczenie za bezcelowe i zbiegł z niego szybko, lądując pośrodku jezdni. Oparł się o plecy i zapatrzył w ziemię.

– Teraz można rzec, że wygląda posępnie. – zauważył Jonathan, kiwając z zadowolenia głową. – Myślicie, że zrobili tam coś, od czego mu się poprzestawiało we łbie i zaczął być taki świętoszkowaty?

– Zapewne. – zgodził się Mikołaj, bawiąc się trzymaną w rękach

łopatą. – Powinieneś mu zazdrościć.

- Niby czego?
 - U niego poszło to w dobrą stronę.
 - Gdybyśmy nie znali się tyle lat... odciąłbym ci palec, wiesz o tym?
 - No i właśnie... – Mikołaj zarzucił łopatę na prawe ramię. – Ale na serio, nie zrób niczego głupiego, Adam ma...
 - Wiem! – warknął Jonathan rozgoryczony. – Szykuję się na kogoś innego...
 - Na Grahama? – zgadłem, co lekko rozkojarzyło Mastertona. Zamrugnął gniewnie oczyma, przełożył nogi, kaszlnął, jednym słowem, wykonał całą gamę zbędnych ruchów, które miały odwrócić uwagę od jego zakłopotania. Do tej pory wydawał się bardzo opanowanym rozmówcą, widocznie jednak temat Grahama to jego słaby punkt.
- Jakiż to wielki pożytek niosło za sobą czytanie akt Autorów.
- Tak. Jemu już naprawdę konkretnie dobiore się do dupy. Będzie żałował, że się urodził. Tak...

„Urodził...”

Autorzy...

Handlarz, który mi dostarczył ich zapiski, właśnie miał być przeze mnie przesłuchany. Wszystko przez tego sku*wiela Igora... Na szczęście już gryzie glebę, przynajmniej jego rozerwane przez wir anomalii szczątki to robią. Tak zwana „seria niefortunnnych zdarzeń” doprowadziła mnie tutaj, zmuszonego do współpracy z miejskimi służbami... nieźle trafiłem.

Dobrze, że jest tu ten cały Mark.

Wydawał się w miarę... „normalny”, choć niedawna rewelacja na temat jego przeszłości dość skutecznie pogorszyła wizerunek byłego... właśnie, kogo? Zajmował „wyższą funkcję”, zarządzał innymi, wydawał, czy wykonywał rozkazy i polecenia – był, czy podlegał tamtejszym wielkim osobistościom? Nie dało się tego przewidzieć – tam każdy, nawet przewoźnik małych działek może doświadczyć szoku, byś świadkiem najgorszego okropieństwa – nawet nie próbowałem zgadywać. A co z resztą? Jonathan – skończony wariat z huśtawkami nastroju, a tacy są najgorszy. Iza-

ak zachowywał się do tej pory... zwyczajnie. Nie zrobił niczego nadzwyczajnego, strasznie zapadającego w pamięć, podobnie jak Lenny. Leon i Mikołaj zdawali się szczególnie ze sobą związani – widać to było w ich wzajemnym stosunku, sposobie prowadzenia rozmów, gestach, dosłownie wszystkim. Jakby jeden drugiemu kiedyś ocalił życie i do dziś starał się okazywać wdzięczność. Mikołaj był szczery, zawsze w dobrym humorze, posiadał tak zwaną „duszę dziecka” – zachowywał się luźnie, nieco obojętnie, ale mimo wszystko jednak stanowczo, wszystko jednak, każde jego słowo i gest przepełnione były zwykle beztrząsą, całkowitym brakiem zmartwień. Albo naprawdę tak było, albo świetnie to udawał. A Radek... Bił od niego jakiś chłód, surowy i nieprzyjemny, mimo paru serdecznych zachowań z jego strony, których byłem świadkiem, zdawał się wyprany z emocji i beznamiętny – czy lata rozpracowywania organizacji płatnych zabójców doprowadziły go do chłodnego patrzenia na życie, czy coś złego spotkało go już wcześniej?

Odwinąłem rękaw i spojrzałem na zegarek. Należałoby już...

- Złazcie. – rozkazał Jonathan, zasłaniając twarz.
 - I coście tam na przykład robili? – spytał po trzech minutach, siedząc skulonym przy drzewie, czekając na nadjeżdżającego Adama. Mark, przyczajony trzy metry od niego, na drugim krańcu wąskiej szosy, także przy drzewie, zamyślił się na chwilę przed odpowiedzią.
 - Nie mam na to dzisiaj ochoty... – jęknął niedbale.
 - Kochanie, boli mnie głowa! – zawył w prześmiewczy sposób Jonathan. – Co, ja mam zacząć? No?!
 - Dalej chcesz się w to bawić?
 - Jasne! W końcu jakaś wymiana doświadczeń – ci tutaj... – Masterton wskazał palcem pozostałych stalkerów. – Nie palą się zbyt do rozmów na ten temat.
- Mikołaj chrząknął, jakby się czymś dławiąc.
- Po ostatnim prawie puściłem pawia. – zwrócił się do Marka. – To z Johnsonem...
 - Johnsonem?! To twój najlepszy przykład?
 - Póki co...

– Minęło mało czasu, rozumiem. Ale zastanów się – co uważasz za mój najgorszy wybryk?

– I po kiego ci to?...

– Żeby go przekonać. – tu Jonathan skinął głową na Marka. –

No, dawaj! – zachęcił. – Kto? Wy też! – krzyknął.

Zapanowała chwila ciszy, podczas której przetrawiłem ostatnie słowa Mastertona. Nie wierzę – ten wariat chce, żeby w wręcz demokratyczny sposób osądzono o nim, który z jego dotychczasowych czynów był najpodlejszy, jakby miał z tego satysfakcję, radość. Mógł też się po prostu tym nie przejmować – przyjąć, że ktoś musi wykonywać brudną robotę, a samemu się temu bez odrobiny sprzeciwu podporządkować. Z takim podejściem mógł by używać brudów ze swojej przeszłości jako argumentów na rozmowę i przechwałki w byle spelunie – ale robił to i bez tego. Był po prostu nienormalny – w jego życiu stało się coś, co kompletnie go złamało, nieważne, czy do tej pory był dobrym człowiekiem, czy zwykłą mendą – spotkało go coś, po czym załamałby się każdy, bez wyjątku. Pewnego dnia coś lub ktoś po prostu go zniszczyło.

– Tamten podrzędny szpicel z tej organizacji, K...

Wszyscy prócz mnie nagle zawołali głębokim „Aaa!”, jakby właśnie przypomnieli sobie odpowiedź na ostateczne pytanie w jakimś teleturnieju.

– Przegiąłeś. – rzucił Mikołaj. – Nigdy ci tego nie zapomnę...

– A ja twojej miny. – Leon zaniósł się śmiechem. – Z każdą kroplą coraz bardziej opadała ci szczena, aż dziw, że go nie zabiłeś! Miałeś takie oczy...

– Dobra, starczy!

– To był jeden z pierwszych, jeszcze się nie przyzwyczyłem... – powiedział Izaak. – Od haftowania przez dwa dni paliło mnie w przełyku!

– To co on w końcu zrobił? – spytałem, niecierpliwiąc się.

– Kroił tym swoim nożykiem milimetr po milimetrze, sumiennie polewając wszystko najdroższą whisky Mikołaja.

Tamten płakał z bólu, a ten tu płakał za każdym rublem wydany na ten flakon.

– Skurwiel! Jakby nie mógł wziąć rozpuszczalnika! – krzyknął

Mikołaj. – Ile ci jeszcze zostało do oddania, cwaniaku?

– Sto.

– I kiedy masz zamiar mi je oddać?

– Bo ja wiem... – Jonathan spojrzał na Marka wzrokiem biedaka widzącego wybawcę, dobroczyńcę. – Ty mi pożyczysz, przyjacielu! W końcu sto w tę czy we w tę nie robi ci zbytniej różnicy, prawda?

– Nie robi... Kiedy wrócimy to dam ci je jako zapłatę za wzbogacenie mojego życia o nowe, ciekawe doświadczenia, pasuje? – Mark wychylił się niemrawie zza drzewa. – Jedzie. Nadstawiłem uważnie uszu.

Przez pierwsze pięć sekund nie słyszałem nic – po nich dobiegł mnie cichu pomruk silnika spalinowego, połączony z odgłosem ścierających się z asfaltem opon. Adam jechał powoli – góra czterdzieści kilometrów na godzinę, zaczął się widocznie przymierzać do ostrego zakrętu, przy którym właśnie byłem schowany z resztą stalkerów. W sumie to z trudnością nazywałem ich stalkerami... Ostatnia rzecz, której bym się spodziewał.

Kiedy samochód był już jakieś trzydzieści metrów przede mną i s... agentami, z oddali, z bardzo daleka, rozległ się potężny, niemal basowy huk. Chwilę później usłyszałem odgłos przebijanej blachy, szkła i... coś, co wyglądało, a raczej brzmiało jak pocisk nagle umilkło – widocznie utkwiał w ciele Adama, na czym skończył swój przebijający wszystko po drodze lot. Nie milkł za to odgłos silnika i kół auta – zdawało się wręcz, że przyspieszył. Coś targnęło drzewem, do którego byłem przyparty – Adam wbił się w nie po skręceniu z dotychczasowego kursu – zanim przetoczyłem się w tył z zasłoniętymi uszama nerwowo zacisnąłem zęby, słysząc przeraźliwy dźwięk gniecionej blachy i rozlatujących się do reszty szyb, których odłamki poszybowały dookoła.

Wciąż lekko oszołomiony, przewróciłem się na brzuch, nie miałem siły, by wstać.

Stanął na de mną Leon, krzycząc coś wściekle dookoła. Wyciągnął rękę w moją stronę, by pomóc mi wstać. Podniosłem swoją. Drugi, ogłuszający huk wystrzału.

Leon wygiął się do przodu, a w jego brzuchu rozkwitła potwor-

na, ziejąca, krwawa dziura. Poczułem kilka kropel krwi na twarzy, potem ciężar upadającego bezwładnie Leona – momentalnie oślepiłem, albo nieświadomie zacisnąłem z całej siły oczy, chcąc uchronić się przed paskudnym widokiem.

Straciłem kontakt z rzeczywistością – ciemność, którą widziałem, zaczęła mienić się niczym kalejdoskop, po czym znowu poczerniała, wzbudzając we mnie potworną falę mdłości. Plamki, nieprzyjemny pisk, stłumione odgłosy czyichś rąk próbujących zdjąć ze mnie zwłoki. Zemdlałem, nie mogąc wytrzymać narastających drgawek.

Nie czuł tego od kilkunastu lat.

Przez ten czas doświadczył wiele – upokorzenia, ból, poniżenia, rozczarowania, jednym słowem, życie prostego człowieka „przefiltrowane” przez Jonathana, co dawało serię zdarzeń, od których mało kto nie chciałby ze sobą skończyć. On jednak się do nich przyzwyczaił; nauczył z nimi żyć, przyjmując, że kogoś Bóg musi sobie wybrać na ofiarnego kozła, który spełni jego chore poczucie humoru, czyniąc to obrazem swych cierpień. Czego nie czuł do

tak długiego czasu?

Kompletnej, aż odbierającej resztki chęci do życia, bezsilności.

Pierwsze, co zrobił, słysząc wystrzał, to obejrzał się w stronę reszty – czy nikt z nich nie upadł, chwytając się kurczowo w miejsce trafienia, czy nikomu z nich nie urwało czy zmiotło głowy – upewniał się, że jego jedyni najbliżsi są cali i zdrowi. Potem dopiero wykonywał „mechaniczną” resztę.

Rozglądając się dookoła, nad horyzont, na próżno szukając strzelca, odbezpieczając za to granat dymny, usłyszał drugi odległy huk. Znowu obejrzał się w stronę towarzyszy – tym razem jednak widząc to, czego zawsze najbardziej się obawiał.

W ciągu sekundy, podczas której obracał głowę, czas dla niego zwolnił, a raczej zrobił to specjalnie dla uczucia niepewności – dał mu chwilę na wzrośnięcie i osiągnięcie poziomu tak wielkiego, że niemal paraliżującego myśli. Jonathan podczas jednej zaledwie sekundy poczuł niepewność i obawę przerastającą uczucia podczas dowiadywania się o nowotworze.

Widząc rozkwitającą, szkarłatną dziurę w plecach stojącego nad

oszołomionym Michałem Leona kompletnie się załamał. Zapomniał o trzymanej broni, która wyleciała mu z rąk, o dymiącym, wbitym w drzewo aucie z nieżywym Adamem we wnętrzu, o reszcie przyjaciół i strzelcu, który właśnie uśmiercił jednego z nich i wciąż mógł trafić kogoś jeszcze. Mając wciąż w głowie, jakby na złość powtarzający się widok ranionego Leona, pognął w jego stronę, czując, że zaraz kompletnie się rozklei. Tak, wyczuł wewnętrzny konflikt, nabierając ochoty na płacz – po 86 roku stwierdził, że nic już go nie zmartwi, „ruszy” na tyle, by doprowadzić go do łez. Widocznie się mylił. Runął na ziemię, dopadając rękoma zakrwawione ciało, po czym po panicznej szamotaninie zdołał przewrócić je na plecy.

Palce wykrzywiły mu się do granic możliwości, ręce podjechały do góry, wrzynając się łokciami pod pachy, jakby wykonywały w ten sposób błagalny gest skierowany do samych niebios. Po tym jakże wyczerpującym akcie bezsilności ręce Mastertona opadły na ramionach Leona, przygniatając go do ziemi. Zawył głośno, zdzierając gardło, wypełniając je palącym bólem. Zwiesił bezwładnie

szyję, czując narastający, dławiący ścisk w gardle, słony smak łez i niewyobrażalny żal. Obraz nieżyjącego Leona zniekształciły łzy – był rozmazany, niewyraźny, przesunął się w różne strony i rozmazywał niczym podczas wizji narkomana.

Granat wybuchnął smolistym obłokiem, lecz Jonathan nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Wkrótce dym dotarł w jego stronę i całkiem go zasłonił, pozostawiając go Leona i siebie samym sobie, okrywając wstyd, który właśnie czuł.

Rok 2000

Leon stał oparty o drewniany słupek przed obozowym pubem i, paląc, rozmawiał z Mickiem. Z nim zawsze rozmawiało mu się dobrze – kiedykolwiek by na niego nie trafił, z paru wzajemnych uwag, każdego razu, bez wyjątku, rodziła się długa konwersacja na wszystkie możliwe tematy. Było tak też tego, niewątpliwie burzliwego dnia – trzydziestego grudnia, niemal tuż przed sylwestrem, kiedy cała Zona żyła jeszcze wydarzeniami sprzed paru

dni – zorganizowaną przez Igora masakrą w Boże Narodzenie, w której niechlubny udział brał Radek.

To jego oczekiwał Leon, dlatego też odnalazł wśród zatłoczonego dziś placu Micka, by móc zamienić z nim parę słów, ot, dla zabicia czasu. Kilka razy, kiedy jego rozmówca rozgadywał się na dobre, nie słuchał go, by całkowicie skupić się na Radku – Leon zdecydowanie nie należał do osób z tak dobrze rozwiniętą podzielną uwagą. Udając, że słucha, potakując po omacku i kiwając na oślep głową, myślał o Radku i jego niedawnym „dokonaniu”. Znowu się na niego wściekł.

Ledwie ponad tydzień temu morduje kilka osób, ma z tego powodu wyrzuty sumienia, a jednocześnie przeżywa fakt, że sprawiło mu to zwyczajną radość. Teraz, po upływie tego czasu, jak gdyby nigdy nic zdarza mu się kolejny wyskok – wraz z trzema żołnierzami ostrzeliwuje granatnikami chatę znanego handlarza bronią, zaopatrującego stalkerów. Chatę, z jej właścicielem i czterema innymi, nieznanymi stalkerami. Wszyscy niegdyś współpracowali z wojskiem i zginęli prawdopodobnie za to, że się od nich odwrócili.

Zwyczajne marno...

Leon wyrwał się z zamyślenia. Brama obozu szczeknęła sucho i rozchyliła się ze zgrzytem, ukazując wycieńczonego Radka, ubranego w długi płaszcz, z zawieszonym przez ramię cylindrowym granatnikiem. Ręce miał niemal bezwładnie, z wysiłku, spuszczone wzdłuż nóg. Tymi poruszał niemrawo, sztywno, jakby męczyły go ostre zakwasy. Minę miał, jakby się nie wyspał – zmrużonymi oczyma ledwie omiatał grunt, po którym chodził, usta miał wydęte, twarz zmęczoną i pomarszczoną bardziej, niż zwykle.

Leon poczekał na niego – aż zbliży się w stronę baru. Kiedy zorientował się, że ten ominął go szerokim łukiem i właśnie mija słup pośrodku placu, odwrócił się gwałtownie przez plecy i zawołał go.

Na pewno go słyszał, a mimo to nie zwrócił na krzyk najmniejszej uwagi.

„Sku*wiel” – pomyślał z pogardą Leon. Machnął na Micka przeprasząco ręką, po czym ruszył w stronę Radka, który był już parę metrów od swej kwatery. Przyspieszył kroku, w końcu prze-

szedł w trucht. Ostatnie dwa metry pokonał trzema skokami, dopadając ramienia Radka, który zdążył już wyciągnąć z kieszeni klucze.

Odwrócił się złęczony, klnąc pod nosem – zawieszony na plecach granatnik uderzył kolbą w ścianę budynku.

- Co ty... – zdążył powiedzieć oburzony, nim Leon w mało bolesny fizycznie, za to upokarzający i pogardliwy sposób trzasnął go otwartą dłonią w skroń.
- Pojebało cię? – krzyknął Leon? Przymierzał się do drugiego „kuksańca”, lecz Radek zadziwiająco szybko strącił jego dłoń, uderzył w ramię, doszło do niewielkiej, pełnej wyzwisk szamotaniny. – Co ty wyczyniasz, człowieku?!
- Odpierdol się... – syknął Radek, odwracając się w stronę drzwi. Leon brutalnie odwrócił go z powrotem, po czym przycisnął do ściany.
- Co się z tobą dzieje?! – niemal krzyknął. – Rzeź w święta, mija ledwie kilka dni, a ty znowu ciągniesz do tych gnoi? Po co?! Po co się pytam! Czy ty nad sobą, ku*wa, nie panujesz?!

Musisz wykonywać z nimi brudną robotę, akurat ty?! Pytam się, po co?! Czujesz tak wielką potrzebę pozbawienia kogoś życia?! Musisz to robić akurat z nimi? Daje ci to większą radochę, popaprańcu? Że robisz to z kimś działającym nielegalnie, dla własnych interesów, niż dla dobra innych?

- Tymi metodami... – Radek widocznie spuścił z tonu. Leon spodziewał się, że ten zaraz znowu się rozplacze i przeżyje kolejne dwa dni w stanie ciężkiej depresji.
- Tak, nimi też można zrobić coś dobrego! A ta banda płatnych zabójców, którą rozpracowałeś? Nikt nie mówi o tym, że jednemu z nich odrąbałeś siekierą głowę dla przestrogi, wszyscy mówią o tym, że nikt nie zleca już innym zabójstw za marne dwadzieścia monet!

Radek spojrzał na Leona bezradnie, po czym znowu się rozplakał, co ten drugi skwitował machnięciem ręką i wyrazem mówiącym „Skończ już”. Widząc, że nie daje to żadnego efektu, kontynuował.

- Weź się w garść, rozumiesz? Mam cię przywiązać na smyczy przybitej do kołka?! Weź się za siebie, nie daj im się więcej

namówić, rozumiesz? Coś w tobie siedzi, ale nie możesz się temu dać, postaw się, do cholery! Ej, słuchaj mnie. Słuchaj! Jeśli nie poradzisz sobie z samym sobą, każdy inny, nawet najmarniejszy wyrostek kiedyś cię dorwie. Nie bierz się za nic, nawet za byle pierdołę, jeśli najpierw nie zajmiesz się samym sobą, rozumiesz?

- Rzucasz hasłami... – Radek zbył słowa machnięciem ręką, znowuż robiąc krok w stronę drzwi. Leon złapał go za ramię, tym razem mocniej, zaciskając na nim palce do granic możliwości, niemal je paraliżując, odwrócił i przycisnął do ściany.
- Nabawiłeś się, ku*wa, agorafobii, że tak ci się spieszy do środka?! Chcesz się wypłakać w poduszkę? Psujesz nam wizerunek, rozumiesz? Wszyscy są ci wdzięczni za tamtych gnoi, ale powoli przeginasz! Barry...
- Co Barry?! Co Barry?! Chce się mnie pozbyć?! Proszę bardzo, ja to wszystko dookoła pier*olę, i ciebie też! – krzyząc, Radek ponownie strącił rękę ze swojego ramienia. Splunął Leonowi

pod buty, odbierając mu resztki zapału, po czym w końcu otworzył drzwi szeroko i wszedł do środka, trzaskając głośno. Leon włożył ręce do kieszeni, bezradnie wsłuchiwał się w szcęk zamka, zwiesił luźno głowę i zamknął oczy.

- Niedobrze... – mruknął. – Spojrzał na zamknięte drzwi kwatery Radka. – Bardzo niedobrze.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę baru. Mijał rozmawiających dookoła stalkerów i agentów, zarówno tych regularnie udających się w różne części Zony jak i członków tutejszej administracji – osób zarządzających i zajmujących się magazynami, wydatkami przy zamówieniach broni i sprzętu i podobnymi czynnościami związanymi z chociażby „papierkową robotą”.

Nie zwracając na unoszone w powitalnym geście i uprzejme skinienia głową, Leon wpadł w obłoki dymu, alkoholowy gwar i rozmawiające ze sobą grupki ludzi. Stanął na palcach, szukając pożądanego stolika.

- Ej! – krzyknął ktoś z lewego kąta pomieszczenia. Leon spojrzał się w tamtą stronę.

Jonathan energicznym ruchem dłoni przywoływał go do siebie, mówiąc bezgłośnie „Dawaj, dawaj!”. Ucieszył się na jego widok, przecisnął ominął kilka lepkich stolików i zajętych krzeseł, po czym zajął miejsce obok Mastertona. Od razu, Leon nie wiedział jak, wyczuł w nim niepokój, niepewność, jakiś smutek, zatroskanie spowodowane niedawną rozmową z Radkiem. Być może wyczytał to z jego niemrawego kroku, zmartwionego spojrzenia, czy też przygnębionego wyrazu twarzy – jakkolwiek to zrobił, Leon czuł się tym mocno zaskoczony – wydawało mu się, że dobrze ukrywa targające nim uczucia.

- Co cię trapi? – zapytał, bawiąc się kieliszkiem z nalaną w nim wódką.
- Radek... – mruknął Leon, siadając przy stole. – Żle z nim.
- Jak bardzo?
- Bardzo. Kompletnie nad sobą nie panuje, do jasnej cholery, idzie na akcję w pełni tego świadom, potem ryczy i żałuje, do tego ledwie tydzień po tamtym w święta. Tragedia...
- Trzeba by go podreperować. – zaproponował Jonathan.

– Trzeba by. I to ostro. Jakieś propozycje?

Jonathan zamyślił się, opróżniając kolejny kieliszek. Pomasował czoło, wpatrując się tępo w stolik. Czknął.

Rok 2001

Zatrzasnął drzwiczki, po czym znowu pociągnął ostro nosem. Spojrzał się przez lewą ramię. Jonathan klęczał ciągle w tym samym miejscu, wokół rozlanej przez Leona plamy krwi. Nieruchomo, choć pewnie nogi od dawna mu zdrętwiały. Mikołaj przeniósł spojrzenie na Izaaka, który tylko wzruszył bezradnie ramionami. Jego wyraz twarzy mówił „Ja zająłem się wtedy Radkiem, to ty bierz teraz Jonathana.”.

- Jona... – zaczął Mikołaj, lecz Masterton przerwał mu, unosząc dłoń, wykonując tym samym pierwszy ruch od ponad paru minut.
- Jedźcie. – powiedział zachrypniętym od krzyku i płaczu głosem. Opuścił rękę z powrotem na kolano. – Wróć sam.

Mikołaj z trudem umieścił kluczyk w stacyjce, z wielkimi trudnościami odpalił silnik, zwolnił hamulec i bieg, nacisnął lekko sprzęgło. Zanim jednak ruszył z miejsca, usłyszał energicznie pukanie w szybę. Jonathan najwyraźniej czegoś chciał. Po opuszczeniu szyby na kilka centymetrów rzekł krótko:

- Łopata.
- W bagażniku. – mruknął Mikołaj, schylając się do otwierającego bagażnik przycisku.

Z tyłu zgrzytnął zwalniany zamek, chwilę później Jonathan ob-szedł samochód i lewą ręką chwycił wielki szpadel i postawił obok siebie, po czym prawą ręką przymknął zatrzasknął klapę bagażnika. Odwrócił się przez plecy i ruszył przed siebie, ciągnąc łopatę za sobą, jakby nie miał siły, by ją unieść.

Wszyscy siedzący w aucie na moment odwrócili się przez ramię, by móc oprowadzić Mastertona wzrokiem. Ten po dojściu do dymiącego auta Adama odwrócił się nagle, zmierzył samochód Mikołaja rozdrażnionym spojrzeniem, uniósł prawą rękę, upuszczając tym samym łopatę, po czym machnął nią niechlujnie, każąc tym sa-

mym Mikołajowi odjechać.

- Nie dobijajmy go. – szepnął obecny kierowca, naciskając pedał gazu.
- Chyba nie powinniśmy go tak zostawiać. – zmartwił się Izaak.
- Poradzi sobie... – zapewnił Mikołaj.